

HENNING Mankell

Chińczyk

przełożyła EWA WOJCIECHOWSKA

Tytuł oryginału: Kinesen Copyright 2008 by Henning Mankell Published by agreement with Leopard Forlag AB, Stockholm and Leonhardt Heier Literary Agency A/S.

Copenhagen Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo W.

A.B., 2009' Copyright for the Polish translation by Wydawnictwo W.

A.B., 2009 Wydanie II Warszawa 2010

Akc.

CZĘŚĆ I

Cisza (2006)

Ja, Birgitta Roślin, uroczyście ślubuję wymierzać sprawiedliwość według mej najlepszej wiedzy i sumienia, bezstronnie, zarówno bogatemu, jak i biednemu, zgodnie z przepisami prawa Szwecji.

Ślubuję przepisów prawa nigdy nie obchodzić i nie czynić niesprawiedliwości, czy to z powodu pokrewieństwa, powinowactwa, przyjaźni, zazdrości, złej woli, czy strachu, czy dla łapówek, podarunków lub z jakichkolwiek innych przyczyn.

Ślubuję niewinnego za winnego nie uznawać ani winnego niewinnym nie czynić.

Ślubuję przed ogłoszeniem wyroku, a także po nim, tym, którzy stanęli przed sądem lub innym, nie ujawniać niczego, co wydarzyło się przed sądem za zamkniętymi drzwiami.

Wszystkiego tego chcę i będę jako uczciwy i sumienny sędzia przestrzegać.

Kodeks postępowania karnego, rozdz.

4, 11 Przymowa sędziowska.

Epitafium

Ostry mróz.

Środek zimy.

W pierwszych dniach stycznia 2006 roku samotny wilk przekracza nieoznaczoną granicę i przechodzi z Norwegii do Szwecji przez dolinę Vaul.

Człowiekowi, który jedzie naskuterze, wydaje się, że dostrzeżę go przed Fjallnas, wilk jednak znika w lasach na wschodzie, zanim ktokolwiek zdąży się zorientować, dokąd zmierza.

Daleko, w głębi norweskich dolin Óster, znalazł kawałek zamrożonej padliny łosia, a naniej jeszcze trochę kości do ogryzienia.

Ale to było ponad dwie doby temu.

Wilk jest coraz bardziej głodny i znów szuka jedzenia.

To młody samiec, który wybrał się na wędrówkę, żeby wytyczyć swoje terytorium.

Nieprzerwanie zmierza na wschód.

W okolicach Nayjarna, na północ od Linsell, znajduje kolejną padlinę łosia.

Całą dobę leży spokojnie i je do syta, po czym znów rusza w drogę.

Cały czas na wschód.

Pod Karbole przebiega przez zamrożoną Ljusnę, a potem podąża wzdłuż rzeki, drogą wijącą się w kierunku morza.

Pewnej styczniowej nocy przechodzi bezszelestnie przez most pod Jarvsó, a potem zbacza w głębokie lasy, które ciągną się ku morzu.

Wczesnym rankiem 13 stycznia wilk dociera do Hesjóvallen, małej wioski na południe od Hanesjón w regionie Halsingland.

Przystaje i węszy.

Czuje zapach krwi.

Rozgląda siędokoła.

W domachmieszkają ludzie.

Ale z kominów nieunosie się dym.

Wyostrzony słuch wilkanie rejestruje teżadnych dźwięków.

Zapach krwiczuć jednak wyraźnie wilk jest tego pewien.

Czeka na skrajulasu, próbując zwietrzyć, skąd dochodzi.

Po chwili zaczyna powoli biecpzez śnieg.

Coraz silniejszyzapach dolatuje zjednego z domów położonych nakońcuwioski.

Wilk jest ostrożny, w pobliżu ludzi musizachowaćzarównoczuyność, jak i cierpliwość.

Ponownie się zatrzymuje.

Zapach ma źródło na tyłach domu.

Wilk czeka.

W końcu znów rusza.

Podchodząc bliżej, widzi padlinę.

Odciągaciężką zdobycz naskraj lasu.

Wciąż nikt nie odkryłjegoobecności, nie zaczęły nawet szczekać psy.

Tego zimnegoporanka panuje całkowita cisza.

Na skraju lasu wilk zaczyna jeść.

Ponieważmięsonie jest zamarznęte, przychodzi muto z łatwością.

Jest teraz bardzo głodny.

Udaje mu się zerwać skórzany but i wgryza sięw nogę.

Zaczyna od stopy.

W nocy padał śnieg, potem na jakiś czas przestał.

Teraz, gdy wilk je, lekkie płatki śniegu znów zaczynają spadać na zamrzniętą ziemię.

2

Karsten Hóglin przypomniał sobie po obudzeniu, że śniłamu się pewna fotografia.

Leżał bez ruchu i czuł, że obraz powoli powraca, zupełnie jak gdyby negatyw snu przesyłał kopię do jego świadomości.

Rozpoznał obraz.

Był czarno-biały i przedstawiał mężczyznę siedzącego na starym żelaznym łóżku; na ścianie wisiała strzelba myśliwska, a u stóp mężczyzny stał nocnik.

Kiedy Karsten zobaczył obraz po raz pierwszy, jego uwagę przykuł smutny uśmiech starca.

Była w nim jakaś nieśmiałość i wyczekiwanie.

Dużo później Karsten poznał historię tej fotografii.

Kilka lat przed jej powstaniem ów mężczyzna przez pomyłkę zastrzelił swojego jedyne go syna podczas polowania na ptactwo wodne.

Po tym wypadku powiesił broń na ścianie i w miarę upływu czasu stawał się coraz większym odludkiem.

Karsten Hóglin pomyślał, że spośród tysięcy zdjęć i negatywów, które widział, tego zdjęcia nigdy nie będzie mógł zapamiętać.

Żałował, że nie zrobił go sam.

Zegar na szafce nocnej wskazywał wpół do ósmej.

Zazwyczaj Karsten Hóglin budził się dużo wcześniej.

Tej nocy spał jednak źle, łóżko i materac były niewygodne.

Postanowił, że

poskarży się na nie, kiedy będzie wjeżdżał i płacił rachunek w hotelu.

Był to dziewiąty i ostatni dzień jego podróży.

Sfinansowała ją dzięki stypendium, które umożliwił mu uwiecznianie odludnych wsi i małych, coraz bardziej wyludniających się społeczności.

Był teraz w Hudiksvall i pozostała mu do sfotografowania już tylko jedna wioska.

Wybrał wlasznie, poniewaz pewien stary czlowiek, ktory przeczytalo jego planach, napisal do niego i opowiedzial o miejscu, w ktorym mieszka.

Karsten Hóglin był pod wrażeniem tego listu i postanowił tam właśnie zakończyć swoją podróż.

Wstał i rozsunął zasłony.

W noc spadł śnieg.

Było wciąż szaro, nad horyzontem nie pojawiło się jeszcze słońce.

Ulicą przejechała na rowerze opatulona kobieta.

Odprowadził ją wzrokiem, zastanawiając się, czy jest bardzo zimno.

Minus pięć, może siedem stopni.

Nie więcej.

Ubrał się i zjechał do recepcji powolną windą.

Samochód zaparkował na hotelowym dziedzińcu.

Tam mógł stać bezpiecznie.

Torby zesprzętem fotograficznym zabrał jednak z sobą do pokoju.

Zawsze to robił.

Jego największym koszmarem byłaby myśl, że podejdzie kiedyś do samochodu i odkryje, że aparaty zniknęły.

W recepcji siedziała młoda kobieta, prawie jeszcze nastolatka.

Zauważył, że jest niedbale umalowana.

Zrezygnował z poskarżenia się na łóżko; i tak nie wróci już do tego hotelu.

W sali, w której podawano śniadanie, siedziało kilku gości pochylonych nad gazetami.

Przez chwilę poczuł pokusę fotografowania tego cichego pomieszczenia.

W jakiś sposób widok ten sprawił, że pomyślał o Szwecji jako o kraju, który zawsze wyglądał właśnie tak.

Cisi ludzie, pochyleni nad gazetami i kubkami z kawą, każdy sam na sam ze swoimi myślami, swoim losem.

Odegnął tę myśl, nalał sobie kawy, zrobił dwie kanapki i wziął jedno jajko na miękko.

Ponieważ nie znalazł żadnej wolnej gazety, jadł szybko.

Nie znosił samotnego siedzenia przy stole, gdy nie miał nic do czytania.

Kiedy wyszedł, okazało się, że jest dużo zimniej, niż przypuszczał.

Stał na palcach i spojrzał na termometr umocowany przy oknie recepcji.

Minus jednaście stopni.

Na dodatek temperatura dalej spada, pomyślał.

Zima, którą mieliśmy do tej pory, była zbyt ciepła.

Teraz nadchodzi mróz, na który tak długo czekaliśmy.

Położył torby na tylnym siedzeniu, zapalił silnik i zaczął skrobać przednią szybę.

Na fotelu leżała mapa.

Jeszcze wczoraj, w czasie przerwy, jaką sobie zrobił posfotografowaniu wioski w pobliżu jeziora Hassela, odszukał drogę do ostatniej wsi.

Najpierw miał jechać główną trasą na południe, a potem skręcić na Sórforssa, pod Iggesund.

10

Później miał dwie możliwości: mógł pojechać na wschód lub na zachód wzdłuż jeziora, które nazywano Storsjön lub Langsjön - Duże lub Długie Jezioro.

Wschodnia droga była w złym stanie, tak usłyszał na stacji benzynowej przy wjeździe do Hudiksvall.

Mimo to zdecydował się właśnie na nią, bo mógł nią dojechać szybciej.

A tego zimowego poranka światło było znakomite.

Widział już przed sobą smugi dymu ze strzelistych kominów.

Dotarcie na miejsce zajęło mu czterdzieści minut.

Jeden raz pobłądził.

Skręcił w drogę, która prowadziła na południe, w kierunku Nacksjón.

Wioska Hesjóvallen leżała w wąskiej dolinie wiodącej w kierunku jeziora, którego nazwy Karsten Hóglin nie pamiętał.

Może Hesjo?

Gęste lasy sięgały obu brzegów wioski, położonej na zboczu opadającym do jeziora, wzdłuż wąskiej drogi prowadzącej dalej, w kierunku Harjedalen.

Zatrzymał się przy wjeździe do wioski i wysiadł z samochodu.

Chmury zaczynały się rozwiewać.

Światło stawało się ostrzejsze, traciło pełną wyrazu miękkość.

Rozejrzał się dookoła.

Przed sobą miał kilka domów, wszystko było pogrążone w ciszy.

Z dala słyszał cichy szum samochodów, jadących główną drogą.

Nagle ogarnął go niepokój.

Wstrzymał oddech, jak zawsze, kiedy nie do końca pojmował to, co miał przed sobą.

Po chwili zrozumiał.

Kominy.

Były zimne.

Nie unosił się nich dym, efektowny element zdjęć, które miał nadzieję tu zrobić.

Powoli powiódł wzrokiem po domach.

Ktoś już dziś przejechał pługiem i odśnieżył, pomyślał.

Nikt jednak niewstał, żeby napalić w piecach i nie postawił na nich garnków.

Przypomniał sobie list, który dostał od nieznanego.

Opowiadał o wsi, o kominach, o tym, jak domy zdają się w dzieciński sposób posyłać sobie nawzajem sygnały dymne;

11.

Westchnął.

Dostaje się różne listy, pomyślał.

Ludzie niepiszą prawdy, ale to, co im się wydaje, że inni chcą przeczytać.

Teraz będę fotografować zimne kominy.

A może dać sobie spokój z całym tym przedsięwzięciem?

Nikt niezmuszało go do fotografowania Hesjóvallen i jej mieszkańców.

Miał już wystarczająco dużo zdjęć Szwecji odchodzącej w zapomnienie, samotnych gospodarstw, położonych gdzieś na pustkowiach wiosek, które niekiedy ocalali Niemcy Duńczycy, przerabiając domy na letnie kwatery.

Często osady te po prostu niszczały, z czasem całkowicie znikając w ziemi.

Postanowił odjechać i wsiadł do samochodu.

Jego dłoń zatrzymała się jednak przy stacyjce.

Skoro przebył już taką długą drogę, mógłby mimo wszystko spróbować zrobić kilka portretów mieszkańców wioski.

W końcu to właśnie twarzemu chodziło.

Po tylu latach robienia zdjęć Karstena Hóglina coraz bardziej fascynowało fotografowanie ludzistarych.

Skrytym zadaniem, które sam sobie wyznaczył, zanim na dobre odłoży aparaty, było stworzenie albumu z portretami staruszek.

Jego zdjęcia miały przedstawiać piękno, które można znaleźć wyłącznie w twarzach naprawdę starych kobiet.

Ich życie i trud wyryte były w skórze.

Jakoś dał naskalne ścianie.

Karsten Hóglin zawsze szukał twarzy, zwłaszcza twarzystarców.

Ponownie wysiadł z samochodu, naciągnął na głowę futrzaną czapkę, wziął leicę M8, która towarzyszyła mu przez dziesięć lat, i ruszył stronę stojącego najbliższego budynku.

Cała wieś składała się z dziesięciu domów, większość była czerwona, niektóre miały rozbudowane ganki.

Zauważył tylko jeden nowy budynek.

Jeżeli w ogóle można było nazwać go nowym, ponieważ był to dom jednorodzinny zlatpięćdziesiątych.

Podszedł do furtki, przystanął i podniósł

12

aparat.

Tabliczka informowała, że mieszkają tu Andrenowie.

Zrobił kilka zdjęć, zmienił przesłonę i czas ekspozycji, szukał różnych kątów dla nowych ujęć.

W dalszym ciągu jest zbyt szaro, pomyślał.

Pewnie zdjęcia wyjdą trochę nieostre.

Chociaż nigdy nie wiadomo.

Fotografowi zdarza się odkrywać nieoczekiwane tajemnice.

Karsten Hóglin często pracował, zdając się wyłącznie na intuicję.

Nie natyle jednak, żeby nie skontrolować pomiaru światła, gdy tego potrzebował.

Czasem udawało mu się osiągnąć zaskakujące rezultaty, kiedy niezbyt dokładnie określał czas ekspozycji.

Improwizacja była częścią pracy.

Kiedyś w Oskarshamn, na przystani, stał statek z postawionymi żaglami.

Był ładny dzień, słońce świeciło ostro.

Karsten już miał zrobić zdjęcie, kiedy nagle przyszło mu go głowy, żeby chuchnąć na obiektyw.

Gdy wywołał zdjęcie, zmęty wyłaniał się statek widmo.

Dostał za nie ważną nagrodę fotograficzną.

Nigdy nie zapomniał tej mgły.

Furtka stawiała opór.

Musiał użyć siły, żeby ją otworzyć.

W świeżym śniegu nie było żadnych śladów.

Wciąż żadnego dźwięku, nie zwęszył nawet żaden pies, pomyślał.

Zupełnie tak, jak gdyby wszyscy naraz wyjechali.

To nie jest wieś, to latający Holender.

Wszedł po schodkach, zastukał w drzwi, odczekał chwilę, ponownie zapukał.

Żadnego psa, żadnego miauczącego kota, nic.

Ogarnął go niepokój.

Coś tu było zdecydowanie tak jak trzeba.

Zapukał jeszcze raz, mocniej i dłużej.

Potem poruszył klamkę.

Zamknięte.

Starzy ludzie są strachliwi, pomyślał.

Zamykają się w domach, boją się, że wszystko to, o czym czytają w gazetach, przydarzy się właśnie im.

Załomotał w drzwi, ale nikt nie zareagował.

W końcu uznał, że dom musi być pusty.

13.

Wyszedł przez furtkę i udał się do sąsiedniego budynku.

Zaczynało się rozjaśniać.

Dom był żółty.

W oknach kruszyli się kit, wewnątrz musiały być przeciągi.

Zanim zapukał, poruszył klamkę.

Tu też zamknięte.

Zapukał mocno i od razu zaczął łomotać.

Tu też chyba nikogo nie było w domu.

Ponownie poczuł chęć, by dać sobie z tym wszystkim spokój.

Jeśli teraz wsiądzie w samochód, będzie w domu, w Pitea, wczesnym popołudniem.

Ucieszyłoby to jego żonę Magdę.

Jej zdaniem był już za stary na podróż, pomimo że miał dopiero sześćdziesiąt trzy lata.

Czuł jednak niewyraźne objawy zbliżającego się ataku choroby wieńcowej.

Lekarz zalecił mu zastanowić się nad tym, co je, i jak najwięcej się

ruszać.

Nie pojechał jednak do domu.

Zamiast tego przeszedł natychmiast do budynku i poruszył klamkę u drzwi, które zdawały się prowadzić do pralni i kuchni.

Również te były zamknięte.

Podszedł do najbliższego okna, stanął na palcach i zajął środek.

Przez szparę między firankami zobaczył wnętrze pokoju, w którym stał telewizor.

Przeszedł do drugiego okna.

Zobaczył ten sam pokój, z tej strony też widać było telewizor.

"Jezus twoim najlepszym przyjacielem" - obwieszczał wiszący na ścianie kilim.

Już miał podejść do kolejnego okna, gdy nagle coś przykuło jego uwagę.

Coś, co leżało na podłodze.

W pierwszej chwili pomyślał, że to kłębek włóczki.

Później zdał sobie sprawę, że to wełniana skarpetka, skarpetka nałożona na stopę.

Cofnął się o krok.

Serce mu łomotało.

Czy dobrze widział?

Czy to naprawdę była stopa?

Znow podszedł do okna, ale z tego miejsca nie mógł zajrzeć w głąb pokoju.

Wrócił więc do poprzedniego.

Teraz był już pewien.

To była stopa.

Nieruchoma stopa.

Nie umiał stwierdzić, czy należała do mężczyzny, czy kobiety.

Być może człowiek ten siedział na krześle.

Równie dobrze mógł jednak leżeć.

14

Zapukał w szybę na tyle mocno, na ile wystarczyło mu odwagi.

Żadnej reakcji.

Wyjął telefon komórkowy i wystukał numer alarmowy.

Zasięg był tak kiepski, że nie udało mu się połączyć.

Pobiegł do trzeciego domu i załomotał w drzwi.

Również tu nikt mu nie otworzył.

Zadał sobie pytanie, czy przypadkiem nie znalazł się w miejscu jak ze złego snu.

Obok drzwi leżała metalowa wycieraczka.

Wetknął ją pod futrynę na wysokości zamka i wyłamał drzwi.

Myślał wyłącznie o tym, by znaleźć telefon.

Kiedy wbiegł do domu, ponieważ przyszło mu do głowy, że i tu natknie się naten sam widok.

Widok martwego człowieka.

Na podłodze w kuchni leżała stara kobieta.

Jej głowa była prawie całkiem oddzielona od szyi.

Obok leżał rozrąbany na dwie części pies.

Karsten Hóglin krzyknął i odwrócił się, żeby jak najszybciej wybiec z domu.

Z przedpokoju dostrzegł jeszcze mężczyznę leżącego na podłodze w salonie, między stołem a czerwona kanapą przykrytą białą narzutą.

Starzec był nagi.

Miał całe plecy we krwi.

Karsten Hóglin wybiegł z domu i rzucił się do ucieczki.

Zgubił po drodze aparat, ale ani myślał się zatrzymać.

Narastał w nim strach, że coś, czego nie mógł dostrzec, dopadnie go i rąbnie w plecy.

Zawrócił samochód i odjechał.

Dopiero znalazł się na głównej drodze, zatrzymał się roztrzęsionymi dłońmi wystukał numer alarmowy.

W momencie gdy przyłożył słuchawkę do ucha, poczuł ostry ból w klatce piersiowej.

Zupełnie jak gdyby ktoś mimo wszystko dążył go dopaść i wbił mu nóż w ciało.

W słuchawce rozległ się głos.

Karsten Hóglin nie mógł jednak odpowiedzieć.

Ból był tak silny, że nie mógł wydobyć z krtani nic poza rżeniem.

- Nic nie słyszę - powiedział kobiecie głos.

Spróbował jeszcze raz.

Znów tylko rżenie.

Umierał.

- Proszę mówić głośniej!

- powiedziała kobieta - Nie rozumiem, o co chodzi.

Z najwyższym wysiłkiem udało mu się wyrzucić z siebie

kilka słów.

- Umieram - wysapał.

- Dobry Boże, umieram.

Pomóż mi.

- Gdzie pan jest?

Kobietanie usłyszała odpowiedzi.

Karsten Hóglin był już w drodze ku wielkiej ciemności.

W rozpaczliwej próbie uwolnienia się od potwornego bólu, jak tonący, który napróżno próbuje wydostać się na powierzchnię, nacisnął pedał gazu.

Samochód ruszył i zjechał na przeciwny pas ruchu.

Niewielką ciężarówką, jadącą w kierunku Hudiksvall, wiozącą meble biurowe, nie zdążyła zahamować.

Kierowca wysiadł z ciężarówki, żeby sprawdzić, co się stało się z mężczyzną 'w rozbitym samochodzie.

Leżał na kierownicy.

Kierowca pochodził z Bośni i słabo mówił po szwedzku.

- Co z panem?

- zapytał.

- Wioska - wydyszał Karsten Hóglin.

- Hesjövallen.

Nie powiedział nic więcej.

Kiedy policjaj karetka pogotowia dotarły na miejsce, Karsten Hóglin już nieżył.

Zmarł

na rozległy zawał.

Napoczątku nie było wiadomo, co właściwie się stało.

Nikt nie mógł pojąć, co spowodowało nagły atak serca u mężczyzny za kierownicą granatowego volvo.

Dopiero gdy Karstena Hóglina zabrano do pogotowia, a laweta wyciągała ciężarówkę z meblami, jeden z policjantów zadał sobie trud wysłuchania tego, co próbował powiedzieć bośniacki kierowca.

Policjant nazywał się Erik Hudden i nie lubił na próżno rozmawiać z ludźmi mówiącymi słabo po szwedzku.

Zupełnie jakby z powodu ubogiego zasobu słów ich opowieść traciła

16

wartości.

Zaczął oczywiście od sprawdzenia, czy kierowca prowadził po pijanemu.

Był trzeźwy, alkomat wskazywał zielony kolor, a prawo jazdy wydawało się w porządku.

- Próbował coś powiedzieć - zaczął kierowca.

- Co? - zapytał Erik Hudden z niechęcią.

- Coś o Hero.

Może to jakieś miejsce?

Erik Hudden, który pochodził z tych okolic, niecierpliwie pokręcił głową.

- Nie ma tu żadnego Hero.

- Może źle usłyszałem?

Może to było coś z "s"?

Mogło to być Hersjów.

- Hersjówallen?

Kierowca przytaknął.

- Tak powiedział.

- Comiał na myśli?

- Nie wiem.

Umarł.

Erik Hudden schował swój notatnik.

Niezapisał tego, co powiedział kierowca.

Kiedy po półgodzinie lawety odjechały roztrzęsionymi pojazdami, a inny radiowóz zabrat bośniackiego kierowcę na dalsze przesłuchanie na posterunek, Erik Hudden wsiadł do swojego samochodu, żeby pojechać z powrotem do Hudiksvall.

Był kolegą, Leifem Ytterström.

Ytterström prowadził.

- Przejeżdż przez Hesjövallen - powiedział nagle Erik Hudden.

- Po co?

Było jakieś wezwanie?

- Chcę tylko coś sprawdzić.

Erik Hudden był starszy.

Znany był jako człowiek mało mówny i uparty.

Leif Ytterström skręcił w drogę do Sörforsa.

Kiedy dotarli do Hesjövallen, Erik Hudden poprosił go, żeby powoli przejechał przez wieś.

Wciąż jeszcze nie wytłumaczył koledze, dlaczego musieli zjechać z drogi.

17.

- Wygląda odludnie - powiedział Leif Ytterström, kiedy powoli mijali dom za domem.

-Zawróć -nakazał Erik Hudden.

- Tak samo powoli.

Pochwili poprosił Leifa Ytterströma, żeby się zatrzymał.

Coś przykuło jego uwagę.

Coś, co leżało w śniegu obok jednego z domów.

Wysiadł z samochodu i podszedł bliżej.

Nagle zatrzymał się z gwałtownym wzdrygnięciem i wyciągnął broń.

Leif Ytterström wypadł z samochodu i też sięgnął po broń.

- Co to jest?

Erik Hudden nie odpowiedział.

Ostrożnie szedł naprzód.

Po chwili zatrzymał się i pochylił, jakby dopadł go ból w piersi.

Gdy wrócił do samochodu, był blady jak papier.

- Tam leży martwy człowiek - powiedział.

- Zarąbany na śmierć.

Czegoś brakuje.

- Co masz na myśli?

"- Nie ma jednej nogi.

Obydwaj stali bez słowa.

Patrzyli na siebie.

Po chwili Erik Hudden wsiadł do samochodu i poprosił przez radio o połączenie z Vivi Sundberg.

Wiedział, że ma tego dnia dyżur.

Odpowiedziała natychmiast.

- Tu Erik.

Jestem w Hesjövallen.

Wyczuł, że Vivi Sundberg się zastanawia.

W tych okolicach byłomnośtwo miejsc, których nazwy były do siebie podobne.

- Na południe od Sörforsa?

- Raczej na zachód.

Ale mogę się mylić.

- Co się stało?

- Nie wiem.

Ale leży tu w śniegu martwy mężczyzna bez jednej nogi.

- Powtórz jeszcze raz.

- Martwy mężczyzna.

W śniegu.

Wygląda, jakby ktoś zarząbał go na śmierć.

Brakuje mu jednej nogi.

18

Obydwoje dobrze się znali.

Vivi Sundberg wiedziała, że Erik Hudden nigdy nie przesadzał, jakkolwiek mogło zabrzmieć to, co powiedział.

- Przyjeżdżamy - powiedziała.

- Zadzwoń do techników w Gavle.

- Kogo masz tam ze sobą?

- Ytterstróma.

Zastanowiła się przez chwilę.

- Czy istnieje jakieś rozsądne wytłumaczenie tego, co się tam stało?

- Nigdy w życiu nie widziałem niczego podobnego.

Wiedział, że Vivi Sundberg zrozumie.

Jako policjant widział już takie rzeczy, że nie byłby w stanie wyznaczyć granicy koszmaru przemocy, z jakimi był zmuszony się stykać.

Minęło trzydzieści pięć minut, nim usłyszeli syreny.

Erik Hudden próbował namówić Ytterströma, żeby wspólnie porozmawiali z mieszkańcami najbliższej połozonego domu.

Ytterströmnie zgodził się, dopóki nie dostaną wsparcia.

Ponieważ Erik Hudden nie chciał wchodzić do domu sam, pozostali przysamochodzie.

Czekali w milczeniu.

Vivi Sundberg wysiadła z pierwszego samochodu, który przyjechał na miejsce.

Była mocno zbudowaną pięćdziesięcioletnią.

Ci, którzy ją znali, wiedzieli, że pomimo swojego masywnego ciała jest sprawna i wytrzymała.

Zaledwie kilka miesięcy wcześniej udało jej się dogonić dwóch dwudziestoparoletnich włamywaczy.

Śmiali się z niej, kiedy zaczęli uciekać.

Przestali się śmiać po kilkuset metrach, gdy złapała obydwu.

Vivi Sundberg miała rude włosy.

Razna kwartał odświeżała ich czerwony kolor w salonie fryzjerskim swojej córki.

Urodziła się w gospodarstwie pod Harmanger, gdzie opiekowała się rodzicami, aż się zestarzelili i umarli.

Dopie 19.

ro wtedy zaczęła się uczyć i po kilku latach złożyła podanie do szkoły policyjnej, do której, ku jej zdziwieniu, została przyjęta.

Nikt właściwie nie umiał wytłumaczyć, jak mimo wszystko udało jej się do niej dostać.

Nikt jednak o to nie pytał, a ona sama też nic nie mówiła.

Gdy któryś z jej kolegów napomynał ją o odchudzaniu, odburkiwała z irytacją.

Vivi Sundberg ostrożnie używała cukru, miała jednak duży apetyt.

Dwa razy była zamężna.

Jej pierwszym mężem był robotnik z Iggesund.

To z nim miała córkę Elin.

Zginął w wypadku przy pracy.

Kilka lat później ponownie wyszła za mąż, za hydraulika z Hudiksvall.

Ich małżeństwo trwało niecałe dwa miesiące.

Mąż zabił się zimą na śliskiej drodze między Delsbo i Bjuraker.

Po tym nie zdecydowała się już na kolejne małżeństwo.

Wśród jej kolegów krążyła jednak plotka, że ma przyjaciela na jednej z greckich wysp.

Wyjeżdżała tam dwa razy w roku na wakacje.

Nikt nie był pewien, czy plotka była prawdziwa.

Vivi Sundberg była dobrą policjantką.

Miała w sobie upór i umiejętność analizowania nawet najdrobniejszych śladów, czasem jedynych, jakich mogli się uchwycić podczas śledztwa.

Przeczesała dłonią włosy, patrząc na stojącego przed nią Erika Huddena.

- Pokażesz mi?

Podeszli do ciała.

Vivi Sundberg przykucnęła, jej twarz wykrzywił grymas.

- Czy lekarz już przyjechał?

-Powiedziała, że już jedzie.

- Powiedziała?

-Hugo ma zastępczynię.

Mająmu usunąć guz.

Vivi Sundberg straciła na moment zainteresowanie leżącymi wśniegu zakrwawionymi zwłokami.

20

- Jest chory?

-Ma raka.

Nie wiedziałaś?

- Nie, gdzie?

-To rak żołądka, ale nie ma przerzutów.

Hugo ma teraz zastępczynię z Uppsali.

Nazywa się Valentina Miir.

O ile dobrze wymawiam.

-I ona tu jedzie?

Erik Hudden krzyknął do Ytterstróma, który stał przyjeżdżającym z samochodów i pił kawę.

Ytterstrómpotwierdził, że lekarz sądowy zaraz dotrze na miejsce.

Vivi Sundberg zaczęła badać zwłoki.

Za każdym razem, gdy stała nad człowiekiem, który został zabity, nachodziła ją tasama beznadziejna myśl.

Nie mogła ożywić zmarłego.

W najlepszym wypadku mogła jedynie wyjaśnić przyczynę zbrodni posłać mordercę do więziennej celi lub za zamknięte drzwi oddziału dla psychicznie chorych.

- Zrobił to ktoś, kto wpadł w szal.

Dużym nożem.

Lubbagnetem.

Może mieczem.

Widzę co najmniej dziesięć różnych ran ciętych, najprawdopodobniej prawie wszystkie były śmiertelne.

Ale tego z nogą nie rozumiem.

Czy wiemy, kim

był ten mężczyzna?

- Jeszcze nie.

Wygląda na to, że wszystkie domy są puste.

Vivi Sundberg wstała i uważnie rozejrzała się po wsi.

Poczuła się tak, jakby domy wyczekująco odpowiadały na jej

spojrzenia.

- Pukałeś?

- Chciałem z tym poczekać.

Ten, kto zrobił, może wciąż

tu być.

- Dobrze zrobiłeś.

Skinieniem dłoni przywołała Ytterstróma, który rzucił

papierowy kubek w śnieg.

21.

- Wchodzimy - powiedziała.

- Muszą tu być jacyś ludzie.

Tonie jest opuszczona wieś.

;"

- Nikt się nie pokazał.

'! w

Vivi Sundberg ponownie przyjrzała się domom, zaśnieżonym ogrodom, drodze.

Wyjęła broń i ruszyła w stronę najbliższego budynku.

Pozostali szli za nią.

Zegar wskazywał kilka minut po jedenastej.

To, co się wydarzyło potem, miało się stać częścią historii szwedzkiego sądownictwa.

Odkrycie, którego dokonali troje policjantów, nie miało sobie równych w dotychczasowej historii szwedzkiej kryminalistyki.

Przechodzili od domu do domu z wyciągniętą bronią.

Wszędzie znajdowali martwych ludzi.

Leżały tam psy i koty zarżnięte na śmierć, nawet papuga z odciętą głową.

Znaleźli dziewiętnaście ciał;

wszyscy byli starzy, poza chłopcem w wieku około dwunastu lat.

Niektórzy zostali zabici w śnie, w łóżkach, inni leżeli na podłodze, siedzieli na krzesłach, przy stołach.

Jedna staruszka zginęła z grzebieniem w dłoni, jeden mężczyzna przy piecu kuchennym, z przewróconą obok kawiarką i wylaną kawą.

W jednym z domów znaleźli dwa splecione ze sobą ciała.

Wszyscy padli ofiarą tej samej szaleńczej przemocy.

Wyglądało to tak, jakby przez domy tych starych ludzi, którzy właśnie mieli wstawać z łóżek, przeszedł krwawy orkan.

Ponieważ starzy mieszkańcy wsi zazwyczaj wstają wcześniej, Vivi Sundberg przyjęła, że zabójstw musiano

dokonać późną nocą lub nad ranem.

Miała wrażenie, że cała jej głowa tonie we krwi.

Pomimo że ze zdenerwowania wstrząsały nią dreszcze, zachowała spokój.

Zupełnie jakby oglądała teokaleczone martwe ciała przez wizjer.

Dzięki temu nie musiała podchodzić zbyt blisko.

22

Był też zapach.

Mimo że ciała nie zdążyły jeszcze ostygnąć, wydzielały zapach, słodki z domieszką goryczy.

W domach Vivi Sundberg oddychała ustami.

Dopiero na zewnątrz mogła gwałtownie zaczerpnąć powietrza.

Przekraczając próg kolejnego domu, musiała przygotować się na coś, co dawało się nie do wytrzymania.

Wszystko to, co miała przed sobą, jedno ciało po drugim, naznaczone było tym samym szaleństwem i ranami zadany ostrą jak brzytwa bronią.

Lista, którą sporządziła jeszcze tego samego dnia, a której nigdy nikomu nie pokazała, składała się z krótkich spostrzeżeń, dokładnie opisujących to, co zobaczyła:

Dom numer jeden.

Martwy starszy mężczyzna, półnagi, podarta piżama, kaptur, w półleży na schodach prowadzących na piętro.

Głowa prawie oddzielona od ciała, kciuk lewej dłoni metr od ciała.

Martwa starsza kobieta, koszula nocna, rozpięty brzuch, wyprute wnętrzności, roztrzaskana sztuczna szczęka.

Dom numer dwa.

Martwy mężczyzna i martwa kobieta, obydwój starzy, co najmniej pięćdziesięcioletni.

Ciała znalezione w podwójnym łóżku w suterenie.

Kobieta mogła zostać zabita w śnie cięciem od lewego ramienia przez klatkę piersiową do prawego biodra.

Mężczyzna próbował się bronić młotkiem, ale odrąbano mu jedną rękę, podcięto gardło.

Dziwne jest to, że ciała zostały związane.

Wyglądało tak, jakby mężczyzna jeszcze żył, kiedy przywiązywano go do zwłok kobiety.

Nie mam na to oczywiście dowodów, tylko podejrzenie.

Martwy chłopiec w małej sypialni.

Chyba zabił go we śnie.

Dom numer trzy.

Martwa kobieta na podłodze w kuchni.

U jej boku pies nieokreślonej rasy rozrąbany na

23.

dwoje.

Kręgosłup kobiety zdaje się przerwany w więcej niż jednym miejscu.

Dom numer cztery.

Martwy mężczyzna w przedpokoju.

Ubrany w spodnie, koszulę, bosy.

Prawdopodobnie próbował stawiać opór.

Ciało prawie całkowicie przepołowione w wysokości żołądka.

Martwa starsza kobieta siedząca w kuchni.

Dwa, może trzyciosy w ciemieniu.

Dom numer siedem.

Dwie stare kobiety i jeden stary mężczyzna zabici w łóżkach na piętrze.

Spostrzeżenie:

nie spali, byli świadomi, ale nie zdążyli zareagować.

Kot zaslachtowany w kuchni.

Dom numer osiem.

Martwy starszy mężczyzna poza domem, brakuje jednej nogi.

Dwa psy z odrąbanymi głowami.

Martwa kobieta na schodach, zmasakrowana nie do opisania.

Dom numer dziewięć.

Cztery ciała w salonie w suterenie.

Wpółnagie, z kubkami kawy, włączone radio, program pierwszy.

Trzy stare kobiety i stary mężczyzna.

Wszyscy z odciętymi głowami, położonymi na kolanach.

Dom numer dziesięć.

Dwoje bardzo starych ludzi, mężczyzna i kobieta, zabici w łóżkach.

Nie umiem ocenić, czy byli świadomi tego, co się z nimi dzieje.

Kończąc listę, nie była już w stanie zmusić się do zapamiętywania wszystkich szczegółów.

Tego, co zobaczyła, i tak nie dało się zapomnieć, jak spojrzenia wprost do piekła.

Nadała numery domom, w których znaleziono ofiary.

Domy wsi nie były ponumerowane kolejno.

Kiedy podeszli do piętego budynku, natknęli się na oznaki życia.

Na podwórzu słychać było muzykę, dochodzącą ze środka.

Ytterström uznał, że brzmiała jak Jimi Hendrix.

Vivi Sundberg dobrze wiedziała, kim był gitarzysta, zaś Erik Hudden nigdy nawet o nim nie słyszał.

Jego ulubionym muzykiem był Björn Skifs.

24

Zanim weszli do środka, zawołał jeszcze dwóch policjantów, którzy zaczęli już ogradzać teren.

Był tak duży, że zmuszeni byli zadzwonić do Hudiksvall po dodatkowe rolki plastikowej taśmy.

Podeszli z bronią w pogotowiu.

Erik Hudden załomotał w drzwi.

Otworzył im półnagi długowłosy mężczyzna.

Wzdrygnął się ze strachu na widok wycelowanej w siebie lufy pistoletu.

Vivi Sundberg opuściła broń, kiedy zobaczyła, że mężczyzna nie jest uzbrojony.

- Jest pan sam w domu?

- Z żoną - odpowiedział mężczyzna drżącym głosem.

- Nikogo więcej nie ma?

- Nie.

Co się stało?

Vivi Sundberg schowała broń i gestem dała do zrozumienia pozostałym, żeby zrobili to samo.

- Wchodzimy -powiedziała dopólnagiego mężczyzny,który dygotał z zimna.

- Jak się pan nazywa?

- Tom.

-Coś więcej?

- Hansson.

-Wejdźmy do środka, Tomie Hansson, topzestanie siępan trząść.

Muzyka wdomu była bardzo głośna.

Vivi Sundberg przyszło na myśl, że głośniki muszą byćwe wszystkich pokojach.

Weszła za mężczyzną do salonu.

Panował w nim bałagan,na kanapie siedziała skulona kobieta w nocnej koszuli.

Mężczyznaściszł muzykę i włożyłspodnie, które wisały nakrześle.

Tom Hansson i kobieta na kanapie wyglądali natrochę starszych niż Vivi Sundberg, mogli mieć po sześćdziesiąt parę lat.

- Co się stało?

- zapytała przestraszona kobieta.

Vivi Sundberg zauważyła, że mówi wyraźnym sztokholmskim dialektem.

Prawdopodobnie przybyłitu w czasach, gdy

25.

młodzi mieszkańcy miast przenosili się na wieś, żeby wieść proste życie.

Zdecydowała, że od razu przejdzie do rzeczy.

Wobec potwornego odkrycia uznała, że trzeba się śpieszyć.

Niewykluczone, że osoba lub osoby, które dokonały tej makabrycznej zbrodni, mogą zaraz urządzać kolejną taką masakerę.

- Część państwa sąsiadów nie żyje - oznajmiła.

- Tej nocy wydarzyły się te wszystkie rzeczy.

Dlatego ważne jest, żeby odpowiedzieli państwo na wszystkie pytania.

Jak się pani nazywa?

- Ninni - odpowiedziała kobieta na kanapie.

- Czy Herman i Hilda nie żyją?

- Gdzie mieszkają?

- W domu po lewej.

Vivi Sundberg przytaknęła.

- Niestety nie żyją.

Zostali zamordowani.

Ale nie tylko oni.

Wygląda na to, że wiele osób we wsi zostało zabitych.

- Jeśli to ma być jakiś dowcip, nie jest szczególnie udany - powiedział Tom Hansson.

Vivi Sundberg na moment straciła panowanie nad sobą.

- Nie mam czasu na nic poza stawianiem pytań, na które macie odpowiadać.

Rozumiem, że to, co mówię, wydaje wam się niepojęte.

To jednak jest prawda.

Przeróżająca prawda.

Co tu się działo dzisiejszej nocy?

Czy coś państwo słyszeli?

Mężczyzna usiadł na kanapie obok kobiety.

- Spaliśmy.

- Nic państwo nie słyszeli?

Obydwoje pokręcili głowami.

- Nie zwrócili państwo nawet uwagi na to, że we wsi jest pełno policji?

- Kiedy głośno puszczamy muzykę, nic nie słyszymy.

26

- Kiedy ostatnio widzieli państwo sąsiadów?

- Jeśli chodzi o Hermana i Hildę, to wczoraj - powiedziała Ninni.

- Spotykamy się na spacerze z psami.

- Mają państwo psa?

Tom wskazał głową w kierunku kuchni.

- Jest już dość stary i leniwy.

Nie wstaje nawet, kiedy przychodzą obcy ludzie.

- Nie szczekał tej nocy?

- On nigdy nie szczeka.

- O której godzinie spotkali państwo sąsiadów?

Około trzeciej wczoraj popołudniu.

Ale tylko Hildę.

- Czy wszystko było tak jak zazwyczaj?

- Bolały ją plecy.

Herman pewnie siedział w kuchni i rozwiązywał krzyżówki.

Jego nie spotkałem.

- A jak tu było z innymi ludźmi w wsi?

- Jak toż ludźmi.

Tu są same staruszki.

Kiedy jest zimno, siedzą w domach.

Wiosną i latem spotykamy się częściej.

- Nie ma tu żadnych dzieci?

- Żadnych.

Vivi Sundberg zamilkła i pomyślała o martwym chłopcu.

- Czy to prawda?

- zapytała Ninni.

Vivi Sundberg wyczuła, że kobieta się boi.

- Tak - odparła.

- To, co powiedziałam, to prawda.

Całkiem możliwe, że we wsi wszyscy są martwi.

Pozapaństwem.

Erik Hudden stał przy oknie.

Niewszyscy - powiedział powoli.

- Co masz namyśli?

Niewszyscy są martwi.

Ktoś idzie drogą.

Vivi Sundberg rzuciła się do okna.

Zobaczyła to, co przykuło uwagę Erika Huddena.

,:;

Na drodze stała kobieta.

Była stara, ubrana w szlafroki czarne gumki.

Ręce miała złożone jak do modlitwy.

Vivi Sundberg wstrzymała oddech.

Kobieta się nieruszała.

3

Tom Hansson podszedł do okna i stanął obok Vivi Sundberg.

- To tylko Julia - powiedział.

- Czasem znajdujemy jątką nieubraną.

Hilda i Herman zajmują sięnią, kiedy nieprzychodzi opieka społeczna.

- Gdzie ona mieszka?

- zapytała Vivi Sundberg.

Wskazał palcem dom leżący prawie na samym krańcu si.

- Żyjemy tu odprawie dwudziestu lat- kontynuował.

- Miało nastu osiąść święcej, aleskończyło się tylko na nasdwojgu.

Wtedy Julia była mężatką.

Jej mąż miał na imię Rune, pracował jako operator maszyn do wyrębu lasu.

Pewnego dnia pękła mu tętnica.

Umarł w szoferce.

Od tego czasu Julia stała się dziwna.

Jak człowiek, który chodzi z rękami w kieszeniach, zaciśniętymi w pięści, rozumie pani, co mamna myśli.

Potem przyszła starość i nieporadność.

Myśleliśmy, że będzie mogła tu umrzeć.

Ma dwójkę dzieci, które przyjeżdżają raz w roku.

Czekają na swój mały spadek, a onanic ichnie obchodzi.

Vivi Sundberg wyszła razem z Erikiem Huddenem.

Kobieta stała nieruchomo nadrodze.

Podniosła wzrok, kiedy policjantka stanęła tuż przed nią.

Nic jednak nie powiedziała.

Nie protestowała też, kiedy Vivi i Erik Hudden poprowadzili ją do domu.

Dom był wysprzątany.

Na ścianie wisały

28

w ramach fotografie zmarłego męża i dwójki dzieci, które miały ją gdzieś.

Po raz pierwszy od momentu przybycia do Hesjövallen Vivi Sundberg wyjęła notes.

Erik Hudden zaczął czytać leżący na stole list z pieczętkami urzędu gminy.

- Julia Holmgren - powiedział.

- Ma osiemdziesiąt siedem lat.

- Dopilnuj, żeby ktoś zadzwonił do opieki społecznej.

Nieobchodzą mnie ustalone wcześniej terminy odwiedzin.

Muszą się nią zająć teraz.

Staruszka siedziała przy kuchennym stole i wyglądała przez okno.

Na niebie wisały ciężkie chmury.

- Spróbujemy ją o coś zapytać?

Vivi Sundberg pokręciła głową.

- Tonic nie da.

Cóż ona może powiedzieć?

Skinieniem głowy dała znak Erikowi Huddenowi, żeby zostawił ją samą.

Gdy wyszedł na podwórze, przeszedł do salonu, stanęła na środku pomieszczenia i zamknęła oczy.

Wkrótce będzie zmuszona ogarnąć całe to ohydztwo, które się tu wydarzyło.

Musi spróbować znaleźć jakiś punkt zaczepienia.

W starej kobiecie było coś, co w świadomości Vivi Sundberg wzbudzało jakieś niejasne przecucie.

Nie potrafiła jednak odgadnąć, co to mogło być.

Stała bez ruchu, otworzyła oczy próbowała się skupić.

Co takiego wydarzyło się tego styczniowego poranka?

Kilku nastu zamordowanych we wsi leżącej na odludziu.

Do tego kilka zabitych zwierząt domowych.

Wszystko wskazywało na jakieś szaleństwo.

Czy sprawca mógł naprawdę zrobić coś takiego w pojedynkę?

A może było ich wielu?

Pojawili się we wsi w nocy i zniknęli po dokonaniu tej brutalnej masakry?

Jeszcze za wcześnie na jakiegokolwiek odpowiedzi.

Byli tylko zabici i nieliczne

znane okoliczności całego zdarzenia.

Miała parę, którą kiedyś uciekła ze Sztokholmu i zamieszkała w tym miejscu, oraz starą kobietę pojawiającą się od czasu do czasu w nocnej

koszuli na drodze we wsi.

Gdzieś musi być jakiś punkt zaczepienia, pomyślała.

Niewszycy we wsi są martwi.

Oszczędzono co najmniej trzy osoby.

Dlaczego?

Czy to przypadek, czy może ma to jakieś

znaczenie?

Stała bez ruchu jeszcze kilka minut.

Zobaczyła przez okno,

że przybyli technicy kryminalistyki z Gavle oraz kobieta, ta - zapewne lekarz sądowy.

Vivi zrobiła głęboki wdech.

; 'i Teraz ona wydajetę rozkazy.

Nawet jeśli jest to zbrodnia, , która wzbudzi ogromne poruszenie prawdopodobnie nie?

: tylko w granicach kraju, musi w tym momencie stanąć na wysokości zadania.

Postanowiła jednak poprosić o wsparcie ze Sztokholmu.

Dawniej, kiedy była młodą policjantką, marzyła o pracy w Krajowej Komisji do spraw Zabójstw, którą prowadziła najtrudniejsze śledztwa.

Teraz miała nadzieję, że Komisja przyjdzie jej z odsieczą.

Zaczęła od wystukania numeru w telefonie komórkowym.

Musiła chwilę poczekać, zanim ktoś odebrał.

- Sten Robertsson.

- Tu Vivi.

Jesteś zajęty?

- Jestem prokuratorem.

Zawsze jestem zajęty.

Czego

chcesz?

- Jestem we wsi o nazwie Hesjóvallen.

Wiesz, gdzie to

jest?

Pod Sórforsa.

- Mam mapę na ścianie.

Co się stało?

- Sprawdź najpierw, gdzie leży to miejsce.

-Musisz chwilę poczekać.

Odłożyła bok słuchawkę.

Vivi Sundberg zastanawiała się, jaka będzie jego reakcja.

Nikt z nas nie spotkał się z nią

czym podobnym, pomyślała.

Żaden policjant w tym kraju, pewnie też żaden w wielu innych krajach.

Cały czas wydaję mi się, że to, co napotykaemy w naszej pracy, nie może już być gorsze.

Ale granice ciągle się przesuwają.

Teraz jesteście tu.

Gdzie będziemy jutro?

A gdzie za rok?

Robertsson podniósł słuchawkę.

- Znalazłem to miejsce.

Czy to nie jest jakaś opustoszała wieś?

- Nie całkiem.

Ale bardzo szybko się nią stanie.

Choć niedługo że mieszkańcy się wyprowadzą.

- Co masz na myśli?

Vivi Sundberg możliwie jak najbardziej wyczerpująco wyjaśniła, co się stało.

Robertsson słuchał, nie przerywając.

Słyszała w słuchawce jego oddech.

- Czy mam w to uwierzyć?

- zapytał, kiedy skończyła.

- Tak.

- To brzmi niewiarygodnie.

- Bo trudno to uwierzyć.

To sprawa tak poważna, że ty jako prokurator musisz natychmiast przejąć dowodzenie grupą dochodzeniową.

Chcę, żebyś tu przyjechał.

Musisz zobaczyć na własne oczy.

- Przyjadę.

Czy jest jakiś podejrzany?

- Nie ma.

Sten Robertsson zakasłał do słuchawki.

Kiedyś w zaufaniu izwierzył się Vivi Sundberg, że cierpi na nieżyt oskrzeli.

Był nałogowym palaczem do dnia swoich pięćdziesiątych urodzin.

Wtedy rzucił palenie.

Robertsson i Vivi Sundberg nie tylko byli równoletkami.

Obchodzili urodziny tego samego dnia, 12 marca.

Po zakończeniu rozmowy Vivi Sundberg nadal stał w miejscu.

Nie wychodziła, pełną wagi.

Musiała odbyć jeszcze jedną rozmowę telefoniczną.

Jeśli nie zrobi.

bi tego teraz, nie wiadomo kiedy później znajdzie na to czas.

Wystukała numer.

- Salon u Elin.

- To ja.

Możesz rozmawiać?

- Nie za długo.

Mam dwie baby pod suszarkami.

O co chodzi?

- Jestem we wsi kilkadziesiąt kilometrów za miastem.

Stało się tu coś potwornego.

Wywoła to ogromne poruszenie.

Nie będę miała chwili wytchnienia.

- Co się stało?

- Zabito tu mnóstwo starych ludzi.

Pozostaję nam nadzieję, że zrobił to szaleniec.

- Dlaczego tak mówisz?

- Dlatego że byłoby zupełnie niepojęte, gdyby zrobił to ktoś przy zdrowych zmysłach.

- Nie możesz powiedzieć nic więcej?

Gdzie jesteś?

- Nie mam czasu.

Ale chcę cię prosić o przysługę.

Zadzwoń do biura podróży w sprawie mojego wyjazdu na Leros.

Zarezerwowałam wycieczkę w zeszłym tygodniu.

Jeśli odwołam ją teraz, nie stracę pieniędzy.

- Załatwię to.

Czy grozici tam jakieś niebezpieczeństwo?

- Jestem tu otoczona ludźmi.

Zajmij się już tymi babami, zanim sobie pójdą.

- Zapomniałaś, że jesteś do mnie zapisana na jutro?

- Wykreśl mnie.

Bardzo możliwe, że osiwieję od tego, czym się zajmuję.

Schowała telefon do kieszeni i wyszła z domu.

Nie mogła już dłużej zwlekać.

Na drodze stali technicy kryminalistyki i lekarz sądowy.

Wszyscy na nią czekali.

- Nie zamierzam nic opisywać - powiedziała.

- Musicie zobaczyć to sami.

Zaczniemy od mężczyzny, który leży na

32

zewnątrz, w śniegu.

Potem przejdziemy od domu do domu.

Zdecydujecie, czy będą wam potrzebne dodatkowe osoby do pomocy.

To bardzo duży obszar.

Prawdopodobnie największe miejsce zbrodni, jakie kiedykolwiek przyjdzie wam zobaczyć.

Chociaż jest to tak przerażające, że aż niewiarygodne, postarajcie traktować wszystko jak początek normalnego śledztwa.

Wszyscy mieli pytania.

Vivi Sundberg odmówiła jednak odpowiedzi.

W tej chwili najważniejsze było, żeby zobaczyli to na własne oczy.

Poprowadziła całą procesję od jednego miejsca makabrycznej zbrodni do drugiego.

Kiedy weszli do trzeciego domu, Lönngrén, najstarszy z techników, powiedział, że natychmiast musi zadzwonić po wsparcie.

W czwartym domu lekarka uznała za konieczne zrobić to samo.

Rozmowy telefoniczne zatrzymywały na moment pochód.

W końcu przeszli przez wszystkie domy i ponownie stanęli na drodze.

W tym czasie dotarł już na miejsce pierwszy dziennikarz.

Vivi Sundberg poprosiła Ytterström o dopilnowanie, żeby nikt z nim nie rozmawiał.

Miała zamiar zrobić to sama, kiedy tylko znajdzie czas.

Ludzie stojący wokół niej na ośnieżonej drodze byli blade i milczący.

Nikt z nich nie był w stanie ocenić rozmiarów tego, co przed chwilą zobaczył.

- Taktowy gląda - powiedziała Vivi Sundberg.

- Nasze wspólne doświadczenie i umiejętności zostaną wystawione na próbę, której trudności zapewne nie jesteśmy w stanie sobie nawet wyobrazić.

Śledztwo w tej sprawie zdominuje media nie tylko w Szwecji.

Będzie się od nas oczekiwać szybkich rezultatów.

Pozostaje mieć nadzieję, że ten, kto to zrobił, zostawił ślady, które pomogą nam go szybko złapać.

Możemy się naradzić i wezwać do pomocy ludzi, których uznamy za potrzebnych.

Prokurator Robertsson już tu jedzie.

Chcę, żeby osobiście obejrzał to miejsce i od razu przejął kierownictwo nad wstępnymi czynnościami śledztwa.

Czy są jakieś pytania?

Jeśli nie, zabieramy się do pracy.

- Ja mam jedno pytanie - powiedział Lönngren.

Był niski i chudy.

Vivi Sundberg uważała go za świetnie wykwalifikowanego technika.

Miał jednak jedną wadę.

Dłakość, kto czekał na informacje od niego, pracował zazwyczaj irytująco powoli.

- Słucham!

- Czy istnieje ryzyko, że szalenię, zakładając, że był to szalenię, uderzy ponownie?

- Tak, istnieje - odpowiedziała.

- Ponieważ nie wiemy nic, musimy założyć, że zdarzyć się może wszystko.

- Okoliczności ogarnie panika - kontynuował Lönngren.

- Po raz pierwszy cieszę się, że mieszkam w mieście.

Grupa stojąca na drodze rozdzieliła się.

W tym samym momencie nadjechał Sten Robertsson.

Dziennikarz, który czekał za taśmą odgradzającą miejsce zbrodni, podszedł do niego, gdy tylko prokurator wysiadł z samochodu.

- Nie teraz!

- zawołała Vivi Sundberg.

- Musisz poczekać.

- Możesz powiedzieć cokolwiek, Vivi?

Zazwyczaj nie jesteś taka niemożliwa.

- Akurat teraz jestem.

Nie lubiła tego dziennikarza.

Pracował w gazecie "Hudiksvalls Tidning" i miał zwyczaj pisanie złośliwych artykułów na temat pracy organów ścigania.

Być może irytowało ją, że często jego krytyka była trafna.

Robertsson trząsł się z zimna w swojej za cienkiej kurtce.

Jest zaradca, przyszło na myśl Vivi Sundberg.

Nie nosi czapki, bo pewnie się boi, że ci, którzy ją noszą, naprawdę się ją szybciej.

34

- Opowiedz mi wszystko - powiedział.

-Nie.

Teraz pójdziesz za mną.

Po roztrzęsieniu tego poranka Vivi Sundberg była zmuszona obejść całe miejsce zbrodni.

Robertsson dwukrotnie musiał wyjść na zewnątrz, żeby opanować mdłości.

Czekała cierpliwie.

Ważne było, żeby uzmysłowił sobie, jakie śledztwo przyjdzie mu prowadzić.

Nie była pewna, czy poradzi sobie z tym zadaniem.

Równocześnie miała świadomość, że spośród wszystkich znanych jej prokuratorów on nadaje się najlepiej.

O ile wyższa instancja nie wyznaczy kogoś większym doświadczeniem.

Kiedy w końcu wyszli na drogę, zaproponowała, żeby usiedli w jej samochodzie.

Wyjeżdżając z komendy, zdążyła zabrać termos z kawą.

Robertsson był wstrząśnięty.

Jego obejmujące kubek z kawą dłonie drżały.

- Czy widziałas kiedyś coś podobnego?

- zapytał.

- Nikt z nas nie widział.

-Kto mógł to zrobić, jeśli nie szaleniec?

- Nie wiemy.

Musimy teraz zabezpieczyć ślady i starać się podejść do tego obiektywnie.

Poprosiłam techników, żeby postarali się o wsparcie, jeśli uznają je za konieczne.

To samodzielną lekarkę.

- Kim ona jest?

- Zastępczynią.

Zapewne to jej pierwsze miejsce zbrodni.

Już zadzwoniła po pomoc.

- A ty?

- Co masz na myśli?

- Czego ty potrzebujesz?

- W pierwszej kolejności informacji od ciebie, czy powinniśmy się skoncentrować na czymś szczególnym.

Potem musicywiście zareagować prokuratura krajowa.

55.

- Co to miałyby być?

To coś, na czym mamy się skoncentrować?

- Ty tu teraz dowodzisz, nie ja.

-Najważniejsze to znaleźć tego, kto to zrobił.

- Lub tych.

Nie możemy wykluczyć, że sprawców byłowięcej.

- Szaleńcy rzadko działają w porozumieniu z innymi.

-Nie możemy jednak tego wykluczyć.

- Czy możemy cokolwiek wykluczyć?

-Nie.

Nawet tego, że to się powtórzy.

Robertsson przytaknął.

Siedzieliw milczeniu.

Na drodzeimiędzy domami kręcili się ludzie.

Cojakiś czas błyskałyflesze aparatów fotograficznych.

Nad ciałem, które znaleziono w śniegu, wzniesiono namiot.

Na miejsce dotarli kolejnidziennikarzei fotografowie.

Pojawiła się też pierwsza ekipatelewizyjna.

- Chcę, żebyśwzięła udział w konferencji prasowej - poprosiła.

- Nie mogę wystąpić sama.

Musi się odbyć już dziś.

Późnym popołudniem.

- Rozmawiałaś z Ludde?

Tobias Ludwigbył szefem Komendy Rejonowej PolicjiwHudiksvall.

Był młody i nigdy wcześniej nie pracował jako policjant.

Studiował prawo, a potem od razu skończył specjalny kurs dla przyszłych szefów policji.

Ani Sten Robertsson, ani Vivi Sundberg go nie lubili.

Miał niewielkie wyobrażenie o tym, jak wygląda praca policji w terenie, i cały czas narzekał na wewnętrzną administrację.

- Jeszcze nie - odpowiedziała.

- Jedyne, o co nas poprosi,

to szczególnie staranne i prawidłowe wypełnienie wszystkich papierów.

- Nie jest aż taki zły - odparł Robertsson.

36

- Tylko jeszcze gorszy - mruknęła Vivi Sundberg.

- Ale zadzwonię do niego.

- Zrób to od razu!

Zadzwoniła na komendę w Hudiksvall, gdzie poinformowano ją, że Tobias Ludwig wyjechał służbowo do Sztokholmu.

Poprosiła, by skontaktował się z nią przez telefon komórkowy.

Oddzwonił po dwudziestu minutach.

Robertsson rozmawiał z właśnie przybyłymi technikami kryminalistyki z Gavle.

Vivi Sundberg stała na podwórzu jednego z domów z Tomem Hanssonem i Ninni.

Tom i Ninni zarzuciła sobie stare wojskowe płaszcze i obserwowali, co się dzieje

wokół.

Muszę zacząć od żyjących, pomyślała Vivi.

Z Julią nie da się porozmawiać, ona żyje we własnym, martwym świecie wewnętrznym.

Przynajmniej dla mnie jest on niedostępny.

Natomiast Tom i Ninni mogli być świadkami czegoś, o czym

sami nie wiedzą.

Była to jedna z nielicznych refleksji, które udało jej się dotychczas poczynić.

Sprawca, który decyduje się zaatakować całą wieś, musi postępować według jakiegoś planu, nawet jeśli jest szaleńcem.

Wyszła na drogę i rozejrzała się dokoła.

Spojrzała na zamrożone jezioro, las, widniejącą w oddali falistą linię gór.

Skąd on przybył?

, pomyślała.

Chyba mogę założyć, że nie była to kobieta.

Ale skądś przecież musiał lub musieli nadejść, a potem w jakimś kierunku odejść.

Akurat kiedy zamierzała wejść z powrotem przez furtkę, zatrzymał się przy niej samochód.

Był to patrol z psami, wezwany na miejsce zdarzenia.

- Tylko jeden?

- zapytała, nieukrywając irytacji.

37.

- Karpen jest chory - odparł siedzący w samochodzie policjant.

-Czy psypolicyjne mogą chorować?

- Najwyraźniej.

Chcesz, żebym zaczynał?

Co tu się właściwie stało?

Mówią o wielu zabitych.

- Pogadaj z Huddenem.

Potem sprawdź, czy psu uda się znaleźć jakiś trop.

Policjant chciał zapytać o coś jeszcze, ale Vivi Sundberg odwróciła się do niego plecami.

Nie powinnam tego robić,

pomyślała.

Akurat teraz powinnam mieć czas dla wszystkich.

Muszę ukryć swoje zdenerwowanie i irytację.

Nikt, ktosi zobaczy, nigdy o tym nie zapomni.

Wielu z pewnością ogarnie strach.

Weszła do domu, zabrawszy ze sobą Toma i Ninni.

Nie zdążyli nawet usiąść, gdy zadzwonił telefon.

- Słyszałem, że próbujecie znaleźć - powiedział Tobias Ludwig.

- Dobrze wiesz, że nie chcę, żeby przeszkadzano mi podczas posiedzeń w Komendzie Krajowej.

- Tym razem nic na to nie poradzę.

-Co się stało?

- Mamy wielu zabitych we wsi Hesjóvallen.

Pośpiesznie zdała relację z tego, co się wydarzyło.

Tobias Ludwig milczał.

Vivi Sundberg czekała.

- Brzmi to tak potwornie, że trudno mi wto uwierzyć.

-Mnie również.

Ale to prawda.

Musisz przyjechać.

- Rozumiem.

Wyjadę najszybciej, jak będę mógł.

Vivi spojrzała na zegarek.

- Musimy zorganizować konferencję prasową- powiedziała.

- Wyznamy ją na godzinę szóstą.

Do tego czasu powiem tylko, że doszło do zabójstwa.

Nie zdradzę jego rozmiarów.

Przyjedź najszybciej, jak się da.

Ale nie zabij się po drodze.

38

- Postaram się zdobyć jakiś pojazd uprzywilejowany.

-Raczej helikopter.

Rozmawiamy o dziewiętnastu zabitych, Tobias.

Rozłączyła się.

Tom i Ninni Hansson słyszeli każde wypowiedziane przez Vivi słowo.

Dostrzegła na ich twarzach wyraz szoku i zagubienia, które sama odczuwała.

Koszmar jakby narastał.

To, co ich otaczało, nie mogłoby być prawdziwe.

Usiadła na krześle, przepędziwszy śpiącego na nim kota.

- Wszyscy we wsi są martwi.

Życie tylko państwo i Julia.

Zabito nawet zwierzęta domowe.

Rozumiem, że to dla państwa szok.

Wszyscy jesteśmy w szoku.

Muszę jednak zadać parę pytań.

Proszę, żeby spróbował państwo odpowiedzieć możliwie najdokładniej.

Proszę też, żeby spróbowali państwo przypomnieć sobie rzeczy, o które nie zapytam.

Wszystko może okazać się ważne.

Czy to jasne?

Odpowiedziały jej przestraszone przytaknięcia.

Vivi Sundberg postanowiła ostrożnie przystąpić do zadawania pytań.

Zaczęła od poranka.

Kiedy się obudzili?

Czy słyszeli jakieś odgłosy?

Może w nocy?

Czy coś się wydarzyło?

Czy coś, cokolwiek, było nie tak jak zwykle?

Muszą spróbować sobie przypomnieć.

Wszystko może być ważne.

Odpowiadali nazmianę, jedno kontynuowało, kiedy drugie przestawało mówić.

Vivi Sundberg zauważyła, że naprawdę starają się jej pomóc.

Spróbowała cofnąć się w czasie.

To było jak powrót przez nieznany, zimowy krajobraz.

Czy coś szczególnego wydarzyło się wieczorem?

Nic.

"Wszystko było tak jak zwykle".

Słowa te powracały niemal w każdej odpowiedzi.

Przerwali rozmowę, kiedy wszedł Erik Hudden.

Chciał wiedzieć, co zrobić z dziennikarzami.

Przyjechało ich wię-

39.

cej i zaraz zamienią się w zdenerwowane i niecierpliwostado.

- Zaczekaj chwilę --odparła Vivi - zaraz wyjdę.

Powiedzim, że o szóstej w Hudiksvall będzie konferencja prasowa.

- Zdążymy?

-Musimy.

Hudden wyszedł.

Vivi Sundberg podjęła rozmowę.

Jeszcze jedenkrok wstecz, do poprzedniego dnia.

Tym razem odpowiedzi udzielała Nini.

- Wszystko wczoraj było tak jak zwykle - zaczęła.

- Byłam trochę przeziębiona, Tom cały dzień rąbał drewno.

- Rozmawiali państwo z którymś sąsiadów?

-Tom zamienił kilka słów z Hildą.

Ale o tym już mówiliśmy.

- Czy widzieli państwo kogoś z pozostałych?

-Raczej tak.

Padał śnieg.

Wtedy zawsze są na zewnątrz odśnieżają.

No tak, widziałam wielu z nich, ale nawet o tym nie pomyślałam.

- Czy widziała pani kogoś nowego?

Innego?

- Kto to miałby być?

-Ktoś, kto nie był stąd.

A może jakiś obcy samochód?

- Nie, nic takiego.

-A jakbyłdzień wcześniej?

- Mniej więcej tak samo.

Tu nadzieje się wiele.

- Nic nadzwyczajnego?

-Nic.

Vivi Sundberg wyjęła notes i ołówek.

- Teraz będzie coś trudnego.

Muszę poprosić państwa o imiona i nazwiska wszystkich sąsiadów.

Wyrwała kartkę z notesu i położyła ją na stole.

- Proszę naszkicować wieś.

Państwadom i domy pozostałych.

Potem nadamyim numery.

Państwa dom tonumer

40

jeden.

Chcę wiedzieć, jak się nazywali wszyscyw pozostałychdomach.

Kobieta wstała,przyniosła większy arkusz papieru i narysowała domy we wsi.

Vivi Sundberg spostrzegła, że Ninni(mawprawę wrysowaniu.

- Z czego państwo żyjecie?

- zapytała.

-Z rolnictwa?

Odpowiedź ją zaskoczyła.

- Mamy pakiet akcji.

Nie jest duży, ale dobrze o niego dbamy.

Kiedy jest wzrost na giełdzie, sprzedajemy, a kiedy spadek, kupujemy.

Jesteśmy daytraderami.

Vivi Sundberg przyszło na myśl, że chyba nic już nie powinno jej dziwić.

Dlaczego para hipisów mieszkających w wiosce w Anglii nie miałyby obracać akcjami?

- Poza tym dużo rozmawiamy - kontynuowała Ninni.

- Opowiadamy sobie nawzajem historie.

Dziś już ludzie tego nie robią.

Vivi Sundberg odniosła wrażenie, że rozmowa zaczyna wymykać się spod kontroli.

- Nazwiska - powiedziała.

- Jeśli się da, to i wiek.

Proszę się nie śpieszyć, żeby było dokładnie.

Ale bez przesady.

Patrzyła, jak oboje pochylają się nad kartką i mrucząc, zaczynają wpisywać nazwiska.

Uderzyła ją pewna myśl.

Wśród wszystkich możliwych wyjaśnień tej masakry mogło też znaleźć się to, że dokonał jej ktoś mieszkający w wiosce.

Po piętnastu minutach miała gotową listę w ręku.

Liczba zabitych się nie zgadzała.

Było o jednego za dużo.

Musiał być chłopiec.

Stała przy oknie i przeczytała nazwiska.

Wyglądało na to, że w wiosce mieszkały trzy rodziny.

Jedna grupa nosiła nazwisko Andersson, druga Andren, a dwie osoby nazywały się Magnusson.

Stojąc z listą w dłoni, pomyślała o wszystkich dzieciach i wnukach, które opuściły te miejsca, które za kilka godzin przeżyją szok na wieść

o tym, co się wydarzyło.

Będziemypotrzebowali pomocy,żeby powiadomić wszystkich, pomyślała.

To jest katastrofa,która dotknieo wiele więcej osób, niż jestem w stanie sobiewyobrazić.

Uświadomiła sobie, że zadanie to wdużej części przypadniejej samej.

Na tę myśl ogarnąją strach i poczucie bezsilności.

To, co się wydarzyło, byłotak potworne, że normalnieskonstruowany człowiek nie mógł tego zrozumieć ani sobie z tym poradzić.

W jej myślach przelatywały imiona zabitych,Elna, Sara, August, Herman, Hilda, Johannes, Erik, Gertrud, Yendela.

Próbowała odtworzyć w pamięci ichtwarze, ale obrazy były zamazane.

Nagle wpadła jej dogłowy pewna myśl.

Pomyślała oczymś,co wcześniej zupełnie przeoczyła.

Wyszła przed dom i zawołała Erika Huddena, który rozmawiał z jednym z nowoprzybyłych techników kryminalistyki.

- Erik, kim był człowiek, który to wszystko odkrył?

-Zadzwonił jakiś mężczyzna.

Potem zmarł.

Zderzył się z ciężarówką z meblami, którą prowadził bośniacki kierowca.

- Zderzył się zginął?

-Nie, zmarł nazwał, prawdopodobnie.

Zaraz po zderzeniu.

- Czy on mógł to zrobić?

-Nie pomyślałem o tym.

Jego samochód był załadowany sprzętem fotograficznym.

Wygląda na to, że był fotografem.

- Dowiedz się onim możliwie jak najwięcej.

Potem chyba urządzimy coś w rodzaju kwatery głównej w tym domu.

Musimy prześledzić wszystkie nazwiska i odszukać krewnych.

Co się stało z kierowcą tej ciężarówki z meblami?

42

- Dmuchał, ale był trzeźwy.

Ponieważ źle mówił po szwedzku, wzięliśmy go do Hudiksvall, zamiast przesłuchiwać na drodze.

Ale nic nie wskazywała ona to, żeby cokolwiek wiedział.

- To się jeszcze okaże.

Czyto nie w Bośni ostatnio wszyscy nawzajem się wyrzynali?

Erik Hudden odszedł.

Vivi właśnie miała wejść z powrotem do domu, gdy ujrzała biegnącego drogą policjanta.

Podeszła do furtki.

Od razu spostrzegła, że jest przestraszony.

- Znaleźliśmy nogę - wydyszał.

- Pies wywęszył ją w odległości około pięćdziesięciu metrów, wśród drzew.

Wskazał palcem skraj lasu.

Vivi Sundberg miała wrażenie, że mężczyzna nie chce powiedzieć nic więcej.

- To wszystko?

- Chyba będzie najlepiej, jeśli zobaczysz sama - odparł, po czym odwrócił się i zwymiotował.

Pośpieszyła w stronę lasu, nie tracąc czasu na zajmowanie się policjantem.

Dwukrotnie poślizgnęła się i upadła.

Kiedy dotarła na miejsce, zrozumiała, co go tak wzburzyło.

Noga była w wielu miejscach ogryziono kości.

Stopa jedzona w całości.

Spojrzała na Ytterstroma i policjanta z psem, który stalina znalazł ziskiem.

- Kanibal- powiedział Ytterstróm.

- Czy kogoś takiego właśnie szukamy?

Kogoś, komuszą przyjazd przeszkodziłw posiłku?

Coś spadło na dłoń Vivi.

Wzdrygnęła się, ale szybko sięzorientowała, że to tylko płatek śniegu, który natychmiaststopniał.

- Namiot - powiedziała.

- Ustawcie tu namiot.

Nie chcę,żebyktoś zniszczył ślady.

Zmrużyła oczy i pomyślała nagle o błękitnym morzuibiałych domach wspinającychsię po łagodnym zboczu.

43.

Wróciła do domu Hanssonów i usiadła w kuchni z listą nazwisk w dłoni.

Gdzieś musi być coś, czego jeszcze nie odkryłam, zastanawiała się.

Zaczęła powoli studiować nazwisko po nazwisku.

Czuła się zupełnie tak, jakby chodziła po polu minowym.

4

Vivi Sundberg miała wrażenie, że ogląda listę osób, które zginęły w katastrofie.

Gdyby rozbił się samolot lub zatonał statek, wywieszono by tablicę pamiętniającą ofiary.

Ale kto zniósłby pomnik tym, którzy w styczniową noc 2006 roku zostali zamordowani we wsi Hesjóvallen?

Odsunęła od siebie kartkę i spojrzała na swoje dłonie.

Nie był w stanie opanować ich drżenia.

Gdyby tylko był ktoś, komu mogłaby to wszystko przekazać, nie wahałaby się anichwili.

Chciała dobrze spełnić swoje obowiązki i może nawet zasłużyć na pochwałę.

Za nic jednak nie chciała być głównodowodzącą.

Zawsze uważała się za osobę żądną sławy, ale z pewnością nie pociągała ją władza.

Jednak akurat w tej chwili nie było nikogo, kto nadawałby się lepiej niż ona do kierowania śledztwem.

Umiała współpracować z prokuratorem Robertssonem.

Tobias Ludwig, który zaraz miał pojawić się we wsi, zapewne prosto z nieba, przyniesiony przez helikopter, nie mógł przejąć kierownictwa nad tego rodzaju dochodzeniem.

Był biurokratą liczącym pieniądze, nieznającym nadgodzin i wysyłającym podległych mu pracowników na bezsensowne szkolenia, które uczyły, jak nie brać sobie do serca obelg rzucanych przez ludzi na ulicy.

Wzdrygnęła się i przysunęła do siebie listę.

44

Erik August Andersson Yendela Andersson Hans-Evert Andersson Elsa Andersson Gertrud Andersson Viktoria Andersson Hans Andren Lars Andren Klara Andren Sam Andren Elna Andren Brita Andren August Andren Herman Andren Hilda Andren Johannes Andren Tora Magnusson Regina Magnusson

Osiemnaścienazwisk, trzy rodziny Wstała i przeszła dopokoju, wktórym Hanssonowie siedzieli na kanapie i szeptali do siebie.

Zamilkli, kiedy weszła.

- Powiedzieli państwo, że we wsinie było żadnych dzieci.

Zgadza się?

Obydwoje pokiwali twierdzącogłowami.

- Nie widzieli tupaństwo żadnych dzieci w ostatnichdniach?

-Czasem dzieciodwiedzające tu rodziców przywożą swojewłasne dzieci.

Ale tonie zdarza się zbytczęsto.

Vivizawahąta się chwilę.

- Niestety wśródzabitych jest mały chłopiec - powiedziała wreszcie.

45.

Wskazała na jeden z domów.

Kobietaspojrzałananiąwytrzeszczonymi ze zdziwienia oczami.

"_

- Czy on też został zamordowany?

- Tak, on też.

Jeśliżgadza się to, co państwo napisali, przebywałw domu Hansa-Everta i Elsy Anderssonów.

Czy napewnonie wiedzą państwo,kim był?

Spojrzeli na siebie, apotem przecząco pokręcili głowami.

Vivi Sundberg wstałai przeszła do kuchni.

Dziewiętnastaofiara nie miałanazwiska.

On tu nie pasuje, pomyślała.

Chłopiec, dwoje mieszkańców tego domu i dziecinniłaJulia, która zdawała sięnie mieć związku z całą tą katastrofą.

Pozostałych osiemnaście osób, które wczorajszego wieczorupołożyłysię do swoich łózek,teraz nie żyje.

Również chłopiec.

On jednak w jakiś sposób niepasuje.

Złożyła kartkę, schowała ją do kieszeni i wyszła.

Na ziemię spadały pojedyncze płatki śniegu.

Wokół panowała niemal zupełna cisza.

Słychać było tylko pojedynczedźwięki,trzaśnięcie drzwi, szcęk narzędzi.

Do Vivipodszedł ErikHudden.

Był bardzo blady.

Wszyscy byli bladzi.

- Gdzie jest lekarka?

- spytała Vivi.

- Przy nodze znalezionej w śniegu.

-Co o niej myślisz?

- Jest w szoku.

Na początku pobiegła do toalety.

Potem zaczęła płakać.

Ale w drodze jest kilku innych lekarzy.

Co zrobimy z dziennikarzami?

- Porozmawiam z nimi.

Wyjęła z kieszeni listę zabitych.

- Chłopiec nie ma nazwiska.

Musimy się dowiedzieć, kim był.

Zadbaj to, żeby lista została skserowana, ale nie rozdawaj jej.

- To niepojęte - powiedział Erik Hudden.

- Osiemnaście osób.

46

- Dziewiętnaście.

Chłopca nie ma na liście.

Wyjęła z kieszeni długopis i podpisała na samym dole: "niezidentyfikowany chłopiec".

Podeszła do zamarzniętych i zaintrygowanych dziennikarzy,

którzy stali półkolem nad drodze.

- Udzielę krótkiej informacji - zakomunikowała.

- Mogą państwo zadawać pytania, ale na razie jeszcze nie mamy odpowiedzi.

Za to dziś popołudniu zorganizujemy w mieście konferencję prasową.

Wstępnie ustalona godzina to 18.

00. Jedyne, co mogę teraz powiedzieć, to to, że dziś w noc popełniono tu bardzo poważne przestępstwo.

Na razie musito państwu wystarczyć.

Młoda piegowata dziewczyna podniosła rękę.

- Musi nam panipowiedzieć coś więcej.

Domyślam się przecież, że wydarzyło się tu coś poważnego, skoro ogradzacie całą wieś.

Vivi Sundberg nie rozpoznawała dziewczyny, najej kurtce widniało jednak logo dużej ogólnokrajowej gazety.

- Nieważne, ile pytań mi pani teraz zada.

Z uwagi na tajemnicę śledztwanie mogę na razie powiedzieć nic więcej.

Jeden z dziennikarzy telewizyjnych podetknął Vivi mikrofon.

Jej spotkała wcześniej kilka razy.

- Czy może pani powtórzyć to, co właśnie powiedziała?

Spełniła jego prośbę, ale kiedy zadał dodatkowe pytanie, odwróciła się i odeszła.

Zatrzymała się dopiero przy najpóźniej postawionym namiocie.

Nagle ogarnęły ją straszne mdłości.

Odeszła na bok i zrobiła kilka głębokich wdechów.

Wróciła do namiotu dopiero, gdy poczuła się lepiej.

Kiedyś, w pierwszych latach pracy w policji, zdarzyło jej się zemdleć, gdy wraz z kolegą weszli do pewnego domu i znaleźli w nim mężczyznę, który się powiesił.

Nie chciała, żeby coś takiego kiedykolwiek się powtórzyło.

Kiedy Vivi weszła do namiotu, kobieta kucająca nad nogą martwego mężczyzny podniosła wzrok.

Silna żarówka sprawiała, że wewnątrz było bardzo ciepło.

Vivi Sundberg skinęła głową na powitanie i przedstawiła się.

Valentina Miir, kobieta czterdziestce, mówiła z obcym akcentem.

- Co pani o tym sądzi?

- Nigdy nie widziałam czegoś podobnego - odparła lekarka.

- Czasem zdarzają się oderwane lub odcięte części ciała, ale to tutaj.

- Czy ktoś naprawdę próbował jeść tę nogę?

- Najprawdopodobniej było to zwierzę.

Ale są na niej również ślady, które mnie niepokoją.

- Co ma pani na myśli?

- Zwierzęta gryzą i jedzą w szczególny sposób.

Można niemal jednoznacznie określić, jakie to było zwierzę.

Podejrzewam, że to wilk.

Jest tu jednak pewna rzecz, którą powinni pani zobaczyć.

Sięgnęła po przezroczystą plastikową torebkę.

Był w niej skórzany but.

- Prawdopodobnie był włożony na stopę - powiedziała.

- Zastanawia mnie jednak, że sznurówki są rozwiązane.

Vivi Sundberg przypomniała sobie, że na drugiej stopie zabitym miał zawiązany but.

Przebiegła w myślach listę nazwiskami ofiar.

Jeśli wszystko się na niej zgadzało, mężczyzną z odciętą lub odrąbaną nogą był Lars Andren.

- Czy może pani powiedzieć coś jeszcze?

- Jestna toza wcześniej.

- Chciałabym, żeby poszła panie mną w pewne miejsce.

Oczywiście nie miesza mi się w to, jak organizuje pani swoją pracę, ale potrzebuję pani pomocy.

48

Opuścili namiot i udali się w kierunku domu, w którym znaleziono martwego chłopca wraz z dwójkiem zabitych, najprawdopodobniej Hansem-Evertem i Elszą Anderssonami.

Wewnątrz panowała przejmująca cisza.

Chłopiec leżał na brzuchu w łóżku, w małym pokoiku na poddaszu.

Jego życie, które za ledwie się rozpoczęło, skończyło się między jednym, a drugim oddechem.

Vivi Sundberg mocno zacisnęła zęby, żeby się nie rozplakać.

Stali w milczeniu.

- Niepojmuję, jak ktoś mógł zrobić coś tak potwornego małemu dziecku - odezwała się w końcu Valentina Miir.

- Właśnie dlatego że tego nie rozumiemy, musimy zdobyć się na wysiłek, żeby przez to przebrnąć.

Musimy wyjaśnić, co tu się wydarzyło.

Lekarka milczała.

W tym momencie Vivi Sundberg wpadła do głowy pewna niejasna myśl.

Chodzi o schemat, pomyślała.

Coś tu się nie zgadza.

Nagle zrozumiała, co zwróciło jej uwagę.

- Czy może pani powiedzieć, ile ciosów mu zadano?

Lekarka pochyliła się nad ciałem chłopca i oświetliła je nocną lampką.

Minęło kilka minut, zanim odpowiedziała.

- Wygląda na to, że zadano mu tylko jeden cios.

Był śmiertelny.

- Czy da się powiedzieć więcej?

- Nie zdążył nic poczuć.

Cios przeciął mu kręgosłup.

- Zdążyła pani przyrzeć się pozostałym ciałom?

- Stwierdziłam tylko, że nie żyją.

Chcę z badaniem zwłok zjechać na moich kolegów.

- Czy może pani jednak ocenić już teraz, że pozostali też ginęli od jednego ciosu?

49.

Początkowo Valentina Miir zdawała się nie rozumieć pytania.

Potem przebiegła w pamięci to, co dotychczas zobaczyła.

- Przeciwnie - odparła wreszcie.

- O ile się nie mylę, pozostali zginęli od większej liczby ciosów.

- Z których niewszystkie były śmiertelne?

-Zawczasie, żeby odpowiedzieć na to pytanie, ale możliwe, że ma pani rację.

- Bardzo pani dziękuję.

Lekarka wyszła.

Kiedy Vivi Sundberg została sama, przeszukała pokój i ubrania chłopca, mając nadzieję, że znajdzie coś, co pomoże go zidentyfikować.

Nie znalazła niczego, nawet karty na przejazd autobusem.

Zeszła na dół, a potem na podwórze.

Ponieważ potrzebowała chwili spokoju, wyszła za dom, skąd widać było skute lodem jezioro.

Chciała przeanalizować i zrozumieć to, co odkryła.

Chłopiec zginął od jednego ciosu, nad pozostałymi ofiarami się pastwiono.

Co to mogło oznaczać?

Nasuwało jej się na myśl tylko jedno rozsądne, ale zarazem przerażające wytłumaczenie.

Ten, kto zabił chłopca, nie chciał, żeby przed śmiercią cierpieł.

Wobec reszty ofiar był okrutny, o ile ich wręcz nietortuował.

Stała i spoglądała na zamglone, rozciągające się jezioro i góry.

Chciała dać im cierpienie, pomyślała.

Ten, kto trzymał miecz lub nóż, chciał, żeby jego ofiary wiedziały, że umierają.

Dlaczego?

Nie miała pojęcia.

Wyrwał ją zamyślenie szybko narastający hałas.

Wróciła napodwórze przed domem.

Helikopter obniżył lot nad linią lasu, po czym w chmurze śniegu wylądował na otwartej przestrzeni.

Tobias Ludwig wyskoczył z kabiny, a maszyna natychmiast uniosła się obrałakurs na południe.

50

Vivi Sundberg wyszła munaprzeciw.

Tobias Ludwig miałniskie buty i brodził w sięgającym mu ponad kostki śniegu.

Vivi przyszło na myśl, że z daleka wygląda jak owad, który utknął w śniegu i rozpaczliwie trzepocze skrzydłami.

Spotkali się na drodze.

Ludwig otrzepywał się.

- Staram się zrozumieć - powiedział.

- Zrozumiećto, co powiedziałaś przez telefon.

- W domach, które tu widzisz, są ciała wielu zabitych.

Chcę, żebyś je zobaczył.

Jesttu Sten Robertsson.

Wezwałamtu tylu ludzi, ilu zdołałam.

Teraz twoja kolej, żeby przejąć obowiązki i zdobyć dla nas pomoc, której potrzebujemy.

- Wciąż nie rozumiem.

Wielu zabitych?

Sami starzy

ludzie?

- Jest mały chłopiec, który nie pasuje do schematu.

Również został zabity.

Po raz czwarty tego poranka przeszła przez wszystkie domy.

Idącyu jej boku Tobias Ludwig pojękiwał z przerażenia.

Skończyli oglądanie zwłok przy namiocie ustawionym nad znaną w śniegu nogą.

Lekarki w nim nie było.

Tobias Ludwig bezradnie pokręcił głową.

- Co tu się wydarzyło?

Musiałto zrobić jakiś szaleniec!

- Nie wiemy, czy sprawca był jeden, czy wielu.

- Wielu szaleńców?

- Nie wiadomo.

Spojrzał na nią uważnie.

- Czy w ogóle cokolwiek wiemy?

- Właściwie nic.

- To nas przerasta.

Musimy wezwać pomoc.

- To będzie twoje zadanie.

Poza tym poinformowałam dziennikarzy, że o szóstej zorganizujemy konferencję prasową.

- Co mamy im niby powiedzieć?

51.

To zależy od tego, ilu krewnych ofiar udało nam się dotychczas znaleźć.

Toteż będzie twoje zadanie.

- Szukanie krewnych?

Erik ma listę nazwisk.

Zacznij od zorganizowania pracy.

Wezwij ludzi, którym nie przydzielono jeszcze zadań.

To ty jesteś szefem.

Drogą nadszedł Robertsson.

-- To jakiś potworny koszmar - powiedział Tobias Ludwig.

- Czy w Szwecji kiedykolwiek zdarzyło się coś podobnego?

Robertsson przecząco pokręcił głową.

Vivi Sundberg przyglądała się obu mężczyznom.

Ogarniało ją coraz silniejsze poczucie, że czas nagli.

Lęk, że wydarzy się coś jeszcze gorszego, jeśli będą zwlekać.

Zacznij od nazwisk - powtórzyła.

- Naprawdę potrzebuję twojej pomocy.

Wzięła Robertssona pod rękę i poprowadziła drogą.

-- Co o tym sądzisz?

- Sądzę, że się boję.

Ty nie?

Nie mam czasu o tym myśleć.

Sten Robertsson spojrzał na nią, mrużąc oczy.

- Ale coś myślisz?

Zawsze coś ci przychodzi do głowy.

- Nie tym razem.

Równie dobrze sprawców mogło być dziesięciu, a my nie potrafimy powiedzieć nic, ani potwierdzić, ani zaprzeczyć.

Staramy się patrzeć na to obiektywnie.

kusisz wzięć udział w konferencji prasowej.

- Nie znoszę rozmów z dziennikarzami.

Nic na to nie poradzę.

Robertsson odszedł.

Vivi właśnie miała podejść do swojego samochodu i usiąść w nim, kiedy zauważyła machającego do niej Erika Huddena.

Szedł w jej kierunku, niosąc coś w dłoni.

Znalazła narzędzie zbrodni, pomyślała.

To była

52

by najlepszą rzeczą, jaką mogłaby nam się teraz przytrafić.

No, chyba że uda nam się schwytać sprawcę.

Jednak Erik Hudden nie miał w ręce narzędzia zbrodni.

Podał jej plastikową torebkę.

Znajdowała się w niej cienka jedwabna czerwona wstążka.

- Pies wytropił to w lesie.

Około trzydziestu metrów od nogi.

- Są tam jakieś ślady?

- Właśnie badają to miejsce.

Ale pies znalazł tę wstążkę.

Nie chciał tropić dalej, w głębi lasu.

Wzięła torebkę i z wstążką przyjrzała się jej z bliska, zakrywając dłonią jedno oko.

- Jestcienka -stwierdziła.

- Wygląda jak z jedwabiu.

Nieznaleźliścienic więcej?

- Tylko to.

Było ją widać w śniegu.

Zwrócićtorebkę.

- No to już wiemy - oznajmiła.

- Na konferencji prasowej poinformujemy całyświat, że mamy dziewiętnaściorozabitych i ślad w postaci czerwonej jedwabnej wstążki.

- Może uda nam się znaleźć coś jeszcze.

-Znajdźcie.

A najlepiej złapcie człowieka, który to zrobił.

Albo raczej potwora.

Kiedy Erik Hudden odszedł, usiadła w samochodzie, żebyprzez chwilę побыć sama i pomyśleć.

Obserwowała przezprzedniąszybę, jakkilka kobiet z opieki społecznej prowadziJulię.

Jest szczęśliwie niczego nieświadoma, pomyślała.

Julianigdy się nie dowie, co się wydarzyło w sąsiednich domachtej styczniowej nocy.

Zamknęła oczy izaczęła przewijać w pamięci listę z nazwiskami ofiar.

Wciąż nie mogła dopasować ich do twarzy, którewidziała już cztery razy.

Gdzie to wszystko się zaczyna?

,myślała.

Któryś dom musiał być pierwszy, a któryśostatni.

Sprawca, niezależnie od tego, czy działał sam, czy w grupie, musiał wiedzieć, co robi.

Nie wybrał domów nachybił trafił.

Nie próbował wdrzeć się do Hanssonów ani do dziecińskiej staruszki.

Ich domy pozostawił w spokoju.

Otworzyła oczy i spojrzała przez przednią szybę.

To było zaplanowane, pomyślała.

Musiał tak być.

Ale czyszczenie może przygotować się do takiej zbrodni?

Czy to się trzyma kupy?

Wiedziała, że człowiek niespełna rozumu może działać niezwykle racjonalnie.

Miała pod tym względem pewne doświadczenie.

Przypomniała sobie pewnego szaleńca, który wyciągnął broń w budynku sądu w Söderhamn i zastrzelił kilka osób, w tym sędziego.

Kiedy policja po jakimś czasie dotarła do jego domu w lesie, były w nim założone ładunki wybuchowe.

Był szaleńcem ze szczegółowo opracowanym planem.

Wylała do kubka reszkę kawy z termosu.

Motywy, pomyślała.

Nawet człowiek chory psychicznie musi mieć motyw.

Może wewnętrzne głosy namawiają go do zabicia wszystkich, którzy stanęli na jego drodze?

Ale czy głosy mogły zaprowadzić go do Hesjövallen?

A jeśli tak, dlaczego?

Jaką rolę w tym dramacie odegrał przypadek?

Ta myśl zawiodła ją z powrotem do punktu wyjścia.

Niewszyscy we wsi zostali zamordowani.

Morderca oszczędził trzy osoby, mimo że mógł zabić również je, gdyby tylko chciał.

Zabił zato chłopca, który chyba byłw tej przeklętejwsi z przypadkową wizytą.

Chłopiec może być kluczem,pomyślała.

Nie mieszka tu,ajednak ginie.

Dwie osoby,które żyją tu od dwudziestu lat,uchodzą cało.

Zdałasobie sprawę, że sformułowała pytanie, na którenatychmiast musi uzyskać odpowiedź.

Było to coś, co powie54

działErik Hudden.

Czy dobrze zapamiętała?

Jakie nazwisko

nosi Julia?

Dom staruszki był otwarty.

Weszła do środka i zaczęła czytać papiery, które Erik Hudden znalazł na stolew kuchni.

Odpowiedź na pytanie, które sobie zadała,sprawiła, że serceVivi zaczęło szybciej bić.

Usiadła,żeby spróbować zebrać

myśli.

To, co odkryła, było nieprawdopodobne, mogło się jednak zgadzać.

Wystukała numer Erika Huddena.

Odebrał

natychmiast.

- Siedzę w kuchni Julii.

Tej w szlafroku,która stała na

drodze.

Przyjdź tu.

- Zaraz będę.

Erik Hudden usiadł naprzeciwniej przy stole,po czymnatychmiast zerwał się z krzesła i spojrzął na nie.

Vivi Sundberg patrzyła na niego zdziwiona.

- Mocz - powiedział.

- Starsza pani musiała się posikać.

Cochciałaśmi powiedzieć?

- Coś, co mi przyszło do głowy.

Pomysł wydaje się niedorzeczny, ale jest w jakiś sposób logiczny.

Wyłączmy telefony,

żeby nam nie przeszkadzali.

Odłożył komórki na stół.

Zupełnie, jakbyśmy odkładali

broń, pomyślała Vivi Sundberg.

- Spróbuję streścić coś, czego właściwie nie da się w żaden sposób streścić.

Wyczuwam jednak pewną dziwną logikę tym, co tu się wydarzyło dziś w nocy.

Chcę, żebyś mnie wysłuchał, a potem powiedz mi, czy twoim zdaniem się mylę.

Albo czego w mojej teorii brakuje.

Zapukano do frontowych drzwi.

Do kuchni wszedł nowoprzybyły technik kryminalistyki.

"- Gdzie są zabici?

Nie w tym domu.

„. 55.

Mężczyzna wyszedł.

- Chodzi o nazwiska - zaczęła Vivi.

- Wciążnie wiemy, jak nazywał się chłopiec.

Ale jeśli się nie mylę, był spokrewniony z rodziną Anderssonów, która mieszkała i zginęła w tym samym domu.

Kluczem do wszystkiego, co wydarzyło się tej nocy, są nazwiska.

Pokrewieństwo.

Wygląda na to, że prawie wszyscy w tej wsi nazywali się Andersson, Andreni Magnusson.

Natomiast mieszkająca w tym domu Julia nosi nazwisko Holmgren.

Tak jest napisane w papierach z opieki społecznej.

Julia Holmgren.

Ona żyje.

Poza nią mamy Tom i Ninni Hanssonów.

Oni też żyją i mają inne nazwisko.

Można by z tego wyciągnąć wniosek.

- Że ten, kto to zrobił, z jakichś przyczyn wziął się na ludzi o tych samych nazwiskach - podjął Hudden.

- Pójdźmy o krok dalej!

To mała wieś.

Ludzie pewnie wiele się przemieszczali.

Niektóre z rodzin z pewnością połączyły więzy małżeńskie.

Nie mam tu na myśli kazi rodztwa.

Chodzi mi o to, że w rzeczywistości może chodzić nie o trzy, ale o dwie rodziny.

Albo nawet jedną.

To by oznaczało, że wiemy, co ocalało życie Julii Holmgren i Hanssonom.

Vivi umilkła i czekała na reakcję Huddena.

Nigdy nie uważała go za szczególnie inteligentnego, ale ceniła jego intuicję, która często pomagała mu obierać właściwy trop.

- Jeśli to prawda, oznacza to, że sprawca musiał znać tych ludzi bardzo dobrze.

Kto to mógł być?

- Może krewny?

Ale tak czy owakszaleniec.

- Szalony krewny?

Dlaczego miałby coś takiego zrobić?

- Tego nie wiemy.

Staram się tylko zrozumieć, dlaczego nikt z mieszkańców wioski nie został zabity.

- A jak wytłumaczysz odrąbaną i wywleczoną pod las nogę?

56

- Nie umiem tego wytłumaczyć.

Ale potrzebuję jakiejś małej cegiełki, żeby móc zacząć.

Mój pomysł i czerwona jedwabna wstążka to wszystko, co mamy.

- Mam nadzieję, że rozumiesz, co się będzie działo?

- Że zaatakują nas media?

Hudden potwierdził skinieniem głowy.

- Za to odpowiada Tobias.

- Wypchnie cię przed siebie.

- Wtedy ja wypchnę ciebie.

- Możesz tym zapomnieć!

Wstali od stołu.

- Chciałabym, żebyś pojechał do miasta.

Tobias ma zacząć przydzielać ludziom zadanie szukania krewnych ofiar.

Proszę, żeby rzeczywiście zostało to zrobione.

I żeby szukał powiązań między tymi trzema rodzinami.

Ale niech to narazie zostanie między nami.

Erik Hudden wyszedł.

Vivi Sundberg podeszła do zlewki i nalała sobie szklankę wody.

Ciekawe, ile warta jest moja teoria, zastanawiała się.

W tej chwili właściwie tyle samo, ile każda inna.

Tego samego popołudnia, tuż przed osiemną, kilku policjantów zebrało się w biurze Tobiasa Ludwiga, żeby się naradzić, co powiedzieć na konferencji prasowej.

Lista z nazwiskami zabitych nie miała zostać udostępniona.

Dziennikarze mieli być poinformowani o liczbie ofiar, mieli się też dowiedzieć, że na razie policjanie wpadła na żaden trop.

Wszelkie doniesienia ewentualnych świadków są cenne i bardzo pożądane.

Tobias Ludwig miał rozpocząć konferencję, a później oddać głos Vivi Sundberg.

Przed wejściem do sali, w której tłoczyli się dziennikarze, zamknęła się w toalecie.

Wpatrywała się w swoje odbicie w lustrze.

Chciałaby się obudzić, pomyślała.

I żeby to wszystko zniknęło.

Pochwili wyszła, na korytarzu kilka razy uderzyła pięścią w ścianę, po czym wkroczyła do zatłoczonego i dusznego pokoju.

Weszła na niewielkie podium i usiadła obok Tobiasza Ludwiga.

Spojrzał na nią.

Kiwnęła głową na znak, żeby rozpoczął.

Sędzia

5

Ćma wyłoniła się z ciemności nerwowo trzepocząc skrzydłami, latała wokół lampki na biurku.

Birgitta Roślin odłożyła ołówki i odchyliła się w krześle, obserwując jej daremne próby przedostania się do wnętrza porcelanowego abażuru.

Odgłos skrzydeł przypominał jej coś z dzieciństwa, ale nie była pewna, co to było.

Jej pamięć mocno reagowała na tego typu bodźce, kiedy Birgitta była zmęczona.

Tak jak teraz.

W ten sam sposób delikatne wspomnienia mogą pojawiać się nagle we śnie.

Jak ćma.

Zamknęła oczy i opuszkami zaczęła masować skronie.

Zegar wskazywał kilka minut po północy.

Już dwa razy słyszała strażników kontrolujących budynek sądu.

Ich kroki odbijały się echem w pustych pomieszczeniach.

Lubiła pracować wieczorami, kiedy gmach pustoszał.

Wiele lat temu, kiedy pracowała jako asesor w Varnamo, często wchodziła wieczorem do sali sądowej, zapalała kilka lamp i wsłuchiwała się w ciszę.

Wyobrażała sobie, że miejsce to jest pustą sceną w teatrze.

Były tam ślady na ścianach, szepty, wciąż żywe w wszystkich dramatycznych rozprawach, które się w tym pomieszczeniu rozegrały.

Skazywano tu zabójców, złodziei i innych przestępców, a całe rzesze mężczyzn wyłgiwały się

od odpowiedzialności w beznadziejnym, niekończącym się ciągu spraw o ustalenie ojcostwa.

Niektórzy z nich zostali niewinnie odzyskali dobre imię.

Kiedy Birgitta starała się o etat w sądzie i otrzymała ofertę asesury w Varnamo, chciała zostać prokuratorem.

Jednak to właśnie w czasie tej pracy zmieniła plany i obrała ścieżkę swojej dalszej kariery.

Na jej decyzję w dużym stopniu wpłynął prezes tamtejszego sądu, Anker, który był dla niej ogromnym autorytetem.

Z taką samą cierpliwością wysłuchiwał wszystkich młodych mężczyzn, którzy za pomocą czywistych kłamstw próbowali wykipić się od ojcostwa, jak pozbawionych skrupułów przestępców, nie żałujących żadnego ze swoich brutalnych czynów.

Było zupełnie tak, jakby dopiero ten stary sędzia wpoił jej szacunek dla sądownictwa, który wcześniej wydawał jej się czymśoczywistym.

Dzięki niemu mogła go doświadczyć, nie tylko w słowach, lecz także i w praktyce.

Sprawiedliwość była działaniem.

Kiedy opuszczała miasto, podjęła już decyzję o zostaniu sędzią.

Podniosła się z krzesła i podeszła do okna.

Na ulicy sikał pod ścianą jakiś mężczyzna.

W ciągu dnia w Helsingborg upadał śnieg.

Cienka warstwa drobnego jak puder białego puchu wirowała teraz na ulicy.

Kiedy nieświadomie przyglądała się mężczyźnie, jej myśli skupione były na wyroku, który musiała napisać.

Przełożyła to na następny dzień.

Jutro wyrok musi być gotowy.

Po chwili mężczyzna sobie poszedł.

Birgitta Roślin wróciła do biurka i wzięła do ręki ołówki.

Wiele razy próbowała pisać wyrok na komputerze, nigdy jej się to jednak nie udało.

Czuła się tak, jakby klawiatura odrywała ją od ułożonych w głowie myśli.

Za każdym razem wracała do ołówka.

Dopiero wówczas wyrok był gotowy i wszystkie poprawki

60

naniesione, przepisywała jej treść na szumiący ekran.

Gdy monitor był wygaszony, pływały po nim ryby.

Pochyliła się nad pokreśloną, pełną dopisków kartką.

Była to prosta sprawa z przekonującymi dowodami, a jednak wyrok sprawiał Birgittie Roślin ogromny kłopot.

Chciała wydać wyrok skazujący, ale nie mogła.

Pewien mężczyzna i pewna kobieta spotkali się w jednym z lokali tanecznych w Helsingborgu.

Kobieta była młoda, miała niewiele ponad dwadzieścia lat i za dużo wypijała.

Mężczyzna, po czterdziestce, obiecał odprowadzić ją do domu i został zaproszony do jej mieszkania, żeby wypić szklankę wody.

Kobieta zasnęła na sofie.

Wówczas mężczyzna zgwałcił ją i odszedł.

Następnego dnia rano kobieta jak przez mgłę pamiętała to, co wydarzyło się zeszłej nocy.

Zgłosiła się do szpitala, została zbadana i uzyskała obdukcję.

Mężczyzna został oskarżony po przeprowadzeniu dochodzenia, które nie było ani dogłębne, ani staranne, tak samo zresztą jak wszystkie inne podobne postępowania.

Rozprawa miała miejsce rok po zdarzeniu.

Birgitta Roślin siedziała na swoim krześle sędziowskim i przyglądała się młodej kobiecie.

W aktach postępowania przygotowanego wczęście wyczytała, że zarabiała ona na życie jako kasjerka, pracująca na zastępstwo w różnych sklepach spożywczych.

Z wypowiedzi jednego z świadków wynikało, że nadużywała alkoholu.

Poza tym dopuszczała się drobnych kradzieży i z tego powodu musiała opuścić jedno miejsce pracy.

Oskarżony pod wieloma względami stanowił jej przeciwieństwo.

Był agentem nieruchomości i specjalizował się w sprzedaży lokali przeznaczonych na sklepy.

Cieszył się dobrą opinią.

Nie był żonaty, miał wysoki dochód.

Nienotowany.

Jednak Birgitta Roslin miała wrażenie, że przejrzała go na wskroś, gdy siedział na sali w drogim, starannie

61.

Wyprasowanym garniturze.

Nie miała żadnych wątpliwości, że zgwałcił młodą kasjerkę, kiedy ta zasnęła na sofie.

Wyniki testów DNA wykazały, że doszło między nimi do stosunku.

Nie przyznawał się jednak do użycia przemocy.

Kobieta świadomie brała w tym udział - tak twierdził on i jego adwokat z Malmö, którego Birgitta Roölin znała z wcześniejszych zbrodni.

Bez najmniejszego wahania bronił swoich klientów, uciekając się nawet do najbardziej cynicznych argumentów, jakie przychodziły mu do głowy.

Znalazła się w ślepych zaułku.

Miała przed sobą słowo przeciwko słowu.

Świadek wienaganego agenta nieruchomości przeciwko zeznaniom kasjerki, która - nie dało się ukryć - pijana zaciągnęła go do swojego mieszkania w środku nocy.

Była zła, że nie może go skazać.

O ile zawsze broniła swojej podstawowej zasady, że w niejasnych sprawach należało raczej uniewinniać oskarżonych niż ich skazywać, o tyle w tym wypadku była przekonana, że winny uniknie kary za jedną z najgorszych krzywd, jaką człowiek może wyrządzić drugiemu człowiekowi.

Nie istniał żaden paragraf, na który mogłaby się powołać, żaden inny sposób interpretacji mowy końcowej prokuratora niż ten, że oskarżony musi zostać uniewinniony.

Co na jej miejscu zrobiłby mądry Anker?

Jakich rad by jej udzielił?

Na pewno zgodziłby się ze mną, pomyślała.

Winny przestępstwa mężczyzna uniknie kary.

Stary Anker byłby tak samo wzburzony jak ja.

I tak samo by milczał.

Największe utrapienie każdego sędziego to konieczność przestrzegania prawa nawet w sytuacji, gdy wie, że winny zbrodni przestępca wychodzi na wolność, nie ponosząc żadnej kary.

Młoda kasjerka, która pewnie nie była niewiniątkiem, dokońca życia będzie musiała walczyć z poczuciem niesprawiedliwości.

Birgitta Roslin wstała z krzesła i położyła się na stojącej w gabinecie kanapie.

Kupiła ją za własne pieniądze i postawiła w miejscu niewygodnego fotela, który oferowała Szwedzka Administracja Sądowa.

Wzięła do ręki pęk kluczy i zamknęła oczy.

Nauczyła się tego od Ankera.

Jeśli klucze wypadną jej z dłoni i spadną na ziemię, będzie to znak, że czas się obudzić.

Musiła chwilę odpocząć.

Potem skończy pisać wyrok, pójdzie do domu i położy się spać, następnego dnia przepisze go na czysto.

Przeanalizowała wszystkie możliwe rozwiązania, jakie przyszyły jej do głowy, i nie mogła zrobić nic innego, niż uniewinnić oskarżonego mężczyznę.

Zasnęła i śniła o swoim ojcu, o którym nie miała żadnych własnych wspomnień.

Pracowała na statkach jako maszynista.

Podczas silnego sztormu w połowie stycznia 1949 roku parowiec "Runskar" poszedł na dno wraz z całą załogą w Zatoce Botnickiej, u wybrzeży Gavle.

Ciała ojca nigdy nie odnaleziono.

Birgitta miała wówczas cztery miesiące.

Obraz ojca, jaki zachowała w pamięci, pochodził z fotografii, które znajdowały się w jej domu.

Przed wszystkim tej, na której ojciec stoi przy relingu, ma rozwiane włosy i podwinięte rękawy koszuli.

Uśmiecha się do kogoś stojącego na nabrzeżu - do sternika, który zrobiło zdjęcie - tak mówiła jej matka.

Jednak Birgitta zawsze wyobrażała sobie, że ona ją patrzy do niej się uśmiecha, pomimo że zdjęcie zrobiono, zanim się urodziła.

Ojciec wracał do niej w snach.

Teraz uśmiechały się, zupełnie jak na fotografii.

Po chwili jednak jego obraz zniknął, jakby zasnuła go szybko nadciągająca mgła.

Przebudziła się raptownie i od razu się zorientowała, że spała o wiele za długo.

Sztuczka z pękem kluczy nie zadziałała.

Nie usłyszała, kiedy wypadł jej z dłoni.

Usiadła nakanapie i spojrzała na zegarek.

Było poszóstej rano.

Spała Ponad pięć godzin.

Jestem przemęczona, pomyślała.

Tak

63.

jak większość ludzi śpię za mało.

Zbyt wiele spraw w moim życiu mnie niepokoi.

W tym momencie to niesprawiedliwy wyrok sprawił, że jestem niezadowolona i przybita.

Zadzwoniła do męża, który z pewnością zaczął się zastanawiać, gdzie ona się podziewa.

Zdarzało się czasem, że nocowała w swoim gabinecie po domowej kłótni.

Tym razem jednak nic takiego się nie zdarzyło.

Odebrał po pierwszym sygnale.

- Gdzie jesteś?

- Zasnęłam w gabinecie.

- Dlaczego musisz siedzieć tam po nocach?

- Miałam do napisania bardzo trudny wyrok.

- Mówiłaś chyba, że musisz uniewinnić tego człowieka?

- I właśnie dlatego to takie trudne.

- Przyjedź do domu i połóż się.

Muszę zaraz wyjść.

Śpieszę się.

- Kiedy wracasz?

- Około dziewiątej.

O ile nie będzie żadnego opóźnienia.

W Hallandma padać śnieg.

Odłożyła słuchawkę i nagle pomyślała o swoim mężu z wielką czułością.

Spotkali się, gdyby dwójce byli bardzo młodzi i studiowali prawo w Lund.

Staffan Roślin był rok wyżej.

Poznalisię na przyjęciu u wspólnych znajomych.

Potem już Birgitta nigdy nie mogła wyobrazić sobie życia z innym mężczyzną.

Była podurokiem jego oczu, jego wysokiego wzrostu, dużych dłoni i tego, że bezradnie się czerwienił.

Staffan był adwokatem.

Pewnego dnia jednak przyszedł do domu i oznajmił, że już niedaje rady ich ce rozpoznać w życiu.

Nie spodziewała się tego i stała zaskoczona, ponieważ nigdy nie dał jej do zrozumienia, że do swojego biura w Malmö, gdzie wówczas mieszkali, z każdym dniem idzie coraz większym krokiem.

Następnego dnia, ku jeszcze większemu

64

jej zdziwieniu, rozpoczął kurs dla konduktorów, aż w końcu pewnego ranka stanął przed nią w niebiesko-czerwonym uniformie i zakomunikował, że ogodzi.

12.19 tego samego dnia przejmuje odpowiedzialność za pociąg z Malmö do Alvesty, a potem do Vaxjö i Kalmaru.

Wkrótce Birgitta spostrzegła, że jej mąż stał się szczęśliwszym człowiekiem.

Kiedy zdecydował się skończyć z zawodem adwokata, mieli już czwórkę dzieci.

Najpierw urodził się syn, potem córka, a potem bliźniaczki.

Dzieci pojawiały się w tak wielkich odstępach czasu, że teraz, po latach, myślała o tym ze zdziwieniem.

Jak dawali sobie radę?

Czworo dzieci w przeciągu sześciu lat.

Z Malmö przenieśli się do Helsingborga, gdzie Birgittie zaofiarowano posadę sędziego.

Teraz dzieci były już dorosłe.

Bliźniaczki wyprowadziły się rok temu, obydwie do wspólnego mieszkania w Lund.

Cieszyła się, że wybrały różne kierunki studiów i żadna z nich nie wiąże swojej przyszłości z zawodem prawnika.

Siv, która była o dziewiętnaście minut starsza od swojej siostry Louise, po długim okresie niezdecydowania postanowiła zostać weterynarzem.

Louise, różniąc się od siostry krewkim temperamentem, próbowała zarabiać na życie jako sprzedawczyni w sklepie z galanterią męską, aż w końcu zdecydowała się na politologię i religioznawstwo.

Birgitta wielokrotnie próbowała zachęcić ją do rozmowy o tym, co właściwie chce zrobić ze swoim życiem,

Louise była jednak najbardziej skryta spośród wszystkich czworga dzieci i nigdy wiele o sobie nie mówiła.

Birgitta przeczuwała, że to właśnie ona była do niej najbardziej podobna.

Syn David, który pracował w dużej firmie medycznej, był prawie taki sam jak jego ojciec.

Trzecia córka, Anna, ku udręce rodziców udała się

w długą podróż po Azji, nie informując ich o żadnych swoich planach.

Moja rodzina, pomyślała Birgitta Roślin.

Wielki niepokój wielka radość.

Bez niej większość mojego życia byłaby zmarnowana.

W korytarzu naprzeciwko jej gabinetu znajdowało się duże lustro.

Przez chwilę przyglądała się swojej twarzy i sylwetce.

Ciemne, krótko przycięte przyskroniach włosy przysyłała pierwsza siwizna.

Nawyk zaciskania ust nadawał jej twarzy surowy wyraz.

Jej utrapieniem były jednak dodatkowe kilogramy, które zebrała w ciągu kilku ostatnich lat.

Trzy, cztery, nie więcej.

Wystarczająco jednak, żeby było to widoczne.

Nie podobało jej się to, co widziała.

W duchu wiedziała, że jest atrakcyjną kobietą, jednakże teraz nadszedł czas, kiedy jej uroda zaczęła powoli przygasać.

Nie walczyła z tym.

Na biurku sekretarki pozostawiła notatkę informującą, że tego dnia przyjdzie do pracy trochę później.

Na zewnątrz nieco się ociepliło i zaczęło topnieć śnieg.

Poszła w kierunku samochodu, który zaparkowała w bocznej uliczce.

Nagle zmieniła zdanie.

To nie snu potrzebowała w pierwszej kolejności.

Chciała przede wszystkim przewietrzyć myśli i przez chwilę pomyśleć o czymś innym.

Odwróciła się i ruszyła w dół, do portu.

Nie było wiatru, ale słońce zaczęło się przedzierać przez chmury, wiszące nad miastem od poprzedniego dnia.

Dotarła do miejsca, z którego odpływały promy do duńskiego miasta Helsingor.

Podróż trwała krótko.

Lubiła siedzieć na pokładzie, popijać kawę i przyglądać się współpasażerom zajęтым swoimi alkoholowymi zakupami zrobionymi w Danii.

Usiadła przy lepkiem narożnym stoliku.

Pod wpływem nagłej irytacji przywołała kelnerkę, która zbierała filiżanki z sąsiednich stolików.

- Muszę się poskarżyć - powiedziała.

- Zebrała pani naczynia, ale chyba zapomniała wytrzeć stół.

Cały się klei.

Dziewczyna wzruszyła ramionami i wytarła blat.

Birgitta z niesmakiem patrzyła na brudną ściereczkę, ale nie powiedziała nic więcej.

Kelnerka przypominała jej trochę zgwałconą kasjerkę.

Nie wiedziała dlaczego.

Być może sprawił to jej brak zainteresowania tym, żeby swoją pracę wykonywać tak jak trzeba, lub jakiegoś rodzaju bezradność, której nie umiała

opisać.

Prom zaczął wibrować.

Lubiła to uczucie.

Przypomniała sobie swoją pierwszą podróż za granicę.

Miała wówczas dziewiętnaście lat i wraz z przyjaciółką wybierała się na kurs językowy do Anglii.

Tamta podróż również rozpoczęła się na promie - z Göteborga do Londynu.

Birgitta Roslin nigdy nie zapominała uczucia, które towarzyszyło jej, gdy stała na pokładzie, świadoma tego, że podąża ku czemuś nieznanemu.

Czuła się wolna.

To samo uczucie wyzwolenia ogarnęło ją również teraz, kiedy płynęła tam i z powrotem przez wąską cieśninę między Danią i Szwecją.

Przykra myśl o wyroku rozwiła się w jej

świadomości.

Nie jestem już nawet w połowie mojego życia, pomyślała.

Mam już za sobą ten punkt, którego przekroczenia nie jestem świadomym.

Nie pozostało mi już w życiu wiele szczególnie ważnych decyzji do podjęcia.

Pozostanę sędzią do dnia, w którym przejdę na emeryturę.

Zapewne doczekam jeszcze wnuków, zanim wszystko się skończy.

Zdawała sobie sprawę, że niechęć, które odczuwał w ostatnim czasie, wynika ze świadomości, że jej małżeństwo ze Staffanem przeszło w martwą fazę.

Byli dobrymi przyjaciółmi i dawali sobie nawzajem potrzebne wsparcie.

66

67.

Ale miłość, zmysłowa przyjemność przebywania ze sobą niknęła całkowicie.

Za cztery dni mijał rok od dnia, gdy ostatni raz kochali się przed snem.

Wmiarę zbliżania się tej daty Birgittę ogarniało coraz większe, nieznane poczucie bezsilności.

Dzień ten miał nadejść właśnie teraz.

Wielokrotnie próbowała porozmawiać z Staffanem o samotności, która jej dokuczała.

Nie był gotów do rozmowy, unikał jej odkładając na potem, przyznając równocześnie, że sprawa jest bardzo ważna.

Zaklinał się, że nie pociąga go nikt inny, że po prostu zabrakło w nim uczucia, które z pewnością za jakiś czas do niego wróci.

Muszą po prostu być ciepłiwi.

Żałowała poczucia utraconej wspólnoty z mężem, poważnym konduktorem o dużych dłoniach i skłonności do oblewania się rumieńcem.

Nie chciała się poddać.

Nie chciała, żeby łączyła ich już tylko przyjaźń, nic więcej.

Zamówiła jeszcze jedną filiżankę kawy i przesiadła się do czystszej stolika.

Kilku młodych i, pomimo wczesnej pory, podstępny mężczyzna prowadził spór na temat, czy to Hamlet, czy Makbet był więziony w zamku Kronborg, który widniał na cyplu w pobliżu Helsingera.

Słuchała ich rozbawiona, przez chwilę miała nawet ochotę wtrącić się do rozmowy.

Przy jednym z narożnych stolików siedziały grupki młodych chłopaków.

Niemieli więcej niż czternaście, piętnaście lat.

Prawdopodobnie byli na wagarach.

Dlaczego nie, skoro i tak nikt się tym nie interesował?

Bynajmniej nie tęskniła za rygiem, jaki obowiązywał w jej szkole.

Równocześnie przypominało jej się zdarzenie z zeszłego roku, które sprawiło, że o mało nie zwątpił w szwedzki system sprawiedliwości tym mocniej zażyczyła sobie już od trzydziestu lat Ankerem.

W jednej z dzielnic na obrzeżach Helsingborga niemalosiemdziesięcioletnia kobieta dostała ataku serca i upadła na chodnik.

Dwaj młodzi chłopcy, z których jeden miał trzynaście, a drugi czternaście lat, przechodzili obok, ale zamiast pomóc kobiecie, bez wahania zabrali jej portfel, a potem próbowali ją zgwałcić.

Gdyby nie nadszedł mężczyzna z psem, prawdopodobnie doszłoby do gwałtu.

Policja złapała sprawców, ale ponieważ byli nieletni, musiała ich zwolnić.

Birgitta dowiedziała się o całym zajściu od znajomego prokuratora, który z kolei usłyszał historię od jednego z policjantów.

Ta sprawa bardzo ją wzburzyła.

Próbowała się dowiedzieć, dlaczego nikt nie powiadomił odpowiednich władz.

Wkrótce zrozumiała, że każdego dnia być może setka dzieci popełnia przestępstwa i nie ponosi żadnej odpowiedzialności.

Nikt nie rozmawiał z ich rodzicami, nikt nie informował stosownych instytucji.

Nie chodziło przy tym jedynie o drobne kradzieże, ale również o napady i pobicia.

W wielu sytuacjach ofiary tych przestępstw tylko szczęśliwym trafem uchodziły z życiem.

Birgitta zaczęła wątpić w szwedzki wymiar sprawiedliwości.

Komu właściwie służy?

Sprawiedliwości czy obojętności?

I co się stanie, jeśli coraz więcej dzieci zacznie popełniać przestępstwa, a nikt nie będzie reagował?

Jak mogłoby dojść do tego, że sam fundament demokracji został zagrożony przez chwiejny system sprawiedliwości?

Dopiła kawę, myśląc o tym, że musi pracować jeszcze przez dziesięć lat.

Czy znajdzie na to siły?

Czy można być dobrym i sprawiedliwym sędzią, wątpiąc w funkcjonowanie praworządnego państwa?

Nie znała odpowiedzi.

Chcąc się pozbyć uporczywych myśli, których wbrew zamiarom nie udało jej się uporządkować, jeszcze raz przepłynęła cieśninę.

Kiedy szła z promu, była

godzina dziewiąta.

Przeszła na drugą stronę głównej ulicy, biegnącej prosto przez Helsingborg.

Mijając jedną z przecznic, mimochodem spojrzała na pierwsze strony wieczornych gazet, które sprzedawca właśnie rozkładał w witrynie kiosku.

Uderzyły ją nagłówki, wyglądające tak, jakby informowały o wojnie.

Przystanęła i przeczytała "Masowe morderstwa w Helsingland".

"Makabryczna zbrodnia.

Policja szuka śladów".

"Nieznana liczba zabitych.

Masowe morderstwo".

Ruszyła w kierunku samochodu.

Prawie nigdy nie kupowała wieczornych gazet, uważała, że ich nieprzemysłane ataki na szwedzki system sprawiedliwości są szkodliwe, czasem wręcz nieprzyzwoite.

Nawet jeśli z niektórymi z nich się zgadzała, nie przekonała się do lektury tego rodzaju prasy.

Sensowna krytyka była potrzebna, jednak artykuły zamieszczane w wieczorówkach zazwyczaj jej szkodziły, niezadkownie w intencji wydawców,

Birgitta Roślin mieszkała w dzielnicy willowej Kjellstorps, w północnej części miasta.

Po drodze do domu zatrzymała się przy sklepie prowadzonym przez Pakistańczyka, który zawsze witał ją szerokim uśmiechem.

Wiedział, że Birgitta jest sędzią, i okazywał jej szacunek.

Zastanawiała się czasem, czy w Pakistanie kobieta może być sędzią.

Nigdy go o to nie zapytała.

Dotarłaszy do domu, wzięła kąpiel i położyła się spać.

Obudziła się o pierwszej, wyspana.

Zjadła kilka kanapek, wypita kubek kawy i poszła do pracy.

Parę godzin później położyła na biurku sekretarki gotowy tekst wyroku uniewinniającego mężczyznę.

Najwyraźniej w budynku sądu trwało jakieś szkolenie, o którym nikt jej nie poinformował, lub też - co byłoby bardziej prawdopodobne - o którym całkiem zapomniała.

Popowrocie do domu odgrzała wczorajszą potrawkę z kurczaka.

To, co zostało, odłożyła do lodówki dla Staffana,

70

Usiadła na kanapie z kubkiem kawy w dłoni i włączyła telegazetę.

Również tu znalazła nagłówki, które widziała już tego dnia.

Policjani mieli żadnych poszlak i nie chcieli podać do wiadomości publicznej faktycznej liczby ofiar ani ich nazwisk, ponieważ nie zdążyła się jeszcze skontaktować z rodzinami wszystkich zabitych.

Szaleniec, pomyślała Birgitta.

Szaleniec z manią prześladowczą lub uważający się za pokrzywdzonego.

Lata sprawowania urzędu sędziowskiego nauczyły ją, że istnieje wiele form szaleństwa, mogących doprowadzić ludzi do popełniania najohydniejszych przestępstw.

Wiedziała również, że psychiatrzy sądowi nie zawsze są w stanie udowodnić poczytalność tych, którzy podając się za psychicznie chorych, liczą na łagodniejszą karę.

Wyłączyła telewizor i szła do piwnicy, w której urządziła niewielki skład czerwonych win.

Leżało tam kilka katalogów różnych importerów.

Parę lat temu zrozumiała, że wyprowadzka dzieci pozytywnie wpłynęła na sytuację finansową jej i Staffana.

Uznała, że nadszedł czas, żeby od czasu do czasu zafundować sobie coś ekstra.

Postanowiła co miesiąc kupować kilka butelek dobrego wina.

Studiowanie katalogów, a potem próbowanie win sprawiało jej przyjemność.

Wydanie około pięciuset koron na butelkę wina było jak zrywanie zakazanego owocu.

Dwukrotnie udało jej się namówić Staffana na wycieczkę do Włoch, gdzie zwiedzali winnice.

Nigdy nie zdołała jednak wzbudzić w nim większego zainteresowania tym tematem.

Ona z kolei jeździła z nim na koncerty jazzowe do Kopenhagi, pomimo że nie był to gatunek muzyki, za którym przepadała.

W piwnicy panował chłód.

Zerknęła na termometr -wskazywał czternaście stopni.

Usiadła na taborecie między półkami.

Tu, wśród butelek z winem, czuła wielki spokój.

71.

Nawet gdyby miała do wyboru basen z podgrzewaną wodą, i tak wybrałaby swoją piwnicę, w której leżało na półkach sto czternaście butelek wina.

Lecz czy spokój, który opanowywała w tym miejscu, był prawdziwy?

Gdyby ktoś kiedyś, gdy była młoda, powiedział jej, że pewnego dnia będzie kolekcjonować wino, z trudemby w to uwierzyła.

Nie tylko zaprzeczyłaby takiej możliwości, ale poczułaby się oburzona.

Podczas swoich studiów w Lund była związana z kręgami radykalnej lewicy, które pod koniec lat sześćdziesiątych kwestionowały zarówno wykształcenie uniwersyteckie, jak i społeczeństwo, w którym Birgitta dziś funkcjonowała.

Kolekcjonowanie win wydałoby jej się wówczas stratą czasu i sił, zajęciem typowym mieszczczyńskim i nagannym.

Siedziała w zamyśleniu, gdy usłyszała Staffana na parterze.

Odłożyła katalog i wróciła na górę.

W kuchni Staffan wyjmował właśnie z lodówki potrawkę z kurczaka.

Na stole leżało kilka wieczornych gazet, które zabrał pociąg.

- Widziałaś?

- Tak, chyba coś się stało w Halsingland?

- Dziewiętnaście osób nie żyje.

- Przeczytałam w telegazecie, że liczba ofiar nie jest znana.

- To są późniejsze wydania.

Zamordowano prawie wszystkich mieszkańców jednej wsi.

Trudno w to uwierzyć.

Jak poszło z tym wyrokiem, który miałaś napisać?

- Jest już gotowy.

Uniewinnię go.

Nie ma innej możliwości.

- Gazety się tym zainteresują.

-W tej sytuacji to chyba dobrze.

- Będą cię krytykować.

72

- Z pewnością.

Ale mogę przecież poprosić dziennikarzy, żeby sami sprawdzili, co mówi kodeks, a potem zapytać, czy zamierzają zacząć stosować w tym kraju karę linczu.

- Tomasowe morderstwo pewnie odwróci ich uwagę od twojego procesu.

- Oczywiście.

Czymże jest jeden mały podły gwałtobliczu brutalnego morderstwa?

Tego wieczoru poszli spać wcześniej.

Staffan miał mianę jednym z porannych pociągów, a Birgitta nie znalazła nic ciekawego w telewizji.

Zdecydowała natomiast, jakie kolejno zamówi katalogu.

Miała to być skrzynka barolo arione 2002, które kosztowało 252 korony za butelkę.

Zbudziła się nagle koło północy.

Staffan spał spokojnie przy niej.

Zdarzało się, że budził ją w nocy głód.

Narzuciła szlafrok, zeszła do kuchni, zaparzyła sobie herbatę i zrobiła kilka kanapek.

Gazety wciąż leżały na stole.

Pobieżnie przejrzała jedną z nich.

Niełatwo było właściwie wyobrazić sobie to, co wydarzyło się w Halsingland.

Wątpliwości nie było jedynie co do tego, że ktoś brutalnie zamordował wiele osób.

Miała właśnie odłożyć gazetę, gdy coś przykuło jej uwagę.

Wiele spośród ofiar nosiło nazwisko Andren.

Dokładnie przeczytała tekst, a potem sięgnęła po kolejną gazetę.

Znalazła tam te same informacje.

Wpatrywała się wartykuł.

Czy to może być prawda?

A może źle zapamiętała?

Poszła do swojego gabinetu i wyjęła z jednej z przegródek w biurku teczkę z dokumentami, przewiazaną czerwoną tasiemką.

Zapaliła lampkę i rozwiązała teczkę.

Ponieważ nie znalazła swoich okularów, założyła parę należącą do Staffana.

Były nieco słabsze, ale mogła w nich czytać.

73.

W teczce gromadziła wszystkie dokumenty związane z rodzicami.

Jej matka już nie żyła, zmarła przed piętnastoma laty na raka trzustki, który zabił ją w niespełna trzy miesiące.

W brązowej kopercie znalazła w końcu fotografię, której szukała.

Wyjęła z szuflady lupę i zaczęła uważnie studiować zdjęcie.

Było na nim kilka osób starszowiecko ubranych, stojących przed domem.

Zabrała fotografię i wróciła do kuchni.

W jednej z gazet znajdowało się zdjęcie prezentujące panoramę wsi, w której rozegrała się tragedia.

Birgitta dokładnie obejrzała je przez lupę.

Zatrzymała się przy trzecim domu, przysunęła bliżej zdjęcie wyjęte z teczki i zaczęła porównywać.

Pamięć jej nie zawiodła.

Więś, w której doszło do brutalnego morderstwa, nie była jej obca.

Było to miejsce, w którym dorastała jej matka.

Wszystko się zgadzało.

Jako dziecko jej matka nosiła nazwisko Lóóf, ale ponieważ jej rodzice byli alkoholikami, została umieszczona w rodzinie zastępczej z nazwiskiem Andren.

Nigdy nie mówiła za dużo na ten temat.

Opiekowano się nią dobrze, dokuczała jej jednak tęsknota za prawdziwymi rodzicami, którzy zmarli, zanim skończyła piętnaście lat.

Została u przybranych rodziców do dnia, w którym uznano ją za wystarczająco dorosłą, żeby mogła znaleźć pracę i ułożyć sobie życie.

Kiedy spotkała ojca Birgitty, nazwiska Lóóf i Andren odeszły w zapomnienie.

Teraz jedno z nich wróciło.

Fotografia z teczki została zrobiona przed jednym z domów we wsi, w której dokonano zbrodni.

Front budynku i rzeźbienia wokół okien wyglądały tak samo jak na zdjęciu w gazecie.

Birgitta nie miała wątpliwości.

W domu, w którym dorastała jej matka, parę dni temu zamordowano w nocy kilka

74

osób.

Czy mogli to być jej przybrani dziadkowie?

Gazety pisały, że większość mieszkańców wsi stanowili ludzie

starzy.

Spróbowała policzyć, czy byłoby to możliwe, i doszła do

wniosku, że dziadkowie, o ile to właśnie ich tam zamordowano, musieli mieć ponad dziewięćdziesiąt lat.

To by się zgadzało.

Równie dobrze jednak mogło tam już mieszkać

młodsze pokolenie.

Wzdrygnęła się na tę myśl.

Dziadków nie wspominała prawie nigdy.

Nie potrafiła nawet przypomnieć sobie, jak wyglądała matka.

Teraz jednak przeszłość dopadła ją z wielokrotną siłą.

Do kuchni wszedł Staffan.

Jak zawsze poruszał się bardzo

cicho.

- Przestraszyłeś mnie - powiedziała.

- Zawsze pojawiaasz

się tak nagle.

- Dlaczego nie śpisz?

- Zgłodniałam.

Spojrzał na gazety i zdjęcie leżące na stole.

Opowiedziałam o swoim odkryciu.

Była coraz bardziej pewna, że ma

rację.

- To tak daleko - powiedział, kiedyskończyła.

- Łączycię

z tą wsią bardzo cienka nić.

-Cienka, ale bardzo szczególna.

Z tym się chyba

zgodzisz?

- Powinnaś się wyspać.

Pomyśl o tym, że musisz być wypoczęta, kiedy jutro znów będziesz posyłać przestępców

za kratki.

Nie mogła zasnąć.

Cienka nić łącząca ją z miejscem, w którym dorastała jej matka, była już tak napięta, że powoli zaczynała się zrywać.

Po jakimś czasie Birgitta ocknęła się z półsnu i znów zaczęła myśleć o matce, nieżyjącej już

75.

od piętnastu lat.

Birgittie trudno było dostrzec w niej siebie samą, znaleźć odbicie własnego życia we wspomnieniach o kobiecie, która wydała ją na świat.

W końcu Birgittie udało się zasnąć.

Obudziła się w momencie, gdy Staffan stał nad łóżkiem

z mokrą głową wkładając swój służbowy mundur.

Jestem

twoim generałem, tak kiedyś do niej mówił.

Bez broni, ale

z długopisem, którym kreślił bilety. Udawała że śpi, do chwili kiedy zamknęły się za nim drzwi wyjściowe.

Wstała z łóżka i usiadła w gabinecie przy komputerze.

Przeglądała różne strony internetowe, chcąc znaleźć jak najwięcej informacji.

Wydarzenia ze zwiastowania w Halsingland wciąż zdawały się owiane mgłą tajemnicy.

Nie wiadomo było właściwie nic poza tym, że narzędziem zbrodni był duży nóż lub broń podobnego rodzaju.

Chcę wiedzieć więcej, pomyślała.

Przynajmniej to, czy tejnocy zostali zamordowani przybrani rodzice mojej matki.

Gdy wybiła ósma, Birgitta Roölin porzuciła wszystkie myśli związane z morderstwem w Halsingland.

Tego dnia miała przewodniczyć rozprawie przeciwko dwóm Irakijczykom, oskarżonym o przemyt ludzi.

Była godzina dziesiąta, kiedy zebrała wszystkie dokumenty, przekartkowała akta postępowania przygotowawczego i zajęła miejsce za stołem sędziowskim.

Anker, przyjacielu, pomóż mi przetrzymać tendzień, pomyślała.

Lekko uderzyła młotkiem w blat i poprosiła prokuratora o odczytanie aktu oskarżenia.

Za jej plecami znajdowały się wysokie okna.

Zanim Usiadła, zdążyła spostrzec, że stonca zaczyna się przebijać przez ciężkie chmury, które zawisły nad Szwecją w ciągu nocy.

76

6

Gdy drugiego dnia rozprawa dobiegła końca, Birgitta Roślin wiedziała już, jakie wyda wyroki.

Starszy z mężczyzn, Abdullbn-Yamed, przywódca gangu przemytników, miał dostać trzy lata i dwa miesiące więzienia.

Młodsze, który był jego pomocnikiem, Yassiraal-Habi, zamierzała skazać na rok.

Po odbyciu kary obydwaj zostaną deportowani.

Przeanalizowała wyroki, które zapadły wcześniej w podobnych sprawach, i doszła do wniosku, że nie może postąpić inaczej.

Było to poważne przestępstwo, zatem kara powinna być surowa.

Wielu ludzi, którzy zostali przeschmugłowani do kraju, padło ofiarą gróźb przemocy, ponieważ nie byli w stanie opłacić nielegalnych dokumentów i długiej podróży.

Birgitta od razu poczuła niechęć do starszego z oskarżonych.

Za pomocą sentymentalnych argumentów próbował przekonywać ją i prokuratora, że nigdy nie zatrzymał dla siebie żadnych pieniędzy pochodzących od uchodźców, ale przekazywał je na cele dobroczynne w swoim kraju.

W trakcie jednej z przerw w rozprawie prokurator przyszedł do jej gabinetu na filiżankę kawy.

W rozmowie napomknął mimochodem, że Abdul Ibn-Yamed rozbija się po okolicy mercedesem wartym około miliona koron.

Rozprawa była męcząca.

Dni dłużyły się w nieskończoność.

Birgitta nie miała czasu na nic więcej poza jedzeniem, spaniem i studiowaniem notatek, po czym znów zasiadała za stołem sędziowskim.

Bliźniaczki próbowały namówić ją, by odwiedziła je w Lund, nie miała jednak czasu na wizytę.

Zaraz po rozprawie przemytników miała się rozpocząć kolejna, tym razem dotycząca szajki rumuńskich szustów kopiujących karty kredytowe.

77.

Wydarzenia, które rozegrały się w Halsingland, były w tych dniach ostatnią rzeczą, o której miała czas myśleć.

Przeglądała poranną gazetę, ale później nie miała już siły, by obejrzeć wieczorne wiadomości.

Rankiem w dniu, kiedy miała się rozpocząć rozprawa rumuńskich oszustów, Birgitta odkryła w swoim kalendarzu termin corocznych badań u lekarza.

Zastanawiała się przez chwilę, czy nie przesunąć ich o kilkadziesiąt dni.

Pozauczuciem zmęczenia, lekkim spadkiem kondycji i sporadycznymi napadami lęku nie sądziła, by coś jej dolegało.

Była zdrową kobietą o uregulowanym trybie życia.

Prawie nigdy się nie przeziębiała.

Nie zdecydowała się jednak na odłożenie wizyty.

Lekarz, do którego chodziła, miał swój gabinet w pobliżu Teatru Miejskiego.

Zostawiła samochód pod budynkiem sądu i poszła pieszo.

Czuła zimno, ale pogoda była ładna i bezwietrzna.

Śnieg, który spadł kilkadziesiąt dni wcześniej, całkiem już stopniał.

Birgitta zatrzymała się przed wystawą sklepową, aby obejrzeć granatowy kostium.

Cena zaparła jej dech w piersiach.

Mogłaby za te pieniądze zafundować sobie wiele butelek dobrego wina.

W poczekalni leżała gazeta, której pierwsza strona informowała o masowym morderstwie w Halsingland, ale Birgitta została poproszona do gabinetu, zanim zdążyła cokolwiek w niej przeczytać.

Lekarz był starszym mężczyzną, który bardzo przypominał jej Ankerę.

Chodziła do niego od dziesięciu lat.

Polecił go jej jeden znajomy sędzia.

Lekarz zapytał, czy dobrze się czuje, czy miewa skurcze, a po wysłuchaniu odpowiedzi odesłał ją do pielęgniarki, która pobrała jej próbkę krwi z palca, po czym poproszono ją, żeby usiadła w poczekalni.

Gazetę czytał pacjent, który się tymczasem pojawił.

Birgitta zamknęła oczy i cierpliwie czekała.

Myślała o swojej

78

rodzinie, zastanawiała się, co dzieci i mąż teraz robią, gdzie każde z nich w tej chwili może się znajdować.

Staffan był w pociągu, w drodze do Hallsberga.

Do domu miał wrócić późno.

David pracował w laboratorium firmy AstraZeneca pod Göteborgiem.

Nie wiedziała, gdzie się podziewa Anna.

Gdy skontaktowała się z nimi ostatnio, prawie miesiąc temu, przebywała w Nepalu.

Bliźniaczki były w Lundu chciały, żeby Birgitta do nich przyjechała.

Zapadła w płytką drzemkę.

Obudziła ją pielęgniarka, która dotknęła jej ramienia.

- Pan doktor panią prosi.

Chybanie jestem aż tak przemęczona, żeby zasypiać w poczekalni, pomyślała, wchodząc do gabinetu.

Usiadła na krześle naprzeciw lekarza.

- Morfologia nie jest dobra - rozpoczął.

- Ma pani za mało żelaza.

Liczba czerwonych krwinek jest zdecydowanie za niska.

Możemy to podreperować dodatkową dawką żelaza.

- Czyli nic mi właściwie nie dolega?

- Przychodzi pani do mnie od wielu lat.

Jeśli mam być szczery, widać po pani zmęczenie.

- Co ma pan na myśli?

-Ma pani znacznie podwyższone ciśnienie; wygląda naprzemęczoną.

Czy dobrze pani sypia?

- Raczej tak, chociaż często się budzę.

-Zawroty głowy?

- Nie.

-Niepokój?

-Tak.

- Często?

-Od czasu do czasu.

Zdarzają się nawet napady paniki, Muszę się wtedy oprzeć o ścianę, bo mam wrażenie, że się przewrócę.

Albo świat zaraz się zawali.

79.

- Dam pani zwolnienie.

Proszę odpocząć, Chcę mieć lepszą morfologię i przede wszystkim niższe ciśnienie.

Przepiszę dodatkowe badania.

„

- Nie mogę iść na zwolnienie.

Mam strasznie dużo pracy.

- No właśnie.

Spojrzała na niego zaskoczona.

- Czy to może być coś poważnego?

- Nie na tyle, żeby nie dało się tego naprawić.

- Czy mam wobec tego powody do niepokoju?

- Nie, jeśli zastosuje się pani do moich zaleceń.

W przeciwnym razie tak.

Kilka minut później Birgitta Roślin stała na chodniku i z zdziwieniem myślała o tym, że nie będzie pracowała przez

najbliższe dwa tygodnie.

Lekarz niespodziewanie zburzyłaby porządek jej życia

Poszła do sądu, żeby porozmawiać ze swoim przełożonym, Hansem Mattsonem.

Wspólnie postanowili się, jak rozdzielić prace, które miała do wykonania.

Odbyła też rozmowę z sekretarką i wysłała kilka zaległych listów.

W drodze do domu weszła do apteki i wykupiła przepisane lekarstwa.

Brak zęcia sprawił ją oszołomienie.

Ugotowała obiad, po czym rozsiadła się na kanapie.

Sięgnęła po gazetę i zaczęła ją czytać.

Wciąż nie podano do publicznej wiadomości nazwisk wszystkich ofiar morderstw w Hesjövallen.

Przeczytała wypowiedź komisarza policjikryminalnej nazwiskiem Sundberg.

Apelował o pomoc dowszystkich, którzy mogli mieć jakieś informacje dotyczącewydarzeń istotnych dla śledztwa.

Policja wciąż nie miałażadnychśladów.

Jakkolwiek trudnobyło w to uwierzyć, nicniewskazywało na to, by sprawców było więcejniż jeden.

Na innej stronie znalazła wypowiedź prokuratora nazwiskiem Robertsson.

Prowadzono rozległe dochodzenie bez

80

z góry przyjętych założeń.

Policja w Hudiksvall otrzymała potrzebne wsparcie z Komendy Krajowej.

Robertssonbył pewien sukcesu: "Złapiemy tego, ktotozrobił.

Nie poddamy się".

Na kolejnej stronie znalazła informację, że wlasachHalsingezapanował niepokój.

Było tam wiele słabo zaludnionych wsi.

Mówiło się, że ludziezaczęli kupować brońi psy, zakładać alarmy i uzbrajać drzwi.

Odłożyła gazetę.

Dom byłpusty i cichy.

To nagle zwolnienie przyszło niespodziewanie.

Zeszła do piwnicy izabrała na górę jeden z katalogów z winami.

Usiadła przykomputerze i zamówiła skrzynkębarolo arione, na którąsię wcześniej zdecydowała.

Właściwie wino było zadrogie, chciała jednak kupić sobiecośspecjalnego.

Następniepostanowiła zrobić porządki,które były jedną z czynnościczęsto zaniedbywanych w domu.

Ale kiedy właśnie zamierzała wyjąć odkurzacz, nagle zmieniła zdanie.

Usiadła zastółem i zaczęła analizować sytuację.

Dostałazwolnienie,choć jest zdrowa.

Na recepcie znalazły się trzy rodzajeleków, które miały poprawić morfologię i obniżyć ciśnienie.

Równocześnie Birgitta zdawała sobie sprawę, że lekarz wyraźnie powiedział to, co wcześniej sama bała się sobie uświadomić.

Rzeczywiście jest bliska wypalenia.

Zaburzenie snu, napady paniki, które mogły przecież przydarzyć się jej na sali sądowej, sprawiały więcej problemów, niż jej się zdawało.

Ze wzrokiem utkwionym w gazetę leżącą na kuchennym stole znów zaczęła myśleć o swojej matce i czasach z jej młodości.

Nieoczekiwanie wpadła jej do głowy pewna myśl.

Sięgnęła po telefon, wybrała numer komendy policji i poprosiła o rozmowę z komisarzem Hugo Malmbergiem.

Znała go od wielu lat.

Kiedyś próbował nauczyć ją i Staffana

brydza, nie udało mu się jednak wzbudzić w nich szczególnego entuzjazmu do tej gry.

W słuchawce rozległ się jego łagodny głos.

Dla kogoś, kto wyobraża sobie, że głos policjanta ma brzmieć szczerze, Hugo byłby prawdziwym rozczarowaniem, pomyślała.

Jego głos przywołał raczej namysł ujmującego emeryta, który siedział na ławce i karmi gołębie.

Spytała go o samopoczucie i czy znalazłaby dla niej

"chwili czasu.

- O jaką konkretną sprawę chodzi?

- O żadną.

A właściwie nie taką, która by nas dotyczyła.

Masz czas?

- Policjant, który poważnie traktuje swoją pracę i mówi, że ma czas, kłamie.

Kiedy możesz wpaść?

- Przespaceruję się z domu.

Mogę być za godzinę?

- Zapraszam.

Kiedy Birgitta Roślin weszła do gabinetu Hugo Malmberga, siedział on przy uporządkowanym biurku i rozmawiał przez telefon.

Gestem poprosił ją, żeby usiadła.

Rozmowa dotyczyła pobicia, które miało miejsce poprzedniego dnia.

Być może chodzi o coś, co pewnego dnia wylądowało u mnie, pomyślała.

Kiedy już nafaszeruję się żelazem, poprawię wyniki badania krwi, obniżę ciśnienie i będę mógł wrócić do pracy

Rozmowa dobiegła końca.

Hugo Malmberg uśmiechnął się do niej przyjaźnie.

- Chcesz kawy?

-Raczej nie.

- Co toznaczy?

-Macie tu ponoć tak samo podłą kawę jak my w sądzie.

Wstał z krzesła.

82

- Przejdźmy do drugiego pokoju.

Tutaj telefonicznie przestaje dzwonić.

To szczególne uczucie jest chyba bliskie wszystkim porządnym szwedzkim policjantom.

Uczucie, że jest się jedynym, który naprawdę pracuje.

Usiedli przy owalnym stole zastawionym kubkami pokawie i opróżnionymi butelkami po wodzie mineralnej.

Malmberg z niesmakiem pokręcił głową.

- Nikt u siebie nie sprząta.

Wszyscy przychodzą na spotkania, a potem zostawiają u siebie bałajki.

Co cię do mnie sprowadza?

Zmieniłaś zdanie co do brydża?

Birgitta opowiedziała mu o swoim odkryciu.

O tym, że być może łączyjaś z ludźmi zamordowanymi w Hesjówallen.

- Jestem po prostu ciekawa - podsumowała.

- Z tego, co piszą gazety co mówią w wiadomościach, wynika tylko tyle, że zamordowano dużo ludzi, a policja jest bezradna.

- Szczerze mówiąc, cieszę się, że nie pracuję w tym rejonie.

Muszą tam przeżywać istny koszmar.

Nigdy nie słyszałem niczego podobnego.

W pewien sposób to taka sama sensacja jak zabójstwo Palmego.

- Czy wiesz coś, o czym nie piszą w gazetach?

-Nie ma w tym kraju policjanta, który nie byłby ciekaw,co się tam wydarzyło.

Rozmawiamy o tym nakorytarzach każdy ma swoją teorię.

Opinię, że policjanci są racjonalni i pozbawieni fantazji, można włożyć między bajki.

Odrzućmy spekulować na temat tego, co zaszło.

- Więc co o tym myślisz?

Wzruszył ramionami i zastanawiał się chwilę.

Nie wiem więcej niż ty.

Jest wielu zabitych, morderstwa były brutalne.

O ile dobrze rozumiem, nic nie ukradziono.

Wygląda na to, że zrobił to jakiś chory człowiek.

O tym,

83.

co stoi za jego szaleństwem, można tylko spekulować.

Zakładam, że ci tam na północy szukali wśród notowanych przestępców z zaburzeniami psychicznymi.

Z pewnością kontaktowali się już z Interpolem i Europolem.

Na rezultaty pewnie trzeba będzie trochę poczekać.

Poza tym niewiem naprawdę nic.

- Znasz policjantów w całym kraju.

Masz może kontakt z kimś tam, w Helsingland?

Z kimś, do kogo mogłabym ewentualnie zadzwonić?

- Poznałem ich szefa.

Nazywa się Ludwig.

Nie zrobiłamnie szczególnie dobrego wrażenia, jeśli mam być szczery.

Wiesz, że nie ufam policjantom, którzy nigdy nie mieli doczynienia z prawdziwą pracą w terenie.

Ale mogę do niego zadzwonić i spróbować się czegoś dowiedzieć.

- Obiecuję, że nie będę im bez powodu przeszkadzać.

Chcę tylko wiedzieć, czy zamordowano przybranych rodziców mojej matki.

Albo ich dzieci.

Lub upewnić się, że się mylę.

- Toroz sądny powód, że by do nich zadzwonić.

Zobaczę, co się da zrobić.

Teraz muszę cię jednak przeprosić.

Mam przed sobą nieciekawie przesłuchanie mało przyjemnego bandyty.

Wieczorem Birgitta opowiedziała Staffanowi wszystko, co wydarzyło się tego dnia.

Z miejsca stwierdził, że lekarz podjął słuszną decyzję, i zaproponował, żeby zafundował sobie wycieczkę na południe.

Zirykowała ją jego obojętność, pominęła to jednak milczeniem.

Następnego dnia, tuż przed obiadem, gdysiedziała przykomputerze i przeglądała oferty biur podróży, zadzwoniłtelefon.

- Mam dla ciebie nazwisko -zakomunikował Hugo Malroberg.

- Jest tam policjantka, niejaka Sundberg.

84

- Widziałam to nazwisko w gazetach, ale nie wiedziałam,
że to kobieta.

- Ma na imię Vivian, alemówią na nią Vivi.

Ludwig podaj jej twoje nazwisko, żeby była przygotowana, kiedy zadzwonisz.

Mam jej numer.

- Zapisuję.

-Zapytałem, jak im tam idzie.

Wciąż nie mają żadnych śladów.

Co do tego, że zrobił to jakiś szaleniec, właściwie nikt nie ma wątpliwości.

Tak mi w każdym razie powiedziano.

Wyczuław jego głosie powątpiewanie.

- Nie wierzysz w to?

-Nie o to chodzi.

Ale wczoraj wieczorem czytałem o tym w internecie.

Jest w tym wszystkim coś zastanawiającego.

- A konkretnie?

-Zbyt dobrze to zaplanowano.

- Nawet chorzy ludzie mogą dobrze zaplanować zbrodnię.

-Nie tomam na myśli.

Może tu bardziej chodzi o przeczcucie, że jest to w jakiś sposób zbyt szalone, żeby mogłoby być prawdziwe.

Na ich miejscu zastanowiłbym się nad tym, czy abysprawca celowo nie postarał się, żeby wyglądało tona

działanie szaleńca.

; -W jaki sposób miałby to zrobić?

-Niemam pojęcia.

Czy tonie ty miałeś zamiar do nich zadzwonić i przedstawić się jako krewnym zamordowanych?

- Dziękuję za pomoc.

Być może wyjadę na południe.

Byłeś kiedyś na Teneryfie?

- Nigdy.

Powodzenia.

Od razu wybrała zanotowany numer.

Automatyczna sekretarka prosiła o pozostawienie wiadomości.

Birgitta Roślin: zrobiła się niespokojna.

Znow sięgnęła poodkurzacz, niemając właściwie zamiaru sprzątać.

Po chwili zostawiła go

85.

i usiadła przy komputerze.

Po mniej więcej godzinie podjęła decyzję, że za dwa dni poleci z Kopenhagi na Teneryfę.

Znalazła swój stary szkolny atlas i zaczęła marzyć o ciepłym morzu i hiszpańskim winie.

Być może tego właśnie mi trzeba, pomyślała.

Tygodnia bez Staffana, bez rozpraw, bez codzienności.

Nie mam szczególnego doświadczenia w analizowaniu własnych uczuć i wyobrażenia o sobie i swoim życiu.

Ale w moim wieku powinnam umieć przyjrzeć się sobie na tyle dokładnie, żeby dostrzec ewentualne usterki i jeśli trzeba, obrać nowy kurs.

Kiedyś, gdy byłam jeszcze młoda, marzyłam o tym, by jako pierwsza kobieta opłynąć kulę ziemską.

Nic z tego nie wyszło.

Ale przynajmniej znam terminologię nawigacji i potrafię przeprowadzić się przez wąskie przesmyki.

Być może potrzebuję właśnie kilkuniedni na niekończące się przepływanie tam i z powrotem przez cieśninę Sund lub spacerować po plaży na Teneryfie, żeby odpowiedzieć sobie na pytanie, czy to już starość, czy może uda mi się jeszcze wyjść z dołka.

Z okresem przekwitania sobie poradziłam.

Ale nie mam pewności, co teraz się ze mną dzieje.

Spróbuję się tego dowiedzieć.

Przedewszystkim muszę ustalić, czy moje podwyższone ciśnienie i napady paniki mają coś wspólnego ze Staffanem.

Zapewne nigdy nie poczujemy się dobrze, jeśli nie uda nam się wyrwać ze stanu zniechęcenia, w którym tkwimy.

Od razu przystąpiła do planowania urlopu.

Ponieważ strona biur podróży wciąż się zawieszała i Birgitta nie mogła zrobić rezerwacji przez internet, wysłała e-mail ze swoim nazwiskiem, numerem telefonu i informacją, która wycieczką ją interesuje.

Natychmiast otrzymała odpowiedź z obietnicą, że ktoś skontaktuje się z nią w ciągu godziny.

Kiedy czas oczekiwania prawie minął, zadzwonił telefon.

Nie było to jednak biuro podróży.

86

- Mówi Vivi Sundberg.

Chciałabym rozmawiać z panią Birgittą Roslin.

- To ja.

- Powiedziano mi, kim pani jest, ale nie wiem, czego właściwie pani chce.

Z pewnością domyśla się pani, że mamy tumnośćwo pracy.

Czy dobrze zrozumiałam?

Jest pani sędzią?

- Zgadza się.

Nie zabiorę pani dużo czasu.

Moja matka, która od dawna nie żyje, była adoptowana przez rodzinę z nazwiskiem Andren.

Widziałam wiele fotografii, z których wynika, że mieszkali w jednym z tych domów.

- Nie ja zajmuję się kontaktami z krewnymi ofiar.

Proponuję, żeby porozmawiała pani z Erikiem Huddenem.

- Ale wśród ofiar są ludzie o tym nazwisku?

- Skoro już pani pyta, wygląda na to, że rodzina Andren stanowią w tej większości.

- I wszyscy nie żyją?

- Nie odpowiem na to pytanie.

Jakie były imiona przybranych rodziców pani matki?

Birgitta miała podręcznik z teczką z dokumentami.

Rozwiązała sznurek i zaczęła szukać wśród papierów.

- Nie mogę czekać - powiedziała Vivi Sundberg.

Proszę zadzwonić, kiedy będzie pani wiedziała.

- Już je mam.

Brita i August Andren.

Muszą mieć ponaddziewięćdziesiąt, może nawet dziewięćdziesiąt pięć lat.

Trwało milczenie.

Birgitta słyszała w słuchawce szelest kartek.

Po chwili Vivi wróciła do rozmowy.

- Są tutaj.

Niestety nie żyją.

Najstarsze z nich miało dziewięćdziesiąt sześć lat.

Muszę panią jednak prosić o nieprzekazywanie tej informacji żadnej gazecie.

- Dlaczego, na Boga, miałabym to robić?

- Jest pani sędzią.

Dobrze pani wie, jak to czasem wygląda, i dlatego muszę o to prosić.

87.

Birgitta Roślin doskonale wiedziała.

Od czasu do czasu rozmawiała ze swoimi kolegami o tym, że dziennikarze rzadko kiedy ich nagabują.

Raczej nie liczą na to, że sędziabędzie skłonny udzielić informacji, które nie powinny zostać ujawnione.

- Oczywiście interesuje mnie też przebieg śledztwa.

- Ani ja, ani żaden z moich kolegów nie mamy czasu na udzielanie informacji pojedynczym osobom.

Jesteśmy oblegani przez media.

Niektórzy próbują się nawet przedzierać przez zabezpieczenia blokujące dostęp do miejsca zbrodni.

Wczoraj przyłapaliśmy w jednym z domów mężczyznę

z kamerą.

Odsyłam panią do Huddena.

Proszę zadzwonić do Hudiksvall.

Ostatnie słowa Vivi Sundberg wypowiedziała z niecierpliwym, poirytowanym tonem.

Birgitta ją rozumiała.

Przypomniała sobie, co Hugo Malmberg powiedział na

temat swojego zadowolenia, że nie znalazł się w centrum tych wydarzeń.

- Dziękuję, że pani oddzwoniła.

Nie będę więcej przeszkadzać.

Birgitta zastanawiała się przez chwilę nad tym, co usłyszała.

Miała już pewność, że przybrani rodzice jej matki zostali zamordowani.

Teraz ona i wszyscy pozostali krewni musieli uzbroić się w cierpliwość i czekać na efekty pracy policji.

Zastanawiała się, czy zadzwonić na posterunek w Hudiksvall i poprosić o rozmowę z policjantem Huddenem.

Cóż jednak więcej mogła od niego usłyszeć?

Zdecydowała, że nie zadzwoni.

Zamiast tego zaczęła dokładnie studiować papiery z teczki po rodzicach.

Minęło wiele lat od czasu, gdy ostatnio do niej zaglądała.

Część dokumentów nigdy wcześniej dokładnie nie przeczytała.

88

Zawartość teczki posortowała na trzy kupki.

Pierwszą dotyczyła historii jej ojca spoczywającego na dnie Bałtyku, u wybrzeży Gwle.

W słonej wodzie szkielety nie rozpadają się zbyt szybko.

Gdzieś w piasku na dnie morza leżą jego kości i czaszka.

Druga kupka składała się z dokumentów dotyczących wspólnego życia matki i Birgitty, nienarodzonej i narodzonej.

Ostatnia, największa kupka dotyczyła Gerdy Lóóf, która pewnego dnia przyjęła nazwisko Andren.

Powoli uważnie Birgitta przeczytała wszystkie dokumenty.

Gdy doszła do momentu, w którym matka została adoptowana, musiała nieco zwolnić.

Wiele kartek było wyblakłych i trudnych do odcyfrowania, pomimo że czytała je przez lupę.

Wyjęła z szuflady biurka notes i zaczęła notować imiona i wiek poszczególnych członków przybranej rodziny.

Sama urodziła się wiosną roku 1949.

Jej matka miała wówczas osiemnaście lat, a więc urodziła się w roku 1931.

Na jednej kartce znalazła daty urodzenia Brity i Augusta.

Ona urodziła się w sierpniu 1909 roku, on w grudniu 1910.

Mieli więc dwadzieścia i dwadzieścia jeden lat, kiedy przyszła świat Gerda, i około trzydziestki, gdy przybyła do Hesjóvallen.

Nie znalazła żadnych dokumentów świadczących o tym, że tam właśnie mieszkali.

Przekonała ją jednak fotografia, którą jeszcze raz dokładnie porównała ze zdjęciem znalezionym w gazecie.

Nie było mowy o pomyłce.

Przeglądała się sztywno wyprostowanymi postaciami na starej fotografii.

W centrum znajdowała się para starszych ludzi, nieco z boku dwoje młodszych.

Czy mogłoby być Brita i August?

Zdjęcie nie było opisane, nie znalazła na jego odwrocie żadnej daty.

Próbowała określić czas, kiedy mogło zostać zrobione.

Co mówiła na ten temat ubrania fotografowanych osób?

Wszyscy byli wystrojeni do zdjęcia, ale naWSi jeden garnitur nieraz starczał na całe życie.

Birgitta odłożyła fotografię i wróciła do przeglądania dokumentów i listów.

W roku 1942 Brita zapadła najakąś chorobę żołądka i leżała w szpitalu w Hudiksvall.

Gerda napisała do niej list z życzeniami powrotu do zdrowia.

Miała wtedy jedenaście lat i jej pismo było kanciaste.

W liście zrobiła trochę błędów, róg kartki został przyozdobiony kwiatkiem nierównych płatkach.

Birgitta poczuła wzruszenie i zastanawiała się, jak to możliwe, że dotąd nie odkryła tego listu.

Był w kopercie, razem z innym.

Ale dlaczego nigdy jej nie otworzyła?

Czy to z powodu bólu po śmierci Gerdy?

Może dlatego przez długi czas nie chciała ruszać niczego, co by jej przypominało?

Odchyliła się w krześle i zamknęła oczy.

Swojej matce zawdzięczała wszystko.

Gerda, która nie ukończyła nawet podstawówki, wciąż mobilizowała córkę do nauki.

Teraz nasza kolej, mówiła.

Teraz córki klasy robotniczej mogą zdobyć wykształcenie.

Tak też Birgitta zrobiła.

Właśnie w latach sześćdziesiątych na uniwersytety płynął strumień uczniów pochodzących nie tylko z rodzin mieszczańskich.

Przynależność do radykalnych lewicowych ugrupowań była czymś socyjalistycznym.

W życiu chodziło wówczas nie tylko o zrozumienie go, ale też przede wszystkim o wprowadzanie zmian.

Otworzyła oczy.

- Nie stało się tak, jak planowałam - powiedziała sama do siebie.

- Zdołałam zdobyć wykształcenie, zostałam prawnikiem.

Porzuciłam moje radykalne poglądy, właściwie niewiem dlaczego.

Nawet teraz, gdy za chwilę skończę sześćdziesiąt lat, nie mam odwagi zapytać, co właściwie zrobiłam ze

swoim życiem.

Wróciła do przeglądania dokumentów, czytając metodycznie jeden po drugim.

Znów natrafiła na list.

Koperta miała niebieskawy odcień i amerykańskie stemple.

Cienki papier

90

był zapisany maczkiem.

Birgitta skierowała na list światłobiurowej lampki i wzięła lupę.

List napisano po szwedzku, ale w tekście widniało wiele angielskich słów.

Ktoś imieniem Gustaf opowiadał o swojej pracy - był hodowcą świń.

Właśnie zmarło dziecko imieniem Emily, w domu panował "dużo smutku".

Był ciekaw, co słychać w domu w Halsingland, jak się miewa rodzina, jak idą żniwa i czy zwierzęta dobrze się chowają.

Na liście widniała data: 19 czerwca 1896 roku.

Nakopercie był adres: August Andren, Hesjövallen, Sweden.

Przybranego dziadka nie było jeszcze wtedy na świecie, pomyślała.

Zapewne list napisano do jego ojca, skoro zachowała go rodzina Gerdy.

Ale dlaczego znalazł się wśród jej dokumentów?

Na samym dole, poniżej podpisu, znajdował się adres: Mr Gustaf Andren, Minneapolis Post Office, Minnesota, United States of America.

Ponownie otworzyła stary atlas.

Minnesota to kraina rolnicza.

A więc to tam wyemigrowała część rodziny Andren z Hesjövallen ponad stulat temu.

Pochwili znalazła list świadczący o tym, że inny członek rodziny osiadł w innej części USA.

Nosił imiona Jan August i najwyraźniej pracował przy budowie kolei, która łączy dziś wschód i zachód wybrzeża tego ogromnego kraju.

W liście Jan August pytał rodzinę, zastanawiał się, którzy jej członkowie jeszcze żyją, a którzy zmarli.

Więszaczęśćtekstubyła niestety nieczytelna.

Pismo się rozmazało.

Ian August miał następujący adres: Reno Post Office, Nevada, United States of America.

Czytała dalej, ale wśród licznych pism nie znalazła już nic, co dotyczyłoby związków jej matki z rodziną Andren.

Odsunęła teczkę, weszła do internetu i nie licząc nato, że znajdzie coś ciekawego, zaczęła szukać adresu w Minnea

91.

polis, który podał Gustaf Andren.

Zgodnie z oczekiwaniami znalazła parę nieistotnych informacji.

Spróbowała więc znaleźć adres w Nevadzie.

Na ekranie wyświetlił się link do "Reno Gazette Journal".

W tym samym czasie zadzwonił telefon, był to sympatyczny młody mężczyzna z biura podróży, mówiący z duńskim akcentem.

Przedstawił Birgit warunki podróży i opisał hotel.

Nie zastanawiając się, zrobiła wstępną rezerwację i obiecała potwierdzić ją najpóźniej nazajutrz rano.

Weszła na stronę "Reno Gazette Journal".

W prawym górnym rogu znalazła różne podstrony do wyboru, w zależności od tematów i artykułów, które by ją interesowały.

Już miała zamknąć stronę, gdy przypomniała sobie, że szukała nazwiska Andren, a nie adresu pocztowego Reno.

Skoro znalazła się na stronie "Reno Gazette Journal", musiało to mieć jakiś związek z nazwiskiem.

Zaczęła przeglądać gazetę stroną po stronie, temat po temacie.

Widok kolejnej z nich sprawił, że zamarła.

Z początku przeczytała widniejący na niej tekst pobieżnie, nie do końca go rozumiejąc, potem jeszcze raz, powoli, myśląc, że to, co ma przed oczami, nie może być prawdą.

Zerwała się z krzesła

i stanęła kilka metrów od komputera.

Jednak tekst i zdjęcie niezniknęły.

Wydrukowała artykuł i wzięła go ze sobą do kuchni.

Przeczytała raz jeszcze, bardzo powoli.

"4 stycznia w miasteczku Ankersville, na północny wschód od Reno, doszło do brutalnego morderstwa.

Właściciel warsztatu i cała jego rodzina rano zostali znalezieni martwi przez sąsiada.

Mężczyznę zaniepokoił fakt, że warsztat, pomimo późnej godziny, nie został otwarty.

Policja nie natrafiła jak dotąd na żaden trop.

Wiadomo jednak, że cała rodzina Andren, Jack, jego żona Connie oraz dzieci Steven i Laura

92

Zostali zabici niezidentyfikowanym ostrym narzędziem.

Nic nie wskazuje na to, by przyczyną napadu było włamanie lub kradzież.

Brak też motywu.

Rodzina Andren była lubiana i nie miała żadnych wrogów.

Policja szuka sprawcy tego brutalnego zabójstwa, którym najprawdopodobniej jest osoba chora psychicznie lub zdesperowany narkoman".

Birgitta siedziała w milczeniu.

Za okna dobiegał odgłos pracującej na ulicy śmieciarki.

To nie żaden szaleniec, pomyślała.

Policja w Halsingland myli się tak samo jak policja w Nevadzie.

To jeden lub wielu przebiegłych morderców, którzy doskonale wiedzą,

co robią.

Poraz pierwszy poczuła dreszcz strachu przebiegający po plecach.

Ogarnęło ją uczucie, jakby ktoś obserwował ją ukrycia.

Przeszła do przedpokoju i sprawdziła, czy drzwi są zamknięte.

W końcu usiadła przed komputerem i zaczęła przeglądać starsze artykuły w "Reno Gazette Journal".

Śmieciarka odjechała.

Popołudnie przechodziło w wieczór.

Długo po tych wydarzeniach, kiedy pamięć o nich zaczęła już blaknąć, Birgitta Roślin zastanawiała się czasem, co by się wydarzyło, gdyby wówczas mimo wszystko zdecydowała się pojechać na Teneryfę, a potem wróciła do pracy wypoczęta, z należytym poziomem żelaza i obniżonym ciśnieniem.

Stała się

Jednak tak, jak się stało.

Wczesnym rankiem następnego dnia Birgitta zadzwoniła do biura podróży i odwołała rezerwację.

Ponieważ przewidująco zaznaczyła w formularzu

93.

rzę opcję ubezpieczenia od tego typu sytuacji, rezygnacja z wycieczki kosztowała ją tylko kilkaset koron.

Staffan wrócił do domu dopiero późnym wieczorem, ponieważ pociąg, w którym miał służbę, utknął w szczympolu z powodu awarii lokomotywy.

Przez dwie godziny musiał radzić sobie z marudnymi pasażerami, nie wspominając o starszej pani, która nagle się rozchorowała.

Do domu dotarł zmęczony i poirytowany, Birgitta pozwoliła mu więc w spokoju zjeść kolację i dopiero potem opowiedziała o swoim odkryciu.

Była przekonana, że morderstwo popełnione w dalekiej Nevadzie miało coś wspólnego z zabójstwami w Halsingland.

Zauważyła, że mąż odnosi się do jej teorii sceptycznie, nie wiedziała jednak, czy powodem było zmęczenie, czy też może brak wiary w to, że to, co mówi, może być prawdziwe.

Kiedy położyła się spać, wrócił do komputera i zaczęła wyszukiwać na przemiennie informacje na temat wydarzeń w Halsingland i w Nevadzie.

Około północy zrobiła kilka notatek, zupełnie jak wówczas, gdy miała do napisania wyrok.

Jakkolwiek niewiarygodnie to brzmiało, była pewna, że istnieje związek między obydwoma morderstwami.

Przyszło jej też na myśl, że w pewien sposób również ona należy do rodziny Andrenów, pomimo że nosi nazwisko Roölin.

Czy mogłoby oznaczać, że jest w niebezpieczeństwie?

Długą chwilę siedziała pochylona nad notesem, starając się znaleźć odpowiedź.

W końcu wyszła na dwór, w rześką styczniową noc, i spojrzała w niebo.

Kiedyś dowiedziała się od matki, że jej ojciec był zapalonym obserwatorem gwiazd.

W dużych odstępach czasu matka otrzymywała od niego listy, w których opisywał, jak nocami stoi na pokładzie, w odległych częściach świata, i bada gwiazdy i ich różne konstelacje.

Żył niemal religijne przekonanie, że zmarli zamieniają

94

się w pył, z którego z kolei powstają nowe gwiazdy, czasem tak odległe, że niemal niewidoczne dla ludzkiego oka.

Birgitta zastanawiała się, o czym myślała, gdy "Runskar" szedł na dno w Zatoce Botnickiej.

Przeładowany statek przechylił się gwałtownie podczas dużego sztormu i zatonął w niecałą minutę.

Zanim radio ucichło na zawsze, załoga zdołała wysłać tylko jedno wezwanie o pomoc.

Czy ojciec zdążył się zorientować, że umiera?

A może śmierć dopadła go w lodowatej wodzie tak nagle, że nie zdążył o niczym pomyśleć?

Krótką chwilą grozy, a potem tylko chłód i śmierć.

Niebo tej nocy zdawało się bliskie, gwiazdy jasno świeciły.

Widzę tylko powierzchnię, pomyślała Birgitta.

Istnieje jakiś związek, cienkie nici, które się ze sobą splatają.

Ale co znajduje się pod spodem?

Jaki motyw miał zabójca, żeby zamordować dziewiętnaście osób w małej wiosce na północy, a potem unicestwić całą rodzinę na pustyni w Nevadzie?

Zapewne taki jak zwykle: zemsta, chciwość, zazdrość.

Ale jakżeż krzywda mogłaby pobudzić do tak potwornej zemsty?

Któż zyskałby finansowo na wymordowaniu niemal dwudziestu emerytów w odludnej wsi, którzy tak niebawem mieli umrzeć?

Kto mógłby im czegokolwiek zazdrościć?

Zrobiło jej się zimno, więc weszła do domu.

Zazwyczaj chodziła spać wcześniej.

Wieczorami była już zmęczona i nieznosiła przychodzić niewyspana do pracy.

Szczególnie wtedy, kiedy czekała ją rozprawa.

Teraz nie musiała się tym martwić.

Położyła się na kanapie i włączyła muzykę, cicho, żeby nie obudzić Staffana.

Była to składanka współczesnych szwedzkich ballad.

Birgitta Roślin miała tajemnicę, której nigdy nikomu nie zdradziła.

Marzyła o tym, żeby pewnego dnia napisać przebój, który wygra eliminacje do konkursu Eurowizji.

Czasem wstydziła się swojego marzenia, ale nie ukrywała go.

Wiele lat temu kupiła słownik rymów i od tego

95.

czasu szkice kilku piosenek leżały zamknięte w szufladzie biurka.

Zapewne pisanie szlagierów nie przystoi sędziemu.

O ile się

jednak orientowała, nie było żadnego przepisu, który mógłby jej tego zabronić.

Najbardziej chciała napisać oskrowronku.

Piosenkę o tympięknym ptaku, o miłości, z refrenem, którego nikt nigdy nie zapomni - Jej ojciec był namiętnym obserwatorem gwiazd, a ona uważała się za namiętną poszukiwaczkę refrenów.

Obydwoje mieli w życiu wielką pasję, ale tylko jedno z nich spoglądało w niebo.

Położyć się spać dopiero otrzeć nad ranem.

Delikatnie trąciła chrapiącego Staffana.

Gdy obrócił się na bok i ucichł, zasnęła.

Rano przypomniała sobie sen, który przyśnił jej się w nocy.

Widziała w nim matkę, która przemawiała do niej, ale Birgitta nie mogła zrozumieć, co mówi.

Zupełnie jakby stała za szybą - Sen zdawał się nie mieć końca.

Matka była coraz bardziej zdenerwowana, że córka jej nie słucha, a Birgitta zastanawiała się, co je od siebie oddziela.

Pamięć jest jak szkło, pomyślała.

Ci, którzy odeszli, wciąż są widoczni - całkiem zbliżeni.

Aleni możemy się nawzajem dosięgnąć.

Śmierć jest niema.

Zabrania rozmowy, dopuszczaj wyłącznie ciszę.

Wstał z łóżka.

W jej głowie zaczęła się wykluwać pewna myśl.

Birgitta nie wiedziała, skąd owa myśl się wzięła.

Pojawiła się nagle, znikąd, i była bardzo wyraźna.

Nie rozumiała właściwie' dlaczego nigdy wcześniej myśl ta nie przyszła jej do głowy.

W końcu jej matka też zostawiła za sobą przeszłość.

Nigdy nie wymagała od Birgitty, swojego jedynego dziecka, żeby interesowała się jej wcześniejszym życiem.

Sięgnęła po atlas samochodowy.

Latem, kiedy dzieci były jeszcze małe, podróżowali po kraju i jeździli do wynajętych

96

na wakacje domków letniskowych, najczęściej na cały miesiąc.

Jedynie dwa razy, gdy spędzali to na Gotlandii, lecieli samolotem.

Nigdy nie podróżowali pociągiem, a Staffanowi wóczas nawet nie przyszłoby do głowy myśl, że pewnego dnia porzuci zawód adwokata i zostanie konduktorem.

Otworzyła atlas na rozkładówce z mapą całej Szwecji.

Halsingland leżało dalej na północ, niż przypuszczała.

Nie znalazła wsi Hesjóvallen.

Musiła być tak mała i nieznacząca, że nie zaznaczono jej na mapie.

Kiedy odkładała atlas, była już zdecydowana.

Wsiądzie w samochód i pojedzie do Hudiksvall.

Nie po to, by odwiedzić miejsc brodni, ale przede wszystkim, by zobaczyć wieś, w której dorastała jej matka.

W czasach młodości miała zamiar odbyć podróż po Szwecji.

Nazywała ją w myślach "powrotem do domu".

Chciała dotrzeć aż do trójstyku granic na północy, a potem na samopółdnie, do wybrzeży Skanii, gdzie znalazłaby się bliżej kontynentu i miałyby cały kraj zaplecami.

Jadąc na północ, trzymałaby się wybrzeża, a wracałaby przez środek Szwecji.

Nigdy nie odbyła tej podróży.

Gdy pewnego dnia wspomniała o niej Staffanowi, ten pomysł nie przypadł mu do gustu.

Przez wszystkie lata, gdy mieli na głowie dzieci, wyprawianie wchodziło w grę.

Teraz nadarzała się okazja, żeby zaliczyć choć część wymarzonej trasy.

Kiedy Staffan jadł śniadanie tuż przed wyjściem na pociąg do Alvesty, poktórej to trasi miał mieć kilka dni wolnego, opowiedziała mu o swoich planach.

Rzadko sprzeciwiał się jej pomysłom, nie zrobił tego i tym razem.

Zapytał jedynie, jak długo jej nie będzie oraz czy lekarz aby na pewno nie miałby nic przeciwko temu.

Taka długa jazda samochodem to bądź co bądź spory wysiłek.

Dopiero gdy stał w przedpokoju, z dłonią na klamce,okazała złość.

Pożegnała się w kuchni, ale wyszła z nim

i wściekła rzuciła w niego gazetę.

-Co ty wyprawiasz?

spytał zaskoczony

-Czy ciebie w ogóle interesuje, dlaczego chcę wyjechać?

-Przecież mi to wytłumaczyłaś.

- Nie rozumiesz, że być może potrzebuję czasu, żeby się zastanowić nad tym, jak nam się ze sobą żyje?

-Nie możemy teraz; o tym rozmawiać.

Spóźnię się na pociąg.

- Nigdy nie możemy; nie ma czasu ani wieczorem, ani rano.

Czy ty nigdy nie masz potrzeby porozmawiania ze mną o naszym życiu?

- Wiesz, że nigdy się nie nakręcam tak jak ty.

-Ja się nakręcam?

Uważasz, że się nakręcam, bo reaguję na to, że od roku z tobą nie spaliśmy?

- Nie mamy teraz czasu na tę rozmowę.

Nie mogę się spóźnić.

-Lepiej znajdź trochę czasu.

- Co masz na myśli?

-Moja cierpliwość może się skończyć.

- Czy to jest groźba?

-Wiem tylko tyle, że nie może być dalej tak, jak jest.

Idź już na ten swój cholerny pociąg.

Odwróciła się i poszła do kuchni.

Usłyszała trzaśnięcie drzwi.

Poczuła ulgę.

Wreszcie powiedziała to, co leżało jej nasercu, równocześnie jednak obawiała się reakcji Staffana.

Zadzwonił wieczorem i żadne z nich nie wspomniało porannej rozmowy w przedpokoju.

W jego głosie wyczuła jednak zdenerwowanie.

Może wreszcie uda im się porozmawiać tym, czego nie dało się dłużej ukrywać.

98

Następnego dnia, wcześnie rano, usiadła zakierownicą, żeby wyruszyć napółnoc od Helsingborga.

Wcześniej odbyła rozmowę z dziećmi i doszła do wniosku, że własne sprawy pochłaniają je do tego stopnia, że nie mają czasu na angażowanie się w plany matki.

Wciąż żadnemu z nich nie powiedziała, że odkryła pewien związek między sobą a wydarzeniami w Hesjövallen.

Staffan, który wrócił do domu nocą, wyniósł jej walizkę i położył na tylnym siedzeniu w samochodzie.

- Gdzie się zatrzymasz?

- W Lindesbergu jest mały hotelik.

Tam zatrzymam się na noc.

Zadzwonię, obiecuję.

Zakładam, że potem znajdę

hotel w Hudiksvall.

W Pośpiesznie pogładził ją po policzku i pomachał jej na

pożegnanie.

Nie śpieszyła się i robiła częste przerwy.

Do Lindesbergu dotarła późnym popołudniem.

Dopiero w ostatniej godzinie jazdy znalazła się na drogach zasypanych śniegiem.

Wynajęła pokój w hotelu, zjadła kolację w małej, pustej restauracji i wczesnie położyła się spać.

W wieczornej gazecie, w której wciąż głównym tematem była tragedia w Hesjövallen, przeczytała, że następnego dnia ma się ochłodzić, choć wciąż będzie pogodnie.

Spała kamiennym snem, a kiedy się obudziła, nie pamiętała żadnych snów.

Ruszyła dalej w kierunku wybrzeża i Haldengland.

Nie włączyła radia w samochodzie, cisza w nim panująca sprawiała jej przyjemność.

Przyglądała się jakby niekończącym się lasom, wyobrażając sobie, jak mogłoby wyglądać spędzenie dzieciństwa.

Nawykła do widoku falujących pól uprawnych i otwartej przestrzeni.

W głębi serca jestem nomadą, pomyślała.

Nomadów nie ciągnie do lasu, ale do rozległych równin.

W myślach zaczęła szukać rymu do słowa nomada.

Trzeciasylaba dawała dużo możliwości.

Być może powinna to być piosenka o mnie samej, pomyślała.

Sędzia, która starsię odnaleźć w sobienomadę.

Okolo dziewiętej zatrzymała się na kawę w przydrożnej restauracji na południe od Njutanger.

Była jedynym gościem w lokalu.

Na którymś stoliku leżał numer "HudiksvallsTidning".

W gazecie dominowały informacje o masowym morderstwie, ale Birgitta nie znalazła nic, o czym by nie wiedziała.

W jednej z wypowiedzi szef lokalnej policji, Tobias Ludwig, informował, że następnego dnia zostaną opublikowane nazwiska ofiar.

Na zamazanej fotografii wyglądał zdecydowanie zbyt młodo, by móc udźwignąć tak wielką odpowiedzialność.

Starsza kobieta chodziła od okna do okna i podlewała kwiaty na parapetach.

Birgitta pozdrowiła ją kiwnięciem głowy.

- Pusto tu - zagadnęła.

- Myślałam, że po tym, co się stało, w tych okolicach roi się od dziennikarzy i policji.

- Wszyscy są w Hudik - odparła kobieta.

Mówiła lokalnym dialektem.

- Słyszałam, że nie ma tam miejsca w żadnym hotelu.

--A co ludzi mówią o tym tu, w okolicy?

Kobieta przystanęła przy stole i zaczęła bacznie się jej przyglądać.

- Pani też jest dziennikarką?

Nie, skąd.

Jestem tu przejazdem.

Nie wiem, co myślą inni.

Sama wiem tyle, że już nawet wieś nie uchroni się od przemocy z miast.

To nie jej, pomyślała Birgitta.

Musiała to zdanie gdzieś przeczytać lub usłyszała je w telewizji, a teraz posługuje się nim jak swoim.

100

Uregulowała rachunek, wsiadła do samochodu i rozłożyła mapę.

Do Hudiksvall pozostało już tylko kilkadziesiąt kilometrów.

Jeśli skręci w głąb kraju, trochę na północ, przejedzie przez Hesjövallen.

Wahała się przez chwilę.

Poczuła się jak hiena, ale odegnała tę myśl.

W końcu miała powód, żeby tam pojechać.

W Iggesund skręciła w lewo, potem jeszcze raz w lewo, na skrzyżowaniu w Ólsund.

Zaraz za kolejnym rozwidleniem minęła radiowóz.

W pewnym momencie pośród lasu otworzył się widok na jezioro.

Wzdłuż drogi ukazał się rząd domów.

Wszystkie były otoczone białą-czerwoną taśmą.

Wewnątrz kordonu kręcili się policjanci.

Na skraju lasu Birgitta zauważyła namiot, a na podwórzu pobliskiego domu jeszcze jeden.

Miała z sobą lornetkę.

Cos kryją te namioty?

Nie było o nich mowy w gazetach.

Czyżby jednego lub kilku zabitych znaleziono w tych miejscach?

A może policja zabezpieczyła tam jakieś ślady?

Powoli przesuwiała lornetkę przez całą wieś.

Między domami snuli się ludzie w kombinezonach lub mundurach, niektórzy stali i palili przy furtkach, pojedynczo lub w grupkach.

Zdarzało się czasem, że Birgitta musiała odwiedzić jakieś miejsce zbrodni i przez kilka godzin przyglądać

się pracy policji.

Wiedziała, że prokuratorzy i inni urzędnicy niesą wówczas mile widziani, policja bowiem nie chce narażać się na krytykę.

Nauczyła się jednak odróżniać metodyczną pracę policji od chaotycznej i niestarannej fuszerki.

To, co tu widziała, wyglądało na spokojne i dobrze zorganizowane działanie.

Równocześnie zdawała sobie sprawę, że wszyscy pracujący tam ludzie muszą działać w pośpiechu.

Czas był ich wrogiem.

Chcieli jak najprędzej dotrzeć do prawdy, zanim - nie daj Boże - wydarzy się coś nowego.

101.

Umundurowany policjant zapukał w szybę samochodu, gwałtownie przerywając jej rozmyślenia.

- Co pani tu robi?

- Niewiedziałam, że znalazłam się w obrębie kordonu policji.

- Nie znalazła się pani.

Staramy się sprawdzić wszystkich, którzy się tu kręcą.

Zwłaszcza tych z lornetkami.

Konferencje prasowe organizujemy w mieście, na wypadek gdyby paninie wiedziała.

- Nie jestem dziennikarką.

Młody, nieopierzony policjant przyglądał się jej nieufnie.

- A kim pani jest?

Turystką odwiedzającą miejsczabrodni?

- Właściwie to jestem krewną ofiar.

Policjant wyjął notes.

- Których?

- Brity i Augusta Andrenów.

Jestem w drodze do Hudiksvall, ale nie pamiętam, z kim mam tam rozmawiać.

- Z Erikiem Huddenem.

On odpowiada za kontakty z rodzinami ofiar.

Moje kondolencje.

- Dziękuję.

Policjant zasalutował.

Poczuła się jak idiotka, więc prędko zawróciła i odjechała.

W Hudiksvall zorientowała się szybko, że znalezienie choćby jednego wolnego pokoju uniemożliwia nie tylko masowy najazd dziennikarzy.

Miły portier w First Hotel Statt poinformował ją, że w mieście odbywa się konferencja, na którą zjechali

uczestnicy z całego kraju, żeby "gadać o lasach".

Zaparkowała samochód i spacerując poniewielkim miasteczku, zaczęła ciemno szukać noclegu.

Spróbowała w dwóch hotelach i pensjonacie, wszystko było jednak zajęte.

102

przez chwilę rozglądała się za jakimś miejscem, w którym mogłaby zjeść obiad, i w końcu weszła do chińskiej restauracji.

Wewnątrz było tłoczno, ale znalazła wolny stolik pod oknem.

Wystrój był taki jak we wszystkich chińskich restauracjach, w jakich jadła.

Te samewazy, porcelanowe lwy oraz lampy z czerwonymi i niebieskimi wstążkami.

Birgitcie wydawało się czasem, że wszystkie chińskie restauracje na świecie, być może całe miliony, są częścią jednej i tej samej sieci, a może nawet mają tego samego

właściciela.

Chińska kelnerka przyniosła jej kartę.

Składając zamówienie, Birgitta zorientowała się, że młoda kobieta prawie nie zna szwedzkiego.

Po szybkim obiedzie zaczęła obdzwaniać okoliczne hotele i w końcu udało jej się znaleźć wolny pokój w hotelu Andbacken w Delsbo.

Nawet tam odbywała się konferencja, tym razem skupiająca ludzi z branży reklamowej.

Birgitcie przyszło na myśl, że Szwecja stała się krajem, w którym ludzie spędzają większość czasu na przemieszczaniu się między różnymi hotelami i spotykaniu się na konferencjach.

Samą bardzo rzadko uczestniczyła w szkoleniach, które organizowała Szwedzka Administracja Sądowa.

Hotel Andbacken okazał się dużym białym budynkiem, położonym nad zamrożonym i pokrytym śniegiem jeziorem.

Czekając na swoją kolej przy recepcji, przeczytała w programie konferencji, że jej uczestnicy odbywają właśnie zajęcia w podgrupach.

Na wieczór mieli zaplanowane uroczyste przyjęcie połączone z rozdaniem nagród.

Oby tylko nie była to noc z pijanymi ludźmi na korytarzach i nieustającym trzaskaniem drzwiami, pomyślała.

Chociaż właściwie nie wiem nic o ludziach zajmujących się reklamą.

Dlaczego sądzę, że będę się głośnobawili?

103.

Dostała pokój z widokiem na zamrożone jezioro i skraj lasu.

Położyła się na łóżku i zamknęła oczy.

Dziś miała siedzieć na sali rozpraw, pomyślała, i słuchać monotonnego głosu prokuratora.

Zamiast tego leży na łóżku w hotelu, daleko od Helsingborga, a wokoło śnieg.

Wstała z łóżka, włożyła kurtkę i przejechała krótki odcinek do Hudiksvall.

W recepcji w komendzie policji było dużo ludzi.

Oczywiście większość z nich stanowili dziennikarze.

Birgitta rozpoznała nawet mężczyznę, którego znała z telewizji; zazwyczaj pojawiał się tam, gdzie rozgrywały się jakieś dramatyczne wydarzenia, takie jak napady na bank lub uprowadzenia zakładników.

Z właściwą sobie arogancją przeszedł na początek kolejki, a nikt w niej stojący nie odważył się zaprotestować.

W końcu Birgitta znalazła się przy ladzie i zaczęła tłumaczyć młodej, wyglądającej na przemęczoną recepcjonistce, co ją sprowadza.

- Vivi Sundberg nie ma czasu.

Odmowna odpowiedź ją zaskoczyła.

- Nie zamierza mnie pani spytać, w jakiej sprawie chcę się z nią spotkać?

- Zapewne chce jej pani zadać kilka pytań, tak jak cała reszta.

Proszę poczekać na konferencję prasową.

- Nie jestem dziennikarką.

Jestem krewną ofiar z Hesjövallen.

Recepcjonistka od razu zmieniła ton.

- W takim razie proszę przyjąć moje kondolencje.

Porozmawia z panią Erik Huddem.

Podniosła słuchawkę, wystukała numer i po chwili poinformowała rozmówcę, że ktoś przyszedł "z wizytą".

Najwyraźniej nie musiała mówić nic więcej.

"Z wizytą" przychodzili zapewne wyłącznie krewni ofiar.

104

- Zaraz po panią przyjdzie.

Proszę zaczekać tam, przyszkłanych drzwiach.

Natychmiast podszedł do Birgitty młody mężczyzna.

- Usłyszałem, że jest pani krewną kogoś z zamordowanych.

Czy mogę pani zadać parę pytań?

Birgitta była z natury bardzo spokojna, tym razem jednak

nie wytrzymała.

- Dlaczego miałabym się zgodzić?

Nie wiem, kim pan

jest.

- Piszę.

- Dla kogo?

- Dla wszystkich zainteresowanych.

Pokręciła głową.

- Nie mam panu nic do powiedzenia.

- Oczywiście bardzo mi przykro z powodu pani straty.

- Nie - odparła.

- Wcale nie jest panu przykro.

Mówi panu, żeby nikt inny nie usłyszał, że udało się panu dopaść ofiarę, którą inni przeoczyli.

Szklane drzwi otworzyły się i ukazał się w nich mężczyzna z identyfikatorem.

Widniało na nim nazwisko Erik Hudden.

Uścisnął Birgittie dłoń na powitanie.

Zanim zamknęły zasobą drzwi, spostrzegli błysk flesza.

W korytarzu było dużo ludzi.

Panował tu inny nastrój niż w Hesjövallen.

Weszli do pustego pomieszczenia.

Nastojącym pośrodku stole piętrzyły się różne teczki i kartki z listami nazwisk.

Na grzbietach każdej teczki umieszczono imiona i nazwiska poszczególnych ofiar.

Tu zebrane informacje o zamordowanych, pomyślała Birgitta.

Erik Huddén wskazał jej krzesło i sam usiadł naprzeciwko niej.

Opowiedziała mu całą swoją historię od początku.

Mówiła o matce, o zmianie jej nazwiska oraz o tym, jak odkryła swoje

powiązania z zamordowanymi.

Spostrzegła, że jej opowieść oczarowała policjanta, który uznał, że jej zeznanie raczej nie przyczyni się do postępów w śledztwie.

- Rozumiem, że potrzebne są panu jakieś inne informacje - powiedziała.

- Jestem sędzią i pracą policji nie jest mi obca.

Wiem, jak wyglądają poszukiwania sprawców skomplikowanych zbrodni.

- Cóż, w każdym razie dziękuję, że znalazła pani czas, by nas odwiedzić.

Odłożył długopis i spojrzał na nią zmrużonymi oczami.

- Czy na pewno przejechała pani całą drogę ze Skanii po to, żeby o tym opowiedzieć?

Mogła pani przecież zadzwonić.

- Mam do powiedzenia coś, co bezpośrednio dotyczy śledztwa.

Chciałabym porozmawiać z panią Vivi Sundberg.

- Może pani powie mi o tym.

Vivi Sundberg jest bardzo zajęta.

- Już nią rozmawiałam, wolałabym, żeby to ona mnie wysłuchała.

Hudden wyszedł na korytarz, zamknąwszy za sobą drzwi.

Birgitta sięgnęła po teczkę z napisem "Brita August Andrenowie".

Przeraziło ją to, co zobaczyła.

Były tam fotografie, które zrobiono wewnątrz domu.

Dopiero teraz zdała sobie sprawę z całego koszmaru tej krwawej zbrodni.

Wpatrywała się w zdjęcia porąbanych i rozprutych ciał.

Ciało kobiety było prawie nie do zidentyfikowania.

Jej twarz była rozcięta na dwie części.

Jedną ręką mężczyzny trzymała się tylko na kilku ścięgnach.

Birgitta gwałtownie zamknęła teczkę i odsunęła ją od siebie.

Ale zdjęcia wciąż tkwiły jej przed oczami.

Już nigdy nie dołączyła do nich.

Mimo że w swojej pracy kilka

106

razy musiała obejrzeć zdjęcia dokumentujące sadystryczną zbrodnię, nigdy wcześniej nie spotkała się z czymś, co mogłoby równać z zawartością teczek Erika Huddena.

Po chwili wrócił i kiwnął głową na znak, żeby mu towarzyszyła.

Vivi Sundberg siedziała za biurkiem, które ugięło się pod papierami.

Jej służbowa broń i telefon komórkowy leżały na wierzchu wypchanej po brzegi teczki.

Wskazała wolne

krzesło.

- Chciałabym z panem porozmawiać - powiedziała.

- O ile dobrze zrozumiałam, przyjechała tu pani specjalnie aż do Helsingborga.

Najwyraźniej jest pani przekonana, że to, co pani powiedziała, jest bardzo ważne.

Zadzwonił telefon.

Vivi Sundberg wyłączyła go i wyczekująco spojrzała na gościa.

Birgitta Roölin opowiedziała jej o swoim odkryciu bezwładnego ciała w szpitalu.

Wiele razy, siedząc za stołem sędziowskim, zastanawiała się, jak powinien formułować swoje wypowiedzi prokurator, adwokat, oskarżony lub świadek.

Sama posiadała tę umiejętność.

- Być może wiecie już państwo o tym, co wydarzyło się w Nevadzie - zakończyła.

- Dotychczas nie pojawiło się żaden z przygotowywanych dla nas raportów.

A składane są dwa razy dziennie.

- Co pani o tym sądzi?

-Nic.

- Może toznaczać, że morderstw nie dokonał żaden szaleniec.

Sprawdzimy pani informacje w taki sam sposób, jakkażde inne.

Jesteśmy nimi dosłownie zalewani.

Być może w którymś z zeznań, listów czy e-maili znajduje się jakiś

107.

szczegół, który okaże się istotny dla śledztwa.

Jeszcze tegonie wiemy.

Vivi Sundberg przysunęła do siebie kołonotatniki poprosiła Birgittę o powtórzenie wszystkiego, co miała do powiedzenia.

Gdyskończyłanotować, podniosła się, żebyją odprowadzić.

Zatrzymała się tuż przed szklanymi drzwiami.

- Czy chcepanizobaczyć dom, w którym dorastała panimatka?

To dlatego pani przyjechała?

- Czy to możliwe?

-Ciała zostały zabrane.

Mogę panią wprowadzić, jeśli panichce.

Jadętam zapół godziny.

Musi mipani tylko obiecać,żeniczego stamtąd nie zabierze.

Niektórzy ludzie z chęciąrozszarpaliby na strzępy matę, na której kiedyś leżał zamordowany człowiek.

- Ja do nich nie należę.

-Jeśli zaczeka pani w samochodzie, będzie pani mogła za mną pojechać.

Vivi Sundberg nacisnęła przycisk, który otworzył drzwi.

Birgitta zdążyła wyjść na ulicę, nim któryś z tłoczących sięprzy recepcjidiennikarzy zdołał ją dopaść.

Siedząc w samochodzie z dłonią na kluczyku wetkniętym w stacyjkę, doszła do wniosku, że poniosła klęskę.

ViviSundberg jej nieuwierzyła.

Z czasem zapewnektoś z pracujących przy śledztwie policjantów sprawdzi informacjedotyczące Nevady.

Ale bez entuzjazmu.

Nie mogła mieć pretensji do Vivi Su-ndberg.

Przepaścimiędzy Hesjóvallenga Nevadą była zbyt duża.

Z boku podjechał czarny nieoznakowany samochód.

Vivipomachała jej przez szybę.

Kiedy dotarli do wsi, zaprowadziła ją do jednego z domów.

108

- Zostawiam panią, żeby mogła panipobyćtu przezchwileśsama - powiedziała.

Birgitta głęboko zaczerpnęła powietrza, po czym przekroczyła próg domu, w którym zapalone były wszystkieświatła.

Poczuła się tak, jak gdyby wyszła zza kulisprosto naoświetloną scenę.

W tym dramacie miała wystąpić sama.

8

Birgitta Roślinstarła się niemyśleć o zmarłych,którzy jąotaczali.

Zamiasttego przywołała niewyraźny obraz swojejmatki mieszkającej w tymdomu.

Młoda kobieta tęskniącaza życiem poza tym miejscem,która nie mogłasię z nikimpodzielić swoim marzeniem ani przyznać do niego przedsobą samą, bez wyrzutów sumienia wobec dobrodusznych i pobożnych przybranych rodziców.

Stała w przedpokoju i nasłuchiwała.

W pustych domachpanuje cisza, której nie da się porównać niczym innym,pomyślała.

Ktoś odszedł stąd, zabierającze sobąwszystkiedźwięki.

Nie słychać nawet tykającego zegara.

Birgitta przeszła do salonu.

Uderzyły ją zapachstaroświeckich mebli, kilimów i wyblakłych porcelanowych wazonów,któretłoczyły się na półkach i międzydoniczkami.

Sprawdziła palcem ziemię w jednej z doniczek,poczym poszła do kuchni, napełniła wodą znanalezioną tam konewkę i podlała wszystkie kwiaty.

Był to gest dla zmarłych.

W końcu usiadła na krześle i zaczęła się rozglądać popokoju.

Ile z tych rzeczy znajdowała się na tych samych miejscach, kiedy mieszkała Jej matka?

Większość, pomyślała.

Wszystko tu jest stare, meble starzeją się wraz z właścicielami.

109.

Podłoga w miejscu, w którym leżały ciała, wciąż była pokryta folią.

Birgitta weszła schodami napiętro.

W największej sypialni łóżko było niepościelone.

Wystawał spodniekapeć.

Drugiegonie udało jej się znaleźć.

Były tu jeszcze dwapokoje.

Ten od zachodu miał ściany wyklejone dziecięcątapetą w zwierzątka.

Birgitta pamiętała jak przez mgłę, żematka kiedyś o niej opowiadała.

W pokojustało łóżko, biurko,krzesło, był też stosszmacianych chodników złożonychpod ścianą.

Otworzyła szafę, wyłożoną gazetami.

Dostrzegłana nich datę 1969.

Wówczas jej matkanie mieszkała w tymdomuod przeszło dwudziestu lat.

Usiadła na krześle przy oknie.

Zapadłjużmrok.

Linialasu nad jezioremzniknęław ciemności.

Wśród drzewchodził policjant, wkręgu światła latarki niesionejprzez

kolegę.

Od czasu do czasu przystawał i pochylał się,jakbyczegoś szukał.

Birgittę ogarnęło nagłe uczuciebliskościz matką.

Matkasiadywała na tym krześle, jeszcze zanim ona pojawiła sięw planach.

Tu, w tym pokoju,w innym czasie.

Ktoś wyciąłkreski w pomalowanej na biało ramie okiennej.

Możezrobiła to matka?

Może każda kreska wyrażała kolejnydzieńtęsknoty za innym życiem?

Wstała z krzesła i szła nadół.

Koło kuchni znajdowała się jeszcze jeden pokój z łóżkiem.

O ścianę oparte były kule, a obok stał staroświecki wózek inwalidzki.

Na podłodze, przy nocnym stoliku, stał emaliowany nocnik.

Pokój sprawiał wrażenie nieużywanego od dłuższego czasu.

Wróciła do salonu.

Poruszała się cicho, jakby w obawie, że komuś przeszkodzi.

Szuflady komody były do połowy wysunięte.

W jednej leżały obrusy i serwetki, w drugiej motkiciemnej włóczki.

W trzeciej, najniższej szufladzie Birgitta znalazła związane wstążką listy i kilka notatników w brzo-
wych okładkach.

Wzięła jeden i zaczęła przeglądać.

Nie był podpisany żadnym nazwiskiem, za to w całości wypełniony drobnym pismem.

Wyjęła z torebki okulary i spróbowała je odcyfrować.

Notatnik był stary, tekst napisany staroświeckim językiem.

Był to czyjś pamiętnik.

Notatki mówiły o lokomotywach, wagonach i torach kolejowych.

Nagle odkryła w tekście słowo, na którego widok zamarła.

Nevada.

Wstrzymała oddech.

W tym momencie coś raptownie się zmieniło, pusty i milczący dom przesłał jej wiadomość.

Próbowała odczytać dalszą część tekstu, gdy usłyszała głośne pukanie do drzwi.

Odłożyła pamiętnik do szuflady i zasunęła ją.

Do pokoju weszła Vivi Sundberg.

, -Z pewnością domyśliła się pani, gdzie znaleziono zwłoki - powiedziała.

- Nie muszę pokazywać?

Birgitta przytaknęła.

- Zamykamy domy na noc.

Powinna pani już iść.

- Czy znaleźliście jakichś krewnych ludzi, którzy tu mieszkali?

-O tym właśnie chciałam z panią porozmawiać.

Wygląda na to, że Brita i August nie mieli własnych dzieci i żadnej rodziny poza tą, która mieszkała we wsi i też nie żyje.

Jutro rano wpisujemy ich nazwiska do listy ofiar opublikowanej w prasie.

- Co się z nimi stanie?

-Jest to chyba coś, nad czym pani powinna się zastanowić.

W końcu jest pani w pewnym sensie krewną.

-Nie jestem krewną,ale obchodzi mnie to.

Wyszły na zewnątrz.

Vivi Sundberg zamknęła drzwi na klucz, po czym powiesiła go na gwoździu.

- Niewydaje nam się, żeby ktoś próbował się włamać -wyjaśniła.

- Ta wieś jest strzeżona niemal tak dobrze jak szwedzka para królewska.

111.

Pożegnały się na drodze.

Mocne reflektory oświetlały niektóre domy.

Birgitta znów poczuła się, jakby stała na teatralnej scenie.

- Wraca pani jutro do domu?

- zapytała Vivi.

- Chyba tak.

Czy zastanawiała się pani nad tym, co opowiedziałam?

- Przedstawię pani informację jutrzejszym porannym spotkaniu.

Potem postąpimy z nimi tak samo jak z wszystkimi.

- Ale chyba zgodzi się pani ze mną, że to możliwe, o ile nieprawdopodobne, że te dwie zbrodnie coś ze sobą łączy?

- Za wcześnie, żeby na to odpowiadać.

Myślę, że będzie najlepiej, jeśli przestanie się już pani zajmować tą sprawą.

Birgitta patrzyła, jak Vivi wsadził do samochodu i odjeżdża.

- Nie wierzy mi - powiedziała do siebie na głos.

- Niewierzymi, ale ja to oczywiście rozumiem.

Myśl ta równocześnie wprawiała ją w gniew.

Gdyby sama była policjantką, zbadałaby sprawę, która wskazywała na jakiś związek z inną zbrodnią, nawet gdyby dzieliły je kontynenty.

Zdecydowała, że porozmawia o tym z prokuratorem, który kierował wstępnymi czynnościami śledztwa.

On z pewnością zrozumie wagę tego, co miała do powiedzenia.

Drogę do Delsbo przejechała zdecydowanie za szybko, a kiedy dotarła do hotelu, wciąż była zdenerwowana.

W jadalni trwał bankiet ludzi od reklamy, kolację zjadła więc przyopustoszałym barze.

Do posiłku zamówiła lampkę wina.

Byłto australijski shiraz.

Miał bogaty smak, nie mogła się jednak

zdecydować, czy czuje w nim nutęczekolady, lukrecji, czy może obydwu na raz.

Po kolacji wróciła do pokoju.

Złość całkiem ją już opuściła.

Zażyła jedną z przepisanych przez lekarza tabletek z żela-

112

zem, myśląc o pamiętniku, który zdążyła przekartkować.

powinna była powiedzieć Vivi Sundberg o tym, co w nim znalazła.

Z jakiegoś powodu jednak tego nie zrobiła.

Istniało też ryzyko, że pamiętnik stanie się nieznaczącym detalem w rozległych materiałach śledztwa.

Jako sędzia nauczyła się doceniać policjantów mających szczególny dar znajdowania istotnych informacji w materiale, który większości wydawał się nieposortowany i chaotyczny.

Jakiego typu policjantką była Vivi Sundberg?

Kobietaw średnim wieku, z nadwagą, sprawiająca wrażenie niezbyt

bystrej.

Natychmiast pożałowała tej myśli.

To niesprawiedliwe.

O Vivi Sundberg nie wiedziała nic.

Położyła się na łóżku i włączyła telewizor.

Czuła wibracje dochodzące z pomieszczenia, w którym trwała impreza.

Obudził ją dzwonek telefonu.

Spojrzała na zegarek i stwierdziła, że spała ponad godzinę.

Dzwonił Staffan.

- Gdzie ty się podziewasz?

Dokąd dzwonię?

- Do Delsbo.

-Niewiem nawet, gdzie to jest.

- Na zachód od Hudiksvall.

O ile dobrze pamiętam, kiedyś mówiło się o brutalnych bijatykach i walkach nóżem między parobkami w Delsbo.

Opowiedziała mu o swojej wizycie w Hesjóvallen.

W tle słyszała jazz.

Pewnie się cieszy, że jest sam, pomyślała.

Możesz sobie posłuchać muzyki, za którą ja nie przepadam.

- Jakie masz plany?

- zapytał, kiedy skończyła.

- Zdecyduję jutro.

Wciąż dziwnie się czuję, mając do dyspozycji tyle wolnego czasu.

Możesz teraz wrócić do swojej muzyki.

- To Charlie Mingus.

113.

-Kto?

- Nie mów, że zapomniałaś, kim jest Charlie Mingus!

-Czasem wydaje mi się, że wszyscy twoi jazzmani nazywają się tak samo.

- Teraz sprawiłaś mi przykrość.

- Nie miałam takiego zamiaru.

- Jesteś pewna?

-Co masz na myśli?

- Mam na myśli to, że w głębi serca gardzisz muzyką, którą tak bardzo lubię.

-Dlaczego miałabym nią gardzić?

- Tylko ty znasz odpowiedź.

Staffan przerwał rozmowę, rzucając słuchawkę.

Wprawiła ją to we wściekłość.

Oddzwoniła, ale nie odebrał.

W końcu odłożyła telefon, przypominając sobie myśli, które przyszyły jej do głowy, kiedy siedziała na promie.

Nie tylko ja jestem zmęczona, pomyślała.

On z pewnością odbiera mnie jako zimną i nieobecny, tak samo, jak ja jego.

Żadne z nas nie wie, jak wyjść z tego dołka.

Ale jakuda nam się znaleźć jakiegoś wyjście, skoro każda rozmowa kończy się kłótnią i wzajemnymi pretensjami?

O tym mogłabym napisać, pomyślała.

O ranieniu się nawzajem.

Sporządziła w myślach listę słów, które rymowały się z ranić: ganić, mamić, zamieć, pamięć, ramię, kochanie, pożądanie, wybaczenie, pojednanie.

Piosenka o cierpieniu, piosenka sędzi, pomyślała.

Ale jak ją napisać, żeby nie brzmiała banalnie?

Przygotowała się do snu.

Długo przewracała się w łóżku, zanim nadszedł.

Wczesnym rankiem, kiedy było jeszcze ciemno, obudziła ją trzaśnięcie drzwi.

Leżąc w ciemności, przypomniała sobie, co jej się śniło.

Była w domu Brity

114

i Augusta.

Mówili do niej, siedząc na ciemnoczerwonej kanapie, ona stała przed nimi.

Nagle zorientowała się, że jest naga.

Próbowała się okryć i odejść, ale coś ją przed tym powstrzymywało.

Nogi odmawiały posłuszeństwa, były jak sparaliżowane.

Spojrzała w dół i zobaczyła, że jej stopy są wtopione w deski podłogi.

W tym momencie się obudziła.

Nastuchiwała w ciemności.

Rozmowy pijanych imprezowiczów przechodzących korytarzem stawały się coraz głośniejsze, a potem cichły.

Spojrzała na zegarek.

Było za piętnaście piąta.

Jeszcze daleko do świtu.

Ułożyła się wygodniej i próbowała zasnąć.

Raptem przyszła jej do głowy pewna myśl.

Klucz wisiał nagwoździu.

Usiadła na łóżku.

Było to oczywiście zabronione i nierozsądne.

Zabieranie tego, co leżało w szufladzie.

Należało czekać, aż jakiś policjant przypadkowo zainteresuje się jej zawartością.

Wstała z łóżka i podeszła do okna.

Pusto i cicho.

Mogę zrobić, pomyślała.

W najlepszym razie przyczynię się do tego, że to śledztwo nie wyląduje w koszu, w tym samym, do którego wrzucono dochodzenie będące dotąd największą porażką - dochodzenie w sprawie zamordowania premiera.

Będę jednak winna kradzieży dowodów rzeczowych.

Być może jakiś gorliwy prokurator zdoła później przekonać jakiegoś niedoświadczonego sędziego, że moje postępowanie utrudniło śledztwo.

:-'; ,

Niestety, do kolacji piła wino.

Trafić za kratki z pijanym było najgorszą rzeczą, jaka mogła spotkać sędziego.

Policzyła godziny, jakie upłynęły od posiłku.

Alkohol powinien już zostać strawiony.

Nie była tego jednak pewna.

;;:

Nie wolno mi tego zrobić, pomyślała.

Nawet jeśli policjanci pilnują domów śpiących.

Nie wolno mi.

115.

Ubrała się i wyszła z pokoju.

Na korytarzu nie było nikogo, ale zza wielu drzwi dochodziły odgłosy dogorywających imprez.

Wydawało jej się, że słyszy teżkochającą się parę.

Recepcja była pusta.

Dostrzegła plecy jasnowłosej kobiety w pokoju za ladą.

Kiedy wyszła na zewnątrz, uderzyła ją fala mroźnego powietrza.

Niebo było bezchmurne, ale mróz był ostrzejszy niż poprzedniego wieczoru, mimo że niewiał wiatr.

Wsiadła do samochodu i znów się zawahała.

Pokusabyła jednak zbyt wielką.

Chciała przeczytać ten pamiętnik.

Po drodze nie spotkała żadnych samochodów.

Jeden raz musiała ostro zahamować, ponieważ zdawało jej się, że zaprzydrożną zaspą dostrzegła łosia.

Nie było to zwierzę, ale podstępnie uformowany korzeń.

Przed ostatnim wzniesieniem przed zjazdem do wsi zatrzymała samochód i zgasiła światła.

W schowku miała latarkę.

Ostro nie zaczęła schodzić wzdłuż drogi.

Od czasu do czasu przystawała i nasłuchiwała.

Lekki wiatr szumiał w pogrążonych w mroku czubkach drzew.

Kiedy dotarła na szczyt pagórka, dostrzegła, że dwa reflektory wciąż są włączone, a przed domem położonym najbliżej lasu stoi zaparkowany radiowóz.

Mogła podejść do domu Andrenównie zauważona.

Ostłoniła światłolatkę, przedostała się przez furtkę na podwórze sąsiedniego domu i podeszła do domu Brity i Augusta od tyłu.

Nie dostrzegła żadnego ruchu w radiowozie.

Wymacała dłoń klucza na framudze.

Kiedy weszła do przedpokoju, wstrząsnął nią dreszcz.

Ostrożnie wyjęła reklamówkę z kieszeni kurtki, przeszła do salonu i wysunęła szufladę komody.

Nagle latarka zgasła.

Spróbowała ją ożywić, kilkakrotnie ją potrząsając.

Bez skutku.

Po omacku spakowała listy i pa-

116

miętniki do foliowej torby.

Kilka związanych listów wypadło jej z dłoni i długo macała po podłodze, zanim udało jej się je odnaleźć.

Szybko opuściła dom i wróciła do samochodu.

Recepcjonistka w hotelu spojrzała na nią ze zdziwieniem.

Miała ochotę od razu zacząć czytać pamiętniki, uznała jednak, że najpierw spróbuje się trochę przespać.

O dziewiątej pożyczyła w recepcji lupę i usiadła za stołem, który przesunęła pod okno.

Ludzie od reklamy zaczęli się powoli rozjeżdżać, wsiadali do samochodów i minibusów.

Powiesiła na klamce tabliczkę "Nie przeszkadzać" i zaczęła czytać.

Lektura była trudna, niektórych słów, a czasem nawet zdań nie była w stanie odcyfrować.

Pierwsze, co dostrzegła, to to, że za autorem podpisanym "JA" skrywał się mężczyzna.

Z jakiegoś powodu nie pisało sobie "ja" małymi literami, ale tak, jakby były to inicjały.

Początkowo nie wiedziała, kim jest, ale po jakimś czasie przypomniała sobie list znaleziony wśród dokumentów matki.

Jan August Andren.

To musiał być on.

Był brygadziście przy budowie kolei, która powoli podążała na wschód przez pustynię Nevada i szczegółowo i rozwlekłe rozpisywał się o tym, jaka odpowiedzialność na nim spoczywa.

JA opowiadał o podkładach iszynach oraz o tym, jak z radością giną kark przed zwierzchnikami, którzy imponują mu władzą.

Pisał o chorobach, jakie go nawiedzały, między innymi o uporczywej gorączce, która sprawiła, że przez dłuższy czas nie był w stanie pracować.

Widać to było po piśmie, które od pewnego momentu stało się chybotałe.

JA pisał, że ma "wysoką gorączkę i krew we wciąż powracających i uciążliwych wymiotach".

Birgitta mogła niemal fizycznie odczuć emanujący z kartek pamiętnika strach przed chorobą.

Ponieważ JA nie wpisywał dat przy

117.

swoich notatkach, nie mogła ocenić, jak długo był chory.

Najednej stronienagle natrafiła natestament.

"Memu przyjacielowi Herbertowi moje dobre trzewiki i inne odzienie, panuHarrisonowi moją strzelbę i rewolwer, proszę go ponadto zawiadomienie moich krewnych w Szwecji, że pomarłem.

Pieniądze wszystkie oddaję pastorowi przy kolejach, żeby sprawił mi przyzwoity pochówek i co najmniej dwa psalmy zarządził.

Nie spodziewałem się, że mój żywot już dobiegakońca.

Boże, dopomóż".

JednakJA nie umiera.

Nagle, bez żadnej zapowiedzi, znów jestzdrowy.

Teraz jest chyba brygadzystą wfirmie Central Pacific, budującej linię kolejową od Oceanu Spokojnegodo punktu, w którym ma się ona zetknąć z linią budowaną równocześnieod wschodu przez inną firmę.

Skarży się czasem, że "robotnicy sąvery lazy", jeśliich nie pilnuje.

Najbardziej niezadowolony jest zIrlandczyków, którzy dużo piją i nie zawszestawiają sięrano do pracy.

Wylicza, że musi odprawiaćcoczwartego Irlandczyka, a to powoduje duże problemy.

Piszeteż, że niemożliwe jest zatrudnianie Indian, ponieważ nie chcą pracować tyle, ile się od nich wymaga.

Z czarnymijest łatwiej, choć niewolnicy, zbiegli albo wyzwoleni, teżniechętnie wykonują polecenia.

JA przyznaje, że "krzepkieszwedzkie pachołki zdałybysię tu :w miejsce podstępnychchińskich wieśniaków i zapitych Irlandczyków".

Birgitta musiała wytężyć wzrok, by odczytać pismo.

Odczasudo czasukładła się na łóżku i zamykała oczy.

Po jakimśczasie odłożyła pamiętniki zaczęła czytać listy zebranew trzy pakunki.

Znów pisał JA.

Byłoto to samo trudne doodczytania pismo.

Pisze do rodziców i opowiada im, jak musię wiedzie.

Dostrzegła dużą rozbieżność między JA z pamiętnika a JA piszącym listy do domu.

Przyjmując, że pisał

118

prawdę w pamiętnikach, w listach musiał kłamać.

W notatniku znalazła informację jego miesięcznym zarobku -jedenaście dolarów.

W jednym z pierwszych listów, które przeczytała, JA opowiada, że "bossowie są mi tak radzi, że wypłacają mi dwadzieścia pięć dolarów miesięcznie, co równać się może temu, co otrzymuje sekretarz powiatu u Wasw Szwecji".

Przechwala się, pomyślała.

JA wie, że jest tak daleko od domu, że nikt nie skontroluje tego, co pisze.

Czytając dalej, szybko stwierdziła, że każde kolejne kłamstwo w nich zawarte jest coraz bardziej zdumiewające.

Nagle JA znalazł sobie narzeczoną, kucharkę imieniem Laura, pochodzącą "ze znakomitej rodziny z New Yorku".

Wywnioskowała, że musiał napisać to wtedy, kiedy walczył chorobą i sporządził testament.

Być może uroił sobie Laurę, gdy majaczył w gorączce.

Mężczyzna, którego próbowała rozgryźć, cały czas wymykał jej się z rąk, wciąż uciekał przed jej ciekawym wzrokiem.

Zaczęła kartkować pamiętniki z coraz większym zniecierpliwieniem.

Siedziała pochylona nad zapiskami JA przez wiele godzin, gdy natrafiła na coś ważnego.

W jeden z notatników wtknięty był dokument, który początkowo wzięła za pokwitowanie odbioru wypłaty.

Za kwiecień 1864 roku Jan August Andren otrzymał wynagrodzenie za pracę w wysokości jedenastu dolarów.

Teraz była pewna, że to ten sam mężczyzna, który napisał list znaleziony wśród dokumentów pozostawionych przez matkę.

Wstała z krzesła i podeszła do okna.

Jakiś człowiek odśnieżał chodnik.

Pewnego dnia z Hesjövallen wyemigrował mężczyzna nazwiskiem Jan August Andren, podsumowała.

Osiadł wNevadzie i zatrudnił się przy budowie kolei jako brygadzista, nie przepadał za Irlandczykami ani Chińczykami,

119.

którym szefował.

Zmyślona narzeczona być może nie była innym, jak jedną z "rozwiązłych kobiet, gromadzących się przy budowie kolei", o których pisał wcześniej.

Roznoszone choroby weneryczne wśród robotników i kolejarzy.

Prostytutki, które ciągną w ślad za linią kolejową, są przyczyną nieporządku wielu problemów.

Nie chodzi wyłącznie o zarażonych robotników, których trzeba odesłać, ale też regularne brutalne bójkę, które toczą o nie mężczyźni.

W kolejnym pamiętniku, który Birgitta przeczytała prawie do połowy, JA opisuje jedno takie zdarzenie.

Pewien Irlandczyk nazwiskiem O'Connor został skazany na śmierć za zabójstwo szkockiego kolejarza.

Dwaj pijani mężczyźni pobili się o kobietę.

O'Connor miał zostać powieszony.

Sprowadzony sędzia orzekł, że egzekucja nie odbędzie się w mieście, ale na wzgórzu, w pobliżu miejsca, dokąd ma być budowana kolej.

Jan August Andren pisze: "Rad jestem, że wszyscy zobaczą, do czego prowadzi pijaństwo i bójkę na noże".

Śmierć Irlandczyka opisuje bardzo szczegółowo.

Jest to młody mężczyzna, "ledwo opierzony na brodzie", pisze JA o skazanym.

Był wczesny ranek.

Egzekucja ma się odbyć przed poranną zmianą.

Nawet wieszanie skazanego nie sprawi, że ktokolwiek uniknie pracy i choćby jeden podkład zostanie położony później.

Brygadziści dostali rozkaz, by wszyscy byli obecni podczas egzekucji.

Wieje silny wiatr.

Jan August Andren zawiązuje sobie chustkę, zakrywając usta i nos, i udaje się na kontrolę, by sprawdzić, czy cała jego brygada opuściła namioty i stawiła się na wzgórzu.

Szubienicą stoi napodeście zwłasnemu pociągniętych dziegiem podkładów.

Jak tylko młody O'Connor zawiśnie, podest zostanie rozebrany, a podkłady zaniesione na świeżo

zbudowany nasyp.

Skaza

120

niec nadchodzi w eskorcie uzbrojonych stróżów prawa.

Wrazz nimi pojawia się również duchowny.

Jan AugustAndrenpisze:"Wśród zebranych rozległ się pomruk.

Przez chwilęzdawało się, że to pod adresem kata, jednakowożpotemnaszła mnie myśl, że kaźden z tam zgromadzonychrad był, że to nie jemu pętlę naszyję nałożą.

Mogłem w chwili tejbyćpewien, że wielu z tych, co nienawidzą codziennego trudu, czułaonielską radość, że i tego dnia będą mogli nosić szyny,gruz i kłած pokłady".

Opis staje się coraz bardziej dramatyczny.

O'Connor wlecze sięw kajdanach, odrętwiały, nagleożywia się,tuż przedwejściem na szafot zaczyna krzyczeć i walczyć o życie.

Pomruk wśród zgromadzonych staje się głośniejszy, a całe tozdarzenie Jan August Andren opisuje jako "okropne przeżycie widzieć, jak ten młody mężczyznawalczy o życie, którezaraz straci.

Wyrywającego się i krzyczącego mężczyznęprowadzą do szubienicy, a on wyje, aż w końcu otwiera się zapadnia".

Wówczas cichnierównież pomruk.

Robi się, piszeJan August Andren, "cicho, jakbywszyscy tu obecni oniemieli i poczuli, jakby sami zawiśli na stryczku".

Naprawdę dobrze to wyraził, pomyślała Birgitta Roslin.

Człowiekpiśzącyz uczuciem.

Wisielec zostajeodcięty, podkłady i zwłoki uprzątnięte.

Dochodzido bójki między kilkoma Chińczykami.

Walczą kawałkiliny, na którejpowieszono O'Connora.

Andrenstwierdza, że "Chińczycy nie są nam podobni, są brudni, trzymają się osobno, rzucajądziwaczne przekleństwa i czynią magiczne sztuki, które są nam nieznanne.

Teraz zapewne przygotowują lekarstwo nastryczku skazańca".

Po raz pierwszy się odstania, pomyślała.

Spod pióra wychodzi jego własny osąd.

"Chińczycynie są nam podobni, sąbrudni".

121.

Zadzwoił telefon.

Była to Vivi Sundberg.

- Obudziłam panią?

-Nie.

- Może panizejść na dół?

Jestem w recepcji.

- O co chodzi?

-Proszę zejść, wtedy pani powiem.

Vivi Sundberg czekała przy kominku.

- Usiądźmy - zaproponowała, wskazując na kilka kanapustawionych w rogu hotelowego holu.

-Skąd pani wiedziała, że tu się zatrzymałam?

- Sprawdziłam to.

Birgitta zaczęła się niepokoić.

Vivi Sundberg była niedostępna i chłodna.

Od razu też przeszła do rzeczy.

- Nie jesteśmy całkiem ślepi i głusi - zaczęła.

- Nawet jeśli pracujemy na prowincji.

Z pewnością wie pani, oczym mówię.

- Nie.

-Zniknęła zawartość szuflady w domu, do którego panią wpuściłam.

Prosiłam, żeby niczego paninie ruszała, ale pani to zrobiła.

Musiała pani wrócić tam nocą.

W szufladzie, którą pani opróżniła, były listy i pamiętniki.

Poczekam tutaj, a pani mi je przyniesie.

Czy pamiętników było pięć, czy sześć?

Ile listów?

Proszę oddać wszystko.

Będę wtedy skłonna o tym zapomnieć.

Powinna mi pani być równie wdzięczna za to, że chciało mi się tu pofatygować.

Birgitta poczuła, że się czerwieni.

Została przyłapana in flagranti, z palcami wsłouku z konfiturą.

Nie mogła nic zrobić.

Sędzia został skazany.

Wstała i poszła do pokoju.

Przez moment poczuła pokusę zatrzymania pamiętnika, który właśnie czytała.

Nie miała jednak pojęcia, ile dokładnie wie Vivi Sundberg.

To, że robi wrażenie, jakby nie była pewna, ile pamiętników leżało

122

w szufladzie, nie musiał przecież nic znaczyć.

Mogła poprostu chcieć wystawić uczciwość Birgitty na próbę.

Zniosła wszystkie pamiętniki i listy do recepcji.

Vivi Sundberg miała ze sobą papierową torbę, do której je spakowała.

- Dlaczego pani to zrobiła?

- spytała.

- Z ciekawości.

Pozostaje mi tylko powiedzieć, że żałuję.

- Czy jest coś, czego mi pani nie powiedziała?

- Nie mam żadnych ukrytych motywów.

Vivi przyjrzała jej się uważnie.

Birgitta znów poczuła, że się czerwieni.

Policjantka wstała.

Mimo masywnej sylwetki nadwagi poruszała się lekko.

- Pozwoli pani, że od teraz zajmie się tym policja - dodała na zakończenie.

- Przymknę okna to, że weszła pani w nocy do tego domu.

Możemy o tym zapomnieć.

Niech pani jedzie do domu, a ja wrócę do pracy.

- Przepraszam.

- Już to pani zrobiła.

Vivi Sundberg wyszła z hotelu i wsiadła do czekającego na nią radiowozu.

Birgitta Roślin patrzyła, jak odjeżdżaw chmurze śniegu.

Wróciła do pokoju, nałożyła kurtkę i poszła na spacer, nad skute lodem jezioro.

Wiał zimny wiatr, więc postawiła kołnierz.

Sędzia nie powinien zakradać się nocą do domu, w którym dopiero co brutalnie zamordowano dwoje starszuchów, żeby kraść z niego pamiętniki i listy, pomyślała.

Zastanawiała się, czy Vivi Sundberg powiedziała o tym swoim kolegom, czy postanowiła zachować to dla siebie.

Obeszła całe jezioro dokoła, do hotelu wróciła więc zgrzana i spocona.

Wzięła prysznic, przebrała się, po czym zaczęła analizować to, co się wydarzyło.

Spróbowała spisać swoje myśli, ale po chwili zmięta kartkę wrzuciła ją do kosza.

Udało jej się odwiedzić dom, w którym...

rym dorastała jej matka.

Zobaczyła jej pokój i upewniła się, że jej przybrani rodzice zostali zamordowani.

Czas wracać do domu, pomyślała.

Zeszła do recepcji i poprosiła o przedłużenie rezerwacji jeszcze jedną noc, po czym pojechała do Hudiksvall, znalazła księgarnię i kupiła książkę o winach.

Zastanawiała się przez chwilę, czy zjeść coś wchińskiej restauracji, którą już znała, ale w końcu wybrała włoską.

Długo siedziała przystoliku, wertując gazety, nie interesowała się już jednak tym, co pisano o Hesjóvallen.

W pewnej chwili zadzwonił telefon.

Spojrzała na wyświetlacz, na którym pojawiło się imię jednej z bliźniaczek, Siv.

- Gdzie jesteś?

- W Halsingland.

Mówiłam, że się tu wybieram.

- A co tam robisz?

- Właściwie wiem.

- Jesteś chora?

- W pewnym sensie tak.

Jestem na zwolnieniu.

Ale głównie z przepracowania.

- Co robisz w Halsingland?

- Podróżuję.

Potrzebowałam jakiejś odmiany.

Jutro wracam do domu.

Birgitta słyszała oddech córki w słuchawce.

- Czy ty i tata znowu się pokłóciliście?

-Dlaczego mielibyśmy to zrobić?

- Jest coraz gorzej.

Wyczuwa się, kiedy się przyjeżdżano do domu.

- Co takiego?

-Że wam się nieukłada.

Poza tym tak powiedział.

- Czyta powiedział wam, że się nam nie układa?

124

- Ma pewną zaletę.

W przeciwieństwie do ciebie, odpowiadano pytaniom.

Chyba powinnaś o tym pomyśleć w drodze do domu.

Muszę już kończyć.

Nie mam pieniędzy na karcie.

Usłyszała kliknięcie.

Birgitta zastanowiła się nad tym, co powiedziała jej córka.

Było jej przykro, choć zdawała sobie sprawę, że jest to prawda.

Miała zażaleć się Staffanowi, że zamkasz w sobie, podczas gdy sama zachowywała się tak samo w stosunku do swoich dzieci.

Wróciła do hotelu i zaczęła czytać nowo kupioną książkę, potem zjadła lekką kolację i wcześniej poszła spać.

W środku nocy obudził ją dzwonek telefonu.

Kiedy odebrała, nikt nie odpowiedział.

Na wyświetlaczu pokazał się żaden numer.

Ogarnęło ją nieprzyjemne uczucie.

Kto mógł dzwonić tej porze?

Zanim znów zasnęła, sprawdziła, czy drzwi pokoju są zamknięte.

Wyrzała też przezokno.

Podjazd przed hotelem był pusty.

Położyła się z postanowieniem, że rano zrobi to, co wydawało się najrozsądniejsze.

Pojedzie do domu.

9

O godzinie siódmej siedziała już w sali śniadaniowej.

Przezoknowychodzące na jezioro zobaczyła, że zerwał się wiatr.

Drogą szedł mężczyzna ściągnął na sankach dwójkę opatulonych dzieci.

Przypomniała sobie czasy, kiedy sama chodziła z dziećmi na sanki.

Był to jeden z najdziwniejszych okresów w jej życiu.

Bawiła się z dziećmi, zastanawiając się równocześnie nad wyrokami w sprawie skomplikowanych

125.

przestępstw.

Krzyki i śmiech dzieci kontrastowały z przerażającymi odwiedzinami w miejscach zbrodni.

Kiedyś wyliczyła, że w swojej karierze sędziego posłała zakratki dziesięciu zabójców.

Do tego dochodziła jeszcze pewna liczba gwałcicieli i ludzi oskarżonych o pobicia, którzy jedynie przez przypadek nie stali się mordercami.

Niepokoїła ją ta myśl.

Podsumowywanie swojego życia i swojej pracy liczbą morderców, których zamknęła -w więzieniu; czy był to naprawdę wynik wszystkich jej starań?

Dwukrotnie jej grożono.

Raz policja helsingborgska uznała za konieczne przydzielić jej ochronę.

Chodziło o handlarza narkotyków powiązanego z gangiem motocyklowym.

Dzieci były wówczas małe.

Wspominała to jako bardzo nieprzyjemny okres, kiedy to jej życie rodzinne bardzo ucierpiało.

Był to czas, gdy ona i Staffan prawie codziennie na siebie krzyczyli.

Jedząc śniadanie, przeglądała gazety, odkładała jednak te, które rozpisywały się o wydarzeniach w Hesjövallen.

W końcu wybrała dziennik o tematyce biznesowej.

Rzuciła okiem na notowania giełdowe i dyskusję o tym, jak w zarządach spółek akcyjnych reprezentowane są kobiety.

W sali śniadaniowej było niewiele osób.

Dolała sobie kawy i zaczęła zastanawiać się nad tym, czy na powrót do domu wybrać inną drogę.

Może odbić na zachód i pojechać przez lasy Varmlandii?

Nagle ktoś ją zagadnął.

Był to mężczyzna siedzący samotnie przy jednym z dalej położonych stolików.

- Czy pan mówi domnie?

-Jestem tylko ciekaw, czego chciała od pani Vivi Sundberg.

Nie rozpoznała mężczyzny, nie rozumiała też do końca, o co pytał.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, podniósł się

126

i podszedł do jej stolika.

Odsunął krzesło i przysiadł się bez pytania.

Wyglądała sześćdziesięciolatka, miał nadwagę inieświeży oddech.

Rozzłościło ją to naruszenie jej terytorium.

- Chcę w spokoju zjeść śniadanie.

- Już pani zjadła.

Chcę tylko zadać kilka pytań.

- Nie wiem nawet, kim pan jest.

- Lars Emanuelsson.

Reporter.

Nie dziennikarz.

Jestem od nich lepszy.

Nie jestem żadnym pismakiem.

Moje teksty są dopracowane i w dobrym stylu.

- To nie uprawnia pana do tego, żeby przeszkadzać mi podczas śniadania.

Lars Emanuelsson wstał i usiadł przy sąsiednim stoliku.

- Lepiej?

- Lepiej.

Dla kogo pan pisze?

- Jeszcze nie zdecydowałem.

Najpierw musi być historia, potem dopiero decyzja, kto ją dostanie.

Nie sprzedaję tekstów byle komu.

Jegobuta irytowała ją coraz bardziej.

Poza tym śmierdział, jakby od dawna się nie mył.

Był jak karykatura natrętnego pismaka.

- Zauważyłem, że wczoraj rozmawiała pani z Vivi Sundberg.

Nie była to zbyt przyjazna rozmowa.

Dwa szukujące się do walki koguty.

Czy się mylę?

- Myli się pan.

Nie mam panu nic do powiedzenia.

- Ale nie może pani zaprzeczyć, że z nią rozmawiała?

- Oczywiście, że nie.

Nie zaprzeczam.

- Zastanawia mnie, co robi tu sędzia z Helsingborga.

Musi pani mieć coś wspólnego z tym śledztwem.

W małej wiosce na północy dzieją się straszne rzeczy i w te pędy przyjeżdża sędzia z Helsingborga.

127.

Czułość Birgitty nagle wzrosła.

- Czego pan ode mnie chce?

I skąd pan wie, kim jestem?

- Wszystko jest kwestią odpowiednich metod.

Całe nasze życie jest nieustannym dążeniem do osiągnięcia pożądanego rezultatu.

Zakładam, że dotyczy się to też sędzi.

Istnieją reguły i rozporządzenia, prawa i postanowienia, ale metody, które stosujemy, są nasze własne.

Nie wiem już, o ilu śledztwach pisałem.

Przez jeden rok, dokładnie trzysta sześćdziesiąt sześć dni, zajmowałem się śledztwem w sprawie zamordowania Palmego.

Wcześniej zrozumiałem, że morderca nigdy nie zostanie złapany, ponieważ dochodzenie kulało, zanim jeszcze zdążyło wystartować.

Było oczywiste, że sprawca nigdy nie zostanie pociągnięty do odpowiedzialności, bo policja i prokuratura wcale go nie szukały, ale zabiegały o miejsca na kanapach stacji telewizyjnych.

Wielu uważało wówczas, że musiał to być Christer Pettersson, poza niewielką grupą mądrych śledczych, która się tym nie zgażała.

Zdecydowanie nie zgażała.

Nikt ich wtedy nie słuchał.

Trzymam się na uboczu.

Krążę wokół i widzę stamtąd rzeczy, których inni nie dostrzegają.

Choćby na przykład to, że pewnej pani sędziśklada wizytę Vivi Sundberg.

Policjantka, która niema czasu na nic poza śledztwem, nad którym pracuje dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Co takiego jej pani dała?

- Nie odpowiem na to pytanie.

- Dla mnie oznaczano więc, że jest pan bardzo zaangażowana w to, co się tu dzieje.

Mogę napisać: "Sędzia ze Skanii zamieszana w dramat z Hesjövallen".

Dopiła resztkę kawy i podniosła się z krzesła.

- Jeśli coś mi pani powie, mogę się odwdziżyć.

128

- Nie mam panu absolutnie nic dopowiedzenia.

Nie dlatego że mam jakąś tajemnicę, ale dlatego że nie wiem nic, co mogłoby zainteresować dziennikarza.

Lars Emanuelsson wyglądał na zasmuconego.

- Reportera.

Nie dziennikarza.

Nie napiszę, że jechała pani

po pijaku.

Nagle uderzyła ją pewna myśl.

- Czy to pan dzwonił do mnie w nocy?

- Ja? Skąd!

- A więc mam już pewność.

,

- Ktoś dzwonił?

W środku nocy?

Kiedy pani spała?

Czy powinienem się tym zainteresować?

Nie odpowiedziała.

Nacisnęła guzik windy.

- Powiem pani jedną rzecz - nie poddawał się Lars Emanuelsson.

- Policja trzyma w tajemnicy pewien ważny szczegół.

O ile człowieka można nazwać szczegółem.

Drzwiwindy rozsunęły się.

Birgitta Roślin weszła do

środka.

- Nie zginęli tam wyłącznie starzy ludzie.

W jednym z domów znaleziono małego chłopca.

Drzwi się zamknęły.

Kiedy była już na swoim piętrze, nagle zmieniła zdanie i zjechała z powrotem na dół.

Czekał na nią, nieruszywszy się z miejsca.

Usiedli w holu.

Lars Emanuelsson zapalił papierosa.

- Tu nie wolno palić.

- Niech pani powie jeszcze coś, co mnie kompletnie nie obchodzi.

Na stoliku przed nimi stała doniczka z kwiatkiem.

Użył

, Jej jakopopielniczki.

- Zawsze należy szukać tego, o czym nie mówi policja.

W tym, co ukrywają, widać ich sposób myślenia.

W którym

129.

kierunku iść, żeby znaleźć sprawcę.

Wśród ofiar jest dwunastoletni chłopiec.

Wiedzą, czym był krewnym i corobiłwe wsi, ale ukrywają te informacje.

- Skąd pan to wie?

-To moja tajemnica.

W każdym śledztwie jest mała szczelina, przez którą przeciekają informacje.

Należy ją znaleźć, a potem trzymać przy niej ucho.

- Kim był ten chłopiec?

-Tegona razienie wiadomo.

Znam jego nazwisko, ale gopani nie zdradzę.

Przyjechał w odwiedzin do krewnych.

Właściwie powinien być w tym czasie w szkole, ale miał wolnienie po operacji oczu.

Biedak zezował.

Po zabiegu okwrócił na swoje miejsce.

Migacz został wyłączony, można by powiedzieć.

No i zostaje zabity.

W taki sam sposób jak starzy, u których mieszkał.

A jednak nie do końca.

- Na czym polega różnica?

Lars Emanuelsson odchylił się w krześle.

Brzuch wylał musię ze spodni.

Wzbudzał w niej odrazę.

Wiedziało tym, a lenie przejmował się tym.

- Teraz kolej na panią.

Vivi Sundberg, notesy i listy.

- Jestem dalekąkrewną jednych z ofiar.

Dałam ViviSundberg materiały, o które prosiła.

Przyglądał się jej przymrużonymioczami.

- Mam w touwierzyć?

-Jak pan chce.

- Coto były za notesy, co za listy?

-Chodziło owyjaśnieniestosunków rodzinnych.

- Której rodziny?

Brity iAugusta Andrenów.

Kiwnąłgłową w zamyśleniu, po czym zgasił papierosa,nagle się ożywiając.

130

- Dom numerdwa lub siedem.

Policja nadała każdemudomowi kod.

Numer dwa to 2/3.

Oznacza to rzecz jasna, że

znaleziono tam trzy trupy.

Przyglądałsię jej, wyjmując na wpół wypalonego papierosa

z pogniecionego pudełka.

- To nie tłumaczy, dlaczego rozmowa była takachłodna.

- Śpieszyła się.

O co chodziło z tym chłopcem?

Na czym

polega różnica?

- Nie udało mi się tego do końca wyjaśnić.

Muszę przyznać, że policjanci z Hudiksvall i ci z Komendy Krajowej, którzy przyjechali im pomagać, trzymają się razem.

Wydaję się jednak, że chodzi tu o to, że chłopca morderca potraktował łagodniej.

- Co ma pan na myśli?

- Jedyne, co mogę przypuszczać, to to, że chłopiec przed śmiercią nie cierpiał, nie był narażony na ból i strach.

Można z tego oczywiście wysnuć różne wnioski, pewnie tak samociekawe i błędne.

Ale to może pani zrobić sama.

O ile to panią interesuje.

Wstał, ponownie gasząc papierosów doniczkę.

- Idę krążyć dalej - powiedział.

- Może się jeszcze spotkamy.

Kto wie?

Patrzyła, jak znikają za drzwiami.

Przechodząca obok recepcjonistka zatrzymała się, czując dym z papierosów.

- To nie ja - powiedziała Birgitta.

- Ostatniego papierosa wypaliłam, kiedy miałam trzydzieści dwa lata.

To było mniej więcej wtedy, kiedy pani się urodziła.

Wróciła do pokoju, żeby spakować walizkę.

Stała jednak przy oknie i przyglądała się wytrwałemu ojcu z siostrami i dwójką dzieci.

Co właściwie powiedział ten nieprzyjemny człowiek?

I czy był rzeczywiście tak antypatyczny, jakim

chciała go widzieć?

Pewnie po prostu wykonywał swoją pracę.

Nie była dla niego szczególnie życzliwa.

Gdyby zachowała się bardziej przychylnie, może powiedziałaby jej więcej?

Usiadła przy małym biurku i zaczęła notować.

Jak zwykle, myślała najtrzeźwiej nad kartką papieru i z długopisem w dłoni.

O tym, że zamordowany został również mały chłopiec, nie przeczytała w żadnej z gazet.

Był jedyną młodą ofiarą tej zbrodni, o ile nie ma żadnych innych ofiar, których istnienie policja trzyma w tajemnicy.

Słowa Larsa Emanuelssona o sposobie zabicia chłopca mogły.

oznaczać nic innego jak tylko to, że pozostałe ofiary przed śmiercią cierpiały, a może nawet były torturowane.

Z jakiej przyczyny sprawca oszczędził tego chłopca?

Czy po prostu zrobił to, ponieważ chłopiec był jeszcze dzieckiem morderca wziął to pod uwagę?

A może istniał jakiś inny powód?

Nie było jasnej odpowiedzi na te pytania.

Nie było też jej problemem.

Wciąż czuła się zawstydzona tym, co się stało poprzedniego dnia.

Jej zachowanie było niewybaczalne.

Nie miała nawet odwagi pomyśleć, co by się stało, gdyby dowiedział się o tym jakiś dziennikarz.

Byłaby wówczas zmuszona do powrotu do Skanii co najmniej w atmosferze skandalu i poniżenia.

Spakowała walizkę i przygotowała się do opuszczenia pokoju.

Zanim wyszła, włączyła jeszcze telewizor, żeby sprawdzić prognozę pogody i wybrać powrotną drogę do domu.

Trafiła jednak na konferencję prasową policji w Hudiksvall.

Na niewielkim podium siedziały za stołem trzy osoby, wśród nich jedna kobieta - Vivi Sundberg.

Nagle Birgittę zmroziła pewna myśl.

A jeśli zamierza powiedzieć, że pewna pani sędzia z Helsingborga została przyłapana na kradzieży w miejscu zbrodni?

Skurczyła się narogu łóżka

132

i podkręciła dźwięk w telewizorze.

Mówił mężczyzna siedzący pośrodku - Tobias Ludwig.

Wywnioskowała, że jest torelacja na żywo.

Kiedy Tobias Ludwig skończył mówić, mikrofon przysunął bliżej siebie prokurator Robertsson.

Powiedział, że policja czeka na informacje o czymkolwiek mogącym mieć związek ze zbrodnią w Hesjövallen.

Mogą to być obserwowane samochody, obcy ludzie, którzy przebywali w okolicy i z jakichś przyczyn wydali się komuś podejrzani.

Teraz przyszła kolej na Vivi Sundberg.

Uniosła do góry przezroczystą foliową torebkę.

Operator zrobił zbliżenie, żeby pokazać widzom jej zawartość.

W torebce znajdowała się czerwona jedwabna wstążka.

Vivi Sundberg powiedziała, że policja prosi o pilny kontakt, gdyby ktokolwiek ją rozpoznał.

Birgitta podeszła bliżej ekranu.

Czy nie widziała przypadkiem wstążki podobnej do tej, która była w foliowej torebce?

Uklękała przed telewizorem, żeby lepiej się jej przyjrzeć.

Wstążka zdecydowanie jej się czymś kojarzyła.

Szukała jej obrazu w pamięci, ale nie mogła sobie nic przypomnieć.

Konferencja prasowa przeszła do części, w której dziennikarze zadawali pytania.

Wstążka zniknęła z ekranu.

Obraz sali konferencyjnej w komendzie policji zastąpiła mapa pogody.

Od strony Zatoki Fińskiej nad wschodnie wybrzeże Szwecji miały nadciągnąć zamiecie śnieżne.

Birgitta zdecydowała, że pojedzie drogą wiodącą w głąb kraju.

Zeszła do recepcji, zapłaciła rachunek, dziękując za pobyt.

Kiedy szła do samochodu, wiał przenikliwy, zimny wiatr.

Położyła walizkę na tylnym siedzeniu, usiadła za kierownicą i rozłożyła mapę.

Po chwili wybrała szosę przez las w kierunku Jarvsjón, a potem dalej na południe.

Wyjechała na drogę, po czym raptownie skręciła i zatrzymała samochód w zatoczce.

Nie byław stanie pozbyćsięprzed oczu obrazu czerwonej wstążki, którąpokazanow telewizji.

Miała w pamięci jakiś kojarzący się znią obraz,ale niepotrafiła go przywołać, choć czuła, że dzieli ją odniego jakaś bardzo cienka zasłona.

Nie mogła jednak zanią zajrzeć.

Przyjechałam tu z tak daleka, pomyślała,mogęchyba spróbować dowiedzieć się, z czym mi się ta wstążkakojarzy.

Zadzwoniła do komendypolicji.

Mijały ją ciężarówki, wzbijając tumany śniegu, które zasłaniały widok.

Długoczekwała, aż ktośpodniesie słuchawkę.

W końcu odezwał siędenerwowany głos recepcjonistki.

Birgitta Roślinpoprosiła o połączeniez Erikiem Huddenem.

- Dzwonięw sprawie śledztwa - podkreśliła.

- Hesjóvallen.

- Chyba jest zajęty, ale spróbuję go znaleźć.

Kiedy wreszcie podszedł do telefonu,Birgitta zaczęła już

tracić nadzieję, że udajejsię z nim porozmawiać.

Również

on wydawał się poirytowany.

-Hudden.

- Nie wiem, czy mnie pan pamięta - zaczęła.

- Jestemsędzią, która upierała się przy spotkaniu zVivi Sundberg.

- Pamiętam.

Zastanowiła się przez chwilę, czy Vivi Sundberg opowiedziała mu o jej wyczynie, wyczuła jednak, że Erik Huddennic o tym niewie.

Może rzeczywiście Vivi dotrzymałaśłowa?

- pomyślała.

Amoże uratowało mnie to, że wpuściłamnie do tego domu wbrewprzepisom?

- Chodzi o czerwoną wstążkę, którą pokazano wtelewizji - ciągnęła.

-Niestety to chyba był błąd - powiedział Erik Hudden.

- Dlaczego?

134

- Nasza centrala oblegana jest przez dzwoniących, którzytwierdzą, że ją widzieli.

Na przykład na prezentach gwiazdkowych.

Moja pamięć podpowiada mi coś zupełnie innego.

Wydaje mi się, że ją widziałam.

-Gdzie?

- Nie mogę sobie przypomnieć.

Ale na pewno nie chodziło o opakowanie prezentu.

ErikHudden westchnął ciężko.

Wyglądałaona to, że się

waha.

- Mogę pokazać panitę wstążkę - powiedział w końcu.

-Jeśli pani przyjdzie.

- Za pół godziny?

-Dampanidwie minuty, nie więcej.

Czekał na nią w recepcji, kichający i kaszlący.

Foliowatorebkaz wstążką leżała na biurku w jego gabinecie.

Wyjąłją i położył na białej kartce papieru.

- Ma dokładnie dziewiętnaście centymetrów długości - powiedział.

-I prawie centymetr szerokości.

Przy jednym końcu jest dziurka, co świadczy o tym, że była do czegoś przymocowana.

Jest z bawełny i poliestru, chociaż wygląda jak jedwabna.

Znaleźliśmy ją w śniegu.

Wytropił ją jeden z psów.

Birgitta wyteżyła pamięć, próbując sobie przypomnieć, gdzie widziała podobną wstążkę.

Była pewna, że gdzieś ją widziała.

Nie mogła jednak przywołać jej obrazu.

Widziałam ją - powiedziała.

- Mogę przysiąc, że ją widziałam.

Może nie dokładnie tę, ale podobną.

- Gdzie?

-- Nie mogę sobie przypomnieć.

- Jeśli widziała pani coś podobnego w Skanii, niewiele

im to pomoże.

Nie - odparła zdecydowanie.

- To było gdzieś tu.

135.

Przyglądała się wstążce, podczas gdy Erik Hudden stał o ścianę i czekał.

- Przypomnisz mi pani?

-Nie.

Obawiam się, żenie.

Włożył wstążkę do foliowej torebki i odprosił Birgittę do recepcji.

- Jeśli coś sobie pani przypomni, proszę zadzwonić- powiedział na pożegnanie.

- Jeśli okaże się, że był to jednak gwiazdkowy prezent, proszę się nie fatygować.

Przed budynkiem komendy policji czekał na nią Lars Emanuelsson w wytartej futrzanej czapce, głęboko wciśniętej naczoko.

Zdenerwowała się na jego widok.

- Dlaczego pan mnie śledzi?

-Nie śledzę.

Krążę w pobliżu, tak jak powiedziałem.

Teraz udało mi się przypadkiem zobaczyć, jak wchodzi pani do komendy policji, i postanowiłem zaczekać.

Zastanawiam się właśnie, co oznacza ta krótka wizyta.

- Coś, o czym nigdy się pani nie dowie.

Niech mi nie panu zostawi spokoju, zanim się zdenerwuję.

Odchodząc, usłyszała za plecami jego głos.

- Niech pani nie zapomina, że mogę coś napisać.

Odwróciła się gwałtownie.

- Grozi mi pan?

-Skądżeżnowu!

- Wyjaśniłam panu, po co tu przyjechałam.

Nie ma absolutnie żadnych powodów, żeby mieszać mi to, co się dzieje.

- Ludzie czytają to, co się pisze, niezależnie od tego, czy jest to prawda, czy nie.

Tym razem to Lars Emanuelsson odwrócił się i odszedł.

Patrzyła za nim z odrazą, mając nadzieję, że już nigdy go nie spotka.

136

Wróciła do samochodu.

Siadając za kierownicą, nagle przypomniała sobie, gdzie widziała czerwoną wstążkę.

Pamięć odsłoniła przed nią swoją zawartość.

Obraz pojawił się nagle.

Czy może się mylić?

Nie.

Miała wstążkę przed

oczami.

Czekała dwie godziny, ponieważ miejsce, które chciała

odwiedzić, było zamknięte.

Niecierpliwie spacerowała po mieście, zła, że nie może od razu potwierdzić swoich przypuszczeń.

Dokładnie o jedenastej chińska restauracja została otwarta.

Birgitta weszła i usiadła przy tym samym stoliku, który zajęła poprzednim razem.

Spojrzała na lampy wiszące nad stolikami w całym lokalu.

Były wykonane z przezroczystego, cienkiego plastiku, który sprawiał, że wyglądały jak lampiony.

Miały podłużny, cylindryczny kształt.

Na samym dole każdej z nich wisały cztery czerwone wstążki.

Po wizycie na policji Birgitta wiedziała, że mają dokładnie dziesięć centymetrów długości.

Były przymocowane do abażurów małymi haczykami, które przechodziły przez dziurkę u góry każdej wstążki.

Młoda, źle mówiąca po szwedzku kelnerka podeszła z kartą dań.

Uśmiechnęła się, poznając gościa.

Birgitta zdecydowała, że wybierze coś z bufetu, mimo że wcale nie była głodna.

Mogła dzięki temu podejść do stojących pośrodku sali półmiskowi rozejrzeć się po lokalu.

To, czego szukała, znalazła przy jednym zdwuosobowych stolików w kącie, w głębi pomieszczenia.

Przy wiszącej nad stolikiem lampie brakowało jednej czerwonej

wstążki.

Wstrzymała oddech i stała w milczeniu.

Tu ktoś siedział, pomyślała.

W najciemniejszym kącie.

Potem wstał, wyszedł i udał się do Hesjövallen.

137.

Ponownie rozejrzała się po lokalu.

Młoda kelnerka uśmiechnęła się do niej.

Z kuchni dobiegały odgłosy rozmowy po chińsku.

Pomyślała, że ani ona, ani policja nie rozumieją nic z tego, co się wydarzyło.

To było większe, głębsze i bardziej zagadkowe, niż mogliby sobie wyobrazić.

Niewiedzieli właściwie nic.

CZĘŚĆ II

Niggers and Chinks (1863)

Przełęcz w Górach Lou

Wicher z zachodu dmie potężny, W przestworzach gęsi wabię księżyc, Szronem pokryty księżyc, I tylko stukot końskich kopyt, I tylko trąbki ostry zew (.)

Mao Tse-Tung (fragment w tłumaczeniu A.

Brauna).

Droga do Kantonu

10

Wydarzyło się to w najgorętszej porze roku 1863.

Był to drugidzieńdługiej wędrówki Sana i jego braci ku wybrzeżu i miastu Kanton.

Wczesnym popołudniem doszli do rozstaju dróg, przy którym natknęli się na trzy odcięte głowy, zatknięte nawbite w ziemię bambusowe paliki.

Nie potrafili stwierdzić, jak długo głowy się tam znajdowały.

Wu, najmłodszy braci, twierdził, że co najmniej tydzień, gdyż oczy i większa część policzków zostały już wydziobane przez ptaki.

Guo Si, który był najstarszy, przekonywał, że głowy zatknięto tu zaledwie kilka dni temu.

Twierdził, że nawykrzywionych grymasem twarzach wciąż widać ślady szaleństwa, które opanowało (właścicieli głów w obliczu tego, comiało ich spotkać.

San nie powiedział na ten temat nic.

W każdym razie nie powiedział tego, co pomyślał.

Odcięte głowy były dlań symbolem tego, co mogło spotkać jego i jego dwóch braci.

Chcąc ocalić życie, uciekali z rodzinnej wioski położonej w odległej prowincji Guangxi.

Pierwsza rzecz, na jaką nafrąfili, przypomniała im, że ich życie wciąż może być w niebezpieczeństwie.

Opuścili miejsce, któremu San nadał w myślach nazwę "Rozdroże trzech głów".

Podczas gdy Guo Si i Wu sprzeczały się

o to, czy straceni byli bandytami, czy może chłopami,

141.

którzy narazili się właścicielowi ziemskiemu, San roztrząsał w myślach wydarzenia, które sprawiły, że stali się uciekinierami.

Z każdym krokiem oddalali się od swojego dotychczasowego życia.

Zapewne żywili nadzieję, że pewnego dnia wrócą do Wi Hei, wioski, w której dorastali.

San nie był pewien, co ma o tym sądzić.

Być może biedni chłopcy ich dzieci nigdy nie mają się uwolnić od nędzy, w której żyją?

Co ich czeka w Kantonie, doktóręgo zmierzają?

Ludzie opowiadali, że w mieście tym można zakraść się na pokład statku i pożeglować do kraju, w którym płyną rzeki pełne bryłek złota dużych jak kurze jaja.

Nawet do odległej wioski Wi Hei docierały wieści o kraju zamieszkanym przez białe diabły, tak bogatym, że nawet prości ludzie z Chin mogli dzięki swojej pracy dorobić się tam ogromnej władzy i bogactwa.

San nie wiedział, w co wierzyć.

Biedni ludzie zawsze marzyli o życiu, w którym nie dręczyłby ich żaden bogacz.

Nawet on sam myślał w ten sposób, odkąd był jeszcze bardzo mały stał przy drodze z głową pochyloną przed jakimś możnym władcą niesionym w osłoniętej lektyce.

Zawsze zastanawiał się nad tym, jak to możliwe, że ludzie mogą żyć tak odmiennym życiem.

Pewnego dnia zadał to pytanie swojemu ojcu Pei, ale w odpowiedzi otrzymał jedynie policzek.

Nie zadajesz niepotrzebnych pytań.

Świat, w którym żyje człowiek, stworzyli bogowie zamieszkujący drzewa, strumienie i góry.

Aby zawikłane i pełne zagadek uniwersum mogło osiągnąć równowagę, potrzebni byli bogaci i biedni, chłop trzymający pług zabawołem i bogacz rzadko stawiający stopę na ziemi, która go żywi.

Nigdy więcej nie zapytał już rodziców, o czym marzą, modląc się do bogów.

Wiedli życie wypełnione nieustanną

142

niewolniczą pracą.

Czy istnieją ludzie, którzy pracują ciężiej

i otrzymują tak niewiele za swój trud?

Nigdy nie spotkał nikogo, kogo mógłby o to zapytać, gdyż wszyscy w wiosce byli równie biedni i tak samo bali się niewidzialnego właściciela ziemskiego, którego zarządcy zmuszali ich batami do wykonywania codziennej ciężkiej pracy.

Obserwował, jak ludzie przechodzą drogę od kołyski do grobu, dźwigając na barkach długie dniówki, ciężące imz każdą chwilą coraz bardziej.

Zdawało się, że już nawet dzieci mają przygarbione plecy, zanim jeszcze zdążą nauczyć się chodzić.

Mieszkańcy wioski spali na matach, które rozpościerali wieczorami na zimnej podłodze z ubitej gliny.

Pod głowy wkładali twarde poduszki z bambusowych prętów.

Dni upływały w jednostajnym rytmie, regulowanym porami roku.

Orali ziemię, pchając pługi za powolnymi bawołami, uprawiali ryż.

Zawsze mieli nadzieję, że kolejny nadchodzący rok obdarzy ich plonem, którego wystarczy dla nich samych.

W czasie nieurodzajnie mieli właściwie z czego żyć.

Gdy kończył się ryż, musieli żywić się liśćmi.

Mogli też poprostu położyć się i umrzeć.

Nie pozostawało im nic innego.

Nadchodzący zmierzch wyrwał go z zamyślenia.

Zaczął rozglądać się po okolicy w poszukiwaniu miejsca na nocleg.

W pobliżu drogi, pod skalnymi głazami, które prawdopodobnie oderwały się od ciągnącej się po zachodniej stronie łańcucha górskiego, rósł zagajnik.

Rozłożyli swoje maty uplecione z suchej trawy i rozdzielili między siebie ryż, który zabrali na drogę do Kantonu.

San spojrzął ukradkiem na swoich braci.

Czy wystarczy im sił, by przebyć całą drogę?

Co zrobi, jeśli któryś z nich zachoruje?

Sam wciąż czuł się dość silny.

Niezdolałby jednak w pojedynkę nieść jednego

z braci, gdyby okazało się to konieczne.

143.

Nie rozmawiali wiele.

San oznajmił, że nie powinni marnować resztek sił, które im jeszcze pozostały, na kłótni dyskusje.

- Każde słowo, które wypowiedacie, to jeden krok mniej.

Teraz nie są ważne słowa, ale właśnie kroki, które zaprowadzą nas do Kantonu.

Żaden z braci nie odpowiedział.

San wiedział, że mu ufają.

Teraz, gdy ich rodzice nie żyli, a oni uciekali, musieli wierzyć, że San podejmuje słuszne decyzje.

Skulili się na swoich matach, poprawili sięgające pleców warkocze i zamknęli oczy.

San słyszał, jak zasnął Guo Si, a zaraz po nim Wu.

Wciąż są jak małe dzieci, pomyślał.

Mimo że obydwoje mają ponad dwadzieścia lat.

Nie mają nikogo poza mną.

Ja jestem teraz starym mędrcom, który wie, co dla nich najlepsze.

Choć i ja jestem tak samo młody.

Rozmyślał o tym, jak różnią się jego bracia.

Wu był uparty i zawsze z trudem przychodziło mu wypełnianie poleceń.

Rodzice nie pokoiili się o jego przyszłość i przestrzegali go, że źle skończy, jeśli zawsze będzie się wszystkim sprzeciwiał.

Guo Si natomiast nigdy nie sprawiał rodzicom kłopotów.

Był posłusznym synem, zawsze stawianym jako przykład dla Wu.

Ja mam z każdego z nich po trochu, pomyślał San.

Ale kim jestem?

Średnim bratem, który musi być gotowy na przejęcie odpowiedzialności, teraz, gdy nikt inny nam nie pozostał?

Czuł otaczający go zapach wilgotnej ziemi.

Leżał na wznaki wpatrywał się w gwiazdy.

Matka często zabierała go ze sobą z domu wieczorami pokazywała mu niebo.

Jej zmęczoną twarz rozjaśniał wówczas uśmiech.

Gwiazdy dawały jej pocieszenie.

Na codzień żyła z twarzą zwróconą ku ziemi, która przyjmowała od niej sadzonki ryżu, jakby czekając, aż pewnego dnia

ona sama podąży ich drogą.

Gdy patrzyła w gwiazdy, mogła choć na chwilę oderwać wzrok od brunatnej ziemi pod stopami.

Wodził wzrokiem po nocnym niebie.

Kilku gwiazdom matka nadała imiona.

Jasno świecącej gwiazdy w konstelacji przypominającej smoka nadała imię San.

- To ty - powiedziała.

- Stamtąd pochodzisz i tam pewnego dnia wrócisz.

Myśl, że pochodzi z gwiazdy, przeraziła go.

Nic jednak nie powiedział, widząc, że sprawia to matce wielką przyjemność.

Pomyślał o dramatycznych wydarzeniach, które zmusiły jego i braci do ucieczki.

Jeden z nowych zarządców, Fang, który miał dużą szparę między przednimi zębami, przyszedł do ich domu ze skargą, że rodzice nie wykonali dniówki.

San wiedział, że ojciec cierpi na ból pleców i nie nadąża z ciężką pracą.

Matka starała się mu pomóc, ale i tak zostali w tyle.

Teraz Fang stał przed ich glinianą chatą, a język miął mu w szparze między zębami jak złowrogi wąż.

Był młody, miał prawie tyle samo lat co San.

Pochodził jednak z różnych światów.

Fang patrzył na jego rodziców, którzy kłaniali mu się, zamiatając słomianymi kapeluszami, jak na parę robaków, które może w każdej chwili rozdeptać.

Jeśli nie odrobią dniówki, będą wyrzuceni z chaty i zostaną żebrakami.

W nocy San słyszał, jak rodzice do siebie szepczą.

Ponieważ zazwyczaj zasypiali, gdy tylko się położyli, leżał w ciemności i nasłuchiwał, o czym mówią.

Nie potrafił jednak rozróżnić słów.

Rano pleciana mata, na której spali rodzice, była pusta.

Sama od razu ogarnęła niepokój.

Zazwyczaj w ich ciasnej chacie wszyscy wstawali równocześnie.

Rodzice musieli więc wymknąć się cichu, nie chcąc obudzić synów.

Ostrożnie

144 145.

podniósł się z maty i włożył podarte spodnie oraz jedynąkoszulę, jaką posiadał.

Kiedy wyszedł z chaty, słońce jeszcze nie wstało.

Nad horyzontemwidniała łuna czerwonego światła.

Mieszkańcywioski zaczęli się budzić.

Wszyscy, poza jego rodzicami.

Powiesili się na drzewie, które dawało cień w najgorętszejporze roku.

Ich ciałamilekko kołysał poranny wiatr.

To, co wydarzyło się później, pamiętał jakprzez mgłę.

Żeby bracia nie zobaczyli rodziców wiszących nastryczkuż martwo rozdziawionymi ustami, odciął ciała sierpem, którego ojciec używał do pracy w polu.

Zwłoki spadły na niegoi przytłoczyły go swoim ciężarem,jak gdyby chciały zabraćgo ze sobą dokrainyśmierci.

Sąsiedzi wezwali mieszkającego w wiosce starego mędrcaimieniem Bao, ślepego i trzęsącego się tak bardzo, że ledwietrzywał się na nogach.

Odszedł Sanem na bok i powiedziałmu, że najlepszym wyjściem dla niego i jego braci będzieucieczka.

Fang będzie z pewnościąszukał zemsty i zamknieich wklatkach na dziedzińcu swojego domu.

Lub po prostuich zabije.

W wiosce nie było sędziego, nie obowiązywałoteż żadne inne prawo poza prawem właściciela ziemskiego,w którego imieniu działał Fang.

Udali sięw drogę, zanim stosz ciałami rodziców zdążyłdopalić się do końca.

Teraz Sanleżał pod gwiazdamiu bokuśpiących braci.

Nie wiedział, co ich czeka.

Stary Bao poradziłmu, żeby podążali w kierunku wybrzeża, domiasta Kanton,i tam znaleźli pracę.

San próbował dowiedzieć się od niego,jakiego rodzaju pracę można tam wykonywać.

Baojednakwskazał tylko trzęsącą się dłonią na wschód.

Szli bez przerwy,aż usta wyschłyim zpragnieniai stopypokryły się ranami.

Idąc, płakali z żalu postracie rodziców ze strachu przed tym, co ich czeka.

San próbował pocieszyć

146

braci, ale równocześnie poganiał ich, kiedy szli zbyt wolno.

Fang był niebezpieczny.

Miał konie, które niosły na grzbietach jego i jego ludzi uzbrojonych w lance i ostre miecze.

Wciążeszczemogli ich dogonić.

San wciąż przyglądał się gwiazdom.

Myślał o właścicielu ziemi, żyjącym zupełnie innym świecie, w którym biednie mieli prawa postawić stopy.

Bogacz nigdy niepokazywał się w wiosce, ale był jak złowrogi cień, niedający się odróżnić od ciemności.

W końcu San zasnął.

We śnie ścigały go trzy odcięte głowy.

Fizycznie odczuwał dotyk zimnej klingi miecza na swojej szyi.

Jego bracia byli już martwi.

Ich głowy potoczyły się po piasku, a z kikutów szyj tryskała krew.

Budził się co chwila, by uwolnić się od koszmaru, ten jednak powracał za każdym razem, gdy San zasypiał.

Wyruszyli wcześniej rano, wypijwszy resztkę wody z bukłaka, który Guo Si niosł uwiązany na szyi.

Tego dnia musieli znaleźć wodę.

Szli szybko kamienistą drogą.

Od czasu do czasu spotykali ludzi mierzających do pracy w polu lub dźwigających ciężkie pakunki na głowach i barkach.

San zastanawiał się, czy ta droga się kiedyś skończy.

Może wcale nie istnieje żaden ocean ani miasto o nazwie Kanton.

Nic jednak nie powiedział Guo Si i Wu.

Jego obawy sprawiłyby, że ich kroki stałyby się jeszcze cięższe.

W pewnej chwili dołączył do nich mały czarny pies z białą krawatką pod szyją.

San niewiedział, skąd zwierzę się wzięło.

Po prostu nagle się pojawił.

Próbowano go odpędzić, ale on z każdym razem powracał.

Rzucali zanim kamieniami, ale nawet wówczas po krótkiej chwili znów do nich dołączał.

- Nazwiemy go Duong Fui, "Wielkie miasto pod drugą stroną oceanu" - powiedział San.

147.

W połowie dnia, gdy upał doskwierał najbardziej, usiedli pod drzewem w małej wiosce.

Jej mieszkańcy przynieśli im wodę, którą napełnili bukłak.

Pies leżał u stóp Sana i głośno ziajał.

San przyglądał się zwierzęciu.

Było w nim coś dziwnego.

Czy było możliwe, by ich matka przysłała psa jak ostateczną krainę śmierci?

Postać, który mógł poruszać się między żywymi i zmarłymi?

San nie był pewien.

Zawsze trudno mu było wierzyć we wszystkie te bóstwa, którym oddawali cześć jego rodzice i inni mieszkańcy wioski.

Jak można modlić się do drzewa, które nie odpowiada, nie ma ani uszu, ani ust?

Lub do bezpańskiego psa?

Jeśli bogowie istnieją, San i jego bracia właśnie teraz potrzebowali ich pomocy.

Po południu ruszyli w dalszą drogę, która wiała się przed nimi bez końca.

Po trzech dniach marszu zaczęło pojawiać się na niej coraz więcej ludzi.

Mijały ich wozy obciążone workami z trzciną i workami ze zbożem.

W przeciwnym kierunku wozy jechały puste.

San zdobył się na odwagę i zawołał do mężczyzny jadącego bez ładunku:

- Jak daleko do oceanu?

- Dwa dni, nie więcej.

Jutro poczujecie zapach Kantonu.

Z pewnością traficie.

San patrzył za roześmianym, odjeżdżającym mężczyzną.

Co ów miał namyśli, mówiąc, że poznają miasto po zapachu?

Tego samego dnia weszli nagle w rój motyli.

Były żółtawe, prawie przezroczyste, a ich trzepoczące skrzydełka szeleściły jak papier.

San stanął zafascynowany pośrodku chmury owadów.

Czuł się tak, jakby znalazł się wewnątrz domu, któregościany zrobiono ze skrzydeł.

Chciałbym tu zostać, pomyślał.

Chciałbym, żeby w tym domu nie było drzwi.

Zostałbym

148

w nim i słuchał trzepotu skrzydeł motyli, aż pewnego dnia padłbym martwy na ziemię.

Jego bracia byli jednak na zewnątrz, a onniemógł ich zostawić.

Rękami utorowali sobie drogę wśród owadów, spojrzali na braci i uśmiechnęli się.

Nigdy ich nie porzuci.

Kolejną noc spędzili pod drzewem.

Położyli się spać, zjadłszy po garstce ryżu.

Zasypiali głodni.

Następnego dnia dotarli do Kantonu.

Pies wciąż im towarzyszył, a San miał coraz większą pewność, że ich matka przysłała go z krainy śmierci, by ich chronił.

Nigdy wcześniej nie wierzył w takie rzeczy.

Jednak teraz, gdy stał u bram miasta, zastanawiał się, czy przypadkiem właśnie tak nie

było.

Weszli do rojnego Kantonu, który rzeczywiście powitał ich falą nieprzyjemnych zapachów.

San zaczął się obawiać, że zgubi braci w tłumie obcych ludzi tłoczących się na ulicach.

Obwiązał się więc długim paskiem i kazał braciom zrobić to samo.

W ten sposób żaden z nich nie mógł się zgubić, chyba że zerwałby pas.

Powoli torowali sobie drogę przez mrowie ludzi, podziwiali duże domy, świątynie i mnóstwo wystawionych na sprzedaż towarów.

W pewnej chwili pas łączący trzech braci naprężył się.

Wu zatrzymał się i wskazywał coś dłonią.

San obejrzał się i zobaczył, co przykuło uwagę brata.

W lektyce niesiono człowieka.

Draperie, które zazwyczaj osłaniały pasażera, były odchylone.

Nikt nie mógł mieć wątpliwości co do tego, że niesiony mężczyzna był umierający.

Był blady, jak gdyby ktoś pokrył jego twarz białym pudrem.

A może było po prostu źle.

Diabeł zsyłał na ziemię demony o białych twarzach.

Człowiek ten nie miał poza tym warkocza, jego twarz była podłużna i brzydka, sterczał z niej garbaty nos.

149.

Wu i Guo Si zbliżyli się do brata i zapytali go; czy toczłowiek, czy diabeł.

Sannie wiedział.

Nigdy nie widziałniczego podobnego, nawet w najgorszych nocnych koszmarach.

Nagle zaciągnięto draperie i lektykazniknęła w tłumie.

Mężczyzna, który stał obokSana, splunął w jej kierunku.

- Kto to był?

- zapytał San.

- Biały człowiek, do którego należy wielestatków zacumowanych w naszym porcie.

-Czy onjest chory?

Mężczyzna wybuchnął śmiechem.

- Oni takwyglądają.

Są bladzi jak trupy, które powinnosię spalić dawno temu.

Bracia ruszyliw dalszą drogę przez zakurzone i śmierdzącemiasto.

San przyglądałsię ludziom.

Wielu z nich byłodobrzeubranych.

Ich odzież nie była podarta tak jak jego.

Zaczynałpowolidostrzegać, że świat nie jesturzadzony tak, jak tosobie wcześniej wyobrażał.

Po wielu godzinach błędzenia po ulicachKantonu u wylotu jednego z zaułków dostrzegli wodę.

Wu wyswobodziłsię pasa i pobiegł w jej kierunku.

Rzucił się na ziemię i zaczął pić, natychmiast jednak przestali splunąć,gdyż wodabyła słona.

Obok nich przepłynęło wzdęte ścierwo kota.

San przyjrzał się wodzie i dostrzegł w niej nietylko martwezwierzę, ale również zanieczyszczenia pochodzące od ludzi.

Zebrało mu się nawymioty.

W rodzinnej wiosce używali własnychodchodów do nawożenia poletek, na którychuprawiali warzywa.

Wyglądało na to, że tu, w mieście, ludzie wyróżniali się prostymi dowodami, przy której nic nie rośnie.

Spróbował dojrzeć drugi brzeg, ale nic nie zobaczył.

To, co nazywają oceanem, musi być bardzo szeroką rzeką, pomyślał.

150

Usiedli na kołyszącym się drewnianym pomoście otoczonym łodziami.

Było ich tak dużo, że San nie potrafiłby ich zliczyć.

Ze wszystkich stron dobiegały krzyki i nawoływania.

Była to kolejna rzecz, która odróżniała miasto od ich rodzinnej wioski.

Tu ludzie zdawali się nieustannie krzyżeć, zawsze mieli coś do powiedzenia i wciąż się na coś skarżyli.

San nigdzie nie mógł znaleźć ciszy, do której był przyzwyczajony.

Posilili się resztką ryżu i opróżnili bukłak.

Wu i Guo Sinie miało przyglądali się bratu.

Musiał teraz dowieść, że jest wart ich zaufania.

Lecz gdzie miał znaleźć dla nich pracę w tym chaotycznym ludzkim mrowisku?

Jak zdobędzie jedzenie?

Gdzie będą spali?

Przyglądał się psu, który leżał, nakrywając sobie jedną łapą nos.

Co mam robić?

, myślał

gorączkowo San.

Uznał wreszcie, że potrzebuje chwili samotności, by ocenić sytuację.

Wstał i poprosił braci, żeby zaczekali na niego na pomoście wraz z psem.

Chcąc ich uspokoić i zapewnić, że ich nie porzuci, znikając w tłumie ludzi, zaproponował:

- Wyobraźcie sobie, że łączy nas niewidzialny pas.

Wkrótce do was wrócę.

Jeśli ktoś was zagadnie, odpowiedzciegrzecznie, ale nigdzie się stąd nie ruszajcie.

Jeśli oddalicie się od pomostu, już nigdy was nie odnajdę.

Ruszył w kierunku odchodzącychod wybrzeża zaułków,co chwilę spoglądajczasiebie, by dobrze zapamiętać drogępowrotną.

Po chwili jedna z ulic otworzyła się na duży plac,na którym stała świątynia.

Ludzie klęczelilub stali pochyleniw ukłonie przed ołtarzem,na którym leżały daryofiarne

i tliły się kadzidła.

Matka zaraz by tu przybiegła, pomyślał.

Nawet ojciec bypodszedł, choć zawsze chodził niezdecydowanym krokiem.

Nie pamiętam,żeby kiedykolwiekpostawił jedną stopę przeddrugąbez wahania.

151.

Teraz on był tym, który nie wiedział, co począć.

Na ziemi leżało kilka kamieni, które wykruszyły się z muru świątyni.

San usiadł nachwilę, ponieważ zakręciło mu się w głowie z gorąca, od tłoczących się wszędzie ludzi i głodu, którego nie mógł już dłużej oszukiwać.

Kiedy odpoczął, wrócił nad wodę i ruszył nad brzegiem, które ciągnęło się wzdłuż Rzeki Perłowej.

Ludzie uginający się pod ciężarem przenoszonych ładunków chodzili tam i z powrotem po chwiejnych trapach.

Dalej od brzegu dostrzegł zacumowane wielkie statki pozbawione masztów, które przetransportowano w górę rzeki i złożono pod mostami.

Zatrzymał się i długo obserwował tragarzy, z których każdy zdawał się nieść ciężar większy niż pozostali.

Inni ludzie stali przy trapach i liczyli towar wnoszony na pokład oraz ten, który z niego zabierano.

Wręczali tragarzom po kilka banknotów, poczym ci znikali w odchodzących od nabrzeża uliczkach.

Nagle San wszystko zrozumiał.

Aby przeżyć, muszą dźwigać ciężary.

To właśnie potrafimy, pomyślał.

Moi braciai, jesteśmy tragarzami.

Niema żadnych pól ani upraw ryżu, ale możemy dźwigać.

Jesteśmy silni.

Wrócił do Wu i Guo Si.

Zastał ich skulonych na pomoście.

Długo stał i patrzył na nich przytulonych do siebie.

Jesteśmy jak psy, pomyślał.

Psy, które wszyscy kopią i które żyją z tego, co inni odrzucają.

Pies zauważył Sana i podbiegł do niego.

San go nie kopnął.

152

11

Spędzili noc na pomoście, ponieważ San nie zdołał znaleźćlepszego miejsca na nocleg.

Strzegłich pies, warcząca ciche,skradające się postaci, które podeszły za blisko.

Lecz kiedy się obudzili, dostrzegli, że i tak udało się komuś ukraśćich bukłak.

San rozglądał się dokoła w przerażeniu.

Biednyokrada biednego, pomyślał.

Nawet pusty stary bukłak nęcitego, ktonie manic.

- Pies jest miły, ale nie umie pilnować - orzekł San.

- Co teraz zrobimy?

- zapytał Wu.

- Spróbujemy znaleźć pracę - odparł San.

- Jestem głodny - odezwał się Guo Si.

San smutno pokręcił głową.

Guo Si wiedział tak samodobrze jak on, że nie mają nicdo jedzenia.

- Nie możemy kraść - powiedział San - boskończymy tak jak ci, których głowy nabitono na tyczki przy rozstaju dróg.

Najpierw musimy znaleźć pracę, a potem kupimy jedzenie.

Zaprowadził braci w miejsce, gdzie ludzie chodzili tam z powrotem, nosząc towary ze statków.

Pies wciążim towarzyszył.

San długo przyglądał się ludziom, którzy wydawali rozkazy przy trapach.

W końcu zdecydował się podejść doniskiego, grubego mężczyzny, który nie smagał tragarzy batem, nawet jeśli ruszali się powoli.

- Jest nas trzech i jesteśmy braćmi - powiedział San.

Możemy dźwigać.

Mężczyzna obrzucił go wściekłym spojrzeniem, nie przestając pilnować tych, którzy wynurzali się spod pokładów ładunkiem na plecach.

- Czego szukają ciwzyscy chłopi w Kantonie?

- krzyknął.

-Po co tu przyjeżdżacie?

Są tu tysiące żebrzących i szu-

153.

kających pracy chłopów.

Mam ich tu więcej, niż potrzeba.

Idźcie stąd.

Nie przeszkadzajcie mi.

Podchodzili do różnych rozładowywanych statków, ale wszędzie czekała ich ta sama odpowiedź.

Nikt ich nie potrzebował.

Tu, w Kantonie, nie byli nic warci.

Tegodnia nie jedli nic poza brudnymi resztkami warzyw, które znaleźli wdeptane w ziemię przy ulicznym targu.

Wodę pili z pompy, wokół której zbierali się głodujący ludzie.

Kolejną noc również spędzili skuleni na pomoście.

San nie mógł spać.

Mocno wciskał pięści w żołądek, by choć na chwilę powstrzymać dokuczliwe uczucie głodu.

Myślało roju motyli, który napotkał w drodze do Kantonu.

Czuł się tak, jak gdyby wszystkie motyle wdarły

mu się do brzucha i kaleczyły trzewia ostrymi skrzydełkami.

W ciągu kolejnych dwóch dni nie znaleźli nikogo, kto uznałby, że ich barki potrzebne są do pracy.

Gdy drugi dzień dobiegał końca, San uświadomił sobie, że wkrótce zabraknie im sił na cokolwiek.

Niemieli w ustach nic od chwili, gdy znaleźli na ziemi resztki warzyw.

Żywili się samą wodą.

Wu

dostał gorączki trzęsąc się, leżał na ziemi w cieniu sterty beczek.

Gdy słońce zaczęło zachodzić, San podjął decyzję.

Muszą zdobyć jedzenie, w przeciwnym razie umrą z głodu.

Zaprowadził braci i psa w miejsce, w którym biedni ludzie siedzieli na placu wokół ognisk i jedli to, co

udało im się zdobyć.

Teraz rozumiał już,dlaczego matka przysłała do nich psa.

Zabiłgo, uderzając kamieniem w czaszkę.

Ludzie siedzący przy pobliskim ognisku zbliżyli się.

Na ich wychudzonych twarzach widać było napięcie.

San pożyczył nóż od jednego z mężczyzn, poćwiartował psa i włożył mięso do kociołka.

Był tak bardzo głodny, że niedoczekali, aż mięso się ugotuje.

154

San podzielił je na równe części, tak że wszyscy zgromadzeni przy ognisku dostali równe porcje.

Po jedzeniu położyli się na ziemi i zamknęli oczy.

Jedynie San siedział jeszcze przy ogniu i wpatrywał się w płomienie.

Następnego dnia nie będą mieli do zjedzenia już nawet

psa.

Miał przed oczami obraz rodziców wiszących na drzewie tamtego poranka.

Jak daleko gałąź istryczek były teraz od jego własnej szyi?

Nie wiedział.

W pewnej chwili poczuł, że ktoś mu się przypatruje.

Wyteńczył wzrok, próbując dostrzec coś w ciemności.

Rzeczywiście ktoś tam był.

Białka jego oczu błyskały w mroku.

Mężczyzna podszedł do ogniska.

Był starszy od Sana, a równie młody.

Uśmiechał się.

San pomyślał, że jest to jeden z tych szczęśliwych ludzi, którzy nie chodzą głodni.

- Jestem Zi.

Widziałem, jak jedliście psa.

San nie odpowiedział.

Milczał wyczekująco.

W obcym mężczyźnie było coś, co sprawiało, że czułem się niepewnie.

- Jestem Zi Qian Zhao.

Jak się nazywasz?

San niepewnie rozejrzył się dokoła.

- Czy wtargnąłem na twoją ziemię?

Zi roześmiał się.

- Skądże.

Jestem po prostu ciekaw, kim jesteś.

Ciekawość to ludzka rzecz.

Tych, którzy nie są żądni wiedzy, nie czeka dobre życie.

- Nazywam się Wang San.

- Skąd jesteś?

San nie przywykł do tego, by ktoś zadawał mu pytania.

Stał się podejrzliwy.

Może mężczyzna imieniem Zi należy do wybranych, którzy mają prawo przesłuchiwać i karać?

Może on i jego bracia złamali któreś niewidocznych praw dotyczących biednego człowieka?

155.

Nieśmiało kiwną głową w ciemności.

- Stamtąd.

Razem z braćmiszliśmy wiele dni.

Minęliśmydwie wielkierzeki.

- Wspaniale jest mieć braci.

Co tu robicie?

- Szukamy pracy.

Ale nie możemy nic znaleźć.

- Jest ciężko.

Bardzo ciężko.

Wielu ludzi ciągnie do miastajak muchy do miodu.

Trudno jestsię tu utrzymać.

San miał na końcu języka pytanie,ale w ostatniej chwili

powstrzymałsię przed zadaniem go.

Zi przyglądałsię mubadawczo.

- Zastanawiasz się, z czego żyję i czemu nie chodzę w łachmanach?

-Nie chcę się wydaćciekawski komuś, kto mnieprzewyższa.

- Mnie tonie przeszkadza - powiedział Zi, siadając przyognisku.

- Mójjciec miał sampany.

Jego mała flota handlowa kursowała w dół i w górę rzeki.

Kiedy zmarł, wraz z jednym z moichbraci przejąłeminteres.

Moi pozostali dwaj bracia wyemigrowali do Ameryki, kraju za oceanem.

Tam dorobili się, piorąc brudne ubrania białych ludzi.

Ameryka to dziwny kraj.

Gdzie indziej można wzbogacić się nabrudach innych ludzi?

- Myślałem o tym, żeby pojechać do tego kraju- odrzekł San.

Zi przyglądał mu się z uwagą.

- Do tego potrzebne są pieniądze.

Nikt nie płynie za

darmoprzez wielki ocean.

Życzę ci spokojnej nocy.

Mam nadzieję, że znajdziecie pracę.

Wstał, lekko się skłonił i zniknął w ciemności.

San położył się przy ognisku i zastanawiał się, czy ta krótka rozmowa odbyła się tylko w jego wyobraźni.

Może rozmawiał ze

156

swoim własnym cieniem?

Albo śnił o byciu kimś całkiem

innym?

Nazajutrz trzech braciaków podjęli bezowocne poszukiwanie pracy w zatłoczonym mieście.

San zaniechał wiązania się paskiem do braci, choć czuł się jak zwierzę z dwójgim młodych, tulących się do niego w stadzie.

Szukali pracy w porcie i w zatłoczonych uliczkach, które od niego odchodziły.

San zachęcał braci, by prężyli muskuły, rozmawiając z kimś, kto mógł dać im pracę.

- Musimy wyglądać na silnych - tłumaczył.

- Nikt nie da pracy komuś, kto nie ma siły w rękach i nogach.

Nawet jeśli jesteście głodni i zmęczeni, musicie sprawiać wrażenie bardzo silnych.

Żywili się tym, co odrzucili inni.

Gdy walczyli z samio wyrzuconą kość, San doszedł do wniosku, że stają się coraz bardziej podobnymi do zwierząt.

Matka opowiadała im kiedyś historię o mężczyźnie, który zamienił się w zwierzę, z ogonem i czterema łapami, ponieważ był leniwy i nie chciał pracować.

Oni jednak nie pracowali nie dlatego, że byli leniwi.

Wciąż nocowali na pomoście, w wilgoci i ciepło.

Czasem nocą z nadmorza nadciągały nad miasto gwałtowne ulewy.

Szukali wówczas schronienia pod pomostem, wchodziłi się pod mokre deski, ale i tak byli całkiem przemoczeni.

San zauważył, że Guo Si i Wu stopniowo tracą wiarę, że uda im się wytrwać.

Ich chęć do życia malała z każdym kolejnym dniem głodu, deszczu i poczucia, że nikt ich nie dostrzeże i nie potrzebuje.

Pewnego wieczoru San zobaczył Wu skulonego na pomoście i mamrocącego modlitwy do bogów, których czcili ich rodzice.

W pierwszej chwili bardzo go zdenerwowało.

Bogowie rodziców nigdy im w niczym nie pomogli.

Nic

jednak nie powiedział.

Skoro Wu znajduje otuchę w swoich modlitwach, nie ma powodu, by go jej pozbawiać.

Kanton wydawał się Sanowi coraz bardziej przerażający.

Każdego poranka, gdy wyruszali na swoją niekończącą się wędrówkę w poszukiwaniu pracy, napotykali martwe ciała ryśników.

Czasem psy lub szczury zdążyły już przez noc nadgryźć twarze zmarłych.

Każdego ranka San drżał ze strachu, że skończy w ten sam sposób, w jednej z niezliczonych uliczek Kantonu.

Po kolejnym dniu spędzonym w wilgotnym upale również zaczął tracić nadzieję.

Był tak głodny, że dostał mdłości i nie mógł logicznie myśleć.

Leżąc na pomoście boku śpiących braci, po raz pierwszy pomyślał, że dobrze by było zasnąć już nigdy się nie obudzić.

Nie istniało nic, dla czego warto by był powstać.

W nocy znów przysniły mu się trzy ścięte głowy.

Mówił do niego, ale nie mógł zrozumieć ani słowa.

O świcie, gdy San tworzyłoczy, ujrzał Zi siedzącego napalu i palącego fajkę.

Uśmiechnął się do Sana spostrzegłszy, że ten się obudził

- Śpisz niespokojnie - powiedział.

- Widziałem, że śniłoci się coś, od czego chciałeś uciec.

- Śniły mi się ścięte głowy - odparł San.

- Być może jedna z nich była moją własną.

Ziprzyglądał mu się w milczeniu i po chwili powiedział:

- Ci, którzy mają wybór, wybierają.

Ani ty, ani twoi bracia nie wyglądacie na szczególnie silnych.

Widać, że głodujecie.

Nikt, kto potrzebuje tragarzy, nie wybierze wygłodzonych.

A jużna pewno dopóty, dopóki codziennie przybywają nowi, którzy wciąż mająsię i trochę jedzenia w torbiepodróznej.

158

Zi opróżnił fajkę z popiołu, stukając nią o pal, i ciągnąłdalej:

- Każdego ranka rzeka unosi kolejne ciała.

Ciała tych,którzy nie dalirady.

Tych,którzy przestali dostrzegać senszycia.

Napychają sobie ubrania kamieniami lub wiążą ciężar do stóp.

Kanton stał sięmiastem pełnym niespokojnychduchów.

Duchówludzi, którzy odebrali sobie życie.

- Dlaczego mio tym mówisz?

Moje utrapienia są już wystarczająco duże.

Zi uniósł dłoń wgeście usprawiedliwienia.

- Nie mówię tego po to, żeby cię niepokoić.

Nie powiedziałbym też nic, gdybym nie miał niczego do dodania.

Mójkuzyn ma fabrykę, w której zachorowało wielu pracowników.

Być może udami się pomóc tobiei twoim braciom.

Sannie mógł uwierzyć, żeto, co usłyszał, jest prawdą.

JednakZi powtórzył tojeszcze raz.

Nie mógł nic obiecać,ale wyglądało na to, że może znaleźć dla nich pracę.

- Dlaczego chcesz nam pomóc?

Zi wzruszył ramionami.

- Jakie motywy kryją się za naszymidziałaniami?

Albozaniechaniem działania?

Może po prostu uważam, żezasługujesz na pomoc.

Wstał.

- Wróć, kiedy będę wiedział - rzekł na pożegnanie.

- Nienależę do ludzi, którzy rzucają słowa na wiatr.

Niedotrzymane przyrzeczenie może złamać człowieka.

Położył przed Sanem kilka owoców i odszedł.

San patrzył, jak idzie pomostem, a potem znika w tłumie ludzi.

Kiedy Wu się obudził, wciąż miał wysoką temperaturę.

Dotknąwszy jego czoła, San poczuł, że jest bardzo gorące.

Usiadł między braćmi i powiedział im o swoim spotkaniu z Zi.

159.

- Dał mi te owoce - wyjaśnił.

- Topierwszy człowiek w Kantonie, który nam cokolwiek dał.

Może Zi jest bogiem, którego matka przysłała do nas ze świata umarłych?

Jeśli nie powróci, będziemy wiedzieć, że jest oszustem.

Na razie jednak musimy tu na niego czekać.

- Umrzemy tu z głodu, zanim powróci - powiedział Guo Si.

San poczuł narastający gniew.

- Nie mam siły słuchać twojego głupiego narzekania.

Guo Si nic więcej nie powiedział.

San miał nadzieję, że nie przyjdzie im długo czekać na Zi.

Upałbył tego dnia nie do zniesienia.

San i Guo Si na zmianę chodzili po wodę dla Wu.

Sanowi udało się nawet znaleźć na targu kilka warzyw, które zjedli na surowo.

Nadszedł wieczór i zapadł zmrok, a Zi wciąż się nie pojawiał.

Już nawet San zaczął wątpić w jego powrót.

Może Zi jednak był człowiekiem, który zabija obietnicami bez pokrycia?

Po jakimś czasie Wu i Guo Si zasnęli, czuwał tylko San.

Siedział przy ogniu i starał się uchwycić wszystkie dochodzące z ciemności odgłosy.

Nie zorientował się, gdy nadszedł Zi i nagle stanął za jego plecami.

San wzdrygnął się.

- Obudź braci - powiedział Zi.

- Idziemy. Mam dla was pracę.

- Wu jest chory.

Czy możemy z tym poczekać do jutra?

- Jutro znajdą się inni chętni do pracy.

Albo idzieciezenną teraz, albo wcale.

San pośpiesznie obudził Wui GuoSi.

- Musimy iść - tłumaczył.

- Od jutra wreszcie będziemy mieli pracę.

Ziprowadził ich przez ciemne zaułki.

San czuł, że potyka się ludzi śpiących na ulicach.

Trzymał za rękę GuoSi, który prowadził Wu.

160

po zapachu San wywnioskował, że znajdują się bliskowody.

Ich problemy wydały mu się w tej chwili mniejsze.

A potem wszystko wydarzyło się bardzo szybko.

Nagle z ciemności wyłonili się obcy ludzie, którzy chwycili ich z ramion i naciągnęli im na głowy worki.

San otrzymał cios i upadł, ale wciąż próbował się bronić.

Kiedy jeden z napastników przycisnął go do ziemi, San ugryzł go tak mocno, że udało mu się uwolnić.

Zaraz jednak został ponownie obezwładniony.

Usłyszał w pobliżu przerażający krzyk Wu.

W skąpej świetle kołyszącej się latarni zobaczył brata leżącego na wzwał.

Kłęczący obok niego mężczyzna wyrwał nóż z piersi Wu i zepchnął jego ciało do wody.

Prąd zaczął powoli unosić je od brzegu.

W błysku świadomości San zrozumiał, że jego brat nie żyje.

Nie zdołał go ocalić.

Poczuł mocne uderzenie w tył głowy.

Był nieprzytomny, gdy napastnicy wnosili jego i Guo Si do stojącej nardziejódki.

Wydarzyło się to latem 1863 roku.

Wtedy tysiące biednych chińskich chłopów zostało uprowadzonych i przewiezionych przez ocean do Ameryki, która zamknęła za nimi swoją nasyconą paszczę.

To, co ich tam czekało, było tą samą niewolniczą pracą, od której tak bardzo pragnęli uciec.

Przełynęli wielką wodę, a bieda podążyła za nimi.

12

Kiedy San się ocknął, otaczała go ciemność.

Nie mógł się poruszyć.

Macając ręką obok siebie, natknął się na bambusowe drążki stanowiące część klatki, w której leżał skulony.

161.

Może Fang pomimo wszystko zdołał ich złapać?

I teraz San

jest niesiony w ciasnym koszu z powrotem do wioski, z której uciekł.

Coś jednak się nie zgadzało.

Klatka kołysała się, ale nietak jakby wisiała na mocnych podporach.

San wyteżył słuchi zdawało mu się, że dosłyszał plusk wody.

Zrozumiał, że znalazł się na pokładzie statku.

Ale gdzie był Guo Si?

Niemógł nicdostrzec w ciemności.

Próbował wołać, alenię zdołał wydać siebie nic pozacichym pomrukiem.

Coś zatykało mu usta.

Zaczęła go ogarniać panika.

Siedział w kucki w klatce, niew mogąc wyprostować ręki ani nogi.

Próbując się wydostać, zaczął gwałtownie uderzać grzbietem w kratę.

Nagle zalało go światło.

Ktoś zdjął żaglowe płótno okrywające klatkę.

Odwrócił głowę i dostrzegł nad sobą otwartą lukę, a powyżej błękit nieba i pojedyncze chmury.

Mężczyzna, który się nad nim pochylał, miał twarz przeoraną długą blizną.

Splunął, wsunął rękę przez kratę i zerwał szmatę związaną na twarzy Sana.

- Teraz możesz wrzeszczeć.

- Uśmiechnął się szyderczo.

- Tu na morzu nikcię nie usłyszysz.

Mówił dialektem, który San ledwo rozumiał

- Gdzie ja jestem?

- zapytał.

-Gdzie jest Guo Si?

Marynarz wzruszył ramionami.

- Niedługo znajdziemy się tak daleko od lądu, że będziemy mogli cię wypuścić.

Poznasz wtedy swoich towarzyszy podróży.

To, jak się dotej pory nazywaliście, nie ma żadnego znaczenia.

Tam, dokąd płyniecie, dostaniecie nowe imiona.

- Dokąd płyniemy?

-Do rajów.

Marynarz ze śmiechem wdrapał się na górę i zniknął nad otworem luku.

San rozejrzył się dokoła.

Wszędzie widział

162

klatki, identyczne jak ta, w której sam się znajdował.

Wszystkie okryte były grubym żaglowym płótnem.

Ogarnęło go przerażające uczucie samotności.

Nie było w nim Wu i Guo Si.

Nie był niczym więcej niż zamknięty w klatce zwierzęciem w drodze do miejsca, w którym nikogo nie obchodziło jego imię.

Później San wspominał, że podczas pierwszych godzin spędzonych na statku czuł się tak, jakby balansował nad przepaścią, na cienkiej linii oddzielającej życie od śmierci.

Nie miał już po co żyć, ale pozbawiono go nawet możliwości odebrania sobie życia.

Nie potrafiłby ocenić, jak długo trwał ten stan.

W końcu do luku zeszli po linie marynarze, zerwali z klatek płótno, otworzyli je i zaczęli krzykiem zachęcać więźniów do wstania.

Ciało Sana było zdrętwiałe, ale pomimo bólu zdołał się podnieść na nogi.

W pewnej chwili dostrzegł Guo Sina siłą wyciąganego z klatki przez jednego z marynarzy.

Próbował podejść doniegona sztywnych nogach, ale oberwał kilka razy batem, nim zdążył wytłumaczyć, że chciał pomóc bratu.

Zapędzono ich na pokład i skuto łańcuchami.

Marynarze, którzy porozumiewali się w niezrozumiałym dla Sanadialekcie, strzegli ich nożami i mieczami w dłoniach.

GuoSi ledwo trzymał się na nogach pod ciężarem grubych łańcuchów.

San zauważył, że jego bratma na czole dużą ranę.

Jeden z marynarzy zbliżył się i wskazał na niego czubkiem miecza.

- Mój brat jest ranny w głowę- odezwał się San.

- Alewkrótce dojdzie do siebie.

- Obyś miał rację.

Trzymaj go przy życiu, bo inaczej wyrzucimy was obu za burtę.

Nawet jeśli będziecie jeszcze żywi.

San skłonił się nisko, po czym pomógł bratu usiąść w cieniu, przy wielkim zwoju lin.

- Jestem przy tobie - pocieszał go.

- Pomogę ci.

Guo Si popatrzył na niego nabiegłymi krwią oczami.

- Gdzie jest Wu?

- Śpi.

Wszystko będzie dobrze.

Guo Si pogrążył się w półśnie.

San ostrożnie rozejrzał siędokoła.

Statek miał wiele żaglii trzy wysokie maszty.

Nigdzie nie było widać lądu.

Z położenia słońca wywnioskował, że płyną na wschód.

Pozostali mężczyźni przykuci do łańcucha byli półnagimi i wychudzeni tak samo jak on.

Na próżno szukał wzrokiem Wu.

W końcu dotarło do niego, że Wu nie żyje, a jego ciało pozostało w Kantonie.

Wraz z każdą falą, którą statek przecinał swoim dziobem, coraz bardziej się od niego oddalał.

San przyjrzał się siedzącemu obok niego mężczyźnie opuchniętym okiem i głęboką raną na głowie, śladem po ciosie siekierą lub mieczem.

Nie wiedział, czy wolno im rozmawiać i czy nie zostanie za to smagnięty batem.

Spostrzegł jednak, że wielu skutych łańcuchem mężczyzn rozmawia z sobą ściszonej głośnie.

- Jestem San - odezwał się cicho.

- Ja i moi bracia zostaliśmy napadnięci nocą.

Nie pamiętam nic do momentu, w którym się obudziłem na statku.

- Jestem Liu.

- Jak się tu znalazłeś?

- Przegrałem moją ziemię, moje ubrania i narzędzia.

Jestem snyderem.

Kiedy nie mogłem już spłacić długów, przyszli i zabrali mnie.

Próbowałem się wyrwać i wtedy mnie uderzyli.

Gdy otworzyłem oczy, byłem już na pokładzie.

- Dokąd płyniemy?

164

Liu splunął, po czym ostrożnie dotknął zakutą włócznią opuchniętego oka.

- Wystarczy rozejrzeć się dokoła, żeby poznać odpowiedź.

Płyniemy do Ameryki.

Albo raczej na śmierć.

Jeśli zdołam

się uwolnić, skoczę za burtę.

- Dasz radę dopłynąć do brzegu?

- Jesteś głupi.

Utonę.

- Nikt wtedy nie znajdzie twoich kości, żeby je pochować.

- Obetnę sobie palec i poproszę kogoś, żeby zabrał go do Chin i tam pochował.

Wciąż mam jeszcze trochę pieniędzy.

Przeznaczę je na to, żeby ocean nie pochłoniął mojego ciała

w całości.

Przerwali rozmowę, kiedy jeden z marynarzy uderzył w gong.

Rozkazano im usiąść, po czym każdy dostał miskę ryżu.

San obudził Guo Si i nakarmił go, nim sam zjadł zawartość swojej miski.

Był w niej stary ryż o posmaku zgnilizny.

- Nawet jeśli ten ryż źle smakuje, utrzyma nas przy życiu- odezwał się Liu.

- Martwi niejesteśmynic warci.

Jesteśmyjak świnie, które karmi się przedzarżnięciem.

San popatrzył na niego z przerażeniem.

- Czy oni naszarżną?

Skądto wszystko wiesz?

- Tak długo jak żyję, słuchałem różnych historii i domyślam się, co nas czeka.

W porcie, do którego przybijemy, będzie czekał nanas ktoś, kto nas kupił.

Wylądujemy w kopalni albo w głębi pustyni, gdzie będziemy układać na ziemi żelazo dla maszyn, które mają w swoich brzuchach gotującą wodę i ciągną wagony na wielkich kołach.

Nie pytaj mnie o nic więcej.

I tak jesteś zagłupi, żeby zrozumieć.

Liu odwrócił się i położył na boku, żeby zasnąć.

San poczuł się urażony.

Gdyby był wolnym człowiekiem, Liu nigdy nie odważyłby się mówić do niego w taki sposób.

Wieczorem wiatr ucichł.

Żagle obwisły.

Dostali jeszcze pomisec stęchłego ryżu, po jednym czerpaku wody i chleb, który był tak twardy, że niemal nie dało się go gryźć.

Potem nazmianę wychylali się za burtę, by opróżnić jelita.

San musiał podtrzymywać Guo Si, żeby nie spadł do wody pod ciężarem łańcucha i nie pociągnął ich wszystkich za sobą.

Jeden z marynarzy, ubrany w ciemny mundur o twarzy tak samobieżnej jak mężczyzna, którego widzieli w Kantonie, zdecydował, że San będzie spał na pokładzie razem z Guo Si.

Przykuto ich do jednego z masztów, a pozostali więźniowie zostali zaprowadzeni pod pokład.

Właz do luk przykryty kłapą, którą linami zabezpieczono przed otwarciem.

San siedział oparty o maszt przyglądał się marynarzom kucającym wokół małych ognisk palonych w żeliwnych kociołkach i palącym fajki.

Statek kołysał się trzeszczał na martej fali.

Od czasu do czasu któryś z marynarzy podchodził do Sana i Guo Si, żeby sprawdzić, czy nie próbują się uwolnić.

;;,- Jak długo będziemy płynąć?

- zapytał jednego z nich: San.

Mężczyzna przykucnął zaciągnął się słodkawo pachnącym dymem z fajki.

- Nigdy nie wiadomo - odparł.

- W najlepszym razie siedem tygodni, w najgorszym trzy miesiące.

Jeśli wiatr nie będzie nam sprzyjał.

Albo jeśli na pokład dostaną się złeduchy.

San nie był pewien, ile to jest jeden tydzień.

A jeden miesiąc?

Nigdy nie uczył się liczyć w ten sposób.

W rodzinnej wiosce wszyscy kierowali się porami roku i dnia.

Wydawało mu się jednak, że marynarz miał na myśli bardzo długi czas.

Statek stał bez ruchu przez kilka dni.

Żaglami nie poruszała nawet najbliższy wiatr.

Marynarze stali się drażliwi i coraz

166

częściej bili więźniów bez powodu.

Guo Si zaczął wracać do zdrowia i co jakiś czas interesował się tym, co dzieło się

dokoła.

Każdego ranka i każdego wieczoru San wypatrywał lądu.

Widział jednak tylko niekończące się morze i pojedyncze ptaki, które przez chwilę krążyły nad statkiem, ale po chwili odlatywały, by nigdy nie powrócić.

Pod koniec każdego dnia San wycinał jedną kreskę namaszczonej, do którego przykuto go razem z bratem.

W dniu, w którym zaznaczył dziesięć kreskę, pogoda nagle się zmieniła i statkiem zaczęła mijać gwałtowny sztorm.

Przez cały czas trwania niepogody siedzieli przykuceni do masztu, uderzani przez wielkie fale.

Ocean szalał z taką siłą, że San bał się, że statek zostanie rozerwany na strzępy.

Jedynym pożywieniem, jakie otrzymali podczas sztormu, były twarde suchary, które jeden z marynarzy zdołał im podać, opasawszy się liną.

Spod pokładu dochodził ich krzyk i wycie pozostałych więźniów.

Sztorm trwał trzy dni.

Czwartego dnia wiatr osłabł, a po jakimś czasie całkiem się uspokoił.

Przez kolejną dobę statek znów stał bez ruchu, w końcu jednak żagle wydał wiatr, wprawiając marynarzy w dobry humor.

Zamkniętym w luku więźniom znów pozwolono wyjść na pokład.

San zdawał sobie sprawę, że oni Guo Si mają większą szansę na przeżycie, jeśli zostaną na pokładzie.

Polecił bratu, by udawał lekką gorączkę, kiedy jeden z marynarzy przyjdzie sprawdzić, jak się czuje.

Zauważył, że rana na czole brata zaczęła się goić, ale wciąż jeszcze nie wygląda najlepiej.

Kilka dni po tym, jak skończył się sztorm, nastąpiło odkrycie pasażera na gapę.

Z gniewnymi krzykami marynarze wyciągnęli go z dziury pod pokładem, w której się ukrył.

167.

Po chwili jednak złość ustąpiła radości, gdy okazało się, że pasażerem jest przebrana za mężczyznę młoda kobieta.

Gdyby nie kapitan, który stanął w obronie dziewczyny, mierząc bronią w marynarzy, większość z nich rzuciłaby się na nią.

Rozkazał przykuć ją do masztu obok Sana i Guo Si.

Marynarz, który odważyłby się jej tknąć, miał być chłostany każdego dnia, aż do końca podróży.

Kobieta była bardzo młoda, miała nie więcej niż osiemnaście, dziewiętnaście lat.

Dopiero po zapadnięciu zmroku, gdy statek pogrążył się w ciszy, a na pokładzie został tylko sternik i kilku strażników, San zapytał ją szeptem o imię.

Jej głos był ledwo dosłyszalny, a wzrok miała wbity w ziemię.

Nazywała się Suń Na.

Gdy Guo Si czuł się gorzej, leżał pod starym kocem.

San bez słowa dał go teraz dziewczynie.

Skuliła się na ziemi, szczelnie okrywając całe ciało.

Następnego dnia podszedł do niej kapitan w asyście tłumacza i zadawał jej pytania.

Mówiła dialektem, który bardzo przypominał język Sana, i tak cicho, że trudno ją było dosłyszeć.

San zdołał zrozumieć, że jej rodzice nie żyją, a jej krewny chciał ją oddać właścicielowi ziemskiemu, którego wszyscy się bali, gdyż znany był tego, że znęcał się nad swoimi młodymi żonami.

Suń Na uciekła do Kantonu.

Tam udało jej się zakraść na pokład statku płynącego do Ameryki, gdzie mieszka jej siostra.

Ukrywała się aż do poprzedniego dnia.

- Zachowamy cię przy życiu - powiedział kapitan.

- Nie

obchodzi mnie, czy masz siostrę, czy nie.

W Ameryce brak kobiet z Chin.

Wyjął z kieszeni srebrną monetę i zaczął ją przerzucać jednej dłoni do drugiej.

- Będziesz moim dodatkowym zyskiem z tej podróży.

Z pewnością nie rozumiesz, co to oznacza, ale to nic niezmiennego.

168

Tego samego wieczoru San zaczął dalej ją wypytywać.

Od czasu do czasu przechodzący obok marynarz obrzucał pożądlivym spojrzeniem jej ciało, które starała się ukryć.

Siedziała z głową pod brudnym kocem i nie mówiła zbyt wiele.

Pochodził z wioski, której nazwy San nigdy wcześniej nie słyszał.

Lecz kiedy opisywała jej okolice i nietypowy kolor wody wpływającej przez wioskę rzecze, zrozumiał, że musi być gdzieś w pobliżu Wi Hei.

Ich rozmowy były krótkie, zupełnie jakby Suń wystarczał sobie na wypowiedzenie jedynie kilku słów za jednym razem.

Ośmielali się odzywać się do siebie tylko wieczorami.

W ciągu dnia dziewczyna chowała się pod kocem, chcąc uniknąć spojrzeń marynarzy.

' Statek wciąż podążał na wschód, a San każdego dnia wycinał na maszcie kolejne kreski.

Zorientował się, że mężczyźni trzymani pod pokładem czują się coraz gorzej w zaduchu i ciasnocie.

Widział jak dwóch z nich wyniesiono z luku, owinięto w podarte żaglowe płótno i wrzucono do morza.

Nikt nie powiedział ani słowa ani nie skłonił się wodzie, która zabrała ich ciała.

Na statku wydawała rozkazy jedynie śmierć.

Nikt inny nie decydował o wietrze, prądach i falach ani o tym, kto następny zostanie wyniesiony z cuchnącego luku.

Sanowi przydzielono zadanie pilnowania Suń Na, więc wieczorami szeptał jej do ucha słowa pocieszenia.

Kilka dni później wyniesiono z luku kolejnego zmarłego.

San i Guo Si nie mogli dojrzeć, kogo wyrzucono za burtę.

Po chwili jednak marynarz, który wrzucił ciało do morza, podszedł do masztu.

W dłoni trzymał niewielkie płócienne zawiniątko.

- Chciał, żeby ci to dać,

-Kto?

169.

- Nie wiem, jak się nazywał.

San przyjął pakunek.

Kiedy odwinął materiał, znalazł w nim odcięty kciuk.

Zmarłym musiał być więźliu.

Gdy poczuł, że nadchodzi jego czas, odciął sobie kciuk i zapłacił marynarzowi za przekazanie go Sanowi.

San poczuł się zaszczycony.

Obdarzonego największym zaufaniem, jakim człowiek może obdarzyć drugiego człowieka.

Liu wierzył, że San pewnego dnia powróci do Chin.

Przez jakiś czas uważnie przyglądał się kciukowi, po czym zaczął zdrapywać niego skórę i mięso łańcuch skuwającego jego nogi.

Starł się, żeby Guo Si nie widział tego, co robi.

Oczyszczenie skóry zajęło mu dwa dni.

Umył ją w wodzie, która zebrała się po deszczu, a potem schował w jednej z kieszonek koszuli.

Postanowił nie zawieść Liu, mimo

że przeznaczona dla niego pieniądze przywłaszczył sobie marynarz.

Dwa dni później nastąpiła śmierć kolejnego mężczyzny, tym razem jednak nie pod pokładem.

Zmarłym okazał się sam kapitan.

San dużo rozmyślał o tym, że kraj, doktóręgo zmierzają, zamieszkują ci przedziwni bladzi ludzie.

Widział też, jak kapitan nagle zgiął się wpół, jakby trafiło go uderzenie niewidzialnej pięści.

Upadł na pokład i przestał się ruszać.

Ze wszystkich stron nadbiegli marynarze, krzykliwie przeklinali, ale na próżno.

Następnego dnia ciało kapitana

wyrzucono za burtę owinięte flagą, na której widać było paski i gwiazdki.

W dniu śmierci kapitana statek znów kołysał się na martej fali.

Niecierpliwość załogi zaczęła się wkrótce zmieniać w niepokój i lęk.

Niektórzy z marynarzy twierdzili, że za śmierć kapitana i bezwietrzną pogodę odpowiedzialny jest zły duch.

Pojawiło się ryzyko, że na statku zabraknie jedzenia i wody.

Co jakiś czas na pokładzie wybuchaly kłótnie

170

i bójk.

Zanim zabrakło kapitana, tego typu awantury były natychmiast karane.

Sternik, który go zastąpił, nie był tak stanowczy i nie potrafił opanować konfliktów.

San z lękiem myślał o niespokojnej atmosferze na pokładzie.

Wciąż każdego dnia wycinał jedną kreskę na maszcie.

Ile czasu minęło, odkąd opuścili Kanton?

I jak wielki właściwie jest ten ocean, który mozolnie próbują pokonać?

Pewnego bezwietrznego wieczoru, kiedy San drzemał, z ciemności wyłoniło się kilku marynarzy.

Podeszli do masztu i zaczęli odwiązywać linę, którą przywiązana była Suń.

Jeden z nich zatkął jej usta kawałkiem szmaty, żeby nie było słychać jej krzyków.

San patrzył z przerażeniem, jak zaciągnęli ją pod reling, zdarli z niej ubranie i zgwałcili.

Z mroku wychodzili kolejni marynarze.

Każdy z nich czekał na swoją kolej.

San obserwował ich, niemogąc nic zrobić.

W pewnej chwili zorientował się, że Guo Si się obudził i jęknął z przerażenia, kiedy zrozumiał, co się stało.

-Będzie najlepiej, jeśli zamkniesz oczy- powiedział San.

-Nie chcę, żebyś znów chorował.

To, co się tam dzieje, może każdego przyprawić o śmiertelną gorączkę.

Kiedy marynarze skończyli, Suń Najuz się nieruszała.

Mimo to jeden z mężczyzn założył jej na szyję stryczki i wciągnął nagie ciało na belkę odchodzącą od jednego z masztów.

Nogi dziewczyny gwałtownie drgnęły, rozpaczliwie próbowała podciągnąć się na linie, ale jej ręce były za słabe.

Po chwili zawisała bez ruchu.

Wtedy marynarze wyrzucili zwłoki za burtę.

Nie owinęli jej nawet kawałkiem płótna, ale po prostu zepchnęli nagie ciało do wody.

Sanniezdołał powstrzymać jęku przerażenia.

Usłyszawszy to, jeden z mężczyzn podszedł do niego.

- Tęsknisz za narzeczoną?

- zapytał.

San przeraził się, że i jego wyrzucą za burtę.

171.

- Nie mam żadnej narzeczonej - odparł.

-To przeznią wiatr nam nie sprzyjał.

Ona też rzuciła urokna kapitana i zabiła go.

Ale teraz już jej nie ma.

Wkrótce znów powieje wiatr.

- Skoro tak, dobrze zrobiliście, wyrzucając ją za burtę.

Marynarz pochylił się i zbliżył twarz do twarzy Sana.

- Boisz się - powiedział.

- Boisz się i kłamiesz.

Nie musisz się martwić.

Ciebie niewyrzucimy za burtę.

Nie wiem, co sobie myślisz, ale pewnie wykastrowałbyś mnie, gdybyś mógł.

I nie tylko mnie, ale wszystkich na pokładzie.

Mężczyzna przykuty domasztu raczej nie myśli tak samo jak ja.

Jego twarz wykrzywił szyderczy uśmiech.

Zanim odszedł, rzucił Sanowi strzępy białego materiału, który jeszcze kilkadziesiąt temu był sukienką Suń Na.

- Jeszcze nią pachnie - krzyknął, oddalając się.

- Kobieta i śmiercią.

San zwinął resztki materiału i wsunął je za koszulę.

Teraz miał już kciuk martwego mężczyzny i sukienkę młodej kobiety, którą miała na sobie w ostatnich, tragicznych chwilach życia.

Nigdy wcześniej nie obarczono go podobnym ciężarem.

Guo Sinie rozmawiał z nim o tym, co się stało.

San stopniowo zaczął się przyzwyczajać do myśli, że ocean nigdy się nie skończy i nie dotrą do miejsca, w którym czekał ich nieznan los.

Od czasu do czasu nawiedzała go w snach postać bez twarzy, która zdrapywała z jego ciała skórę i mięśnie, a kawałki rzucała wielkim ptakom.

Kiedy się budził, wciąż był przykuty do masztu.

Przebudzenie zdawało mu się jednak kucieczką od koszmaru.

Przez wiele kolejnych dni wiatr im sprzyjał.

Pewnego ranka, tuż po nadejściu świtu, San usłyszał wołanie marynarza

172

stojącego na małej platformie zamocowanej na dziobie statku.

Krzyk mężczyzny obudził również Guo Si.

- Czemu on krzyczy?

- zapytał.

- Chyba stało się to, co uznaliśmy już za niemożliwe - odpowiedział San, biorąc brata za rękę.

- Myślę, że zobaczył ład.

Wyglądało to jak ciemny pasek kotłujący się na grzbietach fal.

W miarę upływu czasu pasek stopniowo się powiększał.

Z wody wyłaniał się ład.

Dwa dni później wpłynęli do szerokiej zatoki, w której buchające dymem z kominów parowostatki i żaglowce podobne do tego, którym płynęli, tłoczyły się na redzie i wzdłuż długich nabrzeży.

Wszyscy więźniowie zostali wyprowadzeni spod pokładu.

Napełniono wodą duże kadzie, każdy dostał kawałek mydła i rozkaz umycia się pod strażą załogi.

Nikt nie był już bity.

Jeśli któryś z więźniów się ociągał, marynarze sami tarli go wodą i mydłem.

Każdy został ogolony, po czym dostał o wiele większą porcję jedzenia niż podczas całej podróży.

Kiedy wszyscy byli gotowi, zdjęto łańcuchy wyciskające stopy, a zamiast niego założono im na ręce kajdany.

Przez cały ten czas statek pozostawał na redzie.

San i Guo Si stanęli w szeregu z resztą więźniów i przyglądali się portowi.

Górujące nad nim, zbudowane na pagórkach miastobyło niewielkie.

San pomyślało Kantonie.

Miasto, które mieliprzed sobą, nie mogło się równać z tym, które opuścili.

Czyto rzeczywiście prawda, że jedna rzeka w tym kraju pokrywałałoty piasek?

Wieczorem podpłynęły do nich i przybiły do burty dwamniejsze statki.

Opuuszczono trapy.

San i Guo Si jedni z ostatnich opuścili pokład statku.

Marynarze, którzy przyjęliich na pokład, byli biali.

Mieli brody i śmierdzieli potem.

173.

Niektórzy byli pijani.

Zniecierpliwieni popychali idącego powoli Guo Si.

Statki, którymi po nich przy płynęli, miały kominy buchające chmurami czarnego dymu.

San patrzył, jak maszt, na którym wyrzył niezliczoną ilość kresek, powoliznika w ciemności.

W tym momencie zerwała się ostatnia niewidzialna nić łącząca go z ojczystym krajem.

Spojrzał na wygwieżdżone niebo.

Wyglądało tak samo jakto, które obserwował wcześniej.

Gwiazdy tworzyły te same wzory, ale zmieniły swoje położenie.

Zrozumiał wówczas, co tak naprawdę oznacza samotność.

Być opuszczonym nawet przez gwiazdy, które do tej chwili świeciły tuż nad jego głową.

- Dokąd nas zabierają?

- zapytał szeptem Guo Si.

- Nie wiem.

Gdy zeszli na ląd, musieli się nawzajem podtrzymać, by nie upaść.

Przebywali na pokładzie statku tak długo, że nie mogli złapać równowagi, gdy ziemia pod nimi nagle stała się nieruchoma.

Wepchnięto ich do ciemnego pomieszczenia, które śmierdziało kocim moczem i strachem.

Zaraz po nich wszedł doniego Chińczyk, ubrany tak samo jak biali mężczyźni.

Po obu stronach stało dwóch innych Chińczyków, trzymających silnie świecące lampy naftowe.

- Zostaniecie tu na noc - powiedział biały Chińczyk.

-Jutro pojedziecie dalej.

Nie próbujcie uciekać.

Jeśli będziecie krzyczeć, zakneblujemy was.

A jeśli to nie pomoże, przyjdę i pocię wam języki.

Wyjął nóż i pokazał go w świetle lamp.

- Jeśli będziecie robić to, comówię, wszystkimójdzie dobrze.

W przeciwnym razie będzie bardzo źle.

Mam psy, które lubią ludzkie języki.

Schował nóż zapas.

174

- Jutro dostaniecie jedzenie - kontynuował.

- Wszystkobędzie dobrze.

Niedługo zaczniecie pracować.

Ci, którzy będą się dobrze sprawować, wrócą za jakiś czas za oceanem wielkimi bogactwami.

Opuścił pomieszczenie, a wraz z nim wyszli mężczyźni niosący lampy.

Nikt z tłoczących się w ciemności mężczyźni nie odważył się odezwać.

San powiedział szeptem do GuoSi, że najlepiej będzie położyć się spać.

Cokolwiek wydarzy się następnego dnia, z pewnością będą im do tego potrzebni.

Nie mogąc spać, San długo leżał u boku brata, który natychmiast zapadł w sen.

Dokoła słyszalne spokojne westchnienia tych, którzy spali, i tych, którzy nie mogli zasnąć.

Przycisnął ucho do zimnej ściany, chcąc uchwycić jakiś dźwięk dochodzący z zewnątrz.

Była jednak grubo i nie przedostawał się przez nią żaden szmer.

- Musisz nas teraz zabrać - przemówił do Wu, prostowciemność.

- Nawet jeśli nie żyjesz, jesteś ostatnim spośród nas, który pozostał w Chinach.

Następnego dnia kazano im wsiąść na okryte konne wozy.

Opuszczali miasto, nawet go nie zobaczywszy.

Dopiero gdy dotarli do suchej i piaszczystej okolicy porośniętej z rzadka niskimi krzewami, jadący konno uzbrojeni mężczyźni zdjęli płachty zakrywające wozy.

Świeciło słońce, ale było zimno.

San zauważył, że wozy tworzą długą, wijącą się karawanę.

Przed nimi, w oddali, dostrzegł łańcuch gór.

- Dokąd jedziemy?

- zapytał Guo Si.

- Nie wiem.

Prosiłem, żebyś nie zadawał tylu pytań.

Odpowiem, kiedy będę mógł.

Zmierzali w kierunku gór przez wiele dni.

Nocą kładli się spać pod wozami, które ustawiano w krąg.

Wraz z każdym

175.

kolejnym dniem spadała temperatura.

San zaczął się zastanawiać, czy przyjdzie im z bratem zamarznąć na śmierć.

W swoim wnętrzu już czuł lód.

Ciężkie, przerażone, lodowate serce.

13

Dziewiątego marca 1864 roku San i Guo Si zaczęli kuć góręstojącą na drodze linii kolei żelaznej, która miała przebiegać przez cały kontynent północnoamerykański.

Była to jedna z najsroźszych zim, jakie pamiętano w Nevadzie, o dniach tak mroźnych, że wdychane powietrze wydawało się kryształkami lodu.

Początkowo San i Guo Si pracowali nieco dalej na zachód, gdzie łatwiej było przygotowywać grunt i kłaść szyny.

Dotarli na miejsce pod koniec października.

Wraz z wieloma mężczyznami przywiezionymi z Kantonu w kajdanach zostali przyjęci przez Chińczyków, którzy obcięli warkocze, nosili ubrania białych i mieli zegarki na łańcuszkach zawieszona na szyjach.

Bracia trafili do mężczyzny noszącego takie samo nazwisko jak oni - Wang.

Ku przerażeniu Sana i Guo Si, który zazwyczaj nic im nie mówił, nagle zaczął protestować.

- Zostaliśmy napadnięci, związani i zawleczeni na pokład.

Nie przybyliśmy tu z własnej woli.

San pomyślał, że ich długa podróż właśnie się zakończyła.

Stojący przed nimi mężczyzna nigdy by nie pozwolił, by ktokolwiek przemawiał do niego w ten sposób.

Z pewnością zaraz wyjmie broń zatknętą za pas na biodrach i zastrzeli ich.

Mylił się jednak.

Wang wybuchnął śmiechem, zupełnie jakby Guo Si powiedział jakiś dowcip.

176

- Jesteście tylko parą psów - odpowiedział.

- Zi przysłałmi gadające psy.

Należycie do mnie, dopóki nie odpracujecie podróży przez ocean, jedzenia i podróży z San Francisco aż do tego miejsca.

Będziecie płacić, wykonując dla mnie pracę.

Za trzy lata możecie robić, co chcecie.

Ale do tego momentu jesteście moją własnością.

Nie możecie stąd uciec.

Na pustyni żyją wilki, niedźwiedzie i Indianie, którzy poderzną wam gardła, rozłupią czaszki i wypiją mózgi, jakby były to jajka.

Jeśli mimo to spróbujecie uciec, mam kilka prawdziwych psów, które was wytropią.

A wtedy zatańczybat i będziecie musieli pracować dla mnie rok dłużej.

Teraz wiecie już, co was czeka.

San obserwował mężczyzn stojących za Wangiem.

Byli uzbrojeni w strzelby i trzymali na smyczach psy.

Dziwił się, że ci biali brodacie mężczyźni słuchają rozkazów Chińczyka.

Znalazł się wkraju, który ani trochę nie przypominał

Chin.

Ulokowano ich w obozie namiotowym w głębi wąwozu, którym płynął potok.

Po jednej jego stronie obozowali Chińczycy, po drugiej wymieszani ze sobą Irlandczycy, Niemcy i inni Europejczycy.

Wyczuwalne było napięcie panujące pomiędzy obydwoimi obozami.

Potok stanowił granicę, której żaden z Chińczyków nie miał odwagi przekroczyć bez ważkiej przyczyny.

Irlandczycy często chodzili pijani, wykrzykiwali obelżywe słowa i rzucali kamieniami na chińską stronę.

San i Guo Si nie rozumieli słów, lecz kamienie, które ich trafiały, były bardzo twarde.

Zapewne owe słowa były takie same.

Dzielił namiot z dwunastoma innymi Chińczykami, z których żaden nie przypląnął samym statkiem co bracia.

San domyślał się, że Wang celowo mieszał nowo przybyłych robotnikami pracującymi w tym miejscu już od jakiegoś

177.

czasu, żeby zaznajomili nowych z obowiązującymi regułami.

Namiot był tak ciasny, że robotnicy spali stłoczeni jeden przy drugim.

Łatwiej był ten sposób utrzymać ciepło,

zarazem jednak miało się poczucie, że jest się unieruchomionym, związanym.

W namiocie dowodził mężczyzna imieniem Xu.

Był chudy i miał zepsute zęby, ale darzono go wielkim szacunkiem.

On wskazał braciom miejsca, na których mieli spać.

Zapytał, skąd przybyli i którym statkiem przyłynęli, ale sam nic sobie nie mówił.

Obok Sana spał mężczyzna imieniem Hao.

Powiedział, że Xu jest tu od samego początku, odkąd wiele lat temu rozpoczęła się budowa kolei.

Przybył do Ameryki już we wczesnych latach pięćdziesiątych i zaczął od pracy w kopalniach złota.

Ludzie mówili, że nie zdołał nic znaleźć, płucząc piasek w rzekach.

Kupił starą drewnianą rudę, zamieszkaną wcześniej przez kilku poszukiwaczy złota, którymi się powiodło.

Nikt nie mógł zrozumieć, dlaczego Xu był tak głupi, by zapłacić dwadzieścia pięć dolarów za dom, w którym tak nie dało się mieszkać.

Lecz Xu zmiotł ostrożnie pył leżący na podłodze, potem zdjął rozeschnięte deski i zebrał warstwę ziemi spod domu.

W ten sposób udało mu się zgromadzić tyle złotego piasku, że wrócił do San Francisco z niewielką fortuną.

Postanowił popłynąć z powrotem do Kantonu i kupić bilet na parowiec.

Czekając na statek, odwiedził jeden z salonów gier, w których Chińczycy spędzali mnóstwo czasu, i przegrał w nim wszystko, czego się dorobił, nawet bilet na podróż do domu.

Wtedy właśnie trafił do firmy Central

Pacific i został jednym z pierwszych zatrudnionych w niej Chińczyków.

Wszystko to opowiedział Sanowi Hao.

San nigdy nie zdołał się dowiedzieć, skąd Hao to wie, skoro Xu sam nigdy nie

o sobie nie mówił.

Hao upierał się jednak, że każde jego

słowo jest prawdziwe.

Xu mówił po angielsku.

Od niego dowiedzieli się, co znaczą słowa wykrzykiwane po drugiej stronie strumienia oddzielającego obydwa obozy.

- Mówią na nas chinks- powiedział.

- To bardzo obraźliwe określenie.

Kiedy Irlandczycy się upiją, czasem nawet nazywają nas pigs, co oznacza, że jesteśmy dla nich Don

Fin-Yao.

- Dlaczego oni nas nie lubią?

- zapytał San.

- Pracujemy lepiej - wyjaśnił Xu.

- Ciężiej, nie pijemy i nie uciekamy.

Poza tym mamy żółte policzki i skośne oczy.

Nielubią ludzi, którzy nie wyglądają tak jak oni.

Każdego ranka San i Guo Si, z lampą w dłoniach, wspinali się śliską ścieżką prowadzącą z wąwozu.

Zdarzało się, że ktoś poślizgnął się na oblodzonej drodze i spadał dół.

Dwaj mężczyźni, którzy w ten sposób zostali ranni w nogi, pomagali przygotowywać jedzenie, jakie bracia dostawali po długim dniu pracy.

Chińczycy i robotnicy mieszkający po drugiej stronie potoku pracowali z dala od siebie.

Mieli oddzielne wyjścia z wąwozu i osobne miejsca pracy.

Brygadziści pilnowali, by nie wchodzili sobie w drogę.

Zdarzało się jednak, że pośrodku potoku wybuchały bójki między uzbrojonymi w kije Chińczykami a Irlandczykami, którzy wyciągali noże.

Brodac strażnicy nadjeżdżali wówczas konno i rozdzielali bijących się mężczyzn.

Czasem ktoś zostawał tak ciężko ranny, że umierał.

Pewien Chińczyk, który rozłupał czaszkę Irlandczykowi, został zastrzelony, natomiast Irlandczyka, który śmiertelnie ranił nożem Chińczyka, odprowadzono w kajdanach.

Xu ostrzegał wszystkich mieszkańców namiotu przed wdawaniem się w bójki irzucaniem

179.

kamieniami.

Wciąż przypominał im o tym, że jakkolwiekby na to patrzeć, są w tym kraju gośćmi.

- Musimy cierpliwie czekać -mówił.

- Pewnego dnia oniwszyscyrozumieją, że niepowstanie tu żadnakolej żelazna, jeśli jej budowy nie dokończą Chińczycy.

Pewnego dniawszystko się zmieni.

Późnym wieczorem tegosamego dnia Guo Si zapytał szeptem Sana, co Xuwłaściwiemiał na myśli.

San nie znalazłodpowiedzi.

Przywieziono ich z wybrzeża w topustynne miejsce,w którym słońcestawoło się coraz zimniejsze.

Gdy budziłyich głośne krzykiXu, musieli się śpieszyć.

W przeciwnymrazie brygadziści wpadliby w gniew i zmusiliby ich do pracydłuższej,niz wynosiła codzienna, dwunastogodzinna norma.

Chłód stawał się coraz dokuczliwszy.

Prawie codzienniepadałśnieg.

Od czasu do czasu widzieli groźnego Wanga, który twierdził,że są jego własnością.

Pojawiał się taksamo nagle, jakpo chwili znikał.

Bracia wznosili nasyp, na którym następnie układanopodkłady iszyny.

Wszędzie dokoła płonęły ogniska, po to,żeby oświetlić miejsce robót,ale też po to, by ogrzaćamarzającygrunt.

Robotnicy byli nieustannie pilnowani przezporuszających się konno brygadzystów, białych mężczyznuzbrojonych w strzelby, ubranych w wilcze skóry i szaleowinięte wokół rond kapeluszy, które chroniły ich przedmrozem.

Xu nauczył braci zawsze odpowiadać: Yes, boss,kiedy zostanązagadnięci, nawet jeśli nie rozumieją, co się

do nich mówi.

Kilka kilometrów dalej widać było kolejneogniska.

Tampracowali Irlandczycy, kładlipodkłady i szyny.

Czasem dobiegał gwizd lokomotywy wypuszczającej kłęby pary.

San

180

i Guo Si uważali wielkie, czarne zwierzęta pociągowe zasmoki.

Nawet jeśli zięjące ognipotwory w opowieściach matki były kolorowe, z pewnością miała na myśli te połyskujące czernią monstra.

Ich katorga zdawała się nie mieć kresu.

Kiedy kończył siedzieć przy pracy, ledwie starczało im siła powrót do wąwozu zjedzenie posiłku.

Potem padali ze zmęczenia w namiocie.

Tak długo, jak to było możliwe, San zmuszał Guo Si do mycia się w zimnej wodzie.

San czuł odrazę do własnego ciała, kiedy było brudne.

Ku swemu zdziwieniu, niemal zawsze, półnagim trzęsący się zimna, przychodził nad wodę sam.

Jedynymi, którzy oprócz niego regularnie się myli, byli nowo przybyli robotnicy.

Potrzeba utrzymywania ciała w czystości słabła pod wpływem ciężkiej pracy.

W końcu przyszedł dzień, w którym San, nie umywszy się, runął ciężko na posłanie.

Leżał w namiocie i czuł smród ciał pozostałych mieszkańców.

Zrozumiał, że sam stopniowo zamieniasz się w stworzenie pozbawione godności, marzeń i tęsknoty za czymkolwiek.

W północy widywał matkę i ojca, i czuł, że zamienił domowe piekło na piekło w obcym miejscu.

Zmuszono ich do niewolniczej pracy, gorszej niż ta, którą kiedykolwiek doświadczyli ich rodzice.

Czy to chcieli osiągnąć, wyruszając w drogę do Kantonu?

Czy dla biedaka nie było żadnego innego wyjścia?

Tego samego wieczoru, tuż przed zaśnięciem, San uświadomił sobie, że jedynym sposobem ocalenia jest ucieczka.

Codziennie widział, jak kolejny robotnik przewraca się i jak go wynoszą.

Pewnego dnia opowiedział o swoim planie Hao, który leżał bokiem i słuchał w zamyśleniu.

- Ameryka to ogromny kraj - powiedział Hao.

- Lecz nie tak wielki, żebyś wraz z bratem zdołał w nim zniknąć.

Jeśli

181.

naprawdę chcesz uciec, musisz uciec z powrotem do Chin.

Inaczej, prędzej czy później, zostaniecie złapani.

Nie muszę mówić, co się wtedy z wami stanie.

San długo myślało tym, co powiedział Hao.

I tak nie nadszedł jeszcze czas na ucieczkę ani nawet na to, by opowiedzieć o swoich zamiarach Guo Si.

Pod koniec lutego przez Nevadę przeszła ciężka śnieżycy.

W ciągu dwunastu godzin spadło ponad metr śniegu.

Kiedy burza ucichła, gwałtownie spadła temperatura.

Rankiem 1 marca 1864 roku robotnicy musieli odkopać się ze śniegu.

Irlandczycy obozujący po drugiej stronie potoku mniej cierpieli podczas śnieżycy, ponieważ ich namioty leżały po stronie zawietrznej.

Stali teraz i naśmiewali się z Chińczyków

którzy marnie odkopywali namioty i ścieżkę prowadzącą do wylotu wąwozu.

Nic nam nie sprzyja, pomyślał San.

Nawet śnieg nas nie oszczędził.

Spoglądał na Guo Si, który był coraz słabszy.

Z trudem przychodziło mu nawet podniesienie łopaty.

San już zdecydował.

Muszą się utrzymać przy życiu aż do następnego Nowego Roku białego człowieka.

; W marcu w wąwozie pojawili się pierwsi czarni mężczyźni.

Rozbili swoje namioty po tej samej stronie, po której obozowali Chińczycy.

Żaden z braci nigdy wcześniej niewidział czarnoskórego człowieka.

Przybysze mieli na sobie łachmany i potwornie marzli.

San nie zdawał sobie sprawy, że człowiek może aż tak strasznie marznąć.

Wielu z nich zmarło podczas pierwszych dni spędzonych w wąwozie i przy nasypie kolejowym.

Byli tak słabi, że nieraz przewracali się w ciemności, a ich ciała znajdowano dopiero po długim czasie, kiedy śnieg zaczynał topnieć wiosną.

Czarni robotnicy byli traktowani gorzej niż Chińczycy, a określające ich słowo niggers wy-

182

rażało pogardą jeszcze większą niż obraźliwe chinks.

Nawet Xu, który zawsze zalecał umiarkowanie, gdy mówił o innych robotnikach pracujących przy budowie kolei, otwarcie okazywał odrazę wobec czarnych.

- Biali nazywają ich upadłymi aniołami - mówił.

- Niggers są zwierzętami pozbawionymi duszy i nikt nie żałuje, kiedy umierają.

Zamiast mózgów mają gnijące grudy mięsa.

Guo Si zaczął słuwać za czarnymi robotnikami, gdy ich brygady od czasu do czasu spotykały się na drodze.

San czuł smutek, widząc ludzi traktowanych jeszcze gorzej niż on sam.

Surowo zakazał bratu takiego zachowania.

Wyjątkowo srogi mroz skubał wawóz i nasypy kolejowe.

Pewnego wieczoru, gdy wszyscy jedli posiłek, siedząc przy ogniu, który tylko nieznacznie ogrzewał wnętrze namiotu, Xu zakomunikował, że następnego dnia przeniosą się do nowego obozu i w nowe miejsce pracy.

Znajdowało się ono u stóp góry, którą mieli zacząć kopać i wysadzać, by przebić przez skały drogę dla kolei.

Przed opuszczeniem namiotu wszyscy mieli zabrać z niego swoje koce, miski na jedzenie i pałeczki.

Wyruszyli wcześniej rano.

San nie przypominał sobie, by kiedykolwiek wcześniej doświadczył większego zimna.

Kazał Guo Si iść przed sobą.

Pilnował, żeby brat nie upadł i nie został w śniegu.

Podążali wzdłuż nasypu kolejowego aż do miejsca, w którym skończyły się tory, a po kolejnych kilkuset metrach również sam nasyp.

Xu popędzał ich.

Chyboczące światło lamp naftowych rozpraszało roztaczającą się przed nimi ciemność.

San wiedział, że znajdują się bardzo blisko gór, które białinazywali Sierra Nevada.

To właśnie tam mieli zacząć wykuwać wąwozy i tunele umożliwiające budowę dalszej drogi dla kolei.

Xu zatrzymał się pod najniższym grzbietem góry.

Stały tam namioty i płonęły ogniska.

Robotnicy, przemarznięci

183.

po długiej wędrówce, padli na ziemię tuż przy zbawiennym ciepłym płomieniu.

San upadł na kolana i wyciągnął do ognia zmarznięte, owinięte szmatami dłonie.

W tym samym momencie usłyszał za sobą czyjś głos.

Odwrócił i ujrzał białego mężczyznę.

Włosy opadały mu na ramiona, a owinięty wokół twarzy szal upodabniał go do zamaskowanego bandyty.

W dłoni trzymał broń.

Miał na sobie futro, a z kapelusza podszytego skórą zwisał mu ogon.

Jego oczy przypominały Sanowi oczy Zi.

Nagle biały mężczyzna uniósł broń i oddał strzał w powietrze.

Tłoczący się przy ogniu mężczyźni skulili się.

- Wstańcie!

- krzyknął Xu.

- Zdejmijcie okrycia z głowy.

San spojrzał z niegodziwym zdziwieniem.

Czy naprawdę mają zdjąć czapki, które wypchali suchą trawą i szmatami?

- Zdejmujcie!

- ponownie krzyknął Xu, który najwyraźniej bał się uzbrojonego mężczyzny.

- Żadnych czapek.

San zdjął czapkę i skinieniem głowy nakazał bratu zrobić to samo.

Biały mężczyzna odsłonił usta.

Miał gęstwąsę.

Pomimo że San stał kilkadziesiąt metrów od niego, poczuł, że śmierdzi alkoholem.

Natychmiast stał się czujny.

Biali ludzie śmierdzący alkoholem byli jeszcze bardziej nieobliczalni niż trzeźwi.

Mężczyzna zaczął przemawiać cienkim, kobiecym głosem.

Xu z wysiłkiem tłumaczył jego słowa.

- Zdjęliście czapki, żeby lepiej słyszeć - powiedział.

Mówił głosem prawie tak cienkim jak mężczyzna bronią.

- Wasze uszy są tak szczelnie wypchane gównem, że inaczej nic byście nie słyszeli - ciągnął Xu.

- Nazywam się JA.

Ale nie wolno wam zwracać się do mnie inaczej niż boss.

Kiedy do was mówię, macie zdejmować czapki.

Macie od

184

powiadać na moje pytania, ale wam samym nie wolno o nic pytać.

Zrozumiano?

San mruknął potakująco razem z resztą.

Oczywiste było, że stojący przed nimi mężczyzna nie lubi Chińczyków.

JA krzychał dalej.

- Widzicie przed sobą skalną ścianę.

Macie rozłupać tę górę na dwie części, tak żeby mógł przez nią przejechać pociąg.

Zostaliście wybrani, ponieważ udowodniliście, że potrafiacie ciężko pracować.

Tutaj nie poradziłyby sobie ani te przeklęte czarnuchy, ani zachlani Irlandczycy.

To jest góra odpowiednia dla Chińczyków.

Dlatego jesteście.

A ja mam dopilnować, żebyście wykonali swoją pracę.

Ten, kto niewyżyje wszystkich swoich sił i okaże się leniwy, będzie przeklinał dzień, w którym się urodził.

Zrozumiano?

Chcę, żeby każdy z was odpowiedział.

Potem możecie włożyć czapki.

Kilofy rozda wam Brown, który wpada w szaf przypiętniężycyca.

Zjadawtedy Chińczyków na surowo.

Kiedy indziej jest łagodny jak owieczka.

Wszyscy odpowiedzieli pomrukiem.

Zaczynało świtać, kiedy z kilofami w dłoniach stanęli podskalną ścianą, wznoszącą się ponad nimi niemal pionowo.

Z ust robotników wydobywała się para.

JA oddał na chwilę broń Brownowi, sięgnął po kilof i wyrył nim w skale dwielinie wyznaczające ściany przyszłego tunelu.

San zauważył, że korytarz, jaki musieli wykuć, ma mieć prawie osiem metrów szerokości.

Nigdzie nie dostrzegł leżących głazów ani skalnych odłamków.

Góra zapowiadała się na bardzo trudną do pokonania.

Każdy kamień odłupany od ściany mieli opłacić wysiłkiem tak wielkim, że nie dało się go porównać niczym, czego dotychczas doświadczyli.

185.

Zapewne rozdrażnili bogów, którzy teraz wystawiają ich na taką próbę.

Muszą przebić się przez górę, by odzyskać

wolność, żeby nie nazywano ich już więcej chinks gdzieś na odludziu w Ameryce.

Sana ogarnęła beznadzieję.

Jedynym, co trzymało go przy życiu, byłamysł, że pewnego dnia on i Guo Si stąd uciekną.

Próbował wyobrazić sobie, że piętrząca się przed nimi góra jest ścianą dzielącą ich od Chin.

Już za kilka metrów znikniemy.

Po drugiej stronie kwitną wiśnie.

Tego ranka zaczęli się przekuwać przez twardą skałę.

Nowy brygadzysta pilnował ich jak drapieżne ptaszysko.

Nawet gdy się odwracał, zdawał się widzieć, że ktoś na moment opuścił kilof.

Pięści miał owinięte skórą mogącą obdrzeć domięsatwarz nawet najsilniejszego człowieka, który odważyłby się sprzeciwić.

Potrzeba było zaledwie kilku dni, by wszyscy nienawidzili mężczyznę zawsze noszącego broń i nigdy niewypowiadającego żadnego przyjaznego słowa.

Zaczęli śnić o zamordowaniu go.

San zastanawiał się, jaki układ istnieje między JA a Wangiem.

Czy JA należy do Wanga, czy może odwrotnie?

JA zdawał się być w zмовie z górą, która z wielkim oporem oddawała każdy najmniejszy odłamek niczym łzę lub włos z granitu.

Niemal cały miesiąc zajęło im wykucie niewielkiej niszy o odpowiedniej szerokości.

W tym czasie już jeden z nich zmarł.

W środku nocy wyszedł z namiotu, rozebrał się do naga i położył w śniegu, by umrzeć.

Gdy JA odkrył martwego Chińczyka, wpadł w szal.

- Nie wolno wam żałować zmarłego!

- krzyczał swoim piskliwym głosem.

-Żałujcie tego, że musicie teraz odrobić pracę, którą on by wykonał.

Kiedy wieczorem wrócili do obozu, ciała już nie było.

186

Kilkadni później zaczęli atakować górę nitrogliceryną.

Największe mrozy już minęły.

Wśród robotników byli dwaj, pan i Bing, którzy już wcześniej pracowali zużyciem tego kapryśnego i niebezpiecznego środka wybuchowego.

Wsiadali do dużych koszy, które następnie wciągano na linach na wyższy poziom ściany.

Tam karmiliskalne szczeliny nitrogliceryną.

Podpalali lonty, szybko spuszczano ich nadół i wszyscy rozbiegali się, szukając schronienia.

Wiele razy Jian i Bing nie zdążyli się schronić.

Pewnego poranka jeden z koszy utknął w drodze na dół.

Bing wyskoczył z niego spadając natwardą ziemię, uszkodził sobie stopę.

Następnego dnia jednak znów siedział w koszu.

Wśród robotników krążyła plotka, że Jian i Bing otrzymują dodatkową zapłatę.

Nie chodziło o to, że dostają pieniądze, a już pewnością nie płacił im JA.

Ponoć skracano czas, który musieli odpracowywać za swoją podróż do Ameryki.

Nie było jednak nikogo, kto chciałby zająć ich miejsce w koszu.

Pewnego dnia w połowie maja stało się wreszcie to, czego wszyscy się obawiali.

Nie wybuchł jeden z ładunków, które zamontował Jian.

Zazwyczaj odczekiwano godzinę, na wypadek gdyby wybuch nastąpił później.

Dopiero potem zakładano nowy lont i ponawiano próbę.

Tym razem JA nie miał zamiaru czekać.

Kazał natychmiast wciągnąć kosze i odpalić ładunki.

Jian próbował mu wytłumaczyć, że powinni jeszcze trochę poczekać.

JA nie słuchał go, ale siadł z konia i kolejno uderzył obydwo mężczyzn w twarz.

Sanusłyszał trzask pękającychszczęk ikości nosowych.

JAzawłókł ich siłą do koszy i wrzasnął naXu, by zaczął ichwciągać, jeśli nie chcą, żeby ich wszystkich pogoniłw śnieg,na śmierć.

Na wpół przytomni Jian i Bingzostali wciągnięcina górę.

JAUznałjednak, żepracaidzie zbyt wolno i strzeliłw powietrze.

Nikt nie wiedział, co poszło źle.

Nitrogliceryna wybuchła, rozrywając na strzępy obydwie kosze wraz z siedzącymi w nich mężczyznami.

Nie pozostały po nich nawet kawałki ciała i kości.

JA zarządził przygotowanie nowych koszy i lin.

Jednym z dwóch robotników, których wyznaczył na miejsce zabitych, był San.

Xu pokazał mu, jak obchodzić się z nitrogliceryną, choć sam nigdy nie zakładał ładunku.

Trzęsącego się ze strachu Sana wciągnięto w kosze na górę.

Był pewien, że zginie.

Lecz gdy znalazł się z powrotem na

dole, zdążył się schować i ładunek wybuchł tak, jak powinien.

Tej nocy San opowiedział Guo Si o swoim planie.

To, co czekało ich w dziczy, nie mogło być gorsze od tego, co przeżywali w tym miejscu.

Mieli wyruszyć w drogę i nie zatrzymywać się ani na chwilę, dopóki nie znajdą się w Chinach.

Uciekli cztery tygodnie później.

Bezszelestnie wymknęli się nocą z namiotu i szli wzdłuż nasypu kolejowego do miejsca, w którym obozowali biali ludzie dowożący szyny i podkłady.

Tam ukradli dwa konie i wyruszyli na zachód.

Dopiero gdy łańcuch gór Sierra Nevada wydał im się wystarczająco oddalony, odpoczęli przez kilka godzin przy ognisku, poczym znów udali się w drogę.

Dotarli do strumienia i przez jakiś czas jechali jego środkiem, by zatrzeć ślady.

Często zatrzymywali się i oglądali za siebie.

Otaczała ich pustka, nikt ich nie ścigał.

San powoli zaczął dopuszczać myśl, że być może uda im się wrócić do domu.

Nie miał jednak jeszcze odwagi, by się doniej przyzwyczaić.

Sanowi przyśnił się sen, w którym każdy podkład ułożony na nasypie podpołyskującymi czarnoszynami był ludzkim żebrzem, być może należącym do niego samego.

Wyraźnie czuł, jak klatka piersiowa zapada mu się, nie zdążywszy uprzednio napełnić płuc powietrzem.

Wierząc nogami, bezskutecznie próbował uwolnić się od ciężaru, który przygniatał mu ciało.

W końcu otworzył oczy.

Ciężarem okazał się Guo Si, który położył się na nim, chcąc utrzymać ciepło.

San ostrożnie zsunął z siebie brata i okrył go kocem.

Usiadł, roztarł zeszywniałe stawy, poczym dołożył drewna do ogniska, które płonęło między kilkoma ułożonymi w krąg kamieniami.

Zbliżył dłonie do ognia.

Była to trzecia noc od ucieczki z obozu ustóp góry i od budzących grozę Wanga i JA.

San dobrze pamiętał, co Wang powiedział o tych, którzy okazą się natyle odważni, by uciec.

Mieli zostać skazani na pracę tak długą, że z trudem zdołaliby ją przeżyć.

Do tej pory bracia niezauważyli jednak, żeby ktokolwiek ich ścigał.

San podejrzewał, że brygadziści uznali braci za zbyt głupich, by zdołali ukraść konie i na nich uciekać.

Zdarzało się od czasu do czasu, że krążące po tych terenach bandy porywały konie, zatem w najlepszym przypadku braci szukano w najbliższej okolicy obozu.

San i Guo Si mieli teraz jednak duży problem.

Jeden z koni przewrócił się poprzedniego dnia.

Był to mały kucyk indiański, którego dosiadał San.

Wydawał się tak samo wytrzymały jak łąciaty koń, na którym jechał Guo Si.

W pewnym momencie kucyk się potknął i runął na ziemię.

Po chwili był już martwy.

San nie wiedział nic o koniach i doszedł do

wniosku, że serce kuczka musiało niespodziewanie przestać bić, tak samo jak czasem zdarzało się to ludziom.

Porzucili martwego konia, wydawszy uprzednio spory kawał mięsa z jego grzbietu.

Aby zmylić ewentualny pościg, skręcili jeszcze bardziej na południe.

Na odcinku kilkuset metrów San szedł zasiedzącym na koniu Guo Si i ciągnął za sobą kilka gałązek, żeby zatrzeć ślady.

Kiedy zapadł zmrok, rozbili obóz, upiekli mięso i najedli się tak bardzo, że żaden z nich nie mógł już przełknąć ani kęsa.

Według obliczeń Sana, pozostałe mięso powinno im wystarczyć na trzy dni.

San nie wiedział, gdzie są ani jak daleko droga dzieli ich od oceanu i miasta z portem, do którego zawijało wiele statków.

Dopóki obaj jechali konno, szybko oddalali się od góry.

Teraz, gdy mieli tylko jednego konia, który nie był w stanie unieść ich obu, pokonywana codziennie trasa dramatycznie się skróciła.

San przytulił się do Guo Si, żeby nie zmarznąć.

W ciemnościach słyszał pojedyncze szczeknięcia, może były to lisy, może dzikie psy.

Obudziło go gwałtowne uderzenie, które zdawało się rozłupywać mu czaszkę.

Otworzył oczy, czując pulsujący ból w lewym uchu, i spojrzał prosto w twarz, którą najbardziej się bał ujrzeć podczas ucieczki.

Wciąż było ciemno, choć w oddali mrok nocy zaczęły przebijać pierwsze promienie słońca wschodzącego nad pasmem Sierra Nevada.

Nad Sanem z dymiącą strzelbą w dłoni stał JA.

Wystrzelił mu tuż nad uchem.

Nie był sam.

Obok niego stał Brown i kilku Indian, trzymających na smyczach psy.

JA oddał strzelbę Brownowi i wyjął rewolwer.

Przytknął lufę do głowy Sana.

Po chwili odsunął

190

ją i oddał kolejny strzał obok jego ucha.

Kiedy San wstał, zobaczył, że JA coś do niego krzyczy, nic jednak nie słyszał.

W głowie dudnił mu potworny hałas.

JA przystawił teraz lufę rewolweru do skroni Guo Si.

San dostrzegł przerażenie na twarzy brata, niemógł jednak nic zrobić.

Ja wystrzelił dwukrotnie, tuż przy uszach Guo Si.

Z bólu oczy zaszkliły mu się od łez.

Ucieczka dobiegła końca.

Brown związał im ręce na plecach, po czym założył na szyję pętlę ze sznura.

Wyruszyli w powrotną drogę na wschód.

San wiedział już, że od tego momentu on i Guo Si staną wyznaczonymi najniebezpieczniejszymi pracownikami, o ile Wang nie zdecyduje się ich powiesić.

Nikt nie okaże im łaski.

Uciekinierzy, którzy zostali schwytani, należeli do najgorzej traktowanych wśród wszystkich robotników pracujących przy budowie kolei.

Tracili resztki ludzkiej godności.

Czekali na niewolniczą pracę aż do śmierci.

Kiedy po pierwszym dniu marszu rozbili obóz, ani San, ani Guo Si nie odzyskali jeszcze słuchu.

W głowach rozbrzmiewał im potężny gong.

San spojrzął w oczy Guo Si i próbował go pocieszyć.

Jednak oczy brata były martwe.

San zrozumiał, że będzie musiał wyżyć wszystkie pozostałe w nim siły, by utrzymać Guo Si przy życiu.

Nigdy by sobie nie wybaczył, gdyby pozwolił umrzeć drugiemu bratu.

Wciąż jeszcze czuł się winien śmierci Wu.

Po przybyciu do obozu stóp góry JA postawił schwytych uciekinierów na wprost pozostałych robotników.

Wciąż mieli pętle na szyjach i związane z tyłu ręce.

San próbował odszukać wzrokiem Wanga, ale nigdzie nie mógł go dostrzec.

Ponieważ obydwaj bracia wciąż jeszcze nie odzyskali słuchu, tylko się domyślali, co mówi siedzący na koniu JA.

Kiedy skończył, zsunął się z siodła, zbliżył do uciekinierów, po czym zadał każdemu z nich potężny cios w twarz.

San

191.

nie utrzymał się na nogach i upadł.

Przez chwilę był pewien, że już nigdy nie zdoła się podnieść.

W końcu jednak wstał.

Kolejny raz.

Nieudanaucieczka skończyła się tym, czego San się obawiał.

Nie zostali powieszani.

Lecz za każdym razem, kiedy dokruszenia góry miała być użyta nitrogliceryna, San i Guo Si musieli wsiadać do Koszy Śmierci.

Tak właśnie nazwali jechińscy robotnicy.

Po miesiącu od powrotu do obozu bracia wciąż jeszcze nie całkiem odzyskali słuch.

San zaczął się już godzić myślą, że resztę życia spędzi głuchym brzęczeniem w głowie.

Ci, którzy czegoś od niego chcieli, musieli mówić bardzo głośno.

W góry przyszło lato, długie, suche i gorące.

Każdego ranka wyruszali do pracy z kilofami w dłoniach lub przygotowywali kosze, którymi wciągano śmiertelny materiał wybuchowy.

Drażyli górę ogromnym wysiłkiem, kuli żelazem jej kamienne ciało, które każdy, nawet najmniejszy, milimetrový odłamek oddawało z wielkim oporem.

Każdego ranka San coraz bardziej wątpił w to, że uda mu się przeżyć jeszcze jeden dzień.

San nienawidził JA.

Jego nienawiść rosła z każdym dniem.

Nie za jego brutalności ani nawet to, że niemal każdego dnia kazał im wsiadać do koszy i zakładać śmiertelnie niebezpieczne ładunki.

Nienawiść do JA zrodziła się w nim w momencie, gdy ten postawił ich ze sznurami wokół szyi przedresztą robotników, jak zwierzęta.

- Zabiję tego człowieka - powiedział do Guo Si.

- Nie opuszczę tej góry do momentu, aż go zabiję.

Zabiję jego wszystkich, którzy są tacy jak on.

- To znaczy, że sami będziemy musieli umrzeć --odparł Guo Si.

- Powiesz nas.

Zabić białego człowieka to tak, jakbysamemuzałożył sobie stryček na szyję.

192

San był uparty.

- Zabiję go, kiedy nadejdzie czas.

Nie wcześniej.

Dopiero

wtedy gdy przyjdzie czas.

Upały stawały się z dnia na dzień coraz większe.

Pracowali teraz w palącym słońcu, od świtu do późnego wieczora.

Czas pracy wydłużał się w miarę, jak dni stawały się dłuższe.

Wielu robotników cierpiało na poparzenia słoneczne, co jakiś czas któryś umierał z wycieńczenia.

Zdawało się jednak, że zawsze znajdą się nowi Chińczycy, którzy mogą zająć ich miejsce.

Przybywali niekończącymi się transportami.

Za każdym razem gdy pojawiali się nowi robotnicy, zasypywano ich pytaniami.

Skąd przybywają i jakie statki przewiozły ich przez ocean?

W obozie panował niedający się nigdy zaspokoić głód wiadomości z Chin.

Pewnej nocy Sana obudził krzyk, a potem nagły potok słów.

Gdy wyszedł z namiotu, zobaczył jednego z robotników ściskającego i poklepującego po plecach, głowie i piersiach nowo przybyłego Chińczyka.

Był to jego kuzyn, który niespodziewanie pojawił się w obozie i sprawił mu wielką radość.

A więc to możliwe, pomyślał San.

Rodziny mogą się nanowo połączyć.

Z żalem wspominał Wu, który nie mógł wysiąść z żadnego wagonu i paść w objęcia.

Braciomw końcu zaczął wracać słuch.

San i Guo Si rozmawiali ze sobą wieczorami, zupełnie jakby pozostało im już niewiele czasu.

Jakby jeden z nich wkrótce miał umrzeć.

W czasie tych letnich miesięcy JA zapadł na ciężką chorobę.

Miał wysoką gorączkę i nie pokazywał się w obozie.

Pewnego ranka do braci podszedł Brown i oświadczył, że dopóki JA nie wróci, San i Guo Si nie będą jedynymi wyznaczonymi do pracy w Koszach Śmierci.

Nie wyjaśnił, dlaczego

193.

pozwoili im odetchnąć od tego niebezpiecznego zajęcia.

Byćmożedlatego, że JA częstotraktował go równie źle jak Chińczyków.

San zaczął ostrożnie zbliżać się do Browna.

Bardzouważał, by niezostało to odczytane jako próbauzyskaniajakichś korzyści, co bardzo rozgniewałoby pozostałych robotników.

Zdążył się już nauczyć, że wśród biednych i źletraktowanych ludzi nie ma miejscana szczodrość.

Każdymusiął myśleć tylko o sobie.

U stóp górynie obowiązywałasprawiedliwość.

Były tylko znój i cierpienie, z którymi każdymusiął radzić sobie sam.

San ze zdziwieniemobserwował czerwonobrazowych ludzio długich, czarnych włosach, często przystrojonychpiórami.

Ich rysy wydawały mu się podobne do jego własnych.

Mimoże dzielił ichocean, mogli być braćmi.

Mieliten sam

kształt twarzy, tak samoskośneoczy.

Nie znał jednak ichmyśli.

Pewnego wieczoruzapytał o nich Browna, który trochę mówił po chińsku.

- Indianie nas nienawidzą - odparł Brown.

- Tak samojakwy.

To jedyne podobieństwo, jakie dostrzegam.

- Ale to oni przecież nas pilnują.

-Karmimyich,dajemy imbroń.

Pozwalamy im stać szczebel wyżej nad wami.

I kolejnyszczebel wyżej nadczarnymi.

Wydaje im się, że mają władzę, ale w rzeczywistości są takimi samymi niewolnikami jak wszyscy inni.

- Wszyscy?

Brown tylko potrząsnął głową.

Siedzieli w ciemności.

Od czasu do czasu rozżarzał się popiół w fajkach, oświetlając ich twarze.

Brown dał Sanowi jedną ze swoich starych fajek itrochę tytoniu.

San cał czas był czujny, nie wiedząc, czy Brown będzie oczekiwał czegoś w zamian.

Być może potrzebował tylko towarzyszy¹⁹⁴

stwa, żeby zagłuszyć dopadające go na pustyni poczucie samotności, zwłaszcza teraz, kiedy nie mógł porozmawiać

z JA.

San odważył się wreszcie o niego zapytać.

Kim jest człowiek, który nie dał za wygraną, dopóki niewytropił zbiegłych braci i omal nie pozbawił ich słuchu?

Kim jest człowiek, który znajduje przyjemność w gnębieniu innych ludzi?

- Słyszałem to, coś słyszałem - powiedział Brown, gryząc ustnik fajki.

- Czy to prawda, czy nie, nie umiem powiedzieć.

Pojawił się pewnego dnia wśród bogatych ludzi w San Francisco, którzy włożyli pieniądze w budowę tej kolei.

Zatrudniono jako strażnika.

Ścigał zbiegłych robotników i był na tyle mądry, żeby używać do tego Indian i psów.

Dlatego został brygadystą.

Czasem, jak na przykład w naszym przypadku, wraca do ścigania zbiegów.

Mówią, że nikt mu nigdy nie uciekł, chyba że umarła pustyni.

Wtedy obcinał trupom dłonie i zdejmował skalpy, tak jak robią Indianie, żeby udowodnić, że ich wytropił.

Niektórzy myślą, że ma niezwykły dar.

Indianie twierdzą, że widzi w ciemności.

Dlatego nazywają go "Długa broda widząca w nocy".

San długo rozmyślał nad słowami Browna.

- On nie mówi tak jak ty.

Jego język brzmi inaczej.

Skąd

pochodzi?

- Nie jestem pewien.

Skądś z Europy.

Z kraju leżącego daleko na północy.

Może to być Szwecja, ale nie mam pewności.

- Sam nic sobie nie mówi?

- Nigdy.

To o tym kraju na północy może nie być prawdą.

- Może jest Anglikiem?

Brown przecząco pokręcił głową.

195.

- Ten człowiek pochodzi z piekła.

Tam też pewnego dnia wróci.

San chciał zadać jeszcze jedno pytanie, ale Brown tylko mruknął:

- Dość już nim.

Niedługo wróci.

Gorąckamu spada, a woda przestała przepływać nawylot przez jego trzewia.

Kiedy znów tu będzie, nie będę mógł zrobić nic, żebyście, ty i twój brat, uniknęli tańca ze śmiercią w tych koszach.

Kilkadni później JA wrócił do pracy.

Był bledszy i chudszy niż przedtem, ale zato stał się jeszcze bardziej brutalny.

Tego samego dnia pobił do nieprzytomności dwóch Chińczyków pracujących razem z Sanem i Guo Si, uznawszy, że nie powitali go wystarczająco uprzejmie.

Nie był zadowolony z postępów w pracy.

Zrobił Brownowi awanturę, wrzeszcząc, że od tego momentu będzie wymagał większego wysiłku od wszystkich pracujących przy budowie tunelu.

Zagroził, że tych, którzy nie będą wykonywać jego rozkazów, pogoni napustynię bez jedzenia i wody.

Drugiego dnia po powrocie wyznaczył braci do pracy w koszach.

Nie mogli już liczyć na pomoc Browna.

Gdy

tylko pojawił się JA, Brown skurczył się sobie jak zaszczuty pies.

Na nowo podjęli walkę z górą.

Wysadzali ją, kruszyli kilofami, dźwigali kamienie i zaczęli kłaść warstwy z bitego piasku, na którym miało położyć się tory.

Z największym mozolem pokonywali górę metr po metr.

W oddali widzieli dym wydobywający się z lokomotyw dowożących podkłady, szyny i nowych robotników.

Niebawem miały podjeżdżać aż pod samą górę.

San powiedział Guo Si, że przypominają mudyszące drapieżne zwierzęta, których gorący oddech czuje nakarku.

Bracia nigdy nie rozmawiali o tym, jak długo jeszcze pożyją, pracując w koszach.

Śmierć przychodziła, gdy się

196

o niej mówiło.

Trzymali ją więc na odległość, otaczając się

milczeniem.

Nadeszła jesień.

Lokomotywy były coraz bliżej, a JA coraz częściej chodził pijany.

Bił wówczas wszystkich, którzy weszli mu w drogę.

Zdarzało mi się upić tak bardzo, że zasypiałem w siodle i zwiślałem nad grzywą konia.

Wszyscy jednak wciąż tak samo się go bali, nawet gdy spał.

Sanowi śniło się czasem, że góra odrasta.

Kiedy wszyscy wstawali i podchodzili pod skalną ścianę, odkrywali, że jest nietknięta, zupełnie jak w dniu, w którym przybyli w to miejsce.

W rzeczywistości jednak góra powoli ustępowała.

Przebijali się przez nią na wschód, pod strażą szalonego brygadzysty.

Pewnego ranka bracia ujrzeli starego Chińczyka, który bardzo powoli wspinał się na półkę skalną, by pochwili rzucić się z niej w dół.

San nie mógł zapomnieć, z jaką godnością starzec zakończył swoje życie.

Śmierć cały czas czuwała w ich pobliżu.

Jeden z robotników rozłupał sobie głowę kilofem, inny odszedł na pustynię i zniknął.

JA wysłał za nim Indian i swoje psy, ale nigdy nie udało im się go znaleźć.

Potrafili wytropić jedynie biegów, nietych, którzy odeszli, by umrzeć.

Pewnego dnia Brown zebrał wszystkich robotników pod cinkiem góry zwanym Piekielne Wrota.

Ustawił ich w szeregach.

Gdy nadjechał JA, zauważyli, że jest trzeźwy i ma nasobie czyste ubranie.

Na co dzień śmierdział potemi uryną,tego dnia jednak starannie się umył i ubrał.

Siedział w siodlei wyjątkowo nie krzyczał.

- Dziś mamyodwiedziny - wyjaśnił.

- Kilku dżentelmenów finansujących budowę koleiprzyjedzie, żeby zobaczyć, czy prace postępujązgodnie z planem.

Zakładam, że będziecie pracować żwawiejniż zazwyczaj.

Mile widziane będą też

197.

radosne okrzyki i piosenki.

Jeśli ktoś zostanie zagadnięty, grzecznie odpowie, że wszystko idzie dobrze.

Praca, jedzenie, namioty, a nawet ja.

Wszystko jest świetne.

Kto nie zrobi tak, jak każę, po odejście tych miłych panów czeka go piekło.

To mogę wam obiecać.

Kilka godzin później nadjechali goście.

Przywieziono ich w zabudowanym powozie, który poprzedzała konna eskorta umundurowanych i uzbrojonych mężczyzn.

Białych dżentelmenów było trzech, wszyscy ubrani na czarno, w cylindrach na głowach.

Ostrożnie postawili stopy na kamienistej ziemi.

Za każdym z nich stał czarny sługa trzymający parasol dla ochrony przed słońcem.

Również oni mieli na sobie uniformy.

Kiedy delegacja nadeszła, San i Guo Si, siedząc w koszach, zakładali właśnie ładunki wybuchowe.

Mężczyźni cofnęli się, gdy bracia podpalili lonty i krzyknęli, by spuszczo ich na ziemię.

Po eksplozji jeden z ubranych na czarno dżentelmenów podszedł do Sana i chciał z nim porozmawiać.

Miał ze sobą tłumacza.

San spojrzął w niebieskie oczy i przyjazną twarz.

Mężczyźni zadawali pytania łagodnym głosem.

- Jak się pan nazywa?

Od jak dawna pan tu jest?

- San.

Od roku.

- Pańska praca jest niebezpieczna.

-Robię to, co mi każą.

Mężczyzna przytaknął.

Wyjął z kieszeni kilka monet i dał je Sanowi.

- Niech pan się tym podzieli z mężczyzną w drugim koszu.

-To mój brat Guo Si.

Przez chwilę mężczyzna wyglądał na zadowolonego.

- Pana brat?

-Tak.

198

-I ta sama niebezpieczna praca?

-Tak.

Pokiwał głową w zamyśleniu, po czym wręczył Sanowi jeszcze kilka monet.

W końcu odwrócił się i odszedł.

San pomyślał, że przez bardzo krótką chwilę czuł, że naprawdę istnieje.

W chwili gdy ten człowiek z nim rozmawiał.

Teraz na powrót stał się bezimiennym Chińczykiem ze swoim

kolofem.

Po odjeździe trzech panów JA zsiadł z konia, podszedł

do Sana i zażądał od niego monet.

- Złote dolary - powiedział.

- Na cóż mogłyby ci się

przydać?

Włożył monety do kieszeni i wsiadł na konia.

- Góra.

- Wskazał palcem na kosze.

-Gdybyś nie próbował uciec, być może pozwoliłbym ci zachować pieniądze.

San płonął do JA nienawiścią wielką, że z trudem ją opanowywał.

Może w końcu nie zostanie mu nic innego, jak wysadzić w powietrze siebie i znenawidzonego nadzorcę?

Wrócił do pracy.

Nadeszła późna jesień i noce stawały się coraz chłodniejsze.

Wówczas stało się to, czego San najbardziej się obawiał.

Guo Si zachorował.

Pewnego dnia obudził się nad ranem z silnym bólem brzucha.

Ledwo zdążył wybiec z namiotu i opuścić spodnie, gdy gwałtownie chlusnęła z niego cuchnąca ciecz.

Pozostali robotnicy bali się, że choroba może być zaraźliwa, więc Guo Si pozostał sam w namiocie.

San przynosił mu wodę, a stary Murzyn imieniem Hoss siedział przy nim, cierał mu czoło i zmywał wodnistą maź wypływającą z ciała chorego.

Hoss tak długo przebywał wśród chorych, że nic nie zdawało się mu zagrażać.

Miały tylko jedną rękę, odczasu jak pewnego dnia o mało nie zmiądzzył go skalny odłamek.

Ręką, która mu pozostała, pielęgnował Guo Si i czekał na jego śmierć.

W pewnej chwili u wejściado namiotu stanął JA.

Z odraząspojrzała leżącego we własnych odchodach Guo Si.

- Zamierzasz umrzećczy nie?

- zapytał.

Guo Si próbował usiąść, ale byłzbyt słaby.

- Potrzebny mi jest tennamiot - mówił dalej JA.

- Dlaczego wy, Chińczycy, zawszeumieracie tak długo?

Tego samego wieczoru Hoss powtórzył Sanowi słowa JA.

Stali przednamiotem, w którym majaczył Guo Si.

Krzyczał, że widzi kogoś idącego przez pustynię.

Hoss próbował gouspokoić, siedział już przy tylu łóżach śmierci, że wiedział, iż jest to oznaka nadchodzącego końca.

Wędrujący przezpustynię przybywał, by zabraćze sobą zmarłego.

Mógłto być ojciec, bóg, przyjaciel lub żona.

Hoss trwał przy umierającym Chińczyku, nie znając nawet jegoimienia.

Nie dbał o to.

Umierającynie potrzebowaliimion.

Guo Si był bliski śmierci.

San bezsilnie czekał na momentodejścia brata.

Dni stawały się corazkrótsze, jesień dobiegała końca i wkrótce miała nadejść zima.

Jakby za sprawącudu Guo Si wyzdrowiał.

Trwało to bardzo długo i ani Hoss, ani San nie mieli odwagi w to uwierzyć, Pewnego dnia jednak Guo Si

podniósł się z łóżka.

Śmierć odstąpiła, nie zabrawszy go ze sobą.

San postanowił wówczas, że pewnego dnia powrócą do Chin.

Ich dom był właśnie tam, nie na tej odludnej pustyni.

Postanowił, że przetrwa swój czas u stóp góry aż do dnia, w którym ich niewolnicza praca dobiegnie końca, i będą mogli odejść, dokądkolwiek będą chcieli.

Wytrzymają każdy

200

koszmar, jaki zgotuje im JA i inni nadzorcy.

Nawet Wang, który twierdził, że są jego własnością, nie mógł zrobić nic, co zmieniłoby to postanowienie.

San nie mógł zrobić nic, żeby ochronić siebie i brata przed chorobami i wypadkami przy pracy, mimo to jednak czuwał nad bratem przez wszystkie kolejne lata, jakie spędzili przy budowie kolei.

Wprawdzie śmierć już raz puściła go wolno, z pewnością jednak nie zamierzała zrobić tego drugi raz.

Nadal przebijali się przez górę.

Kilofami wykuwali w niej wąwozy i tunele.

Patrzyli, jak kapryśna nitrogliceryna rozrywa ich towarzyszy na strzępy.

Inni popełniali samobójstwa lub zabierały ich choroby.

Cień JA nieustannie wisiał nad nimi jak ogromna, wyrażająca im dłoń.

Raz zdarzyło mu się zastrzelić jednego z robotników, z którego nie był zadowolony, innym razem zmusił do najcięższej pracy chorych i słabych, tylko po to, żeby przyspieszyć ich śmierć.

Gdy JA był w pobliżu, San zawsze starał się trzymać na boku.

Nienawiść, jaką do niego żywił, dawała mu siłę, dzięki której mógł przetrwać.

Nigdy już nie miał mu wybaczyć odrazy, jaką okazał walczącemu ze śmiercią Guo Si.

Było to gorsze, niż gdyby kazał go wychłostać.

Gorsze niż; wszystko, co San był sobie w stanie wyobrazić.

Mniej więcej po dwóch latach Wang przestał przyjeżdżać.

Pewnego dnia San usłyszał plotkę, że został zastrzelony; podczas kłótni przygrze wkarty Ktoś miał

posądzić go o oszustwo.

San nigdy się nie dowiedział, czy plotka była prawdziwa, nie zmieniało to jednak faktu, że Wang przestał się pojawiać.

Po kolejnych kilku miesiącach San odważył się końcu uwierzyć w jego śmierć.

Wang nie żył.

W końcu nadszedł dzień, w którym skończył się czas ich niewolniczej pracy.

Mieli opuścić miejsce budowy kolei

201.

jako wolni ludzie.

Zanim nadeszła ta chwila, San poświęcał każdą wolną minutę na planowanie powrotu do Kantonu.

Wydawało się naturalne, że powinni wrócić na zachód, do miasta i portu, do którego kiedyś przyплыли.

Na kilka miesięcy przed odzyskaniem wolności San dowiedział się, że biały mężczyzna nazwiskiem Samuel Acheson ma w tym czasie poprowadzić karawanę na zachód i potrzebuje kogoś, kto przygotowywałby mu posiłki i prał ubrania.

Obiecał, że zapłaci za pracę.

Dorobił się sporego majątku na pługaniu złota nad Yukon River, a wkrótce zamierzał przemierzyć cały kontynent, by odwiedzić siostrę, swoją jedyną krewną mieszkającą w Nowym Jorku.

Acheson zgodził się zabrać ze sobą Sana i Guo Si.

Żaden z nich nigdy nie pożałował, że wyruszyli z nim w drogę.

Acheson dobrze traktował ludzi, niezależnie od koloru ich skóry.

Podróż przez kontynent, przez niekończące się równiny i góry, trwała dłużej, niż San mógł przypuszczać.

Acheson dwukrotnie chorował, co zatrzymało ich w miejscu na kilka miesięcy.

Nie dręczyły go choroby ciała, ale jego umysł ogarniały czarne chmury.

Zaszywał się wówczas w namiocie i wychodził z niego dopiero, gdy opuszczało go przygnębienie.

Dwa razy dziennie San zanosił mudo namiot i ujedzenie widział go leżącego na pryczy, z twarzą odwróconą od świata.

Po jakimś czasie Acheson dochodził do siebie, zły nastrój go opuszczał i wszyscy mogli kontynuować podróż.

Mimo że można było jechać koleją, Acheson wybrał podróż niewygodnymi wozami zaprzężonymi w powolne muły.

San często leżał nocą na bezkresnej prerii i wpatrywał się w wygwieżdżone niebo.

Szukał swojej matki, ojca i Wu, ale nie mógł ich znaleźć.

202

W końcu przybyli do Nowego Jorku, odebrali swoją zapłatę i rozpoczęli poszukiwania statku, który zabierałby ich do Anglii.

San wiedział, że jest to jedyna możliwość powrotu do domu, ponieważ z Nowego Jorku nie wypływały żadne statki do Kantonu i Szanghaju.

Po jakimś czasie udało im się zdobyć miejsca na pokładzie statku płynącego do

Liverpoolu.

Było to w marcu 1867 roku.

Tego ranka, gdy opuszczali Nowy Jork, port tonął w gęstej mgle.

W powietrzu rozległa się posępna buczenie syren przeciwmgłowych.

San i Guo Si stali przy relingu.

- Jesteśmy w drodze do domu - powiedział Guo Si.

- Tak - odparł San.

- Wreszcie wracamy do domu.

W tobołku, w którym San przechowywał cały swój dobytek, leżał kciuk Liu, zawinięty w bawełnianą szmatkę.

Było to jedyne zadanie, jakie San miał do wypełnienia po powrocie z Ameryki.

Zamierzał dotrzymać słowa.

Często śnił mu się JA.

Nawet teraz, gdy w końcu udało im się opuścić górę, JA wciąż był obecny w ich życiu.

San dobrze wiedział, że cokolwiek się wydarzy, JA nigdy ich nie opuści.

Nigdy.

Pióro i kamień

15

Piątego lipca 1867 roku bracia opuścili Liverpool na pokładzie statku "NTellje".

San zorientował się szybko, że on i Guo Si są jedynymi Chińczykami na pokładzie.

Przydzielono im miejsca na samym dziobie śnieżącego zgnilizną statku.

Na "Nellie", podobnie jak w Kantonie, nie było wyraźnych granic między terenem przydzielonym każdemu pasażerowi.

Nie istniały mury, ale i tak każdy wiedział, gdzie zaczyna się i kończy jego rewir.

Wszyscy płynęli do jednego celu, ale nie przekraczali dzielących ich niewidzialnych granic.

Jeszcze zanim statek opuścił port, San zauważył dwóch spokojnych pasażerów o jasnych włosach, którzy regularnie padali na kolana przy relingu i modlili się.

Zdawali się całkiem nie zwracać uwagi na to, co działo się dokoła, na marynarzy dźwigających i ciągnących liny i nawydających komendy sterników.

Dwaj mężczyźni zatopieni

byli w modlitwie aż do momentu, w którym podnosili się z klęczek.

W pewnej chwili odwrócili się do Sana i uklonili mu się.

Wzdrygnął się, jak gdyby poczuł nagłe zagrożenie.

Nigdy wcześniej żaden biały człowiek mu się nie uklonił.

Biali nie kłaniali się Chińczykom.

Kopali ich.

Szybko odszedł tam,

204

gdzie wraz z Guo Si mieli swoje pośłania, i zaczął się zastanawiać, kim mogą być ci dwaj mężczyźni.

Nie przyszła mu do głowy żadna odpowiedź.

Ich zachowanie było dla niego niewytłumaczalne.

Późnym popołudniem odcumowano statek, wyprowadzono go z portu i postawiono żagle.

Wiałaświeża, północnabryza.

Statek w dobrym tempie obrał kurs na wschód.

San opierał się o reling, wystawiając twarz do wiatru.

Bracia nareszcie byli w drodze do domu, odbywając kolejną część swojej okołoziemskiej podróży.

Teraz zależało im przede wszystkim na tym, by nie zachorować w drodze.

Sannie wiedział, co ich czeka po powrocie do Chin.

Jednego był pewien.

Nie chciał ponownie popaść w biedę.

Stojąc na dziobie i czując powiew wiatru natwarzy, San pomyślał o Suń Na.

Wiedział, że nie żyje, ale wyobraził sobie, że stoi u jego boku.

Gdy wyciągnął dłoń, nie znalazł nic prócz wiejącego między palcami wiatru.

Kilka dni po tym, jak statek opuścił port, wypłynął napętnie morze, dwaj jasnowłosi mężczyźni podeszli do Sana.

Towarzyszył im starszy marynarz, który mówił po chińsku.

San bał się, że on i Guo Si popełnili jakiś błąd.

Jednak marynarz, mister Mott, wyjaśnił mu, że dwaj nieznajomi są szwedzkimi misjonarzami zmierzającymi do Chin.

Przedstawił ich jako panów Elgstranda i Lodina.

Chińszczyzna Motta była trudna do zrozumienia.

Wraz z Guo Si udało im się jednak ustalić, że mężczyźni są pastorami, którzy postanowili poświęcić swoje życie chrześcijańskiej misji w Chinach.

Byli w drodze do Fuzhou, by stworzyć tam gromadzenie, w którym będą nawracać Chińczyków na prawdziwą wiarę.

Chcieli walczyć z pogaństwem i wskazać ludziom drogę do Królestwa Bożego, stanowiącego jedyny cel w życiu człowieka.

Czy San i Guo Si zgodziliby się pomóc im w doskonaleniu niełatwego języka chińskiego?

Conieco już rozumieją, są jednak gotowi ciężko pracować podczas podróży, aby się dobrze przygotować na chwilę, kiedy dotrą do Chin i zejną; naład.

San zastanowił się przez moment.

Nie widział żadnych powodów, dla których miałby zrezygnować z wynagrodzenia oferowanego przez jasnowłosych mężczyzn.

Znacznie ułatwiłoby im ono powrót do kraju.

Uklonił się.

- Będzie to wielka radość dla mnie i Guo Si móc pomagać panom w nauce chińskiego.

Przystąpił do pracy już następnego dnia.

Elgstrand i Lodin chcieli zaprosić braci do swojej części statku, San jednak odmówił.

Wolał zostać na dziobie.

Nauczycielem misjonarzy został San, Guo Si zwykle siedział u jego bok i słuchał.

Dwaj biali mężczyźni traktowali braci jak równych sobie.

Minęło sporo czasu, zanim San stał się w stosunku do nich mniej podejrzliwy.

W końcu jednak porzucił wszelkie obawy. Dziwiło go, że wyruszyli w tę podróż, choć nie byli zmuszeni szukać pracy ani nie zostali wygnani z kraju.

Kierowanymi szczerą chęcią ratowania ludzkich dusz przed wiecznym potępieniem.

Elgstrand i Lodin gotowi byli oddać życie zawiare.

Elgstrand pochodził z prostej chłopskiej rodziny, podczas gdy ojciec Lodina był pastorem na odludnych terenach kraju.

Pokazali Sanowi na mapie miejsce, z którego

przybywali.

Mówili otwarcie, nie ukrywali swojego prostego pochodzenia.

Gdy San ujrzał mapę, uświadomił sobie, że droga, którą przebył wraz z Guo Si, jest najdłuższa, jaką człowiek może przebyć, nie depcząc po własnych śladach.

Elgstrand i Lodin uczyli się pilnie.

Ciężko pracowali i szybko robili postępy.

Kiedy statek mijał Zatokę Biskajską, wypracowali wraz z Sanem system nauki polegający na tym, że odbywali lekcje z samego rana, a potem jeszcze późnym popołudniem.

San zaczął ich w końcu pytać o ich wiarę i ich boga.

Chciał zrozumieć, czego nie rozumiał swojej matki.

Nie wiedziała ona nic o bogu chrześcijan, ale wznosiła modły do innych niewidzialnych wyższych mocy.

Nie pojmował, jak można być gotowym oddać własne życie za to, by inni ludzie również uwierzyli w boga, którego samemu się czciło.

Na pytania najczęściej odpowiadał Elgstrand.

Najważniejsze w jego przekazie było to, że wszyscy ludzie są grzesznikami, ale mogą zostać zbawieni i po śmierci pójść do raju.

San dużo myślał o nienawiści, jaką żywił do Zi, Wanga, który na szczęście już nie żył, oraz do JA.

Jego nienawidził najbardziej.

Elgstrand uważał, że według nauk chrześcijan najgorszą rzeczą, jaką można zrobić, jest zabicie innego człowieka.

San czuł się tym dotknięty.

Rozsądek podpowiadał mu, że Elgstrand i Lodin nie mogą mieć racji.

Wciąż mówili o tym, co czeka człowieka po śmierci, nigdy zaś o tym, jak ludzkie życie mogłoby się zmienić, póki wciąż trwa.

Elgstrand często powtarzał, że wszyscy ludzie są sobie równi.

Przed obliczem Boga wszyscy są ubogimi grzesznikami.

San nie był jednak w stanie wyobrazić sobie, że podczas sądu ostatecznego on sam, Zi i JA staną przed bogiem na tych samych warunkach.

Miał spore wątpliwości.

Równocześnie nie mógł się nadziwić wielkiej przyjaźni i ciepłości, jaką dwaj młodzieńcy ze Szwecji okazują jemu i Guo Si.

Zauważył też, że jego brat, który coraz częściej oddalał się z Lodinem na

207.

rozmowy, przyjmuje to, co od niego słyszy, z coraz większą radością.

Z tego powodu Sannigdy nie wdawał się z GuoSi w dyskusje na temat białego boga i nie mówił mu, co nim sądzi.

Elgstrand i Lodin dzielili się z braćmi swoim jedzeniem.

San nie był pewien, czy to, co mówią o swoim bogu, jest prawdą, nie miał jednak wątpliwości, że żyją zgodnie z tym, co głoszą.

Po trzydziestu dwóch dniach żeglugi zawinęli do portu w Kapsztadzie, upodnóża Góry Stołowej, po czym wyruszyli na południe.

W dniu, w którym mieli opłynąć Przylądek Dobrej Nadziei, trafili na silny sztorm.

Przez cztery doby "Nellie" walczyła z falami na zrefowanych żaglach.

San bał się, że pójdą na dno, a dodatkowo przerażał go widok przestraszonej załogi.

Jedynymi osobami na pokładzie, które zachowały spokój, byli Elgstrand i Lodin.

A jeśli było inaczej, dobrze skrywali swój strach.

Gdy San się bał, jego brata ogarniał panika.

Lodin był przy nim, kiedy wielkie masy wody miały statkiem, o mały włos nie łamiąc kadłuba.

Siedział przy nim przez cały czas trwania sztormu.

Gdy morze się uspokoiło, Guo Si padł na kolana i oświadczył, że chce przyjąć wiarę w boga, którego biali mężczyźni mieli zamiar objawić jego braciom w Chinach.

San z coraz większym podziwem przyglądał się misjonarzom, którzy z takim spokojem przetrwali sztorm.

Nie potrafił jednak, tak jak jego brat, paść na kolana i zacząć modlić się do boga, który wciąż wydawał mu się zbyt zagadkowy i nieuchwytny.

W końcu opłynęli Przylądek Dobrej Nadziei i żeglowali przy sprzyjających wiatrach przez Ocean Indyjski.

Pogoda stawała się coraz łagodniejsza.

San kontynuował nauczanie,

a Guo Si już każdego dnia znikał z Lodinem, by odbywać z nim tajemnicze szeptane rozmowy.

San wciąż jednak nie wiedział, jaki czeka ich los.

Pewnego dnia Guo Sinagle zachorował.

ObudziłSana w nocy wyszeptał, że zacząłwymiotować krwią.

Był bardzo bladyi trzął się zzimna.

Sanpoprosił jednego z marynarzy pełniących wartę na pokładzie, by przyprowadził misjonarzy.

Mężczyzna, który pochodził z Ameryki i miałczarnoskórąnatkę i białego ojca, przez chwilę przyglądał sięGuo Si.

- Mam obudzić jednego z białych panów z powodu leżącego i krwawiącegochińskiego chłopca?

-Jeśli tego nie zrobisz, ukarzęcię zatojutro.

Marynarz zmarszczył czoło.

Jak chiński kulis śmie odzywać się w ten sposób do członka załogi?

Wiedział jednak, że misjonarze spędzają dużo czasu z tą dwójką Chińczyków.

W końcu przyprowadził Elgstranda i Lodina.

Ci przenieśliGuo Si do swojej kajuty i ułożyli gonakoi.

Twierdzili, że

I Lodin zna się na leczeniu.

Podawał Guo Si różne lekarstwa, podczas gdy San siedział w kucki pod ścianą ciasnego pomieszczenia.

Chyboczące się światło lampy rzucało dokołacienie.

Statek powoli płynął przez mgłę.

Koniec nastąpił bardzo szybko.

Guo Si zmarł oświcie.

Zanim wydał ostatnie tchnienie, Elgstrand i Lodin przyrzekli mu, że trafi do Boga, jeśli wyzna swoje grzechy i wiarę w niego.

Trzymali go za ręcei wspólnie się modlili.

San siedział samotnie w kącie.

Nie mógł już nic zrobić.

Za chwilę miał go opuścić drugi brat.

Zrozumiał jednak, że dzięki misjonarzom Guo Si zyskał wielki spokój i ufność, jakich nigdy wcześniej nie doświadczył.

Nie mógł zrozumieć ostatnich słów, które wypowiedział jego brat.

Domyślił się jednak, że Guo Si próbował mu powiedzieć, że nie boi się śmierci.

209.

- Odchodzę - powiedział.

- Idę po wodzie, jak człowiekiemieniem Jezus.

Odchodzę do innego, lepszego świata.

Tamczeka na mnie Wu.

I ty kiedyś też tam przyjdiesz.

Po tem San długo siedział z głową opartą na kolanach i dłońmi przy uszach.

Potrząsał tylko głową, gdy Elgstrand próbował z nim rozmawiać.

Nikt nie był w stanie pocieszyć go w tej chwili.

Ogarnęło go uczucie bezsilności i samotności.

Po jakimś czasie wrócił na swoje miejsce na dziobie statku.

Dwaj marynarze zaszyli ciało Guo Si w stary żagiel, wraz z kilkoma zardzewiałymi ogniwami starego łańcucha dla obciążenia.

Elgstrand poinformował Sana, że kapitan przeprowadzi pogrzeb morski za dwie godziny.

- Chcę pobyć tu z moim bratem - powiedział San.

- Nie chcę, żeby leżałaś sama, nim jego ciało pochłonie ocean.

Elgstrand i Lodin przenieśli zaszyte w żagiel ciało Guo Sido swojej kajuty i zostawili w niej Sana, sama z ciałem brata.

San sięgnął po nóż leżący na stoliku i ostrożnie przeciął szwy.

Odciął lewą stopę brata, uważając, żeby na podłogę nie skapnęła krew.

Owinął kikut i odciętą stopę szmatami i schował ją za koszulę.

Zamaskował otwór w materiale, żeby nikt nie zauważył, że szew został rozcięty.

Miałem dwóch braci, pomyślał.

Miałem się nimi opiekować.

Jedyną, co mi później pozostało, to odcięta stopa.

Kapitan wraz z załogą zgromadzili się przy relingu.

Ciało Guo Si złożono na desce opartej na kilku drewnianych podpórkach.

Kapitan zdjął czapkę.

Przeczytał fragment z Biblii, po czym zaintonował psalm.

Elgstrand i Lodin zaśpiewali czystymi głosami.

W momencie gdy kapitan już miał dać znak, by załoga wyrzuciła ciało za burtę, Elgstrand podniósł rękę.

210

- Ten prosty młody Chińczyk imienia Guo Si odnalazł wiarę tuż przed śmiercią.

Choć jego ciało zachwilę dotknie morskiego dna, dusza jest wolna i unosi się już ponad naszymi głowami.

Pomódlmy się wszyscy do Boga, który daje wolność umarłym i ich duszom.

Amen.

Gdy kapitan dał załozę znak, San zamknął oczy.

Ustyszał cichy plusk, kiedy ciało uderzyło o powierzchnię wody.

Po pogrzebie San wrócił na miejsce, w którym wraz z bratem spędzał podróż.

Wciąż jeszcze nie całkiem dotarło do niego, że Guo Si nie żyje.

Właśnie teraz, gdy zdawało mu się, że zaczyna odzyskiwać siły, wdużej mierze dzięki znajomości z misjonarzami, odszedł tak nagle, poddawszy się

nieznanej chorobie.

Smutek, pomyślał San.

Smutek i przerażenie tym, co gotował mu los.

To go zabiło.

Nie kaszel ani gorączka czy

chłód.

Elgstrand i Lodin próbowali go pocieszyć, powiedział im

jednak, że chce przez jakiś czas побыć w samotności.

W pierwszą noc po pogrzebie San przystąpił do krwawej pracy polegającej na zdrapywaniu skóry, mięśni, żył i ścięgien ze stopy zmarłego Guo Si.

Nie miał żadnego narzędzia poza zardzewiałym sworzniem, który znalazł na pokładzie.

Robił to tylko nocą, gdy nikt nie patrzył.

Kawałki ciała wyrzucał za burtę.

Kiedy skończył, wytarł szmatką odrapane kości do sucha, po czym schował je do tobołka, w którym miał wszystkie swoje rzeczy.

Cały tydzień po pogrzebie San spędził w samotności.

Był w tym czasie chwile, gdy jedyną rzeczą, jakiej pragnął, było wymknąć się w ciemnościach, przekroczyć reeling i bezszelestnie zniknąć pod powierzchnią wody.

Powstrzymywał go przed tym tylko myśl, że musi dowieźć kości brata do domu.

211.

Gdy znów rozpoczął lekcje z misjonarzami, intensywnie myślał o tym, ile znaczyli oni dla Guo Si.

Nie odchodził z krzykiem, lecz powitał śmierć ze spokojem.

Dzięki

Elgstrandowi i Lodinowi posiadał to, co najtrudniejsze.

Odwagę w obliczu śmierci.

W końcowym etapie podróży, gdy statek najpierw zawinął do portu na Jawie, a potem rozpoczęła ostatni odcinek drogi do Kantonu, San zadawał misjonarzom wiele pytań o boga, który pocieszał zmarłych i obiecywał raj, niezależnie od tego, czy było się biednym, czy bogatym.

Najbardziej jednak pragnął usłyszeć odpowiedź na pytanie, dlaczego bóg pozwolił Guo Si umrzeć teraz, gdy wreszcie był w drodze do domu, po tym wszystkim, co przeszli.

Ani Elgstrand, ani Lodin nie potrafili mu udzielić zadowalającej odpowiedzi.

Ścieżki Boga są niezbadane - twierdził Elgstrand.

Ale co to mogło oznaczać?

Czy to, że życie nie jest niczym innym, jak tylko czekaniem na to, co ma nastąpić później?

Czy wiara jest zagadką?

Im bardziej San zbliżał się do Kantonu, tym bardziej był przygnębiony.

Wiedział, że nigdy nie zapomni tego, co przeszedł.

Postanowił, że nauczy się pisać, by móc przelać na papier wszystko, co spotkało jego i jego zmarłych braci od

momentu, w którym odkrył martwych rodziców wiszących na drzewie.

Kilka dni przed dotarciem do wybrzeża Chin Elgstrand

i Lodin podeszli do Sana i usiedli z nim na pokładzie, żeby porozmawiać.

- Jesteśmy ciekawi, co zamierzasz robić po powrocie do Kantonu - powiedział Lodin.

San pokręcił głową.

Nie wiedział, co powiedzieć.

- Nie chcemy się z tobą rozstawać - podjął Elgstrand.

-W trakcie tej podróży staliśmy się sobie bliscy.

Bez ciebie

212

nasza znajomość chińskiego byłaby o wiele gorsza.

Chcielibyśmy, żebyś nam towarzyszył.

Dostaniesz wynagrodzenie i będziesz wraz z nami budował wielką chrześcijańską wspólnotę, o której marzymy.

San długo siedział w milczeniu, zanim odpowiedział.

Gdy wreszcie podjął decyzję, wstał i dwukrotnie nisko pokłonił się misjonarzom.

Zdecydował się zostać przy nich.

Być może pewnego dnia uda mu się osiągnąć to, co dał sobie Guo Si w ostatnich chwilach jego życia.

12 września 1867 roku San wszedł na ląd w Kantonie.

W tobołku przywiózł kości zmarłego brata oraz kciuk mężczyzny imieniem Liu.

Było to wszystko, co zdobył podczas swojej długiej podróży.

Idąc keją, rozglądał się dokoła.

Szukał Zii Wu, ale nie mógł dostrzec żadnego z nich.

Dwa dni później wyruszył w drogę wraz z dwoma szwedzkimi misjonarzami.

Popłynęli łodzią do miasta Fuzhou.

San obserwował przesuwaną powoli krajobraz.

Szukał miejsca, w którym mógłby pochować szczątki brata.

Chciał to zrobić sam.

Była to sprawa między nim, jego rodzicami i duchami przodków.

Z pewnością Elgstrand i Lodinnie byliby zadowoleni z tego, że zamierza być w tym wierny tradycji.

Łódź powoli podążała napółnoc.

Przy brzegach słychać było rechot żab.

San był w domu.

Pewnego jesiennego wieczoru 1868 roku San usiadł przy małym stole w świetle świecy i rozpoczął mozolne kreślenie znaków, które miały się ułożyć w historię jego i dwóch zmarłych braci.

Minęło pięć lat od dnia, w którym wraz z Guo Si zostali porwani przez Zi, oraz rok od chwili, w której San powrócił do Kantonu ze stopą Guo Si schowaną w tobołku.

Od roku towarzyszył misjonarzom w roli służącego.

Lodino sprowadził nauczyciela, który nauczył Sana pisać.

Na zewnątrz wiał silny wiatr.

San siedział w swoim pokoju i wsłuchiwał się w jego szum z piórem w dłoni.

Przez chwilę poczuł się jak na pokładzie jednego ze statków, który kiedyś płynął.

Dopiero teraz, po tak długim czasie, postanowił, że spróbuje nadać kształt historii, którą przeżył.

Zdecydował, że opiszkażdy szczegół i nie pominie niczego, co się wydarzyło.

Gdyby zabrakło mu znaków lub słów, mógł się zwrócić do swojego nauczyciela, Pei, który obiecał mu pomoc.

Namawiał Sana, by nie zwlekał.

Pei czuł, że ziemia zaczyna go wzywać i że już długo niepożyje.

Przez cały ten czas, od dnia, w którym dotarli do Fuzhou i osiedli w domu kupionym przez Elgstranda i Lodino, San prześladowało jedno pytanie.

Komuma opowiedzieć swoją historię?

Nie zamierzał już nigdy powrócić do rodzinnej wioski, ale nie znał nikogo, kto by wiedział, kim jest.

Nie miał dla kogo pisać, chciał jednak, żeby historia jego i braci została uwieczniona.

Jeśli naprawdę istniał stwórca kierujący losem żywych i umarłych, z pewnością zadba o to,

by napisany przez Sana tekst trafił w ręce kogoś, kto będzie chciał go przeczytać.

214

Zatem San rozpoczął pisanie.

Pisał powoli i mozolnie, a wiatr z wielką mocą uderzał w ściany domu.

San lekkokiwał się w przód i w tył na taborecie.

Po chwili pokój przenienił się w statek z chwiejną podłogą pod stopami.

San położył na stole kilka stosów papieru.

Jak rak mieszkający na dnie rzeki, miał zamiar podążyć do tyłu, aż do momentu, w którym znalazł ciała swoich rodziców wiszące na drzewie, kołysane przez wiatr.

Chciał jednak, by historia [rozpocząła się od podróży do miejsca, w którym się teraz znajdował.

Była to podróż najbliższa w czasie i najwyraźniej zapisana w jego pamięci.

Gdy zeszli na ląd w Kantonie, Elgstrand i Lodin byli zarówno podekscytowani, jak i przestraszeni.

Chaotycznym rowem ludzi, obce zapachy i niezrozumiały dla nich charakterystyczny dialekt hakka, którym mówili mieszkańcy tego miasta, sprawiały, że czuli się niepewnie.

Oczekiwano ich przybycia.

Czekał na nich szwedzki misjonarz Tomas Hamberg, pracujący w niemieckim Towarzystwie Traktatowym, zajmującym się rozpowszechnianiem chińskich tłumaczeń Biblii.

Hamberg dobrze ich przyjął, pozwolił im zamieszkać w należącym do Niemców domu, w którym miał swoje biuro i mieszkanie.

San towarzyszył misjonarzom w roli służącego, którym zdecydował się zostać.

Kierował ludźmi wznaczonymi do noszenia bagaży, prał odzież misjonarzy i był do ich dyspozycji o każdej porze dnia i nocy.

Trzymając się z boku, uważnie słuchał jednak wszystkiego, co mówiono.

Hamberg mówił po chińsku lepiej niż Elgstrand i Lodin.

By mogli porozumiewać się coraz lepiej, często ćwiczył z misjonarzami, rozmawiając z nimi w swoim języku.

Pewnego dnia usłyszał zza uchylonych drzwi Hamberga pytającego Lodina o to, jak poznali Sana.

San zdziwił się i poczuł się dotknięty, słysząc,

jak Hamberg doradza Lodinowi ostrożność i ograniczone zaufanie do chińskiego służącego.

Po raz pierwszy słyszał misjonarza wyrażającego się źle o Chińczykach.

Szybko doszedł jednak do wniosku, że ani

Elgstrand, ani Lodin niezgodzą się ze zdaniem Hamberga.

Oni byli inni.

Po intensywnych kilkutygodniowych przygotowaniach opuścili Kanton i wyruszyli w drogę wzdłuż wybrzeża, a potem w górę rzeki Min Jiang do miasta Białej Pagody, Fuzhou.

Dzięki Hambergowi mieli ze sobą list polecający do najwyższego mandaryna w mieście, który był życzliwym chrześcijańskim misjonarzem.

San ze zdziwieniem obserwował, jak Elgstrand i Lodin bez wahania padli na ziemię i uderzyli czołami przed mandarynem.

Tenże zwołał im na pozostanie i działalność misyjną w Fuzhou.

Po jakimś czasie udało im się znaleźć nieruchomość odpowiadającą ich potrzebom.

Było to gospodarstwo składające

się z wielu budynków ustawionych w okrąg i dziedzińcem pośrodku.

W dniu, w którym się do niego wprowadzili, Elgstrand i Lodin padli na kolana i pobłogosławili miejsce, które miało się stać ich przyszłością.

San ukląkł wraz z nimi, nie wypowiedział jednak żadnego błogosławieństwa.

Myślał o tym, że wciąż jeszcze nie znalazł miejsca odpowiedniego do pochowania w nim stopy Guo Si.

Wybrał je kilka miesięcy później, nad rzeką.

Wieczorne słońce przebijało się przez gałęzie drzew i pozwalało cieniowi stopniowo okrywać ziemię.

Odwiedził to miejsce kilka razy.

Odczuwał wielki spokój, gdy siedział na ziemi, opierając plecy o kamień.

U stóp zbocza spokojnie płynęła

rzeka.

Nawet teraz, gdy nadeszła już jesień, nad jej brzegami kwitły kwiaty.

Tu mógł siedzieć i rozmawiać ze swoimi braćmi.

W tym miejscu mogli się do niego zbliżyć.

Mogli znów być razem.

Tu mogła zostać zatarta granica między umarłymi i żyjącymi.

Pewnego dnia, wcześniej rano, upewniwszy się, że nikt go nie widzi, San zszedł do rzeki, wykopał głęboki dołek i pochował w nim stopę Guo Si i kciuk Liu.

Dokładnie zamaskował miejsce pochówku, zatartł wszystkie ślady i na koniec położył na nim niewielki kamień, który zabrał podczas wędrówki przez pustynie Ameryki.

Pomyślał, że powinien mówić którąś z modlitw, jakich nauczył się od misjonarzy.

Ponieważ jednak Wu, w jakiś sposób również będący w tym miejscu, nie rozpoznałby boga, do którego była skierowana, San zdecydował się jedynie na wypowiedzenie imion zmarłych.

Dał skrzydła ich duchom i pozwolił im odlecieć w swoją stronę.

Elgstrand i Lodi pracowali z zapierającą dech energią.

San z rosnącym podziwem obserwował ich umiejętność przewyższania wszelkich przeszkód i przekonywania ludzi do pomocy w budowie misji.

Rzecz jasna mieli na ten cel pieniądze, które były podstawą wszelkich prac.

Elgstrand zawarł układ z angielskim przedsiębiorstwem żeglugowym, którego statki regularnie pływały do Fuzhou i przywoziły misjonarzom pieniądze ze Szwecji.

San dziwił się, że Elgstrand i Lodi nie boją się złoczyńców, którzy bez wahania pozbawiliby ich życia, by zagarnąć majątek.

Elgstrand przechowywał pieniądze i weksle pod własną poduszką.

Gdy misjonarzy nie było w pobliżu, pilnowanie ich spadało na

Sana.

Pewnego dnia San przeliczył w tajemnicy banknoty przechowywane w niewielkiej skórzanej torebce.

Zdumiała go ich liczba.

Przez chwilę ogarnęła go pokusa, żeby zabrać

217.

pieniądze i uciec.

Z takim majątkiem mógłby się udać do Pekinu i spędzić resztę życia jako bogaty rentier.

Pokusa znikła, gdy tylko pomyślał o Guo Si i trosce, jaką okazali mu misjonarze w ostatnich dniach jego życia.

Sam wiódł przecież życie, o jakim jeszcze niedawno mógłby nawet marzyć.

Miał pokój z własnym łóżkiem, czyste ubrania i jedzenie dosyta.

Niegdyś stała najniższym możliwym szczeblu.

Teraz kierował pracą wielu służących pracujących dla szwedzkich misjonarzy.

Był stanowczy i surowy, nigdy jednak nie karał fizycznie tych, którzy popełnili błąd.

Już po kilku tygodniach od przybycia do Fuzhou Elgstrand i Lodin otworzyli drzwi swojego domu i zapraszali do niego wszystkich, którzy byli ciekawi, co mają do powiedzenia przybysze z obcego kraju.

Przyszło tyle osób, że na dziedzińcu zrobił się tłum.

San trzymał się na uboczu i słuchał, jak misjonarze swoją mizerną chińszczyzną opowiadali zgromadzonym o przedziwnym bogu, który posłał swojego syna na ukrzyżowanie.

Lodin wszedł między ludzi i rozdawał im kolorowe obrazki, które następnie podawano sobie z rąko do rąk.

Gdy Elgstrand umilkł, wszyscy bez słowa opuścili dziedziniec.

Następnego dnia znów tłumnie przybyli, zarówno ci, którzy byli tu dnia poprzedniego, jak i zachęceni przez nowych słuchaczy.

Wkrótce całe miasto zaczęło mówić o dwóch niezwykłych białych mężczyznach, którzy osiedli wśród nich.

Najtrudniej było ludziom zrozumieć, że Elgstrand i Lodin nie prowadzą w mieście żadnych interesów.

Nie mieli towarów na sprzedaż, niczego też nie chcieli kupować.

Przybyli tylko po to, by łamanym językiem opowiadać o bogu, który wszystkich ludzi traktował tak, jakby byli sobierówni.

218

W pierwszym okresie budowania misji Elgstrand i Lodin pracowali bez wytchnienia.

Nad wejściem na teren misji przybito chińskie znaki informujące, że jest to Świątynia Prawdziwego Boga.

Dwaj misjonarze chyba nigdy niesypiali.

Pracowali nieprzerwanie.

San słyszał od czasu do czasu, jak wypowiadają po chińsku słowa "poniżające bałwochwalstwo, które trzeba zwalczyć".

Dziwił się, skąd biorą pewność, że uda im się odwieść Chińczyków od zwyczajów i wierzeń, kulturowanych od pokoleń.

Jak bóg, który pozwolił na to, by jego syn przybito gwoźdźmi dokrzyża, mógł dać duchowe pocieszenie i siłę do życia biednemu Chińczykowi?

Od dnia, w którym przybyli do miasta, San miał bardzo dużo pracy.

Gdy Elstrand i Lodin znaleźli dom, który odpowiadał ich potrzebom, i zapłacili jego właścicielowi sumę, jakiej zaniego żądał, Sanowi polecono znalezienie służby.

Ponieważ wiele osób przybyło, byna własną rękę szukać pracy, San nie musiał robić nic poza wybieraniem spośród wielu chętnych.

Pytał ich o kwalifikacje i przydzielał odpowiedni rodzaj zajęcia.

Pewnego ranka, kilka tygodni po przybyciu misjonarzy do miasta, gdy San wykonał swoją pierwszą poranną czynność, polegającą na odryglowaniu bramy misji, zastał za ciężkimi drewnianymi drzwiami młodą kobietę, stojącą ze spuszczoną głową.

Nazywała się Luo Qi.

Przybyła z małej wioski położonej nad rzeką Min, w pobliżu Shuikou.

Jej rodzice byli biedni i opuścili ich w dniu, w którym ojciec postanowił sprzedać ją jako konkubinę siedemdziesięcioletniemu mężczyźnie z Nanchang.

Błagała ojca, by zmienił decyzję, ponieważ plotka głosiła, że wiele konkubin tego człowieka zostało zabitych, gdy już się nimi znudził.

Gdy ojciec odmówił, uciekła z wioski.

Niemiecki misjonarz, który dotarł

rzeką aż do Gou Sihan, opowiedział jej o misji w Fuzhou, gdzie okazywano chrześcijańskie miłosierdzie każdemu, kogo potrzebował.

Gdy kobieta umilkła, San długo jej się przyglądał.

W końcu zadał jej kilka pytań o to, co potrafi, i pozwolił wejść.

Miała zostać na próbę i pomagać kobietom oraz kucharzowi, który przygotowywał posiłki dla misjonarzy.

Jeśli się sprawdzi, San być może zaproponuje jej pracę.

Wzruszyła go radość, jaka odmalowała się na jej twarzy.

Nigdy nawet nie marzył o tym, że pewnego dnia będzie miał taką władzę.

Władzę sprawiania ludziom radości poprzez dawanie pracy, która będzie dla nich wyjściem z bezdennej nędzy.

Qi sprawiała się dobrze, więc San pozwolił jej zostać w misji.

Zamieszkała razem z pozostałymi służącymi i wkrótce wszyscy ją polubili, bo miała spokojne usposobienie i nigdy nie wykręcała się od żadnej pracy.

San zwykł przyglądać się jej podczas zajęć w kuchni lub gdy biegła przez dziedziniec pochłonięta jakimś pilnym zadaniem.

Od czasu do czasu ich spojrzenia się spotykały, San jednak nigdy nie rozmawiał z nią inaczej niż z pozostałymi służącymi.

Tuż przed Bożym Narodzeniem Elgstrand poprosił Sana o wynajęcie łodzi i wioślarzy.

Misjonarze mieli zamiar popłynąć w dół rzeki, aby dotrzeć do angielskiego statku, który właśnie przyplął z Londynu.

Elgstrand dowiedział się od brytyjskiego konsula w Fuzhou, że na statku znajduje się przesyłka dla misji.

- Będzie najlepiej, jeśli popłyniesz z nami - zaproponował z uśmiechem.

- Będę potrzebował mojego najlepszego człowieka przy odbiorze torby pełnej pieniędzy.

San znalazł w porcie załogę wioślarzy, która zgodziła się z nimi popłynąć.

Następnego dnia Elgstrand i San weszli na pokład łodzi.

Tuż przedtem San szepnął misjonarzowi,

; rozsądnie byłoby nie mówić nikomu, po co udają się do portu.

Elgstrand uśmiechnął się.

- Z pewnością jestem fatwowny - powiedział.

- Ale nie jest tak źle, jak myślisz.

Dopłynięcie do angielskiego statku zajęło wioślarzom trzy godziny.

Elgstrand i San wspięli się na jego pokład podrabince sznurowej.

Powitał ich tysy kapitan, John Dunn.

Przyglądał się wioślarzom z nieskrywaną podejrzliwością, po chwili takim samym spojrzeniem obrzucił Sana i rzucił komentarz, którego San nie rozumiał.

Elgstrand pokręcił głową i przetłumaczył Sanowi, że kapitan Dunn nie ma najlepszego zdania o Chińczykach.

- Uważa, że wszyscy jesteście złodziejami i oszustami - powiedziała roześmiała się.

- Pewnego dnia w końcu zrozumie, jak bardzo się mylił.

Kapitan Dunn i Elgstrand weszli do kajuty.

Po chwili misjonarz wyszedł ze skórzaną torbą, którą natychmiast ostentacyjnie przekazał Sanowi.

- Kapitan Dunn uznał mnie za szaleńca, ponieważ ci ufam.

Zprzykrościł muszę stwierdzić, że jest to prostak, który wie o statkach, wietrze i morzu, ale z pewnością nie znasz ludzi.

Zeszli po drabince na pokład łodzi i udali się w drogę powrotną.

Gdy przybyli na miejsce, było już ciemno.

San zapłacił wioślarzom.

Kiedy szli przez ciemne uliczki, Sana ogarnęły nieprzyjemne wspomnienia.

Nie mógł przestać myśleć o nocy w Kantonie, kiedy to on i jego bracia zostali wciągnięci w pułapkę przez Zi.

Nic się jednak nie wydarzyło.

Dotarli do misji, Elgstrand zamknął się z pieniędzmi w swoim biurze, a San zaryglował bramę i obudził wartownika, który zasnął pod ścianą.

221.

- Płacą ci za pilnowanie - zganili go.

- Nie za spanie.

Reprimendy udzielił mu przyjaznym tonem, choć wiedział, że wartownik jest leniwy i za chwilę z pewnością znów zaśnie.

Człowiek ten miał dużo dzieci na utrzymaniu żonę, która od czasu, gdy oblała się wrzątkiem podczas pracy, leżała w łóżku i często krzyczała z bólu.

Jestem nadzorcą, który chodzi po ziemi, pomyślał San.

Niesiedzę wysoko w siodle jak JA.

Poza tym śpię jak płochliwe zwierzę, z jednym okiem otwartym.

Sprawdził, czy brama jest dobrze zamknięta, poczym udał się do budynku, w którym miał swój pokój.

Po drodze zauważył, że w domu, w którym mieszkali służące, świeci się światło.

Gniewnie zmarszczył czoło.

Ze względu na ryzyko pożaru zabronione było palenie świec późno w nocy.

Podszedł do okna i zajrzał do środka przez szczelinę w cienkiej zasłonie. W pokoju były trzy kobiety.

Jedna, najstarsza z służących, spała, podczas gdy Qi i służąca imieniem Nasiedziały na łóżku i rozmawiały.

Ponieważ wieczór był bardzo ciepły, Qi rozpięła na piersi nocną koszulę.

San jak zaczarowany wpatrywał się w jej ciało.

Niestety ich głosów, domyślił się, że szepczą, żeby nie obudzić śpiącej kobiety.

Nagle Qi odwróciła twarz do okna.

San cofnął się gwałtownie.

Czy zdążył go zauważyć?

Wycofał się w ciemności czekał.

Qi jednak nie poprawiła zasłony.

San wrócił do okna i patrzył jeszcze przez chwilę, aż wreszcie Na zdmuchnęła świecę i pokój zaala ciemność.

San stał bez ruchu.

Jeden z psów był na noc spuszczonej łańcucha, żeby pilnować misji przed złodziejami.

Podbiegł do Sana i zaczął obwąchiwać jego dłoń.

- Nie jestem złodziejem - wyszeptał San.

- Jestem zwyczajnym mężczyzną pożądanym kobiety, która być może pewnego dnia będzie moja.

222

Od tego wieczoru San próbował stopniowo zbliżyć się do

Qi. Robił to ostrożnie, by jej nie wystraszyć.

Nie chciał też, żeby jego zainteresowanie nią dostrzegła reszta służby.

Łatwo było wśród nich o zazdrość.

Minęło sporo czasu, aż wreszcie Qi zrozumiała ostrożne znaki, które dawał jej San.

Zaczęli się spotykać po zmroku przed jej pokojem.

Na obiecała, że dotrzyma tajemnicy, zaco otrzymała parę butów.

W końcu, prawie po sześciu miesiącach, Qi zaczęła część nocy spędzać w pokoju Sana.

Leżąc obok niej, czuł wielką radość przepędzającą wszystkie troski i cienie, które zwykły go otaczać.

Nie mieli żadnych wątpliwości co do tego, że resztę życia pragną spędzić razem.

San postanowił porozmawiać z Elgstrandem i Lodinem i poprosić ich o zgodę na ślub z Qi.

Pewnego poranka odszukał misjonarzy po śniadaniu, zanim zdążyli rzucić się w wirujące, które absorbowały ich przez cały dzień.

Wy tłumaczył w jakim celu przyszedł.

Pierwszy odezwał się Elgstrand.

- Dlaczego chcesz się z nią ożenić?

- Jest miś troskliwa.

Potrafi ciężko pracować.

- To bardzo prosta kobieta, nie pojmuje większości rzeczy, których ty się nauczyłeś.

Nie okazuje zainteresowania wiarą chrześcijańską.

- Jest jeszcze bardzo młoda.

-Niektórzy twierdzą, że kradnie.

- Służba plotkuje.

Nie oszczędza przy tymnikogo.

Wszyscy obwiniają się o najróżniejsze rzeczy.

Wiem, co z tego jest prawdą, a co kłamstwem.

Qi nie kradnie.

Elgstrand zwrócił się do Lodina.

San nie rozumiał, o czym mówił w swoim języku.

- Uważamy, że powinniście poczekać - zakomunikował Elgstrand.

- Jeśli chcecie się pobrać, udzielimy wam chrześ-

223.

cijańskiego ślubu.

Urządzimygo tu, ale na razie żadne z was

nie jest jeszczegotowe.

Musiciezaczekać.

San skłonił się i opuścił pokój.

Spotkało go wielkie rozczarowanie,choć Elgstrand nie odmówił mu zgody.

Pewnegodniabędą z Qi parą.

Kilka miesięcy później Qi wyznała Sanowi, że spodziewa się dziecka.

San poczuł ogromną radość i natychmiastzdecydował, żejeśli urodzi się syn, da mu na imię Guo Si.

Równocześnie zdawałsobie sprawę z tego, że nowa sytuacja oznacza duże problemy.

W naukach, których Elgstrandi Lodin udzielali ludziom gromadzącym się codziennienadzieńcu, pewne tematy pojawiały się częściej niż inne.

San zrozumiał, że religia chrześcijańska zezwala ludziommieć dzieci dopiero po ślubie.

Miłość cielesna przed ślubemuważana jest za wielki grzech.

San długo się zastanawiał, copowinien w tejsytuacji zrobić,nic jednak nie przychodziłomu do głowy.

Jeszcze przezjakiś czas rosnący brzuch Qimógł pozostać niezauważony, San wiedział jednak, że musicoś powiedzieć, zanim ich tajemnica zostanie odkryta.

Pewnego dnia dowiedział się, że Lodin potrzebuje łodziiwioślarzy, żeby popłynąć kilka mil w górę rzeki, do misjiprowadzonejprzez niemieckich duchownych.

Jak zwyklepodczas tego typu wypraw, San miał mu towarzyszyć.

Podróż i pobyt w misji miały potrwać czterydni.

W wieczórpoprzedzającywyjazdSan pożegnał się z Qi, obiecując jej,że poświęci ten czas naznalezienie rozwiązania dręczącegoich problemu.

Gdy cztery dni później wrócił, został natychmiast wezwanydo Elgstranda, którychciał z nim porozmawiać.

Misjonarzsiedział za biurkiemw swoimpokoju.

Zazwyczaj proponował Sanowi, by usiadł, tym razem jednak tego nie zrobił.

San przeczuwał, że coś musiało się wydarzyć.

224

Gdy misjonarz przemówił, jego głos był łagodniejszy niż zwykle.

- Jak przebiegła podróż?

- Wszystko odbyło się tak, jak zaplanowaliśmy.

Elgstrand pokiwał głową wzamyśleniu, bacznie obserwując Sana.

- Zawiodłeś mnie - powiedział.

- Do samego końca niedawałem wiary plotce, która dotarła do moich uszu.

Wkońcu byłem zmuszony działać.

Czy wiesz, o czym mówię?

San wiedział doskonale.

Mimo to zaprzeczył.

- Tym bardziej jestem tobą rozczarowany - kontynuował Elgstrand.

- Gdy człowiek zaczyna kłamać, jest to znak, że jego umysłem zawładnął diabeł.

Mówię oczywiście o tym, że kobieta, którą chciałeś się ożenić, zaszła w ciążę.

Daję ci teraz jeszcze jedną szansę na wytłumaczenie.

San pochylił głowę, ale nic nie powiedział.

Czuł, że serce zaraz wyrwie mu się z piersi.

- Po raz pierwszy od dnia, kiedy spotkaliśmy się na statku, który nas tu przywiózł, czuję się z twojego powodu przygnębiony - ciągnął Elgstrand.

- Byłeś jednym z tych, dzięki którym ja i brat Lodin uwierzyliśmy, że Chińczycy mogą się wnieść na wyższy poziom duchowy.

Ostatni dzień były ciężkie.

Modliłem się za ciebie i postanowiłem, że pozwolę ci tu zostać.

Od tej pory musisz jednak pilniej i z większym wysiłkiem dążyć do momentu, w którym będziesz gotów wyznaczyć wiarę w naszego wspólnego

Boga.

San wciąż stał w milczeniu, z pochyloną głową, i czekał

na dalszy ciąg, który nie nastąpił.

- To wszystko - powiedział Elgstrand.

- Wróć do swoich

zajęć.

W drzwiach San usłyszał jeszcze:

225.

- Rozumiesz chyba, że Qi nie mogła tu zostać.

Opuściła nas.

Sparaliżowany strachem, San wyszedł na dziedziniec.

Czuł się tak, jak w chwili gdy umierał jego bracia.

Teraz znów rozpacz przyparła go do ziemi.

Odszukał Na i brutalnie wyciągnął ją z kuchni za włosy.

Po raz pierwszy użył przemocy w stosunku do służby.

Na, krzycząc, upadła na ziemię.

San szybko zrozumiał, że to nie ona ich wydała.

Zdradziła ich starsza służąca, która podsłuchiwała, jak Qi zwierza się Na.

San nie szukał jej jednak.

Zrozumiał, że musi opuścić

misję.

Zabrał Na do swojego pokoju i posadził ją na taborecie.

-Gdzie jest Qi?

- Odeszła dwa dni temu.

-Dokąd?

- Nie wiem, była załamana.

Wybiegła.

- Musiała przecież powiedzieć cokolwiek.

Dokąd miała

zamiar pójść?

- Myślę, że sama nie wiedziała.

Mogła pójść nad rzekę, żeby tam na ciebie zaczekać.

, , San zerwał się gwałtownie, wyskoczył z pokoju, wypadł za bramę i pobiegł nad rzekę.

Nie znalazł tam Qi.

Szukał jej niemal przez cały dzień, pytał o nią wszystkich, których spotkał, nikt jej jednak nie widział.

Rozmawiał z wioślarzami, którzy obiecali go zawiadomić, gdyby Qi nagle się pojawiła.

Gdy wreszcie wrócił do misji i spotkał Elgstranda, misjonarz zachowywał się tak, jakby zapomniał już o wszystkim,

co się wydarzyło.

Rozpoczynał przygotowania do mszy, która miała się odbyć nazajutrz.

- Nie uważasz, że należałoby zamieść dziedziniec?

- zapytał Sana przyjaźnie.

,

226

- Dopilnuję, żeby został zamieciony wcześniej rano zanim przyjdą ludzie.

Elgstrand kiwnął głową, a San się uklonił.

Misjonarz najwyraźniej uważał, że Qi zgrzeszyła tak bardzo, że nie ma już dla niej ratunku.

San nie mógł pojąć tego, czemu człowiek nie może dostąpić bożej łaski, jeśli jego grzechem jest po prostu miłość do innego człowieka.

Przyglądał się Elgstrandowi i Lodinowi rozmawiającym przed biurkiem misji.

Zdawało mu się, że dopiero w tym momencie widzi ich naprawdę.

Dwa dni później San otrzymał wiadomość od jednego z przyjaciół w porcie.

Udał się tam co tchu, a kiedy dotarł na miejsce, musiał przecisnąć się przez tłum ludzi.

Qi leżała na pomoście.

Wypłynęła na powierzchnię pomimo grubego łańcucha, którym owinęła się w pasie.

Łańcuch zaczepił się wiośło i w ten sposób jej ciało zostało wyłowione.

Jej skóra była białoniebieska, oczy zamknięte.

Tylko San wiedział, że w jej ciele było dziecko.

Po raz kolejny zostałam.

Dał trochę pieniędzy mężczyźnie, który go zawiadomił.

Powinny wystarczyć na spalenie ciała.

Dwa dni później pochował prochy Qi w miejscu, w którym spoczywała stopa Guo Si.

Oto, co osiągnąłem w moim życiu, pomyślał.

Buduję i wypełniam swój własny cmentarz.

Spoczywają na nim szczątki czworga ludzi, z których jeden nawet nie zdążył się narodzić.

Padł na kolana, bijąc czołem o ziemię.

Ogarnęła go obezwładniająca rozpacz.

Wył jak zwierzę, w poczuciu bezsilności i złości na to, co się stało.

Nigdy jeszcze nie czuł się tak

227.

bezzadny.

On, który kiedyś myślał, że jest w stanie zaopiekować się braćmi, nie był teraz niczym więcej niż cieniem człowieka, który za chwilę miał rozpaść się na kawałki.

Gdy wieczorem wrócił do misji, dowiedział się od wartownika, że szukałgo Elstrand.

San zapukał do drzwi jego

gabinetu.

Misjonarz siedział za biurkiem i pisał coś w świetle lampy.

- Szukałem cię - powiedział.

- Nie było cię przez cały

dzień.

Modliłem się do Boga, żeby nie stało ci się niczego.

- Nic się nie stało - odparł San, kłaniając się.

- Trochę bolał mnie ząb i musiałem wyleczyć go ziołami.

- Dobrze już.

Nie poradzimy sobie bez ciebie.

Idź teraz spać.

San nigdy nie powiedział Elstrandowi ani Lodinowi, że Qi odebrała sobie życie.

Najej miejsce przyjęto nową dziewczynę.

San zamknął w sobie swój wielki żal i przez wiele miesięcy znów był niezastąpionym służącym misjonarzy.

Nie dzielił się z nikim swoimi przemyśleniami, nikomu

też nie powiedział, że słucha kazań z innym nastawieniem niż wcześniej.

W końcu uznał, że nadszedł czas, by zacząć pisywać historię swoją i braci.

Nauczył się już wystarczającej liczby znaków.

Wciąż jeszcze nie wiedział, dla kogo ją napisze.

Być może jego jedynym czytelnikiem będzie wiatr.

Jeśli tak właśnie miałyby się stać, zmusi wiatr, żeby go wysłuchał.

Pisał wieczorami, do późna, spał niewiele, aby niezaniedbywać swoich zajęć.

Był wszystkim życzliwy, gotowy do pomocy, zarządzał służbą i ułatwiał misjonarzom pracę przynawracaniu niewiernych.

Od dnia przybycia do Fuzhou minął rok.

San doszedł do wniosku, że stworzenie królestwa bożego, o którym marzyli

228

misjonarze, zajmie wiele czasu.

Po dwunastu miesiącach udało im się nawrócić dziewiętnaście osób.

San pisał przez cały czas.

Starał się opisać wszystko od początku, od dnia ucieczki z rodzinnej wioski.

Jednym z zadań Sana było sprzątnięcie gabinetu Elgstranda.

Nikt inny nie miał prawa tam wchodzić.

Pewnego dnia, gdy San ostrożnie odkurzał biurko i leżące na nim papiery, jego wzrok padł na list napisany do jednego z misjonarzy w Kantonie, z którym Elgstrand korespondował po chińsku,

by ćwiczyć język.

W liście tym zwierzała się przyjacielowi ze swoich myśli na temat Chińczyków.

"Są, jak z pewnością wiesz, niezwykle pracowici - pisał - i potrafią wytrzymać nędzę nasposóbmułów i osłów, podobnie też znoszą kopanie i chłostę.

Nie (można jednak zapominać, że w rzeczywistości są zwykłymi, przebiegłymi kłamcami i oszustami.

Są butni i chciwi, cechuje ich ponadto zwierzęca zmysłowość, która czasem napawanie odraża.

To w większości podli ludzie.

Pozostaje nam tylko żywić nadzieję, że nieogarniona miłość Pana pewnego dnia przedrze się przez ich straszliwie surową okrutną

naturę".

San przeczytał list dwukrotnie, po czym skończył porządki

i opuścił gabinet.

Kontynuował swoją pracę, jak gdyby nic się niewydarzyło.

Wieczorami pisał, a za dnia słuchał kazań misjonarzy.

Pewnego wieczoru jesienią 1868 roku w tajemnicy opuścił stację misyjną.

Wszystkie swoje rzeczy spakował do jednej płóciennej torby.

Gdy wyruszał w drogę, wiał silny wiatr i padał deszcz.

Wartownik spał pod bramą i nie spostrzegł, kiedy San wdrapał się na nią, by wydostać się na zewnątrz.

Znalazł się na samej górze, zerwał tabliczkę z napisem "Świątynia Prawdziwego Boga" i rzucił ją w błoto.

229.

Na drodze nie było nikogo.

Padał ulewny deszcz.

San wkroczył w ciemność i zniknął.

17

Elgstrand otworzył oczy.

Przez drewnianą żaluzję zawieszoną w oknie jego pokoju przenikały do środka promienie porannego słońca.

Z zewnątrz dochodził goodgłos zamykania podwórza.

Polubił ten dźwięk.

Był to niewzruszony moment w porządku świata, który gdzie indziej zwykł się często załamywać.

Miotłazamiatająca podwórza była czymś, co nigdy się nie zmieniało.

Jak zawsze po przebudzeniu, leżał jeszcze przez chwilę w łóżku i pozwalał myślom wędrować daleko w przeszłość.

Miał w głowie serię obrazów z czasów dzieciństwa spędzonego w małym miasteczku w Smalandii.

Nigdy nie przypuszczał, że pewnego dnia powołanie pogna go w świat

jako misjonarza pomagającego ludziom odnaleźć drogę do jedynej prawdziwej wiary.

Było to bardzo dawno, ale teraz, tuż po przebudzeniu, wydarzenia te wydawały mu się bardzo bliskie.

Zwłaszcza dziś, gdy miał odbyć kolejną podróż do angielskiego statku, który, taką żywił nadzieję, przywiózł kolejne pieniądze pocztę dla misji.

Wyprawę rzeką miał odbyć po raz czwarty.

W Fuzhou byli wraz z Lodinem już od ponad półtora roku, ale pomimo ich niestrudzonej pracy misja wciąż borykała się wieloma problemami.

Jego największym rozczarowaniem była niewielka liczba rzeczywiście nawróconych.

Wiele osób przychodzących do misji utrzymywało, że wyznaje wiarę chrześcijańską, jednak w przeciwieństwie do Lodina, który patrzył na nich niejako krytycznym okiem, Elgstrand uważał

że, że ich wiara jest pusta, a chęć nawrócenia się wynika zapewne z nadziei na otrzymanie

jakiegoś wsparcia, ubrania

lub jedzenia.

W czasie, który tu spędził, zdarzały się momenty, gdy

Elgstranda ogarniało zwątpienie.

Pisał wówczas w swym pamiętniku o Chińczykach, ich fałszu i odrażającym bałwochwalstwie, które wydawało się nie do wytępienia.

Tych, którzy przychodzili na kazania, postrzegał jako zwierzęta znajdujące się na o wiele niższym szczeblu rozwoju niż najbiedniejsi chłopcy, których spotkał w Szwecji.

Biblijne przesłanie mówiące o rzucaniu pereł przed wieprze nieoczekiwanie zyskało nowe znaczenie.

Jednak ciężkie chwile po jakimś czasie mijają.

Modlił się i rozmawiał z Lodinem.

W swoich listach do związku misyjnego, który wspierał ich działania i zbierał potrzebne im pieniądze, nie ukrywał trudności, jakie tu napotkali.

Za każdym razem podkreślał jednak, że należy uzbroić się w cierpliwość.

U swoich początków wiara chrześcijańska potrzebowała narozprzestrzenienia się kilkuset lat.

Podobnego uporu i cierpliwości należało wymagać od ludzi, którzy przybywali z misją do ogromnego i znajdującego się daleko w tle kraju o nazwie

Chiny.

Wstał z łóżka, umył się w miednicy i powoli zaczął się ubierać.

Przedpołudnie planował spędzić na pisaniu kilkulistów, które musiał dostarczyć na angielski statek, odbierając przesyłkę.

Czuł również potrzebę napisania do swojej matki, teraz już bardzo starej i mającej zaniki pamięci.

Kolejny raz musiał jej przypominać, że ma syna, który wykonuje najszlachetniejszą chrześcijańską pracę, jaką można było sobie

wyobrazić.

W pewnej chwili ktoś delikatnie zastukał w drzwi.

Otworzył.

Weszła służąca ze śniadaniem natacy.

Postawiła ją na

231.

stole i bezszelestnie opuściła pokój.

Wkładając marynarkę, Elgstrand podszedł do okna i spojrzął na świeżo pozamiatany dziedziniec.

Było wilgotno i ciepło, a chmury zapowiadały deszcz.

Na podróż rzeką będzie musiał się zaopatrzyć w odzież przeciwdeszczową i parasol.

Pomachał Lodinowi

stojącemu przed drzwiami swojego pokoju i przecierającemu okulary.

Bez niego byłoby ciężko, pomyślał Elgstrand.

Jest naiwny, niezbyt zdolny, ale przyjazny i pracowity.

W pewnym sensie ucieleśnia szczęśliwą prostoduszność, o której mówi Biblia.

Pośpiesznie odmówił modlitwę i zasiadł do śniadania.

Zastanawiał się, czy zamówiono załogę wiosłarzy, którzy mieli go zawieźć do statku i z powrotem.

W tej właśnie chwili odczuł brak Sana.

Przez wszystkie miesiące spędzone w misji San zajmował się tego typu sprawami i wszystko było zawsze dobrze zorganizowane.

Od owego jesiennego wieczoru, kiedy San nagle zniknął, Elgstrandowi nie udało się znaleźć nikogo, kto w pełni zastąpiłby oddanego służącego i równie dobrze jak on spełniał swoje obowiązki.

Dolewając herbaty do filiżanki, starał się odpowiedzieć sobie na pytanie, co właściwie skłoniło Sana do odejścia.

Jedynym rozsądnym wytłumaczeniem była ucieczka ze służącą Qi, która go zauroczyła.

Elgstrand miał do siebie żal, że przecenił Sana.

Potrafił znieść to, że na codzień był okłamywany i szukiwany przez zwykłych Chińczyków.

Falsz leżał w ich naturze.

Lecz fakt, że San, o którym myślał tak dobrze, mógł postąpić w ten sam sposób, był największym rozczarowaniem, jakiego doświadczył przez cały dotychczasowy pobyt w Fuzhou.

Rozpytywało Sana wszystkich, którzy go znali.

Nikt jednak nie wiedział, co się wydarzyło tamtej deszczowej

nocy, której wiatr strącił tabliczkę wiszącą nad bramą misji.

Napisbył jużna swoim miejscu, San jednak zniknął.

Kolejne godziny Elgstrand spędziłna pisaniu listów i sporządzaniu raportu dla członków misji w Szwecji.

Przeżywałkatusze za każdym razem, gdy musiał zdaćrelację z postępuprac.

Około pierwszej zakleił ostatnią kopertę i rzucił okiemza okno, by sprawdzićpogodę.

Na niebie wciążwisiały deszczowechemury.

Gdywsiaadałdo łodzi, wydało mu się, że rozpoznaje kilku wioślarzyz poprzednich wypraw.

Nie był tego jednakpewien.

Wraz z Lodinem zajęli miejsca na środku pokładu.

Mężczyzna imieniem Xinukłonił się powiedział, że mogąruszać w drogę.

Duchownispędzali podróż na rozmowieo różnych problemach, z jakimi borykała się misja.

Doszli do wniosku, że powinno być w niej więcej misjonarzy.

Marzeniem Elgstranda było zbudowaniesiecimisji chrześcijańskich wzdłuż rzeki Min.

Gdyby pokazali wszystkim, że misja się rozrasta, podziałałoby to jak magnesna tych,' którzywciąż wątpili,choć byli ciekawi nowego boga, który, poświęcił swojego syna na krzyżu.

Skąd jednak wziąć na to pieniądze?

Ani Elgstrand, ani Lodin nie potrafili znaleźć rozwiązania.

Gdy dotarli do angielskiego statku, Elgstrand kuswemu zdziwieniu stwierdził, że go rozpoznaje.

Misjonarzewspięli się na pokład po drabince sznurowej.

Powitał ich kapitanDunn, którego Elgstrandjuż kiedyś spotkał.

PrzedstawiłmuLodina, po czym wszyscy weszli do kajuty.

Kapitan postawiłna stole bimber i nie ustąpił,dopóki misjonarze nie wypilipo dwa kieliszki trunku.

- Wciąż tu jesteście - powiedział.

- To mniedziwi.

Jakudaje się wam wytrzymać?

233.

-Postępujemy zgodnie z powołaniem - odparł

Elgstrand.

- Jak wam idzie?

-Jak nam idzie co?

- Nawracanie.

Udaje wam się nawracać Chińczyków nawiarę w Boga czy wciąż palą kadzidła przed swoimi bożkami?

- Potrzeba dużo czasu, żeby nawrócić człowieka.

-A ile, żeby nawróciłały naród?

- Nie zastanawiamy się nad tym.

Pozostaniemy tu do końca naszego życia, a po nas przyjdą następni.

Kapitan Dunn przyglądał im się badawczym wzrokiem.

Elgstrand przypomniał sobie, że podczas ostatniej wizyty Dunn wypowiedział wiele negatywnych słów o Chińczykach.

- Czas jest rzeczą - ciągnął kapitan.

- Przecieka między palcami, niezależnie od tego, jak bardzo staramy się go zatrzymać.

Ale jak to jest z odległościami?

Zanim udałom się wynaleźć instrumenty, które sprawiły, że możemy mierzyć nasze podróże w milach morskich, mieliśmy tylko jedną miarę.

Równała się ona czasowi, przez jakobystry marynarz widział skrawek lądu lub inny statek.

Jak wy obliczacie odległość, panie misjonarzu?

Jak mierzycie odległość między Bogiem a ludźmi, których chcecie nawrócić?

- Cierpliwość i czas to również odległości.

-Podziwiam was - powiedział w zamyśleniu Dunn.

-Wbrew sobie, ale jednak.

Wiara jak dotąd nigdy jeszcze nie pomogła żadnemu kapitanowi odnaleźć drogi wśród podwodnych skał i miazg.

Dla nas liczą się umiejętności, nic poza tym.

Powiedzmy, że w nasze żagle dmucha inny wiatr.

234

- To ładne porównanie - odezwał się Lodin, który dotychczas siedział w milczeniu.

Kapitan Dunn schylił się i otworzył drewnianą skrzynię stojącą obok jego koi.

Wyjął z niej spory plik listów, kilkanaście pakunków, a na koniec paczkę z pieniędzmi i weksłami, które misjonarze mogli wymienić u angielskich handlarzy w Fuzhou.

Kapitan podetknął Elgstrandowi kartkę, na której widniała suma pieniędzy znajdujących się w paczce.

- Proszę przeliczyć pieniądze i pokwitować ich odbiór.

- Czy to konieczne?

Niewydaje mi się możliwe, żeby kapitan statku mógł ukraść pieniądze zebrane od biednych ludzi chcących pomóc poganom w odnalezieniu drogi do lepszego życia.

- To, co myślicie, to wasza sprawa.

Dla mnie najważniejsze jest, żebyście na własne oczy zobaczyli, że dostaliście całą należną wam sumę.

Elgstrand przeliczył banknoty i weksle.

Gdy skończył, podpisał pokwitowanie, które kapitan Dunn zamknął w drewnianej skrzyni.

- Sporo pieniędzy poświęćcie na tych waszych Chińczyków - skomentował.

- Muszą być dla was ważni.

- Są dla nas ważni.

Zaczynało się już ściemniać, kiedy Elgstrand i Lodin puszczały statek.

Kapitan Dunn stał przy relingu i patrzył, jak wsiadają do łodzi, którą mieli udać się w powrotną drogę do misji.

- Bywajcie!

- zawołał na pożegnanie - Kto wie, być może jeszcze kiedyś się spotkamy!

Łódź odbiła od statku.

Wioślarze rytmicznie unosili i puszczały wiosła.

Elgstrand spojrział na Lodina i wybuchnął śmiechem.

235.

- Kapitan Dunn to dziwny człowiek.

Jestem pewien, że w rzeczywistości ma dobre serce, mimo że na zewnątrz sprawia wrażenie bezczelnego bluźniercy.

- Nie jest bynajmniej jedynym, który wypowiada takie słowa - odparł Lodin.

Dalej płynęli w milczeniu.

Zazwyczaj wioślarze utrzymywali łódź blisko brzegu, tym razem jednak zdecydowali się płynąć środkiem rzeki.

Lodin spał, a Elgstrand zapadał krótkie drzemki.

Zbudził się gwałtownie, gdy nagle z ciemności wyłoniły się inne łodzie i otoczyły łódź misjonarzy, ustawiając się do niej dziobami.

Stało się to tak szybko, że Elgstrand nie zdołał się nawet zorientować, co się dzieje.

Wypadek, pomyślał.

Dlaczego wioślarze nie trzymali się brzegu, jak zawsze?

Po chwili zrozumiał, że nie jest to wypadek.

Na pokładach łodzi przeskoczyli zamaskowani mężczyźni.

Lodin, który właśnie się przebudził i próbował wstać, otrzymał silny cios w głowę i upadł.

Wioślarze nie próbowali bronić Elgstranda, niemieli też zamiaru uciekać.

Misjonarz zrozumiał, że napad został dokładnie zaplanowany.

- Na Jezusa!

- krzyknął.

- Jesteśmy misjonarzami!

Nieczynimy nikomu zła!

Jeden z zamaskowanych mężczyzn stanął na wprost niego.

Trzymał w dłoni coś, co przypominało siekierę lub dużymłotek.

Popatrzyli sobie prosto w oczy.

- Daruj nam życie - błagał Elgstrand.

Mężczyzna jednym ruchem zdjął maskę z twarzy.

Pomimo ciemności misjonarz od razu rozpoznał Sana.

Jego twarz nie zdradzała żadnych uczuć, gdy unosił siekiere, by po chwili uderzyć nią prosto w głowę Elgstranda.

Zepchnął jego ciało do rzeki i przez moment patrzył, jak unoszą go fale.

Jeden

236

z jego ludzi już miał podciąć gardło Lodinowi, gdy San podniósł dłoń, by go powstrzymać.

-Oszczędź go.

Chcę, żeby ktoś mógł o tym opowiedzieć.

Chwyć torbę z pieniędzmi i przeszedł na pokład jednej łodzi, którymi przyplłynęli napastnicy.

Łódź misjonarzy opuścili również wynajęci przez nich wiosłarze.

Pozostał w niej jedynie nieprzytomny Lodin.

Rzeka płynęła powoli.

Wkrótce nie było już śladu po bandytach.

Łódź, wraz z leżącym w niej wciąż nieprzytomnym Lodinem, znaleziono następnego dnia.

Brytyjski konsul w Fuzhou zajął się nim i pozwolił mu zamieszkać w swojej rezydencji do czasu, aż w pełni odzyska siły.

Gdy ocalały misjonarz wyszedł z szoku, konsul zapytał go, czy rozpoznał któregoś z napastników.

Lodin nic nie pamiętał.

Wszystko przebiegało w zawrotnym tempie, a bandyci byli zamaskowani.

Nie miał pojęcia, co się stało z Elgstrandem.

Konsul długo się zastanawiał, dlaczego napastnicy darowali Lodinowi życie.

Rzeczni piraci podczas swoich napadów rzadko pozostawiali kogokolwiek przy życiu.

Tym razem jednak, z tajemniczych względów, zrobili wyjątek.

Po tym, jak znaleziono Lodina, konsul natychmiast skontaktował się z lokalnymi władzami i zaprotestował przeciwko temu, co się wydarzyło.

Mandaryn zobowiązał się podjąć poszukiwania sprawców napadu.

Wkrótce udało mu się wytropić ich w wiosce położonej na północny zachód od rzeki.

Ponieważ samych bandytów w niej nie zastano, rozkazał ukarać ich rodziny.

Wszyscy zostali ścięci bez sądu, a całą wieś spalono.

Napad na misjonarzy miał dramatyczne konsekwencje dla dalszej misji ewangelizacyjnej.

Lodin popadł w ciężką depresję.

się i nie miał odwagi opuścić brytyjskiego konsulatu.

Minęło wiele czasu, nim doszedł do siebie na tyle, by móc wrócić do Szwecji.

Osoby odpowiedzialne za szwedzką misję podjęły po jakimś czasie trudną decyzję o tymczasowym zaprzestaniu wysyłania misjonarzy do Chin.

Wszyscy wiedzieli, że brat Elgstrand zginął za wiarę.

Takie ryzyko ponosili misjonarze udający się w miejsca, w których mogło dojść do tego rodzaju zdarzeń.

Gdyby Lodin doszedł do siebie na tyle, by wrócić do pracy, sprawa wyglądałaby inaczej.

Dalsza działalność misji nie mogła wszakże opierać się na misjonarzu, który niemal bezustannie płakał i nie miał odwagi wyjść do ludzi.

Misja w Fuzhou została zlikwidowana.

Dziewiętnastu wróconym poradzono, by zwrócili się do misji niemieckiej lub amerykańskiej, położonych nad rzeką Min.

Raporty Elgstranda odłożono do archiwum i nikt już więcej się nimi nie interesował.

Kilka lat po powrocie Lodina do Szwecji w Kantonie pojawił się pięknie ubrany Chińczyk w asyście służących.

Był to San, który powrócił do miasta po kilku latach życia w odosobnieniu w Wuhan.

W drodze do Kantonu zatrzymał się w Fuzhou.

Kazał służącym poczekać w zajeździe, a sam udał się nad rzekę, do miejsca, w którym pochował brata i Qi.

Zapalił kadzidełko i długo siedział na pagórku.

Cicho rozmawiał ze zmarłymi i opowiadał im o życiu, jakie obecnie wiedzie.

Nie otrzymał żadnej odpowiedzi, ale był pewien, że jego bliscy go słyszą.

Przybywszy do Kantonu, wynajął niewielki dom na obrzeżach miasta, z dala od terenów zajmowanych przez obcokrajowców i dzielnic, w których żyła zwykła chińska

238

biedota.

Wiódł proste życie w odosobnieniu.

Ci, którzy niegopytali, otrzymywali od służby odpowiedź, że żyje z odsetek i poświęca swój czas na naukę.

Zawsze przyjaźnie odpowiadał na pozdrowienia, unikał jednak bliższych kontaktów z ludźmi.

W jego domu lampy świeciły się zawsze do późna w nocy.

Wciąż opisywał wszystko to, co przytrafiło mu się od dnia, w którym jego rodzice odebrali sobie życie.

Nie pomijał żadnego zdarzenia.

I nie musiał pracować, ponieważ zawartość torby Elgstranda zapewniła mu utrzymanie do końca życia.

Myśl, że żyje pieniędzy misji, dawała mu wielką satysfakcję.

Traktował to jako zemstę za to, że przez tak długi czas pozwolił się oszukiwać chrześcijanom, wmawiającym mu istnienie sprawiedliwego boga, traktującego wszystkich jak równych sobie.

Minęło wiele lat, nim San znalazł nową kobietę.

Pewnego dnia, kiedy odbywał jedną ze swoich regularnych wizyt w mieście, zauważył młodą dziewczynę, idącą ulicą w towarzystwie ojca.

Poszedł za nimi, a gdy zobaczył, w którym domu mieszkali, polecił jednemu ze służących dowiedzieć się, kim jest ojciec dziewczyny.

Ten okazał się niższym urzędnikiem pracującym u jednego z mandarynów, San uznał więc, że będzie dla niego dobrym kandydatem na zięcia.

Wykorzystał pierwszą nadarzącą się okazję, by go poznać, i zaprosił do jednej z najwykwintniejszych herbaciarni w Kantonie.

Wkrótce potem został zaproszony do domu urzędnika, gdzie poznał dziewczynę imieniem Tie.

Spodobała mu się, a z czasem, gdy nabrała trochę śmiałości, dała się poznać jako mądra i rozsądna osoba.

Kilka miesięcy później, w maju 1881 roku, San ożenił się z Tie.

W marcu 1882 roku urodził się ich pierwszysyn, któremu San nadał imię Guo Si.

Nie mógł się napatrzeć

na dziecko i po raz pierwszy od wielu lat poczuł, że cieszy

się z życia.

Jego gniew jednak nie malał.

Coraz więcej czasu poświęcał tajemnemu towarzystwu starającemu się wypędzić z Chin białych ludzi.

Panujące w kraju bieda i cierpienie nie mogły zostać zażegnane, dopóki obcy biali ludzie zagarniali wszystkie zyski pochodzące z handlu i wmuszali Chińczykom zniechęcony środek odurzający o nazwie opium.

Czas mijał.

San starzał się, jego rodzina coraz bardziej się powiększała.

Wieczorami często zamykał się w swoim gabinecie i czytał opasły pamiętnik, którego nie przestawał pisać.

Teraz czekał już tylko na to, by jego dzieci urosły na tyle, aby pewnego dnia przeczytać i zrozumieć historię, nad którą tak długo pracował.

Za ścianami swojego domu widział biedotę ciągnącą ulicami Kantonu.

Jeszcze nie nadszedł właściwy czas, pomyślał.

Lecz pewnego dnia wszystko to zmyje fala, której nadejście jest nieuniknione.

San wciąż wiodł proste życie i większość czasu poświęcał swoim dzieciom.

Nigdy jednak nie przestał szukać Zi.

Przechadzając się ulicami miasta, zawsze miał przy sobie ostrynóż, schowany pod ubraniem.

18

Ya Ru lubił wieczorami przebywać sam w swoim biurze.

Wysoki budynek w centrum Pekinu, w którym jego gabinet zajmował całe najwyższe piętro z panoramicznymi oknami wychodzącymi na miasto, był wówczas prawie pusty.

Znajdowali się w nim jeszcze tylko strażnicy na parterze i sprzęt

tający.

W sąsiednim pokoju czekała sekretarka Ya Ru, pani Shen, która pozostawała w pracy tak długo, jak sobie życzyła, czasem nawet do świtu, jeśli było to konieczne.

Właśnie tegodnia, w grudniu 2005 roku, Ya Ru kończył trzydzieści osiem lat.

Zgadzał się z zachodnim myślicielem, który powiedział kiedyś, że mężczyzna w tym wieku znajduje się w połowie życia.

Miał wielu przyjaciół uważających, że starość jest jak słaby, zimny wiatr, zaczynający wiać w karkwolicach czterdziestki.

Ya Ru nie odczuwał w związku tym niepokoju.

Już jako młody student jednego z uniwersytetów w Szanghaju powziął postanowienie, że nie będzie tracił czasu i sił na martwienie się sprawami, na które i tak nie ma żadnego wpływu.

Z upływającym czasem każdy tak w końcu musi przegrać.

Człowiek może z nim walczyć tylko jeden sposób - starając się go jak najbardziej rozciągnąć, wykorzystać, lecz nie jest w stanie zatrzymać jego biegu.

Ya Ru dotknął nosem zimnej szyby.

Zawsze utrzymywał niską temperaturę w swoim biurze, umeblowanym ze smakiem w kolorach czarnym i krwistoczerwonym.

Temperaturą niezmiennie wynosiła siedemnaście stopni, zarówno w chłodnych miesiącach, jak i w czasie nadciągających nad Pekin fal upałów i burz piaskowych.

To mu odpowiadało.

Zawsze stosował technikę chłodnego namysłu.

Załatwianie interesów lub podejmowanie politycznych decyzji było dla niego pewnego rodzaju stanem wojennym, w którym liczyło się jedynie racjonalne, chłodne rozumowanie.

Nic dziwnego, że nazywanego Tie Qian Lian - "Chłodny".

Byli również tacy, którzy uważali go za niebezpiecznego.

Dawniej zdarzyło się rzeczywiście kilka razy, że stracił panowanie nad sobą i wyrządził kilku osobom fizyczną krzywdę.

Teraz jednak nie robił już takich rzeczy, choć nie obchodziło

go, że czasem budził w ludziach strach.

Najważniejszą była dla niego umiejętność kontrolowania wzbierającego w nim niekiedy gniewu.

Zdarzało mu się czasem potajemnie opuszczać mieszkanie wczesnym rano, przez ukryte tylne drzwi.

Dołączał wówczas do ludzi, przeważnie starszych od niego, odwiedzających pobliski park, i ćwiczył wraz z nimi uczącą koncentracji gimnastykę tai-chi.

Czuł się wtedy jak mała, nic nieznacząca cząstka wielkiej, anonimowej chińskiej ludzkiej masy.

Nikt nie wiedział, kim jest i jak się nazywa.

Traktował to jak oczyszczenie.

Gdy po tak spędzonym poranku wracał

do domu, na nowo przywdziewał swoją tożsamość, czuł się silniejszy.

Wskazówki zegara wskazywały prawie północ.

Tego wieczora spodziewał się dwóch osób.

Bawiło go to wzywaniem w środku nocy lub o świcie tych, którzy czegoś od niego chcieli, pod warunkiem że byli to ludzie, z którymi uważał za stosowne się spotkać.

Umiejętność dobrego wykorzystywania czasu dawała mu przewagę.

W chłodnym pokoju, o świcie, łatwiej mu było uzyskać to, czego chciał.

Przyglądał się miastu migoczącemu tysiącami światła.

W roku 1967, najburzliwszym czasie Rewolucji Kulturalnej, przyszedł na świat w szpitalu gdzieś tam, na dole, wśród niezliczonych latarni.

Jego ojca nie było przy narodzinach, ponieważ jako profesor jednego z uniwersytetów został wypędzony pod naciskiem organizowanych przez czerwonych strażników na wieś, by pasać świnie.

Ya Ru nigdy go nie zobaczył.

Ojciec zniknął i nie dał znaku życia.

Po wielu latach Ya Ru wysłał kilku swoich pracowników w miejsce, w którym ojciec miał przebywać.

Poszukiwania nie przyniosły jednak skutku.

Nikt już go nie pamiętał.

Również w chaotycznych archiwach z tamtych lat nie udało się znaleźć nic na jego

242

temat.

Ojciec Ya Ru utonął w wielkiej powodzi politycznej,

którą wywołał Mao.

Był to ciężki czas dla jego matki, zmuszonej samotnie wychowywać jego starszą córkę, Hong.

Pierwszym wspomnieniem Ya Ru z dzieciństwa był płacz matki.

Nie potrafił wymazać tego przykrego obrazu z pamięci.

Później, na początku lat osiemdziesiątych, gdy ich sytuacja się poprawiła i matka odzyskała stanowisko wykładowcy fizyki teoretycznej na jednej z pekińskich uczelni, pojmował już więcej z chaosu panującego w roku jego narodzin.

Mao próbował stworzyć nowy wszechświat.

W taki sam sposób, w jaki powstał wszechświat.

Chiny miały odrodzić się na nowo powwołanej przez Mao rewolucji.

Ya Ru wcześniej zrozumiał, że sukces można sobie zagwarantować, umiając rozpoznać, gdzie w danym momencie znajduje się władza.

Ten, kto nie wyczuwa poszczególnych tendencji w życiu politycznym i ekonomicznym, nigdy nie dołączył do poziomu, na którym obecnie znajdował

się Ya Ru.

Właśnie tam teraz jestem, pomyślał.

Kiedy w Chinach zaczęto uwalniać rynek, byłem gotowy.

Byłem jednym z kotów, o których mówił Deng.

Kotów, które nie musiały być czarne ani szare, byleby łapały myszy.

Teraz jestem jednym z najbogatszych ludzi mojego pokolenia.

Zabezpieczyłem się odpowiednimi kontaktami, sięgającymi daleko w głąb Zakazanego Miasta nowych czasów, gdzie znajduje się jądro partii komunistycznej.

Płacę za ich zagraniczne podróże i sprowadzam projektantów ubrań dla ich żon.

Organizuję miejsca w dobrych uniwersytetach w USA dla ich dzieci i buduję domy ich rodzicom.

W zamian mam swoją wolność.

Przerwał rozmyślenia i spojrzał na zegarek.

Za chwilę miała wybić północ, zatem wkrótce odwiedzi go pierwszygość.

243.

Podszedł do biurka i nacisnął przycisk interkomu.

Pani Shenzgłosowała natychmiast.

- Spodziewam się gościa za mniej więcej dziesięć minut- powiedział.

- Proszę jej kazać poczekać półgodziny.

Potem zadzwonię i będzie mogła wejść.

Ya Ru usiadł z biurkiem.

Zawsze był pusty, gdy wieczorem wychodził z biura.

Każdy nowy dzień witał siadając

na pustym, odkurzonym biurkiem, na którym mogły się pojawić nowe wyzwania.

W tej chwili leżała na nim mała, zniszczona książeczka z okładkami sklejonymi taśmą.

Ya Ru myślał czasem, by zlecić jakiemuś zręcznemu rzemieślnikowi oprawienie nanowo rozpadającej się książki, ale zawsze dochodził jednak do wniosku, że powinna pozostać taka, jaka jest.

Pomimo zniszczonych okładek i porwanych, cienkich stron nadal można było odczytać jej treść.

Schował ją ostrożnie, po czym nacisnął przycisk pod blatem biurka.

Monitor komputera wysunął się z cichym szmerem.

Ya Ru wystukał na klawiaturze kilka znaków i na świecącym jasnym blaskiem ekranie pojawiło się drzewo genealogiczne.

Stworzenie drzewa i wszystkich odgałęzień przedstawiających jego rodzinę, a przynajmniej jej części, co do których miał pewność, że są prawdziwe, kosztowało go sporo czasu i pieniędzy.

W obfitujących w dramatyczne wydarzenia krwawej historii Chin zniszczono nie tylko skarby kultury.

Gorzej, że zagładzie uległy wielkie archiwa.

W drzewie genealogicznym, na które spoglądał Ya Ru, były luki, których nigdy nie zdołał uzupełnić.

Mimo to widniały na nim najważniejsze imiona i nazwiska, a przede wszystkim imię człowieka, który napisał należącego do Ya Ru pamiętnik.

244

Próbował odszukać dom, w którym jego pradziad siedział przy stole w świetle świecy, lecz znalazł

jedynie miejsce, w którym dom ten niegdyś stał.

Tam, gdzie kiedyś mieszkał Wang San, dziś krzyżowały się autostrady.

San pisał w swoim pamiętniku, że słowa swe przeznacza dla wiatru i swoich dzieci.

Ya Ru nie mógł zrozumieć, co miał on na myśli, pisząc o wietrze, podejrzewał, że jego pradziad w głębi serca był romantykiem pomimo ciężkiego życia i żądzy zemsty, jaką nosił w sobie do końca swoich dni.

Doczekał się dzieci.

Najpierw syna imieniem Guo Si, który przyszedł na świat w roku 1882.

Był on jednym z pierwszych przywódców partii komunistycznej, a zginął zabity przez Japończyków w czasie wojny japońsko-chińskiej.

Ya Ru często myślał, że pamiętnik powstał z myślą o nim.

Mimo że od czasu jego powstania do dnia, w którym go przeczytał, minęło ponad sto lat, miał wrażenie, że San zwraca się bezpośrednio do niego.

W nim właśnie przetrwała nienawiść, która w trakcie pisania pamiętnika przepełniała jego pradziada.

Najpierw nienawidził San, po nim Guo Si,

w końcu zaś Ya Ru.

Miał fotografię Guo Si z początku lat trzydziestych, na

której ten stoi wraz z innymi mężczyznami na tle górskiego krajobrazu.

Ya Ru zeskanował ją i przechowywał w swoim komputerze.

Patrząc na zdjęcie, doszedł do wniosku, że właśnie Guo Si był mu najbliższy.

Że stał za roześmianym mężczyzną z brodawką na policzku.

Był tak bliski władzy absolutnej, pomyślał Ya Ru.

Równie daleko zaszedł

w życiu ja, jego prawnuk.

Głośnik nabiurku zasumiał cicho.

Pani Shen przekazała mi w ten dyskretny sposób, że przybył jego pierwszy gość.

Postanowił, że każe jej czekać.

Przeczytał kiedyś historię pewnego przywódcy politycznego, który uszeregował swoich

245.

przyjaciół i wrogów, wyznaczając, jak długo musieli czekać na audiencję u niego.

Ci, porównując czasoczekiwania, mogli określić, jak dużym bądź małym uznaniem ich darzy.

Ya Ru wyłączył komputer.

Monitor schował się pod blat cichym szmerem, Zkarafki stojącej na biurku nalał wody do szklanki.

Wodę sprowadzał Włoch, gdzie przygotowywano ją specjalnie dla niego w firmie, w której miał udziały.

Woda i ropa, pomyślał.

Otaczam się ptynami.

Dziś ropa

naftowa, jutro być może prawo korzystania z wody w różnych rzekach i jeziorach.

Ponownie podszedł do okna.

Nastała pora, w której goście świętują.

Wkrótce świecić będą tylko latarnie na ulicach i placach publicznych.

Spojrzał w stronę dzielnicy, w której znajdowało się Zakazane Miasto.

Lubił tam przebywać i odwiedzać przyjaciół, którzy powieriali mu swoje pieniądze, by nimi zarządzał i je pomnażał.

Dziś tron cesarza jest pusty.

Lecz władza wciąż znajduje się w obrębie murów prastarego cesarskiego miasta.

Deng powiedział kiedyś, że stare dynastie cesarskie zazdroszczą partii komunistycznej jej władzy.

Nie istnieje żaden inny kraj na świecie, którego władze posiadają podobne po temu działania.

Co piąty żyjący dziś człowiek jest zależny od tego, co zdecyduje władza podobna do władzy cesarskiej.

Ya Ru wiedział, że miał wiele szczęścia.

Nigdy o tym niezapominał.

W momencie, w którym pozwoliliby sobie potraktować to jak oczywistość, mógłby szybko stracić swój wpływ i dobrobyt.

Był szarą eminencją wśród elit posiadających władzę.

Jako członek partii komunistycznej miałojsia do najbardziej zamkniętych kręgów, w których podejmowano najważniejsze decyzje.

Był również ich doradcą

i wciąż uważnie badał, gdzie czyhają pułapki i któredy wiodąbezpieczne ścieżki.

246

Tego dnia kończył trzydzieści osiem lat i doskonale wiedział, że jest to czas największych inajbardziej rewolucyjnych zmian, jakie zachodzą w kraju od ery Rewolucji Kulturalnej.

Po okresie, kiedy cała uwagaskierowanabyła dowewnątrz.

Chiny miałyteraz wyrzeć poza swoje granice.

Toczono spory co do tego, jaką drogę należy obrać, Ya Ru był jednak niemalpewien, jaki będzie ich rezultat.

Ścieżki, na którą weszły Chiny, nieda się już zmienić.

Coraz większejliczbie jego rodaków żyje się coraz lepiej.

Mimo że wciążrośnie przepaść między mieszkańcami miast i wsi, trochęlepsze czasy nastały nawetdla najbiedniejszych.

Szaleństwembyłaby próba nadania temu rozwojowi kierunku, któryprzywodziłby na myśl przeszłość.

Dlatego właśnie musiałatrwaćwalka o zagraniczne rynki i surowce.

Przyglądał się przez chwilę swojemu odbiciu w szybiepanoramicznego okna.

Może właśnie tak wyglądał Wang

San.

Minęło z górąsto trzydzieści pięć lat, pomyślał Ya Ru.

Sannigdy nie mógłby wyobrazić sobie życia, które teraz wiodę.

Ja mogę jednak zobaczyć jego życie izrozumieć gniew, którygo kształtował.

Napisał pamiętnik po to, byjego potomkowie nigdy niezapomnieli o niedoli, jaka spotkała jego, jegerodziców i jego braci.

Wielkiej niedoli, która nękała cały kraj.

Ya Ru przerwał rozmyślanie i spojrzął na zegarek.

Niemięło jeszcze pół godziny, podszedł jednak do biurka i nacisnął guzik, by zaprosić swojego pierwszego gościa.

Po chwili rozsunęły się niewidoczne, wkomponowane w ścianę drzwi i weszła jego siostra, Hong Qui.

Była bardzo piękna.

Ya Ru miał siostrę o wprost zjawiskowej urodzie.

Spotkali się pośrodku pokoju i ucałowali na powitanie.

- Mój mały braciszku - powiedziała - jesteś teraz niecostarszy niż wczoraj.

Pewnego dnia mnie dościgniesz.

247.

- Nie - odparł Ya Ru.

- Nigdy nie zdołam cię dogonić, choć nikt nie wie, kto komu na koniec wyprawi pogrzeb.

- Dlaczego teraz o tym mówisz?

W dniu swoich urodzin?

- Każdymądry człowiek wie, że śmierć jest zawsze w pobliżu.

Poprowadził ją do kanapy stojącej w drugim końcu dużego pomieszczenia.

Ponieważ jego siostra nie piła alkoholu, podał jej herbatę w złożonym imbryku.

Sam nadal pił wodę.

Hong Qui spojrzała na niego z uśmiechem, ale po chwili jej twarz przybrała poważny wyraz.

- Mam dla ciebie prezent.

Ale najpierw chcę wiedzieć, czy plotka, którą słyszałam, jest prawdziwa.

Ya Ru wzruszył ramionami.

- Wciąż krążą o mnie jakieś plotki.

Podobnie jako wszystkich innych wybitnych mężczyzn i wszystkich wybitnych kobietach, takich jak ty, droga siostrze.

- Chcę wiedzieć, czy to prawda, że uciekłeś się do przekupstwa, by zdobyć swój największy kontrakt budowlany.

- Odstawiając filiżankę na stół, mocno stuknęła nią blat.

- Czy ty wiesz, co robisz?

Łapówka?

Ya Ru nagle poczuł znudzenie Hong Qui.

Rozmawianie z nią często sprawiało mu przyjemność, ponieważ była inteligentną kobietą i umiała formułować kąśliwe uwagi.

Bawiło go szlifowanie swoich własnych argumentów podczas dyskusji, które z nią prowadził.

Reprezentowała staroświecką wierność ideałom, które dziś niewiele już znaczyły.

Solidarność stała się towarem handlowym, takim samym jak wszystkie inne.

Stary komunizm nie oparł się pokusom rzeczywistości, której jego twórcy nigdy nie udało się pojąć.

Fakt, że Karol Marks miał wiele racji w kwestii fundamentalnego znaczenia gospodarki w polityce, a Mao pokazał, że nawet

248

najbiedniejsi chłopi mogą wyjść z nędzy, nie oznaczał, że ogromne wyzwania, które stały dziś przed Chinami, można podjąć, stosując bezkrytycznie klasyczne metody.

Hong Qui zmierzała ku przyszłości, patrząc wstecz.

Ya Ru wiedział, że jego siostra poniesie porażkę.

- Nigdy nie będziemy wrogami - powiedział.

- W czasach, gdy kraj zaczął podnosić się z upadku, naszą rodzinę tworzyli pionierzy.

Po prostu inaczej rozumiemy metody, które stosujemy.

Oczywiście nikogo nie przekupuję, podobnie jak sam nie daję się przekupić.

- Myślisz tylko o sobie.

O nikim więcej.

Trudno mi uwierzyć, że mówisz prawdę.

Ya Ru nagle stracił cierpliwość.

- Co myślałaś szesnaście lat temu, kiedy oklaskiwałaś władzę partii wysyłające czołgi, by zmasakrowały ludzi na placu Tiananmen?

Powiedz, co wtedy myślałaś?

Czy nie pojmujesz, że mogłem być wśród tych, którzy tam wtedy stali.

Miałem wtedy dwadzieścia dwa lata.

- Musieliśmy interweniować.

Zagrożona była stabilność całego kraju.

- Przez kilka tysięcy studentów?

Teraz to ty nie mówisz prawdy, Hong Qui.

Baliście się kogo innego.

- Niby kogo?

Ya Ru pochylił się nad siostrą wyszeptał:

- Chłopów.

Baliście się, że staną po stronie studentów.

Zamiast zmienić myślenie przyszości tego kraju, sięgnęliście po broń.

Zamiast rozwiązać problem, staraliście się go ukryć.

Hong Quinie odpowiedziała.

Długo przyglądała się bratu.

Ya Ru pomyślał, że obydwoje pochodzą z rodziny, która kilkopokoleńtemu nigdy nie odważyłaby się spojrzeć w oczy mandarynowi.

249.

- Nie należy uśmiechać się do wilka - powiedziała pochwili.

- Dla wilkato sygnał, że chcesz siębić.

Podniosła się, kładąc na stole pakunek przewiązany czerwoną wstążką.

, - Przeraza mnie droga, którą podążasz, braciszku.

Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby nie dopuścić, by tacy jak ty zamienili ten kraj w coś, czego będziemy się wstydzić i żałować.

Powraca czas wielkich walk klasowych.

Po której stronie stoisz?

Poswojej własnej, nie po stronie narodu.

- Ciekaw jestem, kto teraz jest wilkiem - odparł Ya Ru.

Chciał pocałować ją w policzek na pożegnanie, lecz zachnęła się, odwróciła i cofnęła.

Ya Ru podeszedł do biurka i nacisnął przycisk otwierający drzwi.

Gdy ponownie się zasunęły, pochylił się nad głośnikiem.

- Spodziewam się jeszcze jednego gościa.

- Czy mam zanotować jego nazwisko?

- zapytała pani Sheng.

- On nie ma nazwiska - odparł Ya Ru.

Wrócił do stołu i rozpakował prezent od Hong Qui.

W pudełku znajdowała się niewielka szkatułka z jadeitu.

W jej wnętrzu było białe pióro i kamień.

Nierzadko zdarzało się, że Ya Rui Hong Qui wymieniali podarki zawierające ukryty dla innych przekaz.

Od razu zrozumiał, co miała na myśli.

Przedmioty te nawiązywały do jednego z wierszy Mao.

Pióro symbolizowało zmarnowane życie, a kamień życie i śmierć, które miały jakieś znaczenie.

Moja siostra mnie ostrzega, pomyślał Ya Ru.

Albo rzucami wyzwanie.

Którą drogę życia powinienem wybrać?

Uśmiechnął się na widok podarowanych przez siostrę przedmiotów, postanawiając, że na jej urodziny każe sporządzić pięknego wilka z kości słoniowej.

250

Szanował ją zaupór.

Pod względem charakteru i siły woli naprawdę była jego siostrą.

Wiedział, że nie przestanie zwalczać jego i tych ludzimających władzę w kraju, którzy obrali potępianą przez nią drogę.

Myli się jednak ona i wszyscy ci, / którzy wątpią w to, co na nowo uczyni Chiny najpotężniejszym krajem na świecie.

Ya Ru usiadł za biurkiem i włączył lampkę.

Ostrożnie włożył parę białych bawełnianych rękawiczek, po czym znów zaczął kartkować napisaną przez Wang Sana książkę, przekazywaną w jego rodzinie z pokolenia na pokolenie.

Hong Qui również czytała pamiętnik, ale niewywarł on na niej tak wielkiego wrażenia jak na Ya Ru.

Otworzył książkę na ostatniej stronie.

Wang San dożył osiemdziesięciu trzech lat.

Był bardzo chory i niedługo miał umrzeć.

Jego ostatnie słowa w pamiętniku wyrażały niepokój, gdyż nie zdążył za życia zrobić wszystkiego, co obiecał swoim braciom.

"Umieram za wcześnie- napisał.

- Nawet gdybym dożył tysiąca lat, i tak umierałbym za wcześnie, nie zdążywszy odzyskać honoru mojej rodziny.

Robiłem, co mogłem, ale to nie wystarczyło".

Ya Ru zamknął pamiętnik i odłożył go do szuflady, którą zamknął na klucz.

Zdjął rękawiczki.

Z innej szuflady biurkawyjął grubą kopertę, po czym nacisnął interkom.

Pani Shen zgłosiła się natychmiast.

- Czymój gość już przybył?

- Tak, już tu jest.

- Niech wejdzie.

Drzwi wścianie rozsunęły się i ukazał się wysoki, chudy mężczyzna.

Wszedł na gruby dywan, poruszając się miękko i harmonijnie.

Uklonił się na powitanie.

251.

- Nadszedł czas, abyś udał się w podróż - powiedział Ya Ru .

- Wszystko, czego będziesz potrzebował, jest w tej kopercie.

Chcę, żebyś wrócił lutym, kiedy będziemy świętować Nowy Rok.

Początek nowego roku na Zachodzie to najlepší czas na twoje zadanie.

Podał mężczyźnie kopertę, którą ten odebrał, ponownie się kłaniając.

- Liu Xin - mówił dalej Ya Ru - zadanie, które ci powierzam, jest ważniejsze niż wszystkie, które miałem dla ciebie dotychczas.

Chodzi w nim o moje własne życie.

I o moją rodzinę.

- Zrobię wszystko, o co mnie poprosisz.

- Wiem, że zrobisz.

Ale jeśli ci się nie powiedzie, nigdy już do mnie nie wracaj.

Musiałbym cię wówczas zabić.

- Powiedzie mi się.

Ya Ru skinął głową.

Rozmowa dobiegła końca.

Mężczyzna nazwiskiem Liu Xin zniknął za cicho rozsuwającymi się drzwiami.

Po raz ostatni tego wieczoru Ya Ru odezwał się do pani Shen.

- Przed chwilą mój gabinet opuścił pewien mężczyzna - powiedział.

- Był mało mówny i bardzo miły.

- Nie złożył mi dzisiaj wieczoru wizyty.

- Oczywiście.

- Była tu tylko moja siostra Hong Qui.

- Nikogo innego nie wpuszczałam.

Nie zanotowałam też

w kalendarzu żadnego innego nazwiska.

-Może pani iść do domu.

Ja zostanę jeszcze parę godzin.

Rozmowa dobiegła końca, Ya Ru wiedział jednak, że pani

Shen zostanie, dopóki on nie opuści biura.

Niemiała rodziny

ani żadnego życia poza pracą niego.

Była jego strażniczką,

strzegącymgo za drzwiami duchem.

Ya Ru podszedł do okna i znów spojrzał na pogrążone w śnie miasto.

Wskazówki zegara dawały mu godzinę dwunastą.

Był w świetnym humorze.

Swoje dzisiejsze urodziny uznał za udane, mimo że rozmowa z siostrą nie przebiegła tak, jak planował.

Hong Qui nie rozumiała już niczego, co działo się na świecie.

Kwestionowała nadejście nowych czasów.

Przygnębiała go myśl, że oboje coraz bardziej się od siebie oddalają, wyglądało jednak na to, że niemożliwie inaczej.

Dla dobra kraju.

Być może pewnego dnia jego siostra wszystko zrozumie.

Najważniejsze tego wieczoru było zakończenie uciążliwych poszukiwań i sporządzenia map.

Wyjaśnianie wydarzeń przeszłości i opracowywanie planu zajęło Ya Ru dziesięć lat.

Wielokrotnie był blisko poddania się, gdyż zbyt wiele spraw zdążyło już zatrzeć czas.

Czytając jednak ponownie pamiętnik Wang Sana, czerpał z niego nową siłę.

Nienawiść Sana przeszła na Ya Ru i była niemal tak silna jak w chwili powstawania pamiętnika.

Ya Ru mógł dokonać tego, czego nigdy nie byłby w stanie zrobić San.

Na końcu książki znajdowało się kilka pustych stron.

Kiedy będzie już po wszystkim, Ya Ru zamierzał dopisać ostatni rozdział pamiętnika.

Wybrał dzień swoich urodzin, by wysłać Liu Xina w świat dla dokonania tego, co musiał nastąpić.

I z tego powodu to uczucie lekkości.

Długo stał bez ruchu przy oknie.

Po jakimś czasie zgasił światło i wyszedł tylnym wyjściem, prowadzącym do jego prywatnej windy.

Wsiadłszy do samochodu czekającego w podziemnym garażu, poprosił kierowcę, by zatrzymał się przy Tiananmen.

Za przyciemnionych szyb patrzył na plac, zupełnie pusty, jeśli nie liczyć zawsze tam obecnych żołnierzy w zielonych mundurach.

252253.

To właśnie tu pewnego dnia Mao proklamował narodziny Chińskiej Republiki Ludowej.

Ya Ru nie było jeszcze na

świecie.

Pomyślał, że mające nadejść wielkie wydarzenia nie zostaną obwieszczone tu, w Państwie Środka.

Nowy świat miał narodzić się w najgłębszej ciszy.

Aż do chwili, w której już nikomu nie będzie mógł zapobiec temu, co nastąpi.

CZĘŚĆ III

Czerwona wstążka (2006)

A walka zawsze pociąga za sobą ofiarę śmierci człowieka jest zwykłym zjawiskiem.

Lecz my umieramy za naród, z myślą o sprawach narodu, z myślą o cierpieniach olbrzymiej większości narodu, co oznacza, że umieramy śmiercią chwalebną.

Oczywiście, powinniśmy wszelkimi sposobami zmniejszyć liczbę zbytecznych ofiar.

Mao Tse-Tung, 1944.

Rebelianci

19

Birgitta Roślin znalazła to, czego szukała, w najdalszym kącie chińskiej restauracji.

Przy wiszącej nad stolikiem lampie brakowało jednej czerwonej wstążki.

Wstrzymała oddech i stała w milczeniu.

Tu ktoś siedział, pomyślała.

W najciemniejszym kącie.

Potem wstał, wyszedł z lokalu i udał się do Hesjövallen.

To musiał być mężczyzna.

Z całą pewnością był to mężczyzna.

Rozejrzała się po restauracji.

Młoda kelnerka uśmiechnęła się do niej.

Z kuchni dobiegały odgłosy rozmowy po chińsku.

Pomyślała, że ani ona, ani policja nie rozumieją nic z tego, co się wydarzyło.

To było dużo większe, głębsze i bardziej zagadkowe, niż mogliby sobie wyobrazić.

Niewiedzieli właściwie nic.

Usiadła przy stoliku i zamyślona, dłubała w jedzeniu, które przyniosła sobie z bufetu.

Wciąż była jedynym gościem w restauracji.

Skiniem głowy przywołała kelnerkę i wskazała na lampę.

- Brakuje tu jednej wstążki - powiedziała.

W pierwszej chwili kelnerka zdawała się nie rozumieć, o co jej chodzi.

Birgitta ponownie wskazała na lampę.

257.

Młoda kobieta spojrzała na nią ze zdziwieniem.

Nie zauważyła zniknięcia wstążki.

Po chwili schyliła się i zajrzała podstół, żeby sprawdzić, czy wstążka nie spadła na podłogę.

- Nie ma - stwierdziła.

- Nie wiedziałam.

- Od jak dawna jej brakuje?

- spytała Birgitta.

Kelnerka spojrzała na nią z zaskoczeniem.

Birgitta powtórzyła pytanie, myśląc, że dziewczyna jej nie rozumie, ale

ta niecierpliwie pokręciła głową.

-Nie wiem.

Jeśli ten stolik nie'pasuje, .

można sięprzesiąść.

Zanim Birgitta zdążyła odpowiedzieć, kelnerka odeszła, by przyjąć zamówienie od dużego towarzystwa, które właśnie przyszło na obiad.

Birgitta pomyślała, że muszą to być pracownicy jakiejś instytucji w gminie.

Po chwili przysłuchiwania się ich rozmowie doszła jednak do wniosku, że są to uczestnicy konferencji poświęconej bezrobociu w Halsingland.

Znów zaczęła dłubać w jedzeniu, obserwując, jak restauracja stopniowo się zapełnia.

Młoda kelnerka musiała sama obsłużyć wszystkich gości i sprawiało jej to widoczną trudność.

W końcu dołączył do niej mężczyzna z kuchni i zajął się zbieraniem brudnych talerzy oraz wycieraniem stolików.

Podwóch godzinach, gdy minęła już pora obiadu, restauracja zaczęła pustoszeć.

Birgitta Roślin, wciąż siedząc nad talerzem pełnym jedzenia, zamówiła zieloną herbatę.

Godziny spędzone w lokalu wykorzystała na przemyślenie wszystkiego, co się wydarzyło od momentu jej przybycia do Halsingland.

Nie umiała wyjaśnić, jak wstążka z chińskiej restauracji znalazła się na śniegu w Hesjövallen.

W pewnej chwili kelnerka podeszła do niej, by zapytać, czy jeszcze czegoś sobie życzy.

Birgitta przecząco pokręciła głową.

258

- Chciałabym zadać pani kilka pytań.

Ponieważ w restauracji wciąż było trochę gości, dziewczyna odeszła na moment, żeby zamienić parę słów z mężczyzną z kuchni, poczym wróciła do stolika Birgitty.

- Jeśli chce pani kupić lampę, mogę to załatwić- powiedziała z uśmiechem.

Birgitta Roślin również się uśmiechnęła.

- Nie chcę lampy - odparła.

- Mielicie otwarte w okolicach Nowego Roku?

- My zawsze mamy otwarte - odrzekła kelnerka.

- Chiński sposób prowadzenia interesów.

Zawsze otwarte, kiedy inni mają zamknięte.

Birgitta Roślin pomyślała przez chwilę, że nie uzyska odpowiedzi na pytanie, które miała zamiar zadać.

Mimo to

zapytała.

- Czy zapamiętuje pani gości?

- Pani była tu wcześniej- odparła dziewczyna.

- Pamiętam naszych gości.

- Pamięta pani może, czy około Nowego Roku przy tym stoliku ktoś siedział?

Kelnerka przecząco pokręciła głową.

- To dobry stolik.

Zawsze ktoś przy nim siedzi.

Teraz pani, a jutro usiądzie tu ktoś inny.

Birgitta Roślin poczuła, że jej nieprecyzyjne pytania nie mają sensu.

Musiła podać jakieś szczegóły.

Po chwili wahania wpadła na to, jak należało je sformułować.

- Około Nowego Roku - powtórzyła.

- Czy był tu ktoś, kogo nigdy wcześniej pani nie widziała?

- Nigdy?

- Nigdy.

Nigdy wcześniej ani potem.

Kelnerka zastanawiała się przez chwilę.

Birgitta widziała, że dziewczyna stara się coś sobie przypomnieć.

259.

Z restauracji wyszli ostatni goście.

Zadzwoił telefon stojący przy kasie.

Kelnerka odebrała przyjęła zamówienie napoiłek na wynos.

Po chwili wróciła do stolika.

Tymczasem ktoś z pracujących w kuchni osób puścił płytę z chińską muzyką.

- Ładna muzyka- powiedziała dziewczyna z uśmiechem.

- Panilubi?

- Ładna - odparła Birgitta.

- Bardzo ładna.

Kelnerka zawahała się przez moment, w końcu kiwnęła głową, najpierw nieśmiało, potem jednak bardziej zdecydowanie.

- Chińczyk - powiedziała wreszcie.

- Siedział w tym miejscu?

- Na tym samym krześle co pani.

Jadł obiad.

- Kiedy to było?

Dziewczyna zastanowiła się.

- W styczniu, ale nie w Nowy Rok.

Później.

- Ile później?

- Może dziewięć, dziesięć dni.

Birgitta Roślin zagryzła wargi.

To możesz zgadzać, pomyślała.

Zbrodnię w Hesjovallen popełniono w nocy z 12 na 13 stycznia.

- Czy mogło to być jeszcze trochę później?

Kelnerka odeszła i po chwili wróciła z kalendarzem, w którym zapisywano rezerwacje stolików.

- 12 stycznia - powiedziała.

- Wtedy tu siedział.

Niezarezerwował stolika, ale pamiętam, jacy inni goście byli tego samego dnia.

- Jak wyglądał?

- Chińczyk, szczupły.

- Co mówił?

Odpowiedź kelnerki była natychmiastowa i zaskakująca:

260

- Nic.

Pokazał palcem, co chce jeść.

- Ale był Chińczykiem?

- Próbowałam rozmawiać z nim po chińsku, ale powiedział tylko: "Cicho", i potem pokazał palcem.

Pomyślałam, że chce, żeby zostawić go w spokoju.

Zamówił zupę, sajgonki, nasi goreng i deser.

Był bardzo głodny.

- Czy zamówił coś do picia?

- Wodę i herbatę.

- I nic nie powiedział przez cały czas?

- Chciał mieć święty spokój.

- Co się wydarzyło potem?

- Zapłacił szwedzkimi pieniędzmi, a potem wyszedł.

- I nigdy nie wrócił?

- Nigdy.

- Czy to on zabrał czerwoną wstążkę?

Kelnerka wybuchnęła śmiechem.

- Po co miałby ją zabierać?

- Może taka wstążka oznacza coś szczególnego?

- To czerwona wstążka.

Co ma niby oznaczać?

- Czy wydarzyło się coś jeszcze?

- A miało się jeszcze wydarzyć?

- Po jego wyjściu.

- Zadaje pani dużo dziwnych pytań.

Jest pani z urzędu skarbowego?

On tu nie pracuje, a my płacimy podatki.

Wszyscy, którzy tu pracują, mają papiery.

- Pytam z ciekawości.

Nigdy więcej go pani nie widziała?

Kelnerka pokazała palcem okno restauracji.

- Poszedł w prawo.

Padł śnieg.

Potem zniknął i nigdy tu nie wrócił.

Dlaczego chce pani wiedzieć?

- Być może go znam - odparła Birgitta.

Zapłaciła rachunek i wyszła na ulicę.

Mężczyzna, który siedział w kącie restauracji, po wyjściu skierował się na pra261.

wo. Birgitta zrobiła to samo.

Kiedy doszła do skrzyżowania, zaczęła się rozglądać.

Po jednej stronie znajdowało się kilka sklepików i parking.

Poprzeczna ulica biegnąca w drugą stronę kończyła się ślepo.

Stał tam niewielki hotel z rozbitym szklanym szyldem.

Birgitta ponownie rozejrzała się wokół skrzyżowania, po czym zatrzymała wzrok na hotelu.

Coś jej przyszło do głowy.

Wróciła do restauracji.

Kelnerka, siedząca na krześle i paląca papierosa, wzdrygnęła się na jej widok.

Zgniotła niedopałek w popielniczkę.

- Mam jeszcze jedno pytanie - powiedziała Birgitta.

- Czy ten mężczyzna miał ze sobą jakieś wierzchnie okrycie?

Kelnerka zastanowiła się przez chwilę.

- Właściwie to nie - odparła po chwili.

- Skąd pani wiedziała?

- Nie wiedziałam.

Proszę sobie nie przeszkadzać.

Dziękuję za pomoc.

Drzwi prowadzące do hotelu były zepsute.

Wyglądały tak, jakby ktoś próbował je wyłamać, po czym prowizorycznie zamontowano w nich zamek.

Birgitta weszła na półpiętro, gdzie mieściła się recepcja, składająca się wyłącznie z lady ustawianej w otwartych drzwiach.

Nie było nikogo.

Zawołała, ale niknie nie odpowiedział.

Po chwili odkryła dzwoneki naciśnięta guzik.

Podskoczyła ze strachu, gdy nagle ktoś pojawił się za jej plecami.

Był to mężczyzna tak chudy, że wyglądał na ciężko chorego.

Miał okulary o grubych szklach i roztaczał wokół zapach alkoholu.

- Pani życzy sobie pokój?

Birgitta usłyszała w jego głosie charakterystyczną intonację i doszła do wniosku, że mężczyzna pochodzi z Göteborga.

- Chciałabym znaleźć odpowiedź na kilka pytań.

Chodził mojego przyjaciela, który chyba tu kiedyś mieszkał.

262

Mężczyzna odszedł, człapiąc rozdeptanymi kapciami, by po chwili pojawić się za ladą recepcji.

Trzęsącymi się dłońmi sięgnął po książkę hotelową.

Birgitta z trudem dopuszczała do siebie myśl, że wciąż jeszcze istnieje hotel jak ten, w którym się właśnie znalazła.

Czuła się zupełnie tak, jakby przeniosła się w czasie i wylądowała w filmie z lat czterdziestych.

- Jak nazywał się gość?

- Wiem tylko, że jest Chińczykiem.

Mężczyzna powolnym ruchem odłożył książkę.

Głowam się trzęsła, gdy wpatrywał się w Birgittę.

Łatwo było się domyślić, że cierpi na parkinsona.

- Zazwyczaj zna się nazwiska swoich przyjaciół.

Nawet jeśli są Chińczykami.

- To przyjaciel przyjaciela.

Innego Chińczyka.

- Rozumiem.

Kiedy się tu zatrzymał?

A ilu gości z Chin mogłeś tu mieć?

,pomyślała.

Jeśli mieszkał tu Chińczyk, musisz o tym wiedzieć.

- Na początkustycznia.

-Byłem wtedy w szpitalu.

W tymczasiehotelem zajmowaśię mójbratanek.

- Czy mógłby pan doniego zadzwonić?

-Niestety nie.

Jest w tej chwili na statku płynącym naArktykę.

Mężczyzna zaczął dokładnie studiować książkę, strona

po stronie.

- Rzeczywiście, zatrzymał się tu Chińczyk - powiedziałnagle.

- Niejaki pan Wang Min Hao zPekinu.

Spędził tujedną noc, z12 na 13 stycznia.

Czy to ten, którego pani

szuka?

- Tak -powiedziała Birgitta,niemogąc ukryć podniecenia.

- Toon.

263.

Mężczyzna obrócił książkę w jej stronę.

Wyjęła z torebki kartkę i przepisała dane gościa z Chin.

Imię i nazwisko, numer paszportu oraz coś, co zapewne było adresem w Pekinie.

- Dziękuję - powiedziała.

- Bardzo mi pan pomógł.

Czy ten człowiek zostawił coś w hotelu?

- Nazywam się Sture Hermansson - odpowiedział mężczyzna.

- Moja żona i ja prowadziliśmy ten hotel od 1946 roku.

Ona już nie żyje, a ja wkrótce do niej dołączę.

To ostatni rok tego hotelu.

Dom ma zostać zburzony.

- Toprzykre.

Sture Hermansson wydał pomruk niezadowolenia.

- A co w tym przykrego?

Ten dom to ruina.

Tak samo jak ja.

Nie ma nic dziwnego w tym, że starzy ludzie umierają.

Ten pan Chińczyk chyba rzeczywiście coś tu zostawił.

Sture Hermansson zniknął w pokoju za ladą.

Birgitta Roślinczekała w napięciu.

Zastanawiała się już, czy mężczyzna nie umarł, gdy wreszcie, po długim czasie, pojawił się w recepcji.

W dłoni trzymał czasopismo.

- To leżało w koszu na śmieci, kiedy wróciłem ze szpitala.

Mam tu Rosjankę, która sprząta.

A ponieważ jest tylko osiemnastopięcioletnia, pracuje sama.

Niestety, jest niedokładna.

Po powrocie ze szpitala sprawdziłem wszystkie numery.

Tagazeta byław pokoju, w którym się zatrzymał.

Podał Birgittie magazyn.

Byływ nim chińskie znaki oraz fotografie budynków i Chińczyków.

Domyśliła się, że to nie czasopismo, ale katalog prezentujący jakąś firmę.

Na

ostatniej stronie okładki widniały koślawe chińskie znaki, napisane atramentem.

- Może to pani zabrać - zaproponował Hermansson.

- Nie czytam po chińsku.

264

Włożyła katalog do torebki i zaczęła się zbierać do

wyjścia.

- Jeszcze raz dziękuję za pomoc, Sture Hermansson uśmiechnął się.

- Nie ma za co.

Jest pani zadowolona?

- Więcej niż zadowolona.

Podeszła do drzwi i już miała je otworzyć, kiedy usłyszała zaplecami jego głos.

- Być może pokażę pani coś jeszcze.

Ale chyba się pani śpieszy.

Niema pani czasu?

Birgitta ponownie podeszła do uśmiechającego się za lady mężczyzny, który skinieniem głowy wskazał jakieś miejsce za sobą.

W pierwszej chwili nie zrozumiała, co próbuje jej pokazać.

Na ścianie wisiał zegar i firmowy kalendarz warsztatu samochodowego, oferującego szybki i solidny

serwiswszystkich fordów.

- Nie wiem, o co panu chodzi.

-Zatem widzi pani gorzej ode mnie -odparł.

Wyjął spod lady długi wskaźnik.

- Zegar się spóźnia -wyjaśnił.

- Używam tego wskaźnikado przesuwania wskazówek.

Nie da się wejść na drabinę, kiedy człowiek cały się trzęsie.

Skierował wskaźnik na miejsce tuż nad zegarem.

Jedynąrzeczą, którą Birgittatam dostrzegła, była mała kratka wentylacyjna.

Wciąż nie rozumiała, co właściciel hotelu chce jejpokazać.

W końcu odkryła, że ciemnym punktem nad zegarem nie jest otwór wentylacyjny, lecz ukryte oko kamery.

- Możemy sprawdzić, jak on wygląda - powiedział StureHermansson z satysfakcją.

-Czy to kamera przemysłowa?

- Zgadza się.

Zrobiłem to sam.

Zamontowanie jej przezfirmę ochroniarską w tak małym hotelu byłoby za drogie.

265.

Poza tym, kto mógłby wpaść na beznadziejny pomysł, żeby mnie okraść?

Byłoby to równie głupie jak napad rabunkowy na jednego z tych pożałowania godnych ludzi pijących naławce w miejskim parku.

- Fotografuje pan wszystkich, którzy się tu zatrzymują?

- Filmuję.

I nawet nie wiem, czy to legalne, ale mam tu podłogę guzik, który naciskam.

Wtedy ten, kto stoi przy ladzie, jest filmowany.

Patrzył na nią rozbawiony

- Teraz właśnie sfilmowałem panią - powiedział.

- Stoi pani akurat w najlepszym miejscu i obraz będzie wyraźny.

; Birgitta Roślin poszła za nim do pokoju za recepcją.

Był to pomieszczenie, w którym najwyraźniej sypiał i miał swoje biuro.

Przez otwarte drzwi do kolejnego pokoju dostrzegł staroświecko urządzonej kuchnię, w której jakaś kobieta myła naczynia.

- To Natasza - wyjaśnił Hermansson.

- Właściwie nazywasie inaczej, ale dla mnie wszystkie Rosjanki mają na imię Natasza.

Nagle obrzucił Birgittę czujnym spojrzeniem.

- Mam nadzieję, że nie jest pani z policji - powiedział.

- Nie jestem.

- Nie sądzę, żeby miała wszystkie papiery w porządku, ale to dotyczy chyba większości imigrantów, o ile dobrze wiem.

- Chyba nie - odparła Birgitta.

- Alenię jestem z policji.

Sture Hermansson zaczął przebierać wśród kaset oznaczonych różnymi datami.

- Miejmy nadzieję, że mój bratanek nie zapomni nacisnąć guzika - powiedział.

- Nie sprawdzaliśmy filmów od początku stycznia.

Nie mieliśmy wtedy prawie żadnych.

gości.

266

Po długim, niezdarnym przekładaniu kaset, gdy Birgitta zaczęła już walczyć z chęcią wyrwania mu ich z rąk, znalazł wreszcie właściwą i włączył telewizor.

Kobieta zwana Nataszą przeszła przez pokój bezszelestnie jak cień.

Sture Hermansson wsunął kasetę do odtwarzacza i nacisnął guzik.

Birgitta pochyliła się nad monitorem.

Obraz był zaskakująco wyraźny.

Przy ladzie stał mężczyzna w dużej futrzanej czapce.

- To Lundgren z Jarvsó - wyjaśnił Hermansson.

- Przyjeżdż zaraz w miesiącu, żeby mieć święty spokój i uchlać się pokojem.

Kiedy się upije, śpiewa psalmy.

Potem jedzie do domu.

Miły facet.

Handluje złomem.

Jest moim gościem od prawie trzydziestu lat.

Ma zniżkę.

Obraz zamigotał.

Po chwili na ekranie pojawiły się dwie kobiety w średnim wieku.

- Koleżanki Nataszy - kontynuował Hermansson ponurym głosem.

- Przychodzą od czasu do czasu.

Nie chcę nawet wiedzieć, czym się zajmują w tym mieście.

Ale w hotelu niewolno przyjmować gości.

Podaję jednak, że robią to, kiedy śpię.

- Czy one też mają zniżkę?

-Wszyscy ją mają.

Nie mam stałych cen.

Od końca lat sześćdziesiątych hotel przynosi straty.

Żyję z małego pakietu akcji.

Stawiam na lasy i przemysł ciężki.

A dla najbliższych przyjaciół mam jedną radę.

-Jaką?

- Akcje szwedzkiego przemysłu maszynowego.

Są niezawodne.

Obraz na monitorze powrócił.

Birgitta wstrzymała oddech.

Twarz mężczyzny widać było bardzo wyraźnie.

Był to Chińczyk w ciemnym płaszczu.

Na moment spojrział w kierunku kamery.

Poczuła się tak, jakby popatrzył jej w oczy.

267.

Młody, pomyślała.

Nie ma więcej niż trzydzieści lat, o ile

obraz nie kłamie.

Mężczyzna odebrał klucz i zniknął z polawidzenia.

Obraz na monitorze zrobił się czarny.

- Niewidzę zbyt dobrze - powiedział Sture Hermansson.

- Czy to właściwa osoba?

- A czyto była kasetka z 12 stycznia?

- Tak mi się wydaje, ale mogę sprawdzić w książce, czy jest wpisany po naszych Rosjankach.

Wstał i poszedł do recepcji.

Zanim wrócił, Birgitta zdążyła kilkakrotnie przewinąć kasetę i przyjrzeć się twarzy mężczyzny.

Zatrzymała film w momencie, w którym jego wzrok utkwiał w obiektywie kamery.

Zauważył ją, pomyślała.

Po chwili patrzył w dół i odwracał twarz.

Ustawia się nawet inaczej, żeby nie było widać jego twarzy.

Wszystko działało się bardzo szybko.

Cofnęła taśmę i obejrzała nagranie kolejno.

Teraz odniosła wrażenie, że mężczyzna od początku był bardzo czujny i szukał wzrokiem kamery.

Ponownie zatrzymała film.

Chińczyk o krótko ostrzyżonych włosach, intensywnym spojrzeniu i zaciśniętych ustach.

Szybkie ruchy, czujność.

Być może jest starszy, niż uznała w pierwszej chwili.

Po kilku minutach wrócił Hermansson.

- Wygląda na to, że ma pani rację - powiedział.

- Dwierosyjskiedamy wpisały się pod swoimi fałszywymi, jak zawsze, nazwiskami.

Potem jest wpis tego Chińczyka, pana Wang Min Hao z Pekinu.

- Czy mogłabym skopiować ten film?

Hermansson wzruszył ramionami.

- Może go pani wziąć.

Po co mi on?

Kamerę zainstalowałem na własne potrzeby.

Przewijam filmy raz na pół roku.

Proszę bardzo.

268

Wsunął kasetę do futerału i podał jej.

Wyszła nim na dół schodową.

Natasza wycierała klosze lamp oświetlających wejście do hotelu.

Sture Hermansson przyjaźnie uszczyptał Birgittę w ramię.

- Może powie mi pani wreszcie, dlaczego tak bardzo interesuje panią ten Chińczyk?

Jest pani winna pieniądze?

- Dlaczego miałby mi być coś winien?

- Każdy jest komuś coś winien.

Jeśli zapytać ludzi, najczęściej chodzi o pieniądze.

- Wydaje mi się, że ten mężczyzna może odpowiedzieć na wiele pytań - odparła Birtitta.

- Więcej niestety nie mogę pani powiedzieć.

- I na pewno nie jest pani z policji?

- Napewno.

- Ale nie jest pani stąd.

-Zgadza się.

Nazywam się Birgitta Roślini przyjechałam z Helsingborga.

Proszę dać mi znać, jeśli ten mężczyzna się pojawi.

Zapisała na kartce swój adres oraz numer telefonu i podała ją Hermanssonowi.

Na ulicy poczuła, że jest spocona z wrażenia.

Wzrok Chińczyka prześladował ją.

Wsunęła kasetę do torebki i niezdecydowanie rozejrzała się dookoła.

Co powinna teraz zrobić?

Miała już być w drodze do domu, tymczasem zrobiło się późne popołudnie.

Weszła do znajdującego się nieopodal kościoła.

W chłodnym wnętrzu świątyni usiadła na ławce stojącej na samym przedzie.

Pod ścianą kłęczał mężczyzna i naprawiał gipsową fugę.

Birgitta próbowała zebrać myśli.

W Hesjövallen znaleziono czerwoną wstążkę.

Leżała w śniegu.

Przez przypadek udało jej się znaleźć miejsce pochodzenia wstążki - chińską restaurację.

Dwunastego stycznia jadł

w niej pewien Chińczyk.

Noce lub tuż nad ranem następnego dnia w Hesjövallen zamordowano wiele osób.

Myślała o filmie, który podarował jej Sture Hermansson.

Czy to możliwe, by jeden mężczyzna dokonał tak potwornej zbrodni?

Może było w nią zamieszanych więcej osób, o których ona nic nie wie?

A może czerwona wstążka znalazła się w śniegu z całkiem innego powodu?

Nie umiała znaleźć odpowiedzi na żadne z pytań.

Przerwała rozmyślenia i sięgnęła po chiński katalog, znaleziony w koszu na śmieci.

Przeglądała go, coraz bardziej powątpiewając w istnienie jakiegokolwiek związku między Wangiem Min Hao i tym, co wydarzyło się w Hesjövallen.

Czy wytrawny morderca zostawiłby za sobą tak wyraźne ślady?

Światło w kościele było kiepskie i Birgitta musiała włożyć okulary, by móc przejrzeć broszurę.

Na jednej stronie znalazła zdjęcie drapacza chmur w Pekinie i zapisane obok chińskie znaki.

Na kolejnych stronach znajdowały się kolumny cyfr i fotografie uśmiechniętych Chińczyków.

Najbardziej interesowały ją znaki zanotowane atramentem na ostatniej stronie okładki.

Dzięki nim mogłaby zbliżyć się trochę do Wangia Min Hao, ponieważ najprawdopodobniej

to on był ich autorem.

Zapisał je dla pamięci?

Być może z innego powodu?

Kto mógłby jej pomóc rozszyfrować znaki?

Już w chwilę kiedy zadawała sobie w myślach to pytanie, znała odpowiedź.

Oczywiście ujrzała nagle swą odległą, czerwoną młodzież.

Wyszła z kościoła i wyjęła telefon komórkowy.

Karin Wiman, jedna z jej przyjaciółek z czasów studiów w Lund, była sinologiem i pracowała na uniwersytecie w Kopenhadze.

Nie odebrała telefonu, więc Birgitta nagrała się, prosząc, by Karindo niej oddzwoniła.

Wróciła do samochodu i pojechała do dużego hotelu w centrum miasta, w którym dostała pokój.

270

Był przestronny i znajdował się na najwyższym piętrze.

Włączyła telewizor i sprawdziła prognozę pogody w telegazecie.

W nocy miał padać śnieg.

Położyła się na łóżku i czekała.

Z jednego z sąsiednich pokoi dobiegał śmiech mężczyzny.

Obudził ją telefon.

Dzwoniła Karin, nieco zdziwiona niespodziewanym telefonem od dawnej przyjaciółki.

Wysłuchawszy wyjaśnień Birgitty, poleciła jej znaleźć faks i przesłać stronę z chińskimi znakami.

Birgitta skorzystała z pomocy w recepcji, po czym wróciła do pokoju i czekała na odpowiedź.

Za oknem zapadł zmrok.

Za moment będzie musiała zadzwonić do domu i powiedzieć, że zmieniła zdanie, pogoda okazała się zbyt zła do jazdy i musi zostać tu jeszcze jedną noc.

Karin zadzwoniła, gdy zegar wskazywał wpół do ósmej.

- Pismo jest niedbałe, ale chyba mogą odczytać znaki.

Birgitta Roślin wstrzymała oddech.

- To nazwa szpitala.

Sprawdziłam to.

Znajduje się w Pekinie.

Nazywa się Longfu.

Jest położony w samym centrum miasta, przy ulicy o nazwie Mei Shuguan Houije.

Niedaleko jest muzeum sztuki.

Jeśli chcesz, prześlę ci mapę.

- Poproszę.

-A teraz wyjaśnij mi, dlaczego chciałaś to wiedzieć.

Jestem strasznie ciekawa.

Odżyło w tobie dawne zainteresowanie Chinami?

- Być może właśnie to jest przyczyną, ale więcej opowiem ci później.

Czy możesz przesłać mapę z numerem faksu, z którego ja korzystałam?

- Będziesz ją miała za kilka minut.

Choć jak na mój gust, jesteś nieco zbyt tajemnicza.

- Okaż mi, proszę, trochę cierpliwości.

Wszystko ci opowiem.

271.

- Powinnyśmy się spotkać.

-Wiem.

Robimy to owiele za rzadko.

Birgitta zeszła do recepcji i czekała na faks.

Kartka z kopią mapy centrum Pekinu pojawiła się po paru minutach.

Karinnarysowała naniej strzałkę.

Birgitta poczuła nagły głód.

Ponieważ w hotelu nie było restauracji, poszło do pokoju po kurtkę i wyszła na zewnątrz.

Postanowiła, że mapę przestudiuje po powrocie.

W mieście było ciemno, ulicami poruszały się nieliczne samochody, mijali ją pojedynczy piesi.

Mężczyzna w recepcji polecił jej włoską restaurację w pobliżu hotelu.

Znalazła ją i zjadła kolację w opustoszałym lokalu.

Gdy ponownie wyszła na ulicę, padał śnieg.

Skierowała się z powrotem w stronę hotelu.

Nagle zatrzymała się i obejrzała.

Ogarnęło ją nieprzyjemne uczucie, że jest obserwowana.

Kiedy znów się odwróciła, nie spostrzegła nikogo.

Pośpiesznie wróciła do hotelu, zamknęła drzwi na łańcuch, po czym stanęła obok zasłony i spojrzała w dół, na ulicę.

Wyglądała tak jak wcześniej.

Nie było nikogo, tylko padający coraz gęściej śnieg.

20

Birgitta Roślin spała niespokojnie.

Wielokrotnie budziła się podchodziła do okna.

Śnieg wciąż padał.

Wiatr nawiewał pod ściany budynków duże zaspy.

Ulice były puste.

Około siódmej hałas pługów śnieżnych obudził ją na dobre.

Poprzedniego wieczoru, zanim położyła się spać, zadzwoniła do domu, żeby powiedzieć, w jakim hotelu się zatrzymała.

Staffan wysłuchał jej, sam niewiele mówiąc.

Zastanawia

272

się, pomyślała.

Jedynie, czego jest pewien, to tego, że go nie zdradzam.

Chociaż, z drugiej strony, dlaczego miałaby być tego pewien?

Czy choć przez chwilę nie przyszło mu namyśl, że znalazłam kogoś innego, kto chce zadbać o moje życie seksualne?

A może jest pewien, że nigdy nie znudzi

mnie czekanie?

Przez miniony rok zastanawiała się od czasu do czasu, czy byłaby gotowa na zbliżenie z innym mężczyzną.

Wciąż nie znała odpowiedzi na to pytanie.

Całkiem możliwe, że jedyną przyczyną było to, iż na jej drodze nie pojawił się nikt, kogo mogłaby uznać za atrakcyjnego.

Brak zdziwienia jej opóźniającym się powrotem do domu, jaki okazał Staffan, równocześnie rozżłościł ją i rozczarował.

Pewnego dnia nauczyliśmy się niegrzebać zbyt głęboko w wzajemnym życiu wewnętrznym.

Wszyscy mają potrzebę pewnej przestrzeni, do której nie powinien wchodzić nikt inny.

Nie powinno się to jednak przeradzać w obojętność wobec spraw, które zajmują drugą osobę.

Czy właśnie w tę stronę zmierzamy?

, myślała.

A może już tam jesteśmy?

Nie знаła odpowiedzi.

Czuła jednak, że nieunikniona rozmowa ze Staffanem zbliża się coraz bardziej.

W pokoju był czajnik elektryczny, zrobiła więc sobie filiżankę herbaty i usiadła na krześle z mapą, którą przysłała jej Karin Wiman.

W pomieszczeniu panował półmrok, oświetlała go jedynie lampka stojąca przy fotelu i ściszony telewizor.

Mapa była trudna do rozszyfrowania, gdyż nadesłana kopia okazała się kiepskiej jakości.

Birgitta znalazła Zakazane Miasto i plac Tiananmen.

Mapa obudziła w niej

wiele wspomnień.

Odłożyła kartkę, myśląc o swoich córkach i ich wieku.

Rozmowa z Karin przypomniła jej osobę, którą kiedyś była.

Bliską, a zarazem tak bardzo odległą, pomyślała.

Niektóre

273.

wspomnienia są bardzo wyraźne, inne coraz słabsze, bardziej rozmyte za każdym razem, gdy powracam do nich myślami.

Twarze niektórych osób, które kiedyś tak wiele znaczyły, całkowicie zatarły mi się już w pamięci.

Z kolei pewne mniej wówczas znaczące są we wspomnieniach bardzo wyraźne.

Cały czas coś się w pamięci przemieszcza, obrazy

przychodzą i odchodzą, rosną i maleją, tracą lub zyskują na znaczeniu.

Nigdy nie będę mogła zaprzeczyć, że te czasy były decydujące dla całego mojego życia.

Wśród tego, co było moim najwinnym chaosem, wytrwale wierzyłam, że droga do lepszego świata wiedzie przez wyzwolenie i solidarność.

Nigdy nie

zapomniałam uczucia uczestniczenia w świecie w czasach, kiedy zdawało się, że wszystko można zmienić.

Nigdy jednak nie zrealizowałam moich ówczesnych ideałów.

W najgorszych momentach czułam się jak zdrajczyni, również wobec mojej mamy, która zachęcała mnie do buntu.

Zarazem moje poglądy polityczne nie były, jeśli mam być szczera, niczym więcej niż pewnego rodzaju upiększaniem rzeczywistości.

Warstwa błyszczącego lakieru na Birgitcie Roślin!

Jedynie, co tak naprawdę we mnie pozostało,

to wola bycia przyzwoitym sędzią.

Temu nikt nie mógłby zaprzeczyć.

Pijąc herbatę, układała plan na następny dzień.

Miała zamiar raz jeszcze zapukać do drzwi policji i zdać relację ze swoich odkryć.

Tym razem będą zmuszeni jej wysłuchać bez lekceważenia.

Do tej pory nie osiągnęli właściwie żadnego przełomu w śledztwie.

Gdy meldowała się w recepcji hotelu, usłyszała kilku Niemców rozmawiających o tym, co wydarzyło się w Hesjówallen.

Była to sensacja również pozagranicami kraju.

Plama na honorze winnej Szwecji, pomyślała.

Masowe morderstwo nie pasuje do jej wizerunku.

Takie rzeczy dzieją się wyłącznie w USA i może od czasu do czasu w Rosji.

Dokonyują ich sadystyczni szaleńcy lub terroryści.

Nigdy wcześniej nic takiego nie wydarzyło się tutaj, w małej, spokojnej, położonej na odludziu szwedzkiej wiosce.

Spróbowała wyczuć, czy jej ciśnienie trochę się obniżyło.

Tak jej się wydawało.

Zdziwiłaby się, gdyby lekarz nie pozwolił jej wrócić do pracy.

Birgitta Roślin pomyślała o zadaniach, jakie na nią czekały, i o rozprawach sądowych, które na czas jej nieobecności przekazano kolegom.

Nagle zaczęło jej być spieszo.

Chciała pojechać do domu wrócić do swojego codziennego życia, mimo że pod wieloma względami było puste, a nawet nudne.

Nie mogła oczekiwać, że ktoś inny zmieni całą tę sytuację, jeśli ona sama nie spróbuje.

W półmroku hotelowego pokoju postanowiła, że zorganizuje duże przyjęcie na urodziny Staffana.

Nie mieli zwyczajowo wysilać się z okazji swoich świąt.

Może więc nadśledzić czas, żeby to zmienić?

Gdy nazajutrz szła do komendy policji, wciąż padał śnieg.

Temperatura spadała.

Termometr przed hotelem wskazywał minus siedem stopni.

Chodniki nie zostały jeszcze odśnieżone, szła więc ostrożnie, żeby się nie poślizgnąć.

W recepcji komendy policji było spokojnie.

Na korytarzu stał jeden policjant i czytał tablicę ogłoszeń.

Kobieta w centrali telefonicznej siedziała bez ruchu i patrzyła przed siebie nieobecny wzrokiem.

Birgitta pomyślała przez chwilę, że może Hesjövallen wraz ze wszystkimi swoimi zabitymi jest

wyłącznie straszną opowieścią, którą ktoś wymyślił.

Masowa zbrodnia nigdy się nie

275.

wydarzyła, jest jedynie fantomem, który coraz bardziej się rozmywa i miał wkrótce zniknąć.

Zadzwonił telefon.

Birgitta podeszła do okienka i czekała, aż recepcjonistka połączy rozmowę.

- Ja do pani Vivi Sundberg.

- Jest na zebraniu.

- A pan Hudden?

- Oteż.

- Wszyscy są na zebraniu?

"

- Wszyscy.

Oprócz mnie.

Jeśli to bardzo ważna sprawa,

mogę zanieść wiadomość.

Ale i tak będzie pani musiała długo czekać.

Birgitta zastanowiła się przez chwilę.

Oczywiście, że

to ważna sprawa.

To, co miała do przekazania, może być

decydujące dla śledztwa.

- Jak długo potrwa to zebranie?

- Nigdy nie wiadomo.

Po tym, co się stało, zebrania czasem trwają całymi dniami.

Recepcjonistka wpuściła policjanta studiującego tablicę ogłoszeń.

- Wydaje mi się, że wydarzyło się coś nowego - powiedziała przyciszonym głosem.

- Śledczy przyszedł rano już koło piątej.

Prokurator też.

- Co takiego się wydarzyło?

-Niewiem, ale podejrzewam, że długo pani sobie poczeka.

Proszę jednak pamiętać, że nic niepowiedziałam.

- Oczywiście.

Birgitta usiadła i zaczęła przeglądać gazetę.

Co jakiś czas przez szklane drzwi wchodzili i wychodzili policjanci.

Później pojawili się dziennikarze i ekipa telewizyjna.

Birgitta czekała tylko, aż pojawi się Lars Emanuelsson.

Zegar wskazywał kwadrans po dziewiątej.

Zamknęła oczy i oparła się o ścianę.

Wzdrygnęła się, słysząc znajomy głos.

Stała przed nią Vivi Sundberg.

Wyglądała na bardzo zmęczoną i miała cienie pod oczami.

- Chciała pani ze mną rozmawiać?

-Jeśli nie przeszkadzam.

- Przeszkadza pani.

Ale zakładam, że to ważne.

Domyśli się pani, że skoro już decydujemy się kogoś przyjąć, oczekujemy, że ma naprawdę coś ważnego do powiedzenia.

Birgitta Roślin podążyła za nią przez szklane drzwi do

biura, które akurat było puste.

- To nie jest mój gabinet - powiedziała Vivi - ale możemy

tu porozmawiać.

Birgitta usiadła na niewygodnym krześle dla interesantów.

Vivi Sundberg stała oparta o półkę zastawioną teczkami

o czerwonych grzbietach.

Birgitta już miała zacząć mówić, gdy przyszło jej na myśl, że cała ta sytuacja jest niedorzeczna.

Policjantka z góry uznała, że cokolwiek Birgitta ma do powiedzenia, nie będzie to

miało żadnego znaczenia dla śledztwa.

- Wydaje mi się, że na coś się natknęłam - oznajmiła.

- Na

pewien ślad, tak chyba można powiedzieć.

Vivi przyglądała się jej z niewzruszonym wyrazem twarzy.

Birgitta poczuła się tak, jakby rzucono jej wyzwanie.

Był w końcu sędzią wiedziała co nieco o tym, co może być cenną informacją dla policjanta prowadzącego dochodzenie

w sprawie zabójstwa.

- Możliwe, że to, co mam do powiedzenia, jest tak ważne,

że powinna pani zwołać kogoś jeszcze.

- Dlaczego miałabym to zrobić?

- Jestem o tym przekonana.

276 277.

Dzięki zdecydowanemu tonowi osiągnęła oczekiwany rezultat.

Vivi Sundberg wyszła na korytarz.

Po kilku minutach wróciła, prowadząc ze sobą kaszlącego mężczyznę, który przedstawił się jako prokurator Robertsson.

- Prowadzę postępowanie przygotowawcze.

Vivi mówi, że ma pani coś ważnego do powiedzenia.

Jest pani sędzią z Helsingborga, o ile dobrze zrozumiałem?

- Zgadza się.

- Czy prokurator Halmberg jeszcze tam pracuje?

- Przeszedł na emeryturę.

- Ale nadal mieszka w mieście?

- Chyba przeniósł się do Francji.

Antibes.

- Szczęściarz z niego.

Przepadał za dobrymi cygarami.

Ławnicy prawie mdleli w pomieszczeniach, w których przebywał podczas przerw w rozprawach.

Zatruwał ich dymem.

Gdy wprowadzono zakaz palenia, zaczął przegrywać swoją sprawę.

Mówił, że to z tęsknoty za cygarami.

- Słyszałam o tym.

Prokurator usiadł za biurkiem.

Vivi Sundberg wróciła na swoje miejsce obok półki z teczkami.

Birgitta zaczęła szczegółowo opowiadać o swoim odkryciu.

O tym, jak rozpoznała czerwoną wstążkę, znalazła miejsce, z którego pochodziła, a potem odkryła, że miasto odwiedził Chińczyk.

Wkońcupołożyła na biurku kasetę i broszurę, wyjaśniając,co oznaczają znaki napisanena ostatniejstronie okładki.

Kiedy umilkła, nikt się nie odezwał.

Robertsson przyglądał się jej baczny wzrokiem, a Vivi Sundberg wpatrywała się w swojedłonie.

Po chwili prokurator sięgnął po kasetę i wstał.

- Obejrzyjmy to.

Teraz, natychmiast.

To jakiś kompletny

obłąd.

Ale być może szalona zbrodnia wymaga szalonego wytłumaczenia.

278

Przeszli do innego pomieszczenia, w którym czarnoskóra sprzątaczkazbierała brudne kubki i papierowe torebki.

Birgitta Roślin obruszyła się, słysząc jak obcesowo Vivikazała jej wyjść.

Robertsson z pewnym trudem i pomagając sobie przekleństwami, uruchomił odtwarzacz wideo i telewizor.

Ktoś zapukał do drzwi.

Prokurator podniesionym głosem

zawołał, żeby pozostawiono ich w spokoju.

Na ekranie pojawiły się Rosjanki, po chwili zniknęły i obraz zamigotał.

Ich oczom ukazała się twarz Wanga MinHao, który spojrzał w kamerę i po kilku sekundach już go nie było.

Robertsson cofnął kasetę i zatrzymał obraz w momencie, w którym Wang patrzył w obiektyw.

Vivi Sundberg również okazała zainteresowanie.

Zasunęła zasłony w najbliższym oknie.

Obraz stał się wyraźniejszy.

- Wang MinHao - powiedziała Birgitta.

- Zakładając, że

tojego prawdziwe nazwisko.

Pojawia się w Hudikvall znikąd,12 stycznia.

Nocuje w małym hotelu, zabrawszy wcześniejwstążkę z lampy w chińskiej restauracji.

Ta wstążka zostajepóźniej znaleziona na miejscu zbrodni wHesjövallen.

Niewiem, skąd przybył i dokąd się potemudał.

Robertsson przez chwilę stał pochylony nad telewizorem,po czym usiadł za biurkiem.

Vivi otworzyła butelkęwody

mineralnej Ramlósa.

- Dziwne -powiedział Robertsson.

- Zakładam, żeupewniła się pani, że wstążka rzeczywiściepochodzi z tej restauracji.

- Porównałam je.

-Co tu się dzieje?

- odezwała się gwałtownie Vivi.

-Prowadzi panirównoległe,prywatne śledztwo?

- Nie chciałam przeszkadzać - odparła Birgitta.

- Wiem,że mają państwo mnóstwo pracy.

Iprawie niewykonalne

279.

zadanie do wykonania.

To gorsze niż sprawa tego szaleńca, który zastrzelił mnóstwo ludzi na parowcu na jeziorze Malaren w 1900 roku.

- John Filip Nordlund.

- Robertsson się ożywił.

- Najgorszy przestępca tamtych czasów.

Wyglądał jak jeden z naszych dzisiejszych młodych chuliganów z ogoloną głową.

17 maja 1900 roku zabił pięć osób na pokładzie statku z Arboga do Sztokholmu.

Został ścięty.

To raczej nie grozi naszym dzisiejszym przestępcom, jak również człowiekowi, który dokonał zbrodni w Hesjövallen.

Vivi Sundberg raczej nie była pod wrażeniem wiedzy historycznej Robertssona.

Wyszła na korytarz.

- Poprosiłam o sprowadzenie tu lampy z tej knajpy - zakomunikowała, gdy znów pojawiła się w pokoju.

- Otwierają dopiero o jedenastej - powiedziała Birgitta Roślin.

- To małe miasto - odparła Vivi Sundberg.

- Sprowadzimy właściciela, żeby otworzył.

- Tylko zadbaj o to, żeby nie dowiedziało się tym dziennikarska hałastrą - ostrzegł ją Robertsson.

- Jakiemieliśmy wtedy nagłówki?

"Chińczyk sprawcą masakry w Hesjövallen?"

"Poszukiwany skończył szaleniec".

- To raczej mało prawdopodobne po naszej popołudniowej konferencji prasowej - powiedziała Vivi.

Zatem dziewczyna w recepcji miała rację, gorączkowo myślała Birgitta.

Wydarzyło się coś, co mają zamiar ogłosić.

To dlatego są tak umiarkowanie zainteresowani.

Robertsson zaczął kaszleć tak gwałtownie, że aż poczerwieniał.

- Papierosy - powiedział.

- Wypaliłem tyle papierosów, że gdyby je ułożył jeden obok drugiego, odpowiadałyby odległości z centrum Sztokholmu do południowych granic

280

Sódertalje.

Filtr miał dopiero od okolic Botkyrka.

Ale to chyba nie polepszyło sprawy.

- Podsumujmy to wszystko - przerwała mu Vivi, siadająca krześle.

- Zrobiła tu pani niezłezamieszanie iniektórych

z nas nieźle zirytowała.

Teraz wspomniami pamiętniki, pomyślała Birgitta.

Tendzień skończy się tym, że Robertsson postawi mi jakieś zarzuty.

Zapewne nie oskarży mnie o utrudnianie śledztwa, ale są inne paragrafy, na które może się powołać.

Vivi jednak nic nie powiedziała o pamiętnikach i Birgitta Roślin poczuła przez chwilę łączącą je nić porozumienia, pomimo nieprzyjemnego zachowania policjantki.

To, co się wydarzyło, było najwyraźniej czymś, o czym jej kaszlący

koleganie musiał wiedzieć.

- Oczywiście przyjrzymy się temu - powiedział Robertsson.

- Pracujemy bez przyjętych z góry założeń i badamy każdy ślad.

Nie mamy jednak nic innego, co wskazywałoby na to, że w sprawę zamieszany jest Chińczyk.

- A narzędzie zbrodni?

- zapytała Birgitta.

- Zostało znalezione?

Nie odpowiedział ani Robertsson, ani Vivi Sundberg.

Znaleźli je, pomyślała Birgitta.

To właśnie mają zamiarogłosićpo południu.

Jasne, że o to właśnie chodzi.

- Nie możemytego teraz komentować - odezwał się Robertsson.

- Poczekajmy natę lampę i porównajmy wstążki.

Jeśli będą takie same, tenmaterial zostanie włączony do aktśledztwa.

Kaseta oczywiście zostaje u nas.

Przysunął do siebie notatniki zaczął w nim pisać.

- Kto bezpośrednio zetknął się z tymChińczykiem?

-Kelnerka w restauracji.

- Często tam jadam.

Ta młoda czy stara?

A może ten zrzędlivy ojciec, który siedzi w kuchni?

Ten z brodawką na czole?

281.

- Ta młoda.

- Czasem udaje przesadnie skromną i nieśmiałą, a czasem zachowuje się jak flirtująca.

Myślę, że strasznie się tam nudzi.

Ktoś jeszcze?

- Ktoś jeszcze co?

Robertsson westchnął niecierpliwionym.

- Droga koleżanko.

Wszystkich nas pani zaskoczyła tym Chińczykiem, którego wystraszyła pani z rękawa.

Kto jeszcze się z nim spotkał?

Moje pytanie nie może być prostsze.

- Bratanek właściciela hotelu.

Nie wiem, jak się nazywa, ale Sture Hermansson powiedział, że jest teraz w Arktyce.

- Wygląda na to, że nasze śledztwo zaczniesz obejmować ogromny obszar geograficzny, że się tak wyrażę.

Najpierw pojawi się pani z tym Chińczykiem, a teraz jeden ze świadków przebywa w Arktyce.

O sprawie pisały "Time" i "Newsweek", dzwonili do mnie z "Guardiana" z Londynu, a nawet "Los Angeles Times".

Czy ktoś jeszcze spotkał tego Chińczyka?

Miejmy nadzieję, że nie jest to ktoś, kto znajduje się obecnie na pustyni w Australii.

- Jest jeszcze sprzątaczką w hotelu.

Rosjanka.

- No proszę, anie mówiłem?

- odpowiedział z triumfem Robertsson.

- Teraz mamy i Rosję.

Jak ona się nazywa?

- Nazywają ją Natasza.

Ale Sture Hermansson mówi, że nazywa się inaczej.

- Pewnie przebywa tu nielegalnie - odezwała się Vivi Sundberg.

- Zdarza się, że znajdujemy w mieście pracujących na czarno Rosjan i Polaków.

- Teraz to niema znaczenia - przerwał jej Robertsson.

- Czy widział ktoś jeszcze?

- Nie wiem o nikim więcej - odparła Birgitta.

- Ale musiał

tutaj coś dotrzeć, a potem odjechać.

Autobusem?

Taksówką?

Ktoś chyba musiał go zauważyć?

282

- Dowiemy się - powiedział Robertsson, odkładając długopis.

- O ile to okaże się istotne.

W co nie wierzysz, pomyślała Birgitta.

Na jakikolwiek ślad natrafiliście, uważacie, że jest ważniejszy.

Vivi Sundberg i Robertsson opuścili pokój.

Birgitta poczuła nagłe zmęczenie.

Prawdopodobieństwo, że jej odkrycia będą miały coś wspólnego ze sprawą, było rzecz jasna bardzo niskie.

Sama wiedziała z doświadczenia, że zaskakujące fakty wskazujące w pewnym konkretnym kierunku często prowadziły na zły trop.

Czekając, coraz bardziej niecierpliwie, spacerowała tam z powrotem po pokoju.

Prokuratorzy w typie Robertsson byli obecni w jej życiu zawodowym od zawsze.

Policjantki często zeznawały w jej salach sądowych w roli świadków, choć żadna z nich nie miała chyba takich rudych włosów jak Vivi Sundberg.

Mówiły jednak tak samo powoli i zazwyczaj też miały nadwagę.

Ich cyniczny żargon był wszędzie taki sam.

Również wśród sędziów rozmowy na temat sprawców bywały strasznie ordynarne i lekceważące.

Po jakimś czasie wróciła Vivi Sundberg, a zaraz po niej Robertsson w towarzystwie Tobiasa Ludwiga.

Przyniósł foliową torebkę z czerwoną wstążką, Vivi zaś papierową lampę z chińskiej restauracji.

Wyłożyli na stół wstążki i zaczęli je porównywać.

Nikt nie miał wątpliwości, że stanowią komplet.

Po chwili wszyscy usiedli wokół stołu, a Robertsson szybko streszczył opowieść Birgitty.

Zauważyła, że prokurator umiejętnie stosuje efektowne pauzy.

Nikt ze zgromadzonych nie miał żadnych pytań.

Jedynym, który zabrał głos, był Tobias Ludwig.

- Czy to coś zmienia w związku z konferencją, którą zaplanowaliśmy na dzisiaj po południe?

283.

- Nie - odpowiedział Robertsson.

- Zajmiemy się tym, ale w swoim czasie.

Robertsson zakończył spotkanie i pożegnał się uściskiem dłoni.

Wstając z krzesła, Birgitta zauważyła, że Vivi Sundberg

wpatrujesię w nią, najwyraźniej dając jej znak, by jeszcze nie wychodziła.

Gdy została sama, Vivi Sundberg zamknęła drzwi i od razu przeszła do rzeczy.

- Dziwi mnie, że dalej uparcie miesza się pani w sprawę tego śledztwa.

Owszem, odkrycie miejsca pochodzenia wstążki jest niezwykle.

Zbadamy ten trop, ale chyba zdążyła już pani zauważyć, że mamy teraz inne priorytety.

- Macie jakiś inny trop?

- Opowiem o tym po południu na konferencji prasowej.

- Ale mnie chyba może pani powiedzieć coś już teraz?

Vivi Sundberg przecząco pokręciła głową.

- Absolutnie nic?

- Nic.

- Macie podejrzanego?

- Tak, jak powiedziałam, wszystko ogłosimy na konferencji.

Poprosiłam panią o pozostanie z całkiem innego powodu.

Vivi wstała i wyszła z pokoju.

Po chwili wróciła, niosąc

pamiętniki, do których zwrócenia musiała Birgittę kilka dni

wcześniej.

- Przejrzeliśmy je - powiedziała.

- Doszłam do wniosku, że nie mają znaczenia dla śledztwa.

Pomyślałam więc, że będę miała i pozwolę pani je wypożyczyć.

Za pokwitowaniami pod warunkiem że odda je pani, kiedy o to poprosimy.

Birgitta zastanawiała się gorączkowo, czy przypadkiem nie wchodzi w jakąś pułapkę.

To, co w tej chwili robiła Vivi Sundberg, było z pewnością zabronione, choć nie stanowiło

284

przestępstwa.

Birgitta Roślin nie miała nic wspólnego z dochodzeniem wstępnym.

Co może się zdarzyć, jeśli przyjmie pamiętniki?

Vivi Sundberg zauważyła jej wahanie.

- Rozmawiałam z Robertssonem - uspokoiła ją.

- Zależymy tylko na tym, żebyśmy miały pokwitowanie.

- Zdążyłam w tych pamiętnikach znaleźć wzmianki o Chińczykach pracujących przy budowie kolei w USA.

- W latach sześćdziesiątych XIX wieku?

To prawie sto pięćdziesiąt lat temu.

Vivi położyła pamiętniki na stole wraz z plastikową torebką.

Wyjęła z kieszeni pokwitowanie, które Birgitta podpisała.

Policjantka odprowadziła ją do recepcji.

Zanim rozstały się przy szklanych drzwiach, Birgitta zapytała, o której odbędzie się konferencja prasowa.

- O drugiej.

Zacztery godziny.

Jeśli ma pani legitymację prasową, może pani wejść.

Wielu chce w tym uczestniczyć, a my nie mamy lokalu, który mógłby pomieścić cały tłum.

To zbyt wielka zbrodnia na tak małe miasto.

- Mam nadzieję, że nastąpi jakiś przełom.

Vivi zastanawiała się przez chwilę, po czym odpowiedziała:

- Tak.

Myślę, że uda nam się rozwiązać zagadkę tej potwornej masakry.

- W zadumie kiwnęła głową, jakby potwierdzając swoje własne słowa.

-Wiemy już, że wszyscy we wsi byli z sobą spokrewnieni - ciągnęła.

- Wszyscy zabici.

- Wszyscy poza chłopcem?

- Nawet on.

Ale przebywałam z wizytą.

Birgitta opuszczała budynek komendy policji, intensywnie myśląc o tym, co zostanie zaprezentowane podczas konferencji prasowej, która miała odbyć się za kilka godzin.

285.

W pewnej chwili na pokrytym śniegiem, wciąż niezamiecionym chodniku dogonił ją jakiś mężczyzna.

Był to Lars Emanuelsson.

Uśmiechał się.

Birgitta poczuła nagłą chęć, by go uderzyć.

Równocześnie była pełna podziwu dla jego poru.

- Znów się spotykamy - powiedział.

- Wciąż odwiedza pani komendę policji.

Sędzia z Helsingborga niestrudzenie pojawia się na obrzeżach śledztwa.

Chyba rozumie pani, że wzbudza to moją ciekawość?

- Niech pan zadaje pytania policji, nie mnie.

Lars Emanuelsson spoważniał.

- Może pani być pewna, że to robię.

Wciąż jednak nie otrzymuję żadnych odpowiedzi.

W pewnym momencie się denerwuję i będę zmuszony spekulować.

Co sędzia z Helsingborga robi w Hudiksvall?

W jaki sposób jest zamieszana w potworności, które się tu wydarzyły?

- Nie mam nic do powiedzenia.

- Proszę mi tylko wytłumaczyć, dlaczego jest pani tak nie miła i odpychająca.

- Ponieważ nie chce pan mnie zostawić w spokoju.

Emanuelsson skinieniem głowy wskazał plastikową torbę.

- Widziałem, że wchodziła pani do komendy z pustymi rękami, a teraz wychodzi pani z ciężką plastikową torbą.

Czy jest?

Jakieś papiery?

Teczki?

Coś innego?

- Nic, co mogłoby pana obchodzić.

-Proszę nigdy nieodpowiadać w ten sposób dziennikarzowi.

Wszystko mnie obchodzi.

To, co jest w tej torbie, to, czego w niej nie ma, oraz to, czemu nie chce mi pani odpowiedzieć.

Birgitta ruszyła przed siebie.

Nagle poślizgnęła się i upadła.

Jeden ze starych pamiętników wysunął się z reklamówki.

286

Lars Emanuelsson już po niego sięgał, ale zdążyła odepchnąć jego dłoń, równocześnie chowając pamiętnik do torby.

Gdy odchodziła, była czerwona z wściekłości.

- Stare książki!

- zawołał za nią Lars Emanuelsson.

-Wcześniej czy później dowiem się, o co w tym chodzi.

Otrzeptała się ze śniegu dopiero, kiedy dotarła do samochodu.

Włączyła silnik i podkręciła ogrzewanie.

Wyjechawszy na główną drogę, powoli zaczęła się uspokajać.

Wyparłamyśli o Larsie Emanuelssonie i Vivi Sundberg.

Jadąc bocznymi drogami, dotarła do Borlänge, gdzie zatrzymała się, by coś zjeść.

Na parking przed Ludvika skręciła, gdy zbliżała się godzina druga.

Serwis informacyjny w radiu trwał krótko.

Konferencja prasowa dopiero się rozpoczęła.

Poinformowano, że policjama podejrzanego o dokonanie zbrodni w Hesjövallen.

Więcej informacji powiedziano w kolejnym ser

wisie.

Birgitta ruszyła dalej i godzinę później ponownie się zatrzymała.

Ostrożnie skręciła w leśną drogę, bojąc się trochę, że samochód utknie w śniegu.

Zatrzymała się i włączyła radio.

Najpierw usłyszała głos prokuratora Robertssona.

Policja ma podejrzanego, który jest obecnie przesłuchiwany.

Zdaniem Robertssona nakaz aresztowania miał zostać wydany tego samego dnia po południu lub wieczorem.

Nie chciał powiedzieć nic więcej.

Kiedy umilkł, w radiu rozległo się gwałtowne szemranie zgromadzonych na konferencji prasowej dziennikarzy.

Prokurator nie powiedział jednak nic więcej.

Po wysłuchaniu transmisji Birgitta Roślin wyłączyła radio.

Zezwisających obok samochodu gałęzi spadło kilka czap śniegu.

Odpięła pas i wysiadła.

Zadrżała z zimna, czując, że zrobiło się jeszcze chłodniej.

Co właściwie powiedział

287.

Robertsson?

Mają podejrzanego, poza tym właściwie nic.

Jego głos brzmiał jednaktak, jakby był pewien sukcesu, takiesamo zresztą wrażenie sprawiała Vivi Sundberg, gdy mówiłao przełomie w śledztwie.

Nie ma żadnego Chińczyka, pomyślała nagle Birgitta.

Fakt, że pojawił się znikąd i zabrał ze sobą czerwonąwstążkęz restauracji, nie miał nic wspólnego z tą sprawą.

Prędzejczy później znajdzie się jakieślogiczne wytłumaczeniejegowizyty.

Albo i nie.

Wiedziała, że doświadczeni policjanci kryminalni zawsze mówią o różnych śladach, którew skomplikowanych śledztwach sprawie zabójstw nigdy nie znajdująpotwierdzenia.

Rzadko udawało się wytłumaczyć racjonalniewszystkie zdarzenia.

Postanowiła, żezapomni o swoim Chińczyku.

Był tylkocieniem, któryniepokoił ją przez kilka ostatnich dni.

Włączyła silnik i ruszyła, zapominając o kolejnym serwisieinformacyjnym.

Na noc zatrzymała się w Örebro.

Torbęz pamiętnikamizostawiła w samochodzie.

Zanim zasnęła, przez moment poczuła przejmującą tęsknotę za bliskością ciała drugiego człowieka.

Ciała Staffana.

Ale nie było go przyniej.

Z trudem przypomniała sobiejego dłonie.

Następnego dnia około godziny trzeciej po południu dotarła do Helsingborga.

Reklamówkę z pamiętnikami zaniósłado swojego gabinetu.

Wówczas wiedziała już, że prokurator Robertsson aresztowałmężczyznę około czterdziestki, którego nazwiska narazie nie ujawniono.

Udzielone przez policję informacje były skąpe.

Media szalały ze złości, nie mogąc uzyskać bardziej szczegółowych wyjaśnień.

288

Nikt nie wiedział, kim jest aresztowany.

Wszyscy czekali.

21

Wieczorem Birgitta wraz z mężem obejrzała wiadomości telewizyjne.

Prokurator Robertsson opowiadał o przełomie śledztwie.

W tle widać było Vivi Sundberg.

Konferencja prasowa była chaotyczna, a Tobias Ludwig nie umiał opanować dziennikarzy, którzy niemal wyrócili podium, gdzie stał Robertsson.

On jeden zachował spokój i stojąc przed kamerą, udzielił osobnego wywiadu.

Czterdziestopięcioletni mężczyzna został aresztowany w swoim domu pod Hudiksvall.

Akcja przebiegła spokojnie, jednak ze względów bezpieczeństwa wezwano posiłki.

Mężczyznę zatrzymano pod zarzutem uczestniczenia w zabójstwie w Hesjövallen.

Przez wzgląd na dobro śledztwa Robertsson nie chciał zdradzić

tożsamości zatrzymanego.

- Dlaczego nie chce podać jego nazwiska?

- dziwił się

Staffan.

- Mogłoby w ten sposób ostrzec innych sprawców lub niszczyć jakieś dowody - wyjaśniła Birgitta, uciszając go.

- Istnieją wiele powodów, dla których prokurator zataja tożsamość oskarżonego.

Robertsson nie podał żadnych szczegółów poza tym, że przełomu w śledztwie dokonano dzięki wielu informacjom, które policja uzyskała od ludzi z zewnątrz.

W tej chwili trwa zabezpieczanie śladów.

Odbyło się już pierwsze przesłuchanie zatrzymanego.

Dziennikarz naciskał na prokuratora, zadając mu szczegółowe pytania.

289.

- Czy zatrzymany przyznał się do winy?

-Nie.

- Czy przyznał się do czegokolwiek związanego z tą sprawą?

-Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie.

- Dlaczego nie?

Ponieważ śledztwo jest w tej chwili na rozstrzygającym etapie.

- Czy był zdziwiony, kiedy go aresztowano?

-Bez komentarza.

- Czy ma rodzinę?

-Bez komentarza.

- Ale mieszka pod Hudiksvall?

-Tak.

- Czym się zajmuje?

-Bez komentarza.

- Co łączy go z ofiarami morderstwa?

-Chyba rozumie pan, że nie mogę tego skomentować.

- Pan natomiast musi zrozumieć, że nasi widzowie interesują się tym, co się wydarzyło.

To prawie najgorsze zbrodnie, jakie dokonano w Szwecji.

Robertsson uniósł brwi ze zdziwienia.

- A która była gorsza?

-Krwawa łaźnia sztokholmska.

Zaskoczony Robertsson wybuchnął śmiechem.

Birgitta Röslin westchnęła, zniecierpliwiona uporem dziennikarza.

- Raczej nie da się ich porównać - powiedział Robertsson.

-Ale nie zamierzam się z panem spierać.

- Co będzie teraz?

-Zatrzymano zostanie ponownie przesłuchany.

- Czy ma obrońcę?

290

- Poprosił o Tomasa Bodstróma, ale tak się raczej nie stanie.

- Czy jest pan pewien, że zatrzymano właściwą osobę?

-Jest za wcześnie, żebym mógł odpowiedzieć na to pytanie.

W tej chwili jestem zadowolony z aresztowania tego mężczyzny.

Gdy wywiad dobiegł końca, Birgitta Roślin ściszyła dźwięk telewizora.

Staffan przyglądał się jej.

- Co pani sędzia na to wszystko powie?

-Muszą coś na niego mieć, inaczej nigdy nie dostaliby nakazu aresztowania.

Na pewno jest jakieś uzasadnienie.

Albo Robertsson jest ostrożny, albo po prostu nie ma nic więcej.

- Jeden mężczyzna mógłby zrobić to wszystko?

-To, że on jeden został aresztowany, nie musi oznaczać, że działał w pojedynkę.

- Czy to może być coś więcej niż działanie szaleńca?

Birgitta siedziała chwilę w milczeniu.

- Czy działanie szaleńca może zostać dobrze zaplanowane?

- powiedziała wreszcie.

-Twoje przypuszczenia są tylosamo warte, ile moje.

- A zatem musimy zaczekaćna ciąg dalszy.

Wypili herbatę iwczesnie położyli się spać.

Staffanwyciągnął dłoń idotknął policzka Birgitty.

- O czym myślisz?

- zapytał.

- O tym, że w Szwecji jest ogromnie dużolasów.

-Myślałem, że miałaś ochotęuciec od wszystkiego.

- Od czego?

Od ciebie?

- Ode mnie.

I odropraw.

Taki mały bunt wiekuśredniego.

Birgitta przysunęła się do niego.

291.

- Czasem myślę sobie: Czy to już wszystko?

To niesprawiedliwe, wiem.

Ty, dzieci, moja praca, czego można chcieć więcej?

Ale te inne rzeczy, te, o których myśleliśmy, kiedy byliśmy młodzi.

Żeby nie tylko rozumieć świat, ale także go

zmieniać.

Rozglądając się dokoła, można stwierdzić tylko, że stał się gorszy.

- Nie do końca.

Mniej palimy, mamy komputery i telefony komórkowe.

- Dla mnie wszystko wygląda tak, jakby cały świat miał zaraz zwietrzeć i się rozkruszyć.

A jeśli chodzi o zachowanie praworządności, nasze sądy zwyczajnie nie dają sobie rady.

- Czy właśnie o tym myślałaś tam na górze, w Norrlandii?

- Być może.

Trochę jestem przygnębiona.

Ale może czasem trzeba być przygnębionym.

Leżeli w milczeniu.

Czekała, aż Staffan się doniej odwróci, on jednak tego nie zrobił.

Jeszcze nam do tego daleko, pomyślała rozczarowana, niemogąc równocześnie zrozumieć, dlaczego sama nie jest w stanie zrobić tego, na co on nie mógł się zdobyć.

- Powinniśmy dokądś wyjechać - powiedział po chwili.

- Niektóre rozmowy lepiej jest przeprowadzać za dnia, a nie tuż przed zaśnięciem.

- Może powinniśmy odbyć jakąś pielgrzymkę?

- zaproponowała.

- Pójść do Santiago de Compostela, zrobić to, co nakazuje tradycja.

Napakać kamieni do plecaków, jeden kamień odpowiadałby jednemu dręczącemu nas problemowi.

Jeśli po drodze znajdziemy dla niektórych rozwiązanie, zostawimy kamienie przy drodze.

- Mówisz poważnie?

- Oczywiście.

Nie wiem tylko, czy moje kolana to wytrzymają.

292

- Od dźwigania ciężarów robią się ostrogi.

- O czym ty mówisz?

- To jakieś schorzenie pięt.

Mam znajomego, który się tego nabawił.

Turę, ten weterynarz.

Bardzo mu to dokuczało.

- Powinniśmy zostać pielgrzymami - mamrotała pod nosem.

- Ale nie teraz.

Najpierw muszę się wyspać.

I ty też.

Następnego dnia Birgitta skontaktowała się ze swoim lekarzem i potwierdziła termin wizyty kontrolnej, na którą miała się stawić za pięć dni.

Posprzątała cały dom, rzucając tylko jedno spojrzenie na reklamówkę z pamiątkami.

Telefonicznie ustaliła też z dziećmi szczegóły przyjęcia niespodzianki urodziny Staffana.

Dzieci uznały to za dobry pomysł, więc Birgitta obdzwoniła wszystkich przyjaciół, żeby ich zaprosić.

Od czasu do czasu włączała radio i słuchała wiadomości z Hudiksvall.

Informacje udzielane przez komendę policji

wciąż były skąpe.

Dopiero późnym popołudniem zasiadła za biurkiem i niechętnie sięgnęła po pamiątki.

Teraz, gdy został już aresztowany mężczyzna podejrzany o dokonanie tych zabójstw, poczuła, że jej prowizoryczne teorie straciły swoje znaczenie.

Przekartkowała jeden z pamiętników, by znaleźć miejsce, w którym przerwała lekturę.

Nagle zadzwonił telefon.

Był to Karin Wiman.

- Chciałam się tylko upewnić, że bezpiecznie dotarłaś do domu.

- Szwedzkie lasy nie mają końca.

Dziwię się, że na ludziach, którzy mieszkają na górze, w ciemnościach, nie rosną igły.

Boję się drzewiastych.

Wprawiają mnie przygnębienie.

- A liściaste?

- To już lepiej, ale w tej chwili najbardziej potrzebna mi jest otwarta przestrzeń, morze i horyzont.

- Przyjedź do mnie.

Przejeźdź przez most.

Twój telefon sprawił, że zaczęłam wspominać.

Starzejemy się.

W pewnej chwili starzy przyjaciele stają się klejnotami, których trzeba strzec.

Odziedziczyłam kilka starych szklanych wazonów po mamie.

To kosztowności z Orrefors.

Ale cóż one znaczą w porównaniu z przyjaciółmi?

Birgitcie spodobał się pomysł Karin.

Również ona dużo myślała o rozmowie telefonicznej z dawną przyjaciółką.

- Kiedy masz czas?

Ja jestem na zwolnieniu z powodu złych wyników badania krwi itp.

, przede wszystkim zbyt wysokiego ciśnienia.

- Dziś nie, ale może jutro?

- Nie uczysz już?

- Coraz więcej pracuję naukowo.

Kocham moich studentów, ale bardzo mnie już męczą.

Interesują się Chinami wyłącznie dlatego, że mają nadzieję się tam wzbogacić.

Chiną naszym dzisiejszym Klondike.

Mało kto stara się zdobyć prawdziwie głęboką wiedzę na temat Państwa Środka i jego niemal niewyobrażalnie dramatycznej przeszłości.

Birgitta pomyślała o leżącym przed nią pamiętniku.

Również w nim międzywierszami znajdowało się Klondike.

- Możesz się u mnie zatrzymać - zaproponowała Karin.

- Moich synów prawie nigdy nie ma w domu.

- A twój mąż?

-Przecież nie żyje.

Birgitta miała ochotę ugryźć się język.

Zupełnie o tym zapomniała.

Karin Wiman była wdową od prawie dziesięciu lat.

Jej mąż, piękny młodzieniec z Aarhus, który został lekarzem, zmarł na postępującą w zastraszającym tempie białaczkę, tuż po czterdziestce.

- Tak mi wstyd.

Wybacz mi.

- Nic nie szkodzi.

Przyjedziesz?

294

- Jutro.

I chcę rozmawiać o Chinach.

Otych starych i tych

nowych.

Ustaliły godzinę przyjazdu Birgitty, po czym Karin podała

jej adres.

Zapisując go, Birgitta myślała z radością o rychłym spotkaniu z dawną przyjaciółką.

Kiedyś były sobie bardzo bliskie.

Z czasem ich drogi się rozeszły, spotkania i rozmowy telefoniczne stawały się coraz rzadsze.

Birgitta towarzyszyła Karin, kiedy ta robiła doktorat, i była nawet obecna na jego obronie na uniwersytecie w Kopenhadze.

Karin jednak nigdy nie była na sali sądowej podczas rozprawy, której przewodniczyła Birgitta.

Birgitta była przerażona swoim zapominalstwem.

Skąd to rozkojarzenie?

Przez wszystkie lata pracy sędziego trenowała pamięć, koncentrując się na zeznaniach świadków i oskarżonych oraz mowach końcowych prokuratorów.

A teraz nie pamiętała nawet, że mąż Karin nie żyje od dziesięciu lat!

Wzdrygnęła się i chcąc odegnąć przykre myśli, zaczęła czytać pamiętnik.

Powoli odpłynęła, pozostawiając za sobą zimową aurę Helsingborga i przenosząc się na pustynię Nevady, gdzie mężczyźni w miękkich kapeluszach lub z głowami owiniętymi chustami metr po metrze z największym wysiłkiem budowali kolej, podążając na wschód.

JA w swoich notatkach wciąż wyrażała się źle o ludziach, z którymi pracował i których nadzorował.

Irlandczycy byli leniwi i pili, nieliczni czarni mężczyźni zatrudnieni przez kolej byli silni, ale nieskorzy do wysiłku.

JA tęsknił za niewolnikami z wysp karaibskich lub południa Ameryki, o których słyszał opowieści.

Tylko ciężki skłaniały tych silnych mężczyzn do wzmożonej pracy.

Marzył o tym, by móc ich chłostać jak osły lub muły.

Birgitcie trudno jednak było ustalić, które rasy robotników JA darzył największą niechęcią.

Być może Indian, rdzennych mieszkańców Ameryki.

Ich niechęć

do pracy i przebiegłość nie miały sobie równych wśród tych wyrzutków, których JA musiał kopać i bić, żeby kolej mogła posuwać się dalej.

Co jakiś czas wracał też do Chińczyków, których najchętniej wysłałby na Pacyfik, żeby wybrali, czy chcą utonąć, czy popłynąć z powrotem do Chin.

Nie przeczył jednak, że Chińczycy byli dobrymi robotnikami.

Nie pili bimbru, myli się i przestrzegali obowiązujących zasad.

Ich jedyną słabością było zamiłowanie do gier i dziwnych ceremonii religijnych.

JA wciąż próbował umotywić swoją niechęć do tych ludzi, którzy ułatwiali mu pracę.

Z kilku trudnych do odcyfrowania linijek tekstu Birgitta udało się odczytać, że harujący ponad siły Chińczycy są stworzeni właśnie do tego i niczego innego.

Osiągnęli najwyższy poziom, na który jako naród mogli się wspiąć.

Ludźmi, których JA stawiał w swojej hierarchii najwyżej, byli Skandynawowie.

Przy budowie kolei pracowała jedyna mała nordycka kolonia z kilkoma Duńczykami, nieco licześniejszymi Norwegami i sporą grupą Szwedów i Finów.

Polegam na tych mężczyznach.

Nie oszukuj mnie, jeśli tylko mam ich na oku.

Poza tym nie lękaj się ciężkiej pracy.

Lecz kiedy tylko obrócę się do nich plecami, zamieniają się w taką samą hołotę jak cała reszta.

Birgitta Roślin zamknęła pamiętniki podniosła się z krzesła.

Kimkolwiek bytten brygadzysta, stawał się dla niej coraz bardziej odrażający.

Prosty człowiek, który przedostał się do Ameryki, gdzie niespodziewanie zdobył władzę nad innymi ludźmi.

Brutalny mężczyzna, który stał się małym tyranem.

Birgitta założyła płaszcz i poszła na długi spacer, chcąc uwolnić się od nieprzyjemnych myśli.

Gdy włączyła radio w kuchni, zegar wskazywał szóstą.

Napoczątku serwisu informacyjnego rozległ się głos Roberts 296

sona.

Birgitta stała bezruchu i słuchała.

W tle słyhać było trzaskanie fleszy i szuraniekrzesel.

Podobnie jak poprzednio, Robertssonwypowiadał sięjasno i zwięźle.

Mężczyzna aresztowany poprzedniegodnia przyznał się do winy.

Zeznał, że sam dokonał zbrodniw Hesjóvallen.

O jedenastej przed południem poprosił przezswojego obrońcę o rozmowę z policjantką, która pierwszago przesłuchiwała.

Zażądał również obecności prokuratora.

Potem przyznał się do czynów, o których popełnieniebył podejrzany.

Motywy jego działania miała być chęćzemsty.

Zanim zostaną wyjaśnione wszystkie okoliczności zdarzenia, mężczyzna zostanie jeszcze kilkakrotnie przesłuchany.

Robertsson zakończył swoją wypowiedź tym, na co wszyscy czekali.

- Zatrzymany mężczyzna to Lars-Erik Valfridsson.

Jest

kawalerem zatrudnionymw firmie wykonującej prace pirotechniczne i roboty ziemne, wielokrotnie był już karany za

pobicia.

Zamigotały flesze aparatów fotograficznych.

Robertsson

próbował odpowiadać na pytania, które, trudniedo wychycenia, dochodziły go z tłumu przekrzykujących się dziennikarzy.

Po chwili głos prokuratora ucichł i jego miejscezajęła relacjonująca sprawę reporterka, streszczając wszystkiewydarzenia, które miały miejsce od dnia odkrycia makabrycznej zbrodni w Hesjóvallen.

Birgitta, wciąż słuchającradia, zaczęła czytać wiadomości w telegazecie.

Nie znalazłw nich nic ponad to, co w serwisieradiowym powiedział Robertsson.

Wyłączywszy radio i telewizor, usiadła na kanapie.

Ustyszała w głosie prokuratora przekonanie, że policji udało się aresztować prawdziwego sprawcę zabójstw.

Słyszała już w swoim życiu tak wielu prokuratorów, że mogła pozwolić

297.

sobie na tego typu wnioski.

Robertsson był pewien, że marację.

Poza tym dobrzy prokuratorzy nigdy nie budują swoich osądów na przypuszczeniach, tylko na faktach.

Było właściwie za wcześnie nawyciąganie wniosków, ale Birgitta postanowiła to uczynić.

Aresztowany mężczyzna był Chińczykiem.

Jej odkrycia zaczęły powoli tracić znaczenie.

Poszła do gabinetu i włożyła pamiętniki z powrotem do plastikowej torby.

Nie miała już żadnego powodu, by studiować ponadstuletnie pamiętniki antypatycznego, wrogiego ludziom rasisty.

Wieczorem zjadła późny obiad ze Staffanem.

O tym, co się stało w ciągu dnia, zamienili tylko parę słów.

Nawet wieczorne gazety, które Staffan przyniósł z pociągu, nie informowały niczym ponad to, co już wcześniej usłyszała.

Na jednym ze zdjęć dostrzegła Larsa Emanuelsson z ręką uniesioną naznak, że chce zadać pytanie.

Wzdrygnęła się namyśl o spotkaniu z nim.

Powiedziała Staffanowi o zaplanowanych na następny dzień odwiedzinach u Karin Wiman.

Staffan znał zarówno ją, jak i jej nieżyjącego już męża.

- Jedź - powiedział.

- Dobrze ci to zrobi.

Kiedy masz następną wizytę u lekarza?

- Za kilka dni.

Na pewno powie, że jestem już zdrowa.

Nazajutrz, gdy Staffan wyszedł już do pociągu, a Birgitta

zajęta była pakowaniem walizki, zadzwonił telefon.

Był to

Lars Emanuelsson.

Birgitta zamarła.

- Czego pan chce?

I jak udało się panu dostać mój numer telefonu?

Jest zastrzeżony.

Lars Emanuelsson zachichotał.

- Dziennikarz, który nie potrafi zdobyć numeru telefonu, nieważne, jak bardzo byłby zastrzeżony, powinien znaleźć sobie jakieś inne zajęcie.

- Czego pan chce?

298

- Usłyszeć komentarz.

Wstrząsające, arcyważne wydarzenia w Hudiksvall.

Prokurator sprawiający wrażenie niezbyt pewnego siebie, mający jednak odwagę spojrzeć nam w oczy.

Co ma pani do powiedzenia na ten temat?

- Nic.

Przyjazny ton Larsa Emanuelssona, szczerzy bądź nie, zniknął.

Jego głos stał się ostrzejszy i niecierpliwiony.

- Darujmy sobie tę starą gadkę.

Proszę odpowiedzieć na moje pytania.

W przeciwnym razie napiszę pani.

- Nie mam absolutnie żadnych informacji na temat tego, o czym mówi prokurator.

Jestem tak samo zaskoczona jak cała Szwecja.

- Zaskoczona?

- Niech pan sobie wybierze słowo, jakie tylko chce.

Zaskoczona, obojętna, ulżyło mi, co pan woli.

- Zadam teraz kilka łatwych pytań.

-Odkładam słuchawkę.

- Proszę to zrobić, a napiszę o sędzi z Helsingborga, która dopiero co w pośpiechu opuszczała Hudiksvall i teraz odmawia odpowiedzi na pytania.

Czy przeżyła już pani oblężenie własnego domu przez tłum dziennikarzy?

Bardzo łatwo o takiego spowodować.

Kiedyś, za pomocą umiejętnie rozprowadzonej informacji, można było w tym kraju w bardzo krótkim czasie zebrać grupkę chętnych do przeprowadzenia incydentu.

Stado gorliwych dziennikarzy bardzo przypomina taką właśnie gromadę.

- Czego pan chce?

-Odpowiedzi.

Po co była pani w Hudiksvall?

- Jestem krewną ofiar morderstwa.

Już to panu mówiłam.

Słyszała w słuchawce jego ciężki oddech, gdy przez chwilę się zastanawiał, a może zapisywał jej słowa.

299.

- To by się zgadzało.

Dlaczego pani wyjechała?

- Musiałam wracać do domu.

-Co było w plastikowej torbie, którą wyniosła pani z komendy policji?

Pomyślała chwilę, zanim udzieliła odpowiedzi.

- Kilka pamiątek należących do mojego krewnego.

-Czy to prawda?

- To prawda.

Jeśli przyjedzie pan do Helsingborga, podam panu jeden z nich, przez drzwi.

Proszę go potem zwrócić.

- Wierzę pani.

Musi pani zrozumieć, że wykonuję tylko swoją pracę.

- Czy już skończyliśmy?

-Tak.

Birgitta z trzaskiem odłożyła słuchawkę.

Rozmowa sprawiła, że cała oblała się potem.

Odpowiedzi, których udzieliła, były wyczerpujące i prawdziwe.

Lars Emanuelsson nie będzie miał o czym napisać.

Imponował jej jego upór i doszła do wniosku, że jest znakomitym reporterem.

Mimo że najłatwiej by jej było przepłynąć promem do Helsingør, pojechała samochodem na południe, do Malmö, i przejechała przez długi most, którym wcześniej jeździł tylko autobus.

Karin Wiman mieszkała w Gentofte, na północ od Kopenhagi.

Birgitta dwukrotnie pomyliła drogę, zanim trafiła na właściwe odbicie prowadzące nad wybrzeże.

Było zimno i wiał silny wiatr, ale niebo było bezchmurne.

Dochodził jedenasta, gdy wreszcie udało jej się odnaleźć ładny dom Karin.

Przyjaciółka spędziła w nim wszystkie lata swojego małżeństwa, w tym domu też zmarł jej mąż.

Budynek był biały, dwupiętrowy, otoczony dużym, bujnym ogrodem.

Birgitta przypomniała sobie, że z okien nad drugim piętrze, ponad dachami domów, widać morze.

300

Karin wyszła przed bramę, żeby powitać dawną przyjaciółkę.

Birgitta zauważyła, że Karin bardzo schudła.

Była też dużo bledsza niż wówczas, gdy ostatnio się widziały.

Od razu pomyślała, że Karin musi być chora.

Objęły się na powitanie i weszły do środka.

Karin wskazała przyjaciółce pokój gościnny, żeby zostawiła w nim walizkę, po czym oprowadziła ją po domu.

Niewiele się zmieniło od czasu, gdy Birgitta była tu ostatni raz.

Karin chciała, żeby po śmierci męża wszystko pozostało na swoim miejscu, jak wtedy, gdy jeszcze żył, pomyślała.

A co ja bym zrobiła w takiej sytuacji?

Nie wiedziała.

Ale ona i Karin bardzo się różniły.

Ich dość trudna, obfitująca w konflikty przyjaźń zbudowana była właśnie na tej różnicy.

Obydwie nauczyły się jednak dochodzić do porozumienia, nie raniąc się nawzajem.

Karin przygotowała obiad.

Usiadły na oszklonej werandzie pełnej roślin i zapachu kwiatów.

Niemal natychmiast, po wymianie powitalnych uprzejmości, zaczęły wspominać czasy młodości, którą wspólnie spędziły w Lund.

Karin, której rodzice mieli stadninę w Skanii, przyjechała do Lund w roku 1966, Birgitta rok później.

Poznały się na wieczorku poetyckim organizowanym przez Towarzystwo Akademickie.

Od razu zostały przyjaciółkami, pomimo dzielących je różnic.

Karin, ze względu na swoje pochodzenie, była bardzo pewna siebie, Birgitta natomiast zakompleksiona i nieśmiała.

Przyłączyły się do Ruchu Solidarności z Wietkongiem i siedziały cicho jak myszy pod miotłą na posiedzeniach, podczas których działacze, przeważnie młodzi mężczyźni, mówili długo i rozwlekle na temat konieczności zorganizowania Wietkong - partyzantki Narodowego Frontu Wyzwolenia Wietnamu w czasie wojny wietnamskiej (1957-1975).

301.

zowania buntu.

Równocześnie pochłaniała je fantastyczna myśl o tym, że można stworzyć nową rzeczywistość, że uczestniczą w kształtowaniu przyszłości.

Szkołą działalności politycznej, organizacyjnej pracy był dla nich nie tylko Ruch Solidarności z Wietkongiem.

Istniało mnóstwo innych grup, deklarujących wsparcie dla ruchów wyzwoleniczych świata kolonialnego.

Podobnie działo się w Szwecji.

Wrzania niechęć do wszystkiego, co dawne i stare.

Były to wspaniałe czasy.

Obydwo zaangażowane były również przez jakiś czas w działalność radykalnego lewicowego ugrupowania o nazwie "Rebelianci".

Przez kilka bardzo intensywnych miesięcy żyły w środowisku przypominającym sektę, którego najważniejszym filarem była brutalna samokrytyka i ślepa wiara w teorię rewolucji Mao Tse-Tunga.

Rebelianci odzęgnywali się od wszelkich innych lewicowych ugrupowań, na które patrzyli z odrazą.

Niszczyli swoje płyty gramofonowe muzyką klasyczną, zrewidowali półki z książkami i wiedli życie będące imitacją życia hunwejbiniów.

Karin zapytała Birgittę, czy pamięta ich słynny wyjazd do kąpieliska w Tylösand.

Birgitta pamiętała.

Mieli spotkanie komórki Rebeliantów, do której należały.

Towarzysz Moses Holm, lekarz, który stracił prawo wykonywania zawodu z powodu narkomanii i wystawiania fałszywych recept na narkotyki, wystąpił z propozycją "infiltracji mieszczańskiego gniazda żmij, latem kąpiącego i opalającego się w Tylösand".

Zdecydowano się na ten wyjazd po długich dyskusjach, opracowano również strategię.

Pewnej niedzie Hunwejbini, zwani też czerwonymi gwardystami - komunistyczna organizacja młodzieżowa działająca w Chinach podczas Rewolucji Kulturalnej.

302

li na początku lipca dziewiętnastu towarzyszy wyruszyło wynajętym autobusem w drogę do Halmstad i Tylösand.

Z portretem Mao na czele, powiewając czerwonymi flagami, wmaszerowali na plażę, między osłupiałych ludzi.

Skandowali hasła, wymachując Czerwoną Książeczką, potem weszli do wody i pływali, cały czas unosząc portret Mao.

W końcu zebrali się na plaży, odśpiewali Wschód jest czerwony, wkrótce potępili faszystowską Szwecję i wezwali plażowiczów, by się uzbroili i przygotowali do rewolucji, która wkrótce ma nadejść.

Potem wrócili do domu i spędzili kolejnego dnia na analizie i ocenie "napadu" na plażę w Tylösand.

- Co z tego pamiętasz?

- zapytała Karin.

- Mosesa.

Twierdził, że nasz szturm na Tylösand zostanie wpisany w historię przyszłej rewolucji.

- Ja pamiętam, że woda była strasznie zimna.

- Alew ogóle nie pamiętam, co wówczas myślałam.

- Niemyśleliśmy wtedy.

Chodziło o zasady.

Mieliśmy być posłuszni myślom innych.

Nie pojmowaliśmy, że mieliśmy wyzwolić ludzkość, nie myśląc samodzielnie, jak roboty Karin pokiwała głową i wybuchnęła śmiechem.

- Byliśmy jak małe dzieci.

Ale działaliśmy z ogromną powagą.

Ogłaszaliśmy, że marksizm jest nauką, tak samostuszną jak nauka Newtona, Kopernika lub Einsteina.

Alenasa wiara była prawdziwa, a Czerwona Książeczka był naszym katechizmem.

Nie rozumieliśmy, że to, czym machamy ludzom przed oczami, nie jest Biblią, ale zbiorem

cytatów z wielkiego rewolucjonisty.

; - Pamiętam, że wątpiłam - powiedziała Birgitta.

- W głębi bi duszy.

Jak wtedy kiedy wybrałam się w wizytę do NRD.

iPomyślałam, że to niedorzeczne i nie może funkcjonować', nadłuższą metę.

Nic jednak niepowiedziałam.

Zawsze się

303.

bałam, że ktoś dostrzeże moje wątpliwości.

Dlatego skandowałam głośniejszymi głosem niż inni.

- Nie widzieliśmy tego, na co patrzyliśmy.

Tkwiliśmy w ogromnym oszustwie, choć nasze intencje były dobre.

Jak mogliśmy wierzyć w to, że opalający się szwedzcy robotnicy będą gotowi, żeby się uzbroić i obalić aktualny system dźbudowania czegoś nowego i nieznanego?

Karin zapaliła papierosa.

Birgitta przypomniała sobie, że przyjaciółka zawsze paliła, wciąż nerwowo szukała paczki papierosów i zapalniczki.

- Moses nie żyje - powiedziała Karin.

- Wypadek samochodowy.

Był pod wpływem narkotyków.

Pamiętasz Larsa Westera?

Tego, który twierdził, że prawdziwi rewolucjoniści nigdy nie piją wódki, a potem ktoś z nas znalazł go zapitego na śmierć w Lundagard?

A Lillan Andersson?

Tę, którą w końcu pozbyła się wszelkich iluzji i pojechała do Indii, żeby zostać żebrzącą mniszką?

Co się z nią stało?

- Nie wiem.

Może ona też już nie żyje?

- Ale my żyjemy.

- Tak, my żyjemy.

Rozmawiały przez całą wieczór, po czym wyszły na spacer.

Birgitta zrozumiała, że ona i Karin mają tę samą potrzebę przeanalizowania swojego życia, by móc zrozumieć więcej otaczającej ich teraz rzeczywistości.

- Jednak nie były to wyłącznie naiwność i szaleństwo - odezwała się.

- Myśl o świecie, w którym solidarnośćcośznaczy, wciąż jestmi bliska.

Staram się postrzegać naszedziałania jako próbę oporu, podważania tradycji i konwencji, które w przeciwnym razie zepchnęłyby ten świat jeszczebardziej na prawo.

- Przestałam głosować- powiedziała Karin.

- Nie jestemz tego zadowolona, ale nie znajduję żadnej prawdy poli304

tycznej, pod którą mogłabym siępodpisać.

W zamian zato

staram się wspierać organizacje, w które wierzę.

Na szczęściewciąż trwają, są tak samo silne i nieokielznane.

Jak myślisz,ilu ludzi interesujesię dziś feudalizmem w kraju tak małymjakNepal?

Ja tak.

Podpisuję listy dajępieniądze.

- Ja nawetnie jestem pewna, czy wiem, gdzie leży Nepal -odparła Birgitta.

- Przyznaję,że stałam się leniwa.

Czasemtęsknię za dobrymi chęciami, które wnas wtedy były.

Nie byliśmy grupą rozwydrzonych studentów, którym się wydawało,że wokół nich skupia się całyświat i nie ma dla nich rzeczyniemożliwych.

Duch solidarnościbył prawdziwy.

Karinzaśmiała się.

- Pamiętasz Hannę Stojkovicz?

Szaloną kelnerkęz hoteluGrand, która uważała nas za zbyt pobłażliwych?

Namawiała do taktyki, którą nazywała"drobnymi morderstwami".

Mieliśmy strzelać do dyrektorów banków, przedsiębiorcówi reakcyjnych nauczycieli.

Miała to być taktyka drapieżników,mówiła.

Nikt jejnie słuchał.

Wydawało nam się to mimowszystko zbyt radykalne.

Woleliśmy strzelać do siebie samych isypać sól na rany.

Kiedyś wysypała wiaderko loduna głowę przewodniczącego rady miejskiej.

Oczywiście wyleciała za to z pracy.

Ona też już nie żyje.

- Nie wiedziałam.

-Podobno pewnego dnia powiedziała swojemu mężowi, że pociągi nie jeżdżą zgodnie z rozkładem.

Nie wiedział, o co jej chodzi, aż do dnia, w którym znaleziono ją na torach w pobliżu Arlów.

Owinęła się w koc, żeby oszczędzić przykrej roboty ludziom z pogotowia.

- Dlaczego to zrobiła?

- Nikt nie wie.

Pozostawiła tylko kartkę na stole w kuchni.

"Poszłam na pociąg".

- Ale ty zostałam profesorem.

A ja sędzią.

305.

- A Karl-Anders?

Pamiętasz go?

Nienawidził myśli, że pewnego dnia może wyłysieć.

Prawie nigdy się nie odzywał, ale zawsze pierwszy przychodził na wszystkie spotkania.

Został pastorem.

- Chyba żartujesz!

- W Wolnym Kościele, w Szwedzkim Związku Misyjnym.

Wciąż nim jest.

Latem podróżuje i wygłasza kazania z namiotu.

- Może to wcale taki duży krok?

Karin spoważniała.

- Ja myślę, że to był duży krok.

Nie możemy zapominać o tych wszystkich, którzy dalej walczą o lepszy świat.

W całym tym chaosie, w którym teorie polityczne krążyły jak szalone, istniała wiara w zwycięstwo zdrowego rozsądku.

Nie widziałaś tego w ten sposób?

Pamiętam, że często o tym rozmawialiśmy.

O oświeceniu, które w końcu miało zatriumfować.

- To prawda.

Choć to, co kiedyś wydawało się łatwe, staje się z czasem coraz bardziej skomplikowane.

- Czy to nie powinno nas wciąż inspirować?

- Z pewnością.

Być może nie jest jeszcze za późno.

Zazdroszczę wszystkim tym, którzy nie porzucili swoich ideałów.

Albo raczej swojej świadomości tego, jak wygląda świat i dlaczego.

Tym,którzy wciąż stawiają opór.

Oni ciągleistnieją.

Razem przygotowały kolację.

Karin powiedziała, że za tydzień wybiera się do Chin, na wielkie seminarium poświęcone wczesnej dynastii Qin, której pierwszy cesarz stworzyłpodwaliny Chin jako zjednoczonego cesarstwa.

;

- Powiedz, jak to byłoznałeć sięw kraju z młodzieńczymarzeń?

306

- Miałam dwadzieścia dziewięćlat, kiedy pojechałam tampo raz pierwszy.

Nie było już wtedy Mao i wszystko zaczynało się zmieniać.

Było to dla mnie wielkiej niezmiernieprzykre rozczarowanie.

Pekin był zimnymi wilgotnym miastem, w którym tysiące rowerów chrzęściło jak świerszcze.

Potem zrozumiałam, że pomimo wszystko w kraju dokonały się ogromne zmiany.

Ludzie mieli na sobie ubrania.

Butynanogach.

W mieście nie widziałam nikogo, ktobygłodował, żadnego żebraka.

Pamiętam, że było mi wstyd.

Ja, która przyleciałam tam, zostawiając za sobącałe to bogactwo, nie miałam żadnego prawa, by patrzeć na ten z pozoru niewielkipostęp z odrazą lub arogancją.

Znów zapalałam miłością domyśli o chińskiej próbiesi.

Wtedy właśnie postanowiłam się temu poświęcić i zostać sinologiem.

Zanim przyjdą mi do głowy innemyśli.

- Jakie?

-Nie uwierzysz mi.

- Powiedz!

-Chciałam zostać zawodowym wojskowym.

- Skąd ten pomysł?

-Ty zostałeś sędzią.

Skąd ma się takie pomysły?

Po kolacji wrócili na oszkloną werandę.

Ogrodowe lampy rzucały kręgi światła na białopłacie śniegu.

Zrobiło się zimno i Karin przyniosła przyjaciółce sweter.

Po wypiciu wina do kolacji Birgitta poczuła przyjemną błogość.

- Pojedź ze mną do Chin - niespodziewanie zaproponowała Karin.

- Dziś taka podróż tonie majątek.

Z pewnością dostanę duży pokój w hotelu i będziemy mogły go dzielić. Już wcześniej to robiłyśmy.

Na letnich obozach spałyśmy w jednym małym namiocie z trzema innymi osobami.

Leżeliśmy prawie na sobie.

307.

- Nie mogę - odparła Birgitta.

- Kończy mi się zwolnienie.

- Pojedź ze mną.

Praca może czekać.

- Chciałabym.

Ale pojedziesz tam przecież jeszcze kiedyś?

- Z pewnością.

Ale w naszym wieku powinno się odkładać wszystkiego na potem.

- Będziemy długo żyły.

Dożyjemy późnej starości.

Karin nie odpowiedziała.

Birgitta zorientowała się, że znów była nietaktowna.

Mąż Karin zmarł w wieku czterdziestu jeden lat.

Od tego czasu była wdową.

Karin domyśliła się, o czym myśli Birgitta.

Wyciągnęła do niej pogłaskała przyjaciółkę po kolanie.

- Nic nie szkodzi.

Rozmawiały do późna.

Gdy kładły się spać, była już prawie północ.

Birgitta położyła się z telefonem w dłoni.

Staffan miał wrócić do domu około północy i obiecał, że zadzwoni.

Prawie spała, gdy telefon zaczął wibrować.

- Obudziłem cię?

- Prawie.

- Jak się masz?

-Rozmawialiśmy bez przerwy przez ponad dwanaściegodzin.

- Wrócisz jutro dodomu?

-Najpierw się wyśpię, a potem pojadę dodomu.

- Zakładam, że słyszałaś, co się stało?

Opowiedział, jakto zrobił.

- Kto?

-Ten człowiekw Hudiksvall.

Birgitta zerwała się i usiadła na łóżku.

- Nic nie wiem.

Opowiadaj!

308

- Lars-Erik Valfridsson.

Ten, którego aresztowali.

Terazpolicjaszuka narzędzia zbrodni.

Podobno powiedział im,gdzieje zakopał.

W wiadomościach podali, że todomowejroboty miecz samurajski.

- Czy to wszystko prawda?

-Dlaczego miałbymopowiadać ci coś, co nie jest
prawdą?

- Oczywiście, masz rację.

Czy powiedział, dlaczego to

zrobił?

- Wszyscy utrzymują, że to była zemsta.

Skończywszy rozmowę ze Staffanem, wciąż siedziała na łóżku.

Przez cały dzień spędzony z Karinami raz nie pomyślała o Hesjövallen.

Teraz wszystkie te wydarzenia

do niej wróciły.

Być może sprawa czerwonej wstążki znajdzie wytłumaczenie, którego nikt się nie spodziewał?

Dlaczego Lars-Erik Valfridsson nie miał również odwiedzić chińskiej restauracji?

Położyła się i zgasiła lampę.

Następnego dnia miała pojechać do domu.

Postanowiła, że odeśle Vivi Sundberg pamiętniki, a potem wróci do pracy.

Nie zamierzała towarzyszyć Karin w podróży do Chin.

Nawet jeśli było to coś, na co miała największą ochotę.

22

Następnego dnia, gdy Birgitta wstała z łóżka, Karin pojechała już do Kopenhagi na wykład.

Na stole w kuchni zostawiła

wiadomość.

Birgitto.

Czasem myślę, że mam w głowie ścieżkę.

Każdego dnia pokonuję kilka kolejnych metrów w głąb nieznaną

309.

krainy, w której kiedyś ścieżka się skończy.

Czasem zakręca i wiesz powrotem.

Niekiedy patrzę za siebie, tak jak wczoraj, w ciągu tych wszystkich godzin, które spędziłyśmy na rozmowie, i widzę wówczas to, o czym zapomniałam, lub to, o czym nie chciałam pamiętać.

Nieraz wydaje mi się, że staramy się zapominać, zamiast zapamiętywać.

Chciałabym, żebyśmy kontynuowały nasze rozmowy.

Pod koniec przyjaciół okazują się wszystkim, co się ma.

Albo są raczej ostatnim szansem, który pozostaje do obrony.

!Karin - Schowała list do torebki, wypija filiżankę kawy i zaczęła się przygotowywać do wyjazdu.

W chwili gdy właśnie miała otworzyć drzwi wyjściowe, spostrzegła bilety lotnicze leżące

nastoliku w przedpokoju.

Karin miała lecieć linia Finnair, przez Helsinki do Pekinu.

Przez chwilę znów poczuła pokusę, by przyjąć zaproszenie przyjaciółki.

Nie mogła jednak jechać, nawet jeśli bardzo tego chciała.

Nie znalazłaby zrozumienia u swojego przełożonego, składając podanie o urlop po dwutygodniowym

zwolnieniu lekarskim.

W sądzie czekało na nią mnóstwo pracy.

; Popłynęła promem z Helsingør.

Wiał silny wiatr.

Po drodze zatrzymała się przy kiosku, w którym okładki wszystkich gazet informowały o przyznaniu się do winy Larsa-Erika Valfridssona.

Kupiła kilka i pojechała do domu.

Na klatce schodowej spotkała swoją cichą i małą mówiącą po polsku sprzątaczkę.

Całkiem zapomniała, że dziś wypada dzień, w którym przychodziła.

Zamieniły kilka zdań po angielsku, gdy Birgitta płaciła jej za pracę.

Dopiero gdy znalazła się w domu sama, usiadła i zaczęła przeglądać gazety.

Jak zawsze, nie mogła wyjść z podziwu, jak wiele strontekstu

310

wieczorna prasapotrafiła wyprodukować na podstawie bardzo skąpego materiału.

To, co Staffan przekazał jej podczas rozmowy telefonicznej poprzedniego wieczoru, w zupełności wyczerpywał temat, na okrągło przetwarzany i powtarzany

przez gazety.

Jedyną dodatkową informacją było zdjęcie człowieka, który przyznał się do popełnienia tej zbrodni.

Na fotografii, która była powiększonym zdjęciem z paszportu lub praw jazdy, widać było mężczyznę o delikatnych rysach, wąskich ustach, wysokim czole i rzadkich włosach.

Birgittie trudno było uwierzyć, że ktoś o takim wyglądzie mógł dokonać tak barbarzyńskiej zbrodni.

Jak pastor z Wolnego Kościoła, pomyślała.

Niewyglądanakogoś, kto ma piekło w głowie i rękach.

Wiedziała jednak, że jej osąd sprzeciwia się faktom.

Na sali sądowej widziała wielu przestępców, z których właściwie żaden nie miał wyglądu odpowiadającego rozmiarom popełnionych przez nich przestępstw.

Dopiero gdy odrzuciła gazety i włączyła telegazetę, sprawa Hesjóvallen znów poważnie ją zainteresowała.

Policja znalazła przypuszczalne narzędzie zbrodni.

Wykopano je w nieznanym wcześniej miejscu, które wskazał Lars-Erik Valfridsson.

Była to broń własnej roboty, kiepska kopia japońskiego miecza samurajskiego.

Klinga była jednak bardzo dobrze naostrzona.

Miecz został oddany do ekspertyzy, która miała wykazać, czy znajdują się na nim odciski palców oraz, co najważniejsze, ślady krwi.

Pół godziny później Birgitta wysłuchała serwisu informacyjnego w radiu.

Znów usłyszała spokojny głos Robertssona.

Wyczuła w nim ulgę spowodowaną znaleziskiem.

Gdy skończył mówić, zasypano go lawiną pytań, prokurator odmówił jednak dalszych komentarzy.

Powiadomi prasę, gdy policja ustali kolejne fakty.

311

I.

Wyłączyła radio i zdjęła z regału z książkami leksykon.

Znalazła w nim ilustrację przedstawiającą miecze samurajskie.

Przeczytała, że tego typu broń można było naostrzyć jak brzytwę.

Wzdrygnęła się.

A więc ten mężczyzna spędził pewnej nocy od domu do domu w Hesjövallen i zamordował dziewiętnaście osób.

Być może znaleziona w śniegu czerwona wstążka była przymocowana do miecza.

Nie mógł przestać o tym myśleć.

W torebce miała ulotkę reklamową chińskiej restauracji.

Wykręciła numer i po chwili usłyszała w słuchawce znajomy głos młodej kelnerki, z którą wcześniej rozmawiała.

Wytłumaczyła jej, kim jest.

Minęło kilkaset sekund, zanim kelnerka ją sobie przypomniała.

- Widziała pani w gazecie zdjęcie mężczyzny, który zabił wszystkich ludzi?

- Tak.

Okropny człowiek.

- Czy pamięta pani, żeby kiedykolwiek u was jadł?

- Nigdy.

- Jest pani pewna?

- Na pewno nie było go nigdy na mojej zmianie.

Ale w niektóre dni pracuje tu moja siostra albo kuzyn.

Mieszkają w Söderhamn.

Wymieniamy się.

Firma należy do naszej rodziny.

- Czy może pani coś dla mnie zrobić?

Proszę ich zapytać, czy rozpoznają mężczyznę ze zdjęcia.

Jeśli tak, niech panido mnie zadzwoni.

Kelnerka zapisała numer telefonu.

- Jak się pani nazywa?

- zapytała Birgitta.

-Li.

, - Ja mam na imię Birgitta.

Dziękuję za pomoc.

- Nie ma pani w mieście?

312

- Jestem w domu, w Helsingborgu.

- W Helsingborgu?

Mamy tam restaurację.

Też należy do naszej rodziny.

Nazywa się "Szanghaj".

Tak samo dobre jedzenie jak u nas.

- Z pewnością tam pójde.

Tylko proszę mi w tym

pomóc.

Siedziała przy telefonie, czekając, aż kelnerka oddzwoni.

Po chwili rozległ się dzwonek, ale był to syn, który chciał ją porozmawiać.

Poprosiła, żeby zatelefonował później.

Minęło pół godziny, zanim Li oddzwoniła.

- Być może - powiedziała.

- Być może co?

- Mój kuzyn twierdzi, że był kiedyś w naszej restauracji.

- Kiedy?

- W zeszłym roku.

- Ale nie jest pewien?

- Nie.

- Może mi pani powiedzieć, jak kuzyn się nazywa?

Birgitta zapisała nazwisko i numer telefonu do restauracji w Söderhamn i rozłączyła się.

Po chwili wahania zadzwoniła na komendę policji w Hudiksvall i poprosiła o rozmowę z Vivi Sundberg.

Liczyła się z tym, że zostanie poproszona o pozostawienie wiadomości, o dziwo jednak Vivi podeszła

do telefonu.

- Pamiętniki - powiedziała.

- Czy wciąż są interesujące?

- Trudno się je czyta.

Ale mam duży czas.

Chciałam pogratulować postępów w śledztwie.

Jeżeli dobrze rozumiem, macie zarówno sprawcę, który przyznał się do winy, jak i domniemane narzędzie zbrodni.

- Nie dzwoni pani chyba po to, żeby o tym rozmawiać?

- Oczywiście, że nie.

Chciałabym raz jeszcze powrócić do tematu mojej chińskiej restauracji.

313.

Opowiedziała o kuzynie kelnerki w Söderhamn orazo tym, że Lars-Erik Valfridsson prawdopodobnie był kiedyśw restauracji w Hudiksvall.

- To mogłobywytlumaczyć, skąd wzięła się czerwona wstążka - podsumowała.

- Trop, który nie zaprowadzidonikąd.

Vivi Sundberg wykazała umiarkowane zainteresowanie.

- W tej chwili nie zwracamy sobie głowy tą wstążką.

Chyba pani to rozumie.

- Alei tak chciałam o tym powiedzieć.

Mogę pani podać nazwisko kelnera, który być może widział tego mężczyznę, mam też numer telefonu.

Vivi Sundberg zanotowała podane informacje.

- Dziękuję, że pani zadzwoniła.

Potem Birgitta zadzwoniła do swojego szefa, Hansa Mattsona.

Musiała chwilę poczekać, zanim podszedł do telefonu.

Powiedziała, że liczy na pozwolenie lekarza na powrót do pracy po wizycie, którą miała zaplanowaną za kilka dni.

- Toniemy - odrzekł.

- Chociaż raczej powinienem powiedzieć, że się dusimy.

Szwedzkie sądy mają nóż na gardle z powodu tych wszystkich cięć.

Nie sądziłem, że przyjdzie mi kiedyś coś takiego przeżyć.

- Co takiego?

- Salę sądową i demokrację zaczęto przeliczać na pieniądze.

To niewyobrażalne.

Bez działającej sali sądowej nie mamowy o demokracji.

Zostaliśmy rzućni na kolana.

To społeczeństwo drży trzeszczy w posadach.

Jestem naprawdę niepokojony.

- Nie wydaje mi się, żebym mogła temu zaradzić.

Ale obiecuję, że zajmę się moimi rozprawami.

- Będziesz tu więcej niż mile widziana.

314

Tego wieczora Birgitta zjadła kolację samotnie.

Staffanocował w Hallsberg, między dwiema zmianami.

Wrócił do przeglądania pamiętników.

Jedynym, co prawdziwie ją zainteresowało, były notatki kończące ostatni z nich.

Został napisany w czerwcu 1892 roku.

JA był już starym człowiekiem.

Osiadł w niewielkim domu w San Diego i cierpiał na bóle w nogach i plecach.

Po długich targach kupił starego Indianina maści i zioła, bo jego zdaniem tylko one przynosiły mu ulgę.

Pisał o swojej wielkiej samotności, o śmierci żony oraz o dzieciach, które mieszkają z dala od niego.

Jeden z synów osiedlił się aż w Kanadzie.

O kolei nie pisał nic.

Niezmienił jednak zdania co do ludzi.

Murzyni i Chińczycy wciąż byli mu wstrętni.

Martwił się, że któregoś dnia czarni lub żółci wprowadzą się do któregoś z pustych domów

w sąsiedztwie.

Pamiętnik kończył się w środku zdania, z datą 19 czerwca 1892 roku.

JA zanotował, że w noc padał deszcz.

Plecy bolały go bardziej niż zwykle.

Nocą przyśnił mu się sen.

Tu kończyły się zapiski.

Ani Birgitta, ani nikt z żyjących na tym świecie nie wiedział, jaki sen przyśnił się JA.

Myślała o tym, co poprzedniego dnia napisała Karin Wiman.

O ścieżce wijącej się w jej głowie w stronę punktu, w którym kiedyś się urwie.

Tak też stało się tego dnia w czerwcu 1892 roku, gdy skończyły się wszystkie odrażające komentarze JA pod adresem ludzi o innym kolorze skóry.

Kartkowała pamiętnik wstecz, ale nie znalazła żadnych notatek świadczących o tym, że JA spodziewała się tego, co miało rychło nadejść.

Życie, pomyślała.

Moja śmierć mogłaby wyglądać tak samo, mój pamiętnik, gdybym go prowadziła, też pozostałby nieukończony.

Ale kto właściwie ma czas na zakończenie swojej historii?

Na postawienie kropki, zanim położy się w ziemię?

315.

Schowwała pamiętniki do plastikowej reklamówki i zdecydowała, że następnego dnia odeśle je Vivi Sundberg.

To, co się tam dzieje, będzie od teraz śledzić tak jak wszyscy inni.

Zdjęła z półki książkę zawierającą spis szwedzkich prezesów sądów.

Ten z sądu w Hudiksvall nazywał się Tage Porsen.

To będzie proces jego życia, pomyślała.

Mam nadzieję, że jest to sędzia, który docenia znaczenie opinii publicznej.

Wśród jej kolegów było wielu sędziów nienawidzących i bojących się konfrontacji z dziennikarzami i kamerami.

Dotyczyło to w każdym razie osób należących do jej pokolenia oraz starszych.

Nie wiedziała, jak to sunek do opinii publicznej mają młodsi sędziowie.

Termometr za oknem kuchennym wskazywał, że temperatura spada.

Birgitta usiadła przed telewizorem, aby obejrzeć wieczorne wydanie wiadomości.

Potem miała zamiar pójść spać.

Dzień spędzony u Karin był bardzo intensywny i męczący.

Kiedy włączyła telewizor, wiadomości trwały już kilka minut.

Od razu zrozumiała, że musiało wydarzyć się coś, co dotyczyło Hesjövallen.

Reporter przeprowadzał wywiad z kryminologiem, który mówił rozwlekle, ale był bardzo poważny.

Birgitta starała się odgadnąć, co mogło się stać.

Po wywiadzie na ekranie pojawiły się zdjęcia z Libanu.

Zakłęta zniecierpliwiona, włączyła telegazetę i na pierwszej stronie przeczytała, co się wydarzyło.

Lars-Erik Valfridsson odebrał sobie życie.

Mimo że sprawdzano go co pięć minut, udało mu się podrzeć bluzę napasy, zrobić z nich sznur i powiesić się na nim.

Wprawdzie prawie natychmiast odkryto, co się stało, ale nie udało się go odratować.

Birgitta wyłączyła telewizor.

Myśli kotłowały się w jej głowie.

Czyżby nie potrafił udźwignąć ciężaru zbrodni, której dokonał?

A może był chory psychicznie?

Coś w tym wszystkim się nie zgadza, pomyślała.

Onniemógł popełnić wszystkich morderstw.

Nie wiem, dlaczego odebrał sobie życie, dlaczego wcześniej się przyznał i wskazał policji miejsce, w którym zakopał domowej roboty miecz samurajski, przecucie podpowiadało mi jednak od samego początku, że coś tu nie gra, myślała.

Usiadła w fotelu przy zgaszonej lampie.

Pokój był pogrążony w półmroku.

Ulicą przeszli jacyś ludzie, słychać było czyjś śmiech.

Był to specjalny fotel Birgitty, przeznaczony do rozmyślań.

Siadała w nim, gdy chciała przemyśleć wyrok, który miała napisać, lub inną sprawę związaną z jakimś procesem sądowym.

Tu też zwykła analizować codzienne problemy dotyczące rodziny.

Powróciła w myślach do punktu wyjścia.

Do pierwszych postrzeżeń, które poczyniła, odkrywając swe pokrewieństwo z ofiarami styczniowej zbrodni.

To było zbyt wielkie, pomyślała.

Być może nie dla człowieka świadomego swojego celu, ale dla mężczyzny mieszkającego w Halsingland i mającego nasumieniu kilka rozbojów, było to zdecydowanie zbyt wielkie.

Przynajmniej do czegoś, czego nie zrobił, potem daje policji własnej roboty miecz i wiesz się w celi.

Istnieje oczywiście możliwość, że się mylę, ale coś tu z pewnością się nie zgadza.

Zbyt łatwo poszło znalezienie i aresztowanie go.

I jakaż to miałaby być zemsta, którą podał jako motyw?

Było już po północy, kiedy wstała z fotela.

Zastanawiała się przez chwilę, czy zadzwonić do Staffana.

Mógł już spać.

Położył się i zgasił nocną lampkę.

W myślach wędrowała powiosce Hesjóvallen.

Wciąż wracał do niej obraz znalezionej w śniegu czerwonej wstążki i twarzy Chińczyka sfilmowana

317.

przez domowej roboty hotelową kamerę.

Policja wie coś, czego ja niewiem.

Dlaczego Lars-Erik Valfridsson został aresztowany i coś, co mogło być prawdopodobnym motywem zbrodni.

Ale popełnili błąd, jak to niestety zbyt często bywa.

Skupili się na jednym jedynym tropie.

 Nie mogła zasnąć.

Gdy miała już dość przewracania się na łóżku, wstała, włożyła szlafrok i zeszła na parter.

Usiadła przy biurku i spisała wszystkie dotychczasowe wydarzenia związane z Hesjövallen.

Zebranie wszystkiego, co wiedziała, oraz tego, co sama odkryła i przeżyła, zajęło jej prawie trzy godziny.

W trakcie pisania miała narastające uczucie, że coś przeoczyła, że istnieje jakiś związek, którego nie potrafi odnaleźć.

Miała uczucie, jakby przedzierała się karczownicą przez zarośla, cały czas uważając, czy nie kryje się w nich młody jelonek.

Gdy wkońcu wyprostowała plecy i przeciągnęła się, zegar wskazywał czwartą nad ranem.

Zabrała notatki, usiadła w fotelu, poprawiła lampę i zaczęła czytać wszystko od początku.

Cały czas starała się wyłowić coś pomiędzy własnych słów, a raczej spoza nich.

Sprawdzała, czy nie ma kamieni, pod które nie zajrzała, drobnych przeoczeń, których nie odkryła.

Nie znalazła jednak nic, co zwróciłoby jej uwagę, żadnego związku, którego wcześniej by nie zbadała.

Nie była policjantką przywykłą do szukania luk w zeznaniach i do przesłuchiwania podejrzanych.

Z doświadczenia wiedziała jednak, jak szukać sprzeczności, pułapek logicznych, wielokrotnie zdarzało jej się też w trakcie rozpraw zadawać oskarżonym pytania, które jej zdaniem prokurator przeoczył.

 Tu nie znajdowała niestety nic, co dałoby jej do myślenia.

Może w głębi duszy czuła, że zbrodnia nie mogła być czynem szaleńca.

Była zbyt dobrze zorganizowana i okrutna.

Mógł ją popełnić tylko opanowany, wytrawny morderca.

Może, zanotowana w marginesie, należało zadać sobie pytanie, czy sprawca nie odwiedził miejsca zbrodni wcześniej.

Noc była ciemna, mógł co prawda mieć z sobą mocną latarkę, ale niektóre domy były zamknięte na klucz.

Miał też dokładne informacje o tym, kto gdzie mieszka, zapewne dysponował również kluczami.

Musiał mieć bardzo silny motyw, że ani razu się nie zawahał.

Około godziny piątej Birgitta poczuła, że ogarnia ją jasność.

Nie miała już żadnych wątpliwości.

Sprawca wiedział, co robi, i nie zatrzymał się ani na chwilę.

Poradził sobie nawet z sytuacją, jaką była niespodziewana obecność chłopca.

Nie jest zwykłym, płaczącym się po okolicy przestępcą, ale mordercą, który z zimną krwią wytycza sobie cel.

Brak skrupułów, pomyślała.

I chęć zadania cierpienia.

Chciał, żeby umierający wiedzieli, co ich spotkało.

Pozajednym.

Poza chłopcem.

Nagle uderzyła ją pewna myśl.

Coś, co wcześniej nie przyszło jej do głowy.

Czy sprawca pokazał twarz swoim ofiarom, nad którymi unosił miecz?

Czy ci ludzie go rozpoznali?

Czy chciał, żeby go widzieli?

To pytanie, na które powinna odpowiedzieć Vivi Sundberg, pomyślała Birgitta.

Czy w pomieszczeniach, w których znaleziono zwłoki, paliło się światło?

Czy zamordowani, zanim spadł na nich cios, zdążyli zajrzeć śmierci w oczy?

Odłożyła notatki i spojrzała na termometr za oknem.

Temperatura spadła już do minus ośmiu stopni.

Birgitta wypiąszklanę wody i poszła do łóżka.

Już zasypiała, gdy znów otrzeźwiła ją nagła myśl.

Było w tym wszystkim coś, co przeoczyła.

Istniał związek między dwojgiem zamordowanych.

Co przypominał jej ten obraz?

Usiadła na łóżku w ciemnym pokoju, senność opuściła ją całkowicie.

Gdzieś już natknęła się na podobny opis.

W pewnej chwili wszystko sobie przypomniała.

Pamiętniki.

We fragmencie, który pobieżnie przeczytała, było coś podobnego.

Ponownie zeszła na dół, wyłożyła na stół kilka zeszytów i zaczęła szukać.

Właściwy fragment udało jej się odnaleźć niemal natychmiast.

Był rok 1865.

Linia kolejowa postępowana w wschód, każdy podkład, każdy odcinek torów był mordegą.

Dręczeni chorobami robotnicy padali jak muchy.

By cały ten gigantyczny projekt budowlany nie skończył się finansową katastrofą, cały czas napływali z zachodu nowi ludzie do pracy.

Dzięki temu udało się zachować szybkie tempo robót.

Pewnego dnia, konkretnie dziewiętnastego listopada, JA usłyszał opowieść o statku wiozącym chińskich niewolników z Kantonu.

Był to stary żaglowiec służący wyłącznie do transportu porwanych Chińczyków do Kalifornii.

Po długim okresie bezwietrznej pogody, gdy zaczęły się kończyć zapasy jedzenia i wody, na pokładzie wybuchł bunt.

Aby go stłumić, kapitan stosował środki, których okrucieństwo nie ma sobie równych.

Nawet JA, który do pędzenia robotników do pracy nie wahał się używać pięści i bata, to, co usłyszał, uznał za straszliwe.

Kapitan wybierał kilku zamieszanych w bunt Chińczyków, kazał ich zabić, a ich ciała przywiązać do kilku wciąż jeszcze żyjących.

Pozostawiał ich związanych na pokładzie, jednych powoli umierających z głodu, drugich gnijących.

JA zanotował w swoim pamiętniku: "Czyn bezumiaru".

Czy te dwie sytuacje można ze sobą porównać?

Być może jedna z ofiar musiała leżeć przykuta do martwego ciała?

Całą godzinę, może dłużej, a może krócej, zanim spadł na nią ostateczny cios?

Przeoczyłam to, pomyślała Birgitta.

Pytanie brzmi, czy przeoczyła to również policja w Hudiksvall.

Wątpię, by

320

dokładnie przestudiowali pamiętniki, zanim mi je wypożyczyli.

Z drugiej strony, można było wysnuć również inny wniosek, nawet jeśli wydawał się bardzo nieprawdopodobny.

Czy sprawca wiedział o wydarzeniach opisanych w pamiętniku JA?

Czy istniał jakiś dziwny, nieznaną związek ponad czasem

i przestrzeni?

Birgitta zastanawiała się, dlaczego Vivi Sundberg wypożyczyła jej pamiętniki.

Czyżby liczyła na to, że dokładnie je przestudiuje i przekaze jej ewentualne ważne dla śledztwa informacje?

Nie była to całkiem nedorzeczna myśl, biorąc pod uwagę ogrom pracy, jaką miała do wykonania policja.

Vivi Sundberg może być bardziej przebiegła, niż sądziłam, pomyślała Birgitta.

Może postanowiła wykorzystać upartą sędzię, która wmieszała się w śledztwo.

Może Vivi Sundberg wręcz docenia mój upór?

Kobieta, która na co dzień zapewne nie ma łatwego życia pośród dirytujących kolegów?

Nareszcie znów mogła położyć się spać.

To, co odkryła, z pewnością zainteresuje Vivi Sundberg.

Zwłaszcza teraz, gdy podejrzany popełnił samobójstwo.

Spała do dziesiątej, potem wstała i rzuciła okiem na grafik Staffana.

Powinien być z powrotem w Helsingborgu około trzeciej.

Gdy tylko usiadła przy aparacie, by zatelefonować do Vivi Sundberg, rozległ się dzwonek u drzwi wejściowych.

Stał niski Chińczyk.

W ręce trzymał torbę z zapakowanym w plastikowe pojemniki jedzeniem.

- Nic nie zamawiałam- powiedziała zdziwiona Birgitta

Roślin.

- To od Li z Hudiksvall - odparł mężczyzna z uśmiechem.

-Nakoszt firmy.

Chce, żeby pani do niej zadzwoniła.

Mamyrodzinny interes.

321.

- Restauracja "Szanghaj"?

Mężczyzna znów się uśmiechnął.

- Restauracja "Szanghaj".

Bardzo dobre jedzenie.

Kłaniając się, przekazał jej torbę z chińszczyzną, po czym zniknął za furtką.

Wypakowała jedzenie, powąchała jej wstawiła do lodówki.

Potem zadzwoniła do Li.

Tym razem telefon odebrał zdenerwowany mężczyzna.

Domyśliła się, że to jej humorzasty ojciec, który przesiadywał w kuchni.

Zawołała Li do telefonu.

- Dziękuję za jedzenie - powiedziała Birgitta.

- To była prawdziwa niespodzianka.

- Próbowala już pani?

Jeszcze nie.

Czekam, aż wróci mój mąż.

On też lubi chińskie jedzenie?

- Bardzo.

Chciała pani, żebym zadzwoniła.

- Myślałam o tej lampie - powiedziała Li.

- O tej czerwonej wstążce, która zniknęła.

Wiem teraz coś, czego niewiedziałam wcześniej.

Rozmawiałam z mamą.

- Chyba jej nie spotkałam.

- Siedzi w domu.

Przychodzi tu tylko czasem, żeby posprzątać.

Ale zawsze zapisuje, kiedy tu jest.

Sprzątała jedenastego stycznia, rano, kiedy otwieraliśmy.

Birgitta wstrzymała oddech.

- Powiedziała mi, że właśnie tego dnia odkurzała wszystkie lampy i jest pewna, że nie brakowało żadnej wstążki.

Zauważyłaby, gdyby któraś zniknęła.

- Czy mogła się pomylić?

- Nie mama.

Birgitta zdawała sobie sprawę z tego, co to oznacza.

Tego dnia, kiedy Chińczyk siedział przy narożnym stoliku, w lampie nie brakowało żadnej wstążki.

Ta znaleziona w Hesj 322

vallen musiała zniknąć tego samego wieczoru.

Nie było codo tego żadnych wątpliwości.

- Czy to ważne?

- spytała Li.

:- - To się okaże - odparła Birgitta.

- Dziękuję, że mi paniotym powiedziała.

Odłożyła słuchawkę.

Po chwili znów zadzwonił telefon.

Był to Lars Emanuelsson.

- Niech pani nie odkłada - powiedział.

- Czego pan chce?

- Usłyszeć pani opinię na temat tego, co się stało.

- Nie mam nic do powiedzenia.

- Jest pani zaskoczona?

-Czym?

- Że podejrzanym o dokonanie tych zabójstw był ktoś taki jak Lars-Erik Valfridsson.

-Niewiem o nim nic poza tym, co pisano w gazetach.

- Nie matam wszystkiego.

Podpuszczała ją.

Od razu wzbudził jej zainteresowanie.

- Bił swoje dwie byleżony - mówił dalej Lars Emanuelsson.

- Pierwszej udało się uciec.

Potem Valfridsson znalazł sobie Filipinkę, którą skusił wieloma fałszywymi obietnicami.

Bił ją prawie do nieprzytomności, dopóki sąsiedzinie zainterweniowali i dopóki nie dostał wyroku.

Miał nasumieniu też parę gorszych rzeczy.

- Na przykład?

-Zabójstwo.

To było w 1977 roku.

Był wtedy jeszcze dość młody.

Wdał się w bójkę o skuter i uderzył kamieniem w głowę młodego mężczyznę, który zmarł na miejscu.

Pobadaniach psychiatrycznych lekarz stwierdził, że Valfridsson znów może użyć przemocy.

Należał do nielicznej grupy osób uważanych za groźne dla otoczenia.

Policji prokura323.

torowi wydawało się najwyraźniej, że znaleźli właściwego człowieka.

- Uważa pan, że się mylili?

- Rozmawiałem z paroma osobami, które go znały.

Miał wielkie marzenie, żeby stać się sławnym.

Wmawiał ludziom, że jest szpiegiem albo nieślubnym synem króla.

Przyznaniem się do winy mogło przynieść mu sławę.

Jedynym, czego nie mogę zrozumieć, to dlaczego skończył swoje przedstawienie przed czasem?

Tu cała historia się sypie.

- A zatem uważa pan, że to nie on?

- To się okaże.

Wie pani już, jak jato widzę.

Teraz powinienem usłyszeć odpowiedź.

Jestem ciekaw, do jakich wniosków pani doszła.

Czy pokrywają się z moimi?

- Nie angażowałam się w tę sprawę bardziej niż inni.

Niechże pan zrozumie, że zmęczyły mnie już te rozmowy.

Lars Emanuelsson zdawał się nie słyszeć tego, co powiedziała.

- Niech mi pani opowie o pamiętnikach.

Muszą mieć coś wspólnego z tą sprawą.

- Proszę już do mnie więcej nie dzwonić.

Odłożyła słuchawkę.

Natychmiast znów zadzwonił, ale nie odebrała.

Po pięciu minutach wybrała numer komendy policji w Hudiksvall.

Dopiero po długim czasie udało jej się uzyskać połączenie i usłyszała w słuchawce znajomy głos dziewczyny z centrali.

Słysząc, że jest przepracowana i zmęczona.

Vivi Sundberg nie było, więc Birgitta poprosiła o zanotowanie swojego nazwiska i numeru telefonu.

- Niemogę pani obiecać - powiedziała dziewczyna.

-Dziś panuje tu chaos.

- Rozumiem.

Niech pani poprosi Vivi Sundberg, żeby oddzwoniła, kiedy będzie mogła.

324

- Czy to coś ważnego?

- Vivi Sundberg wie, kim jestem.

To wystarczy odpowiedź na pani pytanie.

Policjantka oddzwoniła następnego dnia.

Wszystkie serwisy informacyjne huczały o skandalu w areszcie w Hudiksvall.

Minister sprawiedliwości poinformował w krótkim wystąpieniu, że sprawa ta będzie dokładnie przebadana i zostaną wyciągnięte konsekwencje.

Tobias Ludwig podczas spotkań z dziennikarzami przed kamerami odcinał się jak mógł.

Wszyscy jednak byli zdania, że stało się to, co nie

miało prawa się stać.

Vivi Sundberg miała bardzo zmęczony głos, Birgitta postanowiła więc, że nie będzie jej zadawać żadnych pytań dotyczących nowej sytuacji po samobójstwie podejrzanego.

Zamiast tego opowiedziała policjantce o czerwonej wstążce i przedstawiła jej wnioski, które zapisała na marginesie

swoich notatek.

Vivi wysłuchiwała jej bez żadnego komentarza.

Birgitta słysząc w tle głosy, idąc do wniosku, że niezadowolona policjantka napięcia, jakie musi w tej chwili panować w komendzie policji w Hudiksvall.

Na koniec spytała, czy w pomieszczeniach, w których znaleziono zamordowanych, paliło się światło.

- Rzeczywiście takbyło - odparła Vivi Sundberg.

- Zastanawialiśmy się nad tym.

Światło było włączone we wszystkich pomieszczeniach z wyjątkiem jednego.

- Tego, w którym znaleziono chłopca?

-Zgadzasię.

- Macie jakieś wytłumaczenie?

-Proszę zrozumieć, nie mogę rozmawiać z panią o tym przez telefon.

- Oczywiście, że nie.

Przepraszam.

325.

- Nie ma za co.

Chciałabym panią o coś poprosić.

Niech pani spisze wszystkie swoje spostrzeżenia związane z wydarzeniami w Hesjóvallen.

Czerwoną wstążką zajmę się sama, ale chodzi o te inne sprawy.

Niech pani to spisze i wyśle domnie.

- To nie Lars-Erik Valfridsson zamordował tych ludzi - powiedziała Birgitta.

Słowa pojawiły się znikąd.

Ją samą zaskoczyło to nie mniej niż Vivi Sundberg.

- Proszę przysłać mi swoje przemyślenia - powtórzyła policjantka.

- Dziękuję, że pani zadzwoniła.

- A pamiętniki?

- Będzie lepiej, jeśli już do nas wrócą.

Po tej rozmowie Birgitta poczuła ulgę.

Jej wysiłki miały jednak jakiś sens.

Teraz będzie mogła wreszcie to wszystko od siebie odsunąć.

W najlepszym razie policji pewnego dnia udasię wytropić sprawcę tej zbrodni, niezależnie od tego, czy działał sam, czy nie.

Nie byłaby zdziwiona, gdyby okazało się, że był w to zamieszany jakiś Chińczyk.

Następnego dnia Birgitta poszła do swojego lekarza.

Dzień był wietrzny, od strony cieśniny Sund nadciągały śnieżne zamiecie.

Była zniecierpliwiona, chciała już wrócić do pracy.

W poczekalni spędziła tylko kilka minut.

Lekarz zapytał, jak się czuje, więc powiedziała, że jej zdaniem wszystko wróciło już do normy.

Pielęgniarka pobrała jej krew, po czym ponownie poproszono ją, by usiadła w poczekalni.

Gdy znów weszła do gabinetu lekarza, zmierzył jej ciśnienie.

- Czuje się pani dobrze, ale ciśnienie jest wciąż za wysokie.

Musimy wykonać kolejne badania, żeby znaleźć przyczynę.

326

Na początek daję pani kolejne dwa tygodnie zwolnienia.

Dam pani również skierowanie do specjalisty.

Dopiero gdy wyszła na ulicę uderzyła w nią fala zimnego wiatru, zdała sobie sprawę z tego, co się stało.

Ogarnął ją niepokój na myśl, że może się okazać poważnie chora, nawet jeśli lekarz zapewniają, że to mało prawdopodobne.

Stała na rynku, odwróciwszy się plecami do wiatru.

Poraz pierwszy od wielu lat czuła się bezsilna.

Stała nieruchomo przez długą chwilę, aż do momentu gdy w kieszeni płaszcza zadzwonił telefon.

Dzwoniła Karin, chcąc jeszcze raz podziękować jej za odwiedzinę.

- Co robisz?

- zapytała.

- Stoję na rynku - odparła Birgitta.

- I w tej właśnie chwili mam pojęcie, co zrobię ze swoim życiem.

Opowiedziała przyjaciółce o wizycie u lekarza.

Ponieważ bardzo zmarzła, obiecała jej, że oddzwoni, zanim Karin wyjedzie do Chin.

Gdy weszła przez furtkę prowadzącą do domu, zaczęła padać śnieg.

Wiatr stał się jeszcze silniejszy.

Przez miastowiczą przechodziły zamiecie.

23

Jeszcze tego samego dnia Birgitta Roślin poszła do sądu, żeby porozmawiać z Hansem Mattssonem.

Wiadomość o tym, że lekarz przedłużył jej zwolnienie, przybiła go i poważnie zaniepokoiła.

Przyglądała się jej w zamyśleniu z nad okularów.

- Moim zdaniem nie brzmi to dobrze.

Zaczynam się o ciebie martwić.

327.

- Sądząc z tego, co mówi mój lekarz, nie masz powodów.

Chodzi tu o wyniki badania krwi, które nie są zadowalające, i ciśnienie, które trzeba obniżyć.

Zostałam skierowana do specjalisty.

Ale nie czuję się chora, tylko trochę zmęczona.

- Tak jak my wszyscy - odpowiedział Hans Mattsson.

- Jestem zmęczony od prawie trzydziestu lat.

Odczuwam największą przyjemność, kiedy mogę się rano wyspać.

- Nie będzie mnie czternaście dni.

Potem, miejmy nadzieję, wszystko wróci do normy.

- Dostaniesz oczywiście tyle wolnego, ile potrzebujesz.

Postaram się, żeby przystanona ci pomogła.

Z pewnością wiesz, że nie ty jedyna jesteś na zwolnieniu.

Klas Hansson jest w Brukseli i przygotowuje raport dla UE.

Nie sądzę, żeby chciał tu wrócić.

Zawsze podejrzewałem, że interesują go inne sprawy niż przewodniczenie rozpraw sądownych.

- Przykro mi, że masz przez mnie kłopoty.

- To nie twoja wina.

Tylko twojego ciśnienia.

Odpuść, idź pielęgnować swoje róże i wróć, kiedy wyzdrowiejesz.

Birgitta Roślin spojrzała na niego zaskoczona.

- Nie hoduję żadnych róż.

Mam do tego zdecydowanie lewą rękę.

- Moja babcia tak mawiała.

Kiedy ma się długo nie pracować, należy się skupić na pielęgnowaniu swoich wymyślonych róż.

Uważam, że to ładne.

Babcia urodziła się w 1879, w tym samym roku, w którym Strindberg wydał Czerwony pokój.

To niezwykle.

Jedyną pracą, jaką wykonywała w życiu poza wychowywaniem dzieci, było cerowanie skarpet.

- Zatem tak właśnie zrobię - powiedziała Birgitta Roślin.

- Pójdę do domu i zajmę się różami.

Następnego dnia odesłała pamiątki i swoje zapiski do Hudiksvall.

Nadawszy na pocztę paczkę, poczuła się tak,

328

jakby zamknęła rozdział związany z wydarzeniami w Hesjövallen.

Na obrzeżach tej przerażającej historii znajdowała się jej matka i przybrani rodzice matki.

Ale teraz było już po wszystkim.

Birgitta z ulgą rzuciła się w wir przygotowania do urodzinowego przyjęcia Staffana.

Gdy wszedł do domu po popołudniowym dyżurze w pociągu z Alvesta do Malmö i późniejszej podróży do Helsingborga, czekała na niego prawie cała rodzina w komplecie oraz kilku przyjaciół.

Oniemiały stał w progu, w uniformie starej, skudłonej futrzanej czapce, słuchając, jak wszyscy dla niego śpiewają.

Widok rodziny i przyjaciół zgromadzonych przy jednym stole podzielał na Birgittę kojąco.

Wydarzenia w Halsingland i jej podwyższone ciśnienie straciły w tej chwili na znaczeniu.

Odczuwała spokój, jaki mogła dać jej tylko rodzina.

Oczywiście życzyła sobie, by również Anna wróciła do domu z Azji.

Córka nie chciała jednak przyjechać, gdy wreszcie udało im się z nią skontaktować i porozmawiać przez szumiący telefon komórkowy, gdzieś w Tajlandii.

Była już późna noc, gdy goście wyszli i przy stole zostali tylko członkowie rodziny.

Roslinowie mieli gadatliwe dzieci, które uwielbiały się spotykać.

Birgitta i Staffan siedzieli na kanapie, w rozbawieniu słuchając ich rozmowy.

Od czasu do czasu Birgitta wstawiała, żeby napełnić wszystkim szklanki i kieliszki.

Bliźniaczki Siv i Louise miały zostać nanoc w domu, David zaś, mimo licznych protestów Birgitty, zameldował się w hotelu.

Skończyli rozmawiać dopiero około czwartej nocy.

W końcu w kuchni i salonie zostali już tylko rodzice, aby posprzątać, włożyć naczynia do zmywarki i wynieść

do garażu puste butelki.

- To była prawdziwa niespodzianka - powiedział Staffan, gdy usiedli przy kuchennym stole.

- Nigdy tego nie zapomnę.

Nieoczekiwane zdarzenia mogą być bolesne, ale to, co stało

329.

się dziś, było jak podarunek.

Akurat dziś poczułem nagływstręt do chodzenia po wagonach.

Wciąż podróżuję, aledonikąd nie zmierzam.

To przekleństwo konduktorówi maszynistów.

Kręcimy się w kółko wewnątrzszklanej bańki.

- Powinniśmyrobić toczęśćiej.

To w końcu w takich momentach życie zyskuje noweznaczenie.

Nie liczy się tylkoobowiązek i to, co pożyteczne.

- A teraz?

-Comasz na myśli?

- Będzieszna zwolnieniu kolejnedwa tygodnie.

Co zamierzasz robić?

- Mój szefHansMattson marzy o tym,żeby się wysypiać.

Może powinnam to trochę poćwiczyć?

- Wyjedź na tydzień w jakieś ciepłe miejsce.

Weź ze sobąprzyjaciółkę.

Pokręciła głową w zamyśleniu.

- Być może, alektórą?

-Karin Wiman?

- Ona wyjeżdża służbowo do Chin.

-Więczytaj kogoś innego.

A może powinnaś zabraćktórąś z bliźniaczek?

Tobył pomysł, który od razu jejsię spodobał.

- Zapytam je.

Ale najpierw muszę się dowiedzieć, czy sama mam ochotę jechać.

Nie zapomnij, że czeka mnie jeszcze wizyta u specjalisty.

Staffan położył dłoń na jej ramieniu.

- Czy powiedziałaś mi wszystko?

Nie muszę się martwić?

- Nie.

O ile lekarz powiedział mi całą prawdę.

Ale wydaję się, że raczej tak.

Siedzieli jeszcze przez chwilę, zanim w końcu poszli spać.

Gdy Birgitta obudziła się rano, Staffan wyszedł już do pracy.

330

Nie było też bliźniaczek.

Spała aż do wpół do dwunastej.

Hans Mattson tęskni za wysypianiem się, pomyślała.

Takiego właśnie poranka mu brakuje.

Porozmawiała przez telefon z Siv i Louise, ale żadna z nich nie miała czasu, żeby z nią jechać, choć obydwie miałyby to wielką ochotę.

Tego samego popołudnia otrzymała wiadomość z przychodni, że jeden z pacjentów odwołał wizytę i może przyjść do specjalisty, żeby zostawić próbki do badań już następnego dnia.

O czwartej ktoś zadzwonił do drzwi.

Zastanawiała się, czyżnow będzie to dostawa darmowego jedzenia z chińskiej restauracji, ale gdy otworzyła, ujrzała komisarza kryminalnego Hugo Malmberga.

Miał śnieg we włosach, a na nogach staroświeckie kalosze.

- Przypadkiem spotkałem Hansa Mattsona.

Powiedział, że jesteś chora.

W zaufaniu, bo wie, że dobrze się znamy.

Zaprosiła do gościnnej sypialni.

Mimo że był korpulentny, beztruduschylił się i zdjął kalosze.

Pili kawę w kuchni.

Birgitta opowiedziała mu o wynikach badań i wysokim ciśnieniu, zapewniając, że w jej wieku nie jest to nic niezwykłego.

- We mnie wysokie ciśnienie tyka jak bomba- powiedział Hugo Malmberg ponuro.

- Biorę leki i mój lekarz mówi, że mam dobre wyniki, ale i tak mnie to martwi.

W mojej rodzinie ktoś jeszcze zmarł na zadnego guza w mózgu.

Wszyscy, jak jeden mąż, kobiety i mężczyźni, padali na podłogę powaleni zawałem.

Każdego dnia muszę zwalczać niepokój.

- Byłam w Hudiksvall - powiedziała Birgitta, zmieniając temat.

- To ty podałeś mi nazwisko Vivi Sundberg, ale chyba nie wiesz, że się tam wybrałam.

- Przyznaję, że mnie tym zaskoczyłaś.

331.

- Pamiętasz, jak to było?

Odkryłam, że jestem spokrewniona z jedną z zamordowanych w Hesjóvallen rodzin.

Potem okazało się, że wszyscy zabici byli jedną rodziną, połączoną przez różne związki małżeńskie.

Masz trochę czasu?

- Moja automatyczna sekretarka informuje, że w sprawach służbowych będę poza biurem do końca dnia.

Nie mam dyżuru, więc mogę siedzieć tu do jutra.

- Dobiałego rana?

Czy to nietak się mówi?

- Lub "aż Jeźdźcy Apokalipsy przybędą unicestwić nas wszystkich".

Opowiedz mi teraz o tych wszystkich okropieństwach, którymi nie muszę się zajmować.

- Czyżbyś był cyniczny?

Zmarszczył czoło i mruknął:

- Czyżbyś tak słabo mnie znała?

Po tych wszystkich latach?

Robisz mi przykrość.

- Nie miałam takiego zamiaru.

-No to zaczynaj.

Zamieniam się w słuch.

Birgitta opowiedziała mu o wszystkim, co wydarzyło się tego dnia, w którym odesłała pamiętniki i notatki, ponieważ Hugo Malmberg wydawał się poważnie zainteresowany.

Słuchał uważnie, od czasu do czasu zadawał jakieś pytanie, ale sprawiał wrażenie przekonanego o tym, że Birgitta Roölin nie pomija żadnych szczegółów.

Gdy skończyła, siedział przez chwilę w milczeniu, wpatrując się w swoje dłonie.

Wiedziała, że jest policjantem cieszącym się opinią niezwykle kompetentnego.

Umiał łączyć szybkie tempo z cierpliwością i intuicję z metodycznym działaniem.

Słyszała, że jest jednym z najbardziej pożądanymi nauczycielami na kursach dla policjantów w całym kraju.

Mimo że pracował w Helsingborgu, często uczestniczył w pracach Krajowej Komisji do spraw Zabójstw, zajmującej się wyjątkowo trudnymi przypadkami na terenie całej Szwecji.

332

Nagle ze zdziwieniem uświadomiła sobie, że nie została zaangażowana w sprawę Hesjövallen.

Zapytała go o to wprost, a on się uśmiechnął.

- Rzeczywiście, kontaktowali się ze mną w tej sprawie.

Nikt nie powiedział jednak, że ty się w to zaangażowałaś i dokonałaś zaskakujących odkryć.

- Chyba niezbyt mnie polubili.

- Policjanci bardzo pilnują swoich posad.

Chętnie bym nie tam widzieli, ale gdy aresztowali Valfridssona, przestali się mną interesować.

-- Ale teraz on nie żyje.

- Śledztwo toczy się nadal.

- Ale wiesz już teraz, że to nie był on.

- Wiem?

- Słyszałaś, co opowiedziałam.

- Dziwne zdarzenia, zwodnicze tropy.

Sprawy, które z pewnością powinny zostać dokładnie zbadane.

Jednak główny trop, Valfridsson, nie musi kończyć się na tym, że facet odbiera sobie życie.

- To nie był on.

To, co wydarzyło się w nocy z dwunastego na trzynastystycznia, jest większe niż cokolwiek, czego mógłby dokonać ktoś mający na koncie pobicia i jedno zabójstwo.

- Być może masz rację.

Ale możesz się też mylić.

Raz za razem okazuje się, że największe ryby pływają w najspokojniejszych wodach.

Złodziej rowerów napada na bank, zwykły awanturnik staje się płatnym zawodowym zabójcą.

Kiedyś coś takiego musiało się wydarzyć i w Szwecji.

Facetowi, który dokonał w młodości jednego zabójstwa i bijeludzi popijaku, coś przestawia się w głowie gość popełnia przerażającą zbrodnię.

- Ale nie miał przeciwmotywu.

333.

- Prokurator mówi o zemście.

-Za co?

Zemsta na całej wsi?

To sięniemieściw głowie.

- Jeśli zbrodnia sama w sobie nie mieści się w głowie, to motyw też nie musi.

-Mnie wciąż wydaje się jednak, żeValfridssontobyłmylny trop.

- To jest mylny trop, jeśli już.

Niesłyszałaś, co powiedziałem?

Śledztwo jest w toku, pomimo jego śmierci.

Pozwól, że zadam ci jedno pytanie.

Czy twój pomysł Chińczykiem jest bardziej wiarygodny?

Jak, na litość boską, można połączyć małą wioskę na północy Szwecji z chińskim motywem?

;" -Niewiem.

-Pożyjemy, zobaczymy.

A ty zadbaj o to, żebyś wyzdrowiała.

Kiedy bierzesz się do wyjścia, śnieg padał jeszcze gęstszy.

- Dlaczego stąd niewyjdziesz?

W jakieś ciepłe miejsce?

- Wszystymi to radzą.

Muszę tylko odbębnić wizytę lekarza.

Patrzyła za nim, jak powoli znika w śnieżnej zamieci.

Wzruszyło ją, że poświęcił czas, by ją odwiedzić.

Następnego dnia śnieg przestał padać.

Birgitta poszła na umówioną wizytę u specjalisty, oddała próbki do badania i dowiedziała się, że na wyniki będzie musiała czekać ponadtydzień.

- Czy ma pan dla mnie jakieś wskazania?

- zapytała swojego nowego lekarza.

- Proszę unikać niepotrzebnego wysiłku.

- Czy mogę podróżować?

- Nie widzę przeszkód.

334

- Jeszcze jedno pytanie.

Czy mam powody do zmartwienia?

- Nie.

Ponieważ nie ma pani żadnych innych niepokojących objawów, nie ma powodu do obaw.

- A więc nie umrę?

- Oczywiście, że pani umrze.

W swoim czasie.

Ja też.

Ale jeszcze nie teraz, jeśli uda nam się obniżyć pani ciśnienie.

Po wyjściu na ulicę zrozumiała, że przed wizytą była zaniepokojona, a nawet przestraszona.

Teraz poczuła ulgę.

Postanowiła, że pójdzie na długi spacer.

Przeszła kilkometrów, po czym nagle się zatrzymała.

Ta myśl wpadła jej do głowy niespodziewanie.

Amożepodświadomiejużwcześniej podjęła decyzję.

Weszła do pobliskiej kawiarni i zadzwoniła do Karin Wiman.

Była zajęta.

Czekała z niecierpliwością, zamówiła kawę i zaczęła przeglądać gazetę.

Wciąż zajęta.

Udało jej się dodzwonić dopiero za piątym razem.

- Jadę z tobą do Pekinu.

Karin potrzebowała kilku sekund, by zrozumieć.

- Co się stało?

- Lekarz przedłużył mi zwolnienie, ale powiedział, że mogę podróżować.

- Naprawdę?

- Każdy, z kim rozmawiam, radzi mi, żebym wyjechała.

Mój mąż, dzieci, szef, wszyscy.

Doszłam do wniosku, że chyba rzeczywiście powinnam to zrobić.

O ile wciąż jesteś gotowa dzielić ze mną pokój.

- Wylatuję za trzy dni.

Trzeba ciszybko załatwić wizę.

- Nie jest na to za późno?

- Normalnie zajmuje to więcej czasu, ale w tym wypadku mogę pociągnąć za kilka sznurków.

Bilet musisz kupić sobie

Sama.

335.

- Pamiętam, że ty lecisz linią Finnair.

-Dam ci numerylotów.

Wyślę je SMS-em, bo nie mam ich przy sobie.

Będzie mi natychmiast potrzebna kopia twojego paszportu.

- Już biegnę do domu.

Kilka godzin później wysłała Karin wszystkie potrzebne dokumenty, nie udało jej się jednak zdobyć miejsca na ten sam lot.

Po kilku rozmowach telefonicznych ustaliły, że Birgitta poleci dzień później.

Będzie to jeszcze przed rozpoczęciem konferencji.

Karin należała do komitetu organizującego niektóre mające się odbyć seminaria.

Obiecała, że wyrwie się i odbierze przyjaciółkę z lotniska.

Birgitta była zdenerwowana podróżą zupełnie jak wówczas, gdy jako szesnastolatka wybierała się na obóz językowy do Eastbourne w Anglii.

- Mój Boże!

- zawołała do telefonu.

-Ja nawet nie wiem, jaka tam jest pora roku.

Lato czy zima?

- Zima.

To prawie ta sama szerokość geograficzna.

Ale jest tam bardzo sucho.

Czasem przez Pekin przechodzą burze ciągnące aż z północnych pustkowi.

Przygotuj się tak, jakbyś wybierała się na wyprawę arktyczną.

Tam wszędzie jest zimno, nawet w budynkach.

Chociaż teraz jest lepiej, niż kiedy byłam tam po raz pierwszy.

Mieszkałam w najlepszych hotelach, ale spałam w ubraniu.

Każdego rankabudziło mnie skrzypienietysięcy rowerów.

Zabierze sobąciepłąbieliznę.

I kawę.

Nie umieją jej jeszcze przyrządzać.

Choćwłaściwie to nieprawda.

Ale weź na wszelki wypadek.

Kawa w hotelu nie zawsze jest tak mocna, jakby sięchciało.

- Czymam spakować jakieś eleganckie ubrania?

-Nie musisz chodzić na bankiety.

Alenie zaszkodzi jednawieczorowa sukienka.

336

- Jak należy się tam zachowywać?

Czego mam nie wkładać, czego niewolno mówić?

Kiedyś wydawało mi się, że wiem o Chinach wszystko.

Ale tobyła wersja Rebeliantów.

W Chinach maszerowało się, uprawiało ryż i wymachiwało Czerwoną Książeczką Mao.

Latem się pływało.

Mocne,zdecydowane ruchy wstronę przyszłości, śladem WielkiegoSternika.

- Tym nie musisz się martwić.

Ciepła bieliznawystarczyw zupełności.

Dolaryw gotówce, można używać kart kredytowych, alenie wszędzie.

Pamiętaj o wygodnych butach.

Łatwo siętam przeziębic.

Nie licz nato, że dostaniesz tamleki, do których jesteś przyzwyczajona.

Birgitta zapisała wszystkie wskazówki Karin.

Kiedy skończyły rozmawiać, przyniosł z garażu najlepszą walizkę.

Wieczorem powiedziała Staffanowi o swojej decyzji.

Jeśli był zaskoczony, nie okazał tego.

Towarzystwo Karin Wiman było według niego najlepszym z możliwych.

- Sam o tym pomyślałem - powiedziała po chwili.

- Kiedy powiedziałaś, że Karin leci do Chin.

To dlatego ta wiadomość cię zwała mnie z nóg.

A co na to lekarz?

- Lekarska to: jedź!

- Więc ja mówię samo.

Zadzwoń tylko do dzieci, żeby się nie martwiły.

Zatelefonowała do nich jeszcze tego samego wieczoru, do każdego po kolei, a w każdym razie do trojga, do których udało jej się zadzwonić.

Jedynym, który sceptycznie podszedł do jej pomysłu, był David.

Tak daleko, tak nagle?

Uspokoiła go, opowiadając o dobrym towarzystwie i braku przeciwwskazań ze strony lekarza.

Odszukała w domu mapę Pekinu z pomocą Staffana udało jej się znaleźć hotel DongFan, w którym miały się zatrzymać.

337.

- Zazdroszczę ci - powiedział nagle Staffan.

- Nawet jeśli ty w młodości byłeś Chinką, a ja tylko trochę przestraszonym liberałem, wierzącym w spokojne zmiany społeczne, zawszemarzyłem, żeby tam pojechać.

Nie do kraju, ale właśnie do Pekinu.

Wyobrażam sobie, że świat wygląda inaczej tamtejszej perspektywy, to nie to, co moje podróże do Alvestai Nassjő.

- Wyobraź sobie, że wysyłasz mnie na zwiad.

Potem pojedziemy tam razem, latem, kiedy nie będzie burz piaskowych.

Ostatnie dni przed podróżą Birgitta spędziła na coraz bardziej niecierpliwym oczekiwaniu.

Gdy Karin Wiman odlatywała z lotniska Kastrup, towarzyszyła jej, ponieważ musiała odebrać swój bilet na lotnisku.

Rozstali się w hali odlotów.

- Myślę, że dobrze się stało, że lecimy osobno - powiedziała Karin.

- Odgrywam dość ważną rolę na tym kongresie, więc nagrodzono mnie wygodną podróżą.

Nie byłoby przyjemnie, gdybyśmy musiały lecieć w oddzielnych klasach.

- Jestem tak podniecona, że mogłabym lecieć w luku bagażowym, gdyby zaszła taka konieczność.

Obiecujesz, że po mnie wyjdiesz?

- Będę czekać na lotnisku.

Wieczorem, gdy Karin powinna była już wylądować w Pekinie, Birgitta przeszukała jeden z odstawionych do garażu kartonów.

Na samym dnie znalazła to, czego szukała.

Swoją starą, sfatygowaną egzemplarz książeczki z cytatami z Mao.

Po wewnętrznej stronie czerwonej plastikowej okładki była zanotowana data: 19 kwietnia 1966.

Byłam wtedy małą dziewczynką, pomyślała.

Niewinność niemal pod każdym względem.

Jeden jedyny raz byłam z chłopakiem, Torem z Borstahusen, który marzył, by zo

stać egzystencjalistą i cierpieć z powodu skąpego zarostu.

To z nim straciłam cnotę w śmierdzącym pleśnią, zimnym domku wczasowym.

Jedynie, co zapamiętałam, to to, że był potwornie niezdarny.

Potem zaczęła między nami rosnąć przepaść, która sprawiła, że szybko się rozstaliśmy i nigdy już nie spojrzeliśmy sobie w oczy.

Do dziś się zastanawiam, co powiedział o mnie swoim kolegom.

Tego, co ja powiedziałam koleżankom, już nie pamiętam.

Tak sama ważyła się cnotą polityczną, gdy nagle przyszła czerwona burza i porwała mnie ze sobą.

Nigdy jednak nie udało mi się żyć zgodnie z wiedzą o świecie, jaką zdobyłam.

Po czasie spędzonym wśród Rebeliantów ukryłam się.

Nie wiedziałam, jak mogłam dać się wciągnąć w coś, co przypominało religijną sektę.

Karin zaczęła działać w Partii Lewicy, a ja zaangażowałam się w Amnesty i na tym koniec.

Usiadła na ułożonych w stos oponach i zaczęła kartkować Czerwoną Książeczkę.

Między jej kartkami znalazła starą fotografię.

Były na niej ona i Karin.

Pamiętała, kiedy zdjęcie zostało zrobione.

Wcisnęły się do kabiny fotograficznej na stacji w Lund, jak zwykle z inicjatywy Karin, wrzuciły pieniądze do automatu i zrobiły sobie serię zdjęć.

Birgitta; roześmiała się głośno na widok zdjęcia, choć równocześnie zgrozą pomyślała o tym, ile czasu upłynęło od dnia powstania fotografii.

Ta część ścieżki była już tak daleko w tyle, że z trudem przypominała sobie całą drogę, którą przeszła od tamtego momentu.

Zimny wiatr, pomyślała.

Starość, która skrada się zamyślnym krokiem w krok.

Wsunęła książeczkę do kieszeni i wyszła z garażu.

Staffan właśnie wrócił do domu.

Usiadła naprzeciw niego, gdy jadł obiad, który przygotowała.

- Czy czerwonogwardzistka jest gotowa?

- zapytał.

- Właśnie odnalazłam moją "małą czerwona".

339.

- Przyprawy -powiedział Staffan.

- Jeśli będziesz chciała przywieźć mi jakiś prezent, przywieź mi przyprawy.

Wyobrażam sobie, że w Chinach są smaki zapachy, jakich niema nigdzie indziej na świecie.

- Co jeszcze byś chciał?

- Ciebie z powrotem, zdrową i zadowoloną.

- Chybamogę to obiecać.

Zaproponował, że nazajutrz zawiezie ją do Kopenhagi, ale uznała, że wystarczy, jeśli podrzuci ją do pociągu.

Gorączka podróżna nie dała jej spać, co chwilę wstawała i szła do kuchni napić się wody.

Śledziła też telegazetę, by być nabieżąco z wydarzeniami w Hudiksvall.

Na jaw wychodził coraz więcej faktów dotyczących Larsa-Erika Valfridssona, nic jednak nie tłumaczyło, dlaczego policja podejrzewała go o morderstwo w Hesjövallen.

Poruszenie jego samobójstwem dotarło już tymczasem do parlamentu, przybierając formę ostrej interpelacji do ministra sprawiedliwości.

Jedynym, który wciąż trwał przy swoim stanowisku, był Robertsson, którego Birgitta Roölin coraz bardziej podziwiała.

Upierał się przy kontynuacji śledztwa pomimo śmierci podejrzanego.

Wspomniał również, że policja zaczęła pracować nad nowymi aspektami sprawy, o których nic nie może powiedzieć.

To mój Chińczyk, pomyślała.

Moja czerwona wstążka.

Kilkakrotnie poczuła chęć, by zadzwonić do Vivi Sundberg i z nią porozmawiać, powstrzymała się jednak.

W tej chwili liczyła się tylko czekająca ją podróż.

Był bardzo piękny dzień, gdy Staffan odwoził żonę na pociąg i machał jej na pożegnanie.

Nalotniku Kastrup przeszła przez odprawę bez żadnych problemów i tak jak sobie tego życzyła, dostała miejsca przy przejściu, zarówno na trasę do Helsinek, jak i do Pekinu.

Start samolotu odczuła jak

340

ruch wyzwalający ją z jakiegoś zamknięcia.

Uśmiechnęła się do siedzącego obok starszego Fina.

Zamknęła oczy, nieskorzystała z poczęstunku i przez całą drogę do Helsinek znów myślała o czasach, w których Chiny były dla niej wymarzonym miejscem na ziemi.

Nie mogła się nadziwić wielu zdumiewającym i niewyobrażalnym, które wówczas miała, przede wszystkim chyba temu, że naród szwedzki będzie gotów do nagłego zrywu i rewolucji mającej obalić panujący porządek.

Czy naprawdę wto wierzyła?

Czy może brała jedynie udział w jakiejś grze?

Przypomniała sobie obóz, na którym była latem 1969 roku w Norwegii.

Ona i Karin zostały tam zaproszone przez kilku norweskich towarzyszy.

Wszystko było nadzwyczaj tajne, nikt nie wiedział, gdzie obóz zostanie zorganizowany.

Wszystkim uczestnikom, z których żaden nie wiedział, jakie inne osoby przyjadą na obóz, nadano pseudonimy.

Aby dodatkowo zmylić wciąż czającego się w pobliżu wroga klasowego, przydzielając pseudonimy, nie brano pod uwagę, jakiej płci jest dany uczestnik.

Wciąż pamiętała, że tamtego lata nosiła imię Alfred.

Otrzymała wiadomość ze wskazówką, by wsiadła do autobusu jadącego w kierunku Kongsbergi wysiadłana z góry określonym przystanku.

Tam ktoś miał ją odebrać.

Stała na odblasku w strugach deszczu, myśląc tym, że powinna w tej chwili przeciwstawić rewolucyjną wytrwałość nastrojowi i lejącej się na nią z nieba wodzie.

W końcu zatrzymała się przy niej furgonetka.

Za kierownicą siedział młody mężczyzna, który, mamrocząc, przedstawił się jako Lisa i poprosił ją, by wsiadła.

Obóz rozbita na zarośniętym polu, namioty stały w rzędach.

Udało jej się coś zamienić i dostała miejsce razem z Karin Wiman, pseudonim Sture.

Każdego poranka uprawiali gimnastykę przed powiewającymi czerwonymi flagami.

Przez

341.

wszystkie tygodnie spędzone w namiocie bała się, że popełni jakiś błąd, źle się wyrazi, zachowa się kontrrewolucyjnie.

Decydującym momentem, kiedy toniemal zemdląca zestrachu, była chwila gdy pewnego dnia została poproszona o powstanie, przedstawienie się swoim pseudonimem i opowiedzenie o tym, w jaki sposób w swoim życiu cywilnym ukrywa fakt, że w rzeczywistości zamierza zostać zawodową rewolucjonistką.

Udało jej się jednaknie stracić przytomności, a poczucie triumfu stało się tym większe, że jeden z organizatorów obozu, Kajsza, potężnej budowy, wytatuowany trzydziestolatek, przyjaźnie poklepał ją po ramieniu.

Teraz, siedząc zamkniętymi oczami w samolocie, w drodze do Helsinek, doszła do wniosku, że wszystko, co się wówczas wydarzyło, było jednym wielkim lękiem.

Momentami wydawało jej się, że bierze udział w czymś, co sprawi, że Ziemia zacznie obracać się w przeciwnym kierunku, jednak przez większość czasu czuła lęk.

Chciała zapytać o to Karin.

Czy ona wtedy też się bała?

Nie mogła wymarzyć sobie lepszego miejsca na zadane pytanie niż wyśniony raj, Chiny.

Być może dzięki tej podróży udało jej się zrozumieć więcej z tego, co kiedyś wypełniało jej całe życie?

Obudziła się, gdy samolot schodził do lądowania w Helsinkach.

Koła uderzyły o beton.

Samolot do Pekinu odlatywał za dwie godziny.

Usiadła na kanapie, pod starym modelem samolotu zwisającym z sufitu w hali odlotów.

W Helsinkach było zimno.

Przez wielkie okna wychodzące na pas startowy zauważyła kłęby pary, wydychane przez pracującą na zewnątrz osobę z personelu naziemnego.

Pomyślała o ostatniej rozmowie, jaką odbyła z Vivi Sundberg kilka dni wcześniej.

Birgitta zapytała, czy policja dysponuje wydruka-

342

mi zdjęć z amatorskiej kamery, która sfilmowała Chińczyka.

Vivi potwierdziła i nie zadała Birgittie żadnego pytania, gdy ta poprosiła o kopię.

Następnego dnia powiększony portret był już w jej skrzynce pocztowej.

Teraz miała go w torebce.

Wyjęła zdjęcie z koperty.

Istniejesz gdzieś pośród miliarda ludzi, pomyślała.

Nigdy nieuda mi się ciebie znaleźć.

Nigdy nie dowiem się, kim jesteś.

O ile twoje nazwisko było prawdziwe.

A przede wszystkim nie dowiem się, co zrobisz.

Powoli skierowała się do wyjścia na samolot do Pekinu.

Czekało tam już kilku pasażerów, z których połowę stanowili Chińczycy.

Tu jest już część Azji, pomyślała.

Nalotniskach granice przesuwają się, przybliżają, a zarazem stają się odleglejsze.

Miała miejsc numer 22C.

Obok niej usiadł ciemnoskóry mężczyzna, który pracował w brytyjskiej firmie, mającej swoją siedzibę w stolicy Chin.

Zamienili kilka przyjaznych zdań, ale żadne z nich nie miało ochoty na dalszą rozmowę.

Birgitta zwinęła się w kłębek pod kocem.

Gorączka podróżną minęła, ustępując miejsca poczuciu, że wybrała się na wycieczkę, na którą zupełnie nie jest przygotowana.

Co właściwie ma robić w Pekinie?

Chodzić bez celu po ulicach, przyglądać się ludziom, zwiedzać muzea?

Karinz pewnościanie będzie miała dla niej zbyt wiele czasu.

Pomyślała, że wciąż jeszcze trochę niewiernej rebeliantki.

Wybrałam się w tę podróż, żeby zobaczyć samą siebie, pomyślała.

Nie wyruszam w bezsensowny pościg za jakimś Chińczykiem, który zerwał wstążkę z papierowej lampy i potem prawdopodobnie zamordował dziewiętnaście osób.

Zaczęłam wiązać sobą wszystkie wiszące luźno końcówkinici, zktórychskłada się ludzkie życie.

343.

Mniej więcej w połowie siedmiogodzinnego lotu zaczęłamyśleć o swojej wyprawie z niecierpliwością.

Wypiła lampkęwina, zjadła posiłek, który jejpodano, i czekała corazbardziej podekscytowana.

Końcowy etap podróżywyglądał jednak tak, jak go sobie wyobrażała.

Gdy tylko znaleźli się nad terytoriumChin, kapitanzakomunikował pasażerom, że szalejąca w mieścieburza piaskowa uniemożliwia lądowanie na pekińskim lotnisku.

Mieli wylądować w mieście Taiyuan i tam poczekaćna poprawę pogody.

Gdy samolot wylądował, zawiezionoichautobusem do zimnej poczekalni, w którejcierpliwie w milczeniu siedzieli opatuleni Chińczycy.

Różnica czasu sprawiła, że Birgitta Roślin poczuła wielkie zmęczenie.

Trudno jej było precyzować, jakie wrażenie zrobiły na niej Chiny.

Krajobraz był zimowy, wszystko pokrywał śnieg.

Lotnisko leżało między pagórkami, na pobliskiej drodze widziała przejeżdżające autobusy i wozy zaprzężone w woły.

Po dwóch godzinach burza ucichła.

Samolot wystartował, by po chwili wylądować w Pekinie.

Birgitta przeszła przez wszystkie kontrole i wreszcie zobaczyła czekającą na nią przyjaciółkę.

- Rebelianci przybywają - powiedziała Karin.

- Witamy w Pekinie!

- Dziękuję.

Choć wciąż jeszcze do mnie nie dociera, że naprawdę tu jestem.

- Jesteś w Państwie Środka.

Pośrodku świata.

W samym środku życia.

Jedziemy do hotelu.

Wieczorem pierwszego dnia Birgitta stała w oknie nadziwienastym piętrze, w hotelowym pokoju, który dzieliła z Karin i z dreszczem oczekiwania patrzyła na migoczące tysiącem światła ogromne

miasto.

344

W tym samym czasie w innym wieżowcu pewien mężczyzna obserwował te same światła i to samo miasto.

Wdłoni trzymał czerwoną wstążkę.

Gdy za jego plecami rozległo się przytłumione pukanie, powoli się odwrócił, by przyjąć gościa, którego niecierpliwie oczekiwał.

Chińska gra

,24

Pierwszego ranka w Pekinie Birgitta wstała bardzo wcześnie.

Zjadła śniadanie w olbrzymiej hotelowej sali jadalnej w towarzystwie Karin, która wkrótce pośpieszyła na swoją konferencję.

Przed wyjściem powiedziała przyjaciółce, jak bardzo się cieszy na wszystkie te mądre słowa dawnych cesarzów, którymi żaden normalny człowiek nie zwracałby sobie głowy.

Dla Karin historia była nieraz bardziej żywa niż otaczająca ją rzeczywistość.

- Kiedy byłam młodą rebeliantką, przez wszystkie teokropne miesiące wiosną 1968 roku żyłam w luzie, zupełnie jakbym była zamknięta w jakiejś religijnej sekcji.

Potem uciekłam w historię, która nie mogła mnie skrzywdzić.

Wkrótce być może będę gotowa, by zacząć żyć w rzeczywistości, tak jak ty.

Birgitta w pierwszej chwili nie mogła rozróżnić, co w słowach Karin było prawdą, a co ironią.

Wyszła z sali jadalnej i opatulila się w kurtkę, by spróbować stawić czoło rześkiemu, suchemu chładowi, wciąż myśląc o słowach przyjaciółki.

Być może w równym stopniu dotyczą również jej?

W recepcjitrzymała mapę od młodej, wyjątkowo ładnej mówiącej niemal perfekcyjnie po angielsku młodej kobiety.

Nagle przyszedł jej do głowy pewien cytat.

"W chwili obecnej

największym wydarzeniem jest olbrzymim wzrostem ruchu chłopskiego jest olbrzymim wydarzeniem".

Były to słowa Mao, które wciąż powracały podczas gwałtownych debat wiosną 1968 roku.

Skrajnie lewicowy ruch, który zaangażowały się wspólnie z Karin, głosił, że zebrane w Czerwonej Księżeczce myśli Mao są receptą na wszystko, niezależnie od tego, czy chodzi o to, co zjeść na obiad, czy jak sprawić, by szwedzka klasa robotnicza zrozumiała, że daje się

przekupywać kapitalistom i spiskującym z nimi socjaldemokratom, zamiast dostrzec swoją historyczną rolę i się uzbroić.

Birgitta pamiętała nawet imię i nazwisko przemawiającego, Gottfreda Appela, "Jabłko", jak lekceważąco

zwykła go nazywać, choć jedynie w rozmowie z blisko zaprzyjaźnionymi osobami, takimi jak Karin Wiman.

W chwili obecnej wzrost ruchu chłopskiego jest olbrzymim wydarzeniem.

Słowa odbijały się echem w jej głowie, gdy wychodziła z hotelu, mijając ubranych na zielono, milczących, bardzo młodych odźwiernych.

Ulica, przy której stał hotel, była szeroka i miała wiele pasów.

Wszędzie samochody, prawie żadnych rowerów.

Mieściły tu liczne kompleksy bankowe, a nawet pięciopiętrową księgarnię.

Przed sklepem stali ludzie z siatkami pełnymi butelek z wodą.

Birgitta już po kilku krokach poczuła zapach spalin w nosie oraz metaliczny posmak w ustach.

W miejscach, w których nie piętrzyły się jeszcze wieżowce, sterczały długie ramiona dźwigów.

Birgitta czuła, że jest w mieście przeżywającym wielkie gorączkowe przeobrażenia.

Mężczyzna ciągnący wózek wyładowany czymś, co przypominało puste klatki na drób, wydawał się tu nie na miejscu, jakby zagubiony w czasie.

Poza tym mogła by się znajdować w każdym innym miejscu na świecie.

Ziemia kręci się dziś wokół własnej osi poruszana siłami mechanicznymi, pomyślała.

Kiedy byłam młoda, oczami wyobraźni widziałam

obrazki przedstawiające mrowie Chińczyków w watowanych ubraniach, którzy kilofami i łopatami, w otoczeniu powiewających czerwonych flag, skandując, zamieniają wysokie góry w żyzne pola.

Mrowie pozostało.

Ale przynajmniej tu, w Pekinie, na tej ulicy, ludzie są ubrani zupełnie inaczej z pewnością nie trzymają w dłoniach kilofów i łopat.

Nie jeżdżą nawet na rowerach.

Mają samochody, a kobiety idą ulicą w eleganckich butach na wysokim obcasie.

Ale czego właściwie oczekiwała?

Wiosna i lato 1968 roku były prawie czterdzieściami temu.

Pamiętała swój lęk, wręcz przerażenie, by nie okazać się niewystarczająco prawowierną, potem nagłe rozwiązanie, które nastąpiło w sierpniu, ogromną ulgę i w końcu wielką pustkę.

Czuła się wtedy tak, jakby wyszła z gęstego, kłującego lasu prosto na zimne, nocne pustkowie.

Pod koniec lat osiemdziesiątych wybrała się ze Staffanem w podróż do Afryki, podczas której odwiedzili między innymi Wodospady Wiktorii na granicy między Zambią i Zimbabwem.

Mieli przyjaciół, którzy pracowali przy zambijskich złożach miedzi i spędzali część czasu w przypominające safari podróży.

Gdy wszyscy znaleźli się w okolicach rzeki Zambezi, Staffan wpadł nagle na pomysł, by zorganizować spływ po wodospadach.

W pierwszej chwili Birgitta się zgodziła, zbladła jednak, gdy następnego dnia zebrali się na brzegu, żeby zasięgnąć informacji, umówić się z organizatorem spływu i podpisać papiery, że robią to na własne ryzyko.

Po pierwszej przeprawie, której trasę uważano za jedną z łatwiejszych i bezpieczniejszych, Birgitta stwierdziła, że jeszcze nigdy w życiu tak bardzo się nie bała.

Była pewna, że wywróci się razem z pontonem, że znajdzie się pod nim i utonie.

Staffan siedział w pontonie, trzymał się linowego relingui cały czas miał tajemniczo się

348

uśmiechać.

Potem, gdy było już po wszystkim i Birgitta omalnie zemdliała z ulgi, Staffan oznajmił, że prawie wcale się nie bał.

Był to jeden z tych nielicznych momentów w trakcie trwania ich małżeństwa, kiedy poczuła, że nie powiedziała jej prawdy.

Niespierała się z nim jednak, szczęśliwa, że żaden z siedmiu pontonów się nie przewrócił i udało jej się nie utonąć.

Teraz, stojąc przed hotelem, doszła do wniosku, że podczas tego okropnego splotu czuła się dokładnie tak samo, jak przez całą wiosnę lato 1968 roku, gdy wraz z Karin Wiman znalazły się wśród Rebeliantów zupełnie poważnie wierzących w to, że szwedzkie masy poderwą się i rozpoczną walkę zbrojną przeciwko kapitalistom i socjaldemokratycznym zdrajcom klasowym.

Stała przed hotelem i patrzyła na rozciągające się przed nią miasto.

Policjanci w niebieskich mundurach pracowali pod wóch, utrzymując porządek w gęstym ruchu drogowym.

Nagle przypomniała sobie jedno z najbardziej absurdalnych wydarzeń czasów tej rebelianckiej wiosny.

Opracowali wieczórkę projekt rezolucji w sprawie, której już teraz nie pamiętała.

Chyba wyrażała ona sprzeciw wobec prób zgniecia prężnie rozwijającego się w tamtych latach w Szwecji Ruchu Solidarności z Wietkongiem, sprzeciwiający się wojnie USA w odległym Wietnamie.

Pierwsze zdanie rezolucji brzmiało: "Nawalnym zgromadzeniu w Lund postanowiono, co następuje".

Walne zgromadzenie?

Z udziałem czterech osób?

Podczas gdy rzeczywistość, stojąca za w chwili obecnej wzrost ruchu chłopskiego jest o naszym wydarzeniu, dotyczyła setek milionów ludzi?

Jak troje studentów i jeden przyszły aptekarz z Lund mogli twierdzić, że stanowią walne zgromadzenie?

W zebraniu brała udział Karin Wiman.

Birgitta nie uczestniczyła w pracach nad rezolucją, przestraszona kuliła się w kącie, marząc, by stać się niewidzialną, Karin od czasu do czasu najmiała, że zgadza się z tym, co mówią inni, ponieważ dokonali "prawidłowej analizy".

W tamtym czasie, gdy szwedzkie mamy lada chwila miały wyjść na ulice i zacząć skandować słowa chińskiego przywódcy, w wyobraźni Birgitty wszyscy Chińczycy mieli szaroniebieskie uniformy, jednakowe czapki, identyczne fryzury i marszczyli z powagą czoła.

Odczasu do czasu, gdy wpadał jej wręce egzemplarz czasopisma "Chiny", nie mogła się nadziwić tym nieustającym ludzom, którzy promieniejący, z błyszczącymi oczami, wznosili ręce ku zesłanemu z nieba bogu.

Wielkiemu Sternikowi, Wiecznemu Nauczycielowi i jak go tam jeszcze zwano, niezgłębionemu Mao.

Czas pokazał, że nie był on wcale tak zagadkowy.

Był politykiem, który z doskonałym wyczuciem odgadywał, co się dzieje w tym gigantycznym kraju.

Aż do uzyskania niepodległości w 1949 roku pozostawał jednym z wybitnych przywódców, którym historycy jakiś czas pozwalali zmienić swój bieg.

Potem jednak jego rządzący spowodowały wiele cierpienia, wywołały chaos i zamieszanie.

Nikt nie mógł wszakże zaprzeczyć, że Mao dołączył, niby nowoczesny cesarz, podźwignąć Chiny do pozycji światowej potęgi.

Teraz, stojąc przed tym lśniącym, wyłożonym marmurami hotelem z elegancko ubranymi i mówiącymi perfekcyjną angielszczyzną recepcjonistami, Birgitta czuła się tak, jakby znalazła się w świecie, o którego istnieniu nie miała pojęcia.

Czy to naprawdę jest społeczeństwo, dla którego wzrost ruchu chłopskiego był olbrzymim wydarzeniem?

Minęło czterdzieści lat, pomyślała.

Więcej niż jedno pokolenie.

Dałam się złapać jak mucha na lep organizacji

350

przypominającej sektę religijną, obiecującą rychłe zbawienie.

Nie namawiano nas do popełnienia zbiorowego samobójstwa z powodu zbliżającego się dnia sądu, ale do porzucenia swojej tożsamości na rzecz grupowego odurzenia, w którym jakaś mała czerwona książka

zastąpiła wszelkie oświecenie.

Była w niej zawarta cała mądrość, odpowiedzi na wszystkie pytania, wyraz wszystkich społecznych i politycznych wizji, których potrzebował świat, by z ówczesnego stadium przejść do stanu, w którym część raju, zamiast wodległym niebie, miałaby się znaleźć na ziemi.

Niepojmowaliśmy jednak wcale, że tekst w książce żył swoim własnym życiem.

Cytaty nie zostały wryte w kamieniu, ale opisywały rzeczywistość.

Czytaliśmy je, tak naprawdę wcale ich nie czytając.

Czytaliśmy, ale nie umieliśmy ich rozszyfrować.

Jakby ta mała, czerwona książeczka była martwym katechizmem, rewolucyjną liturgią.

Rzuciła okiem na mapę i ruszyła ulicą.

Nie umiała zliczyć, ile razy wędrowała po tym mieście w wyobraźni.

W młodości maszerowała jego ulicami anonimowo w wielomilionowym kolektywie, które gromadziły nie pokonać żadne siły faszystowskiego kapitalizmu.

Teraz szła ulicą, szwedzkiej średnim wieku, na zwolnieniu lekarskim z powodu zbyt wysokiego ciśnienia.

Czyżby dotarła wreszcie do miejsca, w którym za ledwie kilka kroków dzieliła od wyśnionej mekki z czasów jej młodości, placu, na którym Mao machał do tłumów, a nawet do kilku studentów siedzących na podłodze mieszkania w Lund i odbywających poważne ze-

branie?

Nawet jeśli tego ranka czuła się zagubiona, ponieważ ujrzała obraz nie odpowiadający jej oczekiwaniom, i tak byłaby pielgrzymem, który osiągnął wymarzony niegdyś cel.

Ziąb był suchy i przejmujący, co jakiś czas musiała osłaniać twarz przed wiatrem niosącym chmury piasku.

W rękę trzymała

351.

plan miasta, choć wiedziała, że aby osiągnąć cel, musi iść przed siebie, wciąż tą samą ulicą.

Po drodze odnalazła w pamięci jeszcze jeden obraz.

Jej ojciec, zanim zabrali go fale w Zatoce Botnickiej u wybrzeży Gavle, pewnego razu był w Chinach.

Pamiętała małą, wyrzeźbioną w drewnie figurkę Buddy, którą przywieźli podarować jej matce.

Teraz figurka stała na biurku Davida, który poprosił kiedyś, by Birgitta mu ją sprezentowała.

W trakcie studiów interesował się buddyzmem, był to jego sposób na walkę z młodzieńczym kryzysem i poczuciem wszechogarniającego bezsensu.

Nigdy więcej nie słyszała od syna nic na temat tęsknoty za religią, ale drewniany Buddau niego pozostał.

Nie wiedziała właściwie, kto jej powiedział, że figurka pochodzi z Chin i została przywieziona przez jej ojca.

Być może historię tę usłyszała od babci, kiedy była jeszcze bardzo mała.

Nagle ojciec wydał jej się bardzo bliski, choć było raczej mało prawdopodobne, by odwiedził Pekin, raczej jedno z wielkich portowych miast na pokładzie statku, który pływał nie tylko po Bałtyku.

Jesteśmy jak małe, niewidzialne, wędrujące lemingi, pomyślała.

Ja i mój ojciec, tego lodowatego poranka, w szarym i obcym Pekinie.

Dotarcie do placu Tiananmen zajęło jej ponad godzinę.

Był to największy plac, jaki kiedykolwiek widziała.

Weszła na niego przez przejście biegnące pod Jianguomennei Daije.

Ruszyła przez plac.

Wokół roilo się od ludzi.

Wszędzie widać było fotografujących turystów, grupy osób powiewających flagami, sprzedawców wody i pocztówek.

Przystanęła i rozejrzała się dokoła.

Ponad nią było zamglone niebo.

Miała wrażenie, że czegoś tu brakuje.

Dopiero pochwilizrozumiała czego.

Gołębi.

Nie było tu gołębi ani żadnych innych ptaków.

Otaczał ją tłum ludzi, który nie zauważyłby, gdyby nagle zniknęła.

Przypomniała sobie zdjęcia tego miejsca z 1989 roku: demonstrację studentów domagających się większej wolności myśli i słowa, sceny ostatecznego stłumienia manifestacji przez masakrujące demonstrantów czołgi.

W tym miejscu stał wtedy mężczyzna z białą plastikową reklamówką, pomyślała.

Cały świat widział go na ekranach telewizorów, patrzył, wstrzymując oddech.

Mężczyzna stanął naprzeciwko czołgui nie chciał zejść mu z drogi.

Jak mały, nic nieznaczący cynowy żołnierz, uosabiał cały opór, jaki zdolny jest stawić człowiek.

Gdy czołg próbował go ominąć, mężczyzna przesunął się znów stawał muna drodze.

Nie wiedziała, co się w końcu stało.

Nigdy tego nie zobaczyła.

Wszyscy jednak, których zgmiotły wtedy gąsienice czołgów lub którzy zostali zastrzeleni przez żołnierzy, byli ludźmi z krwi i kości.

Wydarzenia te stanowiły drugą perspektywę dla jej stosunku do Chin.

Od czasów, gdy była rebeliantką głoszącą w imieniu Mao Tse-Tunga absurdalny pogląd, że wśród szwedzkich studentów w roku 1968 rozpoczęła się rewolucja, do momentu pojawienia się obrazu młodego mężczyzny stojącego przed czołgiem, upłynął spory kawał jej życia.

Był to okres ponad dwudziestu lat, w trakcie których z bardzo młodej idealistki przeobraziła się w matkę czworga dzieci sędzię.

Pamięć o Chinach jednak zawsze jej towarzyszyła.

Najpierw jako marzenie, potem jako zjawisko, którego zupełnie nie rozumiała, ponieważ było tak wielkie i pełne sprzeczności.

U swoich dzieci zaobserwowała zupełnie inny stosunek do tego kraju.

Postrzegały go jako miejsce ogromnych możliwości; w podobny sposób "amerykańskie marzenie" wpływało na pokolenie Birgitty i jej rodziców.

Niedawno David zaskoczył ją, oznajmiając, że gdy tylko urodzą mu się dzieci, znajdzie dla nich chińską opiekunkę, żeby od początku uczyły się języka.

Spacerowała poplacu, przyglądając się fotografującym się nawzajem ludziom i policjantom, którzy cały czas byli tu obecni.

Dotarła do miejsca, w którym w roku 1949 Maoproklamowała republikę.

Wreszcie zmarła i ruszyła wzdłuż drogi powrotnej do hotelu.

Karin obiecała, że zrezygnuje z jednego z oficjalnych lunchów i zje razem z Birgittą.

Na ostatnim piętrze wieżowca, w którym mieścił się hotel, była restauracja.

Dostały stolik przy oknie, przez które widać było panoramę ogromnego miasta.

Birgitta opowiedziała przyjaciółce o swoim spacerze na plac Tiananmen i wszystkich swoich przemyśleniach.

- Jak mogliśmy wtedy w to wierzyć?

- Co masz na myśli?

- To, że Szwecja balansuje na granicy wojny domowej, która ma przerodzić się w rewolucję.

- Gdy mało się wie, wierzy się w różne rzeczy.

Tak było wtedy z nami.

Poza tym karmiono nas kłamstwami.

Pamiętasz Hiszpana?

Birgitta dobrze go pamiętała.

Jednym z przywódców Rebeliantów był charyzmatyczny Hiszpan, który odwiedził Chiny w 1967 roku i widział maszerujących czerwonych gwardzistów.

Nikt nie miał odwagi spierać się z jego naocznym świadectwem i przekonaniem, że w Szwecji możliwa jest rewolucja.

- Co się z nim stało?

Karin Wiman pokręciła głową.

- Nie wiem.

Gdy organizacja przestała działać, zniknął.

Plotka głosi, że został sprzedawcą sedesów na Teneryfie.

Może nie żyje.

A może stał się religijny, bo jakkolwiekby

354

na to patrzeć, w tamtych czasach właśnie taki był.

Wierzył w Mao, tak jak się wierzy w Boga.

Może odzyskał rozsądek?

Zakwitł na kilka krótkich miesięcy i nieźle zamieszał w głowach ludziom, którzy mieli dobre intencje.

- Zawsze tak bardzo się bałam, że okażę się niewystarczająco dobra, że za mało wiem lub powiem coś nieprzemyślanego i zostaną zmuszona do samokrytyki.

- Wszyscy się tego bali.

Może z wyjątkiem Hiszpana, bo on był nieomylny.

Był posłańcem boga z Czerwoną Książeczką Mao w dłoni.

- Ty jednak rozumiałaś tego wszystkiego więcej odemnie.

Poszłaś potem po rozum do głowy i zaangażowałaś się w Partię Lewicy, trzeźwo stąpającą po ziemi.

- To nie było takie proste.

Natknęłam się tam na inny katechizm.

Wciąż rządziłam poglądem, że Związek Radziecki stanowi pewnego rodzaju ideał społeczny.

Bardzo szybko poczułam się tam obca.

- Ale itak było to lepsze niż całkowite wycofanie się, tak jak ja to zrobiłam.

- Oddaliśmy się od siebie.

Nie wiem dlaczego.

- Widocznie nie miałyśmy o czym rozmawiać.

Uszło z nas powietrze.

Przez kilka lat czułam się jak pusta skorupa.

Karin uniosła dłoń.

- Tylko nie zaczniemy się sobą brzydzić.

Nasza przeszłość jest w końcu jedyną przeszłością, jaką mamy.

Nie wszystko, co robiłyśmy, było złe.

Zjadły kilka chińskich przystawek i na zakończenie posiłku zamówiły herbatę.

Birgitta wyjęła broszurę z zanotowanymi na niej znakami, które Karin rozszyfrowała wcześniej jako nazwę szpitala Longfu.

- Mam zamiar poświęcić popołudnie na odwiedzin w tym szpitalu - oznajmiła.

355.

- Dlaczego?

-Dobrze jest mieć jakiś cel, kiedy wędruje się po nieznanym mieście.

Może nim być właściwiecokolwiek.

Gdy nie ma się planu, nogi szybko się męczą.

Nieznam tu nikogo, kogo mogłabym odwiedzić, i niewiem, co tak naprawdę chciałabym zobaczyć.

Może na przykład znajdę tabliczki z tymi znakami.

Wtedy będę mogła wrócić i powiedzieć ci, że miałaś rację.

Pożegnały się przy windach.

Karin śpieszyła się na konferencję, a Birgitta wjechała na dziewiętnaste piętro do ich pokoju i położyła się, żeby trochę odpocząć.

Coś niepokoiło ją już od porannego spaceru.

Była to obawa przed czymś, czego nie potrafiła nazwać.

Otoczona całym tłumem ludzi na ulicy, a teraz sama w anonimowym hotelu w ogromnym Pekinie, czuła się tak, jakby jej tożsamość zaczęła się rozmywać.

Kto tutaj zauważyłby jej zniknięcie?

Kto w ogóle ją tutaj zauważał?

Jak człowiek może żyć, czując, że tak niewiele znaczy?

Wcześniej tylko raz zdarzyło się jej poczuć coś podobnego.

Była wówczas jeszcze bardzo młoda.

Miała wrażenie, że nagle zgubiła swoją tożsamość, że ta zupełnie jej umknęła.

Z niecierpliwością wstała z łóżka i podeszła do okna.

Daleko w dole było miasto i ludzie ze wszystkimi swoimi nieznanymi jej marzeniami.

Ubrała się w pośpiechu i wyszła, zatrząskując za sobą drzwi.

Nakręcała w sobie spiralę strachu, który stawał się coraz bardziej dojmujący.

Poczuła, że musi się ruszyć, spróbować żyć tym miastem.

Karin obiecała jej, że wieczorem zabierze ją na przedstawienie w Operze Pekińskiej.

Z mapy wynikało, że do szpitala Longfu jest dość daleko.

Birgitta miała jednak czas, więc zdecydowała się na spacer prostymi, z pozoru niekończącymi się ulicami.

W końcu

356

doszła do szpitala, minąwszy po drodze duże muzeum sztuki.

Szpital Longfu był kompleksem złożonym z dwóch budynków.

Okna na najniższych piętrach były zabezpieczone kratami, pozostałe miały spuszczone rolety.

Wisiały pod nimi stare skrzynki na kwiaty, z których zwisały zwiędnięte łodygi.

Drzewa otaczające szpital nie miały liści, a pod nimi rozciągały się wyschnięte, wypalone słońcem trawniki, pokryte psimi odchodami.

Longfu bardziej przypominał Birgittie więzienie niż szpital.

Gdy weszła do parku, minęła ją karetka, a po chwili kolejna.

Na słupie stojącym tuż przy głównym wejściu znalazła napisy, które przetłumaczyła Karin.

Porównała je z notatkami z broszury i upewniła się, że dotarła we właściwe miejsce.

Przed drzwiami do budynku stał lekarz w białym kitlu, palił papierosa i głośno rozmawiał przez telefon.

Stał tak blisko, że mogła dostrzec jego żółtkę od nikotyny palce.

To kolejny kawałek historii, pomyślała.

Cóż różniamnie od świata, w którym wówczas żyłam?

Paliliśmy bez przerwy, niemal wszędzie, i nie myśleliśmy o tych, którym od dymu robiło się niedobrze.

Ale nie mieliśmy telefonów komórkowych.

Nigdy nie wiedzieliśmy, gdzie w danej chwili znajdują się nasi przyjaciele, rodzice.

Mao palił, więc robiliśmy to samo.

Wciąż niestrudzeni szukaliśmy budek telefonicznych, w których szczelina na monety nie była zaklejona, a słuchawki oderwane.

Dodziś pamiętam historie opowiadane z zazdrością przez ludzi, którzy odwiedzili Chiny przy okazji najróżniejszych delegacji.

Był to kraj, w którym nie było przestępczości.

Gdy ktoś zostawił szczoteczkę do zębów w hotelu w Pekinie, a potem pojechał do Kantonu i tam zatrzymał się w innym hotelu, odsyłano mu ją i dostarczano do pokoju.

I wszystkie telefony działały.

357.

Wydawało jej się wtedy, że żyje z nosem przyklepionym do szyby, w żywym muzeum, gdzie przyszłość powstaje zaszklęciem, ale równocześnie przed jej oczami.

Wróciła na ulicę zaczęła spacerować wokół kompleksu szpitalnych budynków.

Wszędzie na chodnikach siedzieli starzy mężczyźni i przesuwali pionki na drewnianych planszach.

Kiedyś Birgittie udało się opanować reguły jednej z klasycznych chińskich gier.

Ciekawe, czy Karin pamięta, jak się w nią grało?

Postanowiła, że spróbuje zdobyć grę i zabrać ją do domu.

Obeszła cały teren i skierowała się z powrotem do hotelu.

Przeszła za ledwie kilka metrów, gdy nagle przystanęła.

Coś zwróciło jej uwagę, nie bardzo jednak wiedziała co.

Odwróciła się powoli.

Szpital, ponury park, ulica i pozostałe budynki.

Teraz dziwne uczucie przybrało na sile.

Była pewna, że to niezłudzenie.

Musiała coś przeoczyć.

Wróciła pod główne wejście.

Palącego i rozmawiającego przez telefon lekarza już nie było.

Na jego miejscu stało kilka pielęgniarek, łapczywie zaciągających się dymem.

Zrozumiała, co wywołało jej niepokój, dopiero gdy znalazła się w jednym z narożników parku.

Po drugiej stronie ulicy stał wieżowiec sprawiający wrażenie nowo wybudowanego i luksusowego.

Birgitta wyjęła z kieszeni broszurę z chińskimi znakami.

Budynek na zdjęciach był tym, przed którym się właśnie znalazła.

Nie miała co do tego żadnych wątpliwości.

Na szczycie wieżowca znajdował się taras, jakiego nigdy wcześniej nie widziała.

Sterczał jak dziób statku wysoko nad ziemią.

Przyglądała się budynkowi o szklanej,ciemnoniebieskiejfasadzie.

Przed wysokimi drzwiami głównego wejścia stali uzbrojeni strażnicy.

Zapewne był tobiurowiec, a nie blok mieszkalny.

Birgitta stanęła pod drzewem, żeby schronić się przed przenikliwym wiatrem.

Kilkumężczyzn wyszło przez wysokie drzwi, które wydawały się

358

zrobione z miedzi, i wsiadło do czekających przed budynkiem czarnych samochodów.

Birgitta poczuła nagle pewną pokusę.

Dłonią wyczuła wkieszeni zdjęcie Wanga MinHao.

Jeśli miał coś wspólnego z tym budynkiem, być może widział go któryś ze strażników.

Co jednak miałyby zrobić, gdyby pokiwali głowami i powiedzieli, że jest wewnątrz?

Nie mogła pozbyć się podejrzenia, że ten człowiek jest w jakiś sposób powiązany z morderstwem w Hesjövallen, cokolwiek policjawie natemat Larsa-Erika Valfridssona.

Nie mogła się zdecydować, jak postąpić.

Zanim pokaże zdjęcie strażnikom, musi mieć jakieś wytłumaczenie, powód, dla którego pyta o człowieka z fotografii.

Oczywiście nie mogło to być nic powiązanego z wydarzeniami w Szwecji.

Gdyby któryś z nich o to zapytał, musi mu udzielić wiarygodnej odpowiedzi.

Nagle obok niej stanął młody mężczyzna.

Powiedział coś, ale nic nie zrozumiała.

Po chwili dotarło do niej, że próbuje mówić po angielsku.

- Czy pani się zgubiła?

Mogę jakoś pomóc?

- Oglądam tylko ten ładny budynek - odpowiedziała.

-Wie pan, do kogo należy?

Zdziwiony mężczyzna przecząco pokręcił głową.

- Studiuje weterynarię - wyjaśnił.

- Nie wiem nic o wielkich wieżowcach.

Czy mogę pani jakoś pomóc?

Próbuję nauczyć się lepiej mówić po angielsku.

- Mówi pan bardzo dobrze.

- Mówię bardzo źle, ale jeśli będę ćwiczyć, nauczę się mówić lepiej.

Na moment przyszedł jej do głowy pewien cytat z Mao, ale po chwili pomyślała o czymś innym.

Trening, gotowość, poświęcenie dla narodu.

Bez względu na to, czy hoduje się winie, czy uczy obcego języka.

359.

- Mówi pan trochę za szybko - powiedziała.

- Trudno jest uchwycić wszystkie słowa.

Niech pan mówi wolniej.

- Czy tak jest lepiej?

- To chyba trochę zbyt wolno.

Spróbował raz jeszcze.

Zauważyła, że nauczył się mówić po angielsku mechanicznie, właściwie bez zrozumienia wypowiedzianych słów.

- A teraz?

- Teraz lepiej pana rozumiem.

- Czy pomóc pani znaleźć drogę?

- Nie zabłądziłam.

Zatrzymałam się tu, żeby popatrzeć na ten ładny budynek.

- Tak, jest bardzo ładny.

Wskazała wiszący taras.

- Ciekawe, kto tam mieszka?

- Ktoś bardzo bogaty.

Nagle podjęła szybko decyzję.

- Chciałabym poprosić pana o przystługę - powiedziała.

Wyjęła z kieszeni fotografię Wanga Min Hao.

- Czy mógłby pan podejść do strażników i zapytać ich, czyznają tego mężczyznę?

Jeśli będą chcieli wiedzieć, dlaczego pan pyta, proszę powiedzieć, że ktoś poprosił pana o przekazanie mu wiadomości.

- Jakiej wiadomości?

- Niech pan powie, że musi po nią pójść.

Wtedy wróci pandomnie.

Czekam przed głównym wejściem do szpitala.

Nieznajomy zadał jej wreszcie pytanie, na które czekała.

- Dlaczego sama pani ich nie zapyta?

- Nie mam śmiałości.

Wydaje mi się, że samotna kobieta z Europy nie powinna podchodzić do obcych ludzi i wypytywać o mężczyznę z Chin.

- Zna go pani?

360

- Tak.

Birgitta starała się zrobić możliwie jak najbardziej obojętną minę, równocześnie załując już swojego nagłego impulsu.

Młody człowiek jednak wziął od niej fotografię, gotów spełnić jej prośbę.

- Jeszcze jedno - powiedziała.

- Proszę zapytać, kto tam mieszka.

Tam, na samej górze, w tym budynku.

To wygląda jak mieszkanie z dużym tarasem.

- Mam na imię Huo - odparł.

- Zapytam ich.

- A ja Birgitta.

Niech pan udaje, że pyta pan z ciekawości.

- Skąd pani pochodzi?

Z USA?

- Ze Szwecji.

Rui Dian, tak to się chyba nazywa po chińsku.

- Nie wiem, gdzie to jest.

-To prawie niemożliwe do wytłumaczenia.

GdyHuo odwrócił się iruszył przez ulicę, Birgitta szybkimkrokiemposzła pod główne wejście do szpitala.

Pałących pielęgniarek już nie było.

Przez otwarte drzwipowoli przeszedł staruszek o kulach.

NagleBirgittapoczuła, że naraża się na niebezpieczeństwo, ale starała się uspokoić,przekonując samą siebie, że nic nie może jej zagrażać naulicy pełnej ludzi.

Być może człowiekowi, który zamordowałkilkanaście osób wmałej wioscew Szwecji, uda się wymknąć uniknąć kary.

Z pewnością jednak nie udałoby się to nikomu, ktow środku dnia zabiłby zwiedzającego miasto turystę Zachodu.

Na to Chinynie mogły sobie pozwolić.

Mężczyzna o kulach nagle się przewrócił.

Żaden z młodych policjantówstrzegących wejścia nieruszył się zmiejsca.

Birgittazawahałasię na moment, ale po chwili pomogłastaruszkowi.

Z jego ust popłynął potok słów, których niemogła zrozumieć.

Nie potrafiła też odgadnąć, czyjest jej

wdzięczny, czy zły.

Czuć był od niego silny zapach przypraw lub alkoholu.

Powoli poszedł dalej, przez park, w kierunku ulicy.

Nawet on ma tu gdzieś swój dom, pomyślała.

Rodzinę, przyjaciół.

Za młodu wspólnie z Mao pracował nad tym, by ten ogromny kraj mógł zapewnić każdemu parę butów.

Czy wkład człowieka naprawdę może być większy?

Dbanie o to, by niknie marzył w stopy nie chodził nagi głodny?

Po chwili wrócił Huo.

Szedł powoli, nie oglądając się za siebie.

Birgitta wyszła mu na spotkanie.

Przecząco pokręcił głową.

- Żaden z nich go nie widział.

- Nikt nie wie, kim on jest?

- Nikt.

:

- A komu pokazał pan to zdjęcie?

- Strażnikom.

I jeszcze jednemu mężczyźnie, który wychodził z budynku.

Miał na nosie okulary słoneczne.

Czy dobrze to wymawiam "okulary słoneczne"?

- Bardzo dobrze.

Dowiedział się pan, kto mieszka na najwyższym piętrze?

- Nie odpowiedzieli.

-Ale ktoś tam mieszka?

- Myślę, że tak.

Nie spodobało im się to pytanie.

- Dlaczego?

-Powiedzieli, że bym odszedł.

-I co pan zrobił?

Huo spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Odszedłem.

Birgitta wyjął z torebki banknot dziesięciodolarowy.

Musiła przez chwilę namawiać młodego człowieka, by go przyjął.

Oddał jej zdjęcie Wanga Min Hao i zapytał, w którym hotelu się zatrzymała.

Upewnił się, że Birgitta

362

na pewno do niego trafi, i w końcu pożegnał ją grzecznym ukłonem.

W drodze powrotnej ponownie ogarnęło ją nieprzyjemne uczucie, że zostanie pochłonięta przez otaczający ją tłum ludzi i nikt nie zauważy jej zniknięcia.

Dostała zawrotu głowy tak silnego, że musiała się zatrzymać i oprzeć o ścianę budynku.

W pobliżu zauważyła herbaciarnię.

Weszła do niej, zamówiła herbatę i kilka ciastek.

Próbowała dojść do siebie, robiąc długie, głębokie wdechy.

Był to jeden z znanych jej ataków paniki, które miewała przez ostatnie kilka lat.

Zawroty głowy, uczucie, że zaraz się przewróci.

Długa podróż do Pekinu nie uwolniła jej od niepokoju, który w sobie nosiła.

Pomyślała o Wangu.

Dotąd mogła go śledzić, ale natym koniec.

Uderzyła w stół niewidzialnym młotkiem sędziowskim, ogłaszając wyrok dla samej siebie.

Dosyć tego.

Nieznajomy młody człowiek kiepsko mówiący po angielsku pomógł jej zejść najdalej, jak to było możliwe.

Uregulowała rachunek, dziwiąc się, że jest tak wysoki, wyszła i znów trafiła w objęcia zimnego wiatru.

Wieczorem udała się wraz z Karin do teatrum mieszczącego się w dużym hotelu Qianmen.

Mimo że widzowie nierozumiejący chińskiego mogli korzystać z słuchawek, Karin zadbała o dodatkowych tłumaczy.

Przez cztery godziny przedstawienia Birgitta Roślin siedziała pochylona w stronę młodej tłumaczki, szepcząc jej do ucha momentami niezrozumiałe streszczenie wydarzeń rozgrywających się na scenie.

Już w chwili po rozpoczęciu spektaklu poczuł wraz z Karin rozczarowanie, zorientowawszy się, że składa się on z fragmentów różnych klasycznych oper pekińskich, co prawda na najwyższym poziomie, ale ze szczególnym przeznaczeniem dla turystów.

Gdy przedstawienie dobiegło

363.

końca, z ulgą opuściły wychłodzoną salę, obydwie z zeszywniałymi karkami.

Przed hotelem musiały chwilę zaczekać na samochód, który organizatorzy kongresu oddali Karin do dyspozycji.

Birgittie wydało się nagle, że dostrzegaw tłumie Huo, młodego nieznanego, który zagadnął ją po angielsku.

Trwało to zaledwie chwilę, tak krótką, że nim zdążyła przyjrzeć się jego twarzy, zniknął.

Kiedy wracały do hotelu, nerwowo spozrzała za siebie.

Nikogo jednak nie zauważyła.

Nikogo, kto wydawałby się jej znajomy.

Nagle zadrżała.

Ogarnął ją nagły, niespodziewany strach.

To był Huo.

Była pewna, że to jego widziała przed teatrem.

Karin zapytała, czy ma jeszcze ochotę na jednego drinka przed snem.

Birgitta zgodziła się.

Po godzinie Karin zasnęła.

Birgitta zaś stała przy oknie i patrzyła przed siebie, ponad migoczącym neonem.

Niepokój jej nie opuścił.

Skąd Huo mógł wiedzieć, że ona tam będzie?

Dlaczego ją śledził?

Gdy w końcu weszła do łóżka i ułożyła się obok śpiącej przyjaciółki, zaczęła żałować, że pokazała Huo zdjęcie Wanga Min Hao.

Było jej zimno.

Przez długi czas nie mogła zasnąć.

Pekińska zimowa noc otoczyła ją swoim chłodem.

Następnego dnia padał rzadki śnieg.

Karin wstała już o szóstej, by poczynić ostatnie przygotowania do wykładu, który miała wygłosić.

Gdy Birgittę obudziła, zobaczyła przy

jaciółkę siedzącą na krześle przy oknie, w świetle stojącej napodłodze lampy.

Na zewnątrz było jeszcze ciemno.

Poczuła lekkie ukłucie zazdrości.

Karin wybrała życie pełne podróży spotkań z innymi kulturami.

Jej życie natomiast toczyło się w salach sądowych, gdzie miała miejsce ustała walka między prawdą i kłamstwem, czyimś widzeniem i sprawiedliwością, a jej rezultat był niejasny i często beznadziejny.

Karin zorientowała się, że Birgitta nie śpi, i spojrzała na nią.

- Pada śnieg - powiedziała - ale lekki i drobny.

W Pekinie nigdy nie pada ciężki śnieg.

Jest lekki, ale zarazemstry, jak piasek z pustyni.

- Jesteś bardzo pilna.

Wstała tak wcześnie.

- Denerwuję się.

Tyle osób będzie mnie słuchać szukać w moim wystąpieniu jakichś błędów.

Birgitta usiadła na łóżku i ostrożnie pokręciła głową.

- Wciąż mam zeszywniały kark.

- Opery pekińskie wymagają wytrzymałości fizycznej.

- Chętnie zobaczę jeszcze jedną, ale bez tłumacza.

Karin wyszła zaraz po siódmej.

Umówiły się, że spotkają się wieczorem.

Birgitta spała jeszcze godzinę, a gdy skończyła śniadanie, była już dziewiąta.

Niepokój z poprzedniego dnia minął, doszła do wniosku, że twarz, która wczoraj po spektaklu wydała jej się znajoma, musiała być przywidzeniem.

Czasem jej wyobraźnia dokonywała wolt, które ją zaskakiwały, choć powinna być się już do tego przyzwyczać.

Siedziała w przestronnej recepcji i patrzyła na poruszające się bezszelestnie jak duchy sprzętaczkę, omiatające zkurzumarmurowe filary.

Zirytował ją własny brak inicjatywy, postanowiła więc, że poszuka domu towarowego, w którym będzie mogła kupić grę planszową.

Poza tym obiecała Staffanowi, że przywiezie mu przyprawę.

Młody recepcjonista

365.

narysował jej na mapie trasę do sklepu, w którym miały znaleźć jedno i drugie.

Wymieniwszy pieniądze w mieszczącym się hotelu banku, wyszła na ulicę.

Chłód nieczelżał, w powietrzu wirowały drobne płatki śniegu.

Zastłoniła nosi ustaszalikiem i ruszyła drogę.

Po kilku minutach zatrzymała się i rozejrzała.

Mijali ją przechodnie w różnych kierunkach.

Przyglądała się tym, którzy stali w miejscu, palili, rozmawiali przez telefony lub po prostu stali i czekali.

Nigdzie nie dostrzegła żadnej znajomej twarzy.

Dojście do domu towarowego zajęło jej niemal godzinę.

Znajdował się przy deptaku o nazwie Wangfujing Dajie.

Był to ogromny budynek, a gdy weszła do środka, sprawił na niej wrażenie labiryntu.

Natychmiast otoczyło ją morze ludzi.

Zauważyła, że przechodzący obok obrzucają ją z ciekawymi spojrzeniami i komentują jej ubiór i wygląd.

Na próżno szukała jakichś tabliczek informacyjnych po angielsku.

Gdy wreszcie udało jej dotrzeć do ruchomych schodów, zorientowała się, że kilku ekspedientów próbuje ją przywołać łamaną angielszczyzną.

Na trzecim piętrze znalazła dział z książkami, artykułami papierniczymi i zabawkami.

Zagadnęła młodą ekspedientkę, która w przeciwieństwie do personelu hotelowego nie rozumiała po angielsku.

Dziewczyna powiedziała coś do krótkofalówki i po chwili pojawił się obok niej uśmiechnięty starszy mężczyzna.

- Gra planszowa - powiedziała Birgitta.

- Gdzie ją znajdziesz?

- Madżong?

Zaprowadził ją na inne piętro, gdzie nagle znalazła się wśród regałów wypełnionych różnymi

grami.

Wybrała dwie, podziękowała za pomoc i udała się do jednej z kas.

Gdy gry

366

zostały już zapakowane i wsadzone do dużej kolorowej reklamówki, poszła do działu spożywczego.

Tam, kierując się wyłącznie węchem, wybrała kilka przypraw w małych ładnych papierowych torebkach.

W końcu usiadła w kawiarni znajdującej się bliskowyciska.

Wypiła herbatę i zjadła chińskie ciastko, tak słodkie, że z trudem zdołała je przełknąć.

Dwoje dzieci podeszło doniej i przez chwilę obserwowało ją z uwagą, zanim zostały ostro przywołane przez matkę siedzącą przy sąsiednim stoliku.

Już miała wstać od stolika i odejść, gdy nagle znów ogarnęło ją dziwne uczucie, że jest obserwowana.

Rozejrzała się dookoła po otaczających ją twarzach, lecz i tym razem nikogo nie rozpoznała.

Wyrzucając sobie, że poddaje się takim złudzeniom, opuściła dom towarowy.

Ponieważ siatka była ciężka, wzięła taksówkę do hotelu i zaczęła się zastanawiać, co zrobić z resztą dnia.

Z Karin miała się spotkać dopiero późnym wieczorem, po obowiązkowej uroczystej kolacji, od której nie udało jej się wymówić.

Zostawiła zakupy w hotelu i postanowiła zwiedzić muzeum sztuki, które mijiała poprzedniego dnia.

Znała już drogę.

Pamiętała też, że przechodziła wówczas obok kilku restauracji, więc jeśli zgłodnieje, będzie mogła w jednej z nich zjeść obiad.

Tymczasem śnieg przestał padać i przez chmury zaczęło się przedzierać słońce.

Nagle Birgitta poczuła się młodsza i bardziej energiczna niż rano.

Jestem w tej chwili swobodnie toczącym się kamieniem.

O tym właśnie marzyliśmy, gdy byliśmy młodzi, pomyślała.

Toczący się kamień zesztywniałym karkiem.

Główny budynek muzeum wyglądał jak pagoda z niewielkimi gzymsami i strzelistymi elementami dachu.

Zwiedzający wchodził do środka przez dwoje potężnych drzwi.

Ponieważ muzeum było bardzo duże, Birgitta postanowiła zwiedzić

367.

jedynie parter.

Znajdowała się tam wystawa przedstawiająca sztukę propagandową Armii Ludowo-Wyzwoleńczej.

Większość obrazów była namalowana w wyidealizowanej manierze, którą znała z publikacji o Chinach z lat sześćdziesiątych.

Było tam jednak również malarstwo niefiguratywne, przedstawiające w ostrych barwach wojnę i chaos.

Zewsząd otaczali Birgittę strażnicy i przewodnicy, przeważnie młode kobiety w ciemnoniebieskich uniformach.

Spróbowała zagadnąć kilka z nich, ale żadna nie mówiła po angielsku.

Spędziła w muzeum kilka godzin i gdy ponownie wyszła na ulicę, była już prawie trzecia.

Rzuciła okiem na szpitali widniejący za nim wieżowiec zwisającym tarasem.

Zaraz obok muzeum znalazła niewielką restaurację.

Wskazała na katalerzy zjedzeniem, stojących na stolikach innych gości, dostała miejsce przy narożnym stoliku.

Wskazała również na butelkę z piwem.

Dopiero gdy pociągnęła pierwszy łyk, poczuła, jak bardzo chciało jej się pić.

Zjadła zdecydowanie za dużo, wypiła więc dwie mocne herbaty, by pozbyć się uczucia ciężkości w żołądku spowodowanej obfitym posiłkiem senności.

Przeglądała pocztówki z reprodukcjami chińskich obrazów, których sporo kupił w muzeum.

Nagle poczuła, że to, co zobaczyła w Pekinie, już jej wystarczy, pomimo że jest w tym mieście dopiero od dwóch dni.

Była niespokojna, tęskniła za pracą, miała wrażenie, że czas przecieka jej przez palce.

Nie mogła dłużej spacerować po tym mieście.

Teraz, gdy kupiła już grę i przyprawy, brakowało jej celu.

Plan, pomyślała.

Najpierw do hotelu, potem odpoczynek, następnie porządny plan.

Mam tu spędzić jeszcze pięć dni.

Tylko przez ostatnie dwa towarzyszy mibędzie Karin.

368

Gdy wyszła na ulicę, słońce znów schowało się za chmurami.

Odrązu zrobiło się chłodniej.

Otuliła się mocniej kurtką oddychała przez szalik.

W pewnym momencie podszedł do niej mężczyzna z nożyczkami i kartką papieru w dłoni.

Łamaną angielszczyzną poprosił ją, by pozwoliła mu wyciąć z papieru swój profil.

Z teczki z plastikowymi kieszeniami wyjął inne wycinanki, by jej pokazać, o co mu chodzi.

W pierwszej chwili odruchowo chciała powiedzieć nie, ale zmieniła zdanie.

Zdjęła czapkę, zsunęła szaliki ustawiła się profilem.

Wycinanka była zaskakująco dobra.

Gdy mężczyzna poprosił ją o pięć dolarów, dała mu dziesięć.

Był stary i miał bliznę na policzku.

Gdyby mogła, wysłuchałaby jego historii.

Schowła wycinankę do torebki,

obydwoje skłonili się na pożegnanie i poszli każde w swoją stronę.

Atak nastąpił tak nagle, że Birgitta nie zdążyła się nawet zorientować, co się dzieje.

Poczuła rękę łapiącą ją za gardło i odchylającą do tyłu, równocześnie ktoś wyrwał jej torebkę.

Gdy krzyknęła i próbowała ją przytrzymać, uścisk na gardle stał się mocniejszy.

Dostała cios w brzuch, który na chwilę odebrał jej oddech.

Upadła, nie zauważywszy nawet napastników.

Wszystko działo się w zawrotnym tempie, trwało niecałe dziesięć-piętnaście sekund.

Pomogli jej wstać przejeżdżający obok rowerem mężczyzna oraz kobieta, która odłożyła na bok siatki z zakupami.

Birgitta nie była w stanie utrzymać się na nogach.

Ugięły się pod nią kolana i zemdlą.

Kiedy się ocknęła, leżała na noszach w jadącej na sygnalekaretce pogotowia.

Lekarz przyciskał jej do piersi stetoskop.

Wciąż jeszcze nie wiedziała, co się wydarzyło.

Pamiętała, że zniknęła jej torebka.

Ale dlaczego wiezie ją karetka?

Spróbo369.

wała zapytać o to lekarza, lecz odpowiedział po chińsku.

Z jego gestów wywnioskowała, że ma się nie ruszać i być cicho.

Bolało ją zmalretowane gardło.

Może jest poważnie ranna?

Ta myśl przeraziła ją.

Mogła zostać zabita na ulicy.

Napastnicy nie zawahali się, mimo że był środek dnia, i zrobili to na ruchliwej ulicy, pełnej ludzi.

Rozpłakała się.

Reakcją lekarza było natychmiastowe zbadanie jej pulsu.

W tym momencie karetka nagle się zatrzymała i jej drzwi otworzyły się na oścież.

Birgittę przełożono na nosze i powieszono bardzo jasno oświetlonym korytarzem.

Teraz płakała już niepowstrzymanie.

Ledwie się zorientowała, że podano jej zastrzyk uspokajający.

Poczuła, że odpływa, otoczona twarzami Chińczyków, zdających się pływać w tej samej wodzie co ona; głowy unoszące się na powierzchni, czekające, by przyjąć Wielkiego Sternika, który miał przybyć na plażę po długiej rundzie pływania.

Gdy ponownie się ocknęła, znajdowała się w pokoju z zasłoniętymi oknami i przytłumionym światłem.

Nakrzesło przy drzwiach siedział mężczyzna w mundurze.

Spostrzegłszy, że już nie śpi, wstał i wyszedł.

Po chwili do pokoju weszło dwóch innych mężczyzn, również ubranych w mundury.

Towarzyszył im lekarz, który odezwał się do Birgitty po angielsku, z amerykańskim akcentem.

- Jak się pani czuje?

- Nie wiem.

Jestem zmęczona.

Boli mnie gardło.

- Zbadaliśmy panią bardzo dokładnie.

Wyszła paniz tegonieszczęśliwego zdarzenia bez szwanku.

- Dlaczego tujestem?

Chcę wrócić do mojego hotelu.

Lekarz pochylił się nadnią i zbliżył twarz do jej twarzy.

- Najpierw musi z panią porozmawiać policja.

Nie lubimy, gdy osoby odwiedzające nasz kraj spotyka coś takiego.

To

370

dla nas wielki wstyd.

Ci, którzy dopuścili się tej brutalnej napaści na panią, muszą zostać złapani.

- Ale ja nic nie widziałam.

-To nie ze mną będzie pani o tym rozmawiać.

Lekarz wyprostował się i skinął na mundurowych, którzy przysunęli stołki bliżej łóżka.

Jeden z nich, ten, który tłumaczył, był młody, pytania zadawał drugi, po sześćdziesiątce.

Miał przyciemnione okulary, więc Birgitta nie mogła uchwycić jego spojrzenia.

Zaczął pytać, nie przedstawiwszy ani siebie, ani kolegi.

Birgitta czuła, że ten człowiek jej nie

lubi.

- Musimy wiedzieć, co pani widziała.

-Nic.

To się działo zbyt szybko.

- Świadkowie zgodnie zeznali, że ci dwaj mężczyźni niebyli zamaskowani.

-Nie zorientowałam się nawet, że było ich dwóch.

- Co zapamiętała pani z tego zdarzenia?

-Zaciśnięto mi rękę na gardle.

Od tyłu.

Wyrwali mitorebkę i uderzyli mnie w brzuch.

- Muszę wiedzieć wszystko, co pani powiedziała o tych dwóch mężczyznach.

-Ale ja ich nie widziałam.

- Żadnych twarzy?

-Żadnych.

- Słyszała pani ich głosy?

-Nie wydaje mi się, żeby cokolwiek mówili.

- Co wydarzyło się tuż przed tym, jak panią napadnięto?

-Jakiś człowiek wyciął z papieru mój profil.

Zapłaciłam mu i poszłam dalej.

- A kiedy wycinał, nic pani nie widziała?

-Cotakiego mogłabym widzieć?

371.

- Kogoś, kto czekał?

-Ile razy mam powtarzać, że nic nie widziałam.

Gdy tłumacz przełożył jej słowa, policjant pochylił się kuniej i podniósł głos.

- Zadajemy te pytania, ponieważ chcemy złapać ludzi,którzy paniąnapadli iukradli pani torebkę.

Dlatego proszęodpowiadać na pytania inie tracić cierpliwości.

Poczuła się tak, jakby wymierzono jej serię szybkichpoliczków.

- Mówiętak,jak było.

-Co miała paniw torebce?

- Trochę pieniędzy chińskich, trochę amerykańskich dolarów.

Grzebień, chusteczkę do nosa, kilkatabletek, długopis.

nic ważnego.

- Pani paszport znaleźliśmy w wewnętrznej kieszeni kurtki.

Jest pani Szwedką?

Dlaczego pani tu przebywa?

- Przyjechałamz przyjaciółką na wakacje.

Mężczyzna przezchwilę się zastanowił.

Twarz miałnieruchomą.

- Nie znaleźliśmy żadnej wycinanki - powiedział pochwili.

-Byłam torebce.

- Nie powiedziała pani tego, kiedy pytałem.

Czy było tamcoś jeszcze, oczym pani zapomniała?

Pomyślałachwilę i pokręciła głową.

Przesłuchanie dobiegło końca.

Starszy policjant powiedział coś i wraz z kolegą opuścił pokój.

- Gdy poczuje się pani lepiej, zostanie pani odwieziono do hotelu.

Potem odszukamy panią, żeby zadać dodatkowe pytania i spisać protokół.

Tłumacz wymienił nazwę hotelu, mimo że Birgitta nic o tym nie powiedziała.

372

- Skąd wiecie, w jakim hotelu się zatrzymałam?

Kluczy był w mojej torebce.

- Tak rzeczy wiemy.

Uklonił się i wyszedł.

Zanim drzwi się zamknęły, w pokoju

zjawił się lekarz mówiący z amerykańskim akcentem.

- Będzie nam pani jeszcze przez chwilę potrzebna - powiedział.

- Pobranie krwi, opis zdjęć rentgenowskich.

Potem może pani wrócić do hotelu.

Zegarek, pomyślała.

Jego nie zabrali.

Sprawdziła godzinę.

Za piętnaście piąta.

- Kiedy pojedę do hotelu?

- Wkrótce.

- Moja przyjaciółka będzie się niepokoić.

- Zapewnimy pani transport.

Zależy nam na tym, żeby; nasi zagraniczni goście nie wątpili w naszą gościnność i troskę, mimo że czasem spotykają ich nieprzyjemności.

Została sam w pokoju.

Gdzieś z oddali usłyszała krzyk.

Samotny, wędrujący korytarzem krzyk człowieka.

Wciąż myślała o tym, co się stało.

O tym, że została napadnięta, świadczyło jedynie obolałe gardło i strata torebki.

Resztawydawała jej się nieprawdopodobna.

Nagły szok, gdy została od tyłu złapana za szyję, potem cios w brzuch i w końcu ludzie, którzy jej pomogli.

Musieli jednakcoś wiedzieć, pomyślała.

Czy policja ich o to zapytała?

Czywciąż byli na miejscu, gdy przyjechała'karetka?

A może policja dotarła pierwsza?

Nigdy przedtem,przez całe swoje życie, nie została napad'; nięta.

Grożono jej, ale nikt nigdy fizycznie jej nie zaatakował.

Uderzenie w brzuch było pierwszym przejawem przemocy, z jakim się spotkała.

Skazywałaludzi, którzy kogoś zastrzelili lub zasztyletowali.

Jednak nigdy dotąd niepoczuła, jak to jest, gdy nogi uginająsię pod ciosem.

373.

Musiałam pojechać na drugi koniec świata, by to przeżyć, pomyślała.

Akurat tu, gdzieniema prawa zginąć nawetszczoteczka do zębów.

Czy wciąż się boi?

Tak, odpowiedziała sama sobie.

Nauczyła się tego przezte wszystkie lata bycia sędzią.

Obrabowanylub napadnięty człowiek nie potrafił zapomnieć.

Strach mógłutrzymywać się przez długiczas, czasem nawet przez resztężycia.

Birgitta nie chciała,by to się jej przytrafiło.

Nie pragnęłaskończyć jako bojące się ciemności stworzenie, niemająceodwagi wyjść na ulicę bez ciągłego oglądania się za siebie.

Postanowiła, że opowie wszystko Staffanowi, kiedy tylkodotrze do domu.

Przedstawi mu trochę złagodzoną wersję zdarzenia, ale będzieprzynajmniej wiedział, z jakiegopowodu Birgitta czasem niespodziewanie zadrży na ulicy.

Czuła, że przechodzi kolejne stadia reakcji, typowe dlawszystkich ofiar napadów.

Strach, ale zarazemi gniew,upokorzenie, smutek.

I chęć zemsty.

Wtej chwili, leżąc na szpitalnym łóżku,nie zaprotestowałaby, gdyby mężczyzn, którzyna nią napadli,rzucono na kolana i strzelono imw głowę.

Do pokoju weszła pielęgniarka, bypomóc jej się ubrać.

Birgittę bolał brzuch i miała otarte jednokolano.

Gdy pielęgniarka dała jej grzebień i przytrzymała przed nią lustro, bymogła się uczesać, spostrzegła, jakbardzo jest blada.

A więctak wyglądam, gdy bardzo sięboję, pomyślała.

Nigdy tegonie zapomnę.

Kiedy po chwili do pokoju wszedł lekarz,siedziała już nałóżku, przygotowana na powrót do hotelu.

- Bólgardła minie, być może już jutro - powiedział.

-Dziękuję za pomoc.

Jak dotrę do hotelu?

- Policja panią odwiezie.

Wkorytarzu czekało na nią trzech policjantów.

Jeden miał przy sobie wywołującą dreszcz broń automatyczną.

Zjechali

374

na dół windą, po czym wsiedli do radiowozu.

Birgitta niewiedziała, gdzie jest, nie znała nawet nazwy szpitala, w którym udzielono jej pomocy.

Wydawało jej się, że w oddalidostrzega Zakazane Miasto, nie była jednak pewna.

Radiowóz miał wyłączone syreny.

Odetchnęła z ulgą.

Nie zostanie przywieziona pod hotel na sygnale.

Wysiadła przed głównym wejściem, a radiowóz natychmiast odjechał.

Niezdążyła się nawet obejrzeć.

Wciąż nie mogła się nadziwić, skąd wiedzieli, w którym hotelu się zatrzymała.

W recepcji wyjaśniła, że zgubiła plastikowy klucz do pokoju, i zaraz otrzymała nowy.

Stało się to tak szybko, że miała wrażenie, jakby zapasowy klucz był już przygotowany i tylko na nią czekał.

Kobieta w recepcji była uśmiechnięta.

Ona wie, pomyślała Birgitta.

Policja tu była, poinformowała ich o napadzie i przygotowała na mój powrót.

Idąc w kierunku wind, doszła do wniosku, że powinna być wdzięczna, zamiast wdzięczności czuć jednak niechęć.

Uczucie to nie opuściło jej, gdy weszła do pokoju.

Zrozumiała, że ktoś w nim był, i nie było to tylko sprzątaczką.

Mogła to też być Karin, która wpadła tu na chwilę, żeby coś zabrać lub się przebrać.

Birgitta nie mogła wykluczyć tej możliwości.

A właściwie dlaczego policja nie miała by jej złożyć dyskretnej wizyty?

W Chinach muszą istnieć jakieś służby bezpieczeństwa, stale obecne, choć nie zawsze widoczne.

Niezanego gościa zdradziła reklamówka z grami planszowymi i przyprawami.

Birgitta od razu zauważyła, że przełożono ją w inne miejsce.

Rozejrzała się po pokoju, powoli, by nic nie umknęło jej uwadze.

O tym, że ktoś tu był i niezatarł śladów, świadczyła jedynie reklamówka.

Birgitta przeszła do łazienki.

Kosmetyczka leżała tak, jak ją rano zostawiła.

Nic z niej nie zginęło.

Wróciła do pokoju i usiadła w fotelu przy oknie.

Jej walizka leżała na ziemi z otwartym zamkiem.

Wstała i zaczęła przeglądać jej zawartość, wyjmując wszystko po kolei.

Jeśli ktoś przeglądał rzeczy, zrobił to tak, by nie pozostawić żadnych śladów.

Dopiero dotarwszy do samego dna walizki, Birgitta zeszywniała ze zdumienia.

Powinna tam leżeć latarka i paczka zapalek.

Zabierała je ze sobą w każdą podróż, od dnia, gdy rok po ślubie ze Staffanem wybrała się na Maderę i przytrafiła jej się awaria prądu, trwająca ponad dobę.

Była wieczornym spacerze wzdłuż stromego skalistego wybrzeża skraj Funchalu, gdy nagle ogarnęła ją nieprzenikniona ciemność.

Dojście po omacku do hotelu zajęło jej kilkadziesiąt minut.

Od tego czasu zawsze miała w walizce latarkę i zapalki.

Pudełko pochodziło z restauracji w Helsingborgu i miało zieloną etykietę.

Birgitta jeszcze raz przeszukała wszystkie ubrania, ale nie znalazła zapalek.

A może włożyła je do torebki?

Czasem tak robiła.

Tym razem jednak nie pamiętała, by wyjmowała je z walizki.

Ale kto zabrałby paczkę zapalek z przeszukiwanego tajemnicy pokoju?

Wróciła do fotela przy oknie.

Ostatnią godzinę w szpitalu, pomyślała.

Już wtedy wydawało mi się, że nie byłam tam potrzebna.

Na wynik jakich badań mieli właściwie poczekać?

Może po prostu musieli przetrzymać mnie w szpitalu, żeby policja mogła w spokoju przeszukać mój pokój?

Ale dlaczego?

To w końcu mnie napadnięto.

Ktoś zapukał do drzwi.

Wzdrygnęła się.

Przez wizjer zobaczyła stojących pod drzwiami policjantów.

Otworzyła niepewnie.

Były to nowe osoby, żadnej z nich nie spotkała w szpitalu, wśród nich kobieta, niska, mniej więcej w wieku Birgitty.

Policjantka odezwała się pierwsza.

376

- Chcemy się tylko upewnić, że wszystko w porządku.

- Dziękuję.

Kobieta wykonała gest, który Birgitta odczytała jako prośbę o pozwolenie na wejście do pokoju.

Odsunęła się, by ją przepuścić.

Jeden z policjantów został za drzwiami, drugi stanął tuż za progiem.

Kobieta podeszła do okna.

Na stole położyła teczkę.

Coś w zachowaniu policjantki zdziwiło Birgittę, nie mogła jednak odgadnąć, co to takiego.

- Chciałabym, żeby rzuciła pani okiem na kilka zdjęć.

Mamy zeznania świadków, być może wiemy, kto dokonał napadu.

- Ale co ja takiego widziałam?

Rękę?

Jak mam kogoś zidentyfikować po ręce?

Policjantka jej nie słuchała.

Wyjęła kilka fotografii i rozłożyła je na stole.

Na wszystkich były twarze młodych mężczyzn.

- Być może coś pani widziała, ale o tym nie pamięta.

Birgitta zrozumiała, że nie ma sensu protestować.

Przeglądała fotografie, myśląc, że ci młodzi ludzie być może popełnią kiedyśbrodnie i zostaną straceni.

Oczywiście nierozpoznała żadnego z nich.

Pokręciła głową.

- Nigdy ich nie widziałam.

-Jest pani pewna?

- Tak, jestem pewna.

-Żadnego z nich?

- Żadnego.

Kobieta włożyła zdjęcia do teczki.

Birgitta zauważyła, że policjantka ma obgryzione paznokcie.

- Złapiemy ludzi, którzy na panią napadli - powiedziała, zanim wyszła z pokoju.

- Jak długo będzie panijeszczew Pekinie?

- Cztery dni.

377.

Kobieta skinęła głową, ukloniła się i wyszła.

Doskonale o tym wiesz, pomyślała wzburzona Birgitta, zamykając drzwi na łańcuch.

Że zostanie tu jeszcze cztery dni.

Dlaczego pytasz o coś, co wiesz?

Nie nabierzesz mnie.

Podeszła do okna i popatrzyła w dół, na ulicę.

Policjanci wyszli i wsiedli do samochodu, który natychmiast odjechał.

Położyła się na łóżku.

Wciąż nie mogła sobie uprzytomnić, co ją zdziwiło, gdy policjantka weszła do pokoju.

Zamknęła oczy i pomyślała, że powinna zadzwonić do domu.

Gdy się obudziła, za oknem było już ciemno.

Ból gardła powoli mijał, choć napad wydawał jej się w tej chwili jeszcze bardziej przerażający.

Ogarnęło ją dziwne uczucie, jakby jeszcze się nie wydarzył.

Sięgnęła po telefon komórkowy i zadzwoniła do Helsingborga.

Staffana nie było w domu, nie odbierał też komórki.

Nagrała wiadomość, zastanowiła się przez chwilę, czy zadzwonić do dzieci, ale w końcu zrezygnowała.

Wróciła myślami do swojej torebki.

W myśli wyliczyła wszystkie rzeczy, które w niej były.

Straciła sześćdziesiąt dolarów.

Ale większość gotówki leżała zamknięta w małym sejfie w pokoju.

Nagle przyszła jej do głowy pewna myśl.

Wstała z łóżka, podeszła do szafy i otworzyła drzwi.

Sejf był zamknięty.

Wystukała kod i przejrzała jego zawartość.

Nicnie zginęło.

Ponownie zamknęła i zakodowała drzwi.

Wciąż niedawała jej spokoju myśl, co zdziwiło ją w zachowaniu policjantki.

Stała przy drzwiach i starała się odtworzyć w pamięci obraz, by uchwycić to, co zwróciło jej uwagę.

Na próżno.

Ponownie położyła się na łóżku i zaczęła sobie przypominać fotografie, które kobiety wyjęła z teczek.

Nagle poderwała się i usiadła.

Otworzyła drzwi.

Policjantka dała jej znak, że się odsunęła.

Potem

378

poszła prosto do foteli przy oknie.

Nawet nie spojrzała na otwarte drzwi łazienki ani na tęczę pokoju, w której stało łóżko.

Birgicie przychodziło do głowy tylko jedno wyjaśnienie.

Kobieta była w tym pokoju wcześniej.

Nie musiała się ponownie rozglądać.

Dokładnie wiedziała, jak jest urządzony.

Wpatrywała się w stół, na którym wcześniej leżała teczek ze zdjęciami.

To, co przyszło jej do głowy, było początkowo niejasne, ale po chwili wszystko wydało jej się zrozumiałe.

Nie rozpoznała żadnej z twarzy, które jej pokazano.

A jeśli to właśnie policja chciała sprawdzić?

Że nie rozpozna nikogo na zdjęciu?

Nie chodziło o to, by zidentyfikowała napastnika.

Wręcz przeciwnie.

Policja chciała się upewnić, że naprawdę nie widziała.

Ale dlaczego?

Znów podeszła do okna.

Przypomniała sobie coś, co przyszło jej do głowy, kiedy była jeszcze w Hudiksvall.

To, co się wydarzyło, jest zbyt wielkie, zbyt awikłane.

Ogarnął ją strach, przed którym nie umiała się obronić.

Minęła ponad godzina, zanim odważyła się wjechać na górę, do restauracji.

Zanim przeszła przez szklane drzwi lokalu, obejrzała się za siebie.

Nikogo nie było.

26

Birgitta obudziła się z płaczem.

Karin usiadła na łóżku i delikatnie potrząsnęła ją za ramię.

Karin wróciła do hotelu późnym wieczorem, gdy Birgitta już spała.

Nie mogąc zasnąć, wzięła jedną z tabletek na 379.

sennych, które stosowała bardzo rzadko, ale zawsze miała przy sobie.

- Coś ci się przyśniło - powiedziała Karin.

- Coś smutnego, bo płaczesz.

Birgitta nie pamiętała jednak żadnego snu.

Wewnętrzny świat, z którego została gwałtownie wyrwana, natychmiast opustoszał.

- Która godzina?

- Dochodzi piąta.

Jestem zmęczona i muszę się jeszcze trochę przespać.

Dlaczego płaczesz?

- Nie wiem.

Musiało mi się coś przyśnić, chociaż nic nie pamiętam.

Karin położyła się i po chwili już spała.

Birgitta wstała i ostrożnie odchyliła zasłonę.

Poranny ruch na ulicach już się rozpoczął.

Po kilku flagach trzepoczących na masztach odgadła, że w Pekinie będzie kolejny wietrzny dzień.

Poczuła, że znów zaczyna ogarniać ją lęk spowodowany napadem z poprzedniego dnia.

Postanowiła mu się nie poddawać, w taki sam sposób, w jaki radziła sobie, gdy grożono jej jako sędzi.

Po raz kolejny przeanalizowała krytycznie wszystkie wydarzenia.

W końcu poczuła się zażenowana swoim niepokojem.

Wydawało jej się, że zaczyna przesadzać.

Wszędzie widzi spisek, wyobraża sobie ciąg przyczynowo-skutkowy tam, gdzie rzeczywistości jedno zdarzenie nie miało nic wspólnego z drugim.

Została napadnięta, skradziono jej torebkę.

Dlaczego, u licha, policjanci, którzy z pewnością robili wszystko, by złapać napastników, mieliby być w to wszystko zamieszani?

Może we śnie płakała nad sobą i wytworami własnej wyobraźni?

Zapaliła lampę i odchyliła ją do tyłu, żeby światło nie padało na część łóżka, na której spała Karin.

Zaczęła przeglądać zabraną do domu przewodnik po Pekinie.

Na margi-

380

nesach zaznaczyła miejsca, które chciała odwiedzić przez ostatnie dni pobytu w Chinach.

Przede wszystkim miała zamiar zobaczyć Zakazane Miasto, o którym dużo czytała i które ją fascynowało, odkąd zaczęła interesować się tym krajem.

Następnego dnia planowała zwiedzić jakąś świątynię buddyjską.

Wielokrotnie rozmawiała ze Staffanem o tym, że gdyby pewnego dnia zapragnęli przeżyć jakąś przygodę natury duchowej, w grę wchodziłby jedynie buddyzm.

Staffan często podkreślał, że jest to jedyna religia, która nigdy nie uczestniczyła w żadnej wojnie i nie stosowała przemocy, by szerzyć swoją naukę.

Wszystkie inne próbowały rządzić i prowadzić ekspansję zbrojną.

Dla Birgitty najważniejszą w buddyzmie było to, że uznawał on jedynie tego boga, którego każdy miał w sobie.

By zrozumieć jego naukę, należało powoli budzić tego wewnętrznego boga do życia.

Spała przez kilkakolejnych godzin.

Gdy się obudziła, Karin stała nago na podłodze, ziewając i przeciągając się.

Dawna rebeliantka o ciele, które wciąż jeszcze jest całkiem niezłe, pomyślała Birgitta.

- Ładny widok - powiedziała.

Karin wzdrygnęła się, jakby została naczymś przyłapaną.

- Myślałam, że śpisz.

- Jeszcze przed minutą spałam.

Tym razem nie obudziłam się z płaczem.

- Śniło ci się coś?

- Z pewnością.

Ale nic nie pamiętam.

Sen rozwiął się ulotnił.

Pewnie byłam w nim nieszczęśliwie zakochaną nastolatką.

- Mnie nigdy nie śni się młodość.

Wręcz przeciwnie, czasem wyobrażam sobie, że jestem bardzo stara.

- Zdążamy w tym kierunku.

381.

- Nie teraz.

W tej chwili jestem nastawiona na wykłady, miejmy nadzieję interesujące.

Zniknęła za drzwiami łazienki, agdy po jakimś czasie nie wyszła, była już ubrana.

Birgitta wciąż nie powiedziała Karin o napadzie.

Zastanawiała się, czy w ogóle powinna jej o tym mówić.

Wśród wszystkich uczuć związanych z tym wydarzeniem było również zażenowanie, zupełnie jakby mogła uniknąć tego, co się stało.

Zazwyczaj była bardzo czujna i ostrożna.

- Idę i wrócę dziś tak samo późno - powiedziała Karin.

- Ale jutro będzie już po wszystkich przyjdzie kolej na nas.

- Mam długą listę - odparła Birgitta.

- Dziś czeka na mnie Zakazane Miasto.

- Mieszkał tam Mao - przypomniała Karin.

- On też zapoczątkował dynastię.

Dynastię komunistyczną.

Niektórzy twierdzą, że świadomie próbował naśladować jednego z dawnych cesarzy.

Najpewniej chyba Qin, tego, o którym rozmawiamy teraz całymi dniami.

Ja uważam, że to złośliwe pomówienie.

Oszczersztwo polityczne.

- Pewnie krąży nad wami jego duch - powiedziała Birgitta.

- Idź już, pracuj pilnie i snuj mądre myśli.

Karin wyszła, pełna energii.

Zamiast zacząć jej zazdrościć, Birgitta szybko wstała z łóżka, wykonała kilka niedbałych wymachów rękami i przygotowała się na kolejny dzień w Pekinie, bez konspiracji i nerwowych zerknięć przez ramię.

Spędził przedpołudnie na wędrówce po pełnym zakamarków labiryncie Zakazanego Miasta.

Nad środkowym wejściem w Bramie Niebiańskiego Spokoju, na zewnętrznym czerwonym murze, za który mógł wchodzić tylko sam cesarz, wisiał duży portret Mao.

Birgitta zauważyła, że wszyscy Chińczycy przechodzący przez znajdujące się w głębi czerwone wrota do Zakazanego Miasta dotykali ich złotychokuc.

382

Doszła do wniosku, że musi to być jakiś przesąd.

Być może Karin będzie potrafiła to wyjaśnić.

Przeszła po wytartych kamieniach stanowiących wewnętrzny dziedziniec pałacu i przypomniała sobie, że będąc rebeliantką, przeczytała gdzieś, że Zakazane Miasto składa się z 9999 i pół pokoju.

Ponieważ Bóg Niebios miał 10 000 pokoi, Boski Syn Niebios nie mógł mieć ich więcej.

Nie bardzo wto wierzyła.

Pomimo zimnego wiatru byłowielu zwiedzających.

Przed wszystkim byli to Chińczycy, jak duchy poruszający się pomieszczeniach, do których ich przodkowie przez całe pokolenia nie mieli wstępu.

Ta ogromna rewolta, pomyślała Birgitta.

Kiedy jakiś naród się wyzwala, uzyskuje prawo do własnych marzeń i dostęp do zakazanych pomieszczeń, w których powstał system ucisku.

Co piąty człowiek na świecie jest Chińczykiem.

Jeśli przyjąć, że moja rodzina to cały świat, jedno z nas będzie Chińczykiem.

W tym mieliśmy rację, gdy byliśmy młodzi, pomyślała.

Nasi rodzimi prorocy, zwłaszcza Moses, który miał najlepsze przygotowanie teoretyczne, wciąż nas napominali, że nie można rozmawiać o jakiegokolwiek przyszłości bez uwzględnienia w tych rozmowach Chin.

Już miała wyjść z Zakazanego Miasta, gdy nagle ku swojemu zdziwieniu odkryła kawiarnię należącą do znanej amerykańskiej sieci.

Szyld krzychał czerwonej ceglanej ścianie.

Birgitta zainteresowała się, jak reagują na niego przechodzący obok Chińczycy.

Niektórzy przystawali i pokazywali sobie szyld palcami, inni wchodziłi nawet do środka, podczas gdy większość zdawała się nie zwracać uwagi na to, co Birgitta uważała za podłe świętokradztwo.

Chiny nie przestały być zagadkowe od czasów, gdy starałam się zrozumieć coś z Państwa Środka.

Ale to tutaj nie jest

383.

w porządku, powiedziała sama do siebie.

Nawet obecność amerykańskiej kawiarni w Zakazanym Mieście należy tłumaczyć, opierając się na rzeczowej analizie współczesnego świata.

W drodze powrotnej do hotelu złamała złożoną sobie samą obietnicę i zerknęła przez ramię za siebie.

Nie zobaczyła nikogo, kto wydałby się jej znajomy lub zaskoczony tym, że nagle się obejrzała.

Zjadła obiad w małej restauracji, w której znów zdziwił ją niespodziewanie wysoki rachunek.

Postanowiła, że spróbuje zdobyć w hotelu jakąś angielskojęzyczną gazetę i wypije filiżankę kawy w barze przy recepcji.

W kiosku z prasą udało jej się kupić "The Guardian", więc gazetą w ręku usiadła w kącie przy kominku, na którym płonął ogień.

Kilku amerykańskich turystów wstało z foteli, głośno oznajmiając całemu światu, że zamierzają zwiedzić Wielki Mur.

Od razu jej się nie spodobali.

A kiedy ona sama zobaczy mur?

Może Karin znajdzie na to czas ostatniego dnia przed wyjazdem.

Czyż można wyjechać z Chin, nie zobaczywszy muru, który jest chyba jedynym dziełem człowieka widocznym z kosmosu?

Muszę go zobaczyć, pomyślała.

Karin z pewnością już tam była, ale może się poświęcić.

Poza tym ma aparat fotograficzny.

Nie chcemy przecież wyjechać stąd, nie mając zdjęcia muru, które będziemy pokazywać naszym dzieciom.

Nagle przy jej stoliku stanęła jakaś kobieta.

Była ładną, młodą kobietą, w wieku Birgitty.

Uśmiechała się, była bardzo dystyngowana.

Odezwała się doskonałą angielszczyzną.

- Pani Roślin?

To ja.

- Czy mogę się do pani dosiąść?

Mam ważną sprawę.

- Proszę.

384

Kobieta miała na sobie ciemnoniebieski kostium, wyglądający na bardzo drogi.

; Usiadła.

- Nazywam się Hong Qui - powiedziała.

- Nie niepokoiłabym pani, gdyby ta sprawa nie była tak ważna.

: Wykonała dyskretny gest w kierunku stojącego w niewielkim oddaleniu mężczyzny.

Ten podszedł do stolika, położył na nim skradzioną torebkę w taki sposób, jakby wręczał kosztowny dar, i odszedł.

Birgitta popatrzyła ze zdziwieniem na Hong.

- Policja odnalazła pani torebkę - wyjaśniła Chinka.

- Ponieważ to dla nas kompromitujące, gdy ktoś z naszych gości staje się ofiarą nieszczęśliwego wypadku, poproszono mnie o doręczenie jej.

- Czy pani jest z policji?

Hong wciąż się uśmiechała.

- Bynajmniej.

Ale czasem jestem proszona o wyświadczenie naszym władzom pewnych przysług.

Czyżginęłocość zawartości?

Birgitta otworzyła torebkę.

Wszystko poza pieniędzmi było na swoim miejscu.

Ku swemu zaskoczeniu odkryła, że paczkazapałek, której szukała, jest w torebce.

- Zginęły pieniądze.

-Mamy nadzieję, że schwytemy tych przestępców.

Zostanie im wymierzona surowa kara.

- Ale nie skażecie ich chyba na śmierć?

Przetwarz Hong przebiegł ledwo widoczny grymas.

Nieumknął jednak uwadze Birgitty.

- Nasze prawo jest surowe.

Jeśli wcześniej dopuścili się poważnych przestępstw, być może zostaną skazani na śmierć w zawieszaniu.

Jeśli się poprawią, wyrok śmierci zostanie zamieniony na karę więzienia.

385.

- Sama jestem sędzią.

Stanowczo uważam, że kara śmierci to postępowanie bardzo prymitywne.

Bardzo rzadko, a właściwie nigdy nie przynosi oczekiwanego efektu.

Niczymu niezapobiega.

Nagle Birgitta zawstydziała się swego pouczającego tonu.

Hong Qui słuchała w skupieniu.

Jejuśmiejch zniknął.

Kelnerkę, która podeszła do stolika, odesłała skinieniem głowy.

Birgitta poczuła, że znów ma do czynienia z tym samym schematem.

Hong Qui nie zareagowała na informację, że ona jest sędzią.

Już o tym wiedziała.

W tym kraju wszystko o mnie wiedzą, pomyślała Birgitta i ogarnął ją gniew.

Chyba że sobie to wszystko wymawia.

- Oczywiście bardzo dziękuję za odzyskanie mojej torebki z wrot.

Ale musi pani zrozumieć, że dla mnie sposób, w jaki to przebiegło.

Przynoszą pani, ale pani nie jest z policji, nie wiem, kim lub czym pani jest.

Czy ci, którzy mnie okradli, zostali złapani, czy też źle zrozumiałam pani słowa?

Czy znaleziono ją wyrzuconą?

- Nikt nie został złapany, choć są konkretne podejrzenia.

Torebkę znaleziono w pobliżu miejsca napaści.

Hong Qui już miała zamiar wstać, ale Birgitta ją zatrzymała.

- Proszę mi wyjaśnić, kim pani jest.

Nagle podchodzą do mnie całkiem obca kobieta i oddaje mi moją torebkę.

- Zajmuję się kwestiami związanymi z bezpieczeństwem.

Ponieważ mówię po angielsku i francusku, często jestem proszona o załatwianie różnych spraw.

- Bezpieczeństwo?

A więc jednak jest pani z policji?

Hong Qui pokręciła głową.

- Bezpieczeństwo współczesnym nie zawsze sprowadza się do służby na zewnątrz, za którą odpowiada policja.

386

Sięga głębiej, aż do samych jej korzeni.

Jestem pewna, że

podobnie jest też w pani kraju.

- Kto poprosił panią o odnalezienie mnie i doręczenie mi torebki?

- Szefpekińskiej centrali Biura Rzeczy Znalezionych.

- Biuro Rzeczy Znalezionych?

Kto odniósł tam torebkę?

- Tego nie wiem.

- Skąd mógł wiedzieć, że to moja torebka?

Nie było w niej żadnych dokumentów ani papierów z moim nazwiskiem.

- Zakładam, że miał jakieś informacje od właściwych wydziałów policji.

- Czyli jest więcej niż jeden wydział zajmujący się napadami na ulicach?

- Często się zdarza, że policjanci o różnych specjalnościach ze sobą współpracują.

- Żeby znaleźć torebkę?

- Żeby znaleźć sprawcę poważnej napaści na osobę, która jest gościem w naszym kraju.

Wymiguje się, pomyślała Birgitta.

Nie uzyskam od niej porządnego odpowiedzi.

- Jestem sędzią - powtórzyła.

- Będę w Pekinie jeszcze przez kilka dni.

Ponieważ daje się pani wiedzieć o mnie wszystko, nie muszę mówić, że przyjechałam tu z przyjaciółką, która całe dni spędza na międzynarodowej konferencji i dyskusjach o pierwszym cesarzu.

- Wiedza o Dynastii Qin jest istotna dla zrozumienia mojego kraju.

Poza tym myli się pani, sądząc, że mam szczegółowe informacje o tym, kim pani jest i jaki jest cel pani wizyty w Pekinie.

- Ponieważ udało mi się wytrzasnąć skądś moją torebkę, postanowiłam poprosić panią o radę.

Co mam zrobić, żeby

387.

móc wejść na chińską salę sądową?

Nie musito być jakaśszczególnie ważna rozprawa.

Chciałabymtylko zobaczyć,jakie tu są procedury, i być może zadać parę pytań.

Błyskawiczna odpowiedź Hong zaskoczyła ją.

- Mogę to załatwić na jutro.

Będę pani towarzyszyćosobiście.

- Niechcę sprawiać kłopotu.

Robi pani wrażenie osoby,która ma bardzo dużo pracy.

- To zależy od tego, co sama uznamza ważne.

HongQui wstałaz krzesła.

- Skontaktuję się z panią popołudniu, żeby ustalić, o której godzinie jutro się spotkamy.

Birgitta zamierzałajej podać numer pokoju,ale po chwilidoszła do wniosku, że Hong Qui z pewnością go zna.

Patrzyła za nią, gdy szła przez barku wyjściu.

Mężczyzna,który wręczyłBirgittie torebkę, dołączył do jeszcze jednegomężczyzny ipo chwili wszyscy zniknęli.

Spojrzała na torebkę i wybuchnęłaśmiechem.

Jest wejście,pomyślała, i poza tym jest też wyjście.

Torebka ginie i zostajeodnaleziona.

Ale o tym, cosię dzieje pomiędzy, nie mamzielonego pojęcia.

Wkrótce nie będęumiała rozróżnić,co jestwytworem mojej własnej wyobraźni, a corzeczywistością.

Hong Quizadzwoniła godzinę później, gdy tylko Birgittaweszła dopokoju.

Nicjuż jej nie dziwiło.

Było tak, jakbynienani jej ludzieśledzili każdy jej ruch iw każdym momencie mogli powiedzieć, gdzie się znajduje.

Tak jak teraz.

Wchodzi do pokoju i od razu dzwoni telefon.

- Jutro dziewiątej- powiedziała Hong.

-Gdzie?

- Przyjadę po panią.

Odwiedzimy sąd w dzielnicy leżącej na obrzeżach Pekinu.

Wybrałam go, ponieważ jutro pełni tam dyżur sędzia kobieta.

388

- Bardzo pan dziękuję.

-Chcemy zrobić wszystko, żeby wynagrodzić pani ten nieprzyjemny wypadek.

- Już to zrobiliście.

Czuję się chroniona przez aniołów stróżów.

Po zakończeniu rozmowy Birgitta wysypała na łóżko zawartość torebki.

Wciąż trudno było jej uwierzyć w to, że zapalniczki były tu, a nie w walizce.

Otworzyła pudełko.

Było do połowy pełne.

Zmarszczyła czoło.

Ktoś palił, pomyślała.

Gdy wkładałam je do walizki, pudełko było pełne.

Wysypała zapalniczkę i wysunęła tekturową szufladkę.

Nie wiedziała, co właściwie próbuje znaleźć.

Pudełko z zapalniczką to pudełko z zapalniczkami.

Zirytowana, włożyła zapalniczki z powrotem do pudełka i schowała je do torebki.

Znow zapędziła się za daleko.

Kolejne urojenie.

Resztę dnia poświęciła na zwiedzanie świątyni buddyjskiej i długi obiad w restauracji w pobliżu hotelu.

Spała już, gdy Karin weszła na palcach do pokoju, i odwróciła się plecami, gdy rozbliło światło.

Nazajutrz wstały równocześnie.

Ponieważ Karin zasnęła, zdążyła tylko powiedzieć Birgittie, że konferencja skończy się o czternastej.

Potem miała już wolne.

Birgitta oznajmiła, że planuje odwiedzić salę sądową, wciąż nic nie wspominając o napadzie.

Hong Qui czekała w recepcji.

Tym razem miała na sobie białe futro.

Birgitta poczuła się zażenowana swoim strojem.

Hong Qui zauważyła jednak, że ubrała się ciepło.

- Nasze sale sądowe bywają chłodne - powiedziała.

- Tak jak wasze teatry?

Hong Qui roześmiała się.

Nie może chyba wiedzieć, że przed kilkoma dniami byliśmy w Operze Pekinńskiej, pomyślała Birgitta.

A może jednak?

389.

- Chiny to wciąż biedny kraj.

Podążamy ku przyszłości z wielką pokorą i ciężko pracując.

Nie wszyscy są biedni, pomyślała Birgitta Roślin ponuro.

Nawet ja jestem w stanie moim niewprawnym okiem ocenić, że twoje futro jest prawdziwe i bardzo kosztowne.

Przed hotelem czekał na niego samochód z szoferem.

Birgitta poczuła lekką niechęć.

Co właściwie wie o tej obcej kobiecie, z którą ma zaraz się do samochodu z nieznaną mężczyzną za kierownicą?

Wmawiała sobie, że nie narażę się na żadne niebezpieczeństwo.

Dlaczego miałaby nie doceniać opieki, którą ją otaczono?

Hong Qui siedziała na swoim miejscu w milczeniu, z półprzymkniętymi oczami.

Jechali bardzo szybko, długą ulicą.

Po kilku minutach Birgitta nie miała już pojęcia, gdzie się znajduje.

Zatrzymali się przed niskim betonowym budynkiem.

Jego wejścia strzegli dwaj policjanci.

Nad drzwiami znajdował się rząd czerwonych chińskich znaków.

- To nazwa sądu dzielnicowego - wyjaśniła Hong Qui, widząc spojrzenie Birgitty.

Gdy weszły na schody prowadzące do budynku, dwaj policjanci zaprezentowali broń.

Hong Qui zdawała się tego nie zauważać.

Birgitta zastanawiała się, kim właściwie jest jej towarzyszka.

Wątpliwe, by była zwykłym posłańcem, śpieszącym do zagranicznych gości, by zwracać im skradzione torebki.

Minęły pusty korytarz, po czym weszły do sali rozpraw, zimnej i wyłożonej drewnianymi brązowymi panelami.

Na wysokim podium pod krótszą ścianą pomieszczenia siedzieli dwaj umundurowani mężczyźni.

Miejsce między nimi było puste.

Na salinie było żadnej publiczności.

Hong Qui podeszła do pierwszej ławki.

Na siedzisku leżały dwie poduszki.

390

Wszystko przygotowane, pomyślała Birgitta.

Można zaczynać przedstawienie.

A może to normalne, że zostają otoczone opieką nawet na sali sądowej?

Gdy tylko zajęły miejsca, wprowadzono oskarżonego eskortie dwóch strażników.

Był to mężczyzna w średnim wieku, ostrzyżony na jeża, ubrany w granatowy strój więzienny.

Głowę miał pochyloną.

Obok niego siedział adwokat.

Za innym stołem zajął miejsce mężczyzna, który zdaniem Birgitty musiał być prokuratorem.

Był ubrany po cywilnemu, łysawy, twarz miał poraną zmarszczkami.

Drzwiami znajdującymi się za podium weszła kobieta.

Miała około sześćdziesięciu lat, była niska i korpulentna.

Gdy zasiadła za stołem sędziowskim, wyglądała zupełnie jak dziecko.

- Shu Fu był szefem grupy przestępców specjalizujących się w kradzieżach samochodów - wyjaśniła Hong Qui ściszym głosem.

- Reszta bandy została już skazana.

Teraz kolejna ich przywódca.

Ponieważ jest recydywistą, z pewnością dostanie surową karę.

Wcześniej potraktowano go łagodnie.

Zawiódł zaufanie sądu, popełniając kolejne przestępstwa, więc teraz karamusi być zastrzona.

- Ale nie skaże go chyba na śmierć?

- Oczywiście, żenie.

Birgitta zauważyła, że Hong Qui nie spodobało się jej ostatnie pytanie.

Odpowiedziała z niecierpliwym, niemal nieuprzejmym tonem.

I tu uśmiech znikł, pomyślała.

Ciekawe, czy to, czego będę świadkiem, to prawdziwa rozprawa sądowa, czy tylko przedstawienie, a wyrok już zapadł?

Uczestnicy rozprawy mówili głośno i krzykliwie.

Jedynym, który w ogóle się nie odzywał, był sam oskarżony, uparcie patrzący się w podłogę.

Hong Qui od czasu do czasu tłumaczył niektóre wypowiedzenia na sali zdania.

Adwokat niezbyt się starał wspierać swojego klienta.

Birgitta pomyślała,

391.

że jest to częsta praktyka również w Szwecji.

Cała rozprawa przerodziła się w rozmowę między sędzią i prokuratorem.

Birgitta nie wiedziała, jaką funkcję pełnią dwaj siedzący na podium mężczyźni.

Po niespełna godzinie rozprawa dobiegła końca.

- Dostanie około dziesięciu lat przymusowej pracy - powiedziała Hong Qui.

- Nie słyszałam, żeby sędzia mówiła coś, co brzmiałoby jak ogłoszenie wyroku.

Hong Qui nie skomentowała tych słów.

Gdy sędzia podniosła się ze swojego miejsca, wszyscy wstali.

Skazanego mężczyznę wyprowadzono.

Birgittie nie udało się spotkać jego wzroku.

- Teraz spotkamy się z sędzią - powiedziała Hong Qui.

- Zaprasza nas na herbatę w swoim gabinecie.

Nazywa się Min Ta.

W wolnym czasie zajmuje się dwójką wnuków.

- Jaką ma opinię?

Hong Qui nie rozumiała pytania.

- Każdy sędzia ma jakąś opinię, mniej lub bardziej trafną.

Rzadko się jednak zdarza, żeby była całkiem niesłuszna.

Ja mam opinię sędziego łagodnego, ale stanowczego.

- Min Ta przestrzega prawa i jest dumna z bycia sędzią.

Godnie reprezentuje nasz kraj.

Przeszły przez niskie drzwi za podium i zostały powitane przez Min Ta w jej zimnym gabinecie.

Panowały w nim ścisłypartańskie warunki.

Sekretarz podał herbatę.

Usiadły nawskażanych miejscach.

Min Ta od razu zaczęła mówić tymsamym krzykliwym głosem co na sali sądowej.

Gdyumilkła,Hong Qui przetłumaczyła.

- To dla niej wielkizaszczyt móc spotkać koleżankę zeSzwecji.

Słyszała wiele dobrego o szwedzkim systemie sądownictwa.

Niestetyma za chwilę kolejną rozprawę.

W in392

nych okolicznościach chętnie przeprowadziłaby z paniądłuższą rozmowę na temat sądownictwa w Szwecji.

- Proszę jej podziękować za to, że zechciała mnie przyjąć - odpowiedziała Birgitta - i zapytać, czy już wie, jakiwyda wyrok.

Czy jest pewna co do tych dziesięciu lat?

- Nigdy nie wchodzę na salę sądową, nie będąc przygotowaną - odparła Min Ta na przetłumaczone przezHongQui pytanie.

- Moimobowiązkiem jest dobre gospodarowanie czasem moim iinnych osób pracujących w służbieprawa.

Wtej sprawie nie było żadnych wątpliwości.

Oskarżony przyznał się do winy, jest recydywistą, nie zaszyły żadneokoliczności łagodzące.

Myślę, że dam mu odsiedmiudodziesięciu lat więzienia, chociażjeszcze się zastanowię nadwyrokiem.

Była tojedynarzecz, o jaką Birgitta zdołała zapytać, gdyżMin Ta samazasypała ją pytaniami.

Zastanawiała się, cotaż naprawdę Hong Qui przekazywała w swoimtłumaczeniu.

Być może onai MinTa rozmawiały oczymśzupełnieinnym.

Po dwudziestu minutach Min Ta wstała, oznajmiając, że musiwrócić na salę rozpraw.

Do gabinetu wszedł mężczyznaz aparatem fotograficznym.

Min Ta stanęła obokBirgitty, żeby się razem z nią sfotografować.

Hong Qui stanęła z boku, poza kadrem.

Min Ta iBirgittauścisnęły dłonięna pożegnanie, poczym wszystkie razem wyszły na korytarz.

Gdy po chwili Min Ta otworzyła drzwi za podium, Birgitta zauważyła, że sala sądowa tym razem jest pełna ludzi.

Wrócili do samochodu, który ruszył z dużą szybkością.

Zatrzymał się nie pod hotelem, lecz przed herbaciarnią przypominającą pagodę, mieszczącą się na wyspie sztucznym jeziorze.

- Jest zimno - wyjaśniła Hong Qui.

- Herbata rozgrzewa.

393.

Hong Qui zaprowadziła Birgittę do pomieszczenia, oddzielnego od reszty herbaciarni.

Przygotowano w nim dwiefilizanki, czekała też kelnerka, trzymająca w dłoniach dzbanek z herbatą.

Wszystko zostało zaplanowane co do minuty.

Ze zwyczajnej turystki Birgitta stała się ważnym gościem.

Wciąż nie wiedziała dlaczego.

Nagle Hong Qui zaczęła mówić o szwedzkim systemie sądowym.

Sprawiła wrażenie bardzo czytanej.

Pytała o zabójstwo Olofa Palmego i Anny Lindh.

- W społeczeństwach otwartych nigdy niemożna w pełni zagwarantować ludziom bezpieczeństwa - powiedziała Birgitta.

- W każdym społeczeństwie płaci się jakąś cenę.

Wolność i bezpieczeństwo zawsze ze sobą walczą.

- Jeśli naprawdę chce się kogoś zabić, w żaden sposób niemożna temu zapobiec - odparła Hong Qui.

- Nie ochronię nawet amerykański prezydent.

Birgitta Roślin wyczuła jakiś podtekst w jej słowach, lecz nie udało jej się go uchwycić.

- Nieczęsto czytamy o Szwecji - kontynuowała Hong Qui - ale ostatnio w naszych gazetach pojawiały się wzmianki o jakimś potwornym masowym morderstwie w tym kraju.

- Z którym, tak się składa, miałam do czynienia, choćnie byłam w tej sprawie zaangażowana jako sędzia.

Zatrzymano podejrzanego, ale zaraz po tym odebrał sobie życie.

To prawdziwy skandal, że do tego doszło.

Ponieważ Hong Qui wydawała się tym tematem żywo zainteresowana, Birgitta streściła jej wszystkie wydarzenia.

Hong Qui słuchała uważnie, nie zadawała żadnych pytań, ale kilkakrotnie prosiła Birgittę o powtórzenie ostatniego zdania.

- Jakiś szaleniec - powiedziała Birgitta na zakończenie - któremu udało się odebrać sobie życie.

Albo inny szaleniec, którego policja jeszcze nie schwytała.

Lub też ktoś

394

całkiem inny, z motywem i wyrachowanym, brutalnym planem.

- Jakiż miałby to być motyw?

- Zemsta.

Nienawiść.

Nic nie skradziono, więc musiało być nienawiść i żądza zemsty.

- A co pani o tym sądzi?

- Kogo należy szukać?

Nie wiem.

Ale trudno mi uwierzyć w teorię o jednym mordercy.

Opowiedziała Hong Qui o tym, co nazywała "chińskim tropem".

Zaczęła od początku, od odkrycia swojego pokrewieństwa z zamordowanymi, a skończyła na wizycie Chińczyka w Hudiksvall.

Widząc, że Hong Qui słucha w skupieniu, nie mogła przestać opowiadać.

Na koniec wyjęła z torebki fotografię i pokazała jej.

Hong Qui powoli pokiwała głową, zatopiwszy się na chwilę we własnych myślach.

Birgittie przyszło nagle do głowy, że Chinka rozpoznała mężczyznę ze zdjęcia.

Było to niedorzeczne.

Jedna twarz pośród miliardainnych?

Hong Qui uśmiechnęła się, oddała fotografię i zapytała, jak Birgitta zamierza spędzić resztę dni w Pekinie.

- Mam nadzieję, że przyjaciółka zabierze mnie jutro na wycieczkę do muru.

Pojutrze wyjeżdżamy.

', - Jutro jestem zajęta i nie będę mogła pani pomóc.

- Już mi pani pomogła.

Bardziej, niż mogłabym się spodziewać.

- Na pewno przyjdę się pożegnać, zanim pani wyjedzie.

Rozstali się przed hotelem.

Birgitta patrzyła, jak samochód z siedzącą w nim Hong Qui zniknął przez bramę podjazdu.

O trzeciej przyszła Karin i z głośnym westchnieniem ulgi wyrzuciła większość bezużytecznych już materiałów kongresowych do kosza na śmieci.

Gdy Birgitta zaproponowała, by następnego dnia wybrały się na wycieczkę na mur, Karin

395.

od razu się zgodziła.

Teraz jednak miała ochotę pochodzić po sklepach.

Birgitta wybrała się razem z nią na spacer podomach towarowych, a potem na wędrowkę po straganach w małych uliczkach i po ciemnych butikach, w których można było znaleźć wszystko, począwszy od starych lamp, a skończywszy na drewnianych figurkach przedstawiających złe demony.

Zapadał już zmierzch, gdy obładowane pakunkami i siatkami przywołały taksówkę.

Ponieważ Karin była zmęczona, zjadły kolację w hotelu.

Birgitta zamówiła w recepcji wycieczkę ze zwiedzaniem Wielkiego Muru na następny dzień.

Karin już spała, a ona, skulona w fotelu, oglądała chińską telewizję, wyłączając dźwięk.

Od czasu do czasu powracały fale strachu spowodowane napadem.

Stanowczo zdecydowała, że nie powie o tym nikomu, nawet Karin.

Następnego ranka pojechały zobaczyć Wielki Mur.

Dzień był bezwietrzny i suchy, ziąb wydawał się mniej przejmujący.

Spacerowały po murze, nie mogąc mu się nadziwić.

Fotografowały się nawzajem lub prosiły o zrobienie im wspólnego zdjęcia jakiegoś miłego Chińczyka, który z chęcią wyświadczał im przysługę.

- Przyjechałyśmy tu - powiedziała Karin - z aparatem fotograficznym wręce.

Nie z Czerwoną Książeczką Mao.

- W tym kraju musiał zdarzyć się jakiś cud - odparła Birgitta.

- Nie dokonali go bogowie, ale ludzie i ich ogromny trud.

- Z pewnością w miastach.

Ale na wsiach ponoć wciąż panuje bieda.

Co się robi, kiedy setki milionów chłopów mają już dosyć?

- "W chwili obecnej wzrost ruchu chłopskiego jest ołbrzymim wydarzeniem".

Być może tamania mimo wszystkimowi jakąś prawdę?

- Nikt wtedy nie mówił, że w Chinach bywatak zimno.

Zaraz zamarznię na śmierć.

Postanowiły wrócić do czekającego nanie samochodu.

Schodziły po schodachz muru, gdy Birgitta obejrzała sięprzez ramię, by rzucićna niego okiem ostatni raz.

Człowiek Hong Qui stałnieopodal i czytał przewodnik.

Birgittanie miałażadnych wątpliwości.

To był on.

Mężczyzna,który podszedł do stolika i położył na nim jej torebkę.

Karin niecierpliwie machała do niej z samochodu.

Zmarzłai chciała już jechać.

Birgitta obejrzała się jeszcze raz, ale mężczyzny jużnie było.

27

Ostatni wieczór w Pekinie BirgittaRoślin i KarinWimanspędziły w hotelu.

Siedziały przybarze i piły drinki z wódką,żeby rozgrzać się powycieczce i zastanowićsię, jak spędzićostatni dzień pobytu w Pekinie.

Jednak wódka tak jerozleniwiła, że postanowiłyzjeść kolacjęw hotelu.

Potem siedziałydo późna, rozmawiając o tym, jak wyglądało ich dotychczasowe życie.

Było jakby otoczone pierścieniem dramatycznychwizji czerwonych Chin z młodości oraz świata, z którymzetknęły się teraz, w owym kraju po wielkich zmianach,którechyba nie przebiegły tak, jak sobie obie wyobrażały.

Siedziały wrestauracji tak długo,aż zostały w niej całkiemsame.

Z lampy nad stołem zwisały niebieskie jedwabnewstążki.

Birgitta pochyliłasię i powiedziała szeptem, że powinny zabrać po jednej na pamiątkę.

Małymi nożyczkami dopaznokci Karin odcięła dwiewstążki,gdy żaden z kelnerównie był zwróconyw ich stronę.

397.

Po spakowaniu walizek Karin poszła spać.

Kongres byłwyczerpujący.

Birgitta siedziała na kanapie w pogrążonymw mroku pokoju.

Uświadomiła sobie, że się starzeje.

Dotarłajuz tak daleko, jeszcze kawałek, a potem ścieżka urwie sięnagle w nieznanym momencie i pochłonie ją wielka ciemność.

Juz teraz czuła, jak ścieżka powoli zaczyna biec w dół,niemalniezauważalnie, ale itak w kierunku czegoś, czego niezdola uniknąć.

- Pomyśl odziesięciu rzeczach, którejeszcze chcesz zrobić -wyszeptała sama dosiebie.

Dziesięćzaległych rzeczy.

Usiadła przy małym biurkui zaczęła pisać na kartce z notesu.

Co pozostało jej jeszcze z rzeczy, które wciąż chciałażyć?

Doczekać jednego lub kilkorga wnucząt -to byłooczywiście coś, na co liczyła.

Razem zeStaffanem często rozmawiali opodróżach na różne wyspy.

Do tej pory udałoimsię polecieć tylko na Islandięi Kretę.

Jedna z wymarzonychpodróży prowadziła na Galapagos,inna na Pitcairn Island,gdzie w żyłach mieszkańców wciąż płynęła krew buntowników z pokładu "Bounty".

Nauczyćsię jeszcze jednegojęzyka?

Lub przynajmniej spróbować podciągnąć się we francuskim,którym kiedyś władała całkiem dobrze.

Najważniejsze było jednak, żeby jej i Staffanowi udało sięożywić ich związek iżeby znów zaczęli się dostrzegać.

Bardzomartwiła jąmyśl, że moglibysię zestarzeć, nie wskrzesiwszywcześniej jednejze swoich pasji.

Żadna dotychczasowa podróżnie była tak ważna jakta.

Zmięła kartkę i wrzuciła ją do kosza.

Dlaczego miałabymzapisaćcoś, co od dawna w sobie noszę, pomyślała.

Przecieżtych kilka uparcie odkładanych na potem tez na tematmojej przyszłości dawno juz

oficjalnie przybiłam do drzwi mojego wewnętrznego kościoła.

398

Rozebrała się weszła pod kołdrę.

Karin oddychała spokojnie u jej boku.

Birgitta poczuła nagle, że nadszedł czas, by wrócić do domu, dowiedzieć się, że już wyzdrowiała i zacząć znów pracować.

Bez codziennej rutyny nigdy nie udało by się jej zrealizować żadnego z jej marzeń.

Po krótkim wahaniu wzięła telefon i wysłała do męża SMS-a: "Wracam do domu.

Każda podróż zaczyna się od jednego kroku.

Również podróż do domu".

Gdy się obudziła, była godzina siódma.

Pomimo że spała niewiele ponad pięć godzin, czuła się wypoczęta.

Lekki ból głowy przypominał jej o wypitych poprzedniego wieczoru drinkach.

Karin spała, zawinięta w pościel, z jedną ręką wiszącą poza krawędź łóżka.

Birgitta ostrożnie wsunęła ją pod kołdrę.

W sali śniadaniowej siedziało już wielu hotelowych gości, choć pora była jeszcze bardzo wczesna.

Birgitta rozejrzała się dookoła, żeby zobaczyć, czy któraś z twarzy siedzących przystolików ludzi nie wydaje jej się znajoma.

Nie miała żadnych wątpliwości, że mężczyzna przy murze był jednym z tych, którzy towarzyszyli Hong Qui.

Może po prostu państwo chińskie otoczyło ją opieką, by nie przytrafił jej się kolejny przykry wypadek?

Jedząc śniadanie, przeglądała angielską gazetę.

Już miała wrócić do pokoju, gdy nagle obok jej stolika stanęła Hong.

Nie była sama.

Towarzyszyło jej dwóch mężczyzn, których Birgitta wcześniej nie widziała.

Hong skinęła na mężczyzn, którzy odeszli i usiedli nieopodal.

Hong powiedziała kilka słów do kelnera i po chwili przyniesiono jej szklanę wody.

- Mam nadzieję, że wszystko w porządku- powiedziała.

-Jak udało się wycieczka namur?

Przecież doskonale wiesz, pomyślała Birgitta.

Poza tym Jestem pewna, że jedne z twoich dodatkowych oczu były

399.

wczoraj wieczorem w hotelowej restauracji "Kwiat Lotosu", gdzie jadtysmy z Karin kolacje.

- Mur jest imponujacy.

Ale bylo zimno.

Birgitta wyzywajaco patrzyła Hong prosto w oczy, sprawdzajac, czy zrozumiala, ze udalo jej sie odkryc męzczyzne, ktory ja sledzil.

Twarz Hong nic jednak nie zdradzala.

Chinka nieodkrywala swoich kart.

- W jednym z pokoi wtym hotelu czeka na pania pewien czlowiek- powiedziala.

- Nazywa sie ChanBing.

- Czego ode mnie chce?

-Chce pani powiedziec, ze policja zlapala jednego z męzczyzn, ktory na pania napadli i ukradli pani torebke.

Birgitta poczula, ze jej serce zaczyna bic szybciej.

Slowa Hong zabrzmialy zlowrogo.

- Dlaczego tu nie przyjdzie, skoro chce ze mną rozmawiac?

-Jest w mundurze.

Ten czlowiek nie chce pani przeszkadzac podczas sniadania.

Birgitta rozlozyla rece.

- Nie mam problemow w obcowaniu z ludzmi w mundurach.

Wstala i odlozyla serwetke.

W tejsamej chwili do sali sniadaniowej weszla Karin i spojrzala na nia ze zdziwieniem.

Birgitta byla zmuszona opowiedziec jej o wszystkim, co sie wydarzylo, po czym przedstawila jej Hong.

- Nie wiem dokońca, o co chodzi - powiedziala do Karin.

-Wyglada na to, ze policja zlapala jednego z napastnikow.

Zjedz spokojnie sniadanie.

Wysłucham tylko, co ma mi dopowiedzenia policjant, i zaraz tu wrócę.

- Dlaczego nic mi niepowiedziałaś?

- Nie chciałam cię niepokoić.

- Teraz jestem zaniepokojona.

Chyba wręcz zła.

400

- Niepotrzebnie.

- O dziesiątej musimy jechać na lotnisko.

- Mamy jeszcze dwie godziny.

Birgitta poszła za Hong.

Dwaj mężczyźni cały czas trzymali się w pobliżu.

Przeszły korytarzem i stanęły przed otwartymi na oścież drzwiami.

Birgitta Roślin zauważyła, że to niewielki pokój konferencyjny.

U szczytu owalnego stołu siedział starszy mężczyzna i palił papierosa.

Był ubrany w granatowy mundur z licznymi odznaczeniami.

Na stole leżała czapka.

Nawidok Birgitty wstał i ukłonił się, poczym wskazał jej stojące obok krzesło.

Hong stanęła przy oknie.

Chan Bing miał przekrwione oczy i rzadkie, zaczesane do tyłu włosy.

Birgitta poczuła, że ma przed sobą bardzo niebezpiecznego człowieka.

Łapczywie zaciągał się papierosem.

W popielniczce leżały już trzy niedopałki.

Hong powiedziała kilka słów, Chan Bing kiwnął głową.

Birgitta zastanawiała się, czy kiedykolwiek widziała więcej czerwonych gwiazdek na pagonach.

Chan Bing odezwał się chryplym głosem:

- Złapaliśmy jednego z mężczyzn, którzy na panią napadli.

Chcemy panią prosić, żeby pojechała razem z nami na okazanie.

Jego angielszczyzna była bardzo kulawa, ale można było go zrozumieć.

- Ale ja nic nie widziałam.

- Zawsze widzi się więcej, niż się sądzi.

- Zaatakował mnie od tyłu.

Nie mam oczu z tyłu głowy.

Chan Bing patrzyła na nią bez wyrazu.

- Każdy je ma.

W niebezpiecznych stresujących sytuacjach można widzieć nawet karkiem.

401.

- Być może w Chinach, ale nie w Szwecji.

Nigdy w życiu nie skazałam nikogo na podstawie tego, że ktoś rozpoznał go za pomocą oczu umieszczonych z tyłu głowy.

- Są inni świadkowie.

Nie tylko pani ma rozpoznać napastnika.

Jest też świadek, który ma rozpoznać panią.

Birgitta spojrzała na panią Hong, która wpatrywała się w przestrzeń.

- Muszę jechać do domu - powiedziała Birgitta.

- Zadwie godziny ja i moja przyjaciółka musimy wymeldować się z hotelu i pojechać na lotnisko.

Odzyskałam torebkę.

Pomoc, jakiej udzieliła mi policja w tym kraju, była wyjątkowa.

Mogłabym napisać artykuł do szwedzkiej prasy prawniczej, opisujący to, co mi się przytrafiło, i wyrażający wdzięczność.

Nie mogę jednak pojechać na okazanie ewentualnego sprawcy napadu.

- Nasza prośba o pomoc nie jest bynajmniej bezpodstawna.

Według prawa obowiązującego w tym kraju pani obowiązek stawić się na wezwanie policji, jeśli może pani przyczynić do wyjaśnienia okoliczności poważnego przestępstwa.

- Ale ja mam się lecieć do domu!

Ile to zajmie?

- Nie więcej niż dobę.

- Nie ma takiej możliwości.

Nie zauważyła, kiedy podeszła do niej Hong.

- Oczywiście pomożemy pani zmienić rezerwację biletu - powiedziała.

Birgitta uderzyła otwartą dłoń w górę.

- Lecę do domu dziś.

Nie zgadzam się na przedłużenie mojego pobytu w Pekinie o dobę.

- Chan Bing piastuje w policji wysoką funkcję.

Jego słowo jest rozkazem.

Możesz zatrzymać panią w kraju.

- Zatem żądam rozmowy z moją ambasadą.

402

- Oczywiście.

Hong położyła przed nią telefon komórkowy oraz karteczkę z numerem telefonu.

- Ambasada będzie czynna za godzinę.

- Dlaczego zmuszacie mnie, żebym w tym uczestniczyła?

- Nie chcemy ukarać niewinnego człowieka ani pozwolić odejść wolno przestępcy.

Birgitta popatrzyła na Hong i zrozumiała, że będzie musiała spędzić w Pekinie co najmniej jedną dobę więcej.

Oni już zdecydowali, że ją tu zatrzymają.

Najlepsze, co mogę zrobić, to zaakceptować tę sytuację, pomyślała.

Nikt jednak nie zmusi mnie do wskazania sprawcy, którego nigdy niewidziałam.

- Muszę porozmawiać z przyjaciółką - powiedziała.

- Co będzie z moim bagażem?

- Pokój pozostanie do pani dyspozycji.

Zarezerwujemy go na pani nazwisko - odparła Hong.

- Zakładam, że to jest już załatwione.

Kiedy postanowiono, że będę musiała tu zostać?

Wczoraj?

Przedwczoraj?

W nocy?

Nie otrzymała odpowiedzi.

Chan Bing zapalił kolejnego papierosa i powiedział kilka słów do Hong.

- Co on mówi?

- zapytała Birgitta Roślin.

- Że musimy się śpieszyć.

Chan Bing jest bardzo zapracowanym człowiekiem.

-Kim on jest?

- Jest bardzo doświadczonym śledczym - wyjaśniła Hong, gdy wracały korytarzem.

- Odpowiada za sprawy dotyczące ludzi takich jak pani, gości w naszym kraju.

- Nie spodobał mi się.

-Dlaczego?

403.

Birgitta zatrzymała się.

- Jeśli mam tu zostać, żądam, żeby pani mi towarzyszyła.

W przeciwnym razie nie opuszczę hotelu, dopóki nie porozmawiam z ambasadą.

- Pojadę z panią.

Weszły do sali śniadaniowej.

Karin właśnie wstawiała odstolika, gdy podeszły.

Birgitta wyjaśniła przyjaciółce, co się stało.

Karin patrzyła na nią z coraz większym zdziwieniem.

- Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

Uprzedziłabym cię, że pewnie każą ci zostać.

- Naprawdę nie chciałam cię niepokoić.

Nie chciałam też sama się denerwować.

Sądziłam, że już po wszystkim.

Odzyskałam torebkę, ale wygląda na to, że muszę tu zostać do jutra.

- Czy to naprawdę konieczne?

- Policjant, z którym przed chwilą rozmawiałam, niewyglądał na takiego, który zmienia zdanie, jeśli coś postanowił.

- Chcesz, żebym z tobą została?

- Jedź.

Ja wrócę jutro.

Zadzwoń do domu i powiem, co się stało.

Karin wciąż miała wątpliwości.

Birgitta odprowadziła ją do wyjścia.

- Jedź.

Ja zostanę i załatwię sprawę.

Najwyraźniej prawo w tym kraju nie pozwoli mi wyjechać, dopóki im niepomogę.

- Mówisz, że nie widziałaś żadnego z napastników?

- I będę się tego trzymać.

Idź już!

Kiedy wrócę do domu, spotkamy się i obejrzymy zdjęcia z muru.

Birgitta patrzyła za znikającą w windzie Karin.

Ponieważ schodząc na śniadanie, zabrała kurtkę, była gotowa do wyjścia.

404

Jechała samochodem razem z Chan Bing i Hong.

Motocykle jadące na sygnale torowały im drogę w gęstym ruchu.

Minęli plac Tiananmen i podążali dalej, szerokimi głównymi ulicami, aż w końcu skręcili do strzeżonego przez policjantów wjazdu do garażu.

Wjechali windą na czternaste piętro i ruszyli korytarzem, w którym mężczyźni w mundurach rzucali na Birgittę baczne spojrzenia.

Teraz, zamiast Hong, siedział obok niej Chan Bing.

W tym miejscu nie ona jest najważniejsza, pomyślała Birgitta.

Tutaj rządzi on.

Weszli do przedpokoju prowadzącego do dużego gabinetu.

Siedzący w nim policjanci zerwali się z miejsc i stanęli na baczność.

Drzwi się za nimi zamknęły, z czego Birgitta wyniosowała, że jest to gabinet Chan Binga.

Na ścianie jego biurkiem wisiał portret przewodniczącego ChRL.

Zauważyła, że Chan Bing ma nowoczesny komputer i kilka telefonów komórkowych.

Wskazał jej krzesło stojące przed biurkiem.

Birgitta usiadła.

Hong została w przedpokoju.

- LaoSan - powiedział Chan Bing.

- Tak się nazywa mężczyzna, którego za chwilę pan zobaczy i wskaże spośród dziewięciu innych.

- Ile razy mam powtarzać, że nie widziałam mężczyzny, który mnie napadł?

- Zatem nie możecie wiedzieć, czy napastnik był jeden, czy było ich dwóch, a może nawet więcej?

- Wydawało mi się, że było ich więcej niż jeden.

Czułam na sobie zbyt wiele rąk.

Nagle ogarnął ją lęk.

Zbyt późno wzięła pod uwagę możliwość, że zarówno Hong, jak i Chan Bing wiedzą, że szukała Wanga Min Hao.

To dlatego siedział teraz przed biurkiem wysoko postawionego policjanta.

W jakiś sposób stała się zagrożeniem.

Pytanie brzmiało: dlaczego?

405.

Oboje wiedzą, pomyślała.

Hongnie weszła do gabinetu, ponieważ wie, o czym Chan Bing będzie ze mną rozmawiał.

Fotografię miała wciąż w wewnętrznej kieszeni kurtki.

Zastanawiała się przez chwilę, czy nie powinna jej wyjąć i wyjaśnić Chan Bingowi, co ją zawiodło do miejsca, w którym została napadnięta.

Coś sprawiło jednak, że zmieniła zdanie.

Teraz Chan Bing prowadził w tańcu, a ona pozwalała mu na to.

Przysunął do siebie kilka leżących na biurku kartek.

Niepo to, żeby do nich zajrzeć, jak zauważyła, ale by się zastanowić, co powiedzieć.

- Ile pieniędzy?

- zapytał.

- Sześćdziesiąt dolarów amerykańskich.

Trochę mniej w chińskiej walucie.

- Biżuteria?

Drogie kamienie?

Karty kredytowe?

- Nic nie zginęło.

Zabrzącał jeden z telefonów leżących na biurku.

Chan Bing odebrał, chwilę słuchał, po czym rozłączył się.

- Wszystko gotowe - zakomunikował, wstając z krzesła.

- Zaraz zobaczy pani człowieka, który na panią napadł.

- Sądziłam, że było ich więcej.

- Zobaczy pani tego z napastników, którego możemy przesłuchać.

A więc drugi nie żyje, pomyślała Birgittai poczuła, że robi jej się niedobrze.

W tej chwili pożałowała, że zgodziła się zostać w Pekinie.

Powinna była się uprzeć i polecić razem z Karin.

Godząc się na pozostanie, wpadła w jakąś pułapkę.

Szli korytarzem, potem schodami, w końcu przeszli przez jakieś drzwi.

Światło w pomieszczeniu było przytłumione.

Przy zasłaniającej lustro draperii stał policjant.

406

- Zostawiam panią samą - powiedział Chan Bing.

- Zapewne wie pani, że ci mężczyźni pani nie widzą.

Proszę mówić do mikrofonu, jeśli będzie pani chciała, żeby któryś z nich wystąpił krok do przodu lub odwrócił się profilem.

- Do kogo będę wtedy mówić?

- Do mnie.

Proszę się nie śpieszyć.

- To bez sensu.

Il razymam powtarzać, że nie widziałam twarzy napastników.

Chan Bing nie odpowiedział.

Podciągnięto draperię i Birgitta została sama w pomieszczeniu.

Za szybą stało kilku około trzydziestoletnich, skromnie ubranych mężczyzn.

Niektórzy byli bardzo chudzi.

Ich twarze wyglądały obco.

Birgitta żadnego nie rozpoznała, choć przez moment wydawało jej się, że człowiek stojący z brzegu po lewej stronie trochę przypomina mężczyznę sfilmowanego okiem kamery Sturego Hermanssona w Hudiksvall.

Po chwili uznała jednak, że to nie może być on - ten miał okrągłą szą twarz i pełniejsze usta.

Nagle z niewidocznego głośnika rozległ się głos Chana Binga.

- Proszę się nie śpieszyć.

- Nie rozpoznaję żadnego z tych mężczyzn.

- Niech się pani skupi.

-Mogę tu stać dojutra, ale i tak nie zmienię zdania.

Chan Bing milczał.

Birgittazirytowana nacisnęła klawiszmikrofonu.

- Nigdy nie widziałam żadnegoz tych mężczyzn.

-Jest pani pewna?

-Tak.

- Proszę się im dokładnie przyjrzeć.

Mężczyzna czwarty od prawej nagle wystąpił krokdo przodu.

Miał na sobie watowaną kurtkę i łatanę

407.

w wielu miejscach spodnie.

Jego chuda twarz była nieogolona.

Chan Bing odezwał się napiętym głosem.

- Czy widziała pani kiedyś tego mężczyznę?

-Nigdy.

- To jeden z napastników.

LaoSan, dwadzieścia dziewięć lat, wcześniej karany za różnego rodzaju przestępstwa.

Jego ojciec został skazany na śmierć za zabójstwo.

- Nigdy wcześniej go nie widziałam.

-Przyznał się do winy.

- Więc nie jestem wam już chyba potrzebna?

Policjant, który do tej pory stał ukryty w cieniu, podszedł do lustra i opuścił draperię, po czym dał znak Birgitcie, żeby za nim poszła.

Wrócili do gabinetu, w którym czekał już Chan Bing.

Nigdzie nie było widać Hong.

- Chcemy podziękować pani za pomoc - powiedział Chan Bing.

- Pozostało nam do załatwienia tylko kilka formalności.

W tej chwili porządzany jest protokół.

- Protokół z czego?

-Z konfrontacji ze sprawcą.

- Co się z nim stanie?

-Nie jestem sędzią.

Co stałoby się z nim w panikraju?

- To zależy od okoliczności.

-Oczywiście nasz system prawny działa na tych samych zasadach.

Osądzając przestępcę, weźmiemy pod uwagę to, że się przyznał, i wszelkie inne okoliczności.

- Czy istnieje ryzyko, że zostanie skazany na śmierć?

- Wątpię - oschle odparł Chan Bing.

- To zachodni stereotyp mówi, że w naszym kraju skazujemy na śmierć zwykłych złodziei.

Gdyby użył broni lub poważnie panią zranił, sprawa wyglądałaby inaczej.

- Ale jego współnik nie żyje?

408

- Stawiał opór podczas aresztowania.

Dwaj policjanci, których zaatakował, działali w obronie własnej.

- Skąd wiecie, że był winny?

- Stawiał opór.

- Mógł mieć ku temu jakiś inny powód.

- Mężczyzna, którego pani przed chwilą zobaczyła, Lao San, zeznał, że był jego współnikiem.

- Ale nie ma na to dowodów?

- Jest zeznanie.

Birgitta zrozumiała, że Chan Bing nigdy nie straci cierpliwości.

Postanowiła zrobić to, o co ją poprosi, by móc jak najszybciej wyjechać z Chin.

Do gabinetu weszła kobieta w policyjnym mundurze, z teczką w ręku.

Widać było, że stara się nie spojrzeć na Birgittę Roślin.

Chan Bing przeczytał protokół.

Birgitta zauważyła, że się śpieszy.

Jego cierpliwość się skończyła, pomyślała.

Lub też skończyło się coś innego, coś, o czym nie wiem.

W szczegółowym dokumencie Chan Bing oświadczał, że Birgitta Roślin, obywatelka szwedzka, nie rozpoznała Lao Sana, sprawcy brutalnego napadu, którego padła ofiarą.

Chan Bing zamilkł i podsunął jej protokół.

Był napisany po angielsku.

- Proszę podpisać powiedział.

- Potem może pani jechać do domu.

Zanim złożyła podpis, dokładnie przeczytała dwustronicowy dokument.

Chan Bing zapalił papierosa.

Zdawał się już o niej nie pamiętać.

Nagle do gabinetu weszła Hong.

- Możemy jechać - zakomunikowała.

- Już po wszystkim.

409.

Birgitta milczała przez całą drogę do hotelu.

Zanim wsiadła do samochodu, zadała Hongowi jedno pytanie.

- Domyślam się, że dziś nie ma już dla mnie żadnego połączenia?

- Niestety musi pani poczekać do jutra.

W recepcji zastała wiadomość, że rezerwacja jej lotu liniami Finnair została przesunięta na następny dzień.

Przygotowywała się już na pożegnanie, gdy Hong zaproponowała, że odwiedzi ją później, by towarzyszyć jej podczas kolacji.

Birgitta od razu się zgodziła.

Samotność w Pekinie była ostatnią rzeczą, której by sobie teraz życzyła.

Weszła do windy, myśląc o tym, że Karin jest właśnie w drodze do domu, na pokładzie samolotu, niewidoczna gdzieś tam w górze.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobiła po wejściu do pokoju, był telefon do domu.

Obliczenie różnicy czasu sprawiało jej problem.

Gdy Staffan odebrał, zorientowała się, że go obudziła.

- Gdzie jesteś?

- W Pekinie.

- Dlaczego?

- Opóźnił mi się wyjazd.

- Która godzina?

- Tu jest pierwsza po południu.

- Nie jesteś w drodze do Kopenhagi?

- Nie chciałam cię budzić.

Przylecę o tej samej godzinie jutro, po prostu dobędę później.

- Czy wszystko w porządku?

- Tak, wszystko gra.

Połączenie zostało przerwane.

Próbowała zadzwonić jeszcze raz, ale bez skutku.

W końcu wysłała SMS-a, w którym powtórzyła, że przyleci następnego dnia.

410

Gdy odłożyła telefon, zorientowała się, że podczas jej wizyty na policji ktoś był w pokoju.

Nie było to nagłe odkrycie, raczej narastające powoli wrażenie.

Stanęła na środku i rozejrzała się.

Początkowo nie umiała określić, co zwróciło jej uwagę.

Po chwili zrozumiała, że była to otwarta walizka.

Ubrania były złożone inaczej, niż zrobiła to poprzedniego wieczoru.

Podczas pakowania sprawdzała, czy wszystko się zmieści i czy walizka bez problemu się domknie.

Teraz napróżno próbowała zamknąć ją ponownie.

Usiadła na brzegu łóżka.

Sprzątaczką nie przepakowuje walizek, pomyślała.

Ktoś inny był w pokoju i przejrzał wszystkie moje rzeczy.

Po raz drugi.

Nagle zrozumiała.

Zmuszenie jej do próby rozpoznania sprawcy napadu nie było niczym innym, jak sposobem na wywabienie jej z hotelu.

Od chwili, gdy Chan Bing odczytał jej protokół, wszystko potoczyło się bardzo szybko.

Musiał dostać wiadomość od osób przeszukujących pokój, że wszystko już załatwione.

Tu nie chodzi o moją walizkę, powtórzyła w duchu.

Istnieje tylko jedno wytłumaczenie.

Ktoś chce wiedzieć, dlaczego pokazałam zdjęcie nieznanego mężczyzny w pobliżu budynku koło szpitala.

Może ten mężczyzna wcale nie był nieznanym?

Lęk powrócił ze zdwojoną siłą.

Zaczęła szukać kamer i mikrofonów, odwracała obrazy, sprawdzała lampy, nic jednak nie znalazła.

O umówionej godzinie spotkała się w recepcji z Hong, która zaproponowała, by wybrały się do znanej restauracji.

Ale Birgitta nie chciała opuszczać hotelu.

; -Jestem wyczerpana - powiedziała.

- Chan Bing to męczący człowiek.

Chcę coś zjeść, a potem pójść spać.

Jutro wracam do domu.

411.

Ostatnie zdanie było właściwie pytaniem.

Hongpotwierdziła skinieniem głowy.

- Jutro wraca pani do domu.

Usiadły przy jednym z wysokichokien.

Pianista dyskretnie przygrywał na estradzie pośrodku lokalu, wśród akwariów i fontann.

- Poznaję tę melodię - powiedziała Birgitta.

- To angielska piosenka z czasów drugiej wojny światowej.

We Umeet again, dont know where, dont know when.

Może to o nas?

- Zawsze chciałam odwiedzić kraje nordyckie.

Kto wie?

Birgitta piła czerwone wino.

Ponieważ nic wcześniej nie jadła, szybko poczuła działanie alkoholu.

- Teraz jest już po wszystkim - powiedziała.

- Wracam do domu.

Odzyskałam torebkę i zobaczyłam Wielki Mur.

Przekonałam się, że ruch chłopski dokonał w Chinach ogromnych przemian.

To, czego tu dokonano, to wielkie osiągnięcie.

Kiedy byłam młoda, marzyłam, by maszerować Czerwoną Książeczką Mao w dłoni, otoczona tysiącami innych młodych ludzi.

Jesteśmy w tym samym wieku.

O czym pani marzyła?

- Byłam jedną z tych, którzy maszerowali.

- Z przekonania?

- Tak, wszyscy z przekonania.

Czy widział pani kiedyś teatr lub namiot cyrkowy pełen dzieci?

Krzyczą z radości.

Niekoniecznie z powodu tego, co widzą, ale dlatego że znajdują się w tym samym miejscu z tysiącem innych dzieci.

Żadnych nauczycieli, żadnych rodziców.

Rządzą światem.

Człowieka znajdującego się w wystarczająco dużej grupie można przekonać do wszystkiego.

- To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

- Teraz będzie odpowiedź.

Byłam jak jedno z tych dzieci.

Równocześnie byłam pewna, że bez Mao Tse-Tunga Chiny

412

nigdy nie podniosą się z nędzy.

Bycie komunistą oznaczało walkę z niedolą, walkę z koniecznością chodzenia na bosaka.

Walczyliśmy o parę spodni dla każdego.

- Co wydarzyło się później?

- To, przed czym Mao zawsze przestrzegał.

Że wielki niepokój pod niebem zawsze będzie istniał, choć za każdym razem powstaje z innego powodu.

Tylko głupiec uważa, że można wejść dwa razy do tej samej rzeki.

Dziś widzę wyraźnie, jak wiele przewidział.

- Czy wciąż jest pani komunistką?

- Tak.

Nic do tej pory nie zmieniło mojego przekonania, że musimy wspólnie próbować walczyć biedę, która wciąż panuje w naszym kraju.

Birgitta nie chcący potrafiłakieliszek, rozlewając wino.

- Ten hotel.

Mogłabym obudzić się w nim rano, nie wiedząc, w jakim miejscu na świecie się znajduję.

- Przed Chinami wciążdalekadroga.

Przyniesiono zamówione dania.

Pianista przestał grać.

Birgittabiła się z myślami.

W końcu odłożyła sztućce i spojrzała na Hong, która natychmiast przestała jeść.

- Proszę mi wszystko powiedzieć.

Jutro jadę do domu.

Niemusi pani już przede mną odgrywać swojej roli.

Kim pani jest?

Dlaczego przez cały czas byłam pilnowana?

Kim jest Chan Bing?

Kim byli ludzie, których miałam rozpoznać?

Nie wierzę, że w tym wszystkim chodzi o torebkę i o gościa z zagranicy, któremu przytrafił się nieszczęśliwy wypadek.

Liczyła na to, że Hong w jakiś sposób zareaguje, podarujesobie którąś ze stanowczych odpowiedzi, za którymi wciąż się ukrywała.

Jednak nawet ta lawina pytań nie zburzyła jej spokoju.

- O co miałyby chodzić, jeśli nie o napad?

- Ktoś przeszukał mój pokój.

413.

- Czy coś zginęło?

-Nie.

Ale wiem, że ktoś w nim był.

- Jeśli pani chce, możemy wezwać szefa ochrony hotelu.

- Chcę, żeby pani odpowiedziała na moje pytania.

Cotu się dzieje?

- Nicpoza tym, że chcemy, by nasi zagraniczni goście czuli się u nas bezpiecznie.

- Czy naprawdę mam uwierzyć to, co pani mówi?

- Tak - odparła Hong.

- Chcę, żeby pani uwierzyła w moją słowo.

Coś w jej głosie sprawiło, że Birgitta straciła ochotę na dalsze pytania.

Zrozumiała, że i tak nie udaje się uzyskać żadnych odpowiedzi.

Nigdy nie miała się dowiedzieć, czy to Hong kazała ją śledzić, czy Chan Bing.

Istniało wejście i wyjście, a ona biegała korytarzami i z powrotem zopaską na oczach, między jednym i drugim.

Hong odprowadziła ją aż pod drzwi pokoju.

Birgitta uścisnęła jej dłoń.

- Żadnych więcej interwencji?

Żadnych więcej sprawców?

Żadnych protokołów?

Żadnych pojawiających się nagle ludzi znajomych twarzach?

- Przyjadę po panią o dwunastej.

Tej nocy Birgitta spała niespokojnie.

Wstała o świcie, zjadła awczesne śniadanie, nie rozpoznając nikogo z gości ani z obsługi.

Przed wyjściem z pokoju wywiesiła na klamce tabliczkę z informacją, by jej nie przeszkadzano, i

wysypała dywan pod drzwiami trochę soli kąpielowej.

Po powrocie stwierdziła, że nikt nie złożył jej nieproszonej wizyty.

Hong przyjechała po nią zgodnie z obietnicą.

Na lotnisku przeprowadziła ją bez kolejki przez specjalną bramkę.

Rozstały się przy stanowiskach kontroli paszportów.

Hong wręczyła Birgittie małą paczuszkę.

414

- Prezent z Chin.

- Od pani czy od kraju?

- Od obojga.

Birgitta pomyślała, że mimo wszystko być może była niesprawiedliwa w stosunku do Hong.

Być może Chinka chciała jej tylko pomóc zapomnieć o napadzie?

- Bezpiecznego lotu - powiedziała Hong.

- Może jeszcze kiedyś się spotkamy.

Birgitta przeszła przez kontrolę paszportową.

Gdy się odwróciła, Hong już nie było.

Rozpakowała paczuszkę dopiero po starcie samolotu.

Wewnątrz znalazła porcelanową figurkę dziewczynki trzymającej nad głową Czerwoną Książeczkę.

Wsunęła ją do torebki i zamknęła oczy.

Czuła wielką ulgę że już wraca do domu, i ogromne zmęczenie.

W Kopenhadze na lotnisku czekała na nią Staffan.

Spędziła wieczór, siedząc na kanapie u jego boku i opowiadając mu o swoich przeżyciach z Chin.

Nie wspomniała jednak nic o napadzie.

W pewnej chwili zadzwoniła Karin Wiman.

Birgitta obiecała odwiedzić ją w Kopenhadze, jak tylko będzie mogła.

Następnego dnia popowrocie poszło lekarza.

Jej ciśnienie znacznie się poprawiło.

Jeśli się okaże, że jest stabilne, będzie mogła wrócić do pracy już za kilka dni.

Śnieg przszął lekko, kiedy ponownie wyszła na ulicę.

Birgitta bardzo chciała już wracać do pracy.

Nazajutrz o siódmej rano siedziała przy biurku w swojej gabinecie, sortując papiery, które urosły pod jej nieobecność.

Mimo że oficjalnie była jeszcze na zwolnieniu.

Śnieg zaczął padać obficie.

Patrzyła przez okno, obserwując rosnącą na parapecie warstwę białego puchu.

415.

Małą figurkę dziewczynki o czerwonych policzkach zwycięskim uśmiechu, z uniesioną nad głowę Czerwoną Książeczką, postawiła obok telefonu.

Zdjęcie zrobione hotelową kamerą, które do tej pory nosiła w wewnętrznej kieszeni, włożona do szuflady.

Zasunawszy ją, poczuła się tak, jakby wszystko wreszcie się skończyło.

CZĘŚĆ IV

Kolonizatorzy (2006)

Narody uciskane w walce o swe całkowite wyzwolenie muszą polegać przede wszystkim na własnych siłach, a dopiero potem na pomocy międzynarodowej.

Narody, które osiągnęły zwycięstwo w rewolucji, powinny udzielać pomocy narodom walczącym o wyzwolenie.

To nasz internacjonalistyczny obowiązek.

Mao Tse-Tung

Rozmowa na spotkaniu z afrykańskimi przyjaciółmi (8 sierpnia 1963 roku).

Kora odłupana przez słonie

28

Pięćdziesiąt kilometrów na zachód od Pekinu, nieopodal ruin pałacu Żółtego Cesarza, znajdowało się kilka otoczonych murem szarych budynków, których przy różnych okazjach używały władze Komunistycznej Partii Chin.

Budynki, z zewnątrz sprawiające wrażenie niepozornych, wewnątrz składały się z kilku pokoi konferencyjnych, kuchni i restauracji, a otoczone były parkiem, gdzie przyjezdni mogli rozprostować nogi lub przeprowadzać rozmowy na osobności.

Jedynie ci, którzy należeli do wewnętrznych kręgów partii, wiedzieli, że z budynków, zwanych Żółtym Cesarzem, korzystano wyłącznie przy okazji najwyższej wagi rozmów dotyczących przyszłości Chin.

Tak właśnie było pewnego zimowego dnia 2006 roku.

Wczesnym rankiem na miejsce zajechało kilka czarnych samochodów.

Z dużą prędkością przejechały przez bramę, którą natychmiast zamknięto.

W największej sali konferencyjnej w dużym kominku płonął ogień.

Zgromadzoną w pomieszczeniu grupę osób stanowiło dziewiętnastu mężczyzn i trzy kobiety.

Większość z nich była po sześćdziesiątce, najmłodsza miała około trzydziestu pięciu lat.

Wszyscy się znali.

Wspólnie tworzyli elitę, która w praktyce rządziła Chinami, w sensie zarówno politycznym, jak i ekonomicznym.

Jedy419.

nymi brakującymi osobami byli przewodniczący Chińskiej Republiki Ludowej oraz naczelny dowódca sił zbrojnych.

Jednak właśnie tym dwóm osobom wszyscy zgromadzeni mieli zdać raport z rozmowy przedłożyć propozycje wypracowane wspólnie podczas konferencji.

W dziennym porządku obrad widniał jeden jedyny punkt.

Został sformułowany w największej tajemnicy i wszyscy obecni złożyli przysięgę milczenia.

Ktokolwiek odważyłby się ją złamać, wkrótce zniknąłby bez śladu z życia publicznego.

W jednym z pozostałych pokoi nerwowo chodził tam z powrotem czterdziestokilkuletni mężczyzna.

W dłoni trzymał dokument zawierający przemowę, nad którą pracował przez kilka miesięcy i którą miał wygłosić tego dnia.

Wiedział, że jest to jeden z najważniejszych dokumentów, jakie przedłożono przywództwu partii komunistycznej odczasu, gdy Chiny odzyskały niepodległość w roku 1949.

Yan Ba dostał polecenie od przewodniczącego republiki dwa lata wcześniej.

Na Uniwersytet Pekijski, gdzie pracował jako futurolog, dotarła wiadomość, że przewodniczący chce z nim porozmawiać.

Polecenie otrzymał podczas spotkania w cztery oczy.

Od tego dnia był zwolniony ze swoich zajęć dydaktycznych.

Dostał do dyspozycji trzydziestoosobowy sztab.

Projekt był otoczony ścisłą tajemnicą i strzeżony przez osobistą służbę bezpieczeństwa przewodniczącego.

Tekst przemowy został napisany na osobistym komputerze Yan Ba.

Nikt inny poza nim nie miał dostępu do materiałów, które w tej chwili trzymał w dłoni.

Przez ściany pokoju nie dochodził żaden dźwięk.

Plotka głosiła, że w pomieszczeniu tym znajdowała się kiedyś sypialnia żony Mao Tse-Tunga, Jiang Qing, która po śmierci męża została aresztowana wraz z trzema pozostałymi osobami.

mi, zwanymi Bandą Czworka, osądzona i osadzona w areszcie, gdzie po jakimś czasie popełniła samobójstwo.

Żądała całkowitej ciszy w miejscu, w którym miała spać.

Murarzei malarze zawsze przybywali tam wcześniej, by wyciszyć je pokój, podczas gdy specjalnie do tego celu wyznaczeni żołnierze zabijali wszystkie szczekające psy w pobliżu miejscowej chwilowego pobytu.

Yan Ba spojrzął na zegarek.

Była za dziesięć dziewiąta.

Jego wystąpienie miało się rozpocząć dokładnie piętnaście po dziewiątej.

O siódmej zażył tabletkę, którą dostał od swojego lekarza.

Miała go uspokoić, nie powodując otępienia.

Jego zdenerwowanie powoli zaczynało mijać.

Gdyby to, co napisał w swej przemowie, stało się rzeczywistością, miałyby doniosłe następstwa na całym świecie, nie tylko w Chinach.

Nikt jednak nigdy nie miał się dowiedzieć, że to on zebrał i przygotował realizowane propozycje.

Miał wrócić do profesury i do swoich studentów.

Jego zarobki miały wzrosnąć i już przeprowadził się do większego mieszkania w lepszej dzielnicy w centrum Pekinu.

Złożona przysięga milczenia miała go obowiązywać do końca życia.

Odpowiedzialność, krytyka, a być może pochwała za przyszłe efekty jego pracy miały jednak przypaść politykom, decydującym o przyszłości całego chińskiego społeczeństwa.

Usiadł przy oknie i wypił szklankę wody.

Wielkich zmian dokonuje się na polu bitwy, pomyślał.

Odbywają się w zamkniętych pokojach, w których ludzie o wielkiej władzy decydują, w jakim kierunku ma zmierzać przyszłość.

Obok przywódców USA i Rosji przewodniczący Chin jest najpotężniejszym człowiekiem na świecie.

Teraz ma dopodjąć rozstrzygające decyzje.

Ci, którzy są tu zebrani, są jego uszami.

Mają za zadanie słuchać i przedstawić mu

swój osąd.

Z czasem rezultaty wypłyną z Żółtego Cesarzai dotrą do całego świata.

Yan Ba przypomniał sobie podróż, którą kilka lat wcześniej odbył wraz z przyjacielem, geologiem.

Udali się w góry, gdzie były źródła rzeki Jangcy.

Podążali wijącą się, coraz cieńszą ścieżką, aż do miejsca, z którego wypływały cieniutkie strużki wody.

Jego przyjaciel postawił stopę w poprzek strumyka i powiedział:

- Teraz zatrzymuję bieg potężnej Jangcy.

Pamięć o tym zdarzeniu towarzyszyła mu podczas pracowitych miesięcy, gdy przygotowywał rozprawę na temat przyszłości Chin.

Teraz on był tym, który miał władzę, mogącą zmienić bieg wielkiej rzeki przyszłości.

Ogromne Chiny miały rozpocząć wędrówkę w kierunku innym niż ten wytyczony dla minionych dziesięcioleci.

Yan Ba sięgnął po listę osób zgromadzonych w pokoju konferencyjnym.

Wszystkie nazwiska były mu znane i nie mógł się nadziwić, że to właśnie jemu osoby te poświęcą swój czas.

Byli to najpotężniejsi ludzie w Chinach.

Politycy, kilku wojskowych, ekonomiści, filozofowie, a nawet tak zwani szarzy mandaryni, opracowujący wciąż wypróbowywane strategie polityczne.

Na liście było też kilku najbardziej znanych ekspertów do spraw stosunków międzynarodowych, a także reprezentanci najważniejszych w kraju organizacji bezpieczeństwa.

Wielu z nich spotykało się regularnie, inni kontaktowali się bezpośrednio lub wcale.

Wszyscy jednak byli częścią myślniej tkaniny stanowiącej centrum

władzy w mocarstwie chińskim, zamieszkanym przez ponad miliard ludzi.

Nagle otworzyły się drzwi w krótszej ścianie pomieszczenia.

Ubrana na biało kelnerka przyniosła zamówioną przez niego

filiżankę herbaty.

Dziewczyna była bardzo młoda i bardzo piękna.

Bez słowa postawiła tacę i wyszła z pokoju.

Gdy w końcu nadszedł jego czas, Yan Ba spojrzął na swoje odbicie w lustrze i uśmiechnął się.

Był gotowy, by postawić stopę w poprzek i zahamować bieg rzeki.

Był całkiem cicho, gdy Yan Ba stanął za mównicą.

Poprawił mikrofon, ułożył kartki w odpowiedniej kolejności i spojrzął na publiczność, ledwie widoczną w półmroku.

Zaczął mówić o przyszłości.

Wyjaśnił powód swojej obecności, dlaczego przewodniczący i politbiuro polecieli mu, by ustalił, jak wielkie zmiany są konieczne.

Zacytował słowa przewodniczącego, które ten wypowiedział, przydzielając mu zadanie.

- Dotarliśmy do punktu, w którym konieczne jest obranie nowej drogi.

Jeśli tego nie zrobimy, jeśli niedokonamy słusznego wyboru, istnieje poważne ryzyko, że w wielu częściach kraju wybuchnie chaos.

Nawet lojalne wojsko nie powstrzyma setek milionów zbuntowanych, wściekłych chłopów.

Tak właśnie Yan Ba postrzegał swoje zadanie.

Chiny stały w obliczu zagrożenia, któremu należało przeciwstawić śmiałość i odwagę.

Jeśli tak się nie stanie, kraj pogrzeże się w chaosie, tak jak to już wielokrotnie było w jego dotychczasowej historii.

Za siedzącymi w półmroku mężczyznami i nielicznymi kobietami kryły się setki milionów chłopów, niecierpliwie czekających na to, by nowe, lepsze życie stało się również ich udziałem, a nie wyłącznie rosnącej klasy średniej zamieszkującej miasta.

Ich cierpliwość powoli się kończyła, przeradzając się stopniowo w wściekłość i zniecierpliwienie.

Czas był najwyższy, wkrótce jabłko spadnie na ziemię i zacznie gnić, jeśli nikt go nie podniesie.

Yan Ba rozpoczął swoje przemówienie od pokazania dłońmi symbolicznego rozdroża.

Tu właśnie się znajdujemy - powiedział.

Nasza wielka rewolucja zaprowadziła nas dotąd, do miejsca, o którym naszym rodzicom nawet się nie śniło.

Na chwilę możemy zatrzymać się na rozdrożu i spojrzeć w siebie.

Daleko w tyle mający nędza i cierpienie, z których wyszliśmy.

Nie są jednakodległe bardziej niż o jedno pokolenie, które pamięta jeszcze, jak to jest żyć jak szczury.

Pokolenie to żyło jeszcze w czasach, kiedy bogaci obszarnicy skostniałe urzędy traktowali ludzi jak pozbawione duszyszkodniki, nadające się wyłącznie do tego, by zaharować się na śmierć jako kulisi lub bezrolni niewolnicy.

Możemy, wręcz powinniśmy być dumni z tego, jak wiele udało nam się osiągnąć pod wodzą wielkiej partii i przywódców, którzy prowadzili nas różnymi, ale zawsze słusznymi drogami.

Wiemy, że prawda wciąż się zmienia, że stale należy podejmować nowe decyzje, by mogły przetrwać dawne idee socjalizmu i solidarności.

Czas nie stoi w miejscu.

Życie wciąż stawia przed nami nowe zadania, które zmuszają nas do ciągłego poszukiwania wiedzy, znajdowania nowych rozwiązań dla nowych problemów.

Wiemy też, że nie uda nam się budować na ziemi raju.

Raju, który czeka nas po śmierci.

Jeśli w to uwierzymy, ów raj stanie się pułapką.

Nie istnieje rzeczywistość bez sporów, nie ma przyszłości bez walki.

Historia nauczyła nas, że antagonizmy klasowe powstają wciąż nowo, w taki sam sposób, jak zmieniają się stosunki panujące na świecie.

Kraje z mocnych stają się słabe, potężni rosną w siłę.

Mao Tse-Tung zawsze powtarzał, że pod niebem panuje wielki niepokój, a my wiemy, że miał rację, i że znajdujemy się na pokładzie statku, którym musimy płynąć po nieznanych wodach, nigdy nie wiedząc, gdzie jest najgłębiej.

Bo porusza się nawet morskie dno, nawet w nie424

widocznych miejscach czai się zagrożenie dla naszego bytu i naszej przyszłości.

Yan Ba odwrócił kartkę.

Czuł panujące na sali skupienie.

Nikt się nie poruszał, wszyscy czekali na ciąg dalszy.

Przemowę zaplanował na pięć godzin.

Na to zostali też przygotowani słuchacze.

Gdy poinformował przewodniczącego, że jest gotowy, że napisał przemowę, powiedziano mu, że nie są przewidziane żadne przerwy.

Uczestnicy będą musieli siedzieć na swoich miejscach przez cały czas.

- Muszą dostrzec całość - powiedział przewodniczący.

- Nie może być przerwy.

Każda przerwa to ryzyko pojawienia się wątpliwości.

Świadomość, że konieczne jest podjęcie jakichś kroków, ma być niewzruszona i twarda jak skała.

Kolejną godzinę Yan Ba poświęcił na historyczny rys Chin, które przeszły cykl dramatycznych przemian nie tylko w minionym stuleciu, ale też przez wszystkie wieki, odkąd cesarz Qin stworzył podwaliny zjednoczonego państwa.

Było zupełnie tak, jakby dzieje Państwa Środka podążały zaminowaną ścieżką.

Jedynie najwięksi, patrzący przenikliwie i wizjonersko, potrafili określić, kiedy nastąpią kolejne wybuchy.

Niektórzy z nich, między innymi Suń Jat-sen, a także Mao, mieli coś, co prosty naród postrzegał jako magiczny dar zaglądania w przyszłośći samodzielnego odpalania ładunków, które ktoś, powiedzmy nemesis dwina historii, rozmieścił wzdłuż niewidzialnej drogi - drogi narodu chińskiego.

Najwięcej uwagi Yan Ba poświęcił oczywiście Mao i jego czasom, to było nieuniknione.

On zapoczątkował pierwszą dynastię komunistyczną.

Nie chodziło tylko o to, by użyć samego terminu "dynastia", co wywołałoby nieprzyjemne skojarzenia z wcześniejszym terrorem.

Chodziło o to, że biedni chińscy chłopcy, którzy przeprowadzili rewolucję,

właśnie w ten sposób patrzyli na Mao.

Był cesarzem, który pozwolił zwykłym ludziom wejść do Zakazanego Miasta i nie kazał im, pod groźbą ścięcia, patrzeć w bok, gdy on, Wielki Wódz, Wielki Sternik Narodu, przechodził obok, machał z estrady lub pływał w jednej z potężnych rzek.

Teraz nadszedł czas - wyjaśnił Yan Ba - by ponownie zwrócić się do Mao i z pokorą stwierdzić, że miał rację co do kierunku rozwoju, który obserwujemy, mimo że nie żyje już od dokładnie trzydziestu lat.

Jego głos wciąż jest żywy, Mao umiał spoglądać w przyszłość jak jasnowidz, wróżbita i przede wszystkim naukowiec, potrafił wysłać promienie swojego światła do ciemnych pokoi, w których moce historii, planując przyszłe dziesięciolecia, rozmieszczają kolejne ładunki wybuchowe.

Lecz w czym Mao miał rację?

W wielu kwestiach się mylił.

Pierwszy przywódca dynastii komunistycznej nie zawsze właściwie postrzegał i traktował otaczającą go rzeczywistość.

Stał na czele, gdy kraj został wyzwolony i po pierwszym Długim Marszu, tym przez góry, nastąpił inny, nowy, co najmniej tak samo długi i trudny, marsz od feudalizmu ku społeczeństwu przemysłowemu i skolektywizowanym masom chłopskim, w których każdy, nawet najbiedniejszy z najbiedniejszych, będzie miał prawo do pary spodni, koszuli, pary butów, a także prawo do szacunku i ludzkiej godności.

Sen o wolności, będący duchową treścią samej walki wyzwoleniczej - ciągnął Yan Ba - zakładał, że nawet najbiedniejszy chłop będzie miał prawo do własnych snów i marzeń o lepszej przyszłości, bezgroźby ścięcia przez jakiegoś odrażającego właściciela ziemskiego.

Teraz to głowy obszarników miały spaść, ich krew miała nawodnić ziemię.

Jednak Mao mylił się, sądząc, że Chinom uda się wykonać ogromny skok gospodarczy w krótkim czasie.

Mówił, że

426

jedna huta żelaza powinna znajdować się tak blisko drugiej, żeby mogły nawzajem posyłać sobie sygnały kominów.

Wielki Skok, który miał przenieść Chiny w przyszłość, był ogromną pomyłką.

Zamiast wielkiego przemysłu pojawili się ludzie przetapiający garnki i widelce w prymitywnych piecach na tyłach swoich domów.

Wielki Skok nie udał się, poprzeczka została strącona, ponieważ ustawiono ją zawysoko.

Nikt nie mógł zaprzeczyć, nawet zmuszeni do umiaru chińscy historycy, że zagłodzono miliony ludzi.

Był to czas, gdy dynastia Mao zaczęła przypominać wcześniejsze dynastie cesarskie.

Mao zamknął się w Zakazanym Mieście.

Nigdy nie zaakceptował porażki Wielkiego Skoku, nikomu nie wolno było o nim mówić.

Choć nikt właściwie nie wie, co myślał Mao.

W pismach Wielkiego Sternika zawsze był jakiś obszar, który raził pustką.

Mao ukrywał swoje najgłębsze myśli.

Niewiadomo, czy kiedykolwiek zbudził się czwartej nad ranem i zastanawiał się nad tym, co zrobił.

Czy leżał bezsennie, widząc cienie wszystkich zagłodzonych ludzi, którzy zginęli na ołtarzu niemożliwego do spełnienia snu, snu o Wielkim Skoku?

W tej sytuacji Mao przeszedł do kontrataku.

Ale kontrataku przeciwko czemu?

- zapytał Yan Ba i poczekał z odpowiedzią kilka sekund.

- Kontrataku przeciwko swojej własnej porażce, swojej złej polityce i lękowi, że gdzieś w cieniu jego przeciwnicy spiskują i przygotowują zamach.

Wielka Rewolucja Kulturalna, wezwanie Mao, by "zbombardować kwaterę główną", ów, by tak rzec, nowy rodzaj ładunków wybuchowych, była reakcją Mao na to, co widział dokoła.

Zmobilizował młodzież, w taki sam sposób, w jaki postępuje się zawsze, gdy panuje stan wojenny.

Nie było żadnej różnicy między sposobem użycia młodzieży przez Mao a tym, jak zrobiły to Francja, Anglia i Niemcy, posyłając młodych na pola bitwy

podczas pierwszej wojny światowej, na których mieli zginąć, pozostawiając wdeptane w błoto wszystkie swoje marzenia.

Nad Rewolucją Kulturalną nie ma co się rozwoździć, była drugą pomyłką Mao, niemal osobistą zemstą na tych siłach w społeczeństwie, które rzuciły mu wyzwanie.

Wówczas Mao zaczynał się już starzeć.

Najważniejsza była dlań kwestia następcy.

Gdy Lin Biao, wybraniec, okazał się zdrajcą i zginął w katastrofie lotniczej podczas ucieczki do Moskwy, Mao zaczął tracić kontrolę nad sytuacją.

Do samego jednak końca rzucał wyzwania tym, którzy mieli go przeżyć.

Miały powstać nowe antagonizmy klasowe, nowe grupy szukające przywilejów kosztem innych, powtarzające jak mantrę słowa Mao, że "jeden stan rzeczy po jakimś czasie zawsze zostanie zastąpiony przez nowy stan rzeczy".

Tylko głupiec, niczego nieświadomy, niedostrzegający tego, co widzieli wszyscy, trwałby w przekonaniu, że droga Chin do przyszłości została wytyczona raz na zawsze.

Mao, nasz wielki przywódca - powiedział Yan Ba - nie żyje od trzydziestu lat.

Okazało się, że miał rację, choć nie mógł rozpoznać sporów, które miały nadejść.

Nawet tego nie próbował, wiedząc, że to niemożliwe.

Historia nigdy nie daje dokładnej wiedzy o przyszłości, raczej pokazuje nam, że nasza zdolność do przygotowywania się na zmianę jest ograniczona.

Yan Ba zauważył, że słuchacze wciąż są skoncentrowani na jego słowach.

Teraz, gdy zakończył wstęp na temat historii, wiedział, że zaczną słuchać jeszcze większą uwagę.

Wielu z nich z pewnością się domyśla, co zostanie powiedziane.

Byli to ludzie inteligentni, świadomi tego, jakie wyzwania i groźby czyhają w Chinach.

Lecz dopiero teraz miały zapadnąć decyzje, jaką przyjąć politykę wobec zbliżających się

428

dramatycznych zmian.

Yan Ba wiedział, że wygłasza jedno z najważniejszych przemówień we współczesnej historii Chin.

Pewnego dnia jego słowa zostaną powtórzone przez przewodniczącego.

Na mównicy tuż pod lampką umieszczono dyskretnie zegarek.

Yan Ba rozpoczął drugą godzinę przemówienia od opisu obecnej sytuacji Chin i koniecznych zmian.

Przedstawił zagrażającą rozwojowi kraju rosnącą przepaść między poziomem życia mieszkańców miast i wsi.

Konieczne było wzmocnienie obszarów nadmorskich i centrów przemysłowych, stanowiących samą oś rozwoju gospodarczego.

Po śmierci Mao Deng wyraził słuszny osąd, że istnieje tylko jedna droga - wyjście z izolacji, otwarcie drzwi na świat.

Yan Ba zacytował słynne słowa Denga: "drzwi, które teraz otwieramy, nigdy już nie będą mogły zostać zamknięte".

Przyszłość Chin mogła być budowana tylko we współpracy z resztą świata.

Deng, znając mechanizmy współdziałania kapitalizmu i sił rynkowych, był przekonany, że Chiny są bliskie momentu, w którym jabłko może zostać zerwane i kraj odzyska rolę Państwa Środka, rolę rosnącego wsieci mocarstwa i przodującej nacji przez kolejne trzydzieści lub czterdzieści lat, zarówno pod względem politycznym, jak i gospodarczym.

W następnym dwudziestoleciu w Chinach nastąpił rozwój gospodarczy na skalę niemającą sobie równych.

Przy jakiejś okazji Deng powiedział, że skok od stanu, w którym wszyscy mają jedną parę spodni, do stanu, w którym każdy może zdecydować, czy chce mieć jeszcze jedną, jest skokiem z wielu względów większym niż ten pierwszy.

Ci, którzy pojmowali jego sposób wyrażania, wiedzieli, że miał na myśli coś bardzo prostego; drugiej parze spodni nie mogli mieć wszyscy jednocześnie.

Nie było to możliwe również w czasach Mao.

Najbiedniejsi, mieszkający w najodleglejszych.

glejszych miejscach, i chłopi w najędniejszych wioskachbyli ostatni w kolejce, podczas gdy ludzie w dużych miastachwyrzucali już swoje stare ubrania.

Deng wiedział, że postępnie może nastąpić we wszystkich miejscach równocześnie.

Kłóciło się to z wszelkimi prawami gospodarki.

Niektórzymieli stać się bogaci lub przynajmniej mniej biedni wcześniejniż inni.

Postęp miał balansować na linie - ani bogactwo,ani bieda nie miały stać się zbyt wielkie.

Jeśli stałoby sięinaczej,komunistyczna władza runęłaby wprzepaść.

Teraznie ma już Denga.

Lecz to,czego się obawiał i przed czymprzestrzegał, moment, w którym równowaga miała zostaćzachwiana, jest już bliski.

Yan Ba doszedłdo momentu, w którymjego przemówieniemiły zdominować dwa słowa.

Jednym z nich była "zagrożenie", drugim "konieczność".

Zacząłodwyliczeniazagrożeń.

Pierwszym była odwieczna przepaśćmiędzy mieszkańcamimiast i wsi.

Podczas gdy mieszkańcy nadmorskich miastodczuwali poprawę poziomu życia, w życiu biednych niezachodziły żadne zmiany na lepsze.

Co gorsza, nie byli jużw stanie utrzymać się z rolnictwa.

Jedynym dla nich wyjściem była emigracjado miast w poszukiwaniu pracy.

Jakdotąd, władzepopierałyten ruch ze wsi do miast i do zakładówprzemysłowych, wytwarzających między innymi odzieży zabawki przeznaczonedla Zachodu.

Lecz co się stanie, gdy miasta, tegigantyczne place budowy, nie będą już w stanieprzyjąć więcej chłopów, którzy niesą już potrzebni w rolnictwie?

To, co do tej pory było jednymz ewentualnychskutków, terazstało sięzagrożeniem.

Za tymi, którzy ciągnęli domiast, szli następni, setki milionówludzi czekających tylkona to, by zająć swoje miejsce w kolejce i kupić bilet w jednąstronę.

Jakie siły zdołają ich powstrzymać, jeśli alternatywą

dla wyjazdudo miasta jest wyłącznie bieda i egzystencjaz dala od lepszego życia, o którymślysłyszeli i z którego chcieliuszczknąćcoś dla siebie?

Jak można powstrzymać przedbuntem setki milionów ludzi,którzy mają do straceniatiłkoswoją biedę?

Maozawszepowtarzał, że bunt jest potrzebny.

Dlaczego więc bunt miałby być niesłuszny, jeśli podniosą goludzie tak samo biedni jak dwadzieścia lattemu?

Yan Ba wiedział, że wieleze słuchających go teraz osób przedługiczaszajmowało się tym problemem,mogącym wkrótcedoprowadzić Chinypo sytuacji, w której już kiedyś się znajdowały.

Wiedział również, że istnieje plan, wydrukowanywkilkuzaledwie egzemplarzach, przewidujący ostateczne rozwiązanie problemu.

Nikt o nim nie mówił, wszyscyjednak, choć trochę obeznani ze sposobem myślenia partiikomunistycznej,doskonale wiedzieli, co zakłada.

Wyraźnymdoodczytania dowodem na istnienieplanu były wydarzenia na placu Tiananmen w 1989 roku.

Partia komunistycznanigdy nie zamierzała pozwolić na to, by krajogarnął chaos.

W najgorszym wypadku, gdyby nie było żadnego innego rozwiązania, wojsko otrzymałobyrozkaz ataku na tych, którzybyli gotowi wzniecić bunt.

Nawet gdybyna linii ognia stanęłodziesięć lub pięćdziesiąt milionów ludzi, wojsko otrzymałoby rozkaz użycia broni.

Żadnacena niejest zbyt wysoka,gdy w grę wchodzi utrzymanieprzez partię komunistycznąwładzy nad ludźmi i przyszłością kraju.

Pytanie, które nasuwa się na koniec,jestbardzo proste,powiedziałYan Ba.

Czy istnieje inne rozwiązanie?

I samudzielił odpowiedzi.

Inne wyjście istnieje, lecz będzie wymagało zmiany sposobu myślenia tych, którzy decydująopolityce Chin.

Aby można jebyło zastosować, koniecznebędzie myślenie strategiczne na najwyższympoziomie.

Ale,

szanowni słuchacze - zwrócił się do obecnych Yan Ba - te przygotowania już się rozpoczęły, nawet jeśli przez cały czas zdają się dotyczyć czego innego.

Do tej pory mówił wyłącznie o Chinach, ich historii i współczesności.

Teraz, gdy zbliżała się trzecia godzina przemówienia, opuścił kraj i udał się w daleką podróż poza jego granice.

Teraz mówił o przyszłości.

Przenieśmy się w myślach, powiedział, na inny kontynent, do Afryki.

W trosce o zaspokojenie naszego zapotrzebowania na surowce, wśród nich również ropę, w ciągu ostatnich lat zbudowaliśmy solidne i wciąż umacniające się kontakty z wieloma krajami afrykańskimi.

Byliśmy hojni, udzielającim pożyczek i wręczając podarunki, nie wtrącamy się również w systemy polityczne tych państw.

Jesteśmy neutralni, robimy interesy ze wszystkimi.

Dlatego nie ma dla nas znaczenia, czy kraj, który wybierzemy, to będzie Zimbabwe, Malawi, Sudan czy Angola.

Tak samo, jak odrzucamy wszelką zagraniczną interwencję w nasze sprawy wewnętrzne i nasz system prawny, uważamy, że kraje te rządzą się na własnych zasadach i nie mamy prawa pouczać ich, w jaki sposób mają budować społeczeństwo.

Działając w ten sposób, narażamy się oczywiście na krytykę, ta jednak nas nie wzrusza, ponieważ wiemy, że wyływa ona z rozczarowania, iż Chiny nie okazały się kolosem na glinianych nogach, jak od dawna postrzegali nas Stany Zjednoczone i Rosja.

Ludzie na Zachodzie nie chcą zrozumieć, że kraje afrykańskie wolą współpracować z nami.

Chiny nigdy ich nie uciskały, nie zamieniły ich w kolonie.

Wręcz przeciwnie, wspieraliśmy je, gdy w latach pięćdziesiątych rozpoczynały walkę o wyzwolenie.

Dlatego właśnie nasze sukcesy w Afryce budzą zazdrość krajów Zachodu.

Nasi przyjaciele z państw afrykańskich zwracają

się do nas, gdy Międzynarodowy Fundusz Walutowy lub Bank Światowy odrzucają ich prośby o pożyczkę.

Pomagamy bez wahania.

Robimy to z czystym sumieniem, gdyż sam jesteśmy biednym krajem.

Wciąż jeszcze jesteśmy częścią tak zwanego Trzeciego Świata.

W trakcie naszej coraz bardziej owocnej współpracy z tymi krajami dostrzegliśmy, że być może również dzięki niej rozwiążemy problemy, o których wcześniej mówiłem.

Dla wielu z was, a być może nawet dla mnie, zabrzmiało to jak historyczny paradoks.

Pozwolę sobie posłużyć się opisem sytuacji, w jakiej kraje te znajdowały się pięćdziesiąt lat temu.

Wówczas Afryka składała się niemal wyłącznie z kolonii, podległych uciskowi zachodniego imperializmu.

Solidaryzowaliśmy się z tymi ludźmi, wspieraliśmy ruchy wolnościowe radą i bronią.

Małomocne pokolenie to przykład, jak dobrze zorganizowana partyzantka może zwyciężyć potężnego wroga, jak tysiąc mrówek, które wgrzyły się w nogę słonia, może powalić go na ziemię.

Nasze wsparcie przyczyniło się do tego, że kraje te jeden po drugim zaczęły się wyzwalać.

Byliśmy świadkiem tego, jak imperializm coraz bardziej podkulał ogon.

Gdy nasz towarzysz, Nelson Mandela, wyszedł z więzienia na wyspie, gdzie spędził tyle lat, nastąpił koniec imperializmu występującego w przebraniu kolonializmu.

Wyzwolenie Afryki przyniosło świat w stronę, która naszym zdaniem doprowadziła do triumfu wolności i sprawiedliwości.

Widzimy teraz, że ogromne ziemie państw afrykańskich, nierzadko bardzo żyzne, leżą w Afryce odłogiem.

W przeciwieństwie do naszego, kontynent afrykański jest słabo zaludniony.

Zrozumieliśmy już poza tym, że tam właśnie znajdziemy część rozwiązania problemu, który zagraża stabilności naszego kraju.

Yan Ba napił się wody ze szklanki stojącej obok mikrofonu i mówił dalej.

Doszedł już do momentu, który miał doprowadzić do ostrej dyskusji między ludźmi, którzy go teraz słuchali, a także w partii komunistycznej i politbiurze.

Musimy wiedzieć, co robimy - powiedział - ale musimy być również świadomymi, czego nie robimy.

To, co proponujemy teraz wam i Afrykanom, nie będzie nową falą kolonizacji.

Nie przybędziemy jako zwycięzcy, ale wciąż jako przyjaciele.

Nie zamierzamy powtórzyć zniewagi, jaką było dla nas kolonializm.

Dobrze wiemy, co oznaczać, gdyż wielu naszych przadków w XIX wieku żyło w niewolniczych warunkach.

Sami byliśmy ofiarami barbarzyństwa europejskiego kolonializmu.

Chociaż na powierzchni, jak refleksy słoneczne na wodzie, być może pojawiają się podobieństwa, nie oznacza to, że po raz drugi narazimy kontynent afrykański na kolonialną przemoc.

Chcemy tylko rozwiązać problem, równocześnie wspierając tych ludzi.

Na odludnych równinach, w żyznych dolinach wielkich afrykańskich rzek, będziemy uprawiać ziemię, osadziwszy tam miliony naszych biednych chłopów, którzy z pewnością zagospodarują leżące odłogi pól.

Nie wypędzamy ludzi, wypełnimy jedynie próżnię i wszyscy skorzystają z tego, co nastąpi.

W Afryce są kraje, zwłaszcza na południu i południowym wschodzie, których ogromne rejony mogłyby zostać zaludnione przez biednych ludzi z naszego kraju.

Podźwignęlibyśmy Afrykę, równocześnie eliminując wiszącą nad nami groźbę.

Wiemy, że napotkamy sprzeciw, nie tylko z zagranicy, która uzna, że Chiny, wspierające walkę przeciwko kolonializmowi, same stały się kolonizatorem.

Napotkamy opór również wewnątrz partii komunistycznej.

Wygłaszam to przemówienie po to, by zwrócić uwagę na ten antagonizm.

W kręgach rządzących naszym krajem będą się sobą ścierać

Wy, obecni tu dziś, macie świadomość, że większość zagrożeń dla stabilności naszego kraju można wyeliminować w sposób, który opisałem.

Nowatorskie myśli zawsze wywołują sprzeciw.

Najlepiej wiedzieli o tym Maoi Deng.

Oni nigdy nie bali się tego, co nowe, zawsze szukali rozwiązań, które mogłyby zapewnić ludziom biednym lepsze życie na ziemi.

Yan Ba mówił jeszcze przez godzinę i czterdzieści minut, przedstawiając to, co miało stać się polityką Chin w najbliższej przyszłości.

Kiedy wreszcie skończył, był tak zmęczony, że drżały mu nogi.

Aplauz, którym nagrodzili go słuchacze, był ogromny.

Gdy oklaski ucichły i w sali znowo zapalono światło, sprawdził na zegarku, że oklaskiwanego przez dziewiętnaście minut.

Wypełnił swoje zadanie.

Zszedł z podium, opuścił pomieszczenie tą samą drogą, którą do niego wszedł, i wsiadł do samochodu, który czekał na niego przed jednym z wejść do budynku.

W drodze powrotnej na uniwersytet próbował wyobrazić sobie dyskusję, która nastąpiła po jego przemówieniu.

Amoże słuchacze od razu się rozeszli, by w samotności skupieniu przygotować się do wydarzeń, które miały nastąpić w Chinach w kolejnych latach?

Yan Banie wiedział tego żałował, że tak szybko musiał opuścić mównicę.

Zrobił swoje.

Gdy przyszli historycy będą analizować rewolucyjne zmiany, jakie nastąpiły w Chinach w 2006 roku, nikt nigdy nie wymieni jego nazwiska.

Być może będzie się kiedyś opowiadać historię o legendarnym spotkaniu w Żółtym Cesarzu, nikt jednak nie będzie wiedział, co się tam naprawdę wydarzyło.

Uczestnicy spotkania zostali uprzedzeni, że sporządzanie notatek jest surowo wzbronione.

Yan Ba wszedł do swojego gabinetu, zamknął za sobą drzwi i przepuścił tekst przemówienia przez niszczarkę, którą zainstalował zaraz po rozpoczęciu pracy nad tajnym zleceniem.

Potem zebrał skrawki papieru i zniósł je do mieszczącej się piwnicykotłowni.

Jeden z woźnych otworzył drzwiczkipieca.

Yan Ba wrzucił papier dośrodku i patrzył, jak zamieniasię wpopiół.

Tym samym wszystko dobiegło końca.

Resztę dnia spędził za biurkiem, pisząc artykuł o tym, jak badania DNAwpłyną na przyszłość nauki.

Wyszedł z gabinetu trochę poszostej i pojechał dodomu.

Drzał, wsiadając do nowegojapońskiegosamochodu, będącego częścią wynagrodzeniaza przemówienie, które tego dniawygłosił.

Zima miała potrwać jeszcze długo.

Tęsknił za wiosną.

Tego samegowieczoru Ya Ru stał przy oknie w swoim przestronnym biurze, na najwyższym piętrze należącego doniego wieżowca.

Rozpamiętywał przemówienie o przyszłościChin, które usłyszał dziś rano.

Jednak nie nad jego treściąmyślał.

Od dawna wiedział już, jakie strategie zostaną sformułowane przezwewnętrzne kręgi partii w odpowiedzi nawielkie wyzwania, wobec których stanęły Chiny.

Zdziwiłogo, że naspotkanie zaproszono Hong, jego siostrę.

Chociaźmiała wysoką pozycję doradcy Komitetu Centralnego, niespodziewał się, że ją tam spotka.

Nie był z tego zadowolony.

Był pewien, że Hong, należącdo "starych komunistów", będzie protestować przeciwkohaniebnej w jej pojęciu nowejkolonizacji Afryki.

Ponieważ sambył jednym z najzagorzalszych zwolennikówprzedstawionejtego dnia polityki, nie chciałpopaść wniepotrzebny spór z siostrą.

Wywołałoby to niepokój zachwiałoby pozycją,jaką zajmował.

Jeżeli istniało coś, czego władze partii i pozo436

stali ludzie rządzący krajem nie lubili, było to właśnie sporym między spokrewnionymi osobami zajmującymi wpływową stanowiska.

Nikt nie zapomniał o konflikcie między Mao i jego żoną Jiang Qing.

Na jego biurku leżał otwarty pamiętnik Sana.

Ya Ru wciąż jeszcze nie zapisał ostatnich pustych białych stron.

Wiedział jednak, że Liu Kin wrócił i wkrótce do niego przybędzie, by złożyć raport.

Termometr na ścianie za oknem wskazywał coraz niższą temperaturę.

Ya Ru odsunął myśl o siostrze i chłodzieli zaczął myśleć o tym, że wkrótce opuści to zimne miasto i jako członek delegacji polityków i biznesmenów uda się do Afryki, by odwiedzić cztery kraje na południu i wschodzie kontynentu.

Nigdy wcześniej nie był w Afryce.

Lecz teraz, gdy Czarny Ląd miał stać się jeszcze ważniejszy dla rozwoju Chin, a być może nawet zostać ich satelitą, Ya Ru zależało na uczestniczeniu w powstawaniu pierwszych, najważniejszych porozumień.

Miały to być bardzo intensywne tygodnie, wypełnione licznymi podróżami i spotkaniami.

Jednak przed powrotem do Pekinu postanowił na kilkadni opuścić delegację.

Zamierzał udać się do buszu w nadziei, że zobaczy lampartę.

Miasto leżało u jego stóp.

Wiedział, że lamparty lubią przebywać wysoko, by mieć widok na otaczający je teren.

To jest moje wzgórze, pomyślał.

Moja skała.

Tutaj nic nie umknie mojej uwadze.

Rankiem 7 marca 2006 roku przedsiębiorca Shen Wbcan usłyszał wyrok śmierci w Najwyższym Sądzie Ludowym w Pekinie.

Wyrok śmierci w zawieszeniu wydano na niego już rok wcześniej.

Mimo że przeżył ten rok okazywał się czczą skruchę, że wziął miliony juanów łapówek, sądnie mógł zamienić kary śmierci na dożywotnie więzienie.

Opinia publiczna coraz ostrzej potępiała korupcję wśród przedsiębiorców mających powiązania z partią komunistyczną.

Partia zrozumiała, że sprawą najwyższej wagi jest teraz postraszanie tych, którzy zdobywali rzucając się w oczy fortuny dzięki łapówkom.

Shen Wbcan miał pięćdziesiąt dziewięć lat, gdy wyznaczono datę jego egzekucji.

Dzięki drobnym układom udało mu się zostać szefem dużego koncernu mięsnego.

W zamian za przywilej dla różnych osób oferowanemu łapówki, które szybko nauczył się przyjmować.

Na początku, w latach pięćdziesiątych, był ostrożny, brał jedynie niewielkie sumy i nie afiszował się, jak żyje.

Jednak pod koniec dekady, gdy wszyscy jego koledzy przyjmowali łapówki, stał się mniej czujny, zaczął żądać coraz większych sum i nie wahał się obnosić publicznie ze swą zamożnością.

Oczywiście nigdy nie przypuszczał, że to właśnie on zostanie wybrany na kozła ofiarnego, ku przestrodze dla innych.

Aż do chwili gdy znalazł się na sali sądowej, był pewien, że wyrok śmierci zamienią mu na karę więzienia, która po jakimś czasie zostanie skrócona.

Gdy sędzia krzykliwym głosem odczytywał wyrok, obwieszczający, że skazany ma zostać stracony w ciągu czterdziestu ośmiu godzin, nic z tego nie docierało.

Nikt na sali sądowej nie miał odwagi spojrzeć mu w oczy.

Zaczął protestować dopiero wtedy, gdy

438

go wyprowadzano.

Było już jednak zapóźno.

Niktgo nie słyszał.

Natychmiast przeniesiono go do jednej z cel, w których skazanina śmierć więźniowie przebywali pod stałą kontrolą, zanim zostaną wyprowadzeni na plac, pojedynczo lub razem z innymi, gdzie będą straceni - na kolanach, z rękami związanymi na plecach, jednym strzałem w tył

głowy.

Przestępców, skazanych na śmierć za takie zbrodnie, jak zabójstwo, gwałt, brutalny napad, prowadzono zazwyczaj z sali sądowej bezpośrednio na miejsce egzekucji.

Aż do połowy lat dziewięćdziesiątych społeczeństwo chińskie z pozytywnym aspektem kary śmierci uważało fakt, że skazańców wprowadzano na odkrytą przyczepę ciężarówki.

Egzekucje dokonywano na oczach dużej publiczności, która niejednokrotnie decydowała o tym, czy zastrzelić skazańca, czy darować mu życie.

Ci jednak, którzy zbierali się przy tego typu okazjach, nie byli skłonni do okazywania łaski.

Chcieli, by stojący przed nimi z pochylonymi głowami kobiety i mężczyźni zostali ukarani śmiercią.

Z czasem egzekucje zaczęto przeprowadzać dyskretniej.

Nie mieli na nie wstępu i nie mogli ich dokumentować żadeni nie w pełni kontrolowani przez państwo fotografowie i widzowie z kamerami.

Gazety zaś informowały o egzekucji po fakcie, gdy skazaniec został już stracony.

Aby niepotrzebnie nie prowokować tego, co władze partii zwykły nazywać obłudnym gniewem zagranicy, zaprzestano publicznego informowania o planowanych egzekucjach osób skazanych za ciężkie zbrodnie.

Nikt poza chińskimi władzami nie znał rzeczywistej liczby przeprowadzonych egzekucji.

Publiczność dopuszczana była tylko wówczas, gdy chodziło o egzekucje osób takich jak Shen Wbcan.

Jego śmierć miała być ostrzeżeniem dla wszystkich wysoko postawionych urzędników i przedsiębiorców, rów 439.

nocześnie zaś miała ułagodzić opinię publiczną sprzeciwiającą się tego rodzaju korupcji.

Wiść o zatwierdzeniu wyroku śmierci Shena Wixana błyskawicznie rozniosła się w kręgach politycznych w Pekinie.

Jedną z osób, które dowiedziały się o tym zaledwie kilka godzin po uderzeniu młotka sędziego, była Hong Qui.

Znajdowała się właśnie w drodze do spotkania z członkiniami partii, gdy zadzwonił jej telefon.

Poprosiła kierowcę, by zjechał na chodnik.

Musiała przemyśleć, co usłyszała.

Hong nie znała Shena Wixana, spotkała go zaledwie jeden raz, kilkanaście lat wcześniej, na przyjęciu w ambasadzie francuskiej.

Nie zrobił na niej dobrego wrażenia, intuicja podpowiadała jej, że ma do czynienia z człowiekiem chciwym i skorumpowanym.

Lecz gdy samochód zatrzymał się na chodniku, pomyślała o tym, że Shen Wixan był bliskim przyjacielem jej brata Ya Ru.

Oczywiście Ya Ru w zaistniałych okolicznościach odsunął się od niego i zaprzeczył, by kiedykolwiek utrzymywał bliskie kontakty.

Hong wiedziała jednak, jak było naprawdę.

Szybko podjęła decyzję.

Kazała kierowcy zawieźć się do więzienia, w którym Shen Wixan spędzał ostatnie godziny swojego życia.

Znała dyrektora więzienia.

Jeśli otrzymał rozkaz niewpuszczania nikogo do skazanego, raczej nie uda się spotkać z Shenem.

Istniała jednak szansa, że dostanie pozwolenie.

O czym myśli człowiek skazany na śmierć?

„Zastanawiałam się, gdy samochód torował sobie drogę w ulicznym tłoku.

Hong czuła, że Shen Wixan będzie w szoku.

Słyszała, że jest człowiekiem chłodnym i bezwzględny, ale zarazem bardzo ostrożnym.

Okazało się jednak, że źle obliczył konsekwencje swoich działań.

Hong widziała już śmierć wielu ludzi.

Była obecna podczas śmierci, egzekucji przez powieszenie i rozstrzelanie.

Być strażniczką

konnym za zdradę stanu był najgorszym rodzajem śmierci, jaki mogła sobie wyobrazić.

Któż chciałby być wyrzucony na smietnik historii z kulą w głowie?

Wzdrygnęła się na samą myśl, choć nie należała do osób potępiających karę śmierci.

Postrzegają ją jako konieczne narzędzie służące państwu do obrony i uważała, że słuszne jest odbieranie sprawcom ciężkich zbrodni prawa do życia w społeczeństwie, gdyż narażałoby je na niebezpieczeństwo.

Nie miała cienia współczucia dla przestępców dopuszczających się gwałtów, napadów i zabójstw.

Nawet jeśli byli biedni i nawet jeśli ich obrońcy przedstawiali okoliczności łagodzące, w życiu i tak chodziło o osobistą odpowiedzialność.

Ten, kto tego nie rozumie, musi liczyć z konsekwencjami, a te w ostatecznym rozrachunku oznaczają śmierć.

Samochód zatrzymała się przed wejściem do budynku więzienia.

Hong, zanim wysiadła, popatrzyła przez przyciemnioną szybę na chodnik.

Zauważyła kilka osób, które uznała za dziennikarzy lub fotografów.

Szybko podeszła do drzwi w wysokim murze.

Strażnik otworzył je i wpuścił ją do środka.

Czekała prawie pół godziny, aż wreszcie poprowadzono ją pod eskortą labiryntem korytarzy do dyrektora więzienia, Ha Nina, którego gabinet mieścił się na najwyższym piętrze budynku.

Nie widziała go od kilku lat i zdziwiła się, widząc, jak bardzo się postarzał.

- Ha Nina - powiedziała i wyciągnęła ręce na powitanie.

- Minęło tyle lat.

Ujął jej dłoń i mocno je przytulił.

- Hong Qui.

Dostrzegam siwe włosy na twojej głowie, tak samo jak ty je dostrzegasz na mojej.

Czy pamiętasz nasze ostatnie spotkanie?

- Kiedy Deng wygłaszał mowę o koniecznej racjonalizacji naszego przemysłu.

441.

- Czas mija szybko.

- Im jesteśmy starsi, tym szybciej.

Myślę, że śmierć dopadnie nas z zawrotną szybkością, tak wielką, że być może nie zdążymy się nawet zorientować.

- Jak odbezpieczony granat?

Śmierć wybuchnie nam w twarz?

Hong wyswobodził ręce z jego uścisku.

- Jak kula wylatująca z lufy karabinu.

Przyszłam, by porozmawiać o Shanie Wixanie.

Ha Nin nie okazał zdziwienia.

Podejrzewała, że jednym z powodów, dla których kazał jej czekać, była próba zbadania, czego Hong może od niego chcieć.

Istniała tylko jedna odpowiedź, musiało chodzić o skazańca.

Być może rozmawiał również z kimś z departamentu spraw wewnętrznych, by ustalić, jak ma postąpić Hong.

Usiedli przy zniszczonym stoliku.

Ha Nin zapalił papierosa.

Hong wyjawiał mu cel swojej wizyty.

Chciała odwiedzić skazańca, pożegnać się z nim, dowiedzieć się, czy jest coś, co mogłaby jeszcze dla niego zrobić.

- To dość niezwykle - stwierdził Ha Nin.

- Shen Wixan to twój brat.

Błagał go, by pomógł mu ocalić życie, lecz Ya Ru odmawia rozmowy z nim i uważa, że kara śmierci jest słuszną.

I nagle przychodzisz ty, siostra Ya Ru.

- Człowiek, który zasługuje na śmierć, niekoniecznie zasługuje też, by odmówić mu ostatniej przysługi lub choćby wysłuchania jego słów.

-Dostałem pozwolenie, by cię do niego wpuścić.

Jeśli onzechce.

- Zechce?

-Nie wiem.

Lekarz więzienny jest terazw jego celi i rozmawia znim.

442

Hong skinęła głową, poczym odwróciła się od Ha Ninana znak, żenie chcekontynuowaćrozmowy.

Minęło kolejne pół godziny.

Wreszcie wywołanoHa Ninaz gabinetu.

Po powrocie poinformował Hong, że Shen Wixanjest gotów sięz nią spotkać.

Ponownie przeszli przez labirynt, aż w końcu stanęli u wylotu korytarza, gdzie w dwunastu celach siedzieli więźniowieskazani na śmierć wraz z Shenem Wixanem.

- Ilu?

- zapytała Hong przyciszonym głosem.

- Dziewięciu.

Dwie kobiety i siedmiu mężczyzn.

ShenWixan jestnajwiększym z nich, najchciwszym bandytą.

Kobiety parały się prostytutcją, mężczyźni dokonywali napadówi zabójstw,zajmowali się przemytem narkotyków.

Wszyscy to osobnicynierokujący poprawy, niepotrzebni naszemu społeczeństwu.

Hong, przybita, szła korytarzem.

Przez chwilę widziałajęzących ludzi, siedzących i kiwających się na pryczach lubleżących na nich apatycznie.

Czy jest cośbardziej przerażającego, pomyślała, niż widok ludzi, którzy wiedzą, że wkrótceumrą?

Zaczęło się odliczanie.

Nie ma ucieczki.

Słychać jużtylko tykanie zegara.

Shen Wixan siedział w celi na samym końcu korytarza.

; Wcześniej miał gęste, czarne włosy, lecz teraz był ogolony prawie do gołej skóry.

Miał na sobie niebieski strój więzienny, na który składały się za duże spodnie i zamafakoszula.

Ha Nin odsunął się na bok i polecił jednemu z strażników, by otworzył celę.

Gdy Hong weszła do środka, poczuła wypełniającą pomieszczenie atmosferę przerażenia i strachu.

Shen Wixan chwycił jej dłoń i padł na kolana.

- Nie chcę umierać - wysapał.

443.

Hong pomogła mu się podnieść i usiąść na pryczy, naktórej leżał materac i koc.

Przysunęła taboreti usiadła

naprzeciw.

- Musisz być silny -powiedziała - bo to zostaniezapamiętane.

Że odszedłeś z godnością.

Jesteś to winien swojej rodzinie.

Nikt nie może cię uratować.

Ani ja, ani nikt inny.

Skazaniec wpatrywał się w nią szeroko otwartymioczami.

- Nie robiłem niczego, czego nie robili wszyscy inni.

-Nie wszyscy.

Alewielu.

Poniesiesz konsekwencje tego,cozrobiłeś, i niebędziesz się więcej poniżał kłamstwem.

- Dlaczego właśnie ja muszę umrzeć?

-Mógł to być ktoś inny.

Ale padło na ciebie.

W końcujednak wszystkich, którzy nie wyciągną odpowiednichwniosków, spotka ten sam los.

Shen Wixan wpatrywał się w swoje drżące palce ikiwałgłową.

- Nikt niechce ze mną rozmawiać.

Nie dość że mamumrzeć, to jeszcze okazuje się, że jestem sam na tymświecie.

Nawet moja rodzina nie chce tu przyjść i ze mnąpomówić.

Zupełnie tak jakbym już byłmartwy.

- Ya Ru też nie przyszedł.

-Nierozumiem tego.

- Właściwie jestem tu z jego powodu.

-Nie chcę mu pomóc.

- Źle mnie zrozumiałeś.

Ya Ru niepotrzebuje pomocy.

Trzymasię od tego z dala, zaprzeczając, że kiedykolwiek miał ztobą do czynienia.

Na twój losskłada się również to, że wszyscy cię obmawiają.

Ya Ru nie jest tu żadnym wyjątkiem.

- Czyto prawda?

444

- Jest tak, jak mówię.

Mogę zrobić dla ciebie jedną jedyną rzecz.

Mogę pomóc ci się zemścić: opowiesz mi wszystko o swojej współpracy z Ya Ru.

- Przecież to twój brat.

-Więzy rodzinne są już od dawna przecięte.

Ya Ru jest niebezpieczny dla tego kraju.

Społeczeństwo chińskie opiera się na uczciwości jednostki.

Socjalizm niemoże się rozwijać i funkcjonować tam, gdzie nie ma poczucia obywatelskiej przyzwoitości.

Tacy ludzie jak ty i Ya Ru korumpują nie tylko samych siebie, ale całe społeczeństwo.

Shen Wixan wkońcu zrozumiał, co Hong chciała osiągnąć, składając mu wizytę.

Poczuł przyływ siły i na moment zapomniał o przytłaczającym go strachu.

Hong wiedziała, że skazaniec w każdej chwili może znów się załamać i poddać prerażeniu tak, że nie będzie w stanie odpowiadać na jej pytania.

Popędzała go więc, wyciągała z niego informacje, jakby znów znalazł się na przesłuchaniu.

- Jesteś zamknięty w celi i czekasz na śmierć, a Ya Ru siedzi w swoim gabinecie, w wieżowcu, który nazywa Górą Smoka.

Czy to się mieści w głowie?

- Równie dobrze on mógłby znajdować się tu, na moim miejscu.

- Krążą onimi plotki.

Ale Ya Ru jest sprytny.

Nikt nie umie go wytropić.

Shen Wixan pochylił się w jej stronę i zniżył głos.

- Podążaj za pieniędzmi.

- Dokąd one prowadzą?

- Do tych, którzy pożyczili mu duże sumy, by mógł zbudować swoją smoczą twierdzę.

Skąd niby wziął wszystkie temiliony, które były mu potrzebne?

- Ze swoich inwestycji.

;445.

- W nędzne fabryki produkujące gumowe kaczki, którymizachodnie dzieci bawią się w wanienkach?

W podwórzowebaraki, w którychszyje buty i robi swetry?

Nie zarobiłby tylenawet na wypalaniu cegieł.

Hongzmarszczyła czoło.

- Czy Ya Ru prowadzi interesy z fabrykami produkującymi cegłę?

Właśnie się dowiedzieliśmy, że więzi się w nich ludzjak niewolników, a jeśli nie pracują dobrze, za karę pali się w piecach.

- Ya Ru został ostrzeżony przed tym, co miało się stać.

Zakończył swoje kontakty, zanim rozpoczęły się policyjne obławy.

W tym tkwi jego siła.

Zawsze zostaje ostrzeżony.

Wszędzie ma szpiegów.

Nagle Shen Wixan przycisnął dłoń do brzucha, jakby dopadł go gwałtowny ból.

Hong dostrzegła przerażenie jego twarzy i przez chwilę była bliska poddaniu się fali współczucia.

Skończył pięćdziesiąt dziewięć lat, zrobił wspaniałą karierę i teraz miał wszystko stracić.

Nie tylko pieniędzy wygodne życie w oazie, którą stworzył dla siebie i swojej rodziny na pustyni wielkiej biedy.

Po tym, jak został aresztowany i oskarżony, gazety prześcigały się w złośliwych, pełnych skandalicznych szczegółów artykułach.

Jeden z nich z satysfakcją opowiadał o tym, że dwie córki skazanego regularnie latały do Tokio i Los Angeles na zakupy.

Hong zapamiętała jeden z nagłówków, z pewnością wymyślony przez służbę bezpieczeństwa w ministerstwie spraw wewnętrznych.

"Kupują stroje za oszczędności hodowców świń".

To zdanie wciąż przewijało się w prasie.

Publikowanie listy czytelników, które oczywiście powstawały w redakcjach były kontrolowane przez urzędników wysokich szczebli, bezpośrednio odpowiedzialnych za polityczne skutki procesu Shena

Wixana.

Autorzy listów proponowali, by ciało ska

446

zańca poćwiartować i rzucić świniom.

Jedynym sposobem na jego ukaranie było zrobienie z niego paszy dla świń.

- Nie mogę cię uratować - powtórzyła Hong.

- Ale możecie ułatwić wciągnięcie w pułapkę innych.

Pozwolono mi rozmawiać z tobą przez pół godziny.

Ten czas wkrótce minie.

Powiedziałeś, że mam podążać za pieniędzmi?

- Czasem nazywają go Złotą Ręką.

-Kogo tak nazywają?

- Czyż tonie oczywiste?

Jest złotą ręką, która zmienia czarne pieniądze w białe, która nielegalnie wyprowadza pieniądze z Chin i umieszcza je na zagranicznych kontach.

Dostaje piętnaście procent od każdej transakcji.

On nie tylko pierze wszystkie brudne pieniądze krążące po Pekinie.

Pomyśl o budynkach, arenach i innych obiektach, o wszystkim tym, co powstaje na olimpiadę, która ma się odbyć za dwa lata.

- Czy coś z tego da się udowodnić?

-Potrzebne są dwie ręce- mówił Shen Wixan powoli.

-W tym jedna, która bierze, ale musi być też ta, która gotowa jest dać.

Jak często tę drugą skazuje się na śmierć?

Tę, która proponuje coś skazanemu, żeby na tym zyskać?

Prawie nigdy.

Dlaczego jeden z nich jest większym przestępcą niż drugi?

Dlatego właśnie musisz podążać śladem pieniędzy.

Zaczynij od Changa i Lu, przedsiębiorców budowlanych.

Oni się boją i powiedzą wszystko, żeby ratować samych siebie.

Opowiedzą ci najbardziej zdumiewające rzeczy.

Shen Wixan zamilkł.

Hong zastanawiała się, do jakiego stopnia źródła informacji prasowych odcięte są od walki między tymi, którzy chcieli zachować starą, zagrożoną obecnie wyburzeniem centralną dzielnicę Pekinu, a tymi, którzy z powodu zbliżającej się olimpiady chcieli wszystko wybudować od nowa.

Sama należała do osób wszelkimi

447.

siłami broniących starej części miasta i wielokrotnie musiała zaprzeczać insynuacjom, jakoby sprzeciwiała się wyburzeniom z powodów sentymentalnych.

Budowanie i odnawianie tak, ale nie można pozwolić na to, by krótkoterminowe przedsięwzięcia, takie jak olimpiada, decydowały o wyglądzie miasta.

Igrzyska olimpijskie wskrzeszone w roku 1896, pomyślała Hong.

To bardzo niedawno, niewiele ponad stulat temu.

Niewiemy nawet, czy jest to rzeczywiście nowa tradycja, czy też może coś, co przetrwa niedługo, na przykład kilkaset lat.

Musimy wspomnieć mądre słowa Czou En-laja, gdy zapytano go, jakie wnioski możemy wyciągnąć dziś dla siebie z rewolucji francuskiej.

Odpowiedział, że jest jeszcze do zdecydowania za wcześnie, by wygłosić ostateczny osąd.

Hong zorientowała się, że zadając Shenowi Wixanowi tych kilka pytań, zdołała sprawić, iż na moment całkiem zapomni o zbliżającej się egzekucji.

Po chwili znów zaczęła mówić.

- Ya Ru to bardzo mściwy człowiek.

Znany jest z tego, że nigdy nie zapomina żadnej krzywdy, nawet najmniejszej.

Powiedział mi, że uważa rodzinę za swoją dynastię, której imienia zawsze należy bronić.

Musisz uważać, żeby nie zaczął patrzeć na ciebie jak na odszczepieńca, który szarga honor rodziny.

Przyglądał się Hong w skupieniu.

- Zabija tych, którzy są dla niego niewygodni.

Wiemy tym.

A przede wszystkim tych, którzy z niego kpią.

Ma ludzi, którym zleca takie rzeczy, gdy zachodzi potrzeba.

Wyłaniają się z ciemności i równie szybko w niej znikają.

Słyszałem, że jednego z nich wysłał ostatnio do USA.

Plotka głosi, że ten pozostawił za sobą trupy, zanim wrócił do Pekinu.

Podobno był też w Europie.

- W USA i Europie?

448

- Tak głosi plotka.

-Czy plotkamówi prawdę?

- Plotka zawszemówi prawdę.

Gdy zostaną już odsianewszystkie kłamstwa i wyolbrzymienia,pozostaje ziarnoprawdy.

To jego trzeba szukać.

- Skąd to wszystko wiesz?

-Władza, która nieopiera się na wiedzy i ciągłym dopływie informacji,długo się nie utrzyma.

- Tobie to niepomogło.

Shen milczał.

Hong myślała o tym, co jej powiedział.

Zaskoczyło ją to.

Pomyślała ohistorii,którą opowiedziała jej Birgitta Roślin.

Znała twarz mężczyzny, którego zdjęciepokazała jej Birgitta.

Mimoże było zamazane,nie miała wątpliwości, że toLiu Kin, ochroniarz jej brata.

Czy istnieje związek międzytym, co opowiedziała jej Szwedka, a tym, co mówił ShenWixan?

Czyto możliwe?

Jeślitak, Ya Ru zrobił coś bardzodziwnego.

Czyżby naprawdęnosił w sobie żądzę zemsty,którejnigdy nie mogłpowstrzymać?

Nawet fakt, że minęło

już ponad sto lat?

Do celi wszedł strażnik.

Czas minął.

ShenWixan naglezbladł i gwałtownie ścisnął rękę Hong.

- Nie zostawiaj mnie -wyszeptał.

- Nie chcę umierać

sam.

Hong cofnęła dłoń.

Shen Wixan zaczął krzyczeć.

Poczuła się jak, jakby miała przed sobą przerażone dziecko.

Strażnik powalił skazańca na podłogę.

Hong wyszła z celi i odeszła szybko, odprowadzana rozpaczliwym krzykiem.

Rozbrzmiewał w jej uszach aż do momentu, kiedy ponownie znalazła się w gabinecie Ha Nina.

Wówczas podjęła decyzję.

Nie opuści Shena Wixana w ostatnich chwilach jego życia.

449.

Następnego ranka tuż przed godziną siódmą Hong przyszła na ogrodzony plac, na którym przeprowadzano egzekucje.

Słyszała, że to właśnie tu przed piętnastoma laty wojsko odbywało ćwiczenia, gdy przyszedł rozkaz ataku na placu Tiananmen.

Tego dnia miało tu zostać straconych dziewięciu przestępców.

Hong zajęła miejsce za barierką, wraz z zapłakanymi i zmarzniętymi rodzinami skazanych.

Pilnowali ich uzbrojeni młodzi żołnierze.

Hong przyglądała się jednemu z nich, stojącemu najbliżej.

Nie mógł mieć więcej niż dziewiętnaście lat.

Daremnie próbowała zgadnąć, o czym żołnierz w tej chwili myśli.

Był w wieku jej syna.

Na plac wjechała ciężarówka z przyczepą zasłoniętą plandeką.

Żołnierze pośpiesznie wyprowadzili z niej dziewięciu skazańców.

Hong była zdumiona, że wszystko to dzieje się tak szybko.

Śmierć na zimnym, wilgotnym placu odarta była wszelkiej godności.

Widziała, jak Shen Wixan upada, zepchnięty przez przyczepę przez jednego z żołnierzy.

Milczał, ale dostrzegła, że z oczu płyną mu łzy.

Jedna z kobiet krzyczała.

Żołnierz próbował ją uciszyć ostrym syknięciem, ale krzyczała dalej, aż podszedł do niej oficer i uderzył ją w twarz kolbą pistoletu.

Jej głos ucichł i zawleczono ją na jej miejsce w szeregu.

Skazańców zmuszono, by uklękli.

Szybko podeszli uzbrojeni żołnierze i każdy z nich zajął miejsce za plecami jednego więźnia.

Wyloty łuf znajdowały się około trzydziestu centymetrów od karków skazańców.

Wszystko potoczyło się błyskawicznie.

Oficer wykrzyknął rozkaz, rozległy się strzały, zabici więźniowie padli twarzami w błoto.

Gdy na koniec oficer podchodził kolejno do każdego z nich i oddawał jeszcze jeden strzał, Hong odwróciła głowę.

Nie chciała widzieć więcej.

Za obydwie kule zostanie wysłany rodzinom straconych rachunek.

Za śmiertelne strzały trzeba zapłacić.

450

Przez kilka następných dni Hong myślała o tym, co opowiedział jej Shen Wixan.

Jego słowa o mściwości Ya Ru ciągle do niej powracały.

Wiedziała, że już wcześniej nie wahał się stosować przemocy.

Brutalnej, niemal sadystycznej.

Chwilami myślała, że jej brat w gruncie rzeczy jest psychopatą.

Może dzięki rozmowie z Shenem Wixanem uda jej się wreszcie; cię zgłębić, kim w rzeczywistości jest Ya Ru.

; Doszła do wniosku, że najwyższy czas porozmawiać z jednym z prokuratorów zajmujących się korupcją.

Nie zawaha się.

Shen Wixan powiedział jej prawdę.

Wieczorem trzy dni później Hong przyjechała na wojskowe lotnisko pod Pekinem.

Na płycie stały dwa rzęsiście oświetlone największe samoloty pasażerskie linii Air China.

Czekały na prawie czteruosobową delegację udającą się do

Zimbabwe.

O tym, że ma wzięć w niej udział, Hong dowiedziała się na początku grudnia.

Jej zadaniem było przeprowadzanie rozmów na temat pogłębienia współpracy między służbami bezpieczeństwa obu krajów.

Współpracy polegającej przede wszystkim na przekazywaniu przez Chińczyków technologii i wiedzy afrykańskim kolegom.

Hong przyjęła zadanie z radością, ponieważ nigdy wcześniej nie miała okazji zobaczyć kontynentu afrykańskiego.

Należała do bardziej uprzywilejowanych członków delegacji, toteż posadzono ją w przedniej

części samolotu z większymi i wygodniejszymi fotelami.

Gdy samolot wystartował, zjadła podany przez obsługę posiłek i zasnęła, kiedy tylko zgaszono światło.

Obudziła się, gdy ktoś nagle zajął miejsce w sąsiednim fotelu.

Otworzyła oczy i spojrzała prosto w roześmianą twarz Ya Ru .

451.

- Zdziwiona, droga siostrzo?

Nie znalazłaś mojego nazwiska na liście uczestników z tego prostego powodu, że nikt się na niej nie znalazł.

Ja oczywiście wiedziałem, że cię tu spotkam.

- Mogłam się domyślić, że nie pozwolisz, by taka okazja wymknęła ci się z rąk.

- Afryka jest częścią naszego świata.

Teraz, kiedy Zachód stopniowo coraz bardziej ją opuszcza, Chiny powinny wyjść z kulis.

Spodziewam się wielkich sukcesów dla naszego kraju.

- A ja widzę, że Chiny coraz bardziej oddalają się od swoich ideałów.

Ya Ru uniósł ręce w obronnym geście.

- Nieteraz, nie w środku nocy.

Daleko pod nami świat jest pogrążony we śnie.

Być może właśnie teraz przelatujemy nad Wietnamem, a może jesteśmy już dalej.

Niektórzy się.

Chodźmy spać.

Pytania, które chcesz mi zadać, mogą poczekać.

A może mam je traktować jak oskarżenia?

Ya Ru wstał i przeszedł przez korytarz, do schodów prowadzących na wyższy pokład znajdujący się tuż za dziobem samolotu.

Nie tylko podróżujemy tym samym samolotem, pomyślała.

Zabraliśmy też ze sobą nasze konflikty.

Ponownie zamknęła oczy.

Nie da się tego uniknąć, pomyślała.

Zbliża się chwila, w której przepaść między mną i moim bratem stanie się już tak wielka, że nie będzie jej można ukryć.

Nasz spór pokrywa się z konfliktem we władzach Chin.

Po jakimś czasie udało jej się zasnąć.

Nie mogłaby stanąć dowalki z bratem, gdyby się wcześniej porządnie wyspała.

452

Ponad nią siedział w fotelu Ya Ru .

Nie spał, popijał drinka.

Nagle uświadomił sobie, że nienawidzi swojej siostry.

Hong musi zniknąć.

Nie należy już do rodziny, którą czcił.

Wtrącała się wzbyt wiele spraw, które jej nie dotyczą.

Zaledwie dzień przed wylotem dowiedział się dzięki swoim kontaktom, że złożyła wizytę jednemu z prokuratorów prowadzących sprawę 1apówek.

Był pewien, że ich rozmowa dotyczyła jego osoby.

Poza tym jego przyjaciel, dygnitarz policyjny Chan Bing, powiedział mu, że Hong interesowała się pewną kobietą, sędzią ze Szwecji, bawiącą w Pekinie.

Po powrocie z Afryki Ya Ru zamierzał spotkać się jeszcze raz z Chanem Bingiem.

Siostra wypowiedziała mu wojnę.

Był pewien, że Hong ją przegra, zanim zdąży się ona nadobrze rozpocząć.

Ya Ru sam się zdziwił, że ani przez chwilę się nie zawahał.

Nic jednak nie miało prawa stanąć mu na drodze.

Nawet kochana siostra, lecąca tym samym samolotem co on.

Wyciągnął się wygodnie w fotelu, który po rozłożeniu zamieniał się w łóżko.

Po chwili już spał.

Pod nim rozciągał się Ocean Indyjski, a w oddali wybrzeże Afryki, pogrążone jeszcze w ciemności.

30

Hong siedziała na werandzie bungalowu, w którym miała mieszkać przez całą wizytę w Zimbabwie.

Chłodna pekińska zima wydawała się w tej chwili bardzo odległa, zastąpiła ją ciepła afrykańska noc.

Słuchała odgłosów dochodzących z ciemności, przede wszystkim intensywnego grania cykad.

Mimo że było ciepło, miała na sobie bluzę z długim

453.

rękawem, ostrzeżono ją bowiem przed wysypem komarów wnoszących malarię.

Najchętniej rozebrałaby się do nagi i wysunęła łóżko na werandę, by spać pod gołym niebem.

Nigdy wcześniej nie doświadczyła takiego ciepła jak to, które uderzyło ją, gdy o świcie wysiadła z samolotu.

Odczuła je jak wyzwolenie.

Chłód zakładanym kajdanki, pomyślała.

Ciepłota klucz, który nas wyzwala.

Jej bungalow, otoczony drzewami i krzewami, znajdował się w sztucznej wiosce, w której Zimbabwe przyjmował swoich prominentnych gości.

Została wybudowana w czasach Iana Smitha, gdy biała mniejszość ogłosiła jednostronną niezawisłość kraju od Wielkiej Brytanii, by zapewnić w byłej kolonii białą supremację.

Wówczas w tym miejscu znajdował się tylko duży hotel z restauracją i basenem, Ian Smith miał jednak zwyczaj izolowania się na niektóre weekendy wraz ze swoimi ministrami, by dyskutować z nimi o piętrzących się problemach, którym musiał stawić czoła kraj obłożony sankcjami.

Po roku 1980, po wyzwoleniu kraju spod białego reżimu, władzę przejął Robert Mugabe.

Teren wioski wówczas rozbudowano, wzniesiono liczne budynki, wytyczono ścieżki spacerowe i postawiono nad rzeką dużą altanę widokową, z której można było obserwować stado słoni przy wodopoju na tle zachodzącego słońca.

Na ścieżce wijącej się między drzewami pojawił się strażnik.

Hong pomyślała, że nigdy wcześniej nie widziała tak gęstego mroku jak tu.

Mogło się w nim kryć wszystko, jakiś drapieżnik, równie dobrze na dwóch, jak i na czterech nogach.

Hong wzdrygnęła się na myśl, że w pobliżu może być jej brat, śledzić ją, czekać.

Teraz, siedząc w ciemności, po raz pierwszy poczuła przed nim lęk.

Zupełnie tak jakby dopiero teraz zrozumiała, że jest zdolny do wszystkiego, by zaspokoić swoją żądzę władzy, bogactwa i zemsty.

454

Ponownie zadrżała na myśl o nim.

Podskoczyła ze strachu, gdy nagle jakiś owad odbił się od jej twarzy.

Szklanka stojącana stoliku spadła na ziemię i stłukła się.

Cykady umilkły namoment, lecz po chwili znów zaczęły grać.

Hong odsunęła krzesło od stolika,by nie nadepnąć naszkło.

Leżał na nimprogram pobytu w Zimbabwe.

Pierwszodzię minątna oglądaniu niekończącego się przemarszużołnierzy i słuchaniu orkiestr wojskowych.

Potem, w długiej kolumnie samochodów eskortowanejprzez policjantówi na motocyklach, członków delegacji zawieziono naobiad, podczas któregoministrowie wygłaszali długie przemó wienia i wznosilitoasty.

Wedługprogramu gospodarzemprzyjęcia miał być prezydentMugabe.

Nie dotarł jednak namiejsce.

Gdyobiad dobiegł końca, goście mogli wreszcie się

zakwaterować.

Wioska oddalona była kilkadziesiąt kilometrów na południowy zachód od Harare.

Hong,obserwując przez oknosamochodu ubogi krajobraz, w którym gdzieniegdzie pojawiały się szare wioski, doszła downiosku, że biedawszędziewygląda taksamo.

Bogaci zawsze mogą dawać wyraz swojemu dobrobytowi, urozmaicając sobie życie.

Różnorodnedomy, ubrania,samochody.

Lub myśli i marzenia.

Biednemupozostaje tylko szara codzienność.

Późnym popołudniemmiało się odbyć spotkanie poświęcone planowaniuprac na kolejne dni.

Hong uznała jednak, że woli przejrzeć materiały na osobności, w swoimpokoju.

Gdy już się z tym uporała, poszła na długi spacer nadrzekę, gdzie udało jej się zobaczyć powolnyprzemarsz słoniprzez zarośla i tby hipopotamów wynurzające się nad powierzchnięwody.

Była tam prawie sama; po chwili dołączyłdo niej jedynie chemik zuniwersytetu pekińskiego i jedenz radykalnych ekonomistów, który wykształcił się za czasów

Denga.

Wiedziała, że ekonomista o nieznanym jej nazwiskumiał bliski kontakt z Ya Ru.

Przyszło jej nawet na myśl, że przysłał go brat, by móc śledzić każdy jej ruch.

Po chwili uznała jednak, że poniosła ją wyobraźnia.

Jej brat stosował bardziej przebiegłe metody.

Hong zastanawiała się, czy rozmowa, którą chciała odbyć z Ya Ru, jest w ogóle możliwa do przeprowadzenia.

Czy przepaść, która podzieliła partię komunistyczną na dwa obozy, nie przekroczyła już przypadkiem punktu, który udaremni wszelkie próby porozumienia?

W grę nie wchodziły przecież drobne różnice zdań co do tego, jaką polityczną strategię należy w tym momencie przyjąć.

Korzenie sporu sięgały bardzo głęboko.

Dawne ideały ścierały się z nowymi, tylko z pozoru wyglądającymi na komunistyczne, opartymi na tradycji, która pięćdziesiąt siedem lat wcześniej doprowadziła do powstania republiki ludowej.

Pod wieloma względami mógł to być spór rozstrzygający, pomyślała Hong.

Nie na zawsze, naiwnie byłoby tak myśleć.

Wciąż będą się przecież pojawiać nowe różnice zdań, nowe walki klasowe, nowe rewolucje.

Historia nigdy nie dobiegnie końca.

Nie było jednak wątpliwości co do tego, że Chiny znalazły się w punkcie przełomowym.

Przyczyniliśmy się do upadku kolonializmu i biedne kraje Afryki zostały wyzwolone.

Jaką jednak rolę Chiny odegrają w przyszłości?

Rolę przyjaciela czy nowego kolonizatora?

Jeśli zdecydują tym ludziami tacy jak jej brat, ostatnie silne bastiony chińskiego społeczeństwa zostaną zrównane z ziemią.

Wówczas fala nieodpowiedzialnego kapitalizmu zmiecie wszystkie resztki solidarnie wybudowanych instytucji i ideałów, których przez bardzo długi czas nie będzie można odtworzyć, a być może będą stracone na kilka pokoleń.

Hong wierzyła niezachwianie, że człowiek jest istotą

456

rozumną, że solidarność jest mądrością, nie zaś - jak mogł się z pozoru wydawać - emocją, i że świat, pomimo licznych niepowodzeń, zmierza do punktu, w którym zatriumfuje rozsądek.

Była też pewna, że nic nie jest po prostu darowane, nic w procesie budowy społeczeństwa nie dzieje się samo z siebie, automatycznie.

Nie istnieją żadne prawa naturalne odnoszące się do ludzkich zachowań.

I znów Mao.

Miała wrażenie, że jego twarz wyłania się z mroku.

On wiedział, co się stanie, pomyślała.

Pytanie o przyszłość nigdy nie jest takie samo dla wszystkich, nie jest z góry ustalone.

Powtarzał to raz za razem, a my go nie słuchaliśmy.

Nowe grupy nieustannie będą próbowały przywłaszczyć sobie przywileje, wciąż będą wybuchały nowe powstania.

Siedziała na werandzie i pozwalała swoim myślom swobodnie krążyć.

Usnęła.

Nagle obudził ją jakiś dźwięk.

Wyteńczyła słuch.

Po chwili znów go usłyszała.

Ktoś pukał do drzwi.

Spojrzała na zegarek.

Północ.

Kto przychodzi z taką późną wizytą?

Zastanowiła się, czy powinna otworzyć.

Znów rozległo się pukanie.

Ten ktoś wie, że nie śpię, pomyślała.

Widział mnie na werandzie.

Podeszła do drzwi i zerknęła przez wizjer.

Stał za nimi Afrykanin w hotelowym uniformie.

Ciekawość wzięła górę i Hong otworzyła drzwi.

Młody mężczyzna wręczył jej list.

Na kopercie widniało jej imię skreślone charakterem pisma Ya Ru.

Dała posłańcowi kilka zimbabweńskich dolarów, nie wiedząc, czy to dużo, czy mało, po czym wróciła na werandę.

Usiadła w fotelu i przeczytała krótki list.

Hong,

powinniśmy zawrzeć pokój, w imię rodziny, w imię narodu.

Wybacz mi, proszę, szorstkość, którą Ci czasem oka-

457.

zuję.

Spójrzmy sobie nawzajem w oczy, tak jak dawniej.

Na ostatnich kilka dni przed powrotem zapraszam Cię do buszu, ostoi dzikiej przyrody i zwierząt.

Tam będziemy mogli po-

: rozmawiać.

Ya Ru

Hong dokładnie zbadała tekst, jakby między jegostowamiszukała ukrytej wiadomości.

Nie znalazła nic, również odpowiedzi na pytanie, dlaczego brat przysłał jej tę wiadomość w środku nocy.

Spojrzała w ciemność i pomyślała o drapieżnikach widzących w ciemności swoją ofiarę, nieświadomą, że jest obserwowana.

- Widzę cię - wyszeptła.

- Skądkolwiek przyjdiesz, będę wiedziała na czas.

Nigdy więcej nie usiądziesz przy mnie, póki się nie zorientuję, że nadchodzisz.

Następnego ranka Hong obudziła się wcześnie.

Spała niespokojnie, śniąc o groźnych, pozbawionych twarzy cieniach.

Teraz stała na werandzie i obserwowała krótki wschód słońca, czerwoną kulę wznoszącą się nad bezkresnym buszem.

Kolorowy zimorodek o długim dziobie przysiadł na dachu werandy, po chwili poderwał się i poleciał dalej.

Rosa, osiadła na trawie powilgotnej nocy, mieniła się w promieniach słońca.

Skądś dobiegały obce głosy, ktoś wołał, ktoś się śmiał.

Otaczały ją mocne zapachy.

Pomyślała o liście, który dostarczono jej w nocy, i napomniała samą siebie, by zachować ostrożność.

W jakiś sposób czuła się w tym obcym kraju bardziej samotna, mając uboku Ya Ru.

O godzinie ósmej wybrana część delegacji, złożona z trzydziestu pięciu osób, pod przywództwem ministra handlu oraz burmistrzów Szanghaju i Pekinu, zebrała się w sali

konferencyjnej, obok hotelowego foyer.

Ze ścian spoglądała na nich prezydent Mugabe.

Hong zastanawiała się, czy jego uśmiech na portretach jest szyderczy, czy przyjazny.

Sekretarz stanu ministerstwa handlu odezwał się krzykliwym głosem, prosząc wszystkich o uwagę.

- Za chwilę spotkamy prezydenta Mugabe.

Przyjmie nas w swoim pałacu.

Wejdziemy kolejno, w takich jak zawsze odstępach między ministrem, burmistrzami i innymi delegatami.

Przywitamy się, wysłuchamy hymnów, a potem zajmiemy wyznaczone miejsca przy stole.

Następnie prezydent Mugabe i nasz minister wymienią powitania za pośrednictwem tłumaczy, po czym prezydent wygłosi krótkie przemówienie.

Nie wiemy, czego się spodziewać, ponieważ nie dostaliśmy żadnego tekstu.

Może to oznaczać wszystko, od dwudziestu minut do trzech godzin.

Zaleca się skorzystanie z toalety przed rozpoczęciem.

Po wygłoszeniu mowy przewidziany jest czas na zadawanie pytań.

Ci państwo, którzy mają przygotowane pytania, podnoszą rękę i przedstawiają się, gdy prowadzący udzieli państwu głosu.

Pozostają państwo na stojąco, dopóki prezydent nie skończy odpowiadać.

Nie ma pozwolenia na żadne pytania dodatkowe, żaden z członków delegacji nie może się wypowiadać.

Po spotkaniu z prezydentem większość delegacji uda się na zwiedzanie kopalni miedzi Wandlana, natomiast ministrowie wybrani delegacji będą kontynuować rozmowy z prezydentem i jego ministrami.

Hong zerknęła na Ya Ru, który opierał się o filar w głębisali i patrzył spod półprzymkniętych powiek.

Ich spojrzenia spotkały się dopiero gdy wychodzili z sali konferencyjnej.

Ya Ru uśmiechnął się do Hong, po czym zniknął w jednym z samochodów przeznaczonych dla ministra, burmistrzowi innych wybranych delegatów.

Hong zajęła miejsce w autobusie.

Ya Ru ma plan, pomyślała.

Nie wiem, co zamierza.

Nurtujący ją lęk narastał.

Muszę z kimś porozmawiać, uspokajała samą siebie.

Z kimś, kto podzieli moje obawy.

Rozejrzała się po autobusie.

Wielu ze starszych delegatów znała od dawna.

Większość z nich podzielała jej pogląd na temat rozwoju politycznego w Chinach.

Ale oni są zmęczeni, pomyślała.

Są już tak starzy, że nie rozpoznają nadciągającego niebezpieczeństwa.

Nadaremnie próbowała znaleźć wzrokiem odpowiednią osobę.

W grupie nie było nikogo, komu mogłaby się zwierzyć.

Postanowiła, że po spotkaniu z Mugabe dokładnie przestudiuje listę uczestników delegacji.

Gdzieś wśród nich musię znaleźć kogoś, kogo szukam.

Autobus jechał szybko w kierunku Harare.

Hong patrzyła przez szybę na czerwone tumany pyłu i idących pobocze ludzi.

Nagle autobus się zatrzymał.

Mężczyzna siedzący po drugiej stronie przejścia wytłumaczył Hong, co się stało.

- Nie możemy dotrzeć na miejsce równocześnie - powiedział.

- Samochody wiozące ważniejszych gości muszą przyjechać pierwsze.

Dopiero potem kolej na nas, polityczno-ekonomiczny balet, tworzący korzystne tło.

Hong uśmiechnęła się do mężczyzny, którego nazwisko pamiętała.

Wiedziała jednak, że jest profesorem fizyki, represjonowanym w czasie rewolucji kulturalnej.

Gdy wrócił, doświadczywszy wszystkich niedostatków życia nawi, natychmiast został mianowany kierownikiem placówki, która miała się stać chińskim instytutem badań kosmicznych.

Hong podejrzewała, że podziela jej zdanie w kwestii drogi, jaką powinny kroczyć Chiny.

Należał do nielicznych spośród starszego pokolenia, którzy wciąż jeszcze się utrzy-

460

mali, mimo że nadeszli młodzi, niemający pojęcia, jak to jest żyć ze świadomością, że żyje się w cieniu jakiejś wielkiej

siły.

Zatrzymali się tuż obok niewielkiego rynku, ciągnącego się wzdłuż drogi.

Hong wiedziała, że gospodarka Zimbabwe jest bliska upadku.

Był to jeden z powodów, dla których do kraju przybyła tak liczna delegacja z Chin.

Mimo że fakty nigdy nie miał zostać upubliczniony, to właśnie sam prezydent Mugabe zaapelował do rządu chińskiego, by pomógł Zimbabwe podźwignąć się z wielkiego ekonomicznego kryzysu.

Nałożone przez Zachód sankcje powodowały stopniowe załamywanie się wszystkich podstawowych struktur tego kraju.

Zaledwie kilka dni przed wylotem z Pekinu Hong przeczytała w gazecie, że inflacja w Zimbabwe zbliżyła się do poziomu pięćdziesięciu procent.

Ludzie na poboczu poruszali się bardzo wolno.

Hong pomyślała, że muszą być głodni lub zmęczeni.

Nagle zauważyła kobietę, która uklęknęła.

Na plecach niosła dziecko, a na głowie miała nosidło ze zwiniętej tkaniny.

Dwaj mężczyźni podnieśli ciężki worek z cementem, umieścili go na głowie kobiety i pomogli jej wstać.

Hong patrzyła, jak odchodzi na ugiętych, trzęsących się nogach.

Bez chwili namysłu wstała, przeszła na przód autobusu i pochyliła się nad tłumaczką.

- Proszę, żeby pani ze mną poszła.

Młoda kobieta otworzyła usta, by zaprotestować, ale Hong nie pozwoliła jej nic powiedzieć.

Kierowca otworzył przednią drzwi, by wpuścić do autobusu trochę świeżego powietrza, ponieważ klimatyzacja nie działała.

Hong pociągnęła zasobą tłumaczkę na drugą stronę drogi, w miejsce, gdzie dwaj mężczyźni siedzieli w cieniu i palili wspólnego papierosa.

Kobieta z ciężarem na głowie zniknęła już w gorącej mgle.

461.

- Niech się pani dowie, ile ważył worek, który ci mężczyźni przed chwilą położyli na głowie kobiety.

-Pięćdziesiąt kilo - odparła tłumaczka po otrzymaniu odpowiedzi.

- To potworny ciężar.

Będzie miała zniszczony kręgosłup, zanim skończy trzydzieści lat.

Mężczyźni tylko się zaśmiali.

- Jesteśmy dumni z naszych kobiet.

Są bardzo silne.

Hong dostrzegła niezrozumienie w ich oczach.

Tutejsze kobiety dzielą ten sam los co najbiedniejsze kobiety w Chinach, pomyślała.

Kobiety zawsze noszą ciężary w ten sposób.

Ale jeszcze większe muszą dźwigać w swoich głowach.

Wróciła z tłumaczką do autobusu, który po chwili ruszył dalszą drogę.

Przyjechali po nich policjanci na motocyklach.

Hong pozwoliła, by wpadający przez otwarte okno wiatr owiewał jej twarz.

Wiedziała, że nigdy nie zapomni kobiety z workiem cementu na głowie.

Spotkanie z prezydentem Mugabem trwało cztery godziny.

Gdy wychodził do sali, jego wygląd skojarzył się Hong z postacią sympatycznego nauczyciela.

Ujmując jej dłoń na powitanie, patrzył w innym kierunku.

Mężczyzna przebywający w innym świecie, który przelotnie się o nią otarł.

Po spotkaniu nie będzie jej pamiętał.

Pomyślała, że ten niski człowiek, emanujący siłą, mimo że jest stary i kruchy, w oczach jednych jawi się jako tyran, uciskający naród, niszczący jego domy i przepędzający go z jego ziemi dla własnego widzimisię, w oczach innych zaś jako bohater, który się nigdy nie poddał w walce z wciąż potężnymi siłami kolonializmu, będącymi, jak zapewniał, przyczyną wszystkich problemów Zimbabwe.

462

A co sądziła ona sama?

Wiedziała za mało, by odważyć się na wygłoszenie konkretnej opinii.

Lecz Robert Mugabe był człowiekiem, który z wielu względów zasługiwał na jej uznanie i szacunek.

Nawet jeśli nie wszystko co robił, było dobre, był przekonany o tym, że korzenie kolonializmu sięgnęły zbyt głęboko, by móc je usunąć za pomocą jednego cięcia.

Należało uderzać wielokrotnie.

Jej szacunek wzrastał, gdy czytała o gwałtownych atakach, jakie wciąż przypuszczała na niego zachodnie media.

Hong żyła już wystarczająco długo, by wiedzieć, że bogaci ludzie i ich gazety często głośno protestują po to, by zagłuszyć krzyk bólu tych, którzy wciąż jeszcze cierpią pod jarzmem kolonializmu.

Zimbabwe i Robert Mugabe znajdowali się w stanie oblężenia.

Wzburzenie Zachodu było ogromne, gdy Mugabe kilka lat wcześniej zaanektował wielkie farmy, wciąż jeszcze dominujące w kraju i pozbawiające setki tysięcy biednych Zimbabweńczyków.

Nienawiść do Mugabe przybierała na sile za każdym razem, gdy kolejny biały farmer zostawał przez miejscową ludność obrzucony kamieniami lub ostrzelany.

Hong wiedziała też, że już w roku 1980, kiedy Zimbabwe wyzwoliło się spod faszystowskiego reżimu Ian Smitha, Mugabe zaproponował białym farmerom otwarte rozmowy, które miały na celu rozwiązanie problemu ziemi.

Jego propozycja spotkała się z milczeniem, podobnie było przez kolejne piętnaście lat.

Mugabe co jakiś czas ponawiał swoją ofertę rozmów, lecz za każdym razem odpowiadało mu milczenie.

W końcu nie mógł już dłużej czekać i przekazał część farm bezradnej ludności.

Natychmiast został potępiony i na jego głowę posypały się gromy.

W tym właśnie momencie Mugabe z człowieka walczącego o wolność przeobraził się w opinię białych w klasycznego

afrykańskiego przywódcę tyrana.

Przedstawiano go tak, jak antysemita przedstawiali Żydów.

Człowieka, który doprowadził do wyzwolenia swojego kraju, odsadzono od czci i wiary.

Nikt już nie mówił o tym, że pozwolił byłym przywódcom z czasów reżimu Iana Smitha, nie mówiąc o samym Smisie, pozostać w kraju.

Że nie postawił ich przed sądem, a potemnie posłał na szubienicę, jak zwykli robić Brytyjczycy z czarnymi buntownikami w swoich koloniach.

W końcu niesforne były to zupełnie co innego niż niesforne czarne.

Hong słuchała przemówienia Mugabe.

Mówił powoli, łagodnie, nie podniósł głosu, nawet wspominając o sankcjach, które przyczyniają się do zwiększenia śmiertelności wśród dzieci, o rozprzestrzenianym się głodzie oraz o tym, że coraz więcej ludzi musi szukać schronienia w Afryce Południowej, stając się nielegalnymi imigrantami, tak jak miliony innych.

Mugabe mówił też o opozycji, która powstała w kraju.

Doszło do incydentów - przyznał.

- Lecz informacje, jakie podają zachodnie media, to zawsze ataki skierowane na ludzi wiernych mnie i partii.

To zawsze my rzucamy kamieniami i używamy pałek, nigdy nie są winni ci, którzy rzucają bomby, okaleczają i biją ludzi.

Mugabe mówił długo, ale dobrze.

Hong uświadomiła sobie, że ten człowiek ma już osiemdziesiąt lat.

Podobnie jak wielu afrykańskich przywódców, wiele lat spędził w więzieniu, w czasach, gdy siły kolonializmu wciąż jeszcze tkwiły w przekonaniu, że da im się odeprzeć atak na ich dominację.

Wiedziała, że Zimbabwe to kraj przeżarty korupcją.

Kraj, który wciąż ma przed sobą bardzo długą drogę.

Lecz obarczanie Mugabe winą zawsze było zbyt proste.

Prawda była dużo bardziej złożona.

Hong widziała Ya Ru siedzącego po przeciwnej stronie stołu, bliżej ministra handlu i mównicy, za

którą stał Muga464

be. Dostrzegła, że jego pióro szybko przesuwa się po kartce notatnika.

Robił to już jakodziecko.

Rysował ludziki, gdyo czymś myślał lub czegoś słuchał; najczęściej były to skaczące diabełki otoczone płomieniami.

Mój brat prawdopodobnie jako jedyny słucha słów prezydenta w skupieniu, pomyślała.

Chłonie słowa i analizuje je, by ocenić, co da mu przewagę w przyszłych interesach, bo to właśnie jest jedynym powodem, dla którego się tutaj znalazł.

Jakie potrzebne nam surowce ma Zimbabwe?

Jak je dostać za możliwie najniższą cenę?

Kiedy spotkanie dobiegło końca i prezydent Mugabe opuścił salę, Hong i Ya Ru spotkali się w drzwiach wyjściowych.

Brat czekał na nią.

Napełnili talerz przekąskami podanymi na długim stole.

Ya Ru piła wino, Hong zadowolona się szklanką wody.

- Dlaczego przysyłasz mi listy w środku nocy?

- Wydało mi się to tak ważne, że nie mogło czekać aż umrę.

- Człowiek, który zapukał do moich drzwi, wiedział, że nie śpię.

Skąd mógł to wiedzieć?

Ya Ru uniósł brwi ze zdziwienia.

- W zależności od tego, czy osoba za drzwiami śpi, czynię, pukam na różne sposoby - dodała Hong.

Ya Ru skinął głową.

- Moja siostra jest bardzo przebiegła.

- Nie zapominaj też, że potrafię widzieć w ciemności.

Dopóźna siedziałam na werandzie.

Widziałam twarze w świetle księżyca.

- Tej nocy chyba nie świecił księżyc?

- Umiem sprawić, by światło, które odbijają gwiazdy, stało się silniejsze.

Światło gwiazd może stać się światłem księżyca.

465.

Ya Ru przyglądał jej się w zamyśleniu.

- Czyrzucasz mi wyzwanie?

Czy to właśnie robisz?

- A ty nie?

-Musimy porozmawiać.

Na osobności, gdzieś, gdzie jest spokojnie.

Tutaj dokonują się ważne zmiany.

Przypłynęliśmy do Afryki wielką, ale pokojowo nastawioną armadą.

Teraz właśnie schodzimy na ląd.

- Widziałam dziś dwóch mężczyzn, którzy podnieśli pięćdziesięciokilogramowy worek z cementem i położyli go nagłowie kobiety.

Moje pytanie jest bardzo proste.

Co chcemy osiągnąć z pomocą armady, którą tu przypłynęliśmy?

Czy chcemy pomóc kobiecie dźwigać jej ciężar?

Czy możemy się jednymi z tych, którzy wkładają jej worek nagłową?

- Toważne pytanie, o którym chętnie podyskutuję.

Alenie teraz.

Prezydent czeka.

- Nie na mnie.

-Spędź dzisiejszy wieczór na werandzie.

Jeśli nie zapukam do twoich drzwi o północy, możesz położyć się spać.

Będzie to oznaczało, że dziś przyjdę.

Ya Ru odstawił kieliszek i z uśmiechem odszedł.

Hongaz spoił się pod wpływem tej krótkiej rozmowy.

Usłyszał głos, informujący, że jej autobus odjedzie za trzydzieści minut.

Ponownie napełniła talerz małymi kanapkami, a kiedy poczuła się syta, przeszła na tył pałacu, do miejsca, w którym czekał autobus.

Było bardzo ciepło, promienie słoneczne odbijały się od białych, kamiennych ścian budynku.

Włożyła okulary przeciwsłoneczne i biały kapelusz, który miała w torebce.

Już miała wsiąść do autobusu, gdy usłyszała, że ktoś ją woła.

Obejrzała się.

-Ma Li?

Ty tutaj?

466

- Zastępuję starego Tsu.

Miał zakrzep i niemógł przyjechać.

Wyznaczyli mnie na jego miejsce.

Dlatego nie ma mnie na liście uczestników.

- Nie widziałam cię w autobusie dziś rano.

- Zwrócono mi ostro uwagę, że niezgodnie z protokołem - zajęłam miejsce w jednym z samochodów.

Teraz jestem we właściwym miejscu.

;; Hong uściśnęła ręce Ma Li.

Właśnie na nią czekała, na kogoś, z kim mogłaby porozmawiać.

Ma Li była jej przyjaciółką od czasów studenckich, od rewolucji kulturalnej.

Hong przypomniała sobie, jak pewnego ranka znalazła Ma Li śpiącą na krześle w jednej z sal uniwersyteckich.

Gdy ją obudziła, zaczęły ze sobą rozmawiać.

Było zupełnie tak, jakby zgóry przesądzono, że zostaną przyjaciółkami.

Hong do dziś pamiętała jedną z nich pierw; szych rozmów.

Ma Li powiedziała wówczas, że nadszedł już czas, by zakończyć "bombardowanie kwatery głównej".

Było to jedno z wezwań Mao odnoszących się do rewolucji kulturalnej; nawet najwyższym szczeblom partii komunistycznej; ona nie miała zostać oszczędzona konieczną krytyką.

Ma Li;; powiedziała wtedy, że przyszedł czas na "zbombardowanie pustki, która wypełnia jej głowę, całej tej brakującej wiedzy, o którą musiała walczyć".

Ma Li została analitykiem ekonomicznym i znalazła zatrudnienie w ministerstwie handlu, by po jakimś czasie dołączyć do grupy ekspertów, którzy przez dwadzieścia cztery godziny na dobę kontrolowali ruchy walutowe na świecie.

Hong natomiast została doradcą ministra do spraw bezpieczeństwa wewnętrznego, by współdecydować o kwestiach wewnętrznej i zewnętrznej obronności kraju, przede wszystkim zaś o bezpieczeństwie przywódców politycznych.

Hong

467.

była na ślubie Ma Li, lecz odkąd przyjaciółka urodziła dwojedzieci, ich kontakty stały się rzadsze i nieregularne.

Teraz znów sięspotkały, w autobusie na tyłachpałacuMugabe.

Rozmawiały bez przerwyprzez całą drogę powrotną do kampusu.

Hong zauważyła, że Ma Li jest równieżadowolona ze spotkania z nią jak ona.

Po przyjeździe dohotelu postanowiły wybrać sięna spacer do altanyz widokiem na rzekę.

Żadna z nich nie miała już na ten dzieńzaplanowanych ważnych zadań, dopierojutro Ma Li miałaodwiedzić farmę eksperymentalną, a Hong czekała rozmowaz grupą zimbabweńskich wojskowych przy WodospadachWiktorii.

Gdy szływ kierunku rzeki, panował przytłaczający upał.

W oddali mogły dostrzec błyskawice i słyszały pomrukgrzmotów.

Nad rzeką niebyło widać żadnych zwierząt.

Wyglądałoto zupełnie tak, jakbycały teren nagle opustoszał.

Hong podskoczyła ze strachu, gdy Ma Li nagle złapała jąza rękę.

- Widzisz?

- zapytała i wskazała palcem jakiśpunkt.

Hong próbowała dostrzec coś woddali, ale niezauważyła żadnego ruchu w kępach krzewówporastających brzeg

rzeki.

- Za tamtym drzewem z korą odłupaną przez słonie, obokstały, która sterczy jak wbita w ziemię dzida.

Hongzobaczyła, co pokazujejej przyjaciółka.

Ogon lwaporuszałsię powoli, chłuszcząc czerwoną ziemię.

Chwilamipóśród liści widać było jego oczy i grzywę.

- Masz dobry wzrok - powiedziałaHong.

-Nauczyłam się obserwować.

Otoczenie jest niebezpieczne.

Nawet miasto czy sala spotkań to tereny skrywające różne pułapki, które mogą nagle się zatrzasnąć, jeśli nie jest się wystarczająco uważnym.

468

W milczeniu, niemal wstrzymując oddech, patrzyły, jak lew podchodzi do rzeki i zaczyna chleptać wodę.

Daleko, w pobliżu środka rzeki widoczne były wynurzające się nad powierzchnię wody łby hipopotamów.

Zimorodek o ubarwieniu takim jak ten, który przysiadł na dachu werandy Hong, siedział na barierce z wąską wzdziobie.

- Cisza - odezwała się Ma Li.

- Coraz bardziej za nią tęsknię, im jestem starsza.

Może to pierwsze oznaki starości?

Nikt nie chce umierać otoczony hałasem maszyn i odbiorników radiowych.

Za postęp płacimy wielką ciszą.

Czy człowiek może właściwie żyć bez ciszy, której tutaj doświadczamy?

- Masz rację - odparła Hong.

- A co z niewidzialnymi

zagrożeniami dla naszego życia?

Co zrobimy z nimi?

- Myślisz o zanieczyszczeniu?

Trucznach?

Zarazach, które ciągle mutują i zmieniają swoje oblicze?

- Według Światowej Organizacji Zdrowia Pekin jest dzisiaj najbrudniejszym miastem na świecie.

Ostatnio odnotowano czterdzieści dwa mikrogramy cząsteczek zanieczyszczenia na metr sześcienny powietrza.

W Nowym Jorku liczba ta wynosi dwadzieścia siedem, w Paryżu dwadzieścia dwa.

- Pomyśl o wszystkich tych ludziach, którzy nagle uświadamiają sobie, że stać ich na kupienie

skutera.

Jak sprawić, by sobie tego odmówili?

- Poprzez wzmocnienie władzy partii nad rozwojem kraju.

Kontrolowanie tego, co powstaje z surowców, i tego, co powstaje z myśli.

Ma Li szybkim gestem pogłaskała Hong po policzku.

- Dziękuję losowi za każdym razem, gdy zauważam, że nie jestem sama.

Nie wstydę się, gdy mówię, że Baoxian yundong jest tym, co może uratować nasz kraj przed rozdarciem i upadkiem.

469.

- "Kampania zabezpieczania prawa do władzy dla partii komunistycznej" - powiedziała Hong.

- Zgadza się z tobą.

Równocześnie jednak obydwie dobrze wiemy, że niebezpieczeństwo czai się wewnątrz.

Kiedyś była żona Mao, która wykonywała krecią robotę na rzecz nowej wyższej klasy, mimo że machała czerwoną flagą tak samo jak wszyscy.

Dziś są inni, którzy ukrywają się wewnątrz partii z zamiarem zastąpienia stabilności kraju wolnym rynkiem, którego nikt nie będzie w stanie kontrolować.

- Stabilność już przepadła - powiedziała Ma Li.

- Jestem analitykiem, więc wiem, jak wygląda przepływ pieniądza w naszym kraju, wiem też wiele rzeczy, o których nie wiesz ani ty, ani nikt inny.

Oczywiście nie wolno mi o tym mówić.

- Jesteśmy same.

Lew nas nie słucha.

Ma Li popatrzyła na nią badawczo.

Hong dobrze wiedziała, co przyjaciółka teraz myśli: czy może jej zaufać?

- Nie mów nic, jeśli masz wątpliwości - powiedziała Hong.

- Źle wybierając osobę, której decydujemy się zaufać, stajemy się bezradni i bezbronni.

Tego uczył nas już Konfucjusz.

- Ufam ci - odparła Ma Li.

- Pomimo wszystko trudno pokonać instynkt, który nakazuje stać się czujną,

Hong wskazała brzeg rzeki.

- Lew już sobie poszedł.

Nie zauważyłyśmy nawet, kiedy zniknął.

Ma Li skinęła głową.

- W tym roku rząd zwiększy wydatki na wojsko o prawie piętnaście procent - kontynuowała Hong.

- Biorąc pod uwagę, że Chiny nie mają właściwie żadnych zagrażających imwrogów, oczywiście Pentagon i Kreml dziwią się tym niespodziewanym zbrojeniom.

Ich analitycy bez większego wysiłkudoszli do wniosku, że kraj przygotowuje się na konfrontację

470

z jakimś zagrożeniem wewnętrznym.

Poza tym wydajemyprawie dziesięć miliardów juanów na kontrolęinternetu.

Toliczby, których w żaden sposóbnie da sięukryć.

Istnieje teżinna statystyka, którą znabardzo niewielu.

Jak myślisz, ilezamieszek i masowych protestów zorganizowano w naszymkrajuw ubiegłym roku?

Ma Li zastanawiała się przezchwilę.

,-. -Nie wiem, pięć tysięcy?

Hong pokręciła głową.

- Prawie dziewięćdziesiąt tysięcy.

Policz teraz, ile ichprzypada na jeden dzień.

Jest to liczba, która wisi jak ciemna chmura nad wszystkimi działaniami, jakie podejmujepolitbiuro.

Liberalizacja gospodarki, którą piętnaście lattemu przeprowadził Deng, mogła na jakiś czas stłumić niepokójw kraju.

Dziś to już nie wystarczy.

Zwłaszcza teraz,gdy miasta nie są już w stanie zapewnić miejsca pracy dla setek milionów biednychchłopów, którzy niecierpliwieczekają na swoją kolej, by uszczknąć nieco z życia, o jakimmarzą.

- Co może się stać?

-Niewiem.

Nikt nie wie.

Mądry jest ten, ktojest niespokojny istawia pytania.

Wewnątrz partiitrwą teraz próba sił,jakiej nie było od czasów Mao.

Nie wiadomo, jaki będziejej wynik.

Wojsko obawia sięchaosu, nad którym nie będziew staniezapanować.

Ty i ja wiemy, że jedyne, co można zrobić, jedyne, co należy zrobić, to przywrócić dawne zasady.

- Baoxian yundong.

-To jedyne rozwiązanie.

Nasza jedyna droga.

Nie mainnej, która mogłaby poprowadzić nas ku przyszłości.

Stado słońi powoli zbliżyło się do rzeki, by napić się wody.

Gdy do altany widokowej weszła grupa zachodnich tury471.

stów, Hong i Ma Li wrócili do hotelowego foyer.

Hong miała zamiar zaproponować, by zjadła razem kolację, lecz Ma Li uprzedziła ją, mówiąc, że ma zajęty wieczór.

- Spędzimy tu czternaście dni - powiedziała.

- Znajdziemy czas, by porozmawiać o wszystkim, co się wydarzyło.

- O wszystkim, co się wydarzyło i co ma się wydarzyć - dodała Hong.

- O wszystkich pytaniach, na które nie znamy jeszcze odpowiedzi.

Patrzyła, jak Ma Li znika po drugiej stronie dużego basenu.

Jutro z nią porozmawiam, pomyślała.

Jak to dobrze, że właśnie teraz, gdy najbardziej kogoś potrzebowałam, pojawiła się jedna z moich najdawniejszych przyjaciółek.

Tego wieczora Hong zjadła kolację samotnie.

Spora grupa uczestników delegacji z Chin zebrała się przy dwóch długich stołach, Hong jednak wolała być sama.

Wokół lampy wiszącej nad jej stolikiem tańczyły ćmy.

Po kolacji usiadła na chwilę za barem przy basenie i wypita filiżankę herbaty.

Kilku chińskich delegatów upiło się i próbowało podrywać ładne, młode kelnerki krążące między stolikami.

Widok ten zdenerwował ją i zdecydowała się opuścić to miejsce.

W dawnych Chinach nigdyby nacoś takiego nie pozwolono, pomyślała ze złością.

Ci, którzy się upili i byli natarczywi, nigdy więcej nie mieliby prawa reprezentować kraju.

Może nawet zostaliby aresztowani.

Nietak jak teraz.

Nikt nie interweniuje.

Usiadła na werandzie swojego bungalowu i myślała o arogancji wypływającej z wiary w to, że wolny kapitalistyczny rynek sprzyja rozwojowi.

Celem Denga było doprowadzenie tego, by koła rozwoju Chin obracały się szybciej.

Dzisiejsza sytuacja wygląda inaczej.

Grozi nam ryzyko przegrzania.

Nie tylko w obrębie przemysłu, dotyczy to nawet naszych umysłów.

Nie dostrzegamy ceny, jaką musimy płacić, zatrutych

rzek, dławiącego powietrza i milionów ludzi w desperacji opuszczających wieś.

Pewnego dnia przybyliśmy do kraju, zwanego Rodezją, by wesprzeć walkę o wolność.

Teraz, prawie trzydzieści lat po wyzwoleniu, przybywamy jako zamaskowani kolonizatorzy.

" Mój brat jest jednym z tych, którzy zaprzędają wszystkie nasze dawne ideały.

Nie ma w nim cienia wiary w siłę narodu, która kiedyś oswobodziła nasz kraj.

Zamknęła oczy i słuchała odgłosów nocy.

Z jej zmęczonego umysłu powoli odpływały myśli o Ma Lii i ich rozmowie.

Już prawie spała, gdy nagle usłyszała dźwięk, który na moment zagłuszył grę cykad.

Było trzask łamanej gałęzi.

Otworzyła oczy i wyprostowała się w fotelu.

Cykady zamilkły.

Hong zorientowała się, że w pobliżu ktoś jest.

Wbiegła do pokoju i zamknęła za sobą szklane drzwi.

Szybko zgasiła lampę.

Serce biło jej jak oszalałe.

Biała się.

Ktoś był tam w ciemności.

Ktoś, kto nie chcący nadepnął gałąź.

Skułiła się na łóżku w ciemnym pokoju, bojąc się, że zaraz ktoś przyjdzie.

Nikt jednak nie wyłonił się z mroku.

Po blisko godzinie czekania zasunęła zasłony, usiadła przy biurku i zaczęła pisać list, którego treść ułożyła w głowie w ciągu dnia.

31

Spisanie podsumowania wszystkich ostatnich wydarzeń zajęło Hong kilka godzin.

Główny temat stanowił Ya Rui zastanawiające informacje, które uzyskała od sędzi ze Szwecji, Birgitty Roślin.

Spisała to wszystko, by ochronić

472

473.

samą siebie, a także dlatego że ostatecznie stwierdziła, iż jej brat jest skorumpowany i należy do grupy osób, które chcą przejąć kontrolę nad Chinami.

Poza tym oni jego ochroniarz Liu mogli być zamieszani w brutalnym orderstwie poza granicami kraju.

Hongnie włączyła klimatyzacji, bylepiej słyszeć dźwięki dochodzące z zewnątrz.

W dusznym pokoju nocne owady krążyły wokół lampy, a ciężkie krople potu spadały z jej czoła na biurko.

Doszła do wniosku, że ma wszelkie powody do niepokoju.

Żyła już na tyle długo, że potrafiła odróżnić prawdziwe niebezpieczeństwa od tych, które podpowiadała jej wyobraźnia.

Ya Ru był jej bratem, przede wszystkim jednak był człowiekiem, który nie wahał się użyć żadnych środków, by osiągnąć swój cel.

Hang była przeciwniczką nowych dróg rozwoju kraju.

Cały świat się zmieniał, przywódcy Chin również musieli szukać nowych strategii, by móc rozwiązywać obecne i przyszłe problemy.

Hong i wielu podobnie myślących uważało jednak, że nie należy łączyć zasad socjalistycznych z dążeniem do modelu gospodarki wolnorynkowej.

Czyż nie ma alternatywy?

Tak potężny kraj jak Chiny nie musiał sprzedawać swojej duszy w pościgu za ropą, innymi surowcami i nowymi rynkami zbytu dla swojej produkcji.

Czyż udowodnienie świata, że rozwój kraju nie musi nieść ze sobą brutalnego imperializmu i kolonializmu, to nie doniosłe zadanie?

Hong obserwowała, w jaki sposób młodzi ludzie, chciwi i bezwzględni, budują wielkie fortuny dzięki powiązaniom rodzinnym, protekcji i znajomościom.

Czuli się nietykalni, przez co stawali się jeszcze bardziej brutalnie cyniczni.

Chciała walczyć z Ya Ru i tego typu ludźmi.

Przyszłość nie była z góry określona, wszystko było jeszcze możliwe.

474

Skończyła pisać, przeczytała cały tekst, naniosiła kilka poprawek i podkreśleń, zakleiła kopertę, napisała na niej imię i nazwisko Ma Li i w końcu położyła się na łóżku, żeby się trochę przespać.

Z ciemności na zewnątrz niedochodził żaden dźwięk.

Mimo że była bardzo zmęczona, zasnęła dopiero po dłuższej chwili.

Wstała osiódmej i przez okna werandy patrzyła na słońce wznoszące się nad horyzontem.

Gdy weszła do sali, w której podawano śniadanie, Ma Li już tam była.

Hong przysiadła się doniej, zamówiła u kelnerki herbatę, po czym rozejrzała się po jadalni.

Przy większości stolików siedzieli uczestnicy chińskiej delegacji.

Ma Li powiedziała, że chciałaby pójść nad rzekę i poobserwować zwierzęta.

- Przyjdź do mojego pokoju za godzinę - poprosiła Hong ściszym głosem.

- Mieszkam pod numerem dwadzieścia dwa.

Ma Li skinęła głową, nie zadając żadnych pytań.

Taksamo jak ja nauczyła się żyć w świecie, w którym wciąż pojawiają się jakieś tajemnice, pomyślała Hong.

Zjadła śniadanie, po czym wróciła do pokoju, by zaczekać na przyjaciółkę.

Wyjazd na farmę eksperymentalną zaplanowano dopiero na wpół do dziesiątej.

Dokładnie po godzinie Ma Li zapukała do drzwi.

Hong zaprosiła ją do środka i wręczyła jej napisany w noc list.

- Jeśli coś się ze mną stanie - powiedziała - będzie to oznaczało, że ten list jest ważny.

Jeżeli natomiast umrę z starości we własnym łóżku, będziesz go mogła spalić.

Ma Li przyglądała jej się badawczo.

- Czymam się o ciebie niepokoić?

-Nie.

Ale list i tak jest konieczny.

Ze względu na wszystkich innych.

I dla naszego kraju.

475.

Hong dostrzegła zdziwienie na twarzy przyjaciółki.

Ma Li o nic jednak nie zapytała i schowała kopertę dotorebki.

- Jaki masz plan na dziś?

- zagadnęła.

- Wezmę udział w rozmowie z członkami służby bezpieczeństwa Mugabe.

Dajemy im wsparcie.

- Broń?

- Częściowo.

Przed wszystkim szkolimy ich ludzi, uczymy walki wręcz, ale też technik nadzoru.

- W tym akurat jesteśmy ekspertami.

- Czyżbyś usłyszała nutę krytyki?

- Oczywiście, że nie - odparła Ma Li nieco zdziwiona.

- Wiesz, że nasz kraj musi się bronić przed zagrożeniem zewnętrznym i wrogiem, który czai się wewnątrz.

Wiele krajów Zachodu nie chce niczego innego, jak tylko zobaczyć Zimbabwę pogrążoną w krwawym chaosie.

Wielka Brytania nigdy w pełni nie zaakceptowała faktu, że kraj w 1980 roku ogłosił niepodległość.

Mugabe jest otoczony przez wrogów.

Na jego miejscu głupotą byłoby nie wymagać, by służby bezpieczeństwa pracowały na najwyższym poziomie.

- A więc z pewnością nie jest głupi?

- Robert Mugabe to mądry człowiek, który zdaje sobie sprawę z tego, że przez cały czas musi walczyć z siłami byłego kolonializmu, chcącego podciąć nogi partii rządzącej.

Jeśli Zimbabwe upadnie, wiele innych krajów podzieli ten sam los.

Hong odprowadziła Ma Li do drzwi i przez chwilę patrzyła, jak oddalasię wyłożoną kamieniami ścieżką, wijącą się przez soczystą zieleń.

Tuż przy jej bungalowu rośnię jakaranda.

Hong wpatrywała się w jej błękitne kwiaty.

Próbowała z czymś porównać ich kolor, nic jednak nie przychodziło jej na myśl.

Podniost jeden,

476

który spadł na ziemię, i włożyła go między kartki pamiętnika;

zawsze miała go przy sobie, choć rzadko w nim pisała.

Zamierzała właśnie usiąść na werandzie zacząć przeglądać raport na temat pozycji politycznej w Zimbabwie, gdy usłyszała pukanie do drzwi.

Na progu stał jeden z chińskich przewodników delegacji, mężczyzna w średnim wieku nazwiskiem Shu Fu.

Już wcześniej Hong zauważyła, jak bardzo się boi, by nikt się nie zgubił i nie pomylił punktów programu.

Zdecydowanie nie nadawał się do pracy przy tak dużym przedsięwzięciu, zwłaszcza że jego znajomość angielskiego nie była zadowalająca.

- Pani Hong - powiedział.

- Plany uległy zmianie.

Minister handlu wybiera się w odwiedziny do sąsiedniego Mozambiku i chce, żeby pani z nim pojechała.

- Dlaczego?

Hong była zaskoczona.

Nigdy nie miała żadnego bliższego kontaktu z ministrem Ke, za ledwie przywitała się z nim przed wyjazdem do Harare.

- Pan minister prosi tylko o przekazanie, żeby pani z nim pojechała.

To będzie niewielka delegacja.

- Kiedy mamy jechać?

I dokąd?

Shu Fu otarł pot z czoła i rozłożył ręce.

Wskazał na

zegarek.

- Nie mogę teraz wyjaśnićpani szczegółów.

Samochody

wyruszają na lotnisko za czterdzieści pięć minut.

Spóźnienia nie będą tolerowane.

Wszyscy, którzy jadą, proszeni są zabranie małego bagażu i muszą się liczyć z ewentualnym noclegiem poza naszym hotelem.

Może się też okazać, że wrócą państwo dziś wieczorem.

- Dokąd mamy jechać?

Jaki jest cel tej podróży?

Wszystko wyjaśni minister Ke.

- Niech mi pan przynajmniej powie, dokąd jedziemy.

477.

- Do miasta Beira nad Oceanem Indyjskim.

Według moich informacji lot potrwa niecałą godzinę.

Beira leży w Mozambiku.

Hong nie zdążyła zadać kolejnego pytania.

ShuFu pośpiesznie odszedł ścieżką.

Przez chwilę stała bez ruchu w otwartych drzwiach.

Istnieje tylko jedno tłumaczenie, pomyślała.

Ya Ru chce, żebyśmy jechała.

On oczywiście jest jednym z tych, którzy towarzyszą ministrowi.

Chce mnie mieć przy sobie.

Przypomniało jej się coś, co usłyszała w trakcie podróży do Afryki.

Niegdyś prezydent Zambii, Kaunda, zażyczył sobie, by linie lotnicze Zambia Airlines zainwestowały w największy na świecie samolot pasażerski, Boeing 747.

Nie istniała potrzeba lotów tak wielkiej maszyny między Lusaką a Londynem.

Wkrótce okazało się, że prezydent przeznaczył samolot do swoich regularnych rejsów zagranicznych.

Nie chodziło mu wszak o wygodę i luksus dla siebie, ale o miejsce dla opozycji politycznej i tych członków rządu, a także wojskowych najwyższych szczebli, którym nie ufał.

Po prostu pakował do samolotu wszystkich, którzy mogli by spiskować, a nawet przygotować zamach stanu podczas jego nieobecności.

Czy tak samo rozumował Ya Ru?

Czy chciał, żeby siostra była w pobliżu, by mógł ją kontrolować?

Hong pomyślała o gałęzi, którą ktoś złamał w ciemności.

Mało prawdopodobne, by był to sam Ya Ru.

Raczej ktoś, kto śledził ją na jego polecenie.

Ponieważ nie chciała popaść w konflikt z ministrem Ke, szybko spakowała najmniejszą walizkę i przygotowała się do podróży.

Przyszła do recepcji kilkanaście minut przed zaplanowanym czasem wyjazdu.

Nie była to ani Ke, ani Ya Ru.

Przez chwilę wydawało jej się, że zobaczyła Liu,

478

ochroniarza swego brata.

Shu Fu zaprowadził ją do jednej z czekających limuzyn.

Razem z nią jechali dwaj mężczyźni, zatrudnieni w departamencie rolnictwa w Pekinie.

Lotnisko było położone w niewielkiej odległości od Harare.

Kolumna złożona z trzech samochodów jechała z dużą prędkością, eskortowana przez motocykle.

Hong zauważyła, że na każdym skrzyżowaniu stoipolicjant i zatrzymuje ruch, by ułatwić im przejazd.

Limuzyny wjechały prosto na płytę lotniska, po czym delegaci weszli bezpośrednio na pokład oczekującego ich odrzutowca sił powietrznych Zimbabwe.

Hong wsiadła tylnym wejściem od razu zauważyła, że kabina samolotu jest podzielona na pół.

Domyśliła się, że to prywatny samolot Mugabe, którego prezydent udzielił im natę podróży.

Odrzutowiec wystartował zaledwie kilka minut po tym, jak usiadła w fotelu.

Miejsce obok niej zajęła jedna z sekretarek ministra Ke.

- Dokąd lecimy?

- zapytała Hong, gdy samolot nabrał wysokości i kapitan zapowiedział, że lot potrwa około piętnastu minut.

- Do doliny rzeki Zimbabwe - odparła kobieta.

Ton jej głosu sprawił, że Hong zrezygnowała z dalszych pytań.

W końcu i tak się dowiedziała, co oznacza ta niespodziewana podróż.

O ile była niespodziewana.

Uderzyła ją myśl, że nie może tego stwierdzić z całkowitą pewnością.

A jeśli to wszystko jest częścią planu, którego nie zna?

Samolot zaczął podchodzić do lądowania, robiąc duży łuk nad oceanem.

Hong patrzyła zielononiebieską wodę migoczącą w świetle słońca, małe łódki rybackie i trójkątne maszty chybotające się na falach.

Białe miasto Beira błyszczało w słonecznym świetle.

Dokoła betonowego centrum rozciągały się osiedla chałup, może były to dzielnice slumsów.

479.

Kiedy Hong wysiadła z samolotu, uderzyła ją fala gorąca.

Zauważyła Ke podchodzącego do pierwszegoz czekającychsamochołów.

Nie było czarna limuzyna, ale biała toyotaland cruiser z mozambickimi flagami na masce.

Do tego samego samochodu wsiadł Ya Ru.

Nie odwrócił się, by zobaczyć, czy Hong wysiadła z samolotu.

I tak wie, że tu jestem, pomyślała.

Ruszyli w kierunku północno-zachodnim.

W samochodzie, którym jechała Hong, ponownie znaleźli się mężczyźni z departamentu rolnictwa.

Siedzieli pochyleni nad mapami topograficznymi i z uwagą śledzili krajobraz za oknem.

Hong wciąż czuła ten sam niesmak, co wówczas gdy Shu Fustanął przed drzwiami jej bungalowu i zakomunikował, że plany uległy zmianie.

Miała wrażenie, że została zmuszona do czegoś, przed czym z całego serca przestrzegała ją intuicja i doświadczenie.

Ya Ru chciał mieć mnie przy sobie, pomyślała.

Ale jakie argumenty przedstawił Ke, że siedzę tutaj, w japońskim samochodzie, wzbijającym gęste kłęby czerwonego pyłu?

W Chinach ziemia jest żółta, ta tutaj jest czerwona, a i tak samo lekko unosi ją wiatr, tak samo natrętnie pcha się do oczu i wnika przez wszystkie pory.

Jedynym rozsądnym wytłumaczeniem jej udziału w tej podróży był fakt, że jako jedna z wielu osób w partii komunistycznej z dystansem podchodziła do uprawianej obecnie polityki, również polityki Ke.

Czy przybyła tu jednak w charakterze jeńca, czy może zmieniła swój pogląd na politykę władz, gdy zobaczyła jej rzeczywiste efekty?

Wysoko postawieni urzędnicy departamentu rolnictwa i minister handlujący wyboistą drogą gdzieś w Mozambiku - to mogło oznaczać tylko, że podróż ta jest najwyższej wagi.

Krajobraz za szybami samochodu był jednostajny.

Niski drzewa i krzewy, gdzieś tam połyskujące w promieniach

stońca zbiorniki wodne, rzadkie skupiska szałasów i małych uprawnych.

Hong dziwiła się, że tak urodzajne tereny są tak słabo zaludnione.

W jej wyobrażeniu Afryka, podobnie jak Chiny i Indie, była obszarem biedy, na którym niezliczone masy ludzkie zdeptują się nawzajem, walcząc o przetrwanie.

To mit, który tu ze sobą zabrałam, pomyślała.

Duże afrykańskie miasta zapewne nieróżnią się wiele od tego, co widzimy w Szanghaju lub Pekinie.

Jest to, jak się na końcu okazuje, katastrofalne i pustoszące naturę oraz samego człowieka.

Lecz afrykańscy, takiej, jaką widzę teraz, podróżując przez ten kraj, nie wiedziałam absolutnie nic.

Wciąż jechali na północny zachód.

Droga była miejscami tak zła, że samochody musiały ją pokonywać w żółwym tempie.

Woda deszczowa wydrążyła zbitą ziemię, rozmyła nawierzchnię drogi, tworząc głębokie rowy.

W końcu zatrzymali się w miejscu o nazwie Sachombe.

Była to rozległa wieś składająca się z szałasów, paru sklepów i kilku zrujnowanych betonowych budynków z czasów kolonialnych, kiedy prowincjami kraju kierowali portugalscy administratorzy i ich miejscowi assimilados.

Hong przypomniała sobie, że czytała kiedyś o tym, jak portugalski dyktator Salazar opisywał ogromne tereny Angoli, Mozambiku i Gwinei Bissau, którymi władał żelazną ręką.

W jego świecie odległe należące do Portugalii kraje zwane były "terytoriami zza oceanu".

To właśnie tu przysłał wszystkich swoich biednych chłopów, w większości analfabetów, częściowo poto, by pozbyć się problemu w kraju, częściowo zaś, by zbudować kolonialną strukturę władzy, która koncentrowała się na wybrzeżach aż do lat pięćdziesiątych.

Czy my zamierzamy teraz zrobić to samo?

, pomyślała.

Przypuszczamy ten sam atak, przebraliśmy się tylko w inne kostiumy.

Kiedy wysiedli z samochodów i otarli z twarzy kurz i pot, Hong zauważyła, że cały teren otoczony jest kordonem wojskowych maszyn i uzbrojonych żołnierzy.

W pobliżu blokad stały grupki ludzi, którzy z zainteresowaniem przyglądali się gościom.

Tłum biednych gapiów, pomyślała Hong.

To ci, którzy zawsze są obecni i których - jak to sam sobie tłumaczymy - mamy za zadanie ochraniać.

Pośrodku pokrytego piaskiem placu, przed jednym z białych budynków, rozbite były dwa duże namioty.

Jeszcze zanim na miejsce przybyła kolumna samochodów wiozących delegatów z Chin, na plac zajechało kilka czarnych limuzyn.

Nieopodal stały również dwa helikoptery sił powietrznych Mozambiku.

Nie wiem, co nas tu czeka, myślała Hong, ale pewnością jest to coś ważnego.

Z jakiej przyczyny minister Ke śpieszy z wizytą do kraju, którego nawet nie był w programie delegacji?

Mniejszej części miała zaplanowane jednodniowe wyjazdy do Tanzanii i Malawi.

Nikt jednak wcześniej nie wspominał o Mozambiku.

Na plac wmaszerowała orkiestra dęta.

Równocześnie z jednego z namiotów wyszli dwaj mężczyźni.

Hong od razu rozpoznała niższego, idącego przodem.

Miał siwe włosy, krępką sylwetkę i nosił okulary.

Był to nowo wybrany prezydent Mozambiku, Gebuza.

Podszedł do ministrów i przywitał się z nimi.

Ke przedstawił uczestników delegacji prezydentowi oraz towarzyszącym mu osobom.

Ściskając jej dłoń, Hong spojrzała w parę przyjaznych, ale przyglądających jej się badawczo oczu.

Gebuza z pewnością nigdy nie zapominał żadnej twarzy, pomyślała.

Po oficjalnej prezentacji orkiestra zagrała hymny obydwu krajów.

Hong stanęła na baczność.

Śluchając hymnu Mozambiku, rozglądała się za Ya Ru, nigdzie jednak nie mogła go dostrzec.

Nie widziała go od momentu przybycia do Sachombe.

Przyjrzała się grupie

482

chińskich delegatów i stwierdziła, że brakuje w niej również kilku innych osób, które wraz z resztą przyleciały do Beiry.

Potrząsnęła głową.

Nic jej nie przyjdzie z zastanawiania się nad tym, co zamierza Ya Ru.

Ważniejsze, by się dowiedzieć, co się właściwie dzieje tu, w dolinie rzeki Zimbabwe.

Grupka czarnoskórych młodych kobiet i mężczyzn wprowadziła ich do jednego namiotów.

Wewnątrz w rytm bębnow tańczyło kilka starszych kobiet ubranych w kolorowe stroje.

Podłogę namiotu pokrywały dywany.

Hong wskazano miejsce w tylnym rzędzie miękkich krzesel z oparciem.

Gdy wszyscy usiedli, prezydent Gebuza wszedł na mównicę.

Hong założyła słuchawki, w których język portugalski tłumaczono na perfekcyjny chiński.

Domyśliła się, że tłumacz musi się wywodzić z prestiżowego Pekinńskiego Instytutu dla Tłumaczy, kształcącego tłumaczy, którzy mieli towarzyszyć prezydentowi, członkom rządu oraz negocjatorom najważniejszych kontraktów gospodarczych.

Hong słyszała kiedyś, że ponoć nie ma języka, choćby był najrzadszy, który nie miałby w Chinach wykwalifikowanych tłumaczy.

Było dla niej powód do dumy.

Nie istniały żadne granice dla dokonania jej narodu, który zaledwie jedno pokolenie temu był niewykształcony i żył w nędzy.

Odwrociła głowę i spojrzała w kierunku wyjścia z namiotu, którego poły poruszały się na wietrze.

Na zewnątrz dostrzeżła Shu Fu i kilku żołnierzy.

Wciąż nie było śladu jej brata.

Prezydent przemawiał bardzo krótko.

Powitał delegację z Chin i powiedział kilka słów tytułem wstępu.

Hong słuchała go bardzo uważnie, chcąc zrozumieć, co się dzieje
dokoła.

Wzdrygnęła się, czując nagle na ramieniu czyjąś dłoń.

Ya Ru niepostrzeżenie wszedł do namiotu i kucnął obok jej krzesła.

Odsunął słuchawkę z jej ucha i szepnął:

483.

- Słuchaj uważnie, droga siostrze, a zrozumiesz coś z wielkich wydarzeń, które zmienią nasz kraj i nasz świat.

Tak będzie wyglądała przyszłość.

- Gdzie byłeś?

Natychmiast zorientowała się, jak idiotyczne było jej pytanie, i oblała się rumieńcem.

Odezwała się do brata tak, jakby był dzieckiem, i spóźniła się do domu.

Niegdyś często przejmowała rolę matki, gdy ich rodzice przebywali na niekończących się spotkaniach politycznych.

- Chodzę własnymi ścieżkami.

Ale teraz chcę, żebyś słuchała i czegoś się nauczyła.

Jak dawne ideały mogą zostać zastąpione przez nowe bez utraty ich treści.

Ya Ru przytknął z powrotem słuchawkę do jej ucha, poczym szybko zniknął za poaminamiotu.

Przez moment udało jej się zobaczyć ochroniarza brata, Liu.

Znow przysła jej do głowy myśl, czy to możliwe, by to właśnie on zabił wszystkich ludzi, o których mówiła Birgitta Roślin.

Zdecydowała, że zaraz po powrocie do Pekinu porozmawia; kimś ze swoich znajomych w policji.

Liu nie robił nic bez wyraźnego rozkazu Ya Ru.

W odpowiednim czasie skonfrontuje się z bratem.

Najpierw jednak musi się dowiedzieć więcej o tym, co rzeczywiście się wydarzyło.

Prezydent przekazał głos przewodniczącemu komitetu odpowiedzialnego za przygotowanie strony mozambickiej.

Był to zaskakująco młody człowiek z łysą głową, w okularach bez oprawek.

Hong nie dosłyszała, czy nazywa się Mapito, czy Mapiro.

Mówił z ożywieniem, jakby bawiło go to, co miał do powiedzenia.

I nagle Hong zrozumiała.

Powoli wyklarował jej się kontekst, charakter spotkania i jego tajemnicza oprawa.

Głębokow mozambickimbuszu przeprowadzano gigantyczny pro

484

jekt angażujący dwa najbiedniejsze kraje świata, choć jeden z nich był potęgą, a drugi maleńkim państwem w Afryce.

Słuchała słów tłumaczonych łagodnym chińskim głosem z wolna docierało do niej, dlaczego Ya Ru chciał, by przyjechała do tego miejsca.

Hong była zdecydowaną przeciwniczką wszystkiego, co miało sprawić, by Chiny stały się potęgą imperialną i tym samym, jak zwykło mawiać Mao, papierowym tygrysem, którego wcześniej czy później złamie zjednoczony w proteście naród.

Być może Ya Ru żywił nadzieję, że jego siostra da się przekonać i zrozumie, iż to, co tutaj zobaczy, okaże się korzystne dla obu krajów.

Ważniejsza jednak chyba była chęć pokazania Hong, że grupa ludzi, do której należała, nie wzbudza strachu w tych, którzy mieli władzę.

Ani Ke, ani Ya Ru nie bali się Hong i jej stronników.

Gdy Mapito zrobił krótką przerwę, by napić się wody, Hong pomyślała, że tego właśnie obawiała się najbardziej, Tego, że w Chinach odrodzi się społeczeństwo klasowe.

Oraz' co gorsza, czego nie spodziewał się nawet Mao, że kraj zostanie podzielony między dzierżące władzę elity i uwięzioną w biedzie poddaś i pozwoli sobie na traktowanie świata w sposób, w jaki nie robili tego nawet imperialiści.

Mapito mówił dalej.

- Nieco później w ciągu dnia helikoptery zabiorą nas, wzdłuż rzeki Zambezi aż do Bandar, a potem z biegiem rzeki w kierunku Luabo, do miejsca, w którym zaczyna się duża delta łącząca rzekę z oceanem.

Przelecimy nad żyznymi, słabo zaludnionymi terenami.

Według poczynionych przez nas obliczeń, w ciągu pięciu lat będziemy mogli przyjąć cztery miliony chińskich chłopów, którzy zagospodarują leżące odłogiem ziemie.

Nikt nie zostanie wysiedlony, nikogo nie pozbawimy środków utrzymania.

Wręcz przeciwnie, nasz zaludność skorzysta na tych wielkich zmianach.

Wszyscy będą

485.

mieć dostęp do dróg, szkół, szpitali, energii elektrycznej, czyli wszystkich udogodnień, które na razie są dostępne jedynie w niewielu wioskach i są przywilejem mieszkańców miast.

Hong słyszała już plotki, że władze, zarządzając przymusowe wysiedlenia ludności z powodu budowy zapór, obiecują ludziom dostatnie życie w Afryce.

Wyobraziła sobie to wielkie przesiedlenie.

W pięknych słowach opisywano rajskie sceny, w których biedni Chińscy chłopcy, analfabeci, bez najmniejszych trudności zapuszczają korzenie w obcym dla nich środowisku.

Dzięki przyjaźni i współpracy nie powstaną żadne problemy, żadne konflikty z ludnością zamieszkującą teren wzdłuż rzeki.

Hong nie miała najmniejszych wątpliwości, że to, czego właśnie słuchała, ma zamienić Chinę w drapieżną nację, która bez wahania sięgnie po ropę i ropy kopalnię, niezbędne do utrzymania gwałtownego rozwoju gospodarczego.

Związek Radziecki dostarczał broń podczas wojny wywoleńczej, która w roku 1974 doprowadziła do wypędzenia z kraju portugalskich kolonizatorów.

W większości była to stara, zużyta broń.

W zamian za nią zażądano prawa do rabunkowych połowów ryb w bogatych wodach Mozambiku.

Czy od teraz Chiny będą dążyły wyłącznie do zaspokojenia własnych potrzeb?

Nie chcąc ściągać na siebie uwagi, po zakończeniu przemówienia klaskała razem ze wszystkimi.

Teraz zamówiła stanął minister Ke.

Nie ma żadnych zagrożeń - zapewniał.

-Wszyscy są absolutnie zgodni i gotowi do współpracy zakładającej sprawiedliwą wymianę.

Ke przemawiał krótko.

Gdy skończył, goście zostali zaproszeni do drugiego namiotu, w którym przygotowano dla nich poczęstunek.

Hong wręczyła lampkę dobrze schłodzonego wina.

Ponownie próbowała odnaleźć wzrokiem Ya Ru, ależ nigdzie go nie było.

486

Godzinę później helikoptery wystartowały i delegacja udała się na północny zachód.

Hong patrzyła na wijącą się dole potężną rzekę.

Nieliczne zamieszkałe miejsca, w pobliżu których widać było uprawną ziemię, wyraźnie odcinały się od ogromnych obszarów nieużytków.

Hong przyszło namyśleć, że być może miała rację.

Być może Chiny rzeczywiście chcą zrobić coś dla Mozambiku, nie licząc na to, że inwestycja ta przyniesie im kilkusetprocentowy zysk?

Warkot silnika sprawiał, że nie mogła zebrać myśli.

Pytanie pozostało bez odpowiedzi.

Zanim wsiadła do helikoptera, dostała niewielką mapę terenu, nad którym lecieli.

Rozpoznała ją.

Była to ta sama mapa, którą studiowali mężczyźni w samochodzie podczas podróży z Beiry.

Dolecieli do punktu położonego najdalej na północ, poczym odbili na wschód.

Gdy znaleźli się nad Loabo, helikoptery wykonały łuk nad oceanem, by w końcu wylądować w pobliżu miejsca oznaczonego na mapie jako Chinde.

Obok ładowiska a delegację czekały kolejne samochody i kolejne bite drogi z tej samej czerwonej ziemi.

Wjechali do buszu i po chwili zatrzymali się przy małej rzeczce, dopływie Zambezi.

Samochody zaparkowały na oczyszczonym z krzewów i osuszonym placu.

Nad rzeką stało półkolem kilka namiotów.

Gdy Hong wysiadła z samochodu, czekał na nią Ya Ru.

- Witamy w Kaya Kwanga.

To znaczy "Mój dom" w którymś z lokalnych języków.

Tu spędzimy dzisiaj noc.

Wskazał namiot rozbity najbliżej rzeki.

Młoda czarnoskóra kobieta wzięła walizkę Hong.

- Co będziemy tu robić?

- zapytała Hong.

- Będziemy się rozkoszować afrykańską ciszą po długim, pracowitym dniu.

'487.

- Czy to tu będę mogła zobaczyć lamparta?

-Nie.

Tu są przede wszystkim węże i jaszczurki.

Noi mrówki wędrownie, których wszyscy tak się boją.

Aleniema żadnych lampartów.

- Co będzie się teraz działo?

-Nic.

Koniec pracy na dziś.

Przekonasz się, że nie wszystko tu jest tak prymitywne, jak sądzisz.

W twoim namiocie jest nawet prysznic i wygodne łóżko.

Wieczorem zjemy wspólnie kolację.

Potem kto chce, może posiedzieć przy ognisku, można też po prostu pójść spać.

- Porozmawiajmy- zaproponowała Hong.

- To konieczne.

Ya Ru uśmiechnął się.

- Pokolacji.

Możemy usiąść przed moim namiotem.

Nie musiał go jej wskazywać.

Domyśliła się, że leży tuż obok tego, który przydzielono jej.

Hong siedziała przed wejściem do swojego namiotu i obserwowała krótki zachód słońca nad buszem.

Na placu między namiotami płonęło ognisko.

Dostrzegła siedzącego przynim Ya Ru.

Włożył biały smoking.

Jego widok przypominał jej zdjęcie, które widziała kiedyś, dawno temu, w chińskim czasopiśmie, gdzie

wydrukowano reportaż opisujący kolonialną historię Afryki i Azji.

Dwajmężczyźni w smokingach jedli posiłek przy stole nakrytym białym obrusem drogą porcelaną, ustawionym w głębi afrykańskiego buszu.

Mężczyźni trzymali

w dłoniach kieliszki z winem.

Za ich krzesłami nieruchomo w gotowości stali afrykańscy kelnerzy.

Ciekawa jestem, kim jest mój brat, pomyślała.

Kiedyś myślałam, że stworzymy wspólnotę, nie tylko jako rodzina, ale również w staraniach o dobro naszego kraju.

Teraz niczego nie jestem już pewna.

488

Ostatnia podeszła do nakrytego stołu ustawionego obok ogniska.

Pomyślała o liście, który napisała poprzedniej nocy.

I o Ma Li, co do której też nie miała już pewności, czy może jej ufać.

Nic nie jest już pewne, pomyślała.

Nic.

32

Po kolacji spędzonej w otoczeniu nocnych cieni wystąpiła grupataneczna.

Hong, która nawet nie spróbowała podanego do posiłku wina, chcąc zachować jasny umysł, obserwowała tancerzy z podziwem i odrobiną tęsknoty.

Dawniej, gdybyła bardzo młoda, marzyła o karierze artystki w chińskim cyrku lub klasycznej operze pekińskiej.

Marzenie miało dwie wersje.

W pierwszej z nich widziała siebie na cyrkowej arenie, jak otę, która potrafi obracać niezliczonymi porcelanowymi talerzykami na bambusowych kijkach.

Przechadzała się z nimi powoli i w ostatniej chwili błyskawicznym ruchem dłoni wprowadziła w ruch ten, który zaczynał się niebezpiecznie chybotać.

W operze pekińskiej natomiast grał bohaterkę pokonującą tysiąc razy silniejszego przeciwnika w krotkiej walce na kije.

Później, gdy była już starsza i młodsze marzenia nieco się zatępiły, zrozumiała, że

wyrażały one potrzebę kontrolowania wszystkiego, co się do niej dzieje.

Teraz, patrząc na tancerzy, którzy zdawali się zmieniać w jedno wielorękie ciało, poczuła, jak wracają dawne emocje.

W ten afrykański wieczór, tonący w nieprzejrzanym

mroku, otulający ją ciepłą wilgocią i zapachem oceanu, tak blisko, że gdy wszyscy już spali, słychać było jego szum, wróciły wspomnienia z jej dzieciństwa.

Spojrzała na Ya Ru, który siedział na kempingowym krześle i balansował na kolanie kieliszkiem wina.

Miał zmrużone oczy.

Hong pomyślała, jak niewiele wie o jego marzeniach z czasów, gdy byli dziećmi.

Zawsze przebywał w swojej własnej, wewnętrznej przestrzeni.

Kiedyś mogła się do niego zbliżyć, nigdy jednak do tego stopnia, by zaczęli rozmawiać o swoich marzeniach.

Chińska tłumaczka zapowiadała i opisywała prezentowane tańce.

To całkiem zbędne, pomyślała Hong.

Łatwo się domyślić, że to tańce ludowe nawiązujące do codziennego życia, przedstawiając symboliczne spotkania z diabłami, demonami i dobrymi duchami.

Ludzkie rytuały wywodzą się ze wspólnego źródła, niezależnie od kraju czy koloru skóry.

Pewne znaczenie ma klimat.

Ludzie przywykli do chłodów tańczą w ubraniach.

Lecz w transie, kiedy świat realny łączy się ze światem mitycznym, a co już było, z tym, co dopiero!

ma się wydarzyć, Chińczycy i Afrykańczycy zachowują się: ' w ten sam sposób.

Hong rozejrzała się dokoła.

Prezydenta Gebuzy i jego świty już nie było.

W obozie, w którym mieli nocować, zostali już tylko goście z Chin, kelnerzy, kucharze i spora liczba ukrywających się w cieniu agentów bezpieczeństwa.

Wielu spośród oglądających tańce wyglądało na zamyślonych.

Tej afrykańskiej nocy zapadnie decyzja o nowej drodze, którą

mamy zacząć kroczyć, pomyślała Hong.

Szczerze jednak wątpię, by był to kierunek, w którym powinniśmy podążać.

Nie można jednak temu zapobiec.

Do afrykańskiej dziczyny zostaną przesiedlone cztery, być może więcej milionów najbardziej niebezpiecznych Chińczyków.

Potem z pewnością zażądamy zapłaty od kraju, któryich przyjął.

Nagle jedna z tancerek zaczęła śpiewać.

Tłumaczka wyjaśniła, że jest to kołysanka.

Hong wsłuchiwała sięw melodię,

490

myśląc, że mogłaby onaukołysać do snu równieżchińskiedziecko.

Przypomniała jej się historiao kołysce, którą kiedyśsłyszała.

W biednych krajach kobiety noszą swoje dziecinaplecach, by zawsze mieć wolne ręce do pracy, głównie w polu, w Afryce posługując się motyką, w Chinach brodząc pokolana w wodzie i sadząc ryż.

Ktoś kiedyś porównał rytm takiegowłaśnie kołysania z rytmemkołysiekpopychanychstopą, popularnych w innych krajach, a nawet w niektórychczęściach Chin.

Rytmkołysania stopą i rytm kołyszących siębioder idącej kobiety są identyczne.

W obydwu przypadkach

dziecko zasypia.

Zamknęła oczy i słuchała.

Kobietazakończyła pieśńdługą nutą, która zdawała się opadać na ziemię jak piórko.

Przedstawienie dobiegło końca, goście zaczęli klaskać.

Po chwili niektórzy uczestnicy delegacji przysunęli się dosiebie z krzesłami i zaczęli w niewielkich grupkach rozmawiać.

Pozostali poszli do swoich namiotów lubstali na krawędzi kręgu światła padającego od ogniska, jakbyna coś

czekając.

Ya Ru podszedł doHong i usiadł na stojącym obok niej

pustym krześle.

- Dziwny wieczór - powiedział.

- Przepętniony absolutną wolnością i ciszą.

Chyba nigdy wcześniej nie byłem takdaleko od wielkiego miasta.

- W twoim biurze - odparła Hong.

- Tam w górze, ponadzwyczajnymi ludźmi, samochodami i hałasem.

- Nie można tego porównać z miejscem takim jak to.

Tam czuję się tak, jakbym był w samolocie.

Czasem myślę, że mój wieżowiec unosi się nawietrze.

Tutaj stąпам po ziemi.

Onamnie trzyma.

Chciałbym mieć dom w tym kraju, bungalow nad brzegiem oceanu, do którego wracałbym po wieczornej kąpieli, prosto do łóżka.

491.

- Chyba nic nie stoi na przeszkodzie, żeby go mieć?

Potrzebna jest działka, kawałek ogrodzenia i ktoś, kto zbuduje go tak, jak chcesz.

- Być może.

Ale nie teraz.

Hong zorientowała się, że sąsiednie krzesła opustoszały.

Zastanawiała się, czy Ya Ru przekazał wszystkim, że chce porozmawiać z siostrą na osobności.

- Widziałaś tę kobietę, która odgrywała w tańcu rolę czarownicy?

Hong zamyśliła się na moment.

Kobieta była mocno zbudowana, ale poruszała się bardzo rytmicznie.

- Tańczyła z ogromną energią.

- Ktoś mi powiedział, że jest bardzo chora.

Wkrótce umrze.

- Na co?

- To jakaś choroba krwi.

Nie AIDS, zdaje się, że torak.

Mówili też, że tańczy, żeby mieć odwagę do walki z chorobą.

Taniec to jej walka o życie.

W ten sposób trzyma śmierć na dystans.

- Ale i tak umrze.

- Jak kamień, nie jak pióro.

Znowu Mao, pomyślała Hong.

Być może w myślach Ya Ru o przyszłości jest on bardziej obecny, niż mi się wydaje.

Doskonale wie, że jest jednym z tych, którzy stali się nową elitą, bardzo oddaloną od narodu, który, jak twierdzi, ma reprezentować i o który dbać.

- Ile to wszystko będzie kosztowało?

- spytała Hong.

- Ten biwak?

Podróż?

Co masz na myśli?

- Przesiedlenie czterechmilionów ludzi do afrykańskiej doliny z szeroką rzeką.

A potem być może dziesięciu, dwudziestu albo stu milionów naszych najbiedniejszych chłopów do innych krajów na tym kontynencie.

- Na krótką metę dużo pieniędzy.

Nadłuższą nic.

' - Zakładam - ciągnęła Hong - że wszystko jest już przygotowane.

Cały proces rekrutacji, transport flotyllą statków, proste w budowie domy, które przesiedleńcy mają samopostawić, jedzenie, narzędzia, sklepy, szkoły, szpitale.

Czy umowy między obydwojema krajami zostały już podpisane?

Co będzie miało z tego Mozambik?

A co my dostaniemy, poza prawem do przetrzucenia pewnej liczby biedaków z jednego kraju do drugiego?

Co zrobimy, jeśli się okaże, że to wielkie przesiedlenie niewypaliło?

Dlaczego Mozambik wkłada dłoń w drzwi?

Czy jest coś, o czym niewiem?

Cosię za tym wszystkim kryje, poza chęcią pozbycia się z Chin wymykającego się spod kontroli problemu?

Co zrobisz z pozostałymi milionami, które grożą, że zbuntują się przeciwkapanującemu porządkowi?

- Chciałem, żebyś zobaczyła to na własne oczy.

Użyj swojej inteligencji, by dostrzec potrzebę zaludnienia doliny Zambezi.

Nasichłopi wyprodukują tu nadwyżki, które będziemy mogli eksportować.

, - Kiedy ty o tym mówisz, brzmi to tak, jakbyśmy wlokli naszych biednych chłopów, robili dobry uczynek.

Jan natomiast myśli, że podążamy śladem, którym wcześniej szli imperialiści.

Kolonie będą tkwić w potrzasku, a wszystkie korzyści popłyną do nas.

Powstanie nowy rynek dla naszych towarów, czyli znajdzie się sposób, by kapitalizm mógł się utrwalić.

To jest prawda, która kryje się za tymi wszystkimi pięknymi słówkami, Ya Ru.

Wiem, że zapłaciliśmy za budowę nowego budynku departamentu finansów w Mozambiku.

Nazywamy to podarunkiem, ale ja widzę to jako łapówkę.

Słyszałam też, że chińscy brygadziści bili tutaj robotników, gdy ci nie pracowali dość pilnie.

Wszystkie głosy na ten temat zostały oczywiście uciszone.

Ja jednak wstydę

492

493.

się, gdy o tym słyszę.

I przeraża mnie to.

Powoli zaciskam pętlę na szyi kolejnych państw Afryki, żeby przyspieszyć nasz własny rozwój.

Nie wierzę ci, Ya Ru.

- Starzejesz się, siostrze Hong.

I jak wszyscy starzy ludzie, boisz się nadchodzących nowych czasów.

W którąkolwiek stronę się obrócisz, podejrzewasz spisek przeciwko dawnym ideałom.

Wydaje ci się, że to ty stoisz na straży właściwej drogi, podczas gdy rzeczywistość stała się tym, czego najbardziej się obawiasz.

Konserwatystką.

Reakcjonistką.

Hong gwałtownie pochyliła się w stronę brata i uderzyła go w twarz.

Ya Ru wzdygnął się i spojrzał na nią z zaskoczeniem.

- Teraz posunęłaś się za daleko.

Nie pozwolę ci mnie obrażać.

Możemy toczyć spory, być innego zdania, ale nie będziesz mnie atakować.

Wstał i oddalił się bez słowa, znikając w ciemności.

Nikt z siedzących przy ognisku osób nie zauważył, co zaszło.

Hong od razu pożałowała tego, co zrobiła.

Powinna była okazać więcej cierpliwości i posłużyć się argumentami, by spróbować przekonać brata, że się myli.

Ya Ru nie wrócił, więc po chwili Hong poszła do swojego namiotu.

Lampy naftowe świeciły się zarówno wewnątrz, jak i w środku.

Moskitiera nad łóżkiem była rozwieszona, wszystko przygotowane do spania.

Usiadła przed namiotem.

Noc była duszna.

W namiocie Ya Ru nie było nikogo.

Hong była pewna, że będzie chciał się zemścić zawymierzony mupoliczek.

Tego jednak akurat się nie bała.

Zrozumiała, że był zły na siostrę za to, że go uderzyła.

Postanowiła go przeprosić, jak tylko się spotkają.

Jej namiot znajdował się tak daleko od ogniska, że odgłosy natury wydawały się bliższe niż szmer toczonych przy nim

494

rozmów.

Lekki wiatr niósł ze sobą zapach stoney wody, wilgotnego piasku i czegoś, czego nie umiała opisać.

W myślach powędrowała wstecz.

Przypomniały jej się słowa Mao o tym, że jedna tendencja w polityce zawsze skrywa jakąś inną.

Że pod powierzchnią tego, co można dostrzec, zawsze rodzi się coś nowego.

Tak samo dobrze można by zorganizować powstanie jutro, jak i za dziesięć tysięcy lat.

Przyszłaś Chin uformowała się w czasach dawnego poniżenia, w pocie czoła, we krwi i w ciągu setek lat nieludzkiego znoju.

Brutalne rządy feudałów wpędziły miliony ludzi w niewyobrażalną nędzę.

Równocześnie z tej sytuacji zrodziła się siła, która doprowadziła do powstania chłopskiego ruchu chłopskiego niedającego się stłumić.

Próba sił trwała przez setki lat, państwomandarynów i dynastii cesarskich otoczyło się, jak wówczas sądzono, bezpiecznym szańcem.

Lecz niepokój nigdy nie ustał, wciąż wybuchały nowe powstania, aż wreszcie nadszedł czas, gdy silne chłopskie oddziały raz za razem rozprawiły się z feudałami i doprowadziły do wyzwolenia narodu spod ich władzy.

Mao wiedział, co się wydarzy.

Tego samego dnia, w którym na placu Tiananmen w roku 1949 ogłosiła narodziny Chińskiej Republiki Ludowej, zebrał swoich najbliższych współpracowników i zakomunikował im, że mimo iż od powstania nowego państwa nie minęła jeszcze doba, już zaczęły się formować siły chcące działać na jego szkodę.

Miał wówczas powiedzieć, że "ten, kto twierdzi, że w czasach komunizmu nie może powstać mandarynat, nicnierozumie".

Później okazało się, że miał rację.

Dopóki nowe pokolenia będą uformowane z tej samej gliny co poprzednie, dopóty istnieć będą grupy pragnące przywilejów.

Mao ostrzegał przed rozwijającym się Związkiem Radzieckim.

Ponieważ Chiny były wówczas całkowicie zależne od

495.

wsparcia potężnego sąsiada na zachodzie, wypowiadał się dyplomatycznie, ostrożnie ważył słowa.

- Ludziewcale nie muszą mieć złych zamiarów.

I tak będą dążyć do tego, co zapewni im przywileje.

Mandaryni nieumarli.

Jeśli nie będziemy uważać, pewnego dnia staną przed nami, powiewając czerwonymi flagami.

Po spoliczkowaniu Ya Ru Hong poczuła się osłabiona.

Teraz zorientowała się, że touczucie minęło.

Należało wymyślić sposób na doprowadzenie do tego, by w partii odbyła się porządna dyskusja na temat ewentualnych konsekwencji działań w Afryce.

Wszystkow Hong sprzeciwiało się temu, co zobaczył w ciągu dnia, i wizji przyszłości, jaką roztoczył przed nią Ya Ru.

Każdy, kto wiedział choć trochę o rosnącym niezadowoleniu, rozprzestrzeniającym się poza największymi i najbogatszymi miastami, zdawał sobie sprawę, że należy coś zrobić.

Z pewnością jednak nie to.

Przesiedlenie milionów chłopów do Afryki nie jest rozwiązaniem.

Dziewięćdziesiąt tysięcy zamieszek i protestów, o których rozmawiała z Ma Li.

Dziewięćdziesiąt tysięcy!

Próbowała policzyć w pamięci, ile ich przypadało na jeden dzień.

Dwieście-trzysta.

Ich liczba stale rosła.

Przybierające nasile niezadowolenie nie wynikało wyłącznie z różnic w zarobkach.

Nie chodziło też tylko o lekarzy czy szkoły, ale również o bezkarnie działające na prowincji brutalne gangi, które porywały kobiety i zmuszały je do prostytucji, które przymuszały ludzi do niewolniczej pracy przy wypalaniu ցięgieł oraz w zakładach produkujących niebezpieczne substancje chemiczne.

Protestowano przeciwko klikom lokalnym urzędników, przepędzającym ludzi z terenów, które wkrótce miały zyskać wartość budowlaną ze względu na stałą rozbudowę miast.

Dzięki swoim podróżom po kraju Hong wiedziała również, że konsekwencją umocnienia się wolnego

rynku jest zanieczyszczenie środowiska - rzeki zatrute dotego stopnia, że uratowanie ich wymagałoby ogromnych sum

; pieniędzy, o ile w ogóle to jeszcze możliwe.

Przy wielu okazjach z gniewem mówiła o urzędnikach, którzy zamiast chronić ludzi i środowisko naturalne, sprzedają się za łapówki.

} Ya Ru jest częścią tego wszystkiego, pomyślała.

Niewolno

mi o tym zapomnieć.

Spała płytkim snem i często się budziła.

Odgłosy dochodzące z mroku brzmiały obco, wdzierały się w jej sny, wyciągając ją napowierzchnię.

Gdy słońce pojawiło się nad horyzontem, była już ubrana i gotowa do drogi.

Nagle stanął przed nią Ya Ru, Uśmiechał się.

- Alez nas ranne ptaszki - powiedział.

- Żadnego ma na tyle cierpliwości, by spać więcej, niż to konieczne.

- Przepraszam, że cię uderzyłam.

Ya Ru wzruszył ramionami i wskazała zielonego jeeпа, który stał na drodze obok namiotów.

- Ten jest dla ciebie - wyjaśnił.

- Kierowca zawiezie cię pewne miejsce, niedaleko stąd.

Zobaczysz tam niesamowite widowisko, które odbywa się o świcie przy każdym zbiorniku wodnym.

Na krótką chwilę, gdy zwierzęta piją wodę, drapieżniki i ich ofiary zawierają pokój,

Przy samochodzie stał czarnoskóry mężczyzna.

- Mana imię Arturo - powiedział Ya Ru.

- Trafił ci się godny zaufania kierowca, który na dodatek mówi po angielsku.

- Dziękuję za troskę - odparła Hong - ale powinniśmy porozmawiać.

- Zrobimy to później- odpowiedział poirytowanym tonem Ya Ru.

- Afrykański świt trwa bardzo krótko.

W koszyku znajdziesz jedzenie i kawę.

497.

Hong zrozumiała, że brat szuka sposobu, by się z nią pojednać.

Niechciał, by to, co się wydarzyło poprzedniego wieczoru, poróżniło ich.

Podeszła do samochodu, przywitała się z kierowcą, chudym mężczyzną w średnim wieku, poczym zajęła miejsce na tylnym siedzeniu.

Wijąca się przezbusz droga była prawie niewidoczna.

Na suchej ziemi możnabyło dostrzec niewyraźne ślady.

Hong uchylała się przedkolczastymi gałęziami niskich drzew, które chłostały odkrytą kabinę samochodu.

Gdy dotarł do zbiornika wodnego, kierowca zaparkował na skarpie tuż nad wodą i podał Hong lornetkę.

Przy wodopoju było kilka hien i bawołów.

Arturo pokazał jej stad osłoni.

Wielkie szare stworzenia powoli zbliżały się do wody wyglądały zupełnie tak, jakby wyszły prosto z tarczy wschodzącego słońca.

Hong pomyślała, że tak właśnie musiało to wyglądać od początku świata.

Zwierzęta przychodziły w to miejsce, a potem odchodziły, przez niekończącą się liczbę pokoleń.

Arturo podał jej kubek kawy, nie mówiąc ani słowa.

Osłonie były coraz bliżej, wokół ich potężnych ciał wirowały kłęby kurzu.

Nagle cisza eksplodowała.

Pierwszy zginął Arturo.

Strzał trafił go w skroń i oderwał pół głowy.

Zanim Hong zdążyła się zorientować, cos się dzieje, drugi strzał trafił ją w szczękę, przy czym pocisk wbił się skośnie w dół, rozrywając jej kręgosłup.

Suchy trzask wystrzałów sprawił, że zwierzęta podniosły głowy znad wody i nasłuchiwały.

Po chwili wróciły dopicia.

Liui Ya Ru podeszła do jeepa, wspólnymi siłami przewrócili samochód i zepchnęli go ze skarpy.

Liui oblał go benzyną z kanistra, odszedł parę kroków i rzucił w jego

kierunku płonąca zapalkę.

Jeep wybuchnął i zaczął się palić.

Zwierzęta uciekły.

Ya Ru czekał przy samochodzie.

Gdy Liu usiadł za kierownicą, by włączyć silnik, Ya Ru uderzył go w tył głowy metalową pałką.

Uderzał, dopóki ochroniarz nie przestał się ruszać.

Następnie zepchnął jego ciało ze skarpy prostow ogień płonącego jeepa.

Wjechał w gęste zarośla i czekał.

Po około pół godziny wrócił do obozu i podniósł alarm.

Nad pobliskim wodopojem doszło do tragicznego wypadku.

Kierowca jeepa nie zauważył urwiska, jeep stoczył się ze skarpy i wybuchnął.

Jego siostra Hong i kierowca zginęli na miejscu.

Jego ochroniarz, Liu, stracił życie, próbując ratować ich z płomieni.

Wszyscy, którzy tego dnia widzieli Ya Ru, mówili, jak bardzo był wstrząśnięty.

Równocześnie podziwiali go za to, że!

potrafił się opanować.

Oznajmił, że wypadek nie będzie miał wpływu na pracę, która została mu jeszcze do wykonania!

podczas wizyty w Afryce.

Minister Ke złożył mu kondolencje, poczym zgodnie z planem kontynuowano negocjacje.

Ciała ofiar wypadku wywieziono w czarnych workach i poddano kremacji w Harare.

O tragicznym zajściu nie napisały ani gazety w Mozambiku, ani w Zimbabwie.

Rodzina Arturo, mieszkająca w mieście Xai-Xaina na południu Mozambiku, otrzymała dożywotnią rentę.

Dzięki niej jego sześć dzieci mogło pójść do szkoły, a żona Emilda kupić nowy dom i samochód.

Po zakończeniu negocjacji Ya Ru wrócił do Pekinu, przywożąc z sobą dwie urny z prochami.

Jednego z pierwszych wieczorów po powrocie wyszedł na duży taras swojego wieżowca i otworzył je, pozwalając, by prochy uleciały z wiatrem w ciemność.

499.

Czuł tęsknotę za siostrą i za rozmowami, które prowadzili, równocześnie nie miał jednak wątpliwości, że to, co zrobił,

było absolutnie konieczne.

Ma Li z bólem i przerażeniem myślała o tym, co się stało.

Nigdy nie uwierzyła, że był to wypadek.

33

Na stole stała biała orchidea.

Ya Ru pogładził palcem miękkie płatki kwiatu.

Był wczesny ranek, od jego powrotu z Afryki minął miesiąc.

Przed nim na stole leżał szkice domu, który postanowił zbudować nad brzegiem oceanu, w pobliżu miasta Quelimane w Mozambiku.

W nagrodę za to, że przyczynił się do podpisania przez obydwa kraje umów o współpracy, mógł korzystnie kupić spory obszar nietkniętego wybrzeża.

W przyszłości zamierzał wybudować tam ekskluzywny kompleks turystyczny dla zamożnych Chińczyków, którzy coraz liczniej będą podróżować po świecie.

Nazajutrz po śmierci Hong i Liu stał samotnie na wysokiej wydmie i patrzył na Ocean Indyjski.

Wraz z nim był gubernator prowincji Zambezi afrykański architekt, którego sprowadzono specjalnie na tę okoliczność.

Nagle gubernator wskazał najdalej wysunięte w morze rafy, obok których płynął wieloryb, wydychając fontannę wody, i wyjaśnił, że z tego wybrzeża często można było dostrzec wieloryby.

- A góry lodowe?

- zapytał Ya Ru.

- Czy zdarzyło się kiedyś, że bryły lodu, które oderwały się od lodowca na Antarktydzie, dopłynęły aż do tu?

- Jest taka legenda - odparł gubernator.

- Pewnego razu, za czasów naszych przodków, tuż zanim biali Portugalscy

500

żeglarze postawili stopę na naszych plażach, z brzegu widać było górę lodową.

Mężczyźni wsiedli do łodzi i popłynęli w jej kierunku, ale szybko wrócili, wystraszeni chłodem, jaki od niej bił.

Później, gdy biali mężczyźni zeszli na lądzie swoich wielkich statków, mówiono, że góra lodowa była zapowiedzią tego, co miało się wydarzyć.

Skóra białych mężczyzn miała ten sam kolor co góra.

Ich myśli i czyny były równie zimne.

Niewiem, czy to prawda.

- Chcę tu zbudować dom - powiedział Ya Ru .

- Żółte góry lodowe nigdy nie pojawią się na tym wybrzeżu.

Podług imdniu intensywnej pracy wydzielono duży teren i formalnie przekazano go jednej z firm Ya Ru.

Cena ziemi i plaży była niemal symboliczna.

Za podobną sumę Ya Ru kupił też przychylność gubernatora i najważniejszych urzędników, którzy mieli dopilnować, by otrzymał wpis do hipoteki i wszystkie potrzebne pozwolenia bez niepotrzebnej zwłoki.

Instrukcje, których udzielił afrykańskiemu architektowi, szybko zaowocowały szkicami i akwarelą przedstawiającą jego przyszły, podobny do pałacu dom.

Na terenie rezydencji miały się znaleźć dwa baseny z morską wodą, otoczone palmami, oraz sztuczny wodospad.

Dom miał mieć jedenaście pokoi i sypialnię z rozsuwanym dachem, by móc w niej spać pod gołym, rozgwieżdżonym niebem.

Gubernator zapewnił go, że do odizolowanej posiadłości zostaną doprowadzone specjalne, oddzielne linie elektrycznej i telekomunikacyjnej.

Gdy teraz siedział i patrzył na szkice swojego przyszłego afrykańskiego domu, doszedł do wniosku, że jeden pokój powinien być urządzone z myślą o Hongu.

Chciał uczcić pamięć siostry.

Zdecydował, że każde postawić w nim łóżko, które nigdy nie będzie zaścielone, dla gościa, który nigdy nie dotarł.

Cokolwiek się stało, Hong był częścią jego rodziny.

Dyskretnie zabrzącał telefon.

Ya Ru zmarszczył czoło.

Ktochce z nim rozmawiać tak wcześnie rano?

Podniósł

słuchawkę.

- Jest tu dwóch mężczyzn służby bezpieczeństwa - poinformowała go pani Shen.

- Czego chcą?

-Mają wysoką rangę.

Są zSektji Specjalnej.

Mówią, że to ważna sprawa.

- Proszę ichwpuścić za dziesięć minut.

Ya Ru odłożył słuchawkę.

Wstrzymał oddech.

SektjaSpecjalna zajmowała się sprawami dotyczącymi najwyżejpostawionych osób w państwie albo takich jak Ya Ru, żyjących między władzą polityczną i gospodarczą, współczesnych budowniczych mostów, których Deng wskazał jakokluczowych dla rozwoju państwa.

Czego chcą?

Ya Ru podszedł do okna i spojrział na tonące w porannej mgle miasto.

Czy może to mieć coś wspólnego ze śmiercią Hong?

Pomyślało wszystkichznanych i nieznanym sobie wrogach.

Czyżby któryś z nich chciałwykorzystać śmierćHong, by zszargać mu opinię i dobreimię?

A możecoś umknęło jego uwadze?

Wiedział, że Hongzdążyła skontaktować się z jednym z prokuratorów, lecz akurat ten, z którym rozmawiała, należałdo zupełnie innegoWydziału.

Jego siostramogła oczywiście odbyć wiele innych rozmów, o których nie wiedział.

Nie znalazł żadnego wytłumaczenia.

Jedynym, co mógł zrobić, to wysłuchać tego, co mężczyźni mieli dopowiedzenia.

Wiedział, że ludzie ze służb bezpieczeństwa lubią składać wizyty późnym wieczorem lub wcześnie rano.

Był to zwyczaj, który przetrwał z czasów, gdy wiedzę na temat pracy służb bezpieczeństwa czerpano w tym kraju ze Związku Radziec

502

kiego, od Stalina.

Mao wielokrotnie proponował, by uczyć się również od FBI, nigdy nie udało mu się jednak uzyskać tej sprawie poparcia.

Gdy minęło dziesięć minut, Ya Ru wsunął szkice doszuflady i usiadł za biurkiem.

Mężczyźni, których wpuściła pani Shen, byli po sześćdziesiątce, co jeszcze bardziej go zaniepokoiło.

Zazwyczaj na tego typu wizyty wysyłano młodszych funkcjonariuszy.

Ci dwaj byli starsi, a zatem bardziej doświadczeni, sprawa musiała więc być bardzo poważna.

Ya Ru wstał i uklonił się.

Nie zapytał gości o nazwiska, pewien, że pani Shen dokładnie sprawdziła ich legitymacje.

Usiedli na kanapie pod jednym z wysokich okien.

Odmówili, gdy Ya Ru zaproponował im herbatę.

Pierwszy odezwał się starszy z mężczyzn.

Ya Ru rozpoznał

dialekt z Szanghaju.

- Dotarły do nas pewne informacje - powiedział przybyły.

- Nie możemy zdradzić, kto nam ich udzielił.

A ponieważ są bardzo szczegółowe, musimy je zweryfikować.

Nasze instrukcje dotyczące łamania prawa i przepisów obowiązujących w kraju zostały znacznie rozszerzone.

- Sam byłem za tym, by zaostrzyć przepisy dotyczące korrupcji - wtrącił Ya Ru.

- Nie rozumiem, w jakiej sprawie

panowie do mnie przyszli.

- Otrzymaliśmy informacje, według których pańskie firmy budowlane zarabiają zabronionymi metodami.

- Zabronionymi?

-Poprzez nielegalną wymianę usług.

- Innymiślowy, chodzi o korupcję, wręczanie i przyjmowanie łapówek?

- Informacje, które do nas dotarły, są bardzoszczegółowe.

Jesteśmy zaniepokojeni.

Otrzymaliśmy instrukcje, bydziałaćostrzej.

503.

- A zatem przyszli tu panowie dziś rano, by mi zakomunikować, że istnieje podejrzenie o nieprawidłowości w działaniu moich firm?

- Raczej po to, żeby zdać panu relację.

- Żeby mnie ostrzec?

- Jak pan woli.

Ya Ru zrozumiał.

Miał potężnych przyjaciół, nawet w Biurze Antykorupcyjnym.

Dlatego pozwolono, by został przedzany.

Dano mu czas na zatarcie śladów, zatuszowanie dowodów lub znalezienie wytłumaczenia dla wszelkich niejasności, przy założeniu, że on sam nie wiedział o wszystkim, co się działo w jego firmach.

Pomyślał o strzale w tył głowy, który niedawno otrzymał Shen Wixan.

Miał wrażenie, że dwaj siedzący naprzeciwko niego mężczyźni zioną chłodem, zupełnie jak lodowa góra z afrykańskiej legendy.

Ya Ru z niedowierzaniem pomyślał, że musiał być nieostrożny.

Być może przy jakiejś okazji działał zbyt pewnie, pozwolił na to, by arogancja wzięła górę?

Jeżeli tak się stało, był to błąd.

A za błąd zawsze trzeba płacić.

- Muszę wiedzieć więcej - powiedział.

- To, co panowie mówią, jest zbyt ogólne, zbyt niejasne.

- Nasze instrukcje na to nie pozwalają.

- Oskarżenia, nawet jeśli są anonimowe, muszą przecież skądś pochodzić?

- Nie możemy odpowiedzieć na to pytanie.

Ya Ru szybko rozważył możliwość płacenia mężczyznom dodatkowe informacje dotyczące oskarżeń, które ktoś rzucił pod jego adresem.

Nie miał jednak odwagi podjąć takiego ryzyka.

Któryś z nich, a może nawet obydwoj, mógł mieć przy sobie mikrofon i sprzęt nagrywający rozmowę.

Mogł się też okazać, że są uczciwi niema sumy, za którą mógł

by ich przekupić, jakwielu innych państwowych urzędników.

- Te niejasne oskarżenia są zupełnie bezpodstawne- oznajmił.

- Jestem panom wdzięczny za poinformowanie mnie oplotkach, które ktoś rozpowszechnia o moich firmach.

Anonimy jednak często są fałszywe, podyktowane z zazdrością i kłamliwe.

W moich firmach prowadzę czyste interesy, cieszę się zaufaniem partii i państwa, mogę też bez wahania stwierdzić, że mam kontrolę nad tym, czy dyrektorzy moich firm przestrzegają moich wytycznych.

Na pytanie, czy dochodzi do jakichś drobnych nieprawidłowości, spowodowanych przez inne zatrudnione przez mnie osoby, których liczbą sięga trzydziestu tysięcy, oczywiście nie jestem

w stanie odpowiedzieć.

Ya Ru podniósł się, dając do zrozumienia, że rozmowa dobiegła końca.

Mężczyźni wstali, uklonili się na pożegnanie i opuścili gabinet.

Gdy wyszli, Ya Ru zadzwonił do

pani Shen.

- Proszę zlecić komuś odpowiedzialnemu za sprawy bezpieczeństwa, by się dowiedział, kim są ci dwaj.

I kto jest ich szefem.

Potem proszę wezwać wszystkich moich dziewięciu dyrektorów na spotkanie za trzy dni.

Nie będę tolerował żadnej nieobecności.

Ten, kto nie przyjdzie, może od razu pożegnać się ze swoim stanowiskiem.

Proszę im to wyraźnie

powiedzieć!

Wpadł we wściekłość.

Jego machinacje nie były gorsze niż to, co robili wszyscy inni.

Shen Wixan działał zbyt brawurowo, poza tym był skąpy w stosunku do urzędników, którzy dla niego pracowali.

Okazał się idealnym kozłem ofiarnym, którego zniknięcie nikt nie żałował.

Przez kilka kolejnych godzin Ya Ru opracowywał plan działania, zastanawiając się, który z jego dyrektorów mógł

505.

ujawnić jakieś tajemnice i rozpuścić informacje o jego niedo końca legalnych interesach oraz tajnych umowach.

Trzy dni później dyrektorzy zebrali się w jednym z pekińskich hoteli.

Ya Ru wybrał gościnnie starannie.

Tow nim właśnie urządził coroczne spotkania, na których wyrzucał pracy jednego z dyrektorów, by pokazać reszcie, że nikt nie może czuć się bezpieczny.

Tuż po dziesiątej rano na zebranie stawili się dziewięciu bardzo bladych mężczyzn.

Żaden z nich nie został poinformowany, w jakim celu go wezwano.

Ya Ru kazał im czekać ponad godzinę, zanim wszedł dosali.

Jego strategią była bardzo prosta.

Odebrał wszystkie telefony komórkowe, by nie mogli się kontaktować ze sobą ani z nikim innym, po czym umieścił każdego w osobnym pokoju, w którym pilnował go wezwany przez panią Shen strażnik.

Potem Ya Ru po kolei wchodził do każdego pokoju i bez owijania w bawełnę mówił o informacjach, jakiego do niego dotarły kilka dni wcześniej.

Czy dyrektorzy mają jakieś komentarze?

Wyjaśnienia?

Czy jest coś, o czym Ya Ru powinien wiedzieć?

Wnikliwie badał ich twarze, próbując odgadnąć, czy któryś wygląda na przygotowanego do tego typu konfrontacji.

Jeśli kogoś takiego znajdzie, będzie wiedział, skąd był przeciek.

Wszyscy jednak okazali wielkie zaskoczenie i byli tak samo wzburzeni.

Pod wieczór Ya Ru był już pewien, że pośród jego dyrektorów nie ma winnego.

Odprawił ich bez pożegnania, wszyscy jednak dostali wytyczne, by szukać podejrzanych wśród swoich pracowników.

Dopiero po kilku dniach, gdy pani Shen streszczała mu informacje uzyskane od ludzi, którzy sprawdzili mężczyzn służb bezpieczeństwa, Ya Ru zrozumiał, że szukał w złym

kierunku.

Kiedy weszła do gabinetu, znów miał przed sobą szkielet domu, który miał stanąć w Afryce.

Poprosił, by usiadła, po czym obrócił klosz lampy, żeby ukryć twarz w cieniu.

Lubił słuchać głosu pani Shen.

Cokolwiek mu relacjonowała, czy był to raport finansowy, czy też wykładnia jakiejś nowej państwowej dyrektywy, czuł się tak, jakby opowiadała mu bajkę.

W jej głosie było coś, co przywodziło mu na myśl dzieciństwo, o którym dawno już zapomniał lub wyparł z pamięci, sam nie wiedząc dlaczego.

Nauczył ją, by relacjonując coś, zawsze zaczynała od najważniejszych informacji.

Tak też zrobiła tego wieczora:

- W jakiś sposób wiążesz to z pana zmarłą siostrą Hong.

Miała ścisłe kontakty ze służbami bezpieczeństwa.

Jej imię pojawia się za każdym razem, gdy próbujemy powiązać mężczyzn, którzy nas odwiedzili, z którymkolwiek z szefów.

Wygląda na to, że pogłoski o panu zaczęły krążyć tuż przed jej tragiczną śmiercią.

Jednak ktoś na najwyższym szczeblu zdążył wydać jasne polecenia.

Pani Shen nagle urwała.

- Czego mi paninie mówi?

;;;

- Nie jestem pewna.

- Nikt nie jest.

Czy ktoś na najwyższym szczeblu wydał polecenie, by kontynuować śledztwo w mojej sprawie?

- Nie wiem, czy to prawda.

Ale plotka głosi, że stracenie

Shena Wixana nie przyniosło oczekiwanych efektów.

Ya Ruzastygł bez ruchu.

Zrozumiał, zanim pani Shen zdążyła ponownie się odezwać.

- Jeszcze jeden koziołofiarny?

Jeszcze jeden bogaty człowiek ma zostać stracony, by dowieść, że trwa prawdziwa kampania, a nie tylko pozorowane działania, na dowód, że skończyła się czyjaś cierpliwość?

507.

Pani Shen przytaknęła.

Ya Ru jeszcze bardziej cofnął się cień.

- Czy ma pani coś jeszcze?

-Nie.

- A więc może paniodejść.

Pani Shen wyszła z gabinetu.

Ya Ru siedział bez ruchu.

Zmuszał się do myślenia, choć miał ochotę po prostu uciec z biura.

Gdy podjął trudną decyzję o zabiciu Hong i postanowił, że zrobi to podczas wizyty w Afryce, był pewien, że siostrawciąż jest wobec niego lojalna.

Oczywiście, mieli odmiennepoglądy i często się kłócili.

W tym pokoju w dzień jegourodzin oskarżyłgo obranie łapówek.

Towłaśnie wtedyrozumiał, że prędzej czy później siostrastanie się dla niego dużymzagrożeniem.

Teraz wiedział już, że powinien być wyeliminowaćją wcześniej.

Hong zdążyłagozdradzić.

Ya Rupowoli kiwał głową.

Dotarło doniego, że powinienbyłpomysleć o tym wcześniej.

Hong była gotowa zrobićmu to samo, co onzrobił jej.

Oczywiście nie potrafiłabywycelowaćw niego broni.

Chciała działać zgodnie z prawem.

Gdyby Ya Ru został skazany na śmierć, należałaby do osóbuważających, że to słuszne.

Pomyślał oswoim przyjacielu, Lai Changringu, którykilkałat wcześniej musiał w pośpiechu opuścić kraj, gdy pewnegoranka policja urządziłanalot we wszystkich jego firmach.

Zdążył uciec z rodziną tylko dlatego, że miał prywatny samolot, który stałgotowy do startu na wypadek takiej właśniekonieczności.

Udał się doKanady, która nie miała zChinami umowy o ekstradycji.

Był synem biednego chłopa i zrobił karierę w czasach, gdy Deng uwolnił rynek.

Zaczynał od kopania studni, potem został przemysłowcem

508

i cały swój dochód inwestował w firmy, które po jakimś czasie przyniosły gigantyczne zyski.

Ya Ru odwiedził go kiedyś w Czerwonym Dworze, który kazał zbudować w swoich rodzinnych stronach, Xiamen.

Lai Changxing zainwestował sporo w lokalną społeczność, budując domy starców i szkoły.

Już wtedy Ya Ru zwrócił uwagę na arogancję i ostentacyjne zachowanie przyjaciela i ostrzegł go, że kiedyś doprowadzi to do upadku.

Spędził wieczór, rozmawiając podziwem "nowych kapitalistów", "Drugiej Dynastii", jak ironicznie nazywał ich Lai Changxing, ale wyłącznie w pogawędkach z ludźmi, którym ufał.

Ya Ru nie był więc zdziwiony, gdy ten gigantyczny domek z kart runął, a Lai musiał się ratować ucieczką za granicę.

Wielu wplątanych w jego interesy ludzi zostało straconych.

Inni, liczeni na setki, zostali skazani na karę więzienia.

Równocześnie jednak w jego rodzinnych stronach wciąż żywe było wspomnienie hojnego człowieka, który dopomógł ludziom w biedzie.

Zdarzało mu się czasem dawać fortunę taksówkarzom w charakterze napiwku lub zupełnie bez powodu wręczać prezenty biedakom, których nawet nie znał.

Ya Ru wiedział też, że Lai pisał wspomnienia, które z oczywistych względów śmiertelnie niepokoiły wielu urzędników polityków.

Dysponował wieloma informacjami, a w Kanadzie, gdzie przebywał, nikt nie mógł ocenzurować jego zapisków.

Ya Ru nie miał zamiaru uciekać z kraju.

Na żadnym z pekińskich lotnisk nie czekał na niego gotowy do startu

samolot.

W jego głowie zaczęła tymczasem kiełkować pewna nowa myśl.

Ma Li, przyjaciółka Hong, brała udział w delegacji do Afryki.

Wiedział, że prowadziły tam długie rozmowy.

Pozatym Hongmiała zwyczaj pisanía listów.

509.

Może Ma Li dostała jakąś wiadomość od Hong?

Coś, co przekazała osobom, które z kolei poinformowały służby bezpieczeństwa?

Nie znał odpowiedzi na to pytanie, ale miał zamiar szybko ją poznać.

Trzy dni później, gdy przez Pekin przetaczała się jedna z wielu ciężkich burz piaskowych, Ya Ru odszukał biuro Ma Li, położone w pobliżu Parku Ołtarza Słońca, Ritan Gongyuan.

Ma Li pracowała w wydziale analiz ekonomicznych i nie zajmowała wystarczająco wysokiego stanowiska, by móc mu zaszkodzić.

Pani Shen z pomocą swojego personelu dokładnie zbadała wszystkie kontakty i nie znalazła żadnych powiązań Ma Li z władzami partii.

Ma Li miała dwójkę dzieci.

Jej obecny mąż był nic nieznaczącym urzędnikiem biurowym.

Ponieważ pierwszy mąż Ma Li zginął w wojnie z Wietnamczykami w latach siedemdziesiątych, nikt nie miał żadnych zastrzeżeń, gdy ponownie wyszła za mąż i urodziła drugie dziecko.

Oboje żyli już teraz własnym życiem, córka zasiadała w radzie Akademii Nauczycielskiej, a jej młodszy brat był chirurgiem w jednym z szanghajskich szpitali.

Oni również nie mieli żadnych kontaktów, które mogłyby zaniepokoić Ya Ru.

Dowiedział się natomiast, że Ma Li ma dwoje wnuków, którym poświęca sporo czasu.

Pani Shen umówiła Ya Ru na spotkanie z Ma Li.

Nie podała żadnego szczególnego powodu jego wizyty, powiedziała jedynie, że to pilne i prawdopodobnie ma coś wspólnego z pobytem w Afryce.

To powinno ją zaniepokoić, pomyślał Ya Ru.

Siedział na tylnym siedzeniu swojego samochodu i patrzył na miasto za oknem.

Ponieważ do spotkania pozostało jeszcze trochę czasu, poprosił kierowcę, by pojechał kręzną drogą, obok placów budowy, które go interesowały.

Były to w większości inwestycje związane ze zbliżającą się

510

olimpiadą.

Ya Ru podpisał kontrakt na wyburzenie dzielnicy, w miejsce której miały powstać drogi dojazdowe donowych obiektów sportowych.

Spodziewał się, że inwestycja ta przyniesie mu miliardowe zyski, nawet po opłaceniu wszystkich urzędników i polityków, na których miesięcznie wydawał miliony.

Obserwował miasto, które przeobrażało się na jego oczach.

Wielu ludzi protestowało przeciwko zmianom, twierdząc, że Pekin traci zbyt wiele ze swojego charakteru.

Ya Ru nakłaniał pracujących dla niego dziennikarzy, by pisali o znikających dzielnicach slumsów i nowych inwestycjach, które, gdy igrzyska olimpijskie dobiegną już końca, a Chiny dzięki nim zyskają w świecie nową twarz, będą służyły ludziom.

Ya Ru, który zazwyczaj wolał pozostać niewidzialny i trzymać się w tle, kilkakrotnie uległ pokusie wystąpić w paroprogramach telewizyjnych na temat zmian zachodzących w Pekinie.

Zawsze pamiętał wówczas, by podkreślić, że troszczy się o stan niektórych parków i budynków.

Według sondaży mediów, którym płacił za różne usługi, cieszył się dobrą opinią, mimo że należał do elity najbogatszych ludzi w kraju.

Tę opinię chciał utrzymać.

Za wszelką cenę.

Samochód zatrzymał się przed niepozornym budynkiem, w którym pracowała Ma Li.

Czekał na niego na schodach.

- Ma Li - powiedział Ya Ru na powitanie - gdy teraz cię odwiedzam, czuję się zupełnie tak, jakby nasza podróż do Afryki, która zakończyła się tak tragicznie, była już bardzo odległa w czasie.

- Każdego dnia myślę o drogiej Hong - odparła Ma Li.

- Ale Afryce pozwalam odejść w niepamięć.

Na pewno nigdy tam nie wrócę.

511.

- Jak doskonale wiesz, w najbliższych dniach podpisujemy nowe umowy z krajami afrykańskimi.

Powstają między nami mosty, które połączą nas na długi czas.

Rozmawiając, szli ponurym korytarzem prowadzącym do gabinetu Ma Li, którego okno wychodziło na niewielki ogród otoczony wysokim murem.

Pośrodku ogrodu znajdowała się fontanna, teraz nieczynna.

Ma Li wyłączyła telefon i podała gościowi herbatę.

Ya Ru słyszał dobiegający z oddali śmiech.

- Szukanie prawdy jest jak obserwowanie ślimaka ścigającego innego ślimaka - powiedział Ya Ru w zamyśleniu.

- Dzieje się to bardzo powoli.

Ale uparcie.

Wbił wzrok w Ma Li.

Wytrzymał jego spojrzenie.

- Krążą plotki - mówił dalej.

- Plotki, które ci szkodzą.

Plotki o moich firmach, o moim postępowaniu.

Jestem ciekaw, skąd się biorą.

Muszę zadać pytanie, kto chce mi zaszkodzić.

Nie zwykli zazdrośnicy, ale ktoś inny, ktoś mający motyw, którego nie pojmuję.

- Dlaczego ja miałabym chcieć zniszczyć twoją dobrą opinię?

- Nie to mam na myśli.

Pytanie jest zupełnie inne.

Kto może wiedzieć, kto może mieć informacje, kto może je rozsiewać?

- Wiedziemy bardzo odmienne życie.

Ja jestem urzędniczką, ty robisz wielkie interesy, o których czytasz w gazetach.

W porównaniu ze mną, mało znaczącym pionkiem, ty żyjesz w świecie, który trudno mi jest nawet sobie wyobrazić.

-Ale znałaś Hong - powiedział powoli.

- Moją siostrę, która również mnie była bliska.

Po długim niewidzeniu nagle spotykacie się w Afryce.

Rozmawiacie, ona pewnego ranka składa ci pośpieszną wizytę.

Wracamy do Chin i na mój temat zaczynają krążyć plotki.

512

Ma Li pobladła.

- Oskarżasz mnie o publiczne obmawianie cię?

- Zrozum, z pewnością to zrozumiesz, że nie pozwoliliśmy sobie na takie słowa bez przeprowadzenia odpowiedniego wywiadu.

Wykluczyłem wszystkie możliwości, jedną podrugiej.

W końcu pozostało już tylko jedno wyjaśnienie.

I jedna osoba.

-Ja?

- Właściwie nie.

-Masz na myśli Hong?

Własną siostrę?

- Nie jest tajemnicą, że mieliśmy odmienne zdania co do przyszłości Chin, rozwoju polityki, gospodarki, spojrzenia na historię.

-Ale czy byliście wrogami?

- Antagonizm możesz rozwijać przez długi czas, niemal niezauważalnie, jak wynurzanie się lądu z morza.

Nagle okazuje się, że pojawiła się wrogość, o której istnieniu samemu się nie wiedziało.

- Trudno mi uwierzyć, by Hong posługiwała się anonimowymi oskarżeniami.

To nie było w jej stylu.

- Wiem.

Dlatego właśnie zadaję ci to pytanie.

O czym rozmawialiście?

Ma Li nie odpowiedziała.

Ya Ru nie dał jej czasu do namysłu.

- Być może był jakiś list - powiedział powoli - który dał ci tego ranka.

Mam rację, prawda?

Dała ci list?

Albo jakiś dokument?

Muszę wiedzieć, co ci powiedziała i co ci przekazała.

- Zachowywała się tak, jakby przeczuwała, że umrze - odpowiedziała Ma Li.

- Głowiłam się nad tym, nie zdając sobie sprawy, jak ogromny musiał ją trawić niepokój.

Poprosiłam tylko, żeby dopilnowała, by po śmierci jej ciało zostało pochowane.

stało spalone.

Chciała, żeby prochy zostały rozsypane nad Longtanhu Gonguyan, tym małym jeziorem w parku.

Pozatym poprosiła mnie, żebym zajęła się jej rzeczami, książkami, żebym rozdała odzież i opróżniła jej dom.

- Nic więcej?

-Nie.

- Czy to właśnie powiedziała lub napisała?

-To był list.

Nauczyłam się go na pamięć.

Potem gospaliłam.

- Czyli był to krótki list?

-Tak.

- Dlaczego go spaliłeś?

Ten list można by właściwie nazwać testamentem.

- Powiedziała, że nikt nie ma prawa podważać moich słów.

Ya Ru bacznie zaglądał w twarz Ma Li, zastanawiając się nad tym, co właśnie powiedziała.

- I nie zostawiła ci żadnego innego listu?

- A jaki inny list miałaby mi zostawić?

- Właśnie oto pytam.

Być może był drugi list, którego nie spaliłeś, ale przekazałaś komuś innemu?

- Dostałam od niej jeden list.

Był adresowany do mnie.

Spaliłam go.

Nie było nic więcej.

- Byłoby bardzo niedobrze, gdybyś teraz kłamała.

-Dlaczego miałabym nie mówić prawdy?

Ya Ru rozłożył ręce.

- Dlaczego ludzie kłamią?

Po co namta umiejętność?

Ponieważ niekiedy może nam to dać przewagę.

Prawda i kłamstwo to broń, Ma Li, którą zdolni ludzie mogą posługiwać się równie sprawnie jak szermierzemieczem.

Wciąż badawczo się jej przyglądał.

Ma Li nie odwróciławzroku.

- Nic więcej?

Nie ma niczego, co chciałybyś mi powiedzieć?

- Nie.

Niczego takiego niema.

- Oczywiście zdajesz sobie sprawę z tego, że prędzej czy później dowiem się wszystkiego, co powinienem wiedzieć.

-Tak.

Pokiwał głową w zamyśleniu.

- Jesteś dobrym człowiekiem, Ma Li.

Ja również.

Ale mogę wpaść w złość i stać się zacięty, jeśli dotknie mnie czyjaś

nieszczerość.

- Nie zataiłam przed tobą niczego.

-To dobrze.

Masz dwoje wnucząt.

Ma Li.

Bardzo je

kochasz.

Ma Li wzdrygnęła się.

- Grozisz mi?

-Ależ skąd.

Daję ci tylko szansę wyznania mi wszystkiego.

- Powiedziałaś mi już wszystko.

Hong wspomniała o swoich obawach co do kierunku, w którym zmierzają Chiny.

Nic na temat zagrożeń, żadnych pogłosek.

- Wierzę ci.

-Wzbudzasz we mnie strach, Ya Ru.

Czy naprawdę na

to zasłużyłam?

- Nie straszylem cię.

Hong to zrobiła swoimi tajemniczymi listami.

Porozmawiaj o tym z jej duchem.

Poproś ją, żeby

uwolniła cię od lęku.

Ya Ru wstał.

Ma Li wyprowadziła go przed budynek.

Ucisnęła jej dłoń i po chwili zniknęła w samochodzie.

Ma Li wróciła do swojego gabinetu i z wymiotowała do umywalki.

Usiadła przy biurku i słowo po słowie odtwarzała w pamięci list od Hong, który leżał głęboko ukryty w jednej z szuflad biurka.

514 515.

Zginęła przepętniona gniewem, pomyślała Ma Li.

Cokolwiek się z nią stało.

Do tej pory nikt nie udzielił mi porządnej odpowiedzi na pytanie, jak właściwie doszło do tego wypadku.

Przed wyjściem z biura podarła list na drobne kawałki i splukała je w toalecie.

Nadal się bała, wiedząc, że będziemy żyć ze świadomością zagrożenia ze strony Ya Ru.

Od teraz zawsze będzie czuła, że on jest gdzieś w pobliżu.

Ya Ru spędził wieczór w jednym ze swoich nocnych klubów w Sanlitun, pekińskiej dzielnicy rozrywki.

Położył się, by odpocząć, w jednym z tylnych pokoi i polecił Li Wu, jednej z kobiet pracujących w klubie, by rozmasowała mu kark.

Li była w jego wieku.

Kiedyś była jego kochanką i wciąż jeszcze należała do wąskiego grona osób, do których Ya Ru miał zaufanie.

Uważał na to, co jej mówił, ale miał pewność, że jest lojalna.

Zawsze, kiedy go masowała, rozbierała się do naga.

Przez ścianę pomieszczenia wdzierały się przytłumione dźwięki muzyki z klubu.

Światło było przyćmione, pokój wytapetowany na czerwono.

Ya Ru odtwarzał w myślach rozmowę z Ma Li.

Wszystko wyszło od Hong, pomyślał.

Popętniłem wielki błąd, tak długo wierząc w jej lojalność wobec rodziny.

Li masowała mi plecy.

Nagle złapała za rękę i usiadła.

- Sprawiam ci ból?

- Chcę być sam, Li.

Zawołałam cię.

Opuściłam pokój.

Ya Ru owinął się ręcznikiem.

Zastanawiał się, czy przypadkiem się nie pomylił.

Może wcale nie chodziło o to, co było wliście, który Hong przekazała Ma Li.

Założmy, że Hongz kimś rozmawiała, pomyślał.

Z osobą, co do której miała pewność, że nie zwróć na nią uwagi.

516

Nagle przypomniał sobie wzmiankę Chana Binga o sędzi z Szwecji, którą interesowała się Hong.

Czemu Hong nie miała rozmawiać właśnie z nią?

Obdarzyć ją zaufaniem?

A przecież nie powinna była tego robić.

Ya Ru ponownie położył się na łóżku.

Ból w karku już" mniej mu dokuczał po delikatnym masażu Li.

Następnego ranka zadzwonił do Chana Binga.

Od razu przeszedł do rzeczy.

- Mówiłeś coś o jakiejś sędzi z Szwecji, z którą kontaktowała się moja siostra.

O co chodziło?

- Nazywała się Birgitta Roślin.

To był zwykły napad.

Wezwaliśmy ją, żeby wskazała napastnika, ale nikogo nie rozpoznała.

Za to na pewno rozmawiała z Hong o jakichś morderstwach w Szwecji.

Sądziła, że ich sprawcą był Chińczyk.

Ya Ru zrobiło się zimno.

Jest gorzej, niż mu się zdawało.

Istnieje zagrożenie, które może mu zaszkodzić o wiele bardziej niż jakiejkolwiek podejrzenia okorupcję.

Szybko zakończył rozmowę, rzucając kilka grzecznościowych zwrotów.

W myślach przygotowywał się do zadania, które musiał wykonać sam, teraz, gdy nie było już Liu.

Wciąż jeszcze pozostawało coś do załatwienia.

Wciąż jeszcze Hong nie została pokonana.

Chinatown, Londyn

34

Był deszczowy majowy poranek, gdy Birgitta Roślin odwoziła rodzinę do Kopenhagi, skąd mieli odlecieć na urlop na Maderę.

Ponieważ kończąc trudnych rozmowach ze Staffanem zdecydowała, że zostanie w domu.

Po długim zwolnieniu lekarskim, z którego korzystała na początku roku, nie wyobrażała sobie, jak mogłaby pójść do przełożonego i poprosić go o urlop.

Poza tym sąd przez cały czas ugiął się pod ciężarem czekających w kolejce rozpraw.

Birgitta Roślin po prostu nie mogła wyjechać.

Dotarli do Kopenhagi w strugach deszczu.

Staffan, który podróżował szwedzkimi kolejami za darmo, upierał się, że na lotnisko Kasturp, gdzie czekały na niego dzieci, może pojechać pociągiem.

Birgitta jednak równie wytrwale upierała się przy tym, że go tam zawiezie.

Pomachała im na pożegnanie w hali odlotów, po czym usiadła w kawiarni i przyglądała się ludziom ciągnącym ciężkie bagaże, a wraz z nimi marzenia o podróżach do dalekich krajów.

Kilka dni wcześniej zadzwoniła do Karin Wiman, by jej powiedzieć, że przyjedzie do Kopenhagi.

Choć do pobytu w Pekinie minęło już kilka miesięcy, do tej pory nie miały okazji się spotkać.

Birgitta po powrocie ze zwolnienia wpadła w wir pracy.

Hans Mattson powitał ją z otwartymi

518

ramionami, postawił na jej biurku wazon z kwiatami, a obok

zrzucił ogromną stertę niedokończonych spraw, które miały się znaleźć na wózek jak najszybciej, jak się da.

Właśnie wtedy, pod koniec marca, w lokalnych gazetach południowej Szwecji toczyła się dyskusja o skandalicznie długim czasie oczekiwania w szwedzkich sądach.

Hans Mattson, niezbyt waleczny znatury, zdaniem Birgitty i jej kolegów zbyt łagodnie przedstawiał beznadziejną sytuację, do jakiej doprowadziła Szwedzka Administracja Sądowa, a przede wszystkim wciąż domagający się oszczędności rząd.

Podczas gdy koledzy wzdychali i wściekali się na nadmiar roboty, Birgitta cieszyła się z powrotu do pracy.

Często zostawała w gabinecie dopóki, aż Hans Mattson, z typowym dla niego spokojem, zwrócił jej uwagę, że pracując tyle, znów nadwerży zdrowie i się rozchoruje.

- Nie byłam chora - tłumaczyła.

- Miałam po prostu wysokie ciśnienie i nie najlepsze wyniki badania

krwi.

- To odpowiedź godna zręcznego demagoga - odpowiadał

Hans Mattson - a nie szwedzkiego sędziego, który wie, że przewrotne słowa nie prowadzą do niczego dobrego.

Dlatego zdołała jedynie odbyć kilka rozmów telefonicznych z Karin.

Dwukrotnie próbowały się spotkać, lecz za każdym razem coś stawało na przeszkodzie.

Ale teraz, owego deszczowego dnia w Kopenhadze, Birgitta miała wolne.

Musiała wrócić do sądu dopiero następnego dnia i obydwie zaplanowały, że spędzi noc u Karin.

W torebce miała zdjęcia z ich wspólnej podróży i niecierpliwiła się jak dziecko, by wreszcie zobaczyć te, które zrobiła przyjaciółka.

Podróż do Pekinu wydawała się jej już bardzo odległa.

Birgitta zastanawiała się, czy to wiek sprawia, że obrazy tak

519.

szybko zacierają się w pamięci.

Rozejrzała się po kawiarni, zupełnie jakby spodziewała się znaleźć w niej kogoś, kto mógłby jej udzielić odpowiedzi.

W rogu pomieszczenia siedziały dwie arabskie kobiety z zasłoniętymi twarzami.

Jedna z nich płakała.

One nie znają odpowiedzi, pomyślała.

Ale kto może odpowiedzieć, skoro ja sama nie potrafię?

Birgittai Karin ustaliły, że spotkają się na lunchu w restauracji przy jednej z przecznic Streget.

Birgitta zaplanowała, że pochodzi po sklepach, by znaleźć ubranie, które będzie mogła nosić na sali sądowej.

Deszcz sprawił jednak, że straciła ochotę na zakupy.

Została na lotnisku, a gdy nadszedł czas, wzięła taksówkę do miasta, nie mając pewności, czy sama znajdzie drogę.

Karin pomachała do niej radośnie, gdy Birgitta weszła do przepelnionej restauracji.

- Wyprawiłaś ich szczęśliwie?

- O tym zawsze myśli się za późno. Ze całą rodzinę wsadzi się do jednego samolotu.

Karin pokiwała głową.

- Nicim nie będzie - powiedziała.

- Jeśli naprawdę chcesz przeżyć podróż z jednego miejsca do drugiego, najbezpieczniejszy jest właśnie samolot.

Zjadły lunch, obejrzały zdjęcia i wspominały wyjazd do Pekinu.

Karin mówiła, a Birgitta po raz pierwszy od długiego czasu wróciła myślami do napadu.

Do Hong, która nagle stanęła obok stolika, przy którym Birgitta jadła śniadanie, do odzyskania torebki i całej tej niesamowitej serii wydarzeń, w którą się zaplątała.

- Słuchasz mnie?

- przerwała jej rozmyślenia Karin.

- Oczywiście.

Dlaczego pytasz?

- Wyglądałaś, jakbyś nie słuchała.

-Myślę o mojej rodzinie.

Są gdzieś tamw górze.

520

Zamówiły kawę.

Karin zaproponowała, by napiły się po lampce koniakuw proteście przeciwko brzydkiej wiosennej

[pogodzie.

i - Pewnie, że się napijemy - zgodziła się Birgitta.

Do domu Karin pojechały taksówką.

Gdy dotarły na miejsce, deszcz ustał,a chmury zaczęły się przerzedzać.

- Muszę się trochę rozruszać - powiedziała Birgitta.

Spędzam niezliczone godzinyza biurkiem albo na sali

sądowej.

Poszły na spacer opustoszałą plażą.

Nie było na niej nikogo, nie licząc kilku starszych osóbwyprowadzających psy.

; - O czym myślisz, skazując człowieka na więzienie?

Czy

pytałam cię o to wcześniej?

Skazałaś kiedyśkogoś, kto zabił

człowieka?

- spytała Karin.

- Nieraz.

Między innymi kobietę, która zabiła trzyosoby.

Rodziców i młodszego brata.

Pamiętam, jak siedziałam na

' sali sądowej i przyglądałam się jej.

Była malutka i chuda, bardzo ładna.

Gdybym była mężczyzną, pewnie uznałabym ją za

' seksowną.

Próbowałam dostrzec u niej żal.

Było oczywiste, że zaplanowała to zabójstwo.

Nie zatłukła ich w ataku szału.

I świadomie mówię: zatłukła.

Kobiety najczęściej używają noży.

Nasza płęć zadaje rany kłute, śmiertelne pobicia sądomeną mężczyzn.

Ona jednak wzięła duży młot z garażu ojca i rozbiła głowy całej trójce.

Bezcieńia żalu.

- Dlaczego?

-Nie dało się tego ustalić.

- Czyli była niespełna rozumu?

-Zdaniem psychiatrów nie.

W końcu pozostało minic innego, jak wymierzyć jej najcięższą karę, na jaką zezwala prawo.

Nawet się nie odwoływała.

Dla sędziego tooznaka zwycięstwa.

W tym wypadku nie mam pewności, czy tak było.

521.

Zatrzymały się i obserwowały żaglówkę płynącą na północ przez cieśninę Sund.

:

- Czy nie nadszedł już czas, żebyś mi wszystko powiedziała?

- niespodziewanie zapytała Karin.

- O czym?

- O tym, co się wydarzyło w Pekinie.

Wiem, że nie powiedziałaś mi prawdy.

Przynajmniej całą prawdę, tak jak się przysięga na twojej sali sądowej.

- Zostałam napadnięta.

Skradziono mi torebkę.

- O tym wiem.

Ale okoliczności, Birgitto, są nie do wiary.

Cały czas czegoś mi brakuje.

Mimo że nie spotykałyśmy się przez ostatnie lata, znam cię bardzo dobrze.

Kiedy byłyśmy rewolucjonistkami, dawno temu, naiwnymi biedactwami, którym mieszały się uczucia z rozsądkiem, nauczyłyśmy się mówić prawdę i równocześnie kłamać.

Ja nigdy nie próbowałam cię okłamać.

Albo zrobić z ciebie durnia, jak mawiał mój ojciec.

Wiem, że byś mnie przejrzała.

Birgitta poczuła ulgę.

- Sama nie rozumiem - powiedziała - dlaczego przemilczałam połowę tej historii.

Może dlatego że miałaś tyle pracy przy twojej pierwszej dynastii.

A może też dlatego że sama nie do końca rozumiałam, co się wydarzyło.

Szły dalej wzdłuż plaży.

Gdy słońce zaczęło mocniej przygrzewać, zdjęły kurtki.

Birgitta opowiedziała Karin o materiale z kamery w małym hotelu w Hudiksvalloraz o próbie odnalezienia mężczyzny z kadru.

Podzieliła się z przyjaciółką wszystkimi szczegółami, zupełnie jakby siedziała na ławie oskarżonych i czuła na sobie czujny wzrok sędziego.

- Nic mi o tym nie mówiłaś - powiedziała Karin, gdy przyjaciółka skończyła swoją opowieść.

Zawróciły i poszły w kierunku domu.

502

- Bałam się, kiedy wyjechałaś - odparła Birgitta.

- Myślałam, że przyjdzie mi zgnić w jakiejś podziemnej celi.

Policjanci mogliby potem powiedzieć, że po prostu zniknęłam.

- Odbieram to jako oznakę ograniczonego zaufania.

Właściwie powinnyśmy być na ciebie zła.

Birgitta zatrzymała się i stanęła naprzeciw Karin.

- Aż tak dobrze się nie znamy - powiedziała.

- Być może tak nam się wydaje albo chciałybyśmy, żeby tak było.

Kiedy byłyśmy młode, istniała między nami zupełnie inna więź niż teraz.

Jesteśmy przyjaciółkami.

Ale nie jesteśmy sobie bardzo bliskie.

Być może nigdy tak nie było.

Karin przytaknęła.

Ruszyły w dalszą drogę, szły wzdłuż smugi wodorostów, tam, gdzie piasek był suchszy.

- Chcemy, żeby wszystko się powtarzało, żeby było dokładnie tak jak kiedyś - podjęła temat Karin.

- Lecz z wiekiem musimy się bronić przed sentymentami.

Jeśli przyjaźń ma przetrwać, musi wciąż być wystawiana na próbę i odnawiana.

Może to i prawda, że stara miłość nie rdzewieje.

Ale stara przyjaźń pewnością tak.

- Sam fakt, że o tym rozmawiamy, jest krokiem naprzód.

To tak jakbyśmy ścierały rdzę drucianą szczotką.

- Co wydarzyło się później?

Jakto wszystko się zakończyło?

- Wróciłam do hotelu.

Policja albo jakaś służba bezpieczeństwa przeszukała mój pokój.

Nie wiem, co mieli nadzieję w nim znaleźć.

- Ależ musiałaś być zdziwiona.

Z powodu skradzionej torebki?

- Oczywiście chodziło o fotografię z hotelu w Hudiksvall.

Komuś zależało na tym, żebym przestała szukać tego człowieka.

Równocześnie wydaje mi się, że Hong mówiła prawdę.

Chiny nie chcą, żeby zagraniczni turyści opowiadali po

523.

powrocie do domu o jakichś "nieszczęśliwych wypadkach".

Nie teraz, kiedy ten kraj przygotowuje popisowy numer postaci igrzysk olimpijskich.

- Cały kraj z ponadmiliardem ludzi czekający za kulisami swój występ.

To dość niesamowite.

- Setki milionów ludzi, nasinajukochańsi biedni chłopcy, z pewnością nie wiedzą, co ta olimpiada oznacza.

Albo uważają, że nic się nie zmieni na lepsze tylko dlatego, że młodzież całego świata spotka się na igrzyskach w Pekinie.

- Słabo ją pamiętam, tę Hong.

Była bardzo piękna.

W jej zachowaniu czułam jakieś wyczekiwanie, jakby się przez cały czas spodziewała, że coś się wydarzy.

- Może tak było.

Ja zapamiętałam ją inaczej.

Pomogła mi.

- Myślisz, że pracowała dla kilku zleceniodawców?

- Zastanawiałam się nad tym, ale nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie.

Nie wiem.

Możesz mieć rację.

Weszły na pomost, przy którym wiele miejsc dla łódek byłowolnych.

Na pokładzie starej drewnianej żaglówki siedziała stara kobieta i wylewała za burtę wodę, która dostała się do łodzi.

Przyjaźnie skinęła głową na powitanie i powiedziała coś w dialekcie, z którego Karin niewiele rozumiała.

Wypiły kawę w salonie u Karin.

Przyjaciółka opowiedziała Birgitcie, nad czym ostatnio pracuje.

Tłumaczyła utwory chińskich poetów, powstał w okresie od uzyskania niepodległości w roku 1949 do czasów obecnych.

- Nie mogę poświęcać swojego życia wyłącznie upadłym imperiom.

Wiersze to dla mnie odmiana.

Birgitta była bliska wyznania Karino swojej pasji pisania piosenek, którą trzymała w sekrecie.

Nic jednak nie powiedziała.

- Wielu było odważnych - ciągnęła Karin.

- Mao i władza partii rzadko tolerowali krytykę.

Mao miał jednak słabość do

524

poetów.

Sam pisał poezje, więc można to zrozumieć.

Chodzi mi o to, że rozumiał, iż artyści mogą ukazać wielkie wydarzenia polityczne w nowej perspektywie.

Podczas gdy inni w władzach partii chcieli stosować represje wobec piszących nieodpowiednie słowa lub wykonujących niebezpieczne pociągnięcia pędzlem, Mao zawsze się temu sprzeciwiał.

Z ogromną konsekwencją.

Oczywiście, jest odpowiedzialny za to, co spotkało artystów podczas Rewolucji Kulturalnej, choć nigdy nie było to jego zamiarem.

Nawet jeśli ostatni wywołana przez niego rewolucja nosiła miano kulturalnej, w gruncie rzeczy była rewolucją polityczną.

Gdy się zorientował, że część rewolucyjnej młodzieży posuwa się za daleko, pociągnął za hamulec.

Choć nie mógł powiedzieć tego głośno, jestem pewna, że bolał nad zniszczeniami, do jakich wówczas doszło.

Oczywiście wiedział też, lepiej niż inni, że chcąc zrobić omlet, trzeba rozbić jajka.

Czy to nietak się mówiło?

- Albo że rewolucja nie jest zaproszeniem na herbatkę.

Wybuchnęły śmiechem.

- Co myślisz teraz o Chinach?

- zapytała Birgitta.

-Cosię tamobecnie dzieje?

- Jestem pewna, że w tej chwili odbywa się wielka próba sił.

W łonie partii, w całym kraju.

Równocześnie partia komunistyczna stara się pokazać światu, ludziom takim jak ty i ja, że możliwy jest rozwój gospodarczy w kraju niedemokratycznym.

Nawet jeśli wszyscy liberalni myśliciele zachodniego świata temu przeczą, dyktatura partii nie kłóci się z rozwojem ekonomicznym.

To oczywiście budzi w nas niepokój.

Dlatego właśnie tak dużo mówi się i pisze o chińskim strzale w tył głowy.

Ograniczenie wolności, otwartości, tak dobitnie podkreślanych na Zachodzie praw człowieka, zato atakujemy Chiny.

Według mnie to obłuda, bo przecież w naszej części świata jest mnóstwo krajów, nie pomijając

525.

USA i Rosji, w których prawa człowieka są łamane każdego dnia.

Pozatym Chińczycy dobrze wiedzą, że chcemy z nimi robić interesy za wszelką cenę.

Przejrzeli nas w XIX wieku, kiedy postanowiliśmy uzależnić ich wszystkich od opiumi w ten sposób móc dyktować im warunki.

Nauczyli się czegoś, ale nie popełnią naszych błędów.

Tak właśnie myślę, choć wiem, że moje wnioski nie są doskonałe.

Rzeczywistość jest o wiele bardziej złożona, niż jestem w stanie dostrzec.

Nie możemy mierzyć Chin własną miarą.

Cokolwiek jednak o nich sądzimy, musimy z szacunkiem słuchać tego, co mają nam do powiedzenia.

Tylko idiota będzie dziś myślał, że to, co się tam dzieje, nie oddziałuje na naszą przyszłość.

Gdybym miała teraz małe dzieci, postarałabym się dla nich o chińską opiekunkę, żeby uczyły się języka.

' - To samomówi mój syn.

- A więc jest przewidujący.

''' - Na mnie ta podróż podziałała przytłaczająco - wyznała Birgitta.

- Ten kraj jest tak ogromny, że przez cały czas nie mogłam się tam opędzić od myśli, że w każdej chwili mogę zniknąć.

nikt nie zapytałbyo jedną ludzką jednostkę, bo przecież jest tak wiele innych.

Żałuję, że nie miałam więcej czasu na rozmowę z Hong.

Wieczorem zjadły kolację i znów zagłębiły się w wspomnieniach z przeszłości.

Birgitta stopniowo nabierała coraz silniejszego przekonania, że nie może dopuścić do ponownego zerwania kontaktu z Karin.

Nie było nikogo innego, z kim dzieliła swoją młodość, nikogo, kto zrozumiałby, o czym mówiła.

Rozmawiały do późna, a przed pójściem spać złożyły sobie nawzajem obietnicę, że będą się częściej spotykać.

- Popiełnij jakieś wykroczenie drogowe w Helsingborgu - zażartowała Birgitta - i odmów przyjęcia mandatu.

Wy526

lądujesz u mnie na sali sądowej/a jak już cię skazę, pójdziemyna obiad.

- Trudnomijest wyobrazić sobie ciebieza stołem sędziowskim.

-Mnie też.

Ale zasiadam tam codziennie.

Następnego dnia pożegnały się na Hovedbanegarden,dworcu głównym w Kopenhadze.

- Wracam teraz do moich chińskich poetów - powiedziałaKarin.

- Co tybędziesz robić?

- Po południu muszę się zapoznać z dwomaaktamioskarżenia.

Jeden dotyczy wietnamskiej szajkiszmuzglującej papierosy i organizującej brutalne napady na starszychludzi.

Zamieszanych jest w to kilka bardzo nieprzyjemnychmłodychosób.

Drugi jest przeciwko młodej kobiecie, któramaltretowała swoją matkę.

Z tego, codo tej pory udałomi sięwynioskować, obie wydają się niespełna rozumu.

Właśniena topoświęcę dzisiajpopołudnie.

Ale terazwcale niechęę o tym myśleć.

Zazdrozczę citych poetów.

Już miały się rozstać, gdy nagle Karin chwyciłaBirgittęza rękę.

- Nie zapytałam cię o wydarzeniaw Hudiksvall.

Co siętam dzieje?

- Wszystkowskazuje nato, że policja upiera się przy wersjiz człowiekiem, który popełnił samobójstwo w celi.

-Miał zrobić to sam?

Tyletrupów?

- Zabójca mający jasną iokreśloną motywację właściwiejest wstanie zrobićcoś takiego sam.

Ale wciąż jeszcze nieustalono, jaki miał motyw.

- Obłąd?

-Nie wierzyłam w to na początku dalej w to niewierzę.

- Wciąż jesteś w kontakcie z policją?

527.

- Ależ skąd.

Czytam tylko to, co piszą w gazetach.

Birgitta patrzyła, jak Karin w pośpiechu przechodzi przezdużą halę dworcową.

Pojechała na Kastrup, odszukała samochód na parking i ruszyła do domu.

Starzenie się w pewnym sensie oznacza cofanie się, pomyślała.

Człowieknie pędzi już po prostu przed siebie, lecz nie zauważalnie powoli się cofa.

Na przykład nasze rozmowy z Karin.

Szukamy samych siebie, zastanawiamy się, jakiebyłyśmy wtedy i jakie jesteśmy teraz.

Do Helsingborg dotarła około dwunastej.

Poszła prosto do biura.

Przed zabraniem się do aktów oskarżenia przeczytała pismo z Administracji Sądowej.

Przygotowała się do rozprawy przeciw kobiecie maltretującej matkę, papiery dotyczące Wietnamczyków włożyła do torebki i poszła do domu.

Na dworze zrobiło się cieplej, drzewa zaczęły się zielenić.

Birgitta poczuła nagły przypływ radości.

Zatrzymała się, zmrużyła oczy i mocno wciągnęła powietrze do płuc.

Na nic jeszcze nie jest za późno, pomyślała.

Widziałam już Wielki Mur Chiński, ale wciąż jest mnóstwo innych murów, a przede wszystkim wysp, które chcę zobaczyć, zanim moje życie dobiegnie końca.

Wewnętrzny głos podpowiada mi, że jai Staffan uzdrowimy nasze małżeństwo.

Akt oskarżenia przeciwko Wietnamczykom był skomplikowany i zagmatwany.

Pracowała nad nim aż do dziesiątej, dwukrotnie konsultując się przez telefon z Hansem Mattsonem.

Wiedziała, że Hans nigdy nie ma nic przeciwko temu, by dzwoniła do niego do domu.

Była już prawie jedenasta, gdy zaczęła się szykować do snu.

Nagle ktoś zadzwonił do drzwi.

Zmarszczyła czoło i poszła otworzyć.

Za drzwiami nie było nikogo.

Zrobiła krok do przodu, by wyjrzeć na ulicę.

Przejechał samochód.

Poza

528

tym było całkiem pusto.

Furtka była zamknięta.

Dzieciaki, pomyślała.

Dzwonią, a potem uciekają.

Wróciła do domu i przed północą poszła spać.

Obudziła się po drugiej, nie wiedząc, co wyrwało ją ze snu.

Nie pamiętała, by coś jej się śniło.

Nastuchiwała przez chwilę, chcąc uchwycić jakieś odgłosy dobiegające z ciemności.

Już miała się przewrócić na drugi bok i spróbować ponownie zasnąć, gdy nagle usiadła na łóżku.

Zaświeciła lampę i wyczuła słuch.

Po chwili wstała i otworzyła drzwi korytarza.

Wciąż nie słyszała żadnego dźwięku.

Włożyła szlafrok i zeszła na dół.

Drzwi i okna były zamknięte.

Stała przy oknie wychodzącym na ulicę i odchyliła zasłonę.

Zdawało jej się, że dostrzegła umykającego cień, który szybko zniknął na chodniku, ale odegnęła tę myśl, tłumacząc sobie, że to przywidzenie.

Nigdy nie bała się ciemności.

Być może obudził ją głód.

Zjadła kanapkę, popiła ją szklanką wody, wróciła do łóżka i po chwili już spała.

Następnego ranka, dopiero gdy sięgała po teczkę z dokumentami dotyczącymi wszystkich jej spraw sądowych, dopadła ją myśl, że ktoś był w jej gabinecie.

Było to to samowrażenie, które miała w pokoju hotelowym w Pekinie.

Kiedy wieczorem wychodziła z gabinetu, położyła teczkę obok torebki.

Teraz kilka kartek wystawało ponad uchwyt'.

teczki.

Mimo że się śpieszyła, obeszła cały parter.

Nic nie zginęło, wszystko było na swoim miejscu.

Wmawiam to sobie,; pomyślała.

Niewytłumaczalnych dźwięków nocą nie należy.

tłumaczyć sobie porannymi przywidzeniami.

Dość już mam

objawów manii prześladowczej z Pekinu.

Nie chcę ichtu,; w Helsingborgu.

Wyszła z domu i ruszyła pieszo w dół, do miasta.

Temperatura była o kilka stopni wyższa niż poprzedniego dnia.

529.

Po drodze Birgitta zastanawiała się nad pierwszą czekającą rozprawą.

Kontrola bezpieczeństwa w sądzie miała być wzmocniona, ponieważ spodziewano się, że wśród wietnamskiej publiczności może dojść do jakiejś bójki.

Wspólnie z prokuratorami kierownikiem wydziału ustalili, że rozprawa potrwa dwadzieścia dni.

Birgitta obawiała się, że to trochę z mało, ale presja wywierana na nią była tak silna, że musiała się zgodzić.

W swoim notesie natomiast zaplanowała na tę rozprawę jeszcze jeden dzień i zrobiła rezerwy planu na następną.

W sądzie poszła prosto do swojego gabinetu, wyłączyła telefonię z zamkniętymi oczami odchyliła się na oparcie fotela.

Powtarzała w pamięci najważniejsze ustalenia sprawy przeciwko braciom Tran.

Obaj byli kilkakrotnie zatrzymywani.

W śledztwie namierzono i zatrzymano również kolejnych sprawców, Wietnamczyków Danga i Phana, działających wspólnie i w porozumieniu z braćmi Tran.

Po zebraniu materiału dowodowego przeciwko wszystkim czterem skierowano jeden akt oskarżenia.

Teraz pozostawało jeszcze przeprowadzenie rozprawy i wydanie wyroku.

Birgitta lubiła, gdy w rozprawach uczestniczył prokurator Palm.

Był w średnim wieku, poważnie traktował swoją pracę, nie należał do tych prokuratorów, którzy nigdy się nie nauczyli, jak przygotowywać akt oskarżenia bez zbędnych dygresji.

Z materiałów śledztwa, do których Birgitta Roślin miała dostęp, wynikało też, że zawsze Palm upiera się przy gruntownym wyjaśnianiu okoliczności przestępstwa w prowadzonych przez siebie postępowaniach, co w praktyce nie zawsze miało miejsce.

Punktualnie o dziesiątej Birgitta weszła na salę rozpraw i usiadła na swoim krześle.

Wszystkie miejsca dla publiczności były zajęte.

Na sali znajdowała się zarówno straż sądowa,

530

jak i policjanci.

Wszyscy obecni musieli przejść przez taką samą kontrolę bezpieczeństwa jak na lotniskach.

Birgittauderzyła młotkiem w stół, wzięła listę nazwisk i sprawdziła, czy wszyscy wezwani są obecni, po czym oddała głos prokuratorowi.

Palm mówił powoli i wyraźnie.

Łatwo się go słuchało.

Od czasu do czasu Birgitta pozwalała sobie zerknąć w stronę publiczności.

Nasali znajdowała się sporagrupa Wietnamczyków, w większości bardzo młodych ludzi.

Wśród pozostałych rozpoznała wielu dziennikarzy i młodą kobietę, bardzo zdolną rysowniczkę, której ilustracje publikowało wiele ogólnokrajowych gazet.

Birgitta miała w gabinecie własny narysowany przez nią portret, który wycięła sobie z gazety.

Trzymała go w szufladzie, by odwiedzający nie posądzili ją o próżność.

Dzień okazał się męczący.

Mimo że z materiałów śledztwa jasno wynikało, jak przebiegały poszczególne przestępstwa, czterech oskarżeni zaczęli nawzajem zrzucać na siebie winę.

Dwaj mówili po szwedzku, ale bracia Tran musieli skorzystać z pomocy tłumaczki.

Birgitta kilkakrotnie była zmuszona wrócić jej uwagę, że wyraża się niejasno, zastanawiając się przy tym, czy kobieta naprawdę rozumie, co mówią młodzi Wietnamczycy.

Raz musiała też uciszyć kilka osób z publiczności, grożąc, że jeśli się nie uspokoją, wyprosi ich z sali.

W czasie lunchu podszedł do niej Hans Mattson i zapytał, jak przebiega rozprawa.

- Kłamią - powiedziała Birgitta - aledowody są mocne.

Zastanawiam się tylko, na ile sprawdza się tłumaczka.

- Ma opinię dobrej - odparł z zdziwieniem Hans Mattson.

- Naprawdę starałem się sprowadzić najlepszego tłumacza w kraju.

- Może ma zły dzień.

- A ty nie?

531.

- Nie.

Ale to musi potrwać.

Wątpię, czyuda nam sięzamknąć sprawę jutro po południu.

Po powrocie na salęsądową Birgitta nadal odczasu do czasu obserwowwała publiczność.

Wpewnym momencie zwróciła uwagę na kobietę w średnim wieku, siedzącąsamotniew kącie, częściowo zasłoniętą przez siedzące przed nią osoby.

Za każdym razem, gdy Birgitta patrzyła w jej stronę, kobietawbijała w nią wzrok, podczas gdy pozostali przyglądali sięoskarżonym przyjaciołom lub członkom rodziny.

Przyszedłjej na myślodzięć, kiedy znalazła się na sali rozpraw w Chinach.

Może mam podobnego gościaz Wietnamu?

, pomyślała z ironią.

Ale w takiejsytuacji ktoś by mioprzecież o tym powiedział.

Poza tym obok kobiety niesiedziżaden tłumacz.

Ogłosiwszy, że rozprawazostanie odroczone do następnego dnia, wciąż nie była pewna, czy wystarczy czasunapowiedzenie wszystkiego,co powinno zostaćpowiedziane.

Usiadła w swoim gabinecie i podsumowała,co pozostałojeszcze do zrobienia, zanim będziemogła zamknąć rozprawęi poinformować oskarżonych o terminie ogłoszenia wyroku.

Może zdąży, jeśli nie wydarzy się nic niespodziewanego.

Tej nocy spała głębokim snem i nie budziły jej żadne niepokojące odgłosy.

Następnego dnia, gdy wróciłanasalęrozpraw,od razuspostrzegła, że kobieta zajęła to samo miejsce.

Było w niejcoś,co wzbudzało w Birgicie niepokój.

Podczas przerwyzawołała jednego ze strażników i poprosiła, by sprawdził, czykobieta trzyma się na uboczu również poza salą sądową.

Tenwrócił tuż przed końcem przerwyz informacją, że kobietaznikim nie rozmawiała.

- Proszę mieć na niąoko - poleciła.

-Mogę jąsunąć zsali, jeśli pani chce.

532

- Ależaki miałyby być tego powód?

-Taki, że panią niepokoi.

- Proszę tylko, żeby miała pan na oku.

O nic więcej.

Mimo że wciąż się wahała, doprowadziła rozprawę dokońca późnym popołudniem tego samego dnia.

Poinformowała oskarżonych, że wyrok zostanie ogłoszony 20 czerwca.

Kiedy podziękowawszy stronom, opuszczała salę rozpraw, zobaczyła Wietnamkę, która odwróciła się i wbiła w nią

wzrok.

Po zakończeniu rozprawy do gabinetu Birgitty przyszedł Hans Mattson.

Wysłuchał mowy końcowej prokuratora i obrońcy przez wewnętrzny system głośników.

- To były naprawdę dobre dwa dni Palma- powiedział.

-Pytanie brzmi, jaką wymierzyć karę.

Nie ma wątpliwości, że bracia Tran są głównymi postaciami w tej sprawie.

Pozostali dwaj to rzecz jasna współwinni.

Ale sprawiają wrażenie, jakby bali się braci.

Trudno się oprzeć podejrzeniu, że mogli wziąć na siebie większą winę, niż w rzeczywistości.

- Daj znać, jeśli będziesz chciała to przedyskutować.

Birgitta zebrała swoje notatki i przygotowała się do wyjścia do domu.

Staffan przesłał jej SMS z informacją, że wszyscy mają się dobrze.

Już miała opuścić gabinet, gdy zadzwonił telefon.

Zawahała się przez chwilę, czy powinna odbierać.

Po chwili jednak podniosła słuchawkę.

- To ja.

Męski głos brzmiał znajomo, ale nie potrafiła go przypisać

żadnej osobie.

- Czyli kto?

-Nordin.

Strażnik.

- Przepraszam, jestem zmęczona.

-Chciałem tylko dać znać, że ma pani gościa.

- Jakiegogościa?

533.

- Kobieta, którą kazała mi pani wcześniej obserwować.

-Wciąż tu jest?

Czego chce?

- Nie wiem.

-Jeśli jest krewną któregoś z oskarżonychWietnamczyków, nie mogę z nią rozmawiać.

- Chyba się pani myli.

Birgitta zaczęła tracić cierpliwość.

- O co panu chodzi?

Nie mogę z nią rozmawiać.

- Chodzi o to, że ona nie jest z Wietnamu.

Świetnie mówię po angielsku.

Jest z Chin.

I chcę z panią rozmawiać.

Mówi, że to bardzo ważne.

- Gdzie jest?

-Czeka na zewnątrz.

Widzę ją stąd.

Właśnie oderwał listek z brzozy.

- Czy ona ma jakieś nazwisko?

-Na pewno ma.

Ale mi go nie podała.

- Idę.

Niech ją poprosi, żeby zaczekała.

Birgitta podeszła do okna.

Mogła przez nie zobaczyć kobietę stojącą na chodniku.

Kilka minut później wyszła przed budynek.

35

Kobieta, która miała na imię Ho, mogła być młodszą siostrą Hong.

Birgittę zafrapowało to podobieństwo, gdy podeszła do niej bliżej.

Przypominała Hong nie tylko gładką fryzurą, ale wyglądała równie dostojnie.

Gdy Birgitta Roślin wyszła na ulicę.

Ho wciąż trzymała w dłoni brzozy listek.

Przedstawiła się bezbłędną angielszczyzną, tak samo jak zrobiła to Hong.

534

- Mam sprawę do pani powiedziała.

- Czy nie przeszkadzam?

- Skończyłam pracę na dziś.

- Nie rozumiałam nic, co się tam mówiło - ciągnęła Ho - ale dostrzegłam szacunek, jaki pani okazywano.

- Kilka miesięcy temu byłam na rozprawie sądowej w Chinach.

Również tam sędzią była kobieta.

Jej też okazywano

dużo szacunek.

Birgitta Roślin zapytała Ho, czy ma ochotę pójść do kawiarni lub restauracji.

Kobieta wskazała jednak na ławki

w pobliskim parku.

Usiadły więc na ławce.

Sąsiednią zajmowała grupa podchmielonych starszych mężczyzn, których Birgitta widziała już wiele razy.

Miała niejasne wrażenie, że kiedyś skazała jednego z nich za jakieś przewinienie, którego nie mogła sobie przypomnieć.

Byli stałymi bywalcami parku.

Parkowipijacy i samotni mężczyźni grabiący liście na cmentarzachto rdzeń szwedzkiego społeczeństwa.

Gdyby zniknęli,co by

pozostało?

Często o tym myślała.

Jeden zmężczyzn przy pijackiej ławce miał ciemną skórę.

Nawettutaj kształtowała się tożsamość nowej Szwecji.

Birgitta uśmiechnęła się.

- Nadeszła wiosna - powiedziała.

-Przyszłam, żeby pani powiedzieć, że Hong nie żyje.

Birgitta nie wiedziała, czego sięspodziewać, ale o czymś takim nigdy nie pomyślała.

Ta wiadomość nią wstrząsnęła.

W pierwszej chwili nie poczuła żalu, ale nagły strach.

-Co się stało?

- Zginęła w wypadku samochodowym podczaspodróży po Afryce.

Był z nią brat, ale jemu udało się przeżyć.

Chyba nawet nie byłogo w tym samochodzie.

Nie znamszczegółów.

535.

Birgitta w milczeniu wpatrywała się w Ho i przetwarzała w myślach jej słowa, próbując je zrozumieć.

Kolorowa wiosna nagle pomroczniała.

- Kiedy to się stało?

- Kilka miesięcy temu.

- W Afryce?

- Kochana Hong brała udział w dużej delegacji do Zimbabwe.

Nasz minister handlu Ke przeprowadził tę wizycie, uważanej za bardzo ważną.

Wypadek wydarzył się podczas wycieczki do Mozambiku.

Dwaj pijani mężczyźni zaczęli nagle na siebie krzyczeć, a po chwili wywiązała się bójka.

- Chodźmy stąd - powiedziała Birgitta, wstając z ławki.

Zabrała Ho do pobliskiej cukierni, w której okazały się jedynymi gośćmi.

Birgitta poprosiła dziewczynę za ladą, żeby ciszyła muzykę.

Po chwili w lokalu zrobiło się ciszej.

Ho piła wodę mineralną, Birgitta zamówiła kawę.

- Niech mi pani opowie - poprosiła.

- Ze szczegółami, powoli, wszystko, co pani wie.

Wciągu tych kilku dni znajomości z Hong w pewien sposób stała się dla mnie przyjaciółką.

Ale kim jest pani?

Kto wysłał panią w daleką drogę z Pekinu?

I przede wszystkim dlaczego?

Ho pokręciła głową.

- Przyleciałam z Londynu.

Hong miała wielu przyjaciół, którzy żałują, że ją stracili.

Tę przykrą wiadomość przekazała mi Ma Li, która była z nią w Afryce.

Ona też poprosiła, żebym się z panią skontaktowała.

- Ma Li?

-Jedna z przyjaciółek Hong.

- Niech pani zacznie od początku - zaproponowała Birgitta.

- Wciąż trudno mi uwierzyć w to, co pani mówi.

536

- Wszystkim nam trudno w to uwierzyć.

Ale to prawda.

Ma Li przysłała mi list, w którym opisała, co się stało.

Birgitta czekała na dalszy ciąg.

Spostrzegła nagle, że również cisza ma swoje znaczenie.

Ho tworzyła wokół nich przestrzeń.

Zamykała ją.

- Informacje do siebie nie pasują - ciągnęła Ho.

-Ma Li napisała tak, jakby to, czego się dowiedziała o śmierci Hong, było zafalszowane.

- Odkogoto usłyszała?

- Od Ya Ru.

Brata Hong.

Według niego Hong chciała po-

jechać w busz, żeby zobaczyć dzikie zwierzęta.

Najwyraźniej kierowca jechał za szybko.

Samochód się przewrócił i Hong zginęła na miejscu.

Auto spłonęło, wyciekła z niego

benzyna.

Birgitta pokręciła głową.

Wstrząsnął nią dreszcz.

Nie byław stanie wyobrazić sobie śmierci Hong w tak banalnym wypadku.

- Kilka dni przedśmiercią Hong odbyła długą rozmowęzMa Li - mówiła dalej Ho.

- Nie wiemo czym, Ma Li niezawiodła zaufania przyjaciółki.

Lecz Hong wyraźnie dałajeji coś do zrozumienia.

Na wypadek gdyby coś jej się przytrafiło, Ma Li miała o czymś wiedzieć.

- Dlaczego?

Słabo ją znałam.

- Nie znam odpowiedzina to pytanie.

-Ale Ma Limusiała przecieżytłumaczyć?

- Hong życzyła sobie, żeby pani wiedziała, gdzie możemynie znaleźć w Londynie, na wypadek gdyby potrzebowała

pani pomocy.

Birgittę ogarnął strach.

To wszystko jest ze sobą powiązane, pomyślała.

Napadają mnie naulicy w Pekinie, Hongginie w wypadku w Afryce.

W jakiś sposób jedno łączy się z drugim.

,

\ 537.

Wiadomość ją przeraziła.

Jeśli kiedykolwiek będzie pani potrzebowała pomocy, w Londynie mieszka kobieta imieniem Ho.

- Ale ja nie rozumiem nic z tego, co pani mówi.

Przyjechała tu pani po to, żeby mnie ostrzec?

Co może mnie spotkać?

- Ma Li nie podała żadnych szczegółów.

- Jednak to, co byłoby liście, wystarczyło, żeby pani tu przyjechała?

Wiedziała pani, gdzie mieszkam, wiedziała, gdzie mnie znaleźć?

Co napisała Ma Li?

- Hong opowiedziała jej o sędziwie Szwecji, pani Birgitcie Roślin, która była jej bliską przyjaciółką od wielu lat.

Opisał ten nieprzyjemny napad i staranne dochodzenie.

- Naprawdę tak powiedziała?

- Zacytowałam list.

Słowo po słowie.

Poza tym Hong powiedziała coś o fotografii, którą podobno pani jej pokazała.

Birgitcie na moment zaparło dech w piersiach.

- Czy to prawda?

Mówiła o zdjęciu?

Czy powiedziała coś jeszcze?

- Żebył na nim Chińczyk, który pani zdaniem miał coś wspólnego z jakimiś wydarzeniami w Szwecji.

- Co o nim powiedziała?

- Hong była zaniepokojona.

Chyba coś odkryła.

- Co?

-Nie wiem.

Birgitta siedziała w milczeniu.

Próbowała rozszyfrować wiadomość od Hong.

Mogło to być tylko ostrzeżenie.

Czyżby Hong podejrzewała, że coś może jej się przytrafić?

Czy grozi jej jakieś niebezpieczeństwo?

Czy Hong wiedziała, kim był mężczyzna z fotografii?

Ale jeśli rzeczywiście tak było, dlaczego nic nie powiedziała?

538

Birgittę ogarnął niepokój.

Ho patrzyła na nią bez słowa, czekała.

- Muszę poznać odpowiedź na jedno pytanie.

Kim pan jest?

- Mieszkam w Londynie od początku lat dziewięćdziesiątych.

Przyjechałam tam jako sekretarz ambasady, potem mianowano mnie szefem Angielsko-Chińskiej Izby Handlowej.

Dziś jestem niezależnym doradcą chińskich firm, które próbują wejść na angielski rynek.

I nie tylko tam.

Jestem też zaangażowana w pracę nad dużym kompleksem wystawienniczym, który ma powstać pod Kalmarem.

Z uwagi na rodzaj pracy podróżuję po całej Europie.

- Jak poznała pani Hong?

Odpowiedź Ho ją zaskoczyła.

- Jesteśmy spokrewnione.

Hong była moją kuzynką.

Znałyśmy się od dziecka, mimo że Hong była ode mniedziesięćlat starsza.

Birgitta zastanawiała się, dlaczego Hong nazwała ją swojąwieloletnią przyjaciółką.

W tym musiała być zawartajakaśświadomość.

Wtej chwili na myśl przychodziło jej jedynie, że ich krótka znajomość musiała dużo znaczyć dla Hong.

I że obdarzyła Birgittę dużym zaufaniem.

A może musiałato zrobić?

- Co jeszcze byłow liście?

O mnie?

- Hong chciała, żeby przekazać pani wiadomość jaknajszybciej.

-Coś jeszcze?

- Tak jak powiedziałam.

Miała się pani dowiedzieć, żeistnieję i gdzie może mnie pani znaleźć, gdyby coś się stało.

- I tuurywają się wszystkieślady.

Comiałoby się wydarzyć?

- Nie wiem.

539.

Coś w głosie Ho sprawiło, że Birgitta stała się czujna.

Dotej pory Ho mówiła wszystko tak, jak było.

Ale teraz jej słowa zabrzmiały wymijająco.

Wiele więcej, niż mówi, pomyślała Birgitta.

- Chiny to wielki kraj - powiedziała.

- Komuś z Zachodu łatwiej wziąć jego ogrom za tajemniczość.

Z niewiedzy bierze się przekonanie, że ma się do czynienia z mistyką.

Ja tuz pewnością nie jestem wyjątkiem.

Tak właśnie postrzegałam Hong.

Cokolwiek do mnie mówiła, nigdy wszystkiego do końca nie rozumiałam.

- Chiny nie są bardziej tajemnicze niż jakikolwiek inny kraj na świecie.

To zachodni mit, że naszego kraju nie da się pojąć.

Europejczycy nigdy nie zaakceptowali faktu, że nie mogą zrozumieć naszego sposobu myślenia.

Ani tego, że dokonaliśmy wielu decydujących odkryć, zanim wydoszliście do tej samej wiedzy.

Proch, kompas, druk, wszystko to wywodzi się z Chin.

Nawet w sztuce mierzenia czasu nie byliście pierwsi.

Tysiąc lat przed tym, jak wy zaczęliście produkować mechaniczne zegary, my mieliśmy zegary wodne i klepsydry.

Nigdy nam tego niewybaczycie.

Dlatego nazywacie nas tajemniczymi i niepojętymi.

Kiedy ostatnio widziała się pani z Hong?

- Cztery lata temu.

Była w Londynie.

Spędziłyśmy razem kilka wieczorów.

To było latem.

Chciała chodzić na długie spacery do Hampstead Heath i wypytywałam mnie, co Anglicy sądzą o rozwoju Chin.

Była dociekliwa i okazywała zniecierpliwienie, kiedy moje odpowiedzi były niejasne.

Pozatem chciała chodzić na mecze krykieta.

- Dlaczego?

Nie powiedziała.

Hong miała sporo zaskakujących

zainteresowań.

540

- Moje zainteresowanie sportem nie jest szczególnie duże.

Ale akurat krykieta wydaje mi się zupełnie niepojętą dyscypliną, w której nie sposób się zorientować, dlaczego jedna drużyna wygrywa lub przegrywa.

- Myślę, że obserwując sporty Anglików, usiłowałam zrozumieć ich mentalność.

Była niezwykła.

Ho spojrzała na zegarek.

- Muszę jeszcze dziś lecieć z Kopenhagi do Londynu.

Birgitta wahała się, czy powinna zadać Ho pytanie, które tymczasem dojrzało w jej głowie,

- Czy przypadkiem nie była pani w moim domu ostatniej nocy?

W moim gabinecie?

Ho zdawała się nie rozumieć pytania.

Birgitta powtórzyła je.

Ho potrząsnęła głową, zaskoczona.

- Zatrzymałam się w hotelu.

Dlaczego miałabym zakradać się do pani domu jak złodziej?

- Po prostu byłam ciekawa.

Obudził mnie jakiś dźwięk.

- Ale czy ktoś tam był?

-Nie wiem.

- Czy coś zginęło?

-Wydaje mi się, że papiery były poprzekładane.

- Nie -powtórzyła Ho.

- Nie byłam w pani domu.

- I jest tu pani sama?

-Nikt nie wie, że poleciałam doSzwecji.

Nawet mój mążi dzieci.

Myślą, żejestem w Brukseli.

Częstotam jeżdżę.

Ho wyjęła wizytówkę i położyła ją przed Birgittą.

Byłona niej jej imięi nazwisko.

Ho MeiWan, adres i numerytelefonów.

- Gdzie pani mieszka?

-W Chinatown.

Latem nocą na ulicach bywa głośno, alei tak chcę tam mieszkać.

To małe Chinyw samym środkuLondynu.

541.

Birgitta wsunęła wizytówkę do torebki.

Odprowadziła Ho na stację i dopilnowała, by wsiadła do właściwego pociągu.

- Mój mąż jest konduktorem - powiedziała.

- Corobipani mąż?

- Jest kelnerem - odparła Ho.

- To dlatego mieszkamy w Chinatown.

Pracuje w restauracji na parterze.

Birgitta patrzyła, jak pociąg do Kopenhagi znikaw tunelu.

Wróciła do domu, przygotowała sobie coś do jedzenia i nagle poczuła, jak bardzo jest zmęczona.

Postanowiła obejrzeć wiadomości, lecz zasnęła na kanapie przed telewizorem.

Obudził ją dzwonek telefonu.

To Staffan dzwonił z Funchalu.

Połączenie było słabe, musiał krzyknąć, żeby Birgitta mogła usłyszeć jego głos zagłuszany przez głośnie trzaski.

Zrozumiała tylko tyle, że wszystko u nich w porządku i dobrze się bawią, po czym połączenie się przerwało.

Czekała chwilę, aż Staffan znów zadzwoni, ale telefon milczał.

Wróciła na kanapę.

Śmierć Hong wydawała jej się tak nierzeczywista, że nie mogła w nią uwierzyć.

Jednak już wtedy, gdy Ho opowiadała, co się wydarzyło, Birgitta miała wrażenie, że coś się w tym wszystkim nie zgadza.

Żałowała, że nie zadała Ho więcej pytań.

Była bardzo zmęczona po skomplikowanej rozprawie i nie mogła się skoncentrować.

Teraz Ho znajdowała się już w drodze do swojego angielskiego Chinatown.

Birgitta zapaliła świeczkę, by uczcić pamięć Hong, po czym szukała wśród leżących na półce map plan Londynu.

Restauracja znajdowała się tuż przy Leicester Square.

Birgitta była kiedyś w tym małym parku ze Staffanem, obserwowali przechodniów.

Była późna jesień.

W podróż do Londynu wybrali się z dnia na dzień, bez żadnych przygotowań.

Późno

nie często wspominali ten akurat wyjazd, był on dla nich jak wyjątkowa i cenna pamiątka.

Poszła wcześniej spać, ponieważ również następnego ranka musiała być na sali sądowej.

Choć sprawa kobiety maltretującej swoją matkę nie była tak skomplikowana jak proces czterech Wietnamczyków, nie mogła zasiąść za stołem sędziowskim niewyspana.

Choćby z szacunku dla samej siebie.

Żeby na pewno zasnąć, połknęła pół tabletki nasennej i zgasiła światło.

Rozprawa okazała się prostsza, niż sądziła.

Oskarżona zmieniła swoje wcześniejsze zeznania i przyznała się do postawionych przez prokuratora zarzutów.

Również obrona nie miała w zanadru żadnych niespodzianek, które mogłyby wydłużyć rozprawę.

Już za piętnaście czwarta po południu Birgitta zamknęła rozprawę i wyznaczyła termin ogłoszenia wyroku na czwarte.

Po powrocie do gabinetu podniosła słuchawkę telefonu i wybrała numer komendy policji w Hudiksvall.

Nie planowała tego wcześniej.

Młody kobiecie głos zabrzmiał znajomo.

Recepcjonistka była mniej zdenerwowana i mniej zmęczona niż podczas tych zimowych dni, kiedy Birgitta z nią rozmawiała.

- Chciałabym mówić z Vivi Sundberg.

O ile jest u siebie.

- Widziałam przed chwilą, jak przechodziła.

Kogo mam przedstawić?

- Z sędzią z Helsingborga.

Towystarczy.

Vivi Sundberg natychmiast odebrała.

- Birgitta Roślin!

Minęło już sporo czasu.

- Nagle przyszło mi do głowy, żeby zadzwonić.

- Nowi Chińczycy?

Nowe teorie?

Birgitta wyczuła ironię w głosie policjantki i miała na końcu języka odpowiedź, że zamierza wyciągnąć z kapelusza całą

543.

masę nowych Chińczyków.

Wy tłumaczyła jednak swój telefon ciekawością i chęcią dowiedzenia się czegoś nowego.

- Wciąż jesteśmy zdania, że zrobił to mężczyzna, któremu niestety udało się odebrać sobie życie w celi - powiedziała Vivi Sundberg.

- Mimo że on nie żyje, śledztwo trwa.

Nie możemy skazać zmarłego, ale możemy wytłumaczyć żywym, co się stało, a przede wszystkim dlaczego.

- Uda się wam?

- Za wcześnie, by na to odpowiedzieć.

- Jakieś nowe tropy?

- Nie mogę o tym mówić.

- Żadnych nowych podejrzanych?

Żadnego innego wyjaśnienia?

- Na ten temat też nie mogę się wypowiadać.

Prowadzimy rozwojowe śledztwo, pełne skomplikowanych szczegółów.

- Ale jesteście zdania, że zrobił to człowiek, którego aresztowaliście?

I że naprawdę miał motyw, by zabić dziesięć osób?

- Na to wygląda.

Przynajmniej tyle mogę pani powiedzieć, że zrobiliśmy wszelkie możliwe ekspertyzy, korzystaliśmy z pomocy kryminologów, psychologów i psychiatrów sądowych, specjalistów od psychologicznych profili sprawców, oraz oczywiście doświadczonych śledczych i techników kryminalistyki, których mamy w kraju.

Profesor Persson ma rzecz jasna wielkie wątpliwości, ale kiedy ich nie ma?

Nikt jednak nie kazał nam ani prokuratorowi odrabiać za-

daniami domowego jeszcze raz.

Choć przed nami jeszcze długa droga.

- Chłopiec - powiedziała Birgitta.

- Ten, który został zabity, ale nie pasował do całej reszty.

Jak to wytłumaczycie?

- Nie mamy żadnego wyjaśnienia.

Ale oczywiście mamy obraz całego zdarzenia.

544

- Zastanawia mnie jedno ciągnęła Birgitta.

- Czy wśród zabitych byli tacy, którzy wydawali się ważniejsi od innych ofiar?

- Co ma pani na myśli?

- Na przykład, czy niektórych potraktowano szczególnie okrutnie?

Albo zabito ich pierwszych lub ostatnich?

- To są pytania, na które nie mogę odpowiedzieć.

- Proszę tylko powiedzieć, czy moje pytania są dla pani zaskoczeniem.

- Nie.

- Byłam w Chinach.

Widziałam Wielki Mur.

Zostałam napadnięta i spędziłam jeden dzień w towarzystwie bardzo surowych policjantów.

- Rozumiem - odparła Vivi Sundberg.

- Była pani

ranna?

- Nie, tylko wystraszona.

A skradzioną torebkę odzyskałam.

- Więc jednak miała pani szczęście?

- Tak - odparła Birgitta.

- Miałam szczęście.

Dziękuję, że

poświęcałam pani swój czas.

Po zakończeniu rozmowy Birgitta siedziała jeszcze chwilę w gabinecie.

Nie wątpiła w to, że zaangażowani do pomocy specjaliści, o których mówiła Vivi Sundberg, zareagowałyby, uznawszy, że śledztwo zabrnęło w ślepią uliczkę.

Wieczorem poszła na długi spacer, a potem spędziła kilkadziesiąt godzin, wertując nowe broszury o dostępnych aktualnie w sprzedaży winach.

Zanotowała nazwy kilku czerwonych win z Włoch, które zamierzała zamówić, a potem obejrzała w telewizji stary film.

Widziała go już kiedyś, razem ze Staffanem, na początku ich znajomości.

Jane Ponda grała w nim prostytutkę, kolory były blade i rozmyte, historia osobliwa.

Birgitta śmiała się z dziwnych strojów, przede wszystkim

545.

z wysokich, wulgarnych butów na koturnach, które dyktowała ówczesna moda.

Już prawie spała, gdy nagle zadzwonił telefon.

Zegar nocnej szafce wskazywał za piętnaście dwunastą.

Po chwilidźwięk dzwonka umilkł.

Gdyby był to Staffan albo któreś dzieci, zadzwoniliby na komórkę.

Birgitta zgasiła światło.

Telefon odezwał się na nowo.

Podbiegła do stojącego nabiurku aparatu i podniosła słuchawkę.

- Pani Birgitta Roślin?

Przepraszam, że dzwonię tak późno.

Poznaję pani, kto mówi?

Głos brzmiał znajomo, ale nie umiała dopasować do niegotwarzy.

To był mężczyzna.

Starszy mężczyzna.

- Nie, właściwie nie.

-StureHermansson.

- Czy ja pana znam?

- "Znam" to może zbyt wiele powiedziane.

Odwiedził pan mój mały hotel "Eden" w Hudiksvall kilka miesięcy temu.

- Tak, przypominam sobie.

-Przepraszam, że dzwonię tak późno.

- Już pan to mówił.

Zakładam, że ma pan do mnie jakąś sprawę?

- On wrócił.

Wymawiając ostatnie słowa, Sture Hermansson ściszył głos.

Birgitta w jednej chwili zrozumiała, co miał na myśli.

- Chińczyk?

-Tak, właśnie on.

- Jest pan pewien?

-Przyszędłprzed chwilą.

Nie rezerwowałwcześniej pokoju.

Dałem mu klucz.

Jest w swoim pokoju.

Numer dwanaście,tak jakostatnio.

- Jestpan pewien, żeto on?

546

- Film coprawda ma pani, ale wydaje mi się, że to ta samaosoba.

A przynajmniejżywa tego samego nazwiska.

Birgitta zastanawiała się, co powinna zrobić.

Serce waliłojęj w piersi jakszalone.

Sture Hermanssonprzerwał jej rozmyślania.

- Jest jeszcze coś.

-Co?

- Pytał o panią.

Wstrzymała oddech.

Czający się w niej strach uderzyłz całą siłą.

- To niemożliwe, .

- Mój angielski jest dośćśłaby.

Jeśli mam być szczery, dopiero po dłuższej chwilizrozumiałem, o co mnie pytał.

Brzmiało to jak "Birgitta Loslin".

- Co pan odpowiedział?

?

- Że mieszka pani w Helsingborgu.

Chyba był zaskoczony.

Myślę, że liczył na to, że znajdzie panią w Hudiksvall.

- Co jeszcze mu pan odpowiedział?

- Dałem mu pani adres, ponieważ zostawił mi go pan z prośbą, żebym zadzwonił, jeśli coś się wydarzy.

A można chyba powiedzieć, że się wydarzyło.

Niech cię szlag, pomyślała.

Czuła, jak ogarnia ją

panika.

Niech pan coś dla mnie zrobi - powiedziała.

- Niech pan nie zadzwoni, kiedy on wyjdzie.

Nawet jeśli to będzie w środku nocy.

Niech pan zadzwoni.

- Zakładam, że życzy sobie pani, żebym mu przekazał,

że się z panią skontaktowałem?

- Byłoby lepiej, gdyby pan tego nie robił.

- A więc dobrze.

Nic mi nie powiem.

Rozłączył się.

Birgitta nie rozumiała nic z tego, co się

działo.

547.

Hong nie żyła.

Ale mężczyzna z czerwoną wstążką wrócił.

36

Po bezsennej nocy, tuż przed siódmą rano, Birgitta zadzwoniła do hotelu "Eden".

Odczekała kilka sygnałów, ale nikt nie odebrał telefonu.

W nocy próbowała opanować strach.

Gdyby Ho nie przyjechała do niej specjalnie z Londynu, nie przejęłaby się specjalnie późnym telefonem Sturego Hermanssona.

Ponieważ do tego momentu się nie odezwał, należało sądzić, że nic szczególnego się nie wydarzyło.

Być może Chińczyk jeszcze spał.

Postanowiła, że zaczeka jeszcze pół godziny.

Miała przed sobą kilka dni bez rozpraw sądowych, miała więc nadzieję, że uda jej się nadgonić z papierkową robotą i znaleźć czas na sformułowanie wyroku dla czterech Wietnamczyków.

Nagle zadzwonił telefon.

Był to Scaffan, dzwonił z Funchalu.

- Wybieramy się na wycieczkę - powiedział.

- Jedźcie na wycieczkę, bierzcie misia w teczkę?

- Żaglówką.

Zarezerwowaliśmy sobie miejsca na dużej łódce, która zabierze nas daleko w morze.

Możliwe, że będziemy poza zasięgiem przez najbliższe dwa dni.

- Dokąd płyniecie?

- Donikąd.

To pomysł dzieci.

Wynajęliśmy się w charakterze niewykwalifikowanej załogi, oprócz nas płynie kapitan, kucharz i dwóch obywateli żaglamarynarzy.

- Kiedy wyruszacie?

548

- Już wypłynęliśmy.

Jest cudowna pogoda.

Ale niestety

, narazie nie ma wiatru.

- Czy macie tam jakieś tratwy ratunkowe?

Kamizelki?

- Nie doceniasz nas.

Lepiejżyc nam miłej żeglugi.

Jeśli chcesz, mogę ci przywieźć trochę słonej wody w słoiku.

Połączenie było słabe.

Wykrzyczeli kilka słów na pożeg; naniei rozłączyli się.

Birgitta Roślin nagle pożałowała, że, nie pojechała z rodziną, mimo że Hans Mattson byłby zawiedziony, a koledzy poirytowani.

Ponownie wybrała numer hotelu "Eden".

Tym razem było zajęte.

Odczekała pięć minut, po czym zadzwoniła jeszcze raz.

Wciąż zajęte.

Wyrzła przez okno i stwierdziła, że piękna wiosenna pogoda się utrzymała.

Uznała, że jest ubrana zdecydowanie za grubo i zmieniła strój.

Wciąż zajęte.

Zdecydowała, że spróbuje jeszcze raz zadzwonić ze swojego gabinetu w sądzie.

Po sprawdzeniu zawartości lodówki sporządziła listę zakupów, po czym jeszcze raz wybrała numer hotelu.

Odebrała kobieta mówiąca łamaną szwedczyzną.

- "Eden".

- Poproszę ze Sture Hermanssonem.

- Nie da się!

- wykrzyczała kobieta, po czym rozhisteryzowanym głosem zawołała coś w obcym języku, który Birgitta uznała za rosyjski.

Po chwili rozległ się dźwięk, jakby słuchawka spadła na podłogę.

Ktoś ją podniósł.

Tym razem odezwał się mężczyzna.

Mówił dialektem Halsinge.

- Halo?

-Chciałabym mówić ze Sture Hermanssonem.

- Z kim rozmawiam?

-A z kim ja rozmawiam?

Czy dzwoniłam się do hotelu

"Eden"?

549.

- Zgadza się.

Ale niemoże pani rozmawiać ze Sturem.

- Mówi Birgitta Roślin, dzwonię z Helsingborga.

StureHermansson skontaktował się ze mną wczoraj około północy.

Mieliśmy porozmawiać rano.

- On nie żyje.

Gwałtownie zaczerpnęła powietrza.

Poczuła nagły zawrót głowy, być może skurcz.

- Co się stało?

-Niewiemy.

Wygląda to tak, jakby skaleczył się nożem i się wykrwawił.

- Kim pan jest?

- Nazywam się Tage Elander.

Nie tak, jak były premier, on pisał się przez "Er".

Mam warsztat tapicerski w sąsiednim domu.

Sprzątaczką, tą Rosjanką, przybiegła do mnie przed paroma minutami.

Teraz czekamy na pogotowie i policję.

- Czy on został zamordowany?

-Sture?

Dlaczego, na Boga, ktoś miałby go mordować?

Skaleczył się nożem kuchennym.

A ponieważ był tu sam przez całą noc, nikt nie słyszał, jak wołał o pomoc.

Tookropne.

Taki miły człowiek.

Birgitta nie była pewna, czy dobrze zrozumiała słowa Tage Elandera.

- Nie mógł być sam w hotelu.

-Dlaczego?

- Przecież miał gości.

-Według tej Rosjanki hotel był pusty.

- Miał co najmniej jednego gościa, który mu zapłacił.

Powiedział mi to wczoraj wieczorem.

To był Chińczyk, który dostał pokój numer dwanaście.

- Możliwe, że źle zrozumiałem.

Zapytam ją.

Słyszałam tlenozmowę.

Głos rosyjskiej sprzątaczkę wciąż był krzykliwy i wzburzony.

550

Po chwili Elander wrócił do telefonu.

- Upiera się, że w hotelu nie było żadnych gości.

-Wystarczy sprawdzić w książce hotelowej.

Pokój numer dwanaście.

Gość z chińskim nazwiskiem.

Elander ponownie odszedł od telefonu.

Birgitta dosłyszała płacz rosyjskiej sprzątaczkę, która być może miała na imię Natasza.

Równocześnie uchwyciła trzaśnięcie drzwi i jakieś

nowe głosy.

' W słuchawce znów zabrzmiał głos Elandera.

;- Muszę kończyć.

Przyjechała policja i pogotowie.

Nie ma żadnej książki hotelowej.

ti -Jak to niema?

-Zniknęła.

Sprzątaczką mówi, że zawsze leżała na ladzie.

Teraz jejnie ma.

- Jest pewna, że w nocy był w hotelu ten mężczyzna.

-No to już go niema.

Czy to możliwe, żeby on zabrał

książkę?

- Myślę, że może być dużo gorzej - odparła Birgitta.

To zapewne on miał nóż i zabił Sture Hermanssona.

- Nie rozumiem, co pan mówi.

Chyba będzie lepiej, jeśli porozmawia pani z kimś z policji.

- Tak też zrobię, ale nie teraz.

Birgitta odłożyła słuchawkę.

Podczas całej rozmowy stała.

Teraz jednak poczuła, że musi usiąść.

Serce waliło jej w piersi

jak oszalałe.

Nagle wszystko stało się dla niej jasne.

Jeśli mężczyzna,

k który jej zdaniem dokonał zabójstwa w Hesjövallen, wrócił, by o nią zapytać, a potem, zabrawszy książkę hotelową, pozostawił po sobie martwego właściciela hotelu, mogło to oznaczać tylko jedno.

Wrócił, żeby ją zabić.

Prosząc młodego Chińczyka, by pokazał strażnikom budynku w Pekinie zdjęcie zrobione w hotelu Sture

Hermanssona, nie mogła

551.

przewidzieć konsekwencji.

Z oczywistych powodów ów mężczyzna myślał, że ona mieszka w Hudiksvall.

Teraz został wyprowadzony z błędu.

Sture Hermansson dał mu właściwy adres.

Przez moment nie mogła zebrać myśli.

Napaść w Pekinie śmierć Hong, torebka, która najpierw została skradziona, a potem odzyskana, czyjaś wizyta w jej pokoju hotelowym, to wszystko było ze sobą powiązane.

Ale co miało stać się teraz?

Nie wiedząc, co zrobić, wystukała numer męża.

Jego telefon był poza zasięgiem.

Przeklęła w myślach pomysł wycieczki żaglówką.

Spróbowała zadzwonić do którejś z córek, z podobnym skutkiem.

Również telefon Karin Wiman nie odpowiadał.

Atak paniki odbierał jej oddech.

Niewidziała żadnego rozwiązania poza ucieczką.

Musi zniknąć.

Przynajmniej dopóki nie zrozumie, co się dzieje i w co została wciągnięta.

Gdy już podjęła decyzję, zaczęła działać tak jak zawsze, kiedy była w trudnej sytuacji: szybko i zdecydowanie, bez wahania.

Zadzwoniła do Hansa Mattsona i udało jej się z nim połączyć, mimo że był na zebraniu.

- Źle się czuję - powiedziała.

- Tonie ciśnienie.

Po prostu mam gorączkę.

To chyba jakiś wirus.

Idę na zwolnienie, na kilka dni.

- Zszybko przeprowadziłaś sprawę Wietnamczyków-jęknął.

- Wcale mnie to nie dziwi.

Właśnie skończyłem pismo do Administracji Sądowej, w którym im tłumaczę, że praca w szwedzkich sądach staje się niemożliwa.

Przy takim obciążeniu sędziów robotą praworządność w naszym kraju jest zagrożona.

- To potrwa tylko kilka dni.

Niemam żadnych rozpraw do przyszłego tygodnia.

552

- Kuruj się.

I przeczytaj gazetę lokalną.

"Sędzia Roślin, jak zawsze, gdy przewodzi rozprawie, wykazała stanowczości nie dopuściła, by publiczność jej przeszkadzała.

To wzór do naśladowania!

" Słowo daję, otrzymujemy tyle pochwał, ile tylko się da.

W innym świecie i innym czasie okrzyknęlibyśmy cię Sędzią Roku, gdybyśmy stosowali takie podejrzane wyróżnienia.

Birgitta poszła na górę i spakowała małą torbę podróżną.

W jednym z podręczników prawa z czasów studiów miała schowanych trochę funtów, które zostały jej z poprzedniego wyjazdu.

Myślała tylko o człowieku, który zamordował Sturego Hermanssona, a teraz zmierzał na południe.

Jeśli podróżowała samochodem, mógł wyruszyć w nocy.

Nikt nie

widział, jak zniknął.

Po chwili przypomniała sobie, że zupełnie zapomniała o kamerze w hotelu "Eden".

Wystukała numer.

Tym razem słuchawkę podniósł kaszlący mężczyzna.

Niezadała sobie trudu, by się przedstawić.

- W hotelu jest ukryta kamera.

Sture Hermansson miał zwyczaj filmować swoich gości.

To nieprawda, że hotel był w nocy pusty.

Był w nim jeden gość.

- Kto mówi?

- Jest pan policjantem?

- Tak.

- Słyszysz pan, co powiedziałam.

Nie ma znaczenia, kim

jestem.

Odłożyła słuchawkę.

Zegar wskazywał wpół do dziewiątej.

Zadzwoniła po taksówkę, kazała się zawieźć na dworzec i chwilę po dziewiątej siedziała już w pociągu do Kopenhagi.

Panika zaczęła powoli ustępować i Birgitta próbowała uzasadnić swoją decyzję o wyjeździe.

Była pewna, że nie mówiła sobie zagrożenia.

Pokazując zdjęcie mężczyzny,

553.

który zatrzymał się w hotelu "Eden", bezwiednie wetknął kij w mrowisko.

Śmierć Hong była dla niej dzwonkiem alarmowym.

Jedynym wyjściem było skorzystanie z pomocy, którą oferowała Ho.

Na tablicy odlotów na lotnisku Kastrup Birgitta znalazła informację, że najbliższy lot na Heathrow będzie za dwie godziny.

Poszła do biura podróży i kupiła bilet otwarty.

Poprzeżeniu przez odprawę usiadła nad filiżanką kawy i jeszcze raz zadzwoniła do Karin, zanim jednak ta zdążyła odebrać, rozłączyła się.

Co miałyby jej powiedzieć?

Karin by jej niezrozumiała, mimo że opowiedziała jej wszystko podczas ich ostatniego spotkania.

W jej pojęciu świata nie mieściły się rzeczy, które przytrafiły się Birgittie.

W moim właściwie też nie, pomyślała.

Nieprawdopodobny ciąg wydarzeń zapędził ją w ślepy zaułek.

Przyleciała do Londynu z godzinnym opóźnieniem.

Na lotnisku panował kompletny chaos.

Po chwili Birgitta zrozumiała, że ogłoszono alarm bombowy z powodu torby podróźnej pozostawionej w hali odlotów.

Dopiero późnym popołudniem udało jej się dostać do miasta, gdzie wynajęła pokój w średniej klasy hotelu przy przecznicy Tottenham Court Road.

Rozgościła się w pokoju, zatkała swetrem szparę w nieszczelnym oknie, wychodzącym na ponure podwórko, i wyczerpana padła na łóżko.

Wcześniej zdrzemnęła się chwilę w samolocie, lecz po chwili wyrwał ją ze snu krzyk dziecka, które ucichło dopiero wówczas, gdy koła samolotu uderzyły o asfalt lotniska Heathrow.

Zdecydowanie zbyt młoda matka malucha po jakimś czasie sama załamała nad nim ręce i zaczęła płakać.

Birgitta obudziła się ze wzdrygnięciem po trzech godzinach.

Na dworze zapadał zmierzch.

Miała zamiar jeszcze tego samego dnia odszukać Ho pod jej domowym adresem 554

sem w Chinatown.

Teraz zdecydowała jednak, że poczekaj tym do następnego dnia.

Poszła na krótki spacer wdół, do Piccadilly Circus, i weszła do restauracji.

W prowadzących do lokalu szklanych drzwiach natknęła się na dużą grupę chińskich turystów.

Na ich widok wpadła w panikę, ale po chwili udało jej się uspokoić.

Pokolacji wróciła do hotelu i usiadła za barem, zamówiwszy filiżankę herbaty.

Odbierając w recepcji klucz do pokoju, zauważyła, że nocnym portierem jest Chińczyk.

Zastanawiała się, czy to teraz nagle w całej Europie pojawiło się mnóstwo Chińczyków, czy też może po prostu wcześniej tegonie

dostrzegła.

W myślach analizowała wszystko, co się stało, powróttajemniczego Chińczyka do hotelu "Eden" i śmierć Sture Hermanssona.

Kusiło ją, by zadzwonić do Vivi Sundbergi poprosić ją o jakieś informacje, ale się powstrzymała.

Skoro zniknęła książka hotelowa, ewentualne zdjęcie wykonane amatorsko zamontowaną kamerą przemysłową raczej nie zrobiłoby wrażenia na policji.

Jeżeli zaś śmierć Sture Hermanssona została uznana za nieszczęśliwy wypadek, rozmowa tym bardziej byłaby pozbawiona sensu.

Zamiast tego Birgitta zadzwoniła do hotelu "Eden".

Nikt nie odbierał.

Niewłączyła się nawet automatyczna sekretarka z informacją, że hotel jest nieczynny.

Może nie w tym sezonie, ale prawdopodobnie zostanie zamknięty na zawsze.

Nie mogąc się wyzbyć towarzyszącego jej przez cały czas lęku, zabarykadowała drzwi do pokoju krzesłem i dokładnie sprawdziła haczyki u okien.

Weszła do łóżka, przez chwilę przełączała kanały telewizyjne, ale wkrótce zrozumiała, że przed oczami ma przede wszystkim żaglówkę kołyszącą się na falach gdzieś w pobliżu Madery, a nie migające na ekranie obrazy.

555.

W środku nocy obudził ją dźwięk włączonego telewizora, w którym leciał stary, czarno-biały film z Jamesem Cagneyem w roli gangstera.

Wyłączyła lampkę, świecącą jej prosto w twarz.

Spróbowała z powrotem zapaść w sen.

Bezskutecznie.

Resztę nocy przeleżała, nie mogąc zasnąć.

Gdy zeszła na śniadanie, za oknem siąpił drobny deszcz.

Niejadła nic, wypła tylko filiżankę kawy.

Pożyczyła parasol recepcji, w której tym razem powitała ją młoda dziewczyna o azjatyckich rysach, prawdopodobnie z Filipin lub Tajlandii, po czym wyszła na ulicę.

Skierowała się w dół, do Leicester Square, i znalazła drogę do Chinatown.

Większość restauracji była jeszcze zamknięta.

Hans Mattson, który z zapałem podróżował po świecie w poszukiwaniu miejsc z dobrym jedzeniem nowożytnych smaków, powiedział kiedyś, że restauracje oferujące prawdziwie narodową kuchnię, chińską, irańską czy włoską, to te otwarte od rana.

Obsługują nie tylko turystów, co zazwyczaj czyni je godnymi polecenia.

Birgitta zapamiętała nazwy kilku z nich i zaczęła szukać adresu Ho.

Na parterze kamienicy, w której mieszkała Ho, znajdowała się restauracja, ta jednak była o tej porze zamknięta.

Budynek wzniesiony był z ciemnoczerwonej cegły.

Po obu stronach otaczały go zaułki bez nazwy.

Birgitta postanowiła zadzwonić do drzwi prowadzących do mieszkalnej części kamienicy.

Coś sprawiło jednak, że się zawahała i cofnęła palec.

Przeszła nad drugą stronę ulicy, usiadła w otwartej już kawiarni i zamówiła filiżankę herbaty.

Co właściwie wiedziała o Ho?

I co wiedziała o Hong?

Pewnego dnia Hong po prostu pojawiła się nagle przy jej stoliku w hotelowej restauracji.

Kto właściwie ją przysłał?

Czy to ona posłała swoich osiłków za Birgittą i Karin, gdy wybrały się na wycieczkę do Wielkiego Muru?

Jedna rzecz nie dawała jej spokoju.

Zarówno

556

Hong, jak i Ho były doskonale zorientowane, kim ona jest.

I wszystko to z powodu jednej fotografii.

Kradzież torebki niewydawała się jej już zdarzeniem samym w sobie, ale czymś wplecionym w sieć wszystkiego, co się wydarzyło.

Szukając wyjaśnienia, czuła się tak, jakby zagłębiała się w coraz bardziej zawiłym labiryncie.

Czy ma rację?

Czy Hong pojawiła się po to, by wywabić ją z hotelu?

Może Hong wcale nie zginęła w wypadku?

Czy istnieje możliwość, że Hong razem z mężczyzną nazwiskiem, Wang Min Hao jest zamieszana w zabójstwa w Hesjövallen?

Czy Ho przyjechała do Helsingborga z tego samego powodu?

Czy wiedziała, że pewien Chińczyk był w drodze do Hudiksvall i miał ponownie pojawić się w hotelu "Eden"?

A jeśli aniolowie stróżą Birgitty są upadłymi aniołami i próbują ją wywabić w miejsce, gdzie stanie się bezbronna?

Próbowała przypomnieć sobie, co mówiła Hong podczas rozmów.

Zdecydowanie za dużo, teraz to do niej dotarło.

Dziwne, że nie była ostrożniejsza.

Czy to Hong wszystko nakręciła?

Ta niewinna uwaga o tym, że w chińskich mediach pojawiła się wzmianka o masowym mordzie w Hesjövallen?

Czy to możliwe?

Czy może Hong wywabiła ją na lód, by popatrzeć, jak się ślizga, a potem pomóc jej dojść na stabilny grunt, gdy już wystarczająco dużo się dowiedziała?

Dlaczego właściwie Ho przesiedziała cały dzień na sali sądowej?

Nie znała szwedzkiego.

A może było inaczej?

A potem nagle tak bardzo zaczęło się jej śpieszyć do Londynu.

Może Ho siedziała tam tylko po to, żeby się upewnić, że cały czas jestem na sali, pomyślała Birgitta.

Może Ho miała współnika, który w tym czasie spędził kilka godzin w moim mieszkaniu?

Akurat teraz potrzebuję z kimś porozmawiać, pomyślała.

Nie z Karin, ona by nie zrozumiała.

Z Staffanem lub dziećmi.

mi. Ale oni żeglują po morzu, gdzieś, gdzie nie można donich dotrzeć.

Zamierzała właśnie wyjść z kawiarni, gdy zobaczyła, że otwierają się drzwi kamienicy naprzeciw.

Z budynku wyszła Hoi ruszyła w kierunku Leicester Square.

Birgittie wydało się, że Chinka zachowuje się czujnie.

Zawahała się, ale po chwili wyszła na ulicę i podążyła za Ho.

Gdy doszły do placu.

Ho weszła do niewielkiego parku, a potem skręciła w kierunku Strandu.

Birgitta cały czas była przygotowana na to, że Ho za moment się odwróci, żeby sprawdzić, czy ktoś jej nie śledzi.

Zrobiła to po chwili, na wysokości Zimbabwe House.

Birgitta zdążyła otworzyć parasol i schować za nim twarz.

Niemal całkiem straciła Chinkę z oczu, wkrótce jednak odnalazła w zrokiem jej żółtą pelerynę.

Kilka kamienic przed hotelem "Savoy" Hopchnęła ciężkie drzwi biurowca i weszła do budynku.

Birgitta odczekała kilka minut, poczym podeszła i przeczytała napis na wypolerowanej mosiężnej tablicy, informujący, że mieści się tu Angielsko-Chińska Izba Handlowa.

Wróciła tą samą drogą, którą przyszła, i wstąpiła do kawiarni na Regent Street, tuż przy Piccadilly Circus.

Stamtąd zadzwoniła pod jeden z numerów z wizytówki, którą dała jej Ho.

Automatyczna sekretarka poprosiła ją o pozostawienie wiadomości.

Rozłączyła się, pomyślała, co powinna powiedzieć po angielsku, po czym ponownie wybrała ten sam numer.

- Zrobiłam tak, jak mi pani radziła.

Przyleciałam do Londynu, ponieważ wydaje mi się, że ktoś mnie śledzi.

Teraz siedzę w "Simsons", to kawiarnia obok domu mody "Rawsons" na Piccadilly przy Regent Street.

Jest dziesiąta.

Posiedzę tu jeszcze godzinę.

Jeśli przez ten czas pani się nie odezwie, zadzwonię później w ciągu dnia.

558

Ho przysłała czterdzieści minut później.

Jej jaskrawa, żółta peleryna wyróżniała się w masie szarych okryć przeciwdeszczowych.

Birgitta pomyślała, że być może również tomiało

jakieś szczególne znaczenie.

Ho wyglądała na zaniepokojoną.

Zaczęła mówić, jeszcze zanim odsunęła krzesło i usiadła.

- Co się stało?

Kelnerka przyjęła od niej zamówienie na herbatę.

Birgitta, nie pomijając żadnych szczegółów, opowiedziała o Chińczyku, który pojawił się w hotelu w Hudiksvall.

Że był to ten sam człowiek, o którym mówiła wcześniej.

Nakoniec zjawiła się, że właściciel hotelu został zabity.

, - Czy to pewne?

- Nie przyjechałam do Londynu po to, by opowiedzieć

oczymś, czego nie jestem pewna.

Jestem tu, bo to, co się tam wydarzyło, to prawda, i ja się boję.

Ten mężczyzna pytało mnie.

Dowiedział się, gdzie mieszkam.

Teraz jestem tu.

Robię to, co poradzili mi Ma Li, a właściwie Hong, i co paniami przekazała.

Boję się, ale jestem też zła, bo wiem, że ani pani, ani Hong, nie mówiliście prawdy.

- Dlaczego miałabym kłamać?

Przebyła pani długą drogę do Londynu.

Proszę nie zapominać o tym, że moja podróż do pani była tak samo długa.

- Nie powiedziano mi wszystkiego.

Nie usłyszałam żadnych wyjaśnień, a jestem pewna, że istnieją.

Ho siedziała bez ruchu.

W głowie Birgitty wciąż kołatała się myśl, że jej peleryna jest zdecydowanie zbyt jaskrawa.

- Ma pani rację - powiedziała Chinka.

- Zapomina pani jednak o tym, że być może Hong i Ma Li niewiedziały więcej, niż mówiły.

- Nie zdawałam sobie z tego dokońca spraw, kiedy pani domnie przyjechała - odparła Birgitta - ale wiem to teraz.

559.

Hong obawiała się, że ktoś chce mnie zabić.

To właśnie powiedziała Ma Li.

Później wiadomość trafiła do pani.

Kolejnotrzy kobiety ostrzegają czwartą, że grozi jej wielkie niebezpieczeństwo.

Nie jakieś tam niebezpieczeństwo.

Śmierć.

Nicinnego.

Zanim zdałam sobie z tego sprawę, wystawiałam się na zagrożenie, którego ogrom dopiero teraz mogę dostrzec.

Czy nie mam racji?

- To właśnie dlatego przyjechałam.

Birgitta pochyliła się nad stolikiem i ujęła dłoń Ho.

- Niech mi pani pomożezrozumieć.

Niech pani odpowiena moje pytania.

- O ile mogę.

-Może pani.

Czy przypadkiem nie przywiozła panizesobą kogoś do Helsingborga?

Czynie jest tak, że teraz ktoś pilnuje i pani, i mnie?

Mogła pani zadzwonić do kogoś, zanim tu przyszła.

- Dlaczego miałabym to zrobić?

-To nie jest odpowiedź, ale pytanie.

Chcę usłyszeć odpowiedź.

- Nikogo nie przywiozłam zesobą do Helsingborga.

-Dlaczego siedziała pani przez cały dzień na sali sądowej?

Nie mogła pani przecież zrozumieć ani słowa.

-Nie.

Birgitta przeszła nagle na szwedzki.

Ho potrząsnęła głową zmarszczyła czoło.

- Nie rozumiem.

-Czy na pewno?

A może tak naprawdę doskonale rozumie pani mój język?

- Gdybym go rozumiała i znała, rozmawiałybyśmy przecież po szwedzku.

-Musi pani zrozumieć, nie mam pewności.

Być może widzi pani jakąś korzyść w tym, że pani zna mój język, a ja

560

o tym nie wiem.

Zastanawiam się nawet nad tym, czy nieważkość pani tej peleryny potrafiłaby komuś łatwiej być panią odnaleźć.

- Dlaczego?

-Nie wiem.

W tej chwili nic nie wiem.

Najważniejsze jest oczywiście to, że Hong chciała mnie ostrzec.

Ale dlaczego mam szukać pomocy u pani?

Co pani może zrobić?

- Pozwoli pani, że najpierw odpowiem na ostatnie pytanie - powiedziała Ho.

- Chinatown to odrębny świat.

Nawet jeśli pani i tysiące Anglików czy turystów wędruje po naszych ulicach, Gerrard Street, Lisie Street, Wardour Street, po zaułkach i zakamarkach, i tak pozwalamy wam poznać jedynie powierzchnię.

Za pani Chinatown znajduje się moje Chinatown.

Można się w nim ukryć, zmienić tożsamość, przeżyć całe miesiące i lata, i nikt nie będzie wiedział, kim pani jest.

Nawet jeśli większość mieszkających tu Chińczyków to naturalizowani Anglicy, łączymy poczucie, że

znajdujemy się we własnym świecie.

Mogę pani pomóc, wprowadzając panią do mojego Chinatown, do którego w innych okolicznościach nigdy nie miałaby pani wstępu.

- Czego właściwie mam się bać?

-Ma Li, pisząc do mnie, nie sformułowała tego jasno.

Pozatym nie wolno pani zapominać o tym, że ona też się bała.

Nie napisała tego, ale mogłam to wyczuć.

- Wszyscy się boją.

Czy pan też się boi?

- Jeszcze nie.

Ale mogę zacząć.

Zadzwoił telefon Ho.

Rzuciła okiem na wyświetlacz

i wstała.

-Gdzie pani się zatrzymała?

- zapytała.

-W którym

hotelu?

Muszę wracać do pracy.

- "Sanderson".

-Wiem, gdzie to jest.

W którym pokoju?

561.

- Sto trzydzieści pięć.

-Czy możemy się spotkać jutro?

- Dlaczego musimy tak długo czekać?

-Pracuję dziś do późna.

Wieczorem mam spotkanie, naktórym muszę być.

- Czy to prawda?

Ho ujęła dłoń Birgitty.

- Tak - powiedziała.

- Delegacja z Chin przyjechała na biznesowe rozmowy z kilkoma dużymi angielskimi firmami.

Jeśli nie przyjdę, wyleją mnie.

- W tej chwili jest pani jedyną osobą, do której mogę się wrócić.

-Proszę zadzwonić do mnie jutro przed południem.

Spróbuję wziąć wolne.

Po chwili zniknęła w tłumie, powiewając połamami żółtej peleryny.

Birgitta siedziała przy stoliku, czując, że ogarniają ogromne zmęczenie.

Minęło wiele czasu, zanim wróciła do hotelu, który oczywiście nie nazywał się "Sanderson".

Wciąż jeszcze nie ufała Ho, w tej chwili nie ufała nikomu o azjatyckich rysach.

Wieczorem zeszła do hotelowej restauracji.

Po kolacji deszcz wreszcie przestał padać, zdecydowała więc, że pójdzie spacer i nim furtki zostaną zamknięte na noc, posiedzi na ławce, na której siedziała kiedyś ze Staffanem.

Obserwowała przechodzących ludzi, grupkę młodzieży, która na moment obsiadła jej ławkę.

Po chwili zniknęła, a jej miejsce zajął starszy mężczyzna z gazetą, którą wyjął ze śmietnika.

Ponownie spróbowała zadzwonić do Staffana na Maderę, choć wiedziała, że nie ma to sensu.

Ludzi spacerujących w parku było coraz mniej i mniej.

W końcu Birgitta też wstała z ławki, żeby wrócić do hotelu.

562

Wtedy go zobaczyła.

Nadszedł jedną ze ścieżek biegnących pod kątem, za ławką, na której siedziała.

Był ubrany czarno.

Niemógł być nikim innym jak tylko mężczyzną z fotografii zrobionej kamerą Sture Hermanssona.

Szedł wprost na nią i trzymał w dłoni coś błyszczącego.

' Krzyknęła i zrobiła krok do tyłu.

Był coraz bliżej.

W tym momencie Birgitta przewróciła się do tyłu i uderzyła głową

w metalowy kant ławki.

Ostatnią rzeczą, jaką zobaczyła, była jego twarz.

Jakby jednym spojrzeniem zrobił mu kolejne zdjęcie.

To było wszystko.

Potem zapadła w wielką, bezgłołą

ciemność.

37

Ya Ru kochał cień.

Mógł się w jego schronieniu stać niewidzialnym, tak samo jak drapieżniki, których się obawiali
którzy podziwiali.

Ale tę zdolność posiadali również inni.

Często myślał o tym, że przyszło mu żyć w świecie, w jakim młodzi przedsiębiorcy powoli przejmują
władzę nad gospodarką, stopniowo domagając się miejsca przy stole, przy którym decydowano o polityce.

Wszyscy stworzyli dla siebie cień, z perspektywy którego pilnowali innych, sami
pozostając niewidoczni.

Lecz cień, w którym skrył się tego deszczowego wieczoru!

w Londynie, miał służyć innemu celowi.

Obserwował Birgittę Roślin siedzącą na ławce w małym parku przy Leicester Square.

Stanął tak, że mógł widzieć tylko jej plecy.

Nie chciał ryzykować, że go zauważy.

Zorientował się, że jest ostrożna i czujna jak niespokojne zwierzę.

Doceniał ją.

Skoro Hong obdarzyła ją zaufaniem, musiał ją traktować z najwyższą powagą.

563.

Śledził ją przez cały dzień, odkąd wcześniej rano pojawiła się pod domem, w którym mieszkała Ho.

Bawił się myślą, że jest właścicielem restauracji, w której pracuje ona, żona Ho.

Oni oczywiście o tym nie wiedzieli, a on rzadko kiedy występował w roli właściciela pod prawdziwym nazwiskiem.

Restauracja "Ming" należała do Chinese Food Inc" spółki akcyjnej zarejestrowanej w Liechtensteinie.

To tam właśnie on ulokował wszystkie swoje europejskie restauracje.

Uważał, że sprawdza wszystkie bilanse i raporty kwartalne, przedstawiane przez młodych, zdolnych Chińczyków rekrutowanych na najlepszych angielskich uniwersytetach.

On nigdy nie widział wszystkiego, co angielskie.

Nigdy nie zapomniał historii.

Cieszyła go świadomość, że pozbawił ten kraj kilku młodych zdolnych biznesmenów, którzy ukończyli najlepsze uczelnie.

On nigdy nie zjadł żadnego posiłku w restauracji "Ming".

I tym razem nie miał takiego zamiaru.

Zamierzał wrócić do Pekinu natychmiast po wypełnieniu swojej misji.

Był w jego życiu, gdy patrzył na lotniska niemal nabożną czcią.

Były to porty czasów nowożytnych.

On nigdy nie ruszał bez egzemplarza książki opisującej podróże Marco Polo.

Imponowało mu jego pozbawione lęku pragnienie poznawania nowego.

Był dla niego przykładem.

Teraz podróżowanie stało się dla niego czymś uciążliwym.

Mimo że miał już swój własny samolot, był niezależny od rozkładów lotów i zazwyczajnie musiał czekać na pory i otwierających lotniskach.

Cóż z tego, że szybkie przemieszczenie się na miejsce ożywia umysł, że satysfakcję sprawia przekraczanie stref czasowych czy myśl, że dotarł się do celu, niemal zanim zdążyło się wyruszyć w drogę, skoro potem człowiek tracił czas na bezsensowne czekanie, by wreszcie wyjść lub móc odebrać bagaż.

Oświetlone

neonami lotniskowe centra handlowe, ruchome chodniki, rozbrzmiewające echem korytarze, coraz ciaśniejsze szklane klatki, w których tłoczą się palacze, wspólnie chorujący na raka i choroby układu krążenia, nie były miejscem, w którym mogły powstawać nowe myśli, toczyć się filozoficzne dysputy.

Ya Ru myślał o czasach, gdy ludzie przemieszczali się pociągami i pływali na parowcach.

Tam wtedy uczone dyskusje były oczywistością, tak samo jak luksus

i swoboda.

Dlatego wyposażył samolot, swego wielkiego gulfstreama,

w kilka antycznych regałówna książki i przechowywał w nich najważniejsze dzieła literatury chińskiej i światowej.

Uważał się za dalekiego krewnego kapitana Nemo, choć łączyły ich jedynie symboliczne więzy krwi.

Kapitan Nemo podróżował w swojej łodzi podwodnej jak samotny cesarz bez cesarstwa, za to z ogromną biblioteką i wyniszczającą nienawiścią do ludzkości, która złamała mu życie.

Uważano, że pierwowzorem Nemo był zaginiony indyjski książę, który przeciwstawił się Imperium Brytyjskiemu, dlatego też Ya Ru odczuwał więź również z nim.

Najbliższy był mu jednak zgorzkniały kapitan Nemo, genialny inżynier i filozof.

Dlatego jego gulfstream otrzymał nazwę "Nautilus II", a krótki korytarz wiodący do kokpitu ozdobiło powiększenie jednej z oryginalnych akwafort z książki, na której kapitan Nemo stoi ze swoimi niedobrowolnymi gośćmi w wielkiej

bibliotece "Nautilusa".

Teraz jednak liczył się cień.

Dobrze się w nim ukrył

i obserwował kobietę, którą musiał zabić.

Z kapitanem Nemo łączyła go również wiara w zemstę, ów lejt motyw

historii.

Wkrótce będzie już po wszystkim.

Teraz, gdy znalazł się

w londyńskim Chinatown, a krople deszczu ściekały mu za 565.

kołnierz kurtki, uderzyła go myśl, że jest coś zastanawiającego w tym, że cała historia ma się zakończyć w Anglii.

To właśnie stąd dwaj bracia Wang wyruszyli w podróż powrotną do Chin.

Tylko jednemu z nich było dane znów je zobaczyć.

Ya Ru lubił czekać, gdy sam decydował o czasie.

Wbrew nadziejom do lotnisk, gdzie kontrolę nad nim mieli inni ludzie.

Często dziwiło to jego przyjaciół, którzy postrzegali życie jako zbyt krótkie, stworzone przez boga podobnego do starego, surowego mandaryna, który nie chciał, by radość życia trwała zbyt długo.

W rozmowach z nimi, a byli to przyjaciele, w których rękach spoczywała teraz przyszłość Chin, Ya Ru utrzymywał, że bóg, stwarzając świat, doskonale wiedział, co robi.

Gdyby ludziom pozwolono żyć zbyt długo, ich zdolności urosłyby do takich rozmiarów, że przejrzeliby mandaryna i zniszczyli.

Krótkie życie zapobiega nadmiernej liczbie powstań, twierdził Ya Ru.

I przyjaciele zazwyczaj się tym zgadzali, choć nie zawsze pojmowali jego rozumowanie.

Ya Ru górował nawet nad tymi młodymi pretendentami do tronu.

Nie podawało się w wątpliwość słów tego, który stał najwyżej.

Wiosną każdego roku bierał wszystkich znajomych w swojej posiadłości na północny wschód od Kantonu.

Obstawiali ogiery, które miały zostać wypuszczone, robili zakłady, a potem obserwowali walkę o władzę nad stadem, aż w końcu jeden ogier, tocząc pianę, stawał na wzgórzu, demonstrując, że jest najsilniejszy.

Gdy Ya Ru chciał zrozumieć zachowanie swoje i innych, zawsze powracał do zwierząt.

Był lampartem i był też ogierem, który walczył o pozycję jedynowładcy.

Jeśli Deng był bezbarwnym kotem, uganiającym się zamysłami lepiej niż inni, Mao był sową, myślicielem, ale za 566

razem bezwzględny myśliwy, umiejący bezszelestnie zbliżyć się do ofiary.

Birgitta Roślin przerwała jego rozmyślenia, wstając z ławki.

W ciągu dnia, gdy ją śledził, jedno z pewnością wysłona jaw.

Bała się.

Cały czas oglądała się za siebie, ani przez chwilę nie wydawała się spokojna.

Przez głowę nieustannie biegały jej nerwowe myśli.

Mógłby to jakoś wykorzystać, choć jeszcze nie wiedział jak.

Teraz jednak wstała.

Ya Ru pozostawał w cieniu.

Nagle wydarzyło się coś, na co zupełnie nie był przygotowany.

Kobieta zadrżała, krzyknęła, a potem upadła dotyłu i uderzyła głową o kant ławki.

Podszedł do niej jakiś Chińczyk i pochylił się, by sprawdzić, co się stało.

Wokół zgromadzili się ludzie.

Ya Ru wyszedł z cienia i przyłączył się do otaczającej kobietę grupy gapiów.

Pochwili przybiegł dwóch patrolujących okolicę policjantów.

Ya Ru przepchnął się do przodu, żeby lepiej widzieć.

Birgitta Roślin usiadła.

Najwyraźniej zemdlała na kilka sekund.

Policjanci zapytali, czy chce, by wezwali karetkę, ale odmówiła.

Ya Ru po raz pierwszy usłyszał jej głos.

Zapamiętał go.

Był ciemny i pełen wyrazu.

- Musiałam się potknąć - mówiła.

- Wydawało mi się, że ktoś się do mnie zbliża.

Przestraszyłam się.

- Ktoś na panią napadł?

- Nie.

Tylko mi się zdawało.

Mężczyzna, który ją wystraszył, wciąż tam był.

Ya Ru przyszło na myśl, że jest podobny do Liu.

Zupełnie przypadkowo wkroczył w historię, z którą nie miał nic wspólnego.

Ya Ru uśmiechnął się do swoich myśli.

Poprzez swoje reakcje ta kobieta mówi mi bardzo wiele.

Najpierw opowiadał swoim strachu i czujności, a teraz dajemy do zrozumienia, że złąka się podchodzącego do niej Chińczyka.

567.

Policjanci odprowadzili ją do hotelu.

Ya Ru trzymał się dala.

Upewniwszy się po raz kolejny, że nic jej nie jest i czuje się na tyle dobrze, że poradzi sobie sama, policjanciodeszli w swoją stronę, a Birgitta Roślin zniknęła za drzwiami hotelu.

Ya Ru patrzył, jak recepcjonistka podaje jej klucz do pokoju, sięgnąwszy na jedną z najwyższych półek.

Odczekał kilka minut, po czym wszedł do środka.

Recepcjonistka była Chinką.

Ya Ru uklonił się i podał jej kartkę papieru.

- Kobieta, która właśnie tu weszła, upuściła to na ulicy.

Recepcjonistka przyjęła kartkę i wsunęła ją do pustej przegródki.

Widniał nad nią numer 614.

Pokój był na najwyższym piętrze.

Kartka była nie zapisana.

Ya Ru wiedział, że Birgitta Roślin zapyta, kto ją dla niej zostawił.

Jakiś Chińczyk - usłyszy w odpowiedzi.

Przestraszy się jeszcze bardziej, ale stanie się czujniejsza.

Ya Ru był jednak na to przygotowany, więc nie oznaczało to dla niego żadnego dodatkowego ryzyka.

Udał, że czyta hotelową broszurę, zastanawiając się, jak się dowiedzieć, na jak długo Birgitta Roślin zarezerwowała pokój.

Okazja nadarzyła się już po chwili, gdy recepcjonistka zniknęła w pomieszczeniu za ladą, a jej miejsce zajęła młoda Angielka.

Ya Ru podszedł do recepcji.

- Pani Birgitta Roślin - powiedział.

- Ze Szwecji.

Mam ją zawieźć na lotnisko.

Nie wiem tylko, czy mam ją odebrać jutro, czy pojutrze.

Recepcjonistka wystukała coś na klawiaturze komputera.

- Pani Roślin ma rezerwację na trzy dni - odpowiedziała.

-

Czy mam do niej zadzwonić, żeby mógł pan ustalić z nią wyjazd na lotnisko?

- Ustalę to z biurem.

Nie przeszkadzamy naszym klientom, gdy nie jest to konieczne.

568

Ya Ru wyszedł z hotelu.

Znów zaczął się dźwięk drobnych deszczu.

Postawił kołnierz i poszedł w kierunku Garrick Street, żeby znaleźć jakąś taksówkę.

Nie musiał się już martwić o to, czy dąży.

Minął szmat czasu, odkąd to wszystko się zaczęło, pomyślał.

Kilka dni nie zrobił żadnej różnicy.

A potem wreszcie

nastąpił nieuchronny koniec.

Machnięciem ręki zatrzymał taksówkę i podał kierowcy adres przy Whitehall, gdzie znajdował się zarejestrowany na firmę w Liechtensteinie mieszkanie, w którym zatrzymywał się podczas swoich wizyt w Anglii.

Często myślał, że mieszkając w Londynie, szarga pamięć przodków, mogą przecież zatrzymać się w Paryżu lub Berlinie.

W taksówce zdecydował, że zleci sprzedaż tego mieszkania i każe znaleźć

nowe, w Paryżu.

Był najwyższy czas, żeby skończyć również z tym.

Położył się na łóżku i wsłuchiwał się w ciszę.

Kupiwszy mieszkanie, kazał wyciszyć jego ściany.

Teraz nie słyszał nawet odległego szumu ulicy.

Jedynym dźwiękiem, który dochodził do jego uszu, było ciche brzęczenie klimatyzatora.

Czuł się przy tym tak, jakby znajdował się na pokładzie
statku.

Odczuwał wielki spokój.

- Jak dawno?

- zapytał na głos, przerywając panującą w pokoju ciszę.

- Jak dawno był początek tego, co teraz

musi się zakończyć?

Policzył w głowie.

Był rok 1868, gdy San usiadł w swoim małym pokoiku w stacji misyjnej.

Teraz był rok 2006.

Sto trzydzieści osiem lat.

San siedział przy świetle świecy mozolnie, znak po znaku, spisywał historię swoją i swoich dwóch
zmarłych braci, Wui Guo Si.

Zaczęła się w dniu, w którym opuścili ubogi rodzinny dom i wyruszyli w długą drogę do Kantonu.

Tam objawił się zły demon pod postacią Zi.

Od tego momentu, dokądkolwiek by się udali, prześlado569.

wała ich śmierć.

Jedynym, który ocalał, był San.

I jego upór, by opowiedzieć swoją historię.

Umarli w największym poniżeniu, pomyślał Ya Ru.

Następujący po sobie cesarze imandaryni podążali za radą Konfucjusza i trzymali lud w cuglach ściągniętych tak mocno, że nie był możliwy żaden bunt.

Bracia uciekali, jakim się wydawało, do lepszego życia.

Lecz podczas budowy kolei Amerykanie dręczyli braci tak samo jak Anglicy ludzi w swoich koloniach.

Anglicy z zimną pogardą starali się zarazem zrobić z Chińczyków narkomanów, zalewając chiński rynek opium.

Tak właśnie postrzegam tych brutalnych angielskich kupców.

To handlarze narkotyków, stojący na rogach ulic, sprzedający używkę ludziom, którymi gardzą i którzy uważają za istotny niższego gatunku.

Jeszcze całkiem niedawno amerykańskiej i europejskiej karykatury przedstawiały Chińczyków jako małpy z ogonami.

Obrazki te mówiły prawdę.

Zostaliśmy stworzeni, by zrobiono z nas niewolników i poniżono.

Nie byliśmy ludźmi.

Byliśmy zwierzętami.

Mieliśmy ogony.

Spacerując ulicami Londynu, Ya Ru często myślał o tym, że wiele z otaczających go budynków zostało wzniesionych za pieniądze zniewolonych narodów, dzięki ich morderczej pracy i ich cierpieniu, dzięki ich pochylonym plecom i dzięki ich śmierci.

Co takiego napisał San?

Że budowali kolej na amerykańskiej pustyni na swoich własnych żebrach, które stały się podkładami dla szyn.

W taki sam sposób krzyk i cierpienie zniewolonych ludzi zatopione zostały w żelazie mostów spinających brzegi Tamizy lub zamurowane w grubych kamiennych ścianach potężnych domów starej, bogatej

dzielnicy finansowej Londynu.

Ya Ru zapadł w sen.

Gdy się obudził, przeszedł do salonu, wyposażonego w wyprodukowane wyłącznie w Chinach

570

meble i lampy.

Na stole przed czerwoną kanapą leżała jedwabna jasnoniebieska sakiewka.

Otworzyli ją, położywszy przednio na blacie czystą kartkę.

Po chwili wysypał na niądrobny szklany proszek.

Był to bardzo stary sposób na zabicie człowieka.

Wystarczyło wsypać tę niemal niewidoczną substancję do talerzaz zupą lub do filiżanki z herbatą.

Dlatego, kto to wypił, nie było ratunku.

Tysiące mikroskopijnych drobinek szkła rozcinało wnętrze.

W dawnych czasach proszek ten nazywano "niewidzialną śmiercią", ponieważ następowała szybko i nie można jej było wyjaśnić.

To sproszkowane szkło miało zakończyć historię, którą zapoczątkował San.

Ya Ru ostrożnie wysypał proszek z powrotem do sakiewki i zawiązał ją.

Potem zgasił wszystkie lampy w pokoju poza jedną, z czerwonym abażurem w smoki, wyhaftowane złotą nicią.

Usiadł w fotelu, który kiedyś należał do bogatego obszarnikaw prowincji Shangtun.

Oddychał powoli, stopniowo zapadając się w stan spokoju, w którym

myślało mu się najlepiej.

Godzinę zajęło mu obmyślenie, jak powinien napisać ostatni rozdział książki, zabijając Birgittę Roślin, która, co bardzo prawdopodobne, powierzyła jego siostrze Hongmogące mu zaszkodzić informacje.

Tajemnicę tę Hong mógł przekazać dalej, nie wiadomo komu.

Gdy podjął decyzję, nacisnął znajdujący się w stole guzik dzwonka.

Kilka minut później usłyszał, jak stara Lang przygotowuje mu kolację

w kuchni.

Lang kiedyś sprzątała jego biuro w Pekinie.

Przez wiele

nocy przyglądał się jej bezgłośnym ruchom.

Sprzątała najlepiej ze wszystkich sprzątaczek, które utrzymywały porządek

w wielopiętrowym budynku.

Pewnej nocy Ya Ru zapytał ją, jak wygląda jej życie.

Gdy odpowiedziała, że oprócz sprzątania przygotowuje również

571.

tradycyjne posiłki na wesela i ceremonie pogrzebowe, poprosił, by następnego dnia ugotowała mu kolację.

Po tym zatrudnił ją jako kucharkę, z pensją, o jakiej nigdy wcześniej nie mogłaby nawet pomarzyć.

Ponieważ miała syna, który wyemigrował do Londynu, Ya Ru pozwolił jej przenieść się do Europy, by usługiwała mu tam podczas jego licznych wizyt.

Tego wieczora Lang przygotowała kilka przystawek.

Mimo że Ya Runic nie powiedział, doskonale wiedziała, na co miała ochotę.

W salonie, na podgrzewaczu z płonąca lampą naftową, postawiła dzbanek z herbatą.

- Jutro rano śniadanie?

- spytała, przed wyjściem.

- Nie.

Sam je przygotowuję.

Tylko obiad.

Rybę.

Ya Ru wcześniej poszedł do łóżka.

Po wyjeździe z Pekinu miał okazję porządnie się wyspać.

Podróż do Europy, potem skomplikowane połączenia do miasta w północnej Szwecji, wizyta w Helsingborgu, gdzie wszedł do mieszkania Birgitty Roślin i znalazł tam, na kartce notesu leżącego obok telefonu, odciśnięte długopisem słowo "Londyn".

Do Sztokholmu przyleciał własnym samolotem.

Potem polecił swoim pilotom, by wystąpili o zgodę na lądowanie w Kopenhadze i w końcu Londynie.

Przypuszczał, że Birgitta Roślin zwróci się do Ho.

Tam też ją zobaczył, jak podchodzi do drzwi, waha się przez chwilę, a potem odchodzi i siada w kawiarni po przeciwnej stronie ulicy.

Zanotował kilka zdań w swoim pamiętniku, zgasił lampę po chwili zasnął.

Następnego dnia nad Londynem wisiała gruba warstwa chmur.

Ya Ru wstał jak zawsze około piątej i wysłuchał wiadomości w chińskim radiu nadającym na falach krótkich.

Sprawdził w komputerze notowania giełdowe na świecie, porozmawiał z dwoma zatrudnionymi przez siebie dyrektorami

572

o realizowanych właśnie projektach, po czym przygotował sobie śniadanie, składające się głównie z owoców.

O godzinie siódmej wyszedł z mieszkania z jedwabną sakiewką w kieszeni.

Jego plan miał pewną lukę.

Ya Ru nie wiedział, o której godzinie Birgitta Roślin będzie jadła śniadanie.

Jeśli zdąży opuścić salę śniadaniową, zanim on dotrze do hotelu, będzie musiał poczekać do następnego dnia.

Na Trafalgar Square grał samotny wiolonczelista z leżącym u stóp pustym kapeluszem.

Ya Ru wrzucił do niego kilka monet i poszedł dalej.

Skręcił w Irving Street i po chwili wszedł do hotelu.

W recepcji był mężczyzna, którego wcześniej nie widział.

Ya Ru podszedł do lady i sięgnął po jedną z wizytówek hotelu.

Spojrzał przy tym ukradkiem na przegródkę pokoju 614.

Kartka papieru zniknęła.

Drzwi do sali śniadaniowej były otwarte na oścież.

Natychmiast ją zauważył.

Siedziała przystoliku pod oknami najwyraźniej właśnie zaczęła śniadanie, ponieważ kelner nalewał jej kawę.

Ya Ru wstrzymał oddech i zaczął się zastanawiać.

Po chwili zdecydował, że nie będzie czekał.

Totego poranka historia Sanadobiegnie końca.

Zdjął płaszcz, po czym zwrócił się do starszego kelnera.

Nie jest gościem hotelowym, ale chce jeść śniadanie i za nie zapłacić.

Starszy kelner pochodził z Korei Południowej.

Zaprowadził Ya Ru do stolika stojącego na skos od tego, przy którym, pochylona nad talerzem, siedziała Birgitta Roślin.

Ya Ru potoczył wzrokiem po sali.

Tuż obok jego stolika były drzwi ewakuacyjne.

Idąc po gazetę, ukradkiem poruszył klamką.

Były otwarte.

Wrócił do stolika, zamówił śniadanie i czekał.

Wciąż jeszcze wiele stolików było pustych.

Wcześniej zauważył też, że w recepcji pusta była większość przegródek na klucze.

W hotelu musiało mieszkać wielu gości.

573.

Wyjął telefon komórkowy i wizytówkę, którą zabrał z recepcji.

Wybrał numer i czekał.

Gdy recepcjonista odebrał, Ya Ru powiedział, że ma ważną wiadomość dla jednego z gości, pani Birgitty Roślin.

- Przełączę pana do jej pokoju.

- Jest na śniadaniu - odparł Ya Ru.

- Zawsze je o tej porze.

Byłbym wdzięczny, gdyby ją poprosił do telefonu.

Zazwyczaj zajmuje stolik przy oknie.

Powinna mieć na sobie granatowy kostium, ma ciemne, krótko ścięte włosy.

- Spróbuję ją znaleźć.

Ya Ru nie rozłączył się do momentu, aż zobaczył recepcjonistę wchodzącego do sali śniadaniowej.

Dopiero wtedy przerwał połączenie, wsunął telefon do kieszeni, równocześnie sięgając po jedwabną sakiewkę ze szklanym proszkiem.

Gdy tylko Birgitta Roślin wstała i poszła za recepcjonistą, Ya Ru zbliżył się do jej stolika.

Podniósł gazetę i obejrzał się, dając do zrozumienia, że sprawdza, czy osoba zajmująca ten stolik rzeczywiście już sobie poszła.

Odczekał chwilę, gdy kelner podszedł do sąsiedniego stolika, by dolać gościom kawę.

Ya Ru cały czas miał oko na drzwi prowadzące do recepcji.

Kiedy kelner się oddalił, Ya Ru rozwiązał sakiewkę i szybkim ruchem wsypał jej zawartość do stojącej na stole filiżanki, w połowie napełnionej kawą.

Birgitta Roslin wróciła na salę.

Ya Ru zdążył już wstać od jej stolika i odwrócić się, by odejść.

W tym samym momencie szyba rozprysła się na kawałki.

Suchy odgłos wystrząsnął się z brzękiem sypiących się odłamków szkła.

Ya Ru nie zdążył nawet pomyśleć, że cośposzło nie tak, że popełnił katastrofalny błąd.

Śmiertelnakula trafiłago w prawąskroń, wyrrywając w czasie dużyotwór.

Wszystkie jegofunkcje życiowe zdążyły już ustać,gdy padał na stolik, strącając flakon zkwiatami.

574

Birgitta stała bez ruchu, podobnie jakpozostali gościeorazkelner, kurczowo ściskający miskę z jajkami na twardo.

Ciszę przerwał czyjś krzyk.

Birgitta wbiławzrok w ciało mężczyzny leżące na białym obrusie.

Wciąż jeszcze nierozumiała,że zdarzenie to ma coś wspólnego z nią.

Przezgłowę przeszła jej nagłamyśl, że Londyn padłofiarą atakówterrorystycznych.

Nagle poczuła uściskna przedramieniu.

Szarpnęła się obejrzała.

Za nią stała Ho.

- Niech panio nic nie pyta - powiedziała.

- Proszę pójśćzemną.

Nie możemy tu zostać.

Pociągnęła ją za sobą do foyer.

- Niech mipani da swój klucz - powiedziała Ho.

- Jaspakuję walizkę, a paniw tym czasie ureguje rachunek.

- Co się stało?

-Proszę o nic nie pytać.

I robić,co mówię.

Hościskała rękę Birgitty tak mocno, że sprawiała jej ból.

Tymczasem w hotelu zdążył już wybuchnąć chaos.

Tam

i z powrotem biegali krzyczący ludzie.

-Niech pani nalega, że chce zapłacić - mówiła dalej Ho.

-Musimy się stąd wydostać.

Birgitta zrozumiała.

Nie to, co się stało, ale to, o co prosiła ją Ho.

Podeszła do recepcji i wykrzyczała do zdeorientowanego recepcjonisty, że chce natychmiast zapłacić.

Hozniknęła za drzwiami jednej z wind.

Wróciła podziesięciu minutach, niosąc walizkę.

Foyer hotelu zdążyło się już wypełnić policją i ratownikami medycznymi.

Birgitta zapłaciła za pokój.

- Teraz spokojnie stąd wyjdziemy - poinstruowała ją Ho.

-Jeśli ktoś będzie próbował nas zatrzymać, powie pani, że śpieszy się na samolot.

575.

Wydostały się na ulicę nie niepokojone przez nikogo.

Birgitta zatrzymała się i obejrzała za siebie.

Ho znów pociągnęła ją za rękę.

- Niech się pani nie odwraca.

Proszę normalnie.

Później porozmawiamy.

Dotarły do domu, w którym mieszkała Ho, i weszły do mieszkania na drugim piętrze.

W środku czekał jakiś mężczyzna.

Miał dwadzieścia parę lat.

Był bardzo blady i powiedział coś do Ho podnieconym głosem.

Birgitta zorientowała się, że Ho próbuje go uspokoić.

Zaprowadziła go do innego pokoju, skąd dobiegał szmer dalszej rozmowy.

Gdy wrócili, mężczyzna niósł podłużny pakunek.

Pochwili wyszedł z mieszkania.

Ho podeszła do okna i spojrzała w dół na ulicę.

Birgitta opadła na krzesło.

Dopiero teraz dotarło do niej, że zabit mężczyzna upadł na stół, przy którym siedziała.

Spojrzała na Ho.

Chinka była bardzo blada.

Birgitta zauważyła, że drży na całym ciele.

- Co tam się stało?

- zapytała.

- To pani miała zginąć - odparła Ho.

- Miał panią zabić.

Muszę powiedzieć to wprost.

Birgitta kiwnęła głową.

- Proszę mi wszystko dokładnie powiedzieć - poprosiła.

- Inaczej nie będę wiedziała, co zrobić.

- Mężczyzna, który zginął, to Ya Ru .

Brat Hong.

- Co się stało?

- Próbował panią zabić.

Powstrzymaliśmy go w ostatniej chwili.

- Powstrzymaliście?

- Mogła pani zginąć przez to, że podała mi zły adres hotelu.

Dlaczego pani to zrobiła?

Myślała pani, że nie może mi

576

ufać?

Czy jest pani tak skołowana, że nie potrafi odróżnić

przyjaciół od wrogów?

Birgitta Roślin uniosła dłoń.

- To siedzieje za szybko.

Nienadążam.

Brat Hong?

Dlaczego chciał mnie zabić?

- Dlatego że wiedział pani zbyt wiele tym, co się wydarzyło w pani kraju.

O tych wszystkich zabitych.

Hong prawdopodobnie myślała, że za tym wszystkim stoi Ya Ru.

- Aledlaczego?

-Nie umiem odpowiedzieć.

Niewiem.

Birgitta siedziała w milczeniu.

Gdy Ho znów chciał się odezwać, powstrzymała ją ruchem dłoni.

- Powiedziała pani "my", "powstrzymaliśmy" -odezwał się po chwili.

- Ten mężczyzna, który wyszedł przed chwilą,niósł jakiś przedmiot.

Czy to była broń?

- Tak.

Poleciłam Sanowi, żeby pani pilnował.

Ale w hotelu, którego nazwę mi pani podała, nie było nikogo o paninazwisku.

To San wpadł na to, że musiał się pani zatrzymać w tym, który jest najbliżej.

Zobaczyliśmy panią przez okno.

Gdy Ya Ru podszedł do pani stolika i odwrócił się w panikerunku, zrozumieliśmy, że chce panią zabić.

San strzelił.

Stało się to tak szybko, że nikt na ulicy nie zorientował się,co się dzieje.

Większość myślała, że strzelił z rury wydechowej jakiegoś motocykla.

San miał broń schowaną pod peleryną.

-San?

- Syn Hong.

Przysłała go do mnie.

- Dlaczego?

-Bała się nie tylko o swoje i pani życie.

Obawiała się też, że coś może zagrażać jej synowi.

San jest pewien, że Ya Ru zlecił zabójstwo Hong.

Zemścił się bez wahania.

577.

Birgitcie zrobiło się niedobrze.

Uświadomiła sobie całą potworność tego, co się wydarzyło.

Ołśniła ją myśl, którą wcześniej przeczuwała, podświadomie jednak odrzucającą jako niedorzeczną.

Śmierć na mieszkańców Hesjóvallenściągnęło coś z przeszłości.

Chwyliła Ho za rękę.

Miała łzy w oczach.

- Czy to już koniec?

- Tak mi się wydaje.

Może pani jechać do domu.

Ya Ru nie żyje.

Natym się wszystko urywa.

Tego, co się stanie później, nie wiemy ani pani, ani ja.

Ale w tę historię z pewnością nie będzie już pani zamieszana.

- Jak mam z tym żyć, nie wiedząc właściwie, co się stało?

- Spróbuję pani pomóc.

- Co się stanie z Sanem?

- Policjanta pewno znajdzie świadków, którzy zeznają, że do Chińczyka strzelał jakiś inny Chińczyk.

Nikt jednak nie będzie mógł potwierdzić, że był to San.

- Uratował mi życie.

- Zabijając Ya Ru, prawdopodobnie uratował też swoje własne.

- Kim był ten człowiek?

Brat Hong, którego wszyscy się bali?

Ho potrząsnęła głową.

- Nie wiem, czy potrafię odpowiedzieć.

W jakiś sposób był reprezentantem współczesnych Chin, o których ani Hong, ani ja, ani Ma Li, a w tym wypadku również San, nie chcemy nawet słyszeć.

W naszym kraju toczą się wielkie spory, dotyczące tego, jak ma wyglądać przyszłość.

Nikt nie wie, co będzie, nic nie jest z góry postanowione.

Można jedynie robić to, co uważasz za słuszne.

- Na przykład zabić Ya Ru?

578

- To było konieczne.

Birgitta przeszła do kuchni i napiła się wody.

Odstawiając szklankę, wiedziała już, że musi wrócić do domu.

Wszystko to, co wciąż było niejasne, musiało poczekać.

Teraz chciała znaleźć się w domu, z dala od Londynu i wszystkiego, co

się tu wydarzyło.

Ho odwiozła ją taksówką na Heathrow.

Po czterech godzinach czekania Birgitta mogła wreszcie wylecieć do Kopenhagi.

Chciała zostać z nią na lotnisku aż do odlotu, ale Birgitta poprosiła ją, by wróciła do domu.

Gdy dotarła do Helsingborga, otworzyła butelkę wina i opróżniła ją przez noc.

Cały następny dzień spała.

Obudził ją telefon Staffana, który dzwonił, by jej powiedzieć, że rejs się zakończył.

Birgitta nie wytrzymała i wybuchnęła

płaczem.

- Co się stało?

Co się tam dzieje?

- Nic się nie stało.

Jestem zmęczona.

- Chcesz, żebyśmy skrócili pobyt i wrócili do domu?

-Nie.

Nic się nie dzieje.

Jeśli chcesz mi pomóc, po prostu uwierz, gdy mówię, że nic złego się nie dzieje.

Opowiedz

o waszej wycieczce.

Rozmawiali długo.

Zmusiła go, by opowiedział jej każdy szczegół morskiej wyprawy, zdradził plany na najbliższy wieczór i następny dzień.

Potem jeszcze raz zapewniła Staffana, że wszystko jest w porządku.

Telefon od męża ją uspokoił.

Następnego ranka wróciła do pracy, a po południu

zadzwoiła do Ho.

- Wkrótce będę miała paniduzo doopowiedzenia - powiedziała Chinka.

- Obiecuję, że uważnie wszystkiego wysłucham.

Jak się

czuje San?

579.

- Wciąż jest zdenerwowany, przestraszony i nadal cierpi z powodu śmierci matki.

Ale jest silny.

Po rozmowie Birgitta przez długą chwilę siedziała przy kuchennym stole.

Zamknęła oczy.

Obraz ciała mężczyzny przewieszzonego przez stół sali śniadaniowej hotelu zaczynał się powoli zamazywać.

Wkrótce nie pozostało z niego prawie nic.

38

Kilka dni przed nocą świętojańską Birgitta przewodniczyła ostatniej rozprawie przed wakacjami.

Wraz z Staffanem wynajęli domek letniskowy na wyspie Bornholm.

Mieli w nim spędzić trzy tygodnie, a dzieci planowały regularnie ich odwiedzać.

Rozprawa, z którą zamierzała uporać się w dwa dni, dotyczyła trzech kobiet i mężczyzny oskarżonych o uprawianie szczególnej odmiany drogowego piractwa.

Szajka napadała na ludzi w pobliżu dróg oraz na parkingach.

Dwie kobiety pochodziły z Rumunii, trzecia oraz mężczyzna byli Szwedami.

Birgittą wstrząsnęła brutalność, którą podczas napadów na ludzi nocujących w przyczepach kempingowych wykazała najmłodsza z kobiet.

Pewnego niemłodego Niemca uderzyła młotkiem w głowę tak mocno, że pękła męczaszka.

Mężczyzna przeżył, jednak gdyby cios trafił w inne miejsce, równie dobrze mógłby już być martwy.

Podczas innego napadu wbiła kobiecie śrubokręt za ledwie kilka milimetrów nad sercem.

Prokurator Palm opisał szajkę jako "przedsiębiorców działających w różnych niszach świata przestępczego".

Grasowali na nocnych parkingach między Helsingborgiem a Yarberg,

580

a poza tym okradali butiki z odzieżą i sklepy ze sprzętem elektronicznym.

Posługując się specjalnymi torbami, w których podszewkę zastąpiono metalową folią, powodującą,

że alarm się nie włączył, gdy opuszczali sklep, zdolali zrabować towar wart niemal milion koron.

Popętnili jednak błąd, wracając do tego samego sklepu odzieżowego w Halmstad.

Rozpoznał ich personel.

Wszyscy przyznali się do winy, dowody skradziony towar zostały zabezpieczone.

Ku zdziwieniu policji i Birgitty oskarżeni nie obwiniali się nawzajem, gdy

ustalono, kto za co odpowiada.

Szła do sądu w deszczowy i chłodny dzień.

Najczęściej

właśnie o poranku dokuczały jej wspomnienia przeżyć, które miały swoją kulminację w hotelu w Londynie.

Od tego czasu dwukrotnie rozmawiała z Ho przez telefon.

Z każdym razem czuła rozczarowanie, ponieważ Ho zdawała się unikać rozmowy o tym, co stało się po tych dramatycznych wydarzeniach.

Prosiła Birgittę o cierpliwość.

- Prawda nigdy nie jest łatwa - powiedziała.

- To tylko wam na Zachodzie wydaje się, że informacje można zdobyć w błyskawicznym tempie.

Do tego potrzebny jest czas.

Prawda się nie śpieszy.

Ho zdradziła jednak coś, co przeraziło Birgittę bardziej

niż wszystkie ostatnie wydarzenia.

W dłoni martwego Ya Ru policja znalazła woreczek zawierający resztki drobnego szklanego proszku.

Brytyjscy śledczy nie mogli odgadnąć, co to mogło być, lecz Ho opowiedziała jej o tej starej, wyrafinowanej chińskiej metodzie zabijania.

Tak blisko tarta się o śmierć.

Czasem, ale tylko wtedy, gdybyła sama, miewała ataki gwałtownego płaczu.

Nie zwierzyła się jednak nawet Staffanowi.

Od powrotu z Londynu dźwiżyła ten ciężar sama.

Udało jej się dobrze ukryć emocje, ponieważ Staffan wniczym się nie zorientował.

581.

W tym okresie pewnego dnia odebrała w pracy telefon od kogoś, z kim wcale nie miała ochoty rozmawiać.

Był to Lars Emanuelsson.

- Leci ten czas - zagadnął.

- Jakież nowości?

Było to tydzień po śmierci Ya Ru.

Przez moment Birgitta złąkała się, że Lars Emanuelsson dołączył do niej w jakiś sposób, wiedząc, iż to ona miała paść ofiarą zamachu w hotelu w Londynie.

- Żadnych nowości - odparła.

- Policja w Hudiksvall chyba nie zmieniła zdania?

- Co do tego samobójcy, który niby miał być zabójcą?

Mały, nic nieznaczący, prawdopodobnie chory psychicznie przestępca miałby popełnić najbrutalniejsze masowe zabójstwo w historii szwedzkiej kryminalistyki?

To oczywiście może być prawda.

Wiem jednak, że wielu się temu dziwi.

Ja również.

I pani też.

- Nie myślę o tym.

Dałam sobie z tym spokój.

- Nie wydaję się.

- To, co się panu wydaje lub nie, to pańska sprawa.

Czego pan chce?

Jestem zajęta.

- Jak tam pani kontakty z Hudiksvall?

Wciąż rozmawia pani z Vivi Sundberg?

- Nie.

Żegnam pana.

- Chciałbym, żeby pani do mnie zadzwoniła, kiedy będzie pani miała coś do powiedzenia.

Doświadczenie podpowiadami, że za tym całym okropieństwem, które wydarzyło się tu, na górze, wciąż kryje się wileniespodzianek.

- Odkładam słuchawkę.

Tak też zrobiła, zastanawiając się, jak długo jeszcze Lars Emanuelsson będzie ją nagabywał.

A może najęszcze zatęskni za jego uporem, gdy przestanie do niej dzwonić?

582

W przededniu nocy świętojańskiej Birgitta przyszła do swojego gabinetu, zebrała wszystkie akta sprawy, zadzwoniła do kancelarii sądu, żeby sprawdzić terminy kilku rozpraw zaplanowanych na jesień, po czym udała się na salę sądową.

Gdy tylko weszła, od razu zauważyła Ho, siedzącą w ostatnim rzędzie, na tym samym miejscu co podczas swojej poprzedniej wizyty w Helsingborgu.

Birgitta uniosła dłoń na powitanie i zauważyła, że Ho się uśmiecha.

Napisała na kartce, że o dwunastej będzie miała przerwę na obiad, przywołała jednego ze strażników i wskazała mu Ho.

Mężczyzna wręczył jej liścik.

Ho przeczytała

go i skinęła głową.

Birgitta zajęła się żalosną bandą, która w niczym nie przypominała morskich piratów.

Gdy wreszcie nadszedł czas przerwy, rozprawa była już na takim etapie, że z pewnością mogła zostać zakończona następnego dnia.

Spotkały się przed budynkiem sądu.

Ho czekała pod kwitnącym drzewem.

- Coś się musiało wydarzyć, skoro pani przyjechała - powiedziała Birgitta na powitanie.

- Nie.

- Możemy się spotkać wieczorem.

Gdzie się pani zatrzymała?

- W Kopenhadze.

U przyjaciół.

- Czy myślę się, sądząc, że ma mi pani coś ważnego do powiedzenia?

- Teraz wszystko jest już jaśniejsze.

Dlatego przyjechałam.

Mam też coś dla pani.

- Co takiego?

Ho pokręciła głową.

- Porozmawiamy o tym wieczorem.

Co oni zrobili?

Ci,

którychmusi pani skazać?

' 583.

- Kradzieże, napady.

Ale żadnych zabójstw.

- Obserwowałam ich tam, na sali.

Wszyscy się paniboją.

- Nie sądzę.

Choć wiedzą, że to ja zdecyduję, jaką będą musieli ponieść karę.

Biorąc pod uwagę wszystko, co zrobili, rzeczywiście może się to wydawać dość przerażające.

Birgitta zaproponowała, by wspólnie zjadły obiad.

Ho odmówiła, miała coś do załatwienia.

Birgitta zastanawiała się, jakie sprawy Homo może mieć w obcym mieście, jakim był dla niej Helsingborg.

Rozprawa toczyła się dalej, powoli, ale mierzała w dobrym kierunku.

Kończąc rozprawę na ten dzień, osiągnęła tyle, ile zaplanowała.

Ho czekała na nią przed wejściem do budynku.

Ponieważ Staffan był właśnie w pociągu zmierzającym do Göteborga, Birgitta zaproponowała, by poszły do niej do domu.

Ho zawahała się.

- Jestem dziś sama.

Mój mąż wyjechał.

Moje dzieci mieszkają w innych miastach.

Jeśli obawia się pani kogoś spotkać.

- Nie o to chodzi.

Nie jestem sama.

Przyjechałże mój mąż San.

- Gdzie on jest?

Ho wskazała na drugą stronę ulicy.

San stał oparty o ścianę budynku.

- Proszę go zawołać.

Wszycypójdziemy do mnie.

San wyglądał na mniej zdenerwowanego niż podczas ich pierwszego, chaotycznego spotkania.

Dopiero teraz Birgitta zauważyła, że jest podobny do matki.

Miał twarz Hong, a także coś z jejuśmiechu.

- Ile ma lat?

- zapytała.

- Dwadzieścia dwa.

584

Mówił po angielsku równie doskonale jak Hong i Ho.

Usiedli w salonie.

San poprosił o kawę.

Ho piła herbatę.

Nastolebyła rozłożona gra, którą Birgitta Roślin kupiła podczas pobytu w Pekinie.

Ho, oprócz torebki, miała ze sobą plastikową reklamówkę.

Wyjęła z niej kilkakartekz napisanymi ręcznie chińskimi znakami, a po chwili dołożyła do nich notatnik z tekstem po angielsku.

- Ya Rumiał mieszkanie w Londynie.

Jeden z moich przyjaciół znał Lang, jego gospodynię.

Przygotowywała mu posiłki i dbała o jego spokój.

Wpuściła nas do mieszkania, w którym znaleźliśmy pamiętnik.

To z niego pochodzą te zapiski.

Przetłumaczyłam część tego, co w nim napisał.

Wyjaśnia to większość wydarzeń.

Nie wszystko, ale przynajmniej tyle, ile jesteśmy w stanie zrozumieć.

Ya Ru miał swoje prywatne motywy, tylko on je rozumiał.

- Powiedziała pani, że był potężnym człowiekiem.

Tomusi oznaczają, że jego śmierć wywołała w Chinach wielkie
wzburzenie.

Nagle odezwał się milczący dotąd San.

- Żadnego.

Nikt nie zwrócił na to uwagi.

Jest tylko cisza, milczenie, o którym pisał Szekspir.

"Reszta jest milczeniem".

Ya Ru był tak potężny, że inni, mający podobną władzę, zdołali uciszyć tych, którzy chcieli o tym mówić.

Zupełnie tak jakby Ya Ru nigdy nie istniał.

Jego śmierć chyba ucieszyła wielu ludzi, nawet tych, których uważał za przyjaciół.

Ya Ru był niebezpieczny.

Zbierał informacje, które mogły niszczyć jego wrogów lub osoby, które uznawał za
niebezpiecznych konkurentów.

Teraz rozwiązują wszystkie jego przedsiębiorstwa, jego ludzie sprzedają się za milczenie, wszystko ustaje i
zamienia się w cementową ścianę, która oddzieli jego i jego los zarówno od oficjalnej historii, jak i od nas,
którzy nadal żyjemy.

585.

Birgitta przeglądała leżące na stole kartki.

- Mam teraz przeczytać?

-Nie.

Potem, kiedy będzie pani sama.

- I mam się nie bać?

-Nie.

- Czy dzięki tym zapiskom rozumiem, co się stało z Hong?

-Zabił ją.

Nie osobiście, rękami kogoś innego.

Kogoś, kogo sam potem zabił.

Jedną śmierć ukrył drugą.

Nikomunie przyszłoby do głowy, że Ya Ru mógłby zabić swoją siostrę.

Poza paroma trzeźwo myślącymi osobami, które wiedziały, w jaki sposób rozumował Ya Ru, co myślał o samym sobie o innych.

Prawdopodobnie nigdy nie zrozumiemy, dlaczego człowiek, który tak czcił swoją rodzinę i wszystkich przodków, zabił własną siostrę.

Jest w tym jakaś sprzeczność, zagadka, której nie uda nam się rozwiązać.

Ya Ru był potężny.

Obawiano się jego inteligencji i jego bezwzględności.

Ale być może był chory.

- W jakim sensie?

-Nosił w sobie nienawiść, która go zżerała.

Może był wręcz szalony?

- Zastanawia mnie jedno.

Co właściwie robił w Afryce?

- Istnieje plan, zgodnie z którym Chiny mają przesiedlić miliony biednych chłopów do różnych krajów w Afryce.

Obecnie powstają struktury polityczne i gospodarcze, mającena celu uzależnienie tychubogich krajów odChin.

Dla Ya Ru nie był to cyniczny powrótdopraktykowanego wcześniejprzez Zachód kolonializmu.

Uważał to zadalekowzroczenozwiązanie.

NatomiastHong, Ma Li, ja i wiele innych osób,uważaliśmy, że jest to atak na sam fundamentChin, którywspólnie budowaliśmy.

586

- Nie rozumiem -powiedziała Birgitta.

- W Chinach panuje dyktatura.

Wolność jest tam stale ograniczana, praworządność słaba.

Czego wy właściwie chcecie bronić?

- Chiny to ubogi kraj.

Rozwój gospodarczy, o którym: wszyscy mówią, poprawił warunki życia tylko ograniczonej części społeczeństwa.

Jeśli Chiny będą zmierzać ku przyszłości tą drogą, ze stale powiększającą się przepaścią, doprowa-

dzi ona naszkraj do katastrofy.

Chiny ponownie pogr-ążą się w beznadziejnym chaosie.

Lub też do głosu dojdą strukturyfaszystowskie.

Bronimy setek milionów biednych ludzi, którzy własną pracą przyczyniają siędo tego rozwoju, z którego dostaje im się coraz mniej.

- Wciążjednak nie rozumiem.

Ya Ru był pojednej stronie, aHong po przeciwnej?

I nagle on zabija swoją własną siostrę?

- Próba sił, jaka odbywasię w Chinach, to walka na śmierćci życie.

Bieda przeciwko bogactwu, władza przeciw tym, którzy są jej pozbawieni.

Tu chodzi o ludzi, którzyz rosnąc rozpaczają patrzą na rozpad tego, o co walczyli, a także Q \ych, którzy dostrzegli możliwość zdobycia bogactw i władzy, o jakich wcześniej nawet nie mogli marzyć.

W takiej sytuacji giną ludzie.

Birgitta spojrzała na Sana.

- Proszę mi opowiedzieć o matce.

- Nie poznała jej pani?

- Spotkałam ją.

Ale nie mogę powiedzieć, że ją Znałam.

- Nie było łatwo być jej dzieckiem.

Była silna, zdecydowana,

często troskliwa, potrafiła też jednak być groźna i złośliwa.

Przyznaję, że się jej bałem.

Ale kochałem ją mimo Wszystko, ponieważ starałam się widzieć siebie samą jako część czegoś większego.

Z jednakowym zaangażowaniem pomaga wstać

pijawkowi, który przewrócił się na ulicy, i toczyła dyskusję polityczną.

Dla mnie była bardziej wzorem do naśladowania niż matką.

Nic nie było łatwe.

Teraz jednak mi jej brakuje i wiem, że jest to tęsknota, z którą będę musiał żyć.

- Czy pan się zajmuje?

- Zostanę lekarzem.

Ale teraz na rok przerwałem studia.

Żeby odbyć żałobę.

Żeby zrozumieć, jak wygląda życie bez niej.

- Kim jest pana ojciec?

- Ojciec oddawna nie żyje.

Pisał poezję.

Nie wiem o nim nic poza tym, że zmarł wkrótce po moim urodzeniu.

Matka nigdy dużo o nim nie mówiła.

Tylko tyle że był dobrym człowiekiem, rewolucjonistą.

W moim życiu był tylko fotografią, na której stoi, trzymając na rękach szczeniaka.

Tego wieczoru długo rozmawiali o Chinach.

Birgitta powiedziała o swoim młodzieńczym marzeniu, by zostać "czerwonogwardzistką" w Szwecji.

Przez cały czas jednak niecierpliwie czekała na chwilę, kiedy wreszcie będzie mogła przeczytać przekazane jej przez Ho zapiski.

Około dziesiątej zadzwoniła po taksówkę, która miała zawieźć Hoi Sana nad wrzec.

- Kiedy już pani to przeczyta - powiedziała Ho - proszę dać mi znać.

- Czy ta historia ma jakieś zakończenie?

Ho zamyśliła się.

- Wszystko ma jakieś zakończenie - odparła.

- Nawet to.

Ale koniec zawsze oznacza początek czegoś nowego.

Punkty, które wyznaczamy w naszym życiu, zawsze są w jakiś sposób prowizoryczne.

Birgitta odprowadziła wzrokiem odjeżdżającą taksówkę, po czym natychmiast zabrała się do lektury tłumaczenia pamiętnika Ya Ru.

Staffan miał wrócić do domu dopiero

588

następnego dnia.

Do tego czasu miała nadzieję wszystko przeczytać.

Nie było tego więcej niż dwadzieścia stron, ale pismo Ho było drobne i trudne do odczytania.

Co przeczytała?

Po jakimś czasie, wspominając wieczór, gdy siedziała już sama, czując jeszcze zapach delikatnych perfum Ho, doszła do wniosku, że wielu rzeczy zdołała domyślić sama.

A raczej: powinna była zrozumieć, ale nie miała odwagi zaakceptować tego, co właściwie już wiedziała.

Cała reszta, którą Ho wybrała z pamiętnika Ya Ru oraz wnioski o fakty nieznanymi Birgittie, wyjaśniała sprawy, których nie zdołała zrozumieć sama.

Oczywiście pozostawało jeszcze pytanie, jakich fragmentów Ho dla niej nie przetłumaczyła.

Mogła ją o to zapytać, przeczuwała jednak, że nie otrzymałaby żadnej odpowiedzi.

Wiedziała, że pewnych rzeczy nigdy się nie dowie.

Istniały zamki, których nie mogła otworzyć.

Dotyczyły one historii ludzi z przeszłości, jakiegoś innego pamiętnika, który zdawał się przeciwieństwem pamiętnika autorstwa JA, brygadzysty pracującego przy budowie amerykańskiej kolei żelaznej.

W swoim pamiętniku Ya Ru często się oburzał, że Hong nie chce zrozumieć, iż droga, na którą wstąpiły Chiny, jest jedynie słuszną, a ludzie tacy jak on, Ya Ru powinni mieć największy wpływ.

Birgitta dostrzegła u Ya Ru wiele cech psychopatycznych.

Między wierszami dał się wyczytać, że sam zdawał sobie z tego sprawę.

Nigdzie w tekście Birgitta nie znalazła u niego żadnego znaku chęci pojednania z Hong.

Żadnych wątpliwości, ani śladu wyrzutów sumienia, choćby z powodu jej późniejszej śmierci; wkońcu była jego siostrą.

Zastanawiała się, czy Hookroliła tekst, by Ya Ru wyda się jej, Birgitcie, wyłącznie człowiekiem brutalnym, postacią całkowicie negatywną.

589.

Przyszło jej nawet do głowy, że może Ho w ogóle cały ten tekst wymyśliła.

Nie potrafiła jednak to uwierzyć.

Sandopuścił się zabójstwa.

Jak w sagach islandzkich, dokonał krwawej zemsty za śmierć matki.

Przeczytała przetłumaczone przez Ho zapiski Ya Ru dwukrotnie.

Zegar wskazywał prawie północ.

W streszczeniu Hong było wiele zagadek, szczegółów, które wciąż domagały się wyjaśnienia.

Czerwona wstążka?

Co miała oznaczać?

Na to pytanie mógłby odpowiedzieć jedynie Liu, gdyby żył.

W całej tej historii były ścieżki wiodące donikąd.

Prawdopodobnie już na zawsze.

Co pozostało na koniec?

Co może, a właściwie musi zrobić ze zdobytymi informacjami?

Birgitta przeczuwała, jaka powinna być odpowiedź, mimo że wciąż jeszcze nie wiedziała, jak ma postąpić.

Zamierzała poświęcić temu część swoich wakacji, gdy Staffan będzie łowił ryby, co ona uważała za wyjątkowo nudne zajęcie.

We wszystkie te wczesne poranki, kiedy on będzie czytał biografie muzyków jazzowych i chodził na samotne spacerki, ona zajmie się listem, który zamierzała wysłać policji w Hudiksvall.

Dopiero potem będzie mogła zamknąć szufladę z pamiątkami po rodzicach.

Dla niej będzie to oznaczało koniec tej historii.

Hesjö vallen powoli odejdzie w niepamięć, pozostanie jedynie bladym wspomnieniem.

Choć tak naprawdę Birgitta nigdy nie zapomni o tym, co się stało.

Pogoda na wyspie Bornholm była kapryśna i zmienna, ale choć w domku letniskowym uważali za bardzo udany.

Dzieci przyjeżdżały i odjeżdżały, dni upływały w przyjemnej, leniwej atmosferze.

Ku zdziwieniu wszystkich nagle ze swojej jazyckiej podróży wróciła Anna, by im zakomunikować, że jesienią zamierza zacząć studiować politologię w Lund.

590

Kilkrotnie Birgitta dochodziła do wniosku, że wreszcie nadszedł czas, by opowiedzieć Staffanowi o wszystkim, co wydarzyło się w Pekinie, a potem w Londynie.

Za każdym razem jednak rezygnowała.

Nie było sensu mówić mu o czymś, co zapewne by zrozumiał, ale z pewnością nigdy by jej nie wybaczył, że powiedziała mu o tym po tak długim czasie.

Nadal więc milczała.

A ponieważ nie zdradziła mężowi niczego na temat swoich przygód w Londynie, nic nie powiedziała również Karin

Wiman.

Wszystko zamknęła w sobie, nosiła wspomnienia jak

bliznę, której niktnie mógł dostrzec.

W poniedziałek 7 sierpnia wrócili do pracy.

Poprzedniego wieczoru usiedli wreszcie razem, by pomówić o dalszym wspólnym życiu.

Było zupełnie tak, jakby oboje, nic wcześniej nie ustalając, postanowili, że nie rozpoczną nowego roku pracy, nie porozmawiawszy o tym, co szkodzi ich małżeństwu.

Birgitta uznała za wielki przełom, że Staffan, niczym przez nią nie zachęcany, sam podjął temat ich niemal całkiem odłożonego na bok życia seksualnego.

Było mu żal, a zarazem niepokoił się swoją, jak się wyraził, "niezdolnością i brakiem chęci".

Gdy Birgitta zapytała go wprost, odpowiedział, że w jego życiu nie ma nikogo innego.

To wyłącznie brak ochoty na seks.

Świadomość tego bardzo mu dokuczała i przez długi czas odsuwał od siebie tę myśl.

- Co zamierzasz zrobić?

- zapytała.

- Nie możemy przeżyć kolejnego roku bez bycia ze sobą.

Ja tego nie

wytrzymam.

- Poradzę się specjalisty.

Ja też tego nie wytrzymuję, choć

trudno mi o tym mówić.

- Ale teraz mówisz.

\- Bo zrozumiałem, że w końcu muszę.

591.

- Właściwie wcale już nie wiem, co sobie myślisz.

Czasem patrzę na ciebie rano i myślę, że jesteś obcym człowiekiem.

- Ujęłaś to lepiej, niż ja bym potrafił.

Czasem czuję się tak samo.

Chociaż możeu mnie nie jest to tak silne.

- Czy naprawdęmyślałeś, że możemy przeżyć resztę naszego życia w taki sposób?

-Nie.

Ale odsuwałem od siebie tę myśl.

Teraz obiecuję, że pójdę do terapeuty.

- Chcesz, żebym z tobą poszła?

Staffan potrząsnął głową.

- Nie za pierwszymrazem.

Później, jeśli będzie trzeba.

- Czy rozumiesz, ile to dla mnie znaczy?

-Takąmam nadzieję.

- Nie będzie łatwo.

Ale w najlepszym razie będziemy mogli to wreszcie zostawić zasobą.

To było jak pustynia.

Staffan rozpoczął swój pierwszydzień pracy o 8.

12, w pociągu do Sztokholmu.

Birgitta dotarła do swojego gabinetuokołodziesiątej.

PonieważHans Mattson był naurlopie, musiała w jego zastępstwie zacząć od zebrania z pozostałymiśędziami i personelem.

Upewniwszy się, że ma wszystko podkontrolą,zaszyła się w gabinecie, bynapisać długi list do Vivi Sundberg, który przygotowywała przez całe lato.

Oczywiście zadawała sobie pytanie, co chce lub przynajmniej ma nadzieję w ten sposób osiągnąć.

Ukazać prawdę, rzecz jasna, wyjaśnić tragedię w Hesjówallen i śmierć właściciela hotelu.

Może też liczy na zadośćuczynienie za okazywaną jej nieufność?

Na ile była to próżność, a na ile prawdziwa próba uświadomienia śledczym w Hudiksvall, że mężczyzna, który powiesił się w celi, pomimo że dowszystkiego się przyznał, w rzeczywistości nie miał z całą sprawą nic wspólnego?

592

, W pewien sposób dotyczyło to również matki Birgitty, która szukając prawdy, chciała uczcić Pamięć jej przybranych rodziców, tak bestialsko zamordowanych.

Napisanie listu zajęło jej dwie godziny.

Przeczytała go.

kilkakrotnie, po czym włożyła do koperty i napisała na niej imię i nazwisko Vivi Sundberg oraz

adres komendy policji w Hudiksvall.

Zostawiła list w recepcji w przegródce dla poczty wychodzącej, po czym wróciła do gabinetu i otworzyła na oścież okno.

Chciała, by wiatr wywiał z jej głowy wszystkie myśli o ludziach zamordowanych w samotnych domach w Hesjówallen.

Resztę dnia poświęciła na zapoznanie się ze sprawozdaniem komisji ministerstwa sprawiedliwości dotyczącym niekończących się reorganizacji szwedzkiego sądownictwa.

Znalazła też trochę czasu dla siebie i wyjęła z szuflady niedokończony tekst piosenki, by dopisać do niego parę

wierszy.

Pomysł na tytuł wpadł jej do głowy przypadkiem.

Miał on brzmieć

Wędrówkawszplaży.

Ale akurat tego dnia pisanie tekstu jej nie szło.

Wyrzuciła kilka nieudanych prób do kosza, po czym wciąż niedokończony tekst na powrót zamknęła w szufladzie.

Postanowiła jednak, że się nie podda.

O szóstej wyłączyła komputeri \ wyszła z gabinetu.

Przy wyjściu zauważyła, że przegródka napocztę wychodzącą jest pusta.

39

"Liu ukrył się na skrajulusu.

W końcu udało mu się dotrzeć na miejsce.

Nie zapomniał o tym co mu powiedział Ya Ru.

To zadanie było najważniejsze ze wszystkich, jakie

593.

kiedykolwiek otrzymał.

Właśnie on miał wreszcie zakończyć dramatyczne wydarzenia, których początek sięgał Stoczterdzieści lat wstecz.

Liu stałw miejscu i myślał o Ya Ru, tym, który zlecił mu to zadanie, odpowiednio go wyposażył i zachęcił.

Opowiedziałmu o wszystkich, którzy byli przed nimi.

Niekończąca się historia trwała od wielu lat, przemierzała wzdłuż i wszerz morza i kontynenty, niosąc z sobą lęk, prześladowania i śmierć.

Teraz miał nastąpić koniec i zemsta.

Tych, którzy tę podróż odbyli, od dawna już nie było.

Ktoś leżał martwy na dnie oceanu, inni spoczywali w nieoznakowanych grobach.

Przez wszystkie te lata z ich moglił dobywać się nieustający lament.

Teraz on, posłaniec, miał sprawić, że bolesna pieśń wreszcie zamilknie.

Przybył w to miejsce, by doprowadzić tę historię do końca.

Liu stałw śniegu na skraju lasu.

Było zimno.

Był 12 stycznia 2006 roku.

Termometr, który widział wcześniej, w ciągu dnia wskazywał minus dziewięć stopni.

Liu przytupywałw miejscu, by nie zmarznąć.

Wciąż był wczesny wieczór.

W wielu domach, które widział, paliło się światło lub przesyby okienne połyskiwała niebieska poświata telewizorów.

Wyteżył słuch, ale nieuchwylił żadnego dźwięku.

Nawet szczekania psa, pomyślał.

Liu widział w śniegu ślady psich łap i doszedł do wniosku, że ludzie w tej części świata trzymają swoje różniące psy w domach.

Zastanawiał się, czy to nie utrudnimuzadania.

Po chwili jednakodegnatę myśl.

Nikt przecież nie miał pojęcia, coma się wydarzyć.

Żaden pies nie powstrzyma Liu.

Zsunął dłoni rękawiczkę ispojrzał nazegarek.

Za kwadrans dziewiąta.

Potrwa jeszcze chwilę, zanim we wsi zgasną wszystkie światła.

Ponownie włożył rękawiczkę, myśląc oYa Ru iwszystkichjego opowieściach o zmarłych, którzy

594

przebyli tak daleką drogę.

Każdy członek rodziny przebyłodcinek tejpodróży.

Z niezrozumiałego powodu teraz właśnie on, który nawet nie należał dorodziny, miał to wszystko zakończyć.

Napełniało go to wielką dumą.

Ya Ru ufałmu

jakbratu.

Z oddali dobiegł go szumprzejeżdżającego samochodu.

Nie jechał drogądo wsi, lecz biegnącą nieopodal głównąszosą.

W tym kraju, pomyślał Liu, w ciche zimowe noce

dźwiękprzemierza długądrogę.

Powoli poruszał stopami.

Co będzie czuł, kiedy to wszystko dobiegnie końca?

Czy mimo wszystko w jegoświadomości, jego sumieniu, tkwi coś, czego nie zna?

Niewiedział.

Najważniejsze, że był gotowy.

W Nevadzie wszystko poszłodobrze.

Nigdy jednak nie -wiadomo, zwłaszcza tym razem

zadanie było o wiele większe.

Myśli kłębiły mu się w głowie.

Nagle pomyślał o swoim

ojcu, urzędnikupartyjnym niskiego szczebla, którego szczuto i maltretowano w czasie Rewolucji Kulturalnej.

Ojciec powiedział mu, jak jemu i innym "służalcem kapitalizmu" czerwogwardziści pomalowali twarze na białe.

Bo zło

zawsze jest białe.

Teraz starał się właśnie w ten sposób myśleć o mieszkańcach tych cichych domów.

Wszyscy oni mieli białe twarze,

jak demony zła.

Światło w jednym oknie zgasło, a po chwili zrobiło się

ciemno również w drugim.

Dwa budynki były już pogrążone w mroku.

Li wcióż czekał.

Zmarli czekali sto czterdzieści

lat, jemu wystarczy kilka godzin.

Zjął rękawiczkę z prawej dłoni i dotknął wiszącego

u boku miecza.

Stal była zimna, naostrzona klinga mogła z łatwością przeciąć skórę na palcach.

Był to miecz japoński, na który natrafił niespodziewanie podczas wizyty w Szang595.

haju.

Ktoś opowiedział mu wówczas o starym kolekcjonerze, który wciąż jeszcze miał kilka tych bardzo poszukiwanych mieczy z czasów japońskiej okupacji w latach trzydziestych.

Liu odszukał niepozorny sklepik i nie miał żadnych wątpliwości, gdy tylko wziął miecz doręki.

Odrąz go kupić, poczym oddał dokowala, który naprawił rękojeść i naostrzył klingę jak brzytwę.

Liu drgnął.

W jednym z domów ktoś otworzył drzwi.

Szybko cofnął się kilka kroków w głąb lasu.

Na schodkach budynku stanął mężczyzna z psem.

Nad drzwiami zabłysła lampa, rzucając krąg światła na pokryte śniegiem podwórze.

Liu chwycił za rękojeść miecza i obserwował każdy ruch zwierzęcia.

Co zrobi, jeśli pies go zwęszy?

Zepsułyby mu to cały plan.

Jeśli będzie zmuszony zabić psa, nie zawaha się.

Co jednak wówczas zrobi stojący na schodach mężczyzna?

Pies nagle się zatrzymał i zaczął węszyć.

Liu myślał już, że zwierzę go wyczuło, po chwili jednak pies zaczął biegać wokół po podwórzu.

W końcu mężczyzna przywołał go i zamknął drzwi.

Lampa nad schodami zgasła.

Liu wciąż czekał.

Okolo północy, gdy jedynym źródłem światła był błyskający na niebiesko telewizor, Liu zorientował się, że zaczął padać śnieg.

Płatki wirowały nad jego wyciągniętą dłonią jak lekki puch.

Jak płatki kwiatów wiśni, pomyślał.

Lecz śnieg nie ma zapachu, nie oddycha, tak jak oddychają kwiaty.

Po dwudziestu minutach zgasł poblask telewizora.

Śnieg wciąż padał.

Liu przytknął do oczumają lornetkę z noktowizorem, którą miał w kieszeni na piersi.

Powoli przesuwając wzrokiem po wszystkich domach.

Nigdzie nie zauważył światła, prócz tego na zewnątrz budynków.

Włożył

596

lornetkę z powrotem do kieszeni i wziął głęboki oddech.

Oczami wyobraźni widział obraz, który Ya Ru opisywał mu

tyle razy.

Statek.

Na pokładzie kłębiący się jak mrówki ludzie, energicznie machający chusteczkami i kapeluszami.

Nie dostrze gał twarzy.

Żadnych twarzy, jedynie machające ręce i dłonie.

Odczekał jeszcze chwilę, po czym powoli ruszył ścieżką do wsi.

W jednej ręce trzymał małą kieszonkową latarkę,

w drugiej miecz.

Zbliżył się do domu na zachodnim skraju wsi.

Po raz ostatni przystanął i nasłuchiwał.

Potem wszedł do środka".

Vivi, ta opowieść pochodzi z pamiętnika niejakiego Ya Ru.

To relacja człowieka, który najpierw udał się do Nevady, gdzie zabił kilka osób, a potem wyruszył do Hesjuvallen.

Gdy je Pani przeczyta, zrozumie Pani wszystko inne, co napisałam

w tym liście.

Wszyscy ci ludzie już nie żyją.

Lecz prawda o tym, co wydarzyło się w Hesjóvallen, jest dużo bardziej złożona, niż sądziliśmy.

Nie jestem pewna, czy wszystko, o czym piszę, da się udowodnić.

Przypuszczalnie nie jest to możliwe.

Na przykładnie jestem w stanie wyjaśnić, dlaczego w śniegu w Hesjóvallen znalazła się czerwona wstążka.

Wiemy, co prawda, kto ją tam

przyniósł, ale na tym koniec.

Lars-Erik Valfridsson, który powiesił się w więziennej celi,

był niewinny.

Przynajmniej to powinna wiedzieć jego rodzina.

Możemy jedynie spekulować na temat tego, dlaczego wziął

na siebie winę.

597.

Mam oczywiście świadomość, że mój list narobi dużego zamieszania w waszym śledztwie.

Lecz przecież wszystkim nam zależy na wyjaśnieniu całej sprawy.

Mam nadzieję, że ten sposób się do tego przyczyni.

Wszystko, czego się do dzisiaj dowiedziałam, starałam się zawrzeć w tym liście.

W dniu, kiedy przestaniemy dociekać prawdy, która nigdy nie jest w pełni obiektywna, lecz w najlepszym razie oparta na rzeczowej analizie faktów, runie cały nasz system prawny.

Znów wróciłam do pracy.

Cały czas jestem w Helsingborgu mam nadzieję, że się Pan ze mną skontaktuje.

Wiele pytań wymaga odpowiedzi.

Z serdecznymi pozdrowieniami

Birgitta Roślin 7 sierpnia 2006

Epilog

Pewnego sierpniowego dnia Birgitta w drodze do domu robiła zakupy w tym sklepie co zwykle.

Stojąc w kolejce do kas, sięgnęła po wieczorną gazetę i zaczęła przeglądać.

Na którejś stronie przeczytała, że we wsi na północ od Gavle

zastrzelono samotnego wilka.

Ani ona, ani nikt inny nie wiedział, że zwierzę to pewnego styczniowego dnia przedostało się do Szwecji z Norwegii przez dolinę Vaul.

Wilk był głodny, gdyż nie jadł nic od czasu, kiedy znalazł resztki zamrożonej padliny łosia wokolicy

norweskich dolin Óster.

Szedł na wschód, minął Navjarna, przebiegł przez zamrożoną Ljusnę w pobliżu Karbole, by w końcu zniknąć

w nieprzebytych lasach.

Teraz leżał zastrzelony na podwórzu domu w okolicach

Gavle.

Nikt nie wiedział, że rankiem 13 stycznia wilk dotarł do

położonej na odludziu wsi Hesjóvallen w Halsinglandzie.

Wówczas padał śnieg, teraz lato dobiegało już końca.

Wieś Hesjóvallen była opuszczona.

Nikt już w niej nie

mieszkał.

W kilku jej ogrodach czerwieniła się już jarzębina,

nie było jednak nikogo, kto doceniłby jej piękno.

Do Norrlandii nadciągała jesień.

Ludzie zaczęli powoli

przygotowywać się do kolejnej długiej zimy.

Posłowie

Książka ta jest powieścią.

Oznacza to, że to, co opisuję, ma swoje źródło w rzeczywistości, lecz nie wszystkie jej części opowiadają o prawdziwych wydarzeniach. Nie sądzę, żeby istniała wieś o nazwie Hesjóvallen; mam nadzieję, że wystarczająco dokładnie przestudiowałem mapy. Faktem jest natomiast to, że teraz, gdy ta książka powstaje, prezydentem Zimbabwe został Robert Mugabe.

Innymi słowy, piszę o tym, co mogłoby się wydarzyć, niekoniecznie zaś o tym, co wydarzyło się w rzeczywistości.

W świecie fikcji jest to założenie nie tylko możliwe, lecz wręcz podstawowe.

Jednakże nawet w powieści wszystkie realia powinny być prawdziwe.

Nieważne, czy chodzi o brak ptaków w dzisiejszym Pekinie, czy o to, że szwedzki sędzia ma w swoim gabinecie kanapę zakupioną za własne pieniądze

W trakcie pracy nad tą książką pomogło mi wiele osób.

Przede wszystkim oczywiście Robert Johnson, który po raz kolejny już wykonał żmudną pracę polegającą na zbieraniu faktów.

Są jednak również inni, którzy uczyniliby tę listę bardzo długą.

Wśród nich choćby wiele osób na kontynencie afrykańskim, z którymi rozmawiałem.

601.

Nie wymienię zatem już żadnego nazwiska, lecz dziękuję wszystkim, którzy mi pomogli.

Zaopowieść zawartąw tej książce całą odpowiedzialnośćponoszę, rzecz jasna,ja sam.

Maputo, styczeń 2008

Spis rzeczy

CZĘŚĆ I

Cisza(2006)

Epitańum

7

Sędzia59

CZĘŚĆ II

Niggers and Chinks (1863)

Droga do Kantonu141

Pióroi kamień204

CZĘŚĆ IIICzerwona wstążka (2006)

Rebelianci

257

Chińska gra

346

CZĘŚĆ IV

Kolonizatorzy (2006)

Kora odłupana przez słońce

419

Chinatown, Londyn518

Epilog599

Posłowie601.

